



**KLIA**

**Agnieszka  
Dauksza  
Klub Auschwitz  
i inne kluby.  
Rwane opowieści  
przeżywców**

słowo/obraz terytoria

# Spis treści

Wprowadzenie

Stefan Lipniak

Helena Dunicz-Niwińska

Alfreda Gorączko

Julian Wieciech

Władysława/Barbara Wiecha

Halina Krzymowska

Ewa Żelechowska i Anna Puchajda

Karol Tendera

Lidia Maksymowicz

Rwane opowieści przeżywców

Wybrana bibliografia

Podziękowania

Z albumów

Przypisy

# Wprowadzenie

Zacząło się od Alfy, gdy 27 stycznia spojrział na mnie po raz pierwszy z gazetowej fotografii. Ten widok i zapis rozmowy o obchodach wyzwolenia KL Auschwitz sprawiły, że nie mogłam przestać patrzeć. Kolejne dni upływały na poszukiwaniach – jakże irracjonalnych – nie wiedziałam, po co właściwie szukam i czy faktycznie chcę go spotkać. Z opisu jego codziennych aktywności wnioskowałam, że miewamy podobne trasy. Sondowałam książki telefoniczne, pytałam i odruchowo zaglądałam w twarze napotykanym na ulicy osób. Kiedy jednak zdobyłam jego numer, zwlekałam z nawiązaniem kontaktu. Przeważał strach, kogo zastanę po drugiej stronie. Gdy wreszcie zdobyłam się na odwagę, odebrał i drżącym, kruchym głosem spytał, czy lubię spacerować, a następnie, czy aby się go nie boję? „Możemy rozmawiać, możemy nawet się spotkać, zwykle nie bywam agresywny” – zażartował. Obojgu nam zabrakło jednak wówczas zdrowia, siły i czasu na spotkanie.

13 kwietnia, gdy wiał halny, co w Krakowie ma znaczenie, wbrew oporom ciśnień przedostałam się do pobliskiej apteki. Nie spojrzałam w twarz wychodzącej osobie. Po chwili usłyszałam fragment rozmowy dwóch farmaceutek. Dotyczyła zniżek ustawowych. W pewnym momencie padło nazwisko: – Czy pamiętasz, jak nazywa się tamten pan? – pytała jedna z aptekarek. – Lipniak. Stefan Lipniak – odpowiedziała druga. Kiedy po chwili dotarło do mnie, co mówi mi to nazwisko, wybiegłam z apteki. Zatrzymałam go, zmierzylśmy się wzrokiem. W ten sposób poznałam Stefana Lipniaka, Alfę, jednego z nielicznych dziś działaczy krakowskiego Klubu Auschwitz. Wkrótce został moim rozmówcą i przewodnikiem po wspólnocie ostatnich świadków.

Po tym „niewymuszonym zejściu”, jak to określił Lipniak, dość regularnie umawialiśmy się na kolejne spotkania. Nie było między nami niedopowiedzeń – wystarczyło, bym raz otwarcie spytała o obozowe doświadczenia, a on rozpoczął swą wieloodcinkową i wielowątkową opowieść. Opowiadał w dowolnych okolicznościach – gdy spacerowaliśmy, podróżowaliśmy, jedliśmy, piliśmy, w parku, na cmentarzu, w tramwaju, na ulicy, w restauracji. Nie przyszło mi wówczas do głowy, że mogłabym te rozmowy nagrywać. Zdumiewałam się siłą materialnej obecności świadka, który dzieląc ze mną ławkę na Plantach, jednocześnie przedzierał się wspomnieniami przez ogródki przedwojennej Trzebini, obóz Klein Mangersdorf, Rattwitz, Auschwitz, Monowice i przez bieszczadzkie lasy. Choć stopniowo oswajałam się z dynamiką, a niekiedy też drastycznością relacji, nigdy nie wyzbyłam się elementarnej zdziwienia sprawczością świadka.

Ciekawość, obawa i niechęć przed uwewnętrznieniem cudzych postaw towarzyszyły mi nieodmiennie, odkąd Stefan Lipniak wprowadził mnie do środowiska Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych. Do krakowskiego oddziału zapisanych jest obecnie około pięćdziesięciu osób, ale – co oczywiste – ich liczba dość szybko maleje. Zrzeszeni są głównie osiemdziesięcio-, dziewięćdziesięcio- i stulatkowie, choć wielu działaczy jest już nieaktywnych.

Stefan Lipniak, prezentując mi ręcznie spisana listę członkiń i członków Związku, zastrzegł, jak ważna jest sporządzona przez niego legenda oznaczeń: osoby, których nazwiska podkreślone są zieloną kredką, to czynni związkowcy, fioletową – żywi, ale nieuczęszczający na zebrania, niebieską – schorowani i leżący, czerwonym kolorem oznaczono zmarłych.

Gdy pierwszy raz udałam się na cotygodniowe spotkanie, klubowicze przypuszczali, że jestem wnuczką Stefana Lipniaka. Potraktowano mnie ulgowo, z marszu zostałam zaangażowana do pomocy – mieliśmy złożyć i schować do szklanej gabloty związkowy sztandar. W ten sposób przekroczyliśmy pierwszy poziom obcości. W kolejnych tygodniach i miesiącach jeździliśmy razem na pogrzeby i pikniki, celebrowaliśmy wojenne rocznice, dyskutowaliśmy o ich problemach. Wkrótce zaczęłam funkcjonować w tym środowisku na prawach wspólnej wnuczki. Nigdy wcześniej nie przyszło mi pracować z tak ostrożnymi i skrytymi ludźmi, którzy – jakby na przekór panującym w ich wspólnocie tendencjom – okazywali mi wiele zaufania i życzliwości. Bez ich pomocy nie udałoby się zrekonstruować sieci poobozowych zależności, dotrzeć do odpowiednich osób i zbudować osobistych relacji z moimi rozmówcami.

Z każdego kolejnego spotkania wracałam wyposażona w nowe nazwiska, adresy i numery. Kraków rozrastał się i nabierał nowych wymiarów. Dane lokalizacje zaczęły znaczyć – postrzegałam je teraz przez pryzmat konkretnych wydarzeń z cudzych biografii. Ożywiły się także kontakty między związkowcami, opowiadano sobie o mnie, wymieniano się moimi danymi. Sieć znajomości rozszerzała się błyskawicznie. W pewnym momencie nie ja szukałam kolejnych osób, ale to one zgłaszały się do mnie. Dzwoniły o różnych porach dnia i nocy. Przeświadczone, że jeszcze nie znam ich nazwisk, przedstawiały się następująco: „Dobry wieczór, Auschwitz mówi”, „Dzień dobry, Płaszów z tej strony...”, „Halo, jestem z Buchenwaldu, mój numer to...” – i nie chodziło, rzecz jasna, o numer telefonu.

Szybko zdałam sobie sprawę, że moi rozmówcy oczekują ode mnie konkretnej reakcji i działania – nie chodzi tylko o współbycie, empatię czy uwagę, ale o przejęcie narracyjnej inicjatywy, o świadczenie o świadczących. Kiedy wreszcie zdecydowałam się zaproponować im wspólną pracę nad książką, w odpowiedzi jednogłośnie zaoferowali mi honorową legitymację i członkostwo w Polskim Związku Byłych

Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych.

Potrzeba i gotowość współtworzenia książki wynikała – jak sądzę – nie z próżności moich bohaterów, ale z przecucia kresu ich życia oraz świadomości, jak unikatowy jest ten ostatni moment świadczenia. Ostatni, ale niejednokrotnie także pierwszy, bo jak się okazało, niektórzy z poznanych przeze mnie byłych więźniów nie mieli okazji opowiedzieć o swoich doświadczeniach obozowych nikomu spoza kręgu najbliższych. Co za tym idzie – ich opowieści nie zostały dotąd w żaden sposób zarchiwizowane. Tymczasem dla wielu z tych ludzi wojna trwa nadal – w ich ciałach i umysłach – ujawnia się we wspomnieniach, snach, gestach, w pamięci ciała, poprzez choroby, nawyki, zachowania czy sposoby konfrontowania z innymi.

Jak się przekonałam, relacje w środowisku najczęściej sprowadzają się do wspólnego podtrzymywania ram instytucjonalnych, asekuracji finansowo-prawnej oraz praktyk symbolicznych, na przykład, gdy celebrowane są rocznice wydarzeń historycznych ważnych dla tej grupy. Istotnym, konsolidującym aspektem jest także wsparcie medyczne i psychologiczne oferowane przez przychodnię Pro vita et spe, prowadzoną przez doktor Alicję Klich-Rączkę i mieszczącą się na parterze kamienicy przy Dietla 64, gdzie Związek ma swoją siedzibę.

Byli więźniowie, których określam mianem przeżywców, pozostają jednak osobni. Są razem, gdyż obowiązuje ich solidarność pamiętania, ale dzieli ich niemal wszystko. Animozje albo pozostają niezwerbalizowane, albo tracą na sile, gdy w grę wchodzi obrona honoru wspólnoty. Trudno dziś mówić o przyjaźniach czy zażyłościach. Przeżywcy są na to chyba za bardzo nieufni, wsobni, wciąż poranieni. Większość cierpi na chroniczną samotność. Podczas zebrań związkowych o przeżyciach wojennych praktycznie się nie mówi. Nie teraz i nie w tym gronie, gdzie przecież „wszyscy wiemy, jak było”. Próby opowiadania o indywidualnych losach wojennych traktowane są jak nietakt, egoistyczne epatowanie własnym koszmarem. Tymczasem prawie każdy zmagą się na co dzień z własną przeszłością.

Wspólna uwaga skupia się natomiast na faktycznych, bieżących wyzwaniach i problemach, jak wciąż zmieniający się status prawny byłych więźniów obozów koncentracyjnych, topniejące ulgi, odbierane zapomogi i przywileje społeczne, niesatysfakcjonujące świadczenia czy problemy finansowe. Rzeczywiście, można mówić o pewnej ignorancji władz i organów państwowych w odniesieniu do tych, którzy przeżyli. Mowa jest często o „sprawie Suchockiej”, czyli o pamiętnym zmniejszeniu rent przez rząd Hanny Suchockiej. Wyraźnie akcentowane bywa też poczucie odrzucenia przez kolejne pokolenia, podwójna stygmatyzacja – starością i kombatantwem – oraz przeświadczenie przeżywców o społecznym niewykorzystaniu w sferze polskiej polityki pamięci.

Większość moich rozmówców nie tyle lubi, ile czuje etyczną powinność mówienia o doświadczeniach obozowych, zwłaszcza młodym ludziom. Z jednej strony mają oni

świadomość, że jako ostatni świadkowie są predestynowani do opowiadania, z drugiej twierdzą, że jest na to za późno. Wprost deklarują, że ich pamięć jest zniszczona, dziurawa i zależna od cudzych relacji, literatury oraz filmów, a narracje są wybrakowane lub zniekształcone. Faktycznie, wielokrotnie widziałam ogromny trud, z jakim przeżywcy odpominają przedwojenne i wojenne zaszczości, konfrontują swoje aktualne wspomnienia z przygotowanymi wcześniej zapiskami autobiograficznymi, próbują dopytać o minione wydarzenia bliskich ludzi lub powołują się na znane motywy z tekstów kultury. Jednak już na początku naszej współpracy zdałam sobie sprawę, że taki tryb opowiadania wcale nie dyskredytuje ich opowieści. Można słusznie argumentować, że każda ludzka pamięć ma charakter relacyjny i protetyczny, podobnie jak każda, nawet pierwsza, tużpowojenna narracja siłą rzeczy nie jest obiektywną reprezentacją obozowej rzeczywistości, ale reprezentacją tego, jak dana osoba odczuwała, postrzegała i oceniała tamte realia. Chodzi jednak o coś jeszcze.

Wraz z rozmówcami nie orzekamy tak naprawdę ani o II wojnie światowej, ani o nazistowskich obozach koncentracyjnych. Gdy przeinaczają oni pewne zajścia lub wahają się co do dat wydarzeń historycznych, nie poprawiam ich, nie odnotowuję tego faktu w przypisach. Moim i chyba także naszym zamysłem nigdy nie było przygotowanie książki historycznej. Bliżej nam z pewnością do literatury świadectwa, która rządzi się swoją logiką. Co więcej, wychodzę z założenia, że zebrane w tej książce opowieści mają mówić nie o tym, jak było, ale o tym, jak jest – kim są i w jakim miejscu znajdują się dzisiaj ci, którzy kilkadziesiąt lat temu przeżyli obozy, jak zmieniły się ich oceny i odczucia, co pamiętają i w jakim tonie chcą o tym opowiadać.

Interesowały mnie także powojenne losy przeżywców, co zrobili z odzyskaną wolnością, jak się wówczas czuli, w jaki sposób docierali do domów lub konstatawali, że nie mają dokąd wracać, jak układali się ze wspomnieniami i konfrontowali z bliskimi, słowem – jak przystosowywali się do dalszego życia. Dlatego punktem wyjścia było na ogół pytanie o chwilę wyzwolenia lub ucieczki z obozu, którą traktowaliśmy jako moment zerowy narracji. Większość osób jednak po wstępnym zarysowaniu obecnej sytuacji albo błyskawicznie przeskakiwała do czasów wojennych, albo wprost deklarowała, że czuje się niekomfortowo, mówiąc o współczesności, zanim wprowadzi mnie w to, co dla nich najważniejsze, czyli w świat obozowy. W takich momentach odsłaniał się tożsamościotwórczy aspekt doświadczenia obozu.

Rejestrując tę zróżnicowaną konstelację postaw i strategii przetrwania, miałam chwilowe poczucie swoistej nieśmiertelności moich bohaterów, którzy w opowieściach raz za razem wychodzą z kolejnych opresji. Szybko jednak uświadomiłam sobie ich dzisiejszą kruchość. Odkąd tylko zaczęłam uczęszczać na zebrania Związku, nie było miesiąca, by ktoś nie umarł. Najgłośniejszym echem

odbiła się w tym czasie śmierć Józefa Paczyńskiego, wieloletniego prezesa Klubu Auschwitz, niegdyś obozowego fryzjera komendanta Rudolfa Hößa. Przez kolejne miesiące związkowcy pytali mnie, czy zdążyłam nagrać opowieść Paczyńskiego, a ja nie mogłam przeboleć, że po naszym wstępnym umawianiu się spóźniłam się na to spotkanie dosłownie kilka dni.

Pogrzeb Paczyńskiego był okazją do obserwowania specyficznej solidarności przeżywców. Gdy czekaliśmy przed cmentarną kaplicą na rozpoczęcie ceremonii, moi towarzysze zaczęli nerwowo gmerać w kieszeniach, z których następnie każdy wyciągnął opakowane w folię zawiniątko. Okazało się, że to biało-niebieskie repliki opasek obozowych z nadrukiem czerwonego winkła. Ponieważ rodzina zmarłego nie wyraziła zgody na akcentowanie jego wojennej przeszłości, związkowcy początkowo krępowali się wkładać opaski, po chwili jednak – wzmocnieni wspólnym oburzeniem – honorowo nałożyli je na ramiona. Opaski miały zbyt duży obwód, więc prosili mnie, bym każdemu z osobna naprędce przyszyła je do płaszcza lub przypięła agrafką.

Poczucie dziwności czy dwuznaczności podobnych sytuacji, gdy na różne, mniej lub bardziej subtelne sposoby odgrywaliśmy role ofiar i oprawców, towarzyszyło mi nieodmiennie. Niektórzy z rozmówców proponowali na przykład, bym fotografowała ich z numerami obozowymi wypisanymi na kartonikach, udawali, że tatuują moje przedramię, wcielali się w rolę muzułmana, kiedy indziej retorycznie sugerowali, że jestem ich znajomą współwięźniarką. Wyraziście pamiętam zwłaszcza zaproszenie do udziału w kolejnych obchodach wyzwolenia KL Auschwitz, gdy jeden z klubowiczów, wyraźnie podekscytowany, zadzwonił do mnie o świecie z pytaniem: „Jedziesz z nami?”. Spytałam mało przytomnie, dokąd miałabym jechać. „Do Auschwitz, jedź z nami koniecznie, już powiedziałem kolegom, że bez ciebie nie jedziemy”. A następnie: „Mamy transport, ale już może nie być wolnych miejsc. Musisz się szybko zgłosić, bo dwaj tacy, co są wpisani na listę, chyba nie dożyją do tego czasu, są zbyt słabi. Zgłoś się na listę rezerwową, bo kolejnych transportów może nie być”. Gdy zdałam sobie sprawę, że wbrew pozorom mowa o całkiem współczesnej perspektywie wyjazdu, i obiecałam, że postaram się „załapać na ten transport”, padła radosna odpowiedź: „Zatem jedziemy do Auschwitz, jest pięknie!”.

W podobnych wypadkach nie zawsze możliwe było stwierdzenie, co jest wyrazem figlarności czy żartem, a co slangiem i specyficznym, poobozowym stylem bycia. Przekonałam się jednak wielokrotnie, że prowokowanie przez klubowiczów tego typu niejednoznaczności nie jest działaniem na pokaz. Nie byłam ani jedyną, ani główną odbiorczynią tych zachowań. Na przykład w drobnych sprzeczkach między kolegami z klubu padały analogiczne argumenty: „Zachowujesz się tak, że ja nie wiem, jak ty przetrwałeś ten obóz”, „Jesteś stary, ale ogarnij się, nawet byś miesiąca tam nie przeżył”, „A ty byś po tygodniu wykitował, bardzo mi przykro”. Oczywiście, są to



sporadyczne, momentalne przypadki uniesienia emocjonalnego, ale często również na co dzień byli więźniowie używają obozowego żargonu, analizują bieżące sytuacje w kontekście wydarzeń z przeszłości, oceniają innych nie tylko pod kątem rang i zasług z okresu II wojny, lecz także przez pryzmat wartości wewnątrzobozowych. Ciągłe oscylowanie między współczesnością a rzeczywistością wojenną jest na porządku dziennym.

Podobnie jak nieciągła jest granica między przeszłym i obecnym, tak porwane są narracje moich rozmówców. W toku ich opowieści dochodzi do częstych zerwań i zawiesznień zarówno na płaszczyźnie chronologicznej, jak i przestrzennej. Starłam się w takich momentach nie ingerować w bieg wspomnień, najczęściej ograniczałam się do pytań mogących pomóc odbiorcy (mnie jako słuchaczce, ale i czytelnikowi tej książki) w zlokalizowaniu aktualnej pozycji. Nie usiłowałam również wtórnie spajać czy ujednolicać tych poszarpanych wątków.

Klub Auschwitz to nazwa stosowana przez przedstawicieli Związku. Gdy w Krakowie czynnych było wielu byłych więźniów różnych obozów, istniało także wiele klubów: Klub Ravensbrück, Klub Buchenwaldu, Klub Gross-Rosen i tak dalej. Ich reprezentanci spotykali się regularnie, organizowali wspólne wyjazdy i uroczystości, uzgadniali swoje wersje przeszłości, starali się dbać o sprawy grupy na arenie polskiej i międzynarodowej. Klub Auschwitz funkcjonował długo na specjalnych prawach, co uzależnione było w znacznej mierze od kulturowego i politycznego uznania tego obozu za epicentrum przemocy nazistowskiej. Więźniowie Auschwitz z reguły mogli korzystać z dodatkowego wsparcia finansowego otrzymywanego po wojnie od Niemców. Według niektórych była to jawna niesprawiedliwość, według innych Klub Auschwitz mógł dzięki tym funduszom dofinansowywać działania krakowskiego oddziału Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych. Dzisiaj – jak zgodnie przyznają moi rozmówcy – ten klub walczy o trwanie resztkami sił.

Jeszcze jedno wyjaśnienie wydaje się istotne. Nazywam byłych więźniów mianem „przeżywców”, bo już na początku naszych interakcji zauważyłam, że zupełnie nie utożsamiają się oni z określeniami „ocalony” czy „ocalały”. Mimo szeroko komentowanych i opisanych różnic między tymi wariantami „ocalenie” zanadto kojarzy się z pasywnością. Moi rozmówcy nie mówią nigdy, że „ocaleli” z obozu, lecz że „przeżyli”. Pewnym rozwiązaniem mogłoby być z pewnością zastosowanie terminu proponowanego przez Zygmunta Baumana – „przeżytnik”. Z kilku względów jednak to pojęcie nie wydaje się trafne. Nie dość, że w polszczyźnie „przeżytnik” zbyt mocno kojarzy się z „przemysłowcem”, to jeszcze pobrzmiwa w tym słowie pewne domknięcie aktu, ukończenie procesu. „Przeżywca” natomiast silniej oddaje ciągłe, procesualne – minione i obecne – wydarzenie się życia, o którym z całą mocą

zaświadczać bohaterowie tej książki.

**Stefan Lipniak**

Co pani Agnieszko wczoraj robiłaś? – pyta Stefan Lipniak, gdy tylko włączam dyktafon.

*Byłam na Kazimierzu* – odpowiadam, a mój rozmówca wyraźnie cieszy się, że przejął inicjatywę:

A do której?

*Do 3 w nocy.*

No, to jest naprawdę długo! Balujecie... A na Kazimierzu jest ruchliwie teraz. Mnóstwo ludzi tam siedzi, prawda? Pod parasolami, na polu. A pani gdzie siedziała?

*Zwiedzałam synagogi, wczoraj była noc otwartych synagog.*

Ale w lipcu jest ich festiwal, prawda? Czy to jeszcze co innego było?

*Tak, inne wydarzenie. A chodzi pan czasami na Kazimierz?*

Ach, dawniej to ja wszędzie chodziłem, tam wszędzie gonił, a teraz już mi się nie chce za bardzo. Za okupacji mnie tu nie było, nic nie wiem, jak to wyglądało.

*A przed okupacją?*

No, też nie. Nie miałem ośmiu lat, jak ojciec umarł. Pamiętam, na pogrzebie jeszcze byłem w Krakowie (byliśmy tak biedni, że nie było nas stać na pociąg czy bryczkę, więc z Trzebini szliśmy pieszo na pogrzeb). Ale już później Niemcy, okupacja i tak się to zaczęło, mój żywot.

*Jak po wojnie wyglądał Kazimierz?*

Oj, strasznie. Marnie. Żydy tom wcześniej mieszkali, to była oddzielna... że tak powiem: miasto oddzielne Kazimierz. Teraz tam jest elegancko, a wcześniej te domki, te ruiny, Żydy mieszkali w takich barakach, szopach biednych, przepraszam, no, dziady takie. Marna dzielnica żydowska. Potem przyjeżdżali Żydy na cmentarze, swoje odwiedzali. Tam są dwa cmentarze, pani wie?

*Pan jest z Trzebini. Jak tam było?*

Było strasznie dużo Żydów. Cała Trzebinia to żydostwo było. Ale w ogóle wtedy wszędzie dużo mieszkało Żydów, w każdym miasteczku, mieście. Oni byli spryciarze, tylko handel, na roli nie robili. No i kształcili się Żydy, byli bardzo dobrze wyuczeni, dentyści, lekarze, superludzie. Żyd w ogóle był spryciarz. Żyd był lepszy od nas, szkoda, że nie ma.

*A jak to się układało w Trzebini?*

Ech (z dezaprobatą). A jak się mogło układać? Komu się udawało, lepiej prosperował. Zależało od człowieka. Ale do handlu Żydy byli jedyni ludzie, bo handel kochali bardzo. Z sympatią było różnie. Od nas blisko mieszkali, jeden taki Żyd, miał rodzinę, sklep prowadził. Nie było jakiegoś antagonizmu, nie było widocznego antysemityzmu. Czasem tylko młode chłopaki napadali, jak Żydy na targ jechali do Krzeszowic. Wieźli te wszystkie kury, gęsi, co by nie tylko, klatki mieli, takie wozy rozpięte, drabiniaste, i handlowali w mieście.

*Kto na nich napadał? Pan też?*

No właśnie (ze szczeniackim uśmiechem i wyraźnym wstydem). Jako dziecko, ale byli i starsi, spryciarze, co napadali. Nie byli zbyt dorośli, młodzież.

*No i co robiliście?*

Kamieniami my bili Żydów. A tamci siedzieli na wozach, nakrywali się kocami, żeby ich nie trafić. No, to młodzież prała kamieniami tych Żydów. Ale Żydzi nie byli znowu tacy frajery, zeskoczyli i gonili, i bili znowu tych Polaków. No, to my pouciekali, pochowali się. A oni powsiadali, pojechali dalej (śmiech).

*Dlaczego pan to robił?*

To więcej dla zabawy było. Nie żeby ktoś tym kierował, ale sama od siebie młodzież zrobiła taką zasadzkę: „Chodźmy na Żydów”. No i tak ich załatwili. Ale to sporadycznie, nie żeby jakaś zorganizowana grupa. Same dzieciaki właściwie, nic wspólnego z polityką, tylko aby się rozweselić. Taka właśnie młodzież była głupia. Podobne przypadki były wszędzie. Nawet tu, w Krakowie, były rozróbki z Żydami, bili się na amen, jeszcze przed wojną. Wzajemnie się tłukli.

*A jak to wyglądało w obozach? Zmienił się stosunek do Żydów? Mieliście kontakt?*

O, no nie. To było niemożliwością, żeby robić jakieś rozróbki. Tam reżim niesamowity, oddzielne baraki mieliśmy, Cygany, Żydzi, Polacy. Nie mieszało się ich razem, zupełnie oddzielnie. Z Żydami spotykaliśmy się na robotach. Na robocie można było sobie pogadać, ale też esesmani zabraniali kontaktu, w ogóle, żeby nic ze sobą nie mówić. Chociaż zawsze jakieś przecieki były, jeden drugiemu podpowiedział, co i jak.

*Ale czy nastawienie było inne?*

Nie, tak nie było. Żydzi byli zawsze oddzielnie. Nigdy tak blisko między Polakami a Żydami nie było. Ale ja i tak im zazdroszczę.

*Co ma pan na myśli?*

Zazdroszczę Żydom Holokaustu.

*Słucham?*

Zazdroszczę im terminu Holokaustu. Mocny jest.

*Dlaczego?*

Od razu wiadomo, o co chodzi. A my nie potrafiliśmy nazwać tego, co nas spotkało. „Wojna”, „obozy”, „niewola”? Tyle lat minęło, a my nie mamy nazwy.

*Ma pan jakiś pomysł?*

Kiedy właśnie nie mam. Ty byś czegoś nie wymyśliła, Agnieszko?

*Pomyślę. Uważa pan, że Żydzi mieli gorzej w obozach niż Polacy?*

No, dużo gorzej (z zachnięciem, dobitnie). Ich mordowali bez przerwy. Jak tylko mogli, tak niszczyli Żydów. Żydzi to byli podludzie. Holokaust miał zniszczyć rasę żydowską, rozumie to pani? A dopiero na drugim miejscu byli Polacy. No, jeszcze przed Polakami Cyganie, Romowie.

*A jak reagowali esesmani na widok Żyda i Polaka? Były jakieś podstawowe różnice?*

Tak, była zasadnicza różnica. Zawsze jest tak: Żydzi byli na śniadanie, a Polacy na obiad. Żydów najbardziej niszczyli. Polaków też, ale może mniej. Ale jak się wpadło na esesmana, to jednakową śmiercią mogliśmy umierać. No, ale Żyd to był Żyd, kasta ludzka inna, że tak powiem. Tępil ich w niesamowity sposób. I różny sposób. Dusili, bili, do komory gazowej wrzucali. Jak przyszedł transport, to zdrowych dawali na prawo, a jakoś podejrzanych, nieudolnych, chorych i starszych na lewo, prosto do komory. Zdrowych zostawiali do roboty, żeby wykorzystać, a jak się taki kończył, to tylko krematorium. W drzwiach były hałdy ludzi, którzy próbowali się wydostać – koledzy mi opowiadali, bo tego akurat nie widziałem. W komorze nigdy nie byłem. Esesmani mieli cyklon, mieli stroje odpowiednie, maski, od góry przez dziury sypali proszek do komory.

*Nigdy pan nie widział budynków krematoriów?*

W czasie okupacji nie, nie wolno było. Więźniowie nie mogli tak sobie chodzić, były wyznaczone strefy. Ale widzieliśmy dym. Śmierdziało jak piorun jasny. Śmierdziało, bo palili niesamowicie, ewidentnie to był smród ludzki. My w Monowicach czuliśmy, na dwadzieścia kilometrów było czuć, jak ten gaz wychodził. Komora jedna i następna, następna. Bez przerwy się paliło. Na początku to było prymitywne, proch wysypywali w dole obok, ten ludzki proch. I to nie było liczone, ilu ludzi zginęło. A tam miliony mogły zginąć. Nikt tego przecież nie rejestrował, nie było czasu. Ale to znam z opowiadania, trochę koledzy mówili, trochę podpatrzył. Kobiety tam obok miały okrutnie, daj ty spokój. Byłaś tam, widziałaś, Agnieszko? Żeby spać na ziemi w takich kajutach, po osiem... i żadnej osłony, no, może trochę słomy, ale to się wykruszało, więc potem na gołych deskach i na komendę się przewracały. To w Birkenau.

*Czy pan wiedział o komorach podczas pobytu w obozach? Mówiliście o tym?*

Właśnie bardzo słaby był ten temat. Gdy tylko jakieś grupy dyskusyjne się tworzyły, to Niemcy od razu rozpędzali. Jak się chciało pogadać z kimś z innego baraku, też nie wolno było. Więc trudno było przenosić wiadomości. Choć temat komór był bardzo rozpowszechniony w obozie, chyba wszyscy wiedzieli, że palą ludzi. Mimo że Niemcy utajniali to palenie. Gdyby Niemcy wygrali wojnę, to może do tej pory rozbudowali by krematoria, wciąż by trwało. Nie wiadomo, jak by dziś świat wyglądał. Pomór w Europie.

*A mówił mi pan ostatnio, że Niemcy to wyższa kultura?*

No, niestety.

*Jak to pogodzić?*

Ano właśnie, jak? Niemcy zawsze byli dużo zdolniejsi od wszystkich, przecież to, co oni wymyślali, nikt inny nie potrafił. Mieli V1, V2, to był już początek broni atomowej. Nie można Niemcom niczego odebrać. Ale jeśli ktoś jest bandytą, to odpowiada za swoje pomysły i działania, a oni potrafili obrócić wszystko przeciw

człowiekowi. Całą swoją technikę, siłę, broń. Ruski takiej nie mieli, za to mieli pepesze. Ty, Agnieszko, chyba takich pepeszy nie pamiętasz?

*Siłą rzeczy nie. Ale wiem, jak wyglądają.*

Żebyś nie musiała nigdy tego oglądać. A niemieckie obozy były tak zorganizowane, że żadnego więźnia nie mogło brakować. Pełna kontrola wszystkich, bez wychylania się. Oni to mieli doskonale zorganizowane. U Ruskich? Wygnanie na Syberię i róbcie sobie, co chcecie. To jest właśnie cywilizacyjna różnica. Tam nikt się o tych ludzi nie martwił, a u Niemców była kontrola, każdy musiał chociaż kawałek chleba dostać. Nie było tak, żeby nikt nic nie jadł. Ordnung, sztabowi, grupowi, wszystko musiało być, wszystko poukładane.

*Czy to właśnie nie było najbardziej przerażające?*

No właśnie było, na każdym kroku przerażające. To znowu było nieludzkie. I jak to pogodzić? Myśmy tu mieli spotkania w Krakowie, dużo niemieckiej młodzieży przyjeżdżało. Słuchali nas łąpczywie i taka jedna dziewczyna mówi: „My się wstydzimy”. Wstydzili się, że nas tak ich dziadkowie mordowali. Kto by się zdobył, z innej narodowości, na taki gest? Przyznała się i potępiła to dziś. Wdrożono kolejne pokolenia w te zbrodnie. A przecież dziadek takiej dziewczyny musiał ją kochać, pielęgnować, przytulać, jak była mała. Jak każde dziecko i każdy dziadek. Wcześniej takie same dzieci na frontach czy w obozach mordował bez żadnego kompleksu. Jak to pogodzić? Jednych kochać, a drugich...

*I jak pan to sobie tłumaczy?*

Może to przez ideologię? Ich partię polityczną? Nastawienie Niemców? Niemcy tak byli chowani, by ich krew w ogóle nie raziała. Im kazali kury czy gęsi zarzynać, żeby się przyzwyczajali. Więc może geny i rutyna.

*Jak pan dziś myśli o Niemcach?*

E, no nie, my to dawno przebaczyli. My się spotykali wiele razy. Po dziś dzień jest wielka przyjaźń z Niemcami. Witamy miłych gości, gdy przyjadą. Od dawna to była jedność. I chcemy jedności.

*No dobrze, ale spotykacie się z kolejnymi pokoleniami Niemców. A co z waszymi obozowymi przełożonymi, oprawcami? Gdyby pan ich dziś spotkał...?*

No nie, tak to nie można myśleć, boby nigdy nie było jedności. Mnie się wydawało, że przebaczenie to jest zasadnicza rzecz do pojednania. Szukać odwetu, to znowuż kataklizm by był wielki, wojna...

*Czy według pana naziści byli właściwie ukarani?*

Ci duzi dostojnicy obozowi zostali ukarani, w wielu przypadkach. Trudno to ocenić, bo elita została wykształcona w swojej ideologii, oni w to wierzyli, oni według tego działali i mordowali. Ich chyba należało osądzić. Ale takiego niemieckiego szaraka? Przecież trudno go zaraz wieszać. Ideologia była chyba najgorsza. Oni wykonywali rozkazy, oni byli przekonani, że robią słusznie.

### *Postawy Niemców były zróżnicowane?*

Tak, niektórzy esesmani nawet więźniom pomagali, coś im tam dawali. Choć ja nie pamiętam takich zachowań, wszystkie gesty Niemców były raczej negatywne. Nie było dobrych słów czy czynów. Byli paskudni. Na przykład przywieźli zupę na obiad więźniów. Takie dranie z nich byli, że jeden kopnął butem i zupę wylał. No i nikt nic nie jadł. Lepiej miała tak zwana więźniarska elita obozowa i oni byli tak zżyci z Niemcami, że czasem sobie na „ty” mówili. Niektórzy funkcyjni byli zaprzyjaźnieni z esesmanami. Dużo Polaków było funkcyjnymi, lekarze, szewcy, krawcy, mechanicy, oni mieli wszystko, nigdy nie byli głodni, prawie lepiej niż na wolności. Byli pilnowani, odseparowani od świata, żeby im się krzywda nie stała. Często były z nich takie świnię, że potrafili się znęcać nad własnymi kolegami. Żeby go Niemcy zauważyli jako despotę. Łatwiej wtedy było zostać kapo i nie musieć pracować. Pamiętaj, Agnieszko, jak będziesz rozmawiać z więźniami, zawsze pytaj, co robili w obozach, co widzieli na co dzień. Zobaczysz, ilu jest tych z funkcjami. Dziś już mało takich, co harowali.

Jak pilnował nas esesman przy pracy, a któryś kolega już nie miał siły, to esesman mówił: „Widzisz ten kawałek sznurka? I tamto drzewo widzisz? To weź sobie ten sznurek i idź się powieś, jak nie masz siły do roboty”. Niejeden zrezygnował, inny chciał się powiesić, ale mu nie dali. Ale były inne sposoby.

### *Jakie sposoby?*

Na druty się rzucało bardzo dużo. Ale też egzekucji karnych było mnóstwo. Pamiętam, byli tacy miernicy, którzy chodzili wokół ogrodzenia po obu stronach drutów. A jak się Niemcy dowiedzieli, że oni komunikują się z cywilami, to po nich przyszli do baraku pod wieczór, żeby ich powiesić za te kontakty. Wisieli potem na szubienicy. Przychodziła taka kompania uzbrojona, zabierali skazańców i prowadzili do szubienicy, podstawiali stołek, zakładał jeden pętlę na szyję i deska się opuszczała. Oni wpadali jakby do studni. I tak wyglądała egzekucja. Niektórzy się szarpali bardzo. Często wieszali, robili specjalne apele. Kazali wszystkich więźniów wyprowadzać, żebyśmy widzieli.

Było bardzo dużo ucieczek. Zwłaszcza wśród tych, którzy byli blisko Niemców. I później to wykorzystywali – mieli dostęp do mundurów, czasami samochodów. Ubierali się, przygotowywali, przedostawali się przez jedną bramę, drugą bramę, mówili po niemiecku, nawet potrafili nakrzyczeć na strażnika, że wolno wiatę podnosi. Ale tego dowiedziałem się po wojnie. Starłem się dużo dowiedzieć, nadrobić. Bo jak byłem w Monowicach, to o szóstej rano wychodziłem do pracy, a wracałem wieczorem, chyba o dziesiątej od razu szliśmy spać. Po dwanaście–czternaście godzin trzeba było robić co najmniej. I wiele nie widziałem życia obozowego.

Jak żeśmy się kładli, to blokowy chodził, podnosił nam koce, patrzył, czy nogi czyste.



A jak brudne, to ściągał takiego, kopał go, bił pejczem. Wypędzał, nawet na mróz, boso i kazał myć. I latali.

Blokowymi to różni bywali, Polacy, Żydzi. Nawet nie tak często się zmieniali. Oni byli bardziej brutalni niż kapo lub esesmani. Po pieronie tyrany z nich były. Ale chodzili elegancko ubrani, pasiaki mieli wyprane, pejcz w ręce, ktoś mu się nie podobał, to dostawał. A na drugi dzień już nie mógł iść do pracy, bo był zбитy i tak dalej, to potem czasami się kończyło krematorium. To byli muzułmanowie. Przyjeżdżali po takiego trupiarkę. Wrzucali ich do auta jak szło, nieważne, siedzące czy leżące, to było przecież do spalenia. Ci, co nie mogli już pracować, to siedzieli przeważnie o tak (Stefan Lipniak demonstruje, zwijając się w kłębek): podparte nogi na pryczy i się kulili. I mieli oczy zapadnięte, takie daleko gdzieś oczy w głowie. Do niczego już nie byli zdolni. Siedzieli, siedzieli, siedzieli, dosłownie kościotrupy, z odrobiną mięsa. Chude to było okropnie. To już było wyschnięte z wszystkich soków. I wiadomo już było, co z nim zrobić.

*Czy na co dzień widzieliście wielu takich muzułmanów?*

Komand było mnóstwo, w każdym po dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści osób, w zależności od potrzeb, od zadania. Tyle ludzi posyłali. Z każdego komanda zawsze dwóch, trzech umarło z wycieńczenia podczas dnia pracy. Padał taki na ziemię i nikt się nie martwił, czy trzeba pomóc, w ogóle. Tylko się nogą przesuwano, żeby nie przeszkadzał. I trzeba go było brać pod wieczór, po dwóch więźniów za ręce, dwóch za nogi, a on był sztywny, ledwo się podnosiło.

*Nieśliście takiego trupa z powrotem na teren obozu i co dalej?*

Musiało się komando zgadzać, ilość, tyle i tyle żywych, tyle i tyle umarłych. Więc brali my go, liczyli nas i wtedy zostawiali my takiego przy bramie. A potem go zabrali na trupiarkę i wywozili do spalenia i dalej. Losy były okrutne.

*Co dla pana było najgorsze na co dzień w obozach?*

Co było najgorsze? Głód i ciężka praca. Jak długo byłem w obozach, nigdy nie byłem najedzony, ciągle byłem głodny. I marzyłem sobie tylko, żeby wolność osiągnąć, i nic bym więcej nie chciał, mówię ci, tylko żebym miał suche ziemniaki. Nic więcej nie chciałem. Pokażę ci różne takie materiały. Więźniarki i więźniowie pisali wierszyki, modlitwy, listy, pamiątki. Miałem taką jedną. Tylko czy ja to znajdę? To nie takie proste, powinienem tu zrobić porządek... Nie wiem, czy ci to dać przeczytać.

*Dlaczego by nie?*

Bo to smutne, przykro ci będzie czytać.

*A może opowiedziałby pan teraz, w jakich obozach pan był? I w jakiej kolejności?*

Zanim o tym pogadamy, lepiej zobacz, co tu mam, przeczytaj.

*„Niniejszym zaświadcza się, że u Stefana Lipniaka nie stwierdza się przeciwwskazań zdrowotnych do zagrania hejnału mariackiego po wejściu na wieżę mariacką. Wystawiono w 2012...”. Co to jest?*

Zdecydowałem się w tym czasie wejść jeszcze na wieżę. I widzisz, po tym wszystkim jeszcze mam siłę. Może właśnie dlatego mam siłę. Jestem z 1924 roku. Obcy lekarze mnie dziś pytają: „Panie Stefanie, skąd ma pan takie zdrowie?” No to im mówię: „Dużo fizycznej pracy, wysiłek, mało snu i podstawowe jedzenie” (śmiech). Tak, jestem dzielny chłopak.

*Jest pan, prawda. A może chce pan teraz opowiedzieć, jak się wydostał z obozu? Agnieszko, a może byśmy się herbaty napili? Albo kawy?*

W przerwie Stefan Lipniak prezentuje widok ze swego balkonu, pokazuje też specjalny fotel na podwyższeniu, który zaprojektował i wykonał. Opowiada, że korzysta z niego zwłaszcza wtedy, gdy się opala. Poza tym woli wychodzić z domu. Krąży po mieście kilka kilometrów dziennie. Faktycznie, często wpadamy na siebie w niespodziewanych miejscach. Zwykle ma mój widok błyskawicznie wyrzuca niedopałek papierosa i wmawia mi, że się przewidziałam. I że poza tym nigdy się nie zaciąga. Teraz jednak Stefan Lipniak mówi, że jest w domu.

Jestem w domu. Mieszkam na terenie III Rzeszy, w Trzebini, z mamą, w niedużym drewnianym domku. To był rok 1941, 26 czerwca. Tej nocy zapukało do domu gestapo. Uzbrojeni, hełmy, baterie, oświetlili dom, strasznie pukali. Mama się bała otworzyć. Gruchali butami we drzwi, myślałem, że je wyważą. Mama odziała się jakimś fartuchem, w końcu otworzyła, weszło ich sześciu do domu. Spyтали: „Wo ist Stefan?”. Zaszli do mnie do łóżka i „Komm, raus, raus”. I wyprowadzili mnie na drogę przed domem. Tam było dużo takich chłopców jak ja, w samochodzie, ciężarówce, pod plandeką, nie znałem ich. Niemcy mieli wynotowane na listach nazwiska chłopaków w odpowiednim wieku, z różnych powiatów, wiedzieli, kogo zabierać. Wcisnęli mnie do tego samochodu, po drodze zabieraliśmy jeszcze innych. Zawieźli nas do Sosnowca, tam był punkt zborny, a w Opolu było gestapo. Komendant tego gestapo, chyba w randze generała, jakoś na Sz się nazywał... Albert Schweld, tę akcję opracował i wykonywał. W efekcie jednej nocy zebrano ośmiuset chłopaków osiemnasto-, dziewiętnastoletnich. W Sosnowcu wyładowali nas na prycze i tam zatrzymali. Przyjechał potem kolejny transport chłopców. Znowu zabrali nas na samochody i zawieźli do Klein Mangersdorf. To był obóz niedaleko Opola. Nas zakwaterowali na jednej połowie, na drugiej mieszkali Żydy. Przedzielono teren ogrodzeniem po przekątnej obozu. Były tam komanda, baraki, trzeba było chodzić do pracy. Zbiórki o świcie, jeszcze ciemno było, wychodziliśmy do pracy. Pracowaliśmy przy autostradzie wówczas, po sześćdziesiąt osób podzieleni. Głodno, chłodno.

Jak żeśmy wracali z pracy, wieczorem późno, to od razu szliśmy pod kuchnię. I przez okieneczko nam wydawali jedzenie. Była taka miska dość głęboka i talerze emaliowane – szare, podziurawione, krzywe. To był wielki skarb, którego

strześliśmy. Każdy pilnował miski i łyżki, bo bez tego by nie jadł. Jak była woda, to je myśliśmy. Ale nie zawsze. Jak ktoś znalazł kawałek drutu, to miskę się dziurawiło, przewlekało drut i nosiliśmy ją z tyłu, żeby nie zginęła. Inaczej trzeba by ją chyba nosić w rękach, bo to był najważniejszy przedmiot. Tam nam wlewali holtzupę, „ze szweli zupa”, jak ją nazywaliśmy, przeważnie zrobioną z łydy czerwonego buraka. Ziemniaka było trudno spotkać. Drugie danie to było – jeśli się nie mylę – dwukilowy jasny chleb dzielony na cztery osoby. Ewentualnie do tego jeden, dwa ziemniaki w łupinach. Czasami kosteczka margaryny albo jakiś śmierdzący ser... śmierdział jak cholera, ale zjadaliśmy. Jak wyszliśmy spod kuchni, to nim doszedłem pięćdziesiąt metrów do baraku, to już zjadałem to żarcie. I nic już nie miałem. Dopiero na drugi dzień wieczór kolejna taka porcja. Na śniadanie nic nie dawali, tylko po kawę można było iść do kuchni. Miałem taką metodę, że jak świta obozowa, kapy czy inne kierownicy wyrzucali łupiny ziemniaków, to chodziłem pod śmietniki. Miałem tam dobre pożywienie. Grzebałem w śmietniku i te łupiny zjadałem, bo to gotowane, więc mi nie szkodziły. Tak żem się dożywał. Tak było cały rok.

Było tyle pluskiew. Podwójne prycze, sienniki ze słomy. Jak się zagnieździły pluskwy, to się spać nie dało. Nie było ich, jak przyjechaliśmy, bo to był sam początek obozu. Ale później... zagnieździły się po jakichś trzech miesiącach. Jakem tak podniósł siennik do góry, to sama czerń była, taki rój wokół. Uciekaliśmy w nocy z tych pryczy i kładliśmy się na podłodze, przykrywaliśmy się kocami, żeby nas nie dosięgły, ale gdzie tam, wejda wszędzie. Siekały, żarły nas, czerwone my rano byli, jakby nas jaki rzeźnik omiśkował. Takie my byli czerwone. Twarze i dalej, bo my to rozgniatali. A potem wszy, pchły. Robili dezynfekcje, oblepiali całe okna i drzwi papierem, żeby jak najszczelniej było, i na środku stawiali wiadra z jakąś substancją, którą podpalali. Paliło się zamknięte cały dzień, żeby zniszczyć pluskwy. Dwa, trzy dni był spokój, a potem od nowa.

Sztuba to było około trzydzieści osób. Każdy miał osobną pryczę, miał szary koc. O, podobny, jak tu u mnie leży, pod takimi spaliśmy. I te koce potem były potrzebne, jak nas ewakuowali, żeby się okryć przed mrozem.

*Przepraszam, ewakuowali? Gdzie my teraz jesteście? Klein Mangersdorf czy już Monowice?*

No tak, teraz jesteście jeszcze w Klein Mangersdorf. I tam spędziłem dokładnie rok. Stamtąd przywieźli nas do Rattwitz. Niedaleko, wokół Wrocławia i Opola to wszystko się działo. Chyba na nogach my tam szli, bo to blisko naprawdę. Likwidowali ten pierwszy obóz, ale w sumie nie wiem. W Rattwitz był podobny obóz, codzienna praca, ciężka, głodowa. Tam z kolei rządziła SA, w mundurach żółtych, nie wiem, czy to sobie przypominasz? Mieli czerwone kreutzhaki na tych ubraniach, to była inna formacja, która nas nadzorowała. Ale cała hierarchia była taka sama, podobna organizacja obozu, perfekcyjna. Tylko dla Polaków. Budowaliśmy

baraki. Z Rattwitz esesmani przewieźli nas pod ścisłą kontrolą do Monowic, do Lagru 50, wszystkich tych ośmiuset chłopców.

*Skoro przebywaliście tak długo razem, nawiązały się znajomości, przyjaźnie?*

Było niesamowicie, więc nic z tego, człowiek był ledwo żywy. Co się tam komu chciało? Głód, niewola, nie było mowy, żeby się jakoś zorganizować. Ale rozmawialiśmy. A poza tym tylko spanie i robota, cały dzień robisz, i to samo, i to samo, cykl. Chodziliśmy do pracy w grupach, nasz zakład należał do obozu w Auschwitz III-Monowitz. Tam pracowałem prawie do samego końca. Ale w 1944 roku mnie akurat przewieźli do głównego obozu Auschwitz. A potem do Monowitz.

*Dlaczego akurat pana?*

Bom się sprzeniewierzył.

*Co pan ma na myśli?*

Za ucieczkę. Za próbę ucieczki.

*O tym nie wiedziałam. Jak pan to zrobił?*

Niemcy zabiegali, żeby naszym ośmiuset chłopcom dać wolność, bo potrzebowali ludzi na stanowiska do tych wszystkich fabryk, które uruchamiali. Więc na prośbę Niemców nas zwolnili, bo brakowało im rąk do pracy. Było im uciążliwie ciągle nas prowadzić pod bronią. W marcu 1944 roku wszyscy dostaliśmy skierowania do poszczególnych fabryk, gdzie kto będzie chodził. Ale wciąż mamy mieszkać w lagrze, była tylko straż na bramie, nic więcej. Mnie przydzielili do cementowni. Nie zgłosiłem się, uciekłem. Mieliśmy iść do pracy, a ja w tym momencie oddzieliłem się. Dosłownie poszedłem na stację. Jakoś tak mi się udało. Byłem strasznie podniecony... Ale wierzysz ty, Agnieszko, że mi się udało? To była stacja Dwory. Wsiadłem do pociągu i przyjechałem do domu, wierzysz? Przyjechałem bez biletu, nawet były problemy w pociągu. Miałem chyba pod spodem pasiaka, a na górze cywilny.

*Ale jakim sposobem szedł pan w cywilnym ubraniu do pracy, a pod spodem trzymał pasiaka?*

Ach, bo mnie się teraz pomieszały obozy. Ja przecież w tym Lager 50 nie miałem jeszcze pasiaka, my tam po cywilu chodzili, że tak powiem. Mieliśmy swoje ubrania, jeszcze z domu, a jak my zdarli, to było coś zastępczego dawane, jakieś łachy i na nich łąty. A buty też mieliśmy swoje.

Stefan Lipniak nagle zmienia temat. Podprowadza mnie pod szafę i pokazuje kolekcję sukienek oraz kostiumów, które zostały po zmarłej żonie. Proponuje także futerko. Pyta, czy chciałabym je nosić – mógłby przesyć, umie korzystać z maszyny, która zresztą stoi w honorowym miejscu, na stole w jadalni. Prezentuje też własne stroje, rozmawiamy o bieżącej modzie. Stefan Lipniak lubi popołudniami „doprowadzać do

nowoczesności” swoje ubrania, przerabiać, skracać, robić wstawki. Dziś ma na sobie morelową koszulę, beżowe spodnie i zdobiony pasek. Nagle płynnie wraca do przerwanej opowieści, mówi, że poszedł do domu.

Poszedłem do domu, 1944 rok, wiosna. I zamieszkałem z mamą. Mama, staruszka, cóż mogła zrobić. Wiedziałem, że mnie poszukują, nigdzie się nie meldowałem. Przenosiłem się, tu spałem, tam spałem, u jednej siostry, u drugiej, miałem dosyć dużą rodzinę. No i byłoby mi się udało. Ukrywałem się jakieś sześć miesięcy. I chyba ktoś powiedział, gdzie akurat jestem. Policja niemiecka mnie nakryła, w biały dzień, w domu. Od razu mnie wzięli zakutego pociągiem osobowym z Trzebini do Monowic. Wiózł mnie policjant pod bronią. Byłem bezradny.

Wysiedliśmy na stacji i na nogach szliśmy do obozu centralnego, pod bramę „Arbeit macht frei”. Chciałem iść chodnikiem, jak ten policjant, co mnie prowadził, ale mi nie dał (z żalem): musiałem iść drogą, wygonił mnie z chodnika. I przyprowadził pod bramę. Jak to zobaczyłem, to już wszystko wiem, gdzie jestem, co jest, bo te tereny znałem.

*A jaką miał pan wówczas świadomość tego, co dzieje się w Auschwitz?*

Sporą, bo wtedy już był duży ruch i przepływ wiadomości. Myśmy wcześniej wiedzieli, co się dzieje w Oświęcimiu, to było słynne.

*Skąd to wiedzieliście?*

A skąd teraz dowiedzieliśmy się, że tam w Kiejkutach jest takie ciężkie więzienie? Ludzie przenoszą wszystko, nie da się tak znowu ukryć, że coś się dzieje, że kogoś mordują. To przecieka. Świadomość zawsze była, że coś się w kraju złego dzieło.

Ale teraz jesteśmy pod bramą. Esesman wyszedł, pokazuje na mnie i mówi: „Aaa, wieviele habt die Partizant?”. Ile tam macie tych partyzantów? Ja sobie pomyślałem, że jeśli mnie zakwalifikowano jako Partizant, to serwus, z drogi, to ja tu nie pożyję długo. Wskoczył jakiś stary więzień i mnie zgarnął do obozu. Zaprowadził do łaźni i poszedł. Nikogo nie ma, prysznic, woda. Siadłem i siedzę. Przychodzi inny więzień, rozbieraj się, mi mówi. Wszystkie ciuchy ściągnąć. Ściągnąłem wszystkie cywilne ciuchy, wziął i poszedł, ja siedzę dalej na ławce. Przyszedł następny, z maszynką do strzyżenia, taką ręczną, i zaczyna strzyc, wszędzie. Pozamiatał, wziął te włosy i poszedł. I ja tak bez przerwy siedziałem i czekałem. Trwało to dosyć długo. Później chyba czwarty z kolei z jakimś wiadrem, w którym było coś czarnego, śmierdziało jak cholera jasna. Położył mnie na podłodze, naciągnął na rękę czarną, grubą rękawicę, zamoczył w tym oleju i mi głowę wysmarował, potem całego. I poszedł, a ja dalej siedzę. Przyszedł następny, w koszyku miał więzienne, nieszczęśliwe pasiaki. Stał w drzwiach, rzucił mi je. Koszula, spodnie, czapka, nic nie mówił, tylko mi to rzucał po kolei pod nogi. Ubrałem się i już byłem gotowy więzień, jak skurczybyk. Stoję jak taki nieboszczyk, zimny, zmarznięty. Tam się nie

mógł poznać. Kolejny zaprowadził mnie do jakiegoś baraku, ale bym nie trafił dziś, który to. Czy mnie ktoś spisywał wtedy, nie pamiętam, cholera. Nie rozumiałem, na jak długo mnie wzięli. Powinni byli odczytać mi ten wyrok: przychodzisz tu na czas taki i taki, za to i za to. A ja tego nie słyszałem.

*To było późne lato 1944, prawda? Co pan czuł i widział po drodze, gdy pana prowadzili do baraku?*

Pusto było. Wszyscy poszli do pracy. Mdły zapach, nieciekawym, trudno określić. Ale śmierdziało tam bez przerwy. Wie pani, że mydło robili z tych ciał spalonych? Myśmy się myli tym mydłem.

*Jak wyglądało? Jaką miało konsystencję?*

Bardzo lekkie było. I to akurat pieniło się dobrze. Miało taki kolor jakby... seledyn. Tyle lat minęło... Szmaty były jakieś do wycierania. Nie było dużej higieny. Ale co to było za mycie, nie było nigdy oficjalnego mycia. Przypadkowo każdy chodził do łaźni, zawsze zimna woda, co tam można było umyć. Nie było szczoteczek do zębów. Kompletnie nie było higieny. Co te dziewczyny wycierpiały, w takich brudach robić i spać. Józef Paczyński, który tam był od początku, od pierwszego transportu, opowiadał mi, że czasami, jak było zamówienie z Berlina na określone narządy, to w szpitalu obozowym je wycinali, od kobiety lub mężczyzny, co tylko potrzebowali, i wieźli prosto do Berlina, do analizy.

Zaprowadzili mnie do baraku, dali mi miotłę i łopatę. Kazali, żebym zbierał śmieci. Nigdzie mnie nie wysyłali do pracy. Było pusto, cicho, sami funkcyjni, esesmani, gdzieś w pobliżu przechodzili, ale nikt się nie interesował. Tam w Oświęcimiu byłem kilka dni. Nikt wtedy ze mną nie rozmawiał. Te chłopcy, co przychodzili najpierw do łaźni, to ani słowem się nie odezwali poza tym, co musieli, a tam, gdzie mnie zaprowadzili, to z kolei nikogo nie było. Dwie czy trzy noce tam spałem, w takiej kanciapie. Wtedy podjechała więźniarka: „Komm!”. Wyskoczyłem, zamknęli mnie, samego mnie wieźli. Przywieźli do Monowic i tam już byłem więźniem z numerem.

Blokowy przyjął mnie do komanda numer sześć, dosyć dużego. Jakiś więzień mnie poczęstował po plecach na przywitanie. Kapo był Żydem. Poznałem go na drugi dzień po przyjeździe. Prowadził nas codziennie rano. Robiłem przy rozładunku wagonów, na budowę przychodziły różne materiały, kamień, cegła, rury, węgiel, trzeba je było nosić jakieś pięćdziesiąt metrów na plecach. Robiłem to do 18 stycznia 1945 roku. Ciągłe jedno i to samo. Ciągłe też było jedno i to samo kapo. Głód, niewolnicza praca, od świtu do nocy, dziesięć, dwanaście godzin dziennie. Jedzenia jakoś nie pamiętam, co dawali i kiedy. Ale tam też chodziłem za tymi łupinami, nie było inaczej: głód, głód, głód i jeszcze raz głód. Mieliśmy holdschule, stare buty się już podarły. Jak któryś coś przeszkrobał, to dostawał straszne lejty. Przewracali i na tyłeczek dwadzieścia pięć razy. Kolega musiał bić kolegę. A jak posterunkowi widzieli, że biją słabo, to Niemiec pejczem poprawiał. Potem nie dało się siedzieć,

tylko leżeć na brzuchu. I tak codziennie.

*Była jakaś solidarność między więźniami?*

Taka była, że jak wracaliśmy z roboty, a mijały nas gospodarskie wozy, to my kradli, co spadało z nich, wkładali do kieszeni. Mieliśmy pudełko z marmelady i ziemniaki dawali do tego wiaderka. Gdy była końcówka pary, co ogrzewała barak, tośmy to deklek zamocowali, by zatkać, i z boku dziury zrobiliśmy, nadzialiśmy i gotowały się ziemniaki. W taki my sposób solidarnie zbierali ziemniaki i wspólnie je robili, i jedli.

*Zastanawiam się, jak się orientowaliście w czasie. Czy znaliście daty i godziny?*

No właśnie, to było trudno trochę powiedzieć, co to za dzień był.

*Nikt wam tego nie mówił? Na apelach?*

Nie, trudno nam było czasami orientować się, co za dzień, co za rok. Człowiek żył jak dzik, taka prawda, nic nie wiedział, normalnych ludzi nie widział, cywilów mało, raz się zobaczyło, tylko przeważnie sami więźniowie – na robocie więzień, w obozie więzień. Z godziną też był problem, ale wnioskowaliśmy po pobudkach, te były o piątej, dyżurni nas budzili.

*W jaki sposób?*

Otwierał drzwi i przez gwizdek jak pierun gwizdał i krzyczał.

*Ile mieliście czasu na przygotowanie do wyjścia?*

Pół godziny, to wszystko.

*I co przez ten czas?*

Ubieranie, toaleta.

*Spaliście w tym, w czym pracowaliście?*

No nie, rozbieraliśmy się, nago.

*Zimą też?*

No też, to znaczy jakąś tam bieliznę mieliśmy.

*A dawali wam w obozach majtki, koszulki?*

Dawali takie, jak my to mówili, „gacie”, no i koszulę, były takie rzeczy do spania. I my to zmieniali.

*Pod pasiaki też coś dawali?*

A pierun ich wie, jak sobie zorganizowałeś coś, to chyba było. Czy kiedyś kalessony tam miałem, nie pamiętam. Ale te wszystkie rzeczy były brudne, stare, potargane.

*Co ze skarpetami?*

E, jakie tam skarpety, nie było. Zupełnie boso chodzili w tych szułach, ale o tyle dobre były, że drewniane, to nie było tak zimno.

*A zimą? Owijaliście czymś stopy?*

No, jak ktoś znalazł jaką potarganą szmatę czy coś na śmietniku, to się brało i owijało nogi.

Jak żeśmy doczekali 18 stycznia, to nas od razu po pobudce prowadzili, szliśmy na nogach, dużo nas było. Wszystkie obozy z tego rejonu wyprowadzili. Chyba w obozie

w Monowicach było nas wtedy dwadzieścia tysięcy. Szliśmy drogą w kolumnach, pod eskortą. I takie koce, jak my mieli szare, to wszyscy się opatulili i tak szli. Duży mróz był, zimno jak cholera. I szliśmy przez Mikołów, tam była cegielnia i odpoczynek. Potem szliśmy do Gliwic.

*Dali wam jakieś jedzenie na drogę?*

A skąd, żadnego jedzenia. Dopiero na drugi dzień.

*A jaka była ta eskorta, dało się uciec?*

No, nie za bardzo właśnie. Wielu takich było, co chcieli się oddalić, jak mijaliśmy domy pobliskie, ale esesmani wszystkich widzieli, zaraz takiego za kołnierz, kopniaka dostał i do szeregu.

*Powiedzieli wam, dokąd i po co idziecie?*

Nic. Tylko więźniowie się przerzucali nazwami, gdzie mogą nas prowadzić: Sachsenhausen, Buchenwald, ale każdy mówił co innego. Potem to nazwaliśmy marszem śmierci, bo tam dużo nas umarło. Padli tacy, nam prosto pod nogi. Potem to zbierali i zrobili dużą mogiłę. Ale to już kto inny. Jeden taki, mój znajomy, szliśmy razem, i on żalił się: „O, Stefan, jaki ja jestem chory, jaką ja mam gorączkę”. Mówię mu: „No, widzę, żeś chory, czerwony, rozpalony”. On wyszedł z szeregu, chciał się ukryć w jakimś domu pobliskim. To się nie mogło udać, esesmani by go od razu wypatrzyli, wolno się ruszał. Ale on odstąpił od szeregu i nie wrócił, z tego wygląda, że gdzieś został, pewnie padł. Nie zobaczyłem go nigdy już, nigdy. Takich było mnóstwo. Gdziekolwiek szłaś, padali, tu leży, tam leży. Ze zmęczenia, z głodu.

*Pan szedł obok znajomych z baraku?*

Nie, to zupełnie się przemieszało. Ale też nie do końca, bo jeden kolega, Leopold Jarosz, był obok. Mieliśmy takie szczęście, że dzieliliśmy obozy od samego początku do samego końca. Od 1941 roku. Jak uciekłem z Lagru 50, a potem po pół roku trafiłem do Monowic, to on też już tam był, nie wiem tylko za co. Nieprawdopodobne. I znowu jesteśmy razem, aż do samego końca. Przyjaźniliśmy się potem, on mieszkał na Śląsku, byliśmy najlepsi koledzy.

Prowadzili nas do Gliwic na noc, kto szedł na przedzie, ten się mógł załapać do baraku, bo tam był jakiś pusty już obóz, pewnie wyprowadzony wcześniej. Kto był na przedzie, wszedł.

*A pan?*

No właśnie, nie zmieściliśmy się, mieliśmy taką gromadkę, więc rozłożyliśmy na polu koce, na śniegu. A co zostało, to się przykryliśmy. I taką noc my mieli, na śniegu.

*Wszyscy przeżyli noc na mrozie?*

A skąd, dużo umarło. Takie sztywne, zastygnięte, rękę do góry, nogę na boku rano mieli. Co człowiek mógł zrobić, wszystko groziło w każdej chwili śmiercią. Nie było tak, żebyś czuła, że masz zapewnioną wolność. Rano nie dostaliśmy jedzenia, kto by dał tyle jedzenia ludziom, jak to przyrządzić? Jak podstawili tuż pociągi, takie



otwarte, to wszystkich władowali. Niemcy niesamowicie poganiali. I kiedy już pozamykali drzwi, pociąg ruszył.

*Po ile osób w wagonie?*

E, szkoda gadać. To mnie właśnie pobudziło, żeby uciec. Ciasnota niesamowita, ze trzysta, czterysta osób w jednym wagonie, taki ścisk, że nie można było się ruszyć, ani w lewo, ani w prawo. Załadowany pociąg ruszył. Po jakimś czasie zatrzymaliśmy się. A my byliśmy tak wykończeni z moim kolegą, że ja mu zaproponowałem: „Poldek, uciekajmy stąd. Bo my tu nie wytrzymamy przecież. Ja już nie czuję sił, a stoję tylko dlatego, że mnie pozostali podpierają”. On się zaraz zgodził. No, to uciekamy.

*Jaka była pora dnia?*

Już było ciemno. Księżyc świecił. No i uciekliśmy.

*No dobrze, ale jak to zrobiliście? Proszę opowiedzieć w detalach.*

Dobrze, będzie w detalach. Uciekamy? Uciekamy. Wyskrobaliśmy się na wagon, na górę, inni więźniowie nas jeszcze podsadzili, pomogli nam wydrapać się na dach wagonu. Nikt nie mówił nic, nikt nie myślał ani chciał iść, ani uciekać, nikogo to nie obchodziło. Z góry opuściliśmy się między wagony, po cichutku, by nas nikt nie wyczuł. Baliśmy się, by ktoś nie zakaszał z nas. Zastrzeliliby nas. Ukryliśmy się pod wagon i schowaliśmy na czworakach pod kołami. Poldek po jednej stronie, ja po drugiej i – o tak (Stefan Lipniak siada w kucki i dalej opowiada) – siedzieliśmy skuleni bez szumu. I nagle słyszymy, jak ktoś idzie, no, rany boskie, słyszymy ludzi. Przychodzą i akurat stanęli za tym kołem, przy którym siedzimy. Widzieliśmy ich oficerki. Esesmani przechodzili wzdłuż pociągu, bo pilnowali. Pogadali trochę, rozeszli się w dwie strony. A my wciąż za tym kołem. Gdy się rozeszli, wychyliliśmy się, nie było nikogo, więc na czworakach przeszliśmy pod wagon następny, bo to była stacja towarowa. I tak nurkowaliśmy, potem pod następny i następny. Dość długo to trwało, zanim my tę stację opuściliśmy.

*Jak się wówczas czuliście? Jedną nogą wolni?*

Okropnie! Dosłownie w każdej chwili może być koniec. Żadnej radości, kompletnie. Jesteśmy tak zagębnione, jak nigdy w życiu. To nie wolność, ale bezradność i rozpacz. Nie wiemy, gdzie jesteśmy, nie wiemy, jaka godzina, nie wiemy, jaki to jest dzień.

Wyszliśmy na teren otwarty, nie było nikogo, cicho. I teraz się martwimy, gdzie my pójdziemy? Jak i gdzie? Gdzie jest południe, gdzie zachód, gdzie wschód? No, nie wiemy, a nas interesował tylko wschód. Stanęliśmy sobie tak i rozmyślamy. Ale musieliśmy gdzieś iść, bo tamci blisko. Księżyc świeci, zima, jest śnieg, mróz, stoimy.

*Stoicie więc panowie obok stacji, we dwóch, w pasiakach, na śniegu, na otwartym terenie, a księżyc wam przyświeca, i rozmawiacie...?*

No, głupio trochę. Jak jakie sarny. Stoimy i patrzymy. A księżyc świeci. I mówię koledze: „Poldek, a pamiętasz, jak my byli chłopce małe i jeździli na saneczkach obok domu? Wtedy tak było jak dziś. Ciemno, ale księżyc świecił na południu. Czyli może na lewą rękę będzie wschód. Kierujmy się tam, skoro tam od księżycy jest południe”. Dobra, idziemy twardo na wschód. Obok jakaś budowa była, weszliśmy tam. Stała stara drewniana szopa zbita z desek, weszliśmy. Była ławka, usiedliśmy i jeszcze myślimy. A tu nagle słyszymy, idzie ktoś! Niech to szlag. I ktoś idzie prosto do naszej budy. Na śniegu chrup, chrup, chrup. I przychodzą te ludzie pod budę, zatrzymali się obok. Słyszymy, że po polsku ktoś mówi. E, to może nie jest tak źle. My wyszli do nich. Trzech ich było. Pytamy: „Co wyście za jedni?”. My byliśmy w pasiakach, to oni od razu wiedzieli. A oni mówią: „My jesteśmy Żydami, też żeśmy uciekli z tego transportu”. No, to fajnie! Wszyscy się chyba ucieszyli. Ich trzech, nas dwóch, mamy siłę, będzie nam łatwiej w pięciu ukręcić komuś głowę w razie czego. I idziemy.

*Oni nie mieli pasiaków?*

Oni byli po cywilu. Jak spali w tym obozie w Gliwicach, to natknęli się na magazyn ubrań i tam się przygotowali do ucieczki. Wszyscy chcieli iść do Krakowa. Żydy do Krakowa, my też, idziemy. Ale problem z tymi naszymi pasiakami. Zdecydowaliśmy się w końcu pójść pod jakiś dom, my z Poldkiem we dwóch zapukaliśmy, świeciło się w środku. Człowiek po polsku mówił, otworzył nam drzwi, poprosiliśmy o ubranie, wpuścił nas, miał stare robocze ciuchy na wieszakach, brudne jak cholera, może to jakiś bauer był? No, ale znaleźliśmy spodnie, mnie dał płaszcz damski, bez kołnierza, barankowy. Czapkę przewróciłem do góry nogami. Nic specjalnego, ale jesteśmy zamaskowani trochę. I idziemy.



*A jedzenie? Dał coś?*

Nie ma właśnie jedzenia. Jak nas esesmani w Gliwicach wpuszczali do wagonów, to dawali po kromce do kieszeni. A potem nic. I idziemy, idziemy, idziemy. Ciemno, noc, widzieliśmy, jak jeździły czołgi niemieckie, front się zbliżał. Chowaliśmy się w krzaki. Ale wojenni żołnierze nie interesowali się takimi jak my. I w końcu doszliśmy aż pod Oświęcim i trafiliśmy na tę drogę, którą nas prowadzili do Niemiec.

*Jak długo szliście? I kiedy, tylko w nocy?*

Szliśmy tę noc, w którą uciekliśmy, a potem schowaliśmy się w stogu z sianem, żeby nie iść w dzień. Ale to zamarznęte było, ledwo się dobraliśmy do środka, tam przesiadzieliśmy w słomie cały dzień. W nocy znowu wyszliśmy. To była druga noc. I robiło się widno, gdy dochodziliśmy do Oświęcimia, orientowaliśmy się. Nic nie jedliśmy, tylko śnieg do napicia się. My się wszystkiego bali, byle nikogo nie spotkać. Nawet jak mysza biegła, to my uciekali. Było widno, Tychy, gdzieś tam, Chrzanów, te okolice. Tam my się rozeszli. Żydy poszły gdzieś na południe od nas, odłączyli się. Nie wiem czemu, może nam nie wierzyli? Ale to może nie było praktyczne dalej iść razem, gdzie my byśmy w pięciu chłopów poszli? Kto nas tyłu schroni?

*A po drodze rozmawialiście z tymi Żydami?*

No właśnie nic my nie mówili, tylko trochę przy okazji. Jedno sobie powiedzieliśmy, że i oni, i ja z Krakowa. My za słabi byliśmy, żeby można było rozmawiać czy coś myśleć. No i w okolicach Chrzanowa te Żydy poszły, nigdy z nimi się nie spotkałem. Na pewno nie, poznałbym. Ciekawe, co z nimi było.

A Poldek też poszedł, bo miał jakąś rodzinę w Chrzanowie. A ja zostałem sam na drodze.

*Jak pan się czuł wtedy?*

Okropnie. Samotny jestem, mówię sobie. To mnie tylko trzymało, że tereny znam trochę.

*Nie chciał pan iść z Poldkiem?*

Kiedy nic mi nie mówił. Ale myślę sobie, trudno, wolę, jak jestem sam. On się odłączył, a ja zostałem na drodze. Szedłem. I w końcu krzyżówka jest, widzę, że przecież ktoś przede mną idzie. Mnie się wydaje, że to żołnierz jakiś. Ale co robić, nikogo więcej, cisza jakby makiem zasiał, nie ucieknę przecież. Idziemy na siebie z dwóch przeciwnych stron, zbliżamy się, coraz bliżej i bliżej. Tylko my na drodze. I spotkali my się oczy w oczy. To był uzbrojony żołnierz niemiecki, w hełmie, na szyi mu wisiała broń. A ja w barankowym kozuszk, z pasiakami pod spodem. Myślę: poprawia broń, to mnie chyba zastrzeli. Kto by mu odpowiedział? No i on mnie zaczepia: „Wo ist Bobrek?”. Gdzie jest Bobrek? A ja wyszedł z tej wsi, z tego Bobrku, i idę w kierunku Chrzanowa. No, to mu tłumaczę po niemiecku, jak mogę. Ale zrozumiał. No to on: „Schön, danke, danke”. Podziękował i się rozeszliśmy, on na zachód, a ja na wschód.

I co dalej? Idę. Aż nagle widzę, że wszedłem w front, okopane Niemcy są niesamowicie, wszyscy wokół uzbrojeni, zamaskowani na biało, śnieg, siedzą cichutko. A ja tamtędy idę. I widzę tych wszystkich Niemców, i tylko patrzeć, jak oni zaczną strzelać. Idę między nimi, szedłem trochę dalej, czułem się tak, jakby nic już mi się nie mogło stać. Minąłem tę linię frontu, poszedłem, zaczynały się strzały. Wszedłem więc do jakiegoś domu, do obcych ludzi. Mieszkańcy siedzieli w piwnicy, poszedłem do środka, ale gospodyni za mną zaraz przyleciała: „O mój Boże, skądże się pan tu wziął? Chodź pan na górę”. Zaprowadziła mnie. Powiedziałem jej, skąd jestem, pokazałem ubranie. A jej syn też był w obozie, więc pytała, czy przypadkiem nie widziałem takiego. Ale gdzie by tam, jak igła w stogu siana. Kuchnia była zagrzana, niski piecyk, kaczka. Ciągle się bałem, ale spaliłem tam w kaczce moje ubranie, ten pasiak, między Chrzanowem a Bobrkiem. Gospodyni nakarmiła mnie, kazała się rozebrać, przyszykowała kąpiel, dała mi śniadanie, wytworne, z mlekiem, z kawą. No, to myślę, teraz sobie mogą strzelać, mnie już nic nie straszy. I poszedłem spać. Oni strzelali, wojna, front, a ja śpię jak zabity. Grube mury były. Byłem szczęśliwy. Rano przebudziłem się, patrzę przez okno: na polu jest wojsko radzieckie.  
*Przespał pan walkę.*

Przespałem wojnę. Rano Ruskie przyszli, mnóstwo go szło. I byłem już na wolności, więc zabieram się na wschód iść. Wyszedłem, kawałek dalej, pod lasem, była duża polana. Las zniszczony, drzewa wyrżnięte pociskami. A Niemców... jak żem popatrzył, pole zasłane trupami. Wszystkie chłopcy porozbierane, tylko w bieliźnie, a jak nie miał, to nago. Wszystko Ruskie im zabrali. I chodzili w tym, widać było nawet później. Wydawało się z daleka, że to Niemcy idą, a to Ruski paradowali. A na drogach trupów niesamowicie dużo, nim przeszedłem linię zabitych, to widziałem ich chyba tysiące, wierzysz? Same trupy. Ale trupów zostawiłem. Byłem wolny.

Podchodzę wreszcie pod dom i pukam. A koło domu też Ruskich leży pełno, same trupy, aż trudno dojść. Pukam do domu, ale nikt nie otwiera. Zimno, ale mama zaczyna się odzywać ze środka: „Ktoś ty tam jest? Co ty tu chcesz? Wynoś się stąd”, mówi mi. Odpowiadam, a ona: „Tyś nie jest mój syn, ja już syna dawno straciłam”. Mówię jej: „Ale nie, mamu, synem jestem, puść mnie. Żyję”. Ona: „Nie opowiadaj, ja już syna dawno nie mam”. Okno było zmarznięte, więc wychuchała taką dziurkę i dopiero mnie rozpoznała: „Tyś jest Stefek?”. Mówię: „Tak”. Ona: „Ja cię nie znam, tyś niepodobny do niego”. Taką wolność miałem. I takie życie.

*Co było dalej?*

Było dużo łez przywitalnych, ale to już były łzy niegorzkie, ale radosne. I popatrz, byłem szczęśliwy, że jestem w domu, u mamy. A mimo wszystko żem się źle czuł cały rok. Dopiero po roku przyszedłem do siebie. Dosłownie po roku.

*Co się z panem działo przez ten czas?*

Żyłem, chodziłem, coś w domu robiłem, ale do pracy się nie zgłaszałem, bo nie

byłbym w stanie. Dobrze, że się nie położyłem, bo jeszcze gorzej bym zrobił. A po roku przyszła kartka, do wojska: zgłosić się tu i tu, do Przemyśla. Najpierw było szkolenie w Krakowie trzymiesięczne, jako rekruci. W Przemyślu nas uformowali, sześćdziesięciu, grupa manewrowa. Uzbrowili, umundurowali, ubrali nas jak Niemcy, na biało. To było wojsko polskie ochrony pogranicza, na granicy polsko-rosyjskiej. I kiblowałem tam osiemnaście miesięcy w Bieszczadach, Nowy Zagórz, Stary Zagórz, Baligród, i chodziłem z pepeszą na ubranek. I patrzyłem, kiedy mi tam jakiś kozła wywinie.

*Walczyliście?*

Tak.

*Z kim?*

Z UPA.

*Osiemnaście miesięcy?*

Tak, prawie codziennie musieliśmy iść na akcję, bitkę prowadzić. Żeby złapać banderowców. Codziennie. W nocy też. A mróz jak pieron. Ukraińcy mieli swoją siatkę, szpicłów, podpalali domy, robili zasadzki, nawet tunele mieli. Cisna – najdalej wysunięty punkt. W Cisnej była masakra. Tam Świerczewski zginął. Byłem tam tydzień wcześniej z inspekcją, bo ciągle napady. (Po chwili z trudem:) A oni nas nazywali polskim gestapo.

*I strzelaliście, zabijaliście?*

Tak. A oni nas. Co można innego było? Jak ty nie zabijesz, to oni cię zabiją. Ciągłe wybuchy, strzały, ta-ta-ta. Nas była grupa sześćdziesięciu. Iluś tam zginęło. Od drugiej strony nawet nie wiem, strzelaliśmy w ciemność. Taka to była bratobójcza walka. Ale ci z UPA byli okrutnie agresywni, złodzieje, bandyty, męczyli tam ludność jeszcze gorzej niż Niemcy. Jakie domy Ukraińcy mieli, lepianki takie, bieda, chaty kurne, gwoździ nie znali, jak chcieli coś ogrodzić, to wikliny ucinali i wiązali z tyczkami. Takie były płoty. Ludzie się nie kręcili, bali się ciągle.

A my byliśmy ciągle głodni, niby żołnierze powinni mieć jedzenie, a gdzie tam. Przywozili nam kotły z Sanoka, ale nie starczało. I Ukraińcy też nic nie mieli. Bida piszcząca.

*I co po tych osiemnastu miesiącach?*

Jak kiblowałem, to przez cały ten czas nie wracałem, absolutnie nie można było, pewnie bali się, czy nie uciekniemy. I nigdy już nie wróciłem do domu. Po co miałem tam wracać? W Trzebini przed wojną straszna bieda była. Urodziłem się w 1924 roku. Dziesięcioro dzieci, ja najmłodszy. Ciągłe chodziliśmy głodni. Jak mama przynosiła od Żyda jeden chlebuś, to dawała każdemu z nas po kromce, a resztę chowała. Miała takie drewniane pudło, tam chowała i zamykała na klucz, który wkładała do kieszeni. Więc ciągle głód, czasami gorzej niż w obozie. Oprócz tego jedliśmy różne kasze, manną, jaglaną. Mieliśmy jedną krowę i kawałek ziemi na ziemniaki. A wie pani, że

w tych czasach, jak było tak gorąco latem, to po polu chodziły skorpiony? Podobne do raków, ale inny kolor, z zawiniętymi do góry ogonkami. Można było od nich zginąć. Nazywaliśmy je niedźwiadki.

Po wojnie nie chciało mi się tam wracać, byłem kawaler. Gdyby nie te Niemcy, to gdzie ja bym wyszedł z tej Trzebini, po co? Zostałem w Krakowie i zacząłem sobie budować życie, tu mi się spodobało.

*A miał pan kogoś znajomego w Krakowie?*

Nie, nikogo.

*To jak pan zaczął żyć?*

Byłem bez przygotowania do życia. Przed Nową Hutą się broniłem, za żadne skarby. Zacząłem pracować, w handlu. Wojewódzkie przedsiębiorstwo hurtu galanteryjnego, przy Grodzkiej 8, różne mydła, nie mydła, pachnidła. Trzy lata tam robiłem. Mieszkałem w takiej kajucie na Krowoderskiej 13, w jednym pokoiku. Tak żem się zaczepił i już się stąd nie ruszałem. Żonę poznałem dosłownie na ulicy. Na Plantach. Mijaliśmy się, tak mi się spodobała, że zagadałem, a potem jej nie chciałem dać spokoju. Wagowała się, aż się zgodziła. Strasznie mi jej teraz brakuje. Ale ją odwiedzam codziennie.

Potem pracowałem przy budowach, w Łęgu, ponad trzydzieści lat. Znowu pobudki o świcie, ciężka robota. Na początku wstawałem o czwartej, na szóstą jeździłem tramwajem do tego Łęgu, do czternastej. Potem galopkiem wpadałem do domu, coś brałem i pędziłem do szkoły, do Bronowic, technikum budowlane. Kilka godzin to trwało, potem do domu i od nowa. Taki żywot. Od 1958 roku sędziowałem przy meczach piłkarskich, to lubiłem. W trzeciej

lidze, małopolskiej, pierwszy mecz ze Spartą Miechów. Na boiskach spędziłem ponad tysiąc niedziel. To był mój bakcyl. Raz nawet z zawałem biegałem po boisku, jak się okazało. Poszedłem do szpitala i mnie łapiduchy zatrzymali na dwanaście dni, choć się broniłem. Przeżyłem, jakoś mi się udało.

*To miał pan sporo szczęścia w życiu?*

Okropnie dużo. A najwięcej w żonie, była przefajna. Chodzę na cmentarz, ale to już się nie wróci. Wykluczone, żebym miał tę radość wielką.

No, widzisz, Agnieszko, powiedziałem ci wszystko, co wiedziałem. To ci zostanie. Teraz już zależy od twojej wyobraźni.

*Często pan o myśli o przeszłości?*

Nawet często. Myślę: dlaczego ja? Przecież tyle różnych było niebezpieczeństw, mnóstwo. Zastanawiam się nieraz, jak przeżyłem. Nawet powiem ci, że czasem, jak tu siedzę sam, to mi się wydaje, jakbym dużo miał w sobie szczęścia i radości. Nie ma na co narzekać, choć jestem samotny. Ale chyba trzeba przyjąć samotność i lubić siebie, a drugiego, jak się uda. Nie rozpaczam za bardzo.

Obóz mi się śni codziennie, można powiedzieć. Zwłaszcza jak jest temat obozu. Jak

go nie ma, to spokojniej śpię. To są koszmary, słyhać bez przerwy: raus, schnell, raus. Tego się nie da pozbyć. Kolega mój śni mi się często, też jest na widoku, widzę jego numer, tego Poldka: 8513. Opatrzył się, lepiej pamiętam niż własny: 8524.

*A po wojnie? Opowiadał pan o swoich przeżyciach? Chciał się pan od tego uwolnić?*

O wolności myślałem. Z rodziną niezupełnie o tym rozmawiałem, z dziewczynami raczej nie, siostry miały co innego. Żona później też swoje wiedziała. Raczej się nie podnosiło tego tematu.

*Jeździł pan jeszcze później do Oświęcimia?*

No pewnie, często jeździłem. Ostatnio byłem na obchodach wyzwolenia obozu.

*I jak było?*

Fajnie! Porządek, czysto, elegancko, nie to, co kiedyś. Jedzenie przefajne było, przyjęcie super. Ale politycy nudni, uciekliśmy z tych przemówień. Nawet lubię tam jeździć, nie robi to na mnie wrażenia.

*Przyjaźniliście się z byłymi więźniami po wojnie?*

Na początku były spotkania z tymi, co z Chrzanowa. Ale z biegiem czasu to wygasło, każdy miał swoje sprawy, nic ciekawego. Teraz nie mam nikogo, chyba poumierali. W Krakowie mieliśmy Klub Auschwitz, ale to koniec, rozpada się, umarli. Klub Auschwitz prawie nie istnieje.

*A czy od razu działał pan w związku ocalonych?*

Nie, nie od razu. Musiałem się najpierw głęboko zastanowić, czy warto tam iść. Poszedłem dopiero, gdy dostałem pełną weryfikację. Nie miałem tatuowanego numeru, bo do Monowic trafiłem, jak już nie tatuowali. Miałem więc po wojnie nieprzyjemności bez tego tatuażu, różni mi dogryzali.

Powiem ci jedno: obozy zniszczyły mi życie, to pewne. Jest zwłaszcza jedna straszna strata, której nikt nie może zwrócić: czas. Com zostawił w obozach, to już przeszło. I tego nie da się wrócić ani cofnąć. I żadne rekompensaty nic nie dadzą. Nigdy też nie poszedłem na studia, ten czas młodości przesiedziałem w obozie, potem w Bieszczadach, a potem trzeba było pracować, by przeżyć. Ale dosyć tych smutków na dziś, czego się napijemy?



**Helena Dunicz-Niwińska**

*Chciałabym spytać o moment, w którym odzyskała pani wolność...*

No, nie rozumiem pani.

*Mówić głośniej?*

Bardzo proszę.

*W porządku. Chciałabym...*

Nie rozumiem pani, przepraszam.

*Pani Helenko, a może inaczej panie usiądziecie?* – wtrąca Karol Kowalski, wiceprezes Związku, który zgodził się nas zapoznać i uczestniczyć w rozmowie.

*Możemy spróbować* – odpowiadamy.

Proszę do mnie mówić na próbę – sugeruje Helena Dunicz-Niwińska, zmieniając ustawienia aparatu.

*No dobrze, możemy zacząć od momentu wyzwolenia?*

Znowu, chyba baterie za słabe albo to kwestia innego pokolenia.

*Co ma pani na myśli?* – pytamy równocześnie z Karolem Kowalskim.

Nowe pokolenie inaczej mówi, szybko, z inną intonacją...

*To prawda. Spróbujmy raz jeszcze, będę mówiła do pani wolniej, a w razie czego proszę mnie zatrzymać. Próbujemy?*

Tak, bardzo proszę.

Odtąd nieźle nam idzie, ale też Helena Dunicz-Niwińska wytrwale i w skupieniu wpatruje się w moją twarz, jakby czytając z ruchu warg. Gdy tylko pojmuje sens pytania, odwraca na chwilę wzrok. Potem wraca, spogląda mi prosto w oczy i jest w tym spojrzeniu przenikliwość, ale też wyraźna potrzeba poparcia tego, co mówi.

*W jaki sposób odzyskała pani wolność? I w jakim była pani wówczas stanie?*

2 maja, 1945. Czułam się bardzo nieszczęśliwa, bo już wiedziałam, że mój obóz zajmą Rosjanie, Armia Czerwona. A ja znałam ich ze Lwowa. Dla mnie to było klęską. Byłyśmy wszystkie zagłodzone, wiadomo, co się działo. Myśmy dosyć późno z tego baraku wyszły wraz z najbliższymi koleżankami, z którymi byłam zżyta. Więc zaczęłyśmy szukać jedzenia i miejsca, żeby przenoćować. Znalazłyśmy w barakach esesmańskich jakieś jeszcze wolne pokoje. Nie czułam tej wolności, bo uważałam, że to nadal będzie niewola.

*Straciła pani rodzinę. Miała pani pomysł, co robić i dokąd iść?*

No właśnie. Od razu myślałam: co ja mam ze sobą zrobić? Do mojego obozu przyjechali Amerykanie, takim dżipem. I oni nam powiedzieli: „Słuchajcie, przyjdą Rosjanie”. Jak to usłyszałam, to się załamalam. Polski właściwie nie ma. Lwów? Docierały do nas wiadomości, że Lwów jest zajęty przez Rosję, która na pewno go anektuje. A poza tym nie mam już nikogo z rodziny. Wiedziałam, że jeden z braci żyje i jest w Anglii, a drugi nie wiadomo – myślałam wtedy, że jest w Gross-Rosen.

Czy mam starać się pójść na Zachód? Czy jednak jakoś dotrzeć do tak zwanej Polski? Myślałam, że łatwo będzie znaleźć brata, bo działa Czerwony Krzyż, ale nie pamiętałam żadnych adresów. Nie znalazłam jednak nikogo w moim najbliższym otoczeniu, kto by się wybierał na Zachód. I taki był dylemat. Moja przyjaciółka, Jadwiga Zatorska mówi: „Jedziesz ze mną do Krakowa, ja cię zabieram do siebie”. Wiedziałam, że ona mieszka w Krakowie, że ma liczną rodzinę, ale wiedziałam też, że to jest na pewno rodzina uboga. No i jak ja mam im zrobić kłopot? Ale Jadwiga była tak serdeczna i stanowcza, powiedziała: „Wracamy”. Nas była taka grupa Polek z orkiestry. W styczniu 1945 roku dołączyły do nas trzy koleżanki, które były ze Śląska i Poznania. Stworzyłyśmy grupę siedmiu osób. Jeszcze jedną albo dwie noce spędziłyśmy w tych esesmańskich barakach. Wyszłyśmy też poza obóz, żeby znaleźć jedzenie.

*A ubranie? Wciąż miały panie pasiaki?*

Myśmy miały stosunkowo dobre ubrania. W tym pokoju esesmanek znalazłam granatową spódnicę i bluzkę popielatą – esesmańską, ale trudno, trzeba było wziąć. Szukałam butów, ale nie było odpowiednich dla mnie. (Z wyraźnym żalem:) Były tylko na obcasach, ale absolutnie, bo byłyśmy odzwyczajone zupełnie od porządnych butów. Miałam takie jedne sznurowane do kostki, ale każdy był z innej pary, bo mój but – to znaczy jeden z butów – spalił się w czasie jazdy pociągiem z Wodzisławia do Ravensbrück. Ta koleżanka, która mi odstąpiła jeden but, szła z nami w naszej grupie, pochodziła ze Śląska. Miała, zdaje się, grać na mandolinie. Ale nie zdążyła.

*Jak przedostały się panie z obozu do Krakowa?*

Początkowo szłyśmy pieszo. Ale też byłyśmy zbyt wyczerpane. A, jeszcze chciałam powiedzieć na początku, że wyszłyśmy poza obóz, żeby znaleźć jedzenie, bo niedaleko była kolonia niemiecka robotników zatrudnionych w fabryce skrzydeł samochodowych. Rodziny niemieckie tam mieszkały, domy już były puste. Szukałyśmy, ale bezskutecznie. Znalazłyśmy tylko słoik tłuszczu, w ogródku ziemniaki, coś takiego. Nasze poszukiwania nie dały niczego specjalnego.

Wracając, zobaczyłyśmy na brzegu gościńca zdechłego konia. No i zaczęłyśmy obrzynać jego mięso, po prostu. W pokojach esesmańskich zabarykadowałyśmy się, czym można było, głównie szafkami, żeby nikt z czerwonoarmistów się nie dostał. Jednak wiedziałyśmy, czego się można po nich spodziewać. Po jednej czy dwóch nocach wyszłyśmy. Byłyśmy bardzo osłabione, wiedziałyśmy, że trzeba najpierw nabrać sił. Znalazłyśmy po drodze bardzo przyjemny domek pod lasem, chyba należał do leśnika. Było tam kilka opuszczonych pokoi. Była jeszcze pościel, pierzyny, łóżka, kanapy – tam się ulokowałyśmy. Po drodze błąkała się jakaś kura, w szopce był żywy wieprzek. I tak musiałyśmy sobie radzić. Barykadowałyśmy się co noc, bałyśmy się. A musiałyśmy wychodzić do wioski. Po iluś dniach wstąpiło do nas kilku więźniów, byli w pasiakach. Pogadało się. Okazało się, że oni idą z Dory (wówczas nie

wiedziałam, co to jest Dora). Jeden z nich był rzeźnikiem, powiedziałyśmy mu więc, żeby się zajął tym wieprzkiem. Umowa była, że dostaną połowę mięsa, a drugą nam zostawia. Jedna z koleżanek dobrze gotowała. Ale też zaopiekował się nami pewien Rosjanin.

W pobliżu była jednostka Czerwonej Armii, bo na początku naszej przeprawy jeszcze trwała wojna. Przyszli do nas któregoś wieczoru, przynieśli wódkę i jakieś gotowane kości, częstowali nas. Ale my byłyśmy za słabe na takie znajomości, więc dali nam spokój. Jeden z tych Rosjan przyszedł do nas po chwili sam i mówi: „A ja wiem, czego wy się boicie. Ja tu będę do was przychodził na noce i was pilnował. Tylko musi któraś z was ze mną rozmawiać, żebym ja nie zasnął”. Iwan się nazywał. Więc miałyśmy dyżury rozmawiania. W stajence był też koń, klacz. Zajął się nią, przyniósł obrok. I kolegami też miał się zająć. Po tygodniu mówi nam: „Musicie jednak ruszyć, bo już mnie koledzy nie dają spokoju, mówiąc, że ja tu pewnie mam harem”. W stajence znalazłyśmy bryczkę, on nam dał tego konia. I na bryczkę dałyśmy pierzyny, koce, talerze, widelce, noże. Każda z nas miała jakąś małą walizkę. W tym domu nic z ubrań nie było, tylko suknia ślubna wisiała w szafie. No więc – skoro ja nie bardzo się zabierałam do gotowania – powiedziałam, że poszyję biustonosze. I rzeczywiście, pokroiłam suknię i zaopatrzyłyśmy się w ten sposób. Załadowane rzeczy jechały na bryczce, a my szłyśmy obok niej, jakieś dwa, trzy tygodnie co najmniej to trwało. Doszłyśmy do Krzyża, to była dawna miejscowość graniczna między Polską a Niemcami, i tam natrafiłyśmy na stację kolejową. Rosjanie oczywiście nas sprawdzali, ale nie miałyśmy żadnych dokumentów. Zatrzymali nas na tej stacji i nie chcieli puścić dalej, miałyśmy pracować. Kazali nam ładować na skład jakieś towary, rury, zwoje sznurów, druty, wory, nie wiem co. Okazało się, że oni to wszystko, co ściągną z okolicznych terenów, wywożą do Rosji. Spędziłyśmy tam dwa, trzy dni. Tamci polscy chłopcy z Dory też z nami byli, niby się nami opiekowali, ale tak naprawdę miałyśmy kłopoty nocami. Oni też pracowali na tym dworcu. Aż natrafili na magazyn papierosów i nimi przekupili kolejarzy. Puścili nas po kilku dniach, mówiąc: „Możecie już jechać, odpracowałyście”. Ta wędrówka zajęła nam prawie cały maj, dotarłyśmy chyba dopiero 29 maja.

*Dotarła pani do Krakowa. Przed wojną mieszkała pani we Lwowie, teraz trzeba było zacząć od nowa. Jak to się działo?*

Łatwo nie było. W Krakowie rodzina mojej przyjaciółki dała mi dach nad głową. W jednym pokoju z kuchnią było pięć osób i jeszcze ja doszłam. Wiedziałam, że oni sobie wszystkiego odmawiają, bardzo skromnie żyli. Chciałam jak najszybciej gdzieś indziej znaleźć miejsce. Koleżanka była krakowianką, pokazywała mi Kraków, dużo chodziłyśmy. Ona zaczęła jednak pracować, więc dalej zaczęłam chodzić sama po mieście. W jednym miejscu znalazłam taką tablicę, na Basztowej ulicy: „Związek Zawodowy Muzyków”. Pomyślałam: o, dobrze, zgłoszę się tam, może mają pracę, na

przykład w szkole? We Lwowie byłam angażowana do koncertów symfonicznych, co tydzień odbywały się te koncerty. Ale nie miałam odwagi zgłosić się do filharmonii krakowskiej. Przez pięć lat nie miałam przecież porządnych skrzypiec w ręce. Za tych pierwszych bolszewików we Lwowie codziennie trzeba było szukać i stać za jedzeniem, nie było już siły i czasu grać. Potem prawie rok w więzieniu, następnie obóz. Poszłam do związku muzyków, zobaczyłam gablotę i ogłoszenie z nazwiskiem Tadeusz Ochlewski – to był przedwojenny wydawca czasopism muzycznych. Jeden z ostatnich listów, które dostałam jeszcze w Oświęcimiu, był właśnie przez niego podpisany. Pomyślałam, że pójdę do niego, przypomnę się, powiem, w jakiej sytuacji jestem, i spytam, czy może wie, co dzieje się z moim bratem Janem Duniczem.

Okazało się, że o bracie nic nie wiedział. Ale spytał, co robię, czy pracuję, czy umiem przepisywać nuty. Przyniósł papier, kałamarz, wykazałam się, więc zaprowadził mnie do pracowni materiałów pisanych, żebym dostała jakąś robotę. I wreszcie miałam pewne pieniądze. Ale nie było w pracowni miejsca, więc przepisywałam u tej rodziny, która mnie przygarnęła. Potem, za jakiś czas, dyrektor Ochlewski pyta mnie, czy ja piszę też na maszynie. Mówię mu, że przypadkiem piszę. Mój ojciec, radca skarbowy, na emeryturze kupił małego remingtona i trochę mnie poduczył – pisałam trzema palcami. Dyrektor poprosił, bym zastąpiła jego sekretarkę, która wyjechała. I tak dostałam pracę.

Wciąż jeszcze nie miałam jednak mieszkania. Myślałam, że w Krakowie się nie utrzymam, że muszę przenieść się na prowincję, do jakiejś filharmonii. Spytałam kolegę Kisielewskiego, czy nie zna jakichś dyrektorów z innych miast. Dostałam list polecający, przyjęto mnie, przez dziewięć miesięcy grałam w filharmonii w Sopocie, ale tam też nie dostałam mieszkania. Aż któregoś dnia przyszedł list z Krakowa, że mają dla mnie miejsce. Wróciłam. Zaczęłam pracować w dziale wydawnictwa PWM-u, czyli Polskiego Wydawnictwa Muzycznego.

*Ciekawi mnie, czy pani koleżanki i koledzy z pracy wiedzieli, że grała pani podczas wojny w orkiestrze obozowej?*

Wiedzieli.

*Czy łatwo było pani o tym mówić?*

Wtedy jeszcze nie. Dopiero z czasem, choć trudno mówić o łatwości. Książkę o tamtym czasie wydałam w sumie niedawno.

*Myśli pani, że praca w orkiestrze pani uratowała?*

To, że grałam na skrzypcach, na pewno mnie uratowało. Przy rejestracji do Birkenau pytano o wiele szczegółów, datę urodzenia, miejsce zamieszkania, zawód. Gdy powiedziałam więźniarce rejestrującej, że gram, ucieszyła się i zapisała mój numer. Mówiła, że mają małą orkiestrę i trzeba mnie do niej zgłosić. Poczekaliśmy kilka dni i wezwano mój numer, poszłam do baraku, gdzie ulokowano orkiestrę. Dyrygentka Alma Rosé przesłuchiwała mnie. Położyła nuty na pulpicie i uznała, że mogę grać.

*Jak często musiałyście grać?*

Nasza kapela ćwiczyła cały dzień. Nieraz Alma Rosé prosiła, żeby po kolei ćwiczyły skrzypce, flety, akordeony, mandoliny, a potem wspólnie wykonywałyśmy utwór. Było też bardzo dużo marszy granych przez orkiestrę, gdy kolumny robocze wychodziły po apelu na zewnątrz do pracy. I potem, wieczorem, po pracy, kiedy więźniowie wracali w okropnym stanie, grałyśmy ustawione przy bramie. Niewątpliwie nasze warunki w baraku były stokroć lepsze niż w barakach zbiorowych.

*Czy to prawda, że mogłyście wychodzić na spacery poza ogrodzenie obozu?*

Nie i tak. To nie była norma, ale faktycznie zdarzyło się to chyba ze dwa razy. Choć było to dopiero w 1944 roku. Dostałyśmy takie zezwolenie, nie pamiętam jednak, czy to jeszcze za życia Almy Rosé. Wyprowadzono nas w piękny dzień, było zielono, to było duże przeżycie takiego oddechu.

*Co panie grały na co dzień?*

Repertuar opracowany przez Almę Rosé. Zwykle były to utwory rozrywkowe. Najpierw uwertury do operetek, na przykład Straussa. Potem jakieś fragmenty arii operowych. Alma Rosé opracowywała to dla naszego zespołu, to były oryginalne zestawy. Niestety, nic się nie uchowało. Gdy dopiero po dziesięciu latach pojechaliśmy do obozu spytać, czy zostały jakieś nuty, okazało się, że uratowała się tylko część nut męskiego obozu. Szkoda, to było wszystko ręcznie przepisywane, w naszej kapeli były specjalne miejsca dla kopistek, bo każdy pulpit potrzebował swoich nut.

*Jak brzmiał obóz? Co było słychać, gdy panie akurat nie grały?*

Trudno powiedzieć. Na ogół w obozie była cisza, jak te wszystkie kolumny wyszły do pracy. Nie było gwaru, nie było hałasu, co najwyżej jakieś komendy czy karne wykrzyki.

Helena Dunicz-Niwińska milknie i dopiero po dłuższej chwili dopowiada:



No, ale prawie codziennie, a potem także kilka razy dziennie przychodziły i przechodziły obok całe tabuny ludzi, zwłaszcza transporty żydowskie, które szły w stronę krematorium. Oni też w ciszy zupełnej szli. Jeśli chodzi o Żydów, to przeważnie w czarnych ubraniach, w chałatach, bardzo wielu starozakonnych szło. To wszystko odbywało się w ciszy. Zupełnej.

Dla nas było jednak głośno, bo po powrocie z rannego apelu jadłyśmy śniadanie i od razu zasiadałyśmy do prób. Potem był czas na przerwę obiadową. Sztubowe przynosiły kotły z zupą, miałyśmy jakąś godzinę przerwy i potem znowu ćwiczyłyśmy, aż do wieczornego powrotu więźniów i apelu.

*Czy to prawda, że repertuar zależał od tego, skąd przychodził dany transport?*

Nie, to akurat nieprawda, repertuar od tego nie zależał. W niedzielę był czas bez pracy i trochę było ruchu na obozie, można było odwiedzać znajome z innych baraków. Ale przeważnie te więźniarki, które na co dzień pracowały, szły spać. Władze esesmańskie nam narzuciły, że w niedzielę mają odbywać się godzinne koncerty, wtedy repertuar mógł zależeć od czyichś sugestii. Ale jak mówię, repertuar był bardzo zróżnicowany. Były arie z *Rigoletta*, dużo walców, kończyło się szlagierami, ówczasnie w Niemczech znanymi.

To były koncerty niby dla więźniów. Także dla chorych z pomieszczeń szpitalnych. Niektóre więźniarki przychodziły posłuchać i oczywiście władze esesmańskie też. Ale oni na krótko przychodzili, mieli specjalne krzesła przygotowane. A dla transportów nie grałyśmy specjalnie, można powiedzieć: przypadkowo. Grałyśmy także dla nich, o tyle, że przychodziły dzień i noc, dzień powszedni czy niedziela, te tłumy przechodziły obok nas. Blisko, jakieś pięćdziesiąt metrów od nas. Dzieliły nas tylko druty, ale co to jest?

Z początku, gdy nie było tak dużo transportów, tylko na przykład jeden w ciągu dnia, władze kazały nam na czas jego odbioru wchodzić do baraku i zamykać drzwi. Nie wolno było wyjść. Ale potem, gdy transporty szły w nocy i w dzień, jeden za drugim, Niemcy już nie zwracali uwagi, to było już tak codzienne, powszednie. Myśmy sobie grały, na przykład próby, a ludzie szli.

*Jak Niemcy was traktowali?*

Na pewno lepiej. Przychodzili z władz, komendantka czy komendant, lekarze, doktor Mengele, zwykle z jakąś świtą, wtedy rozmawiali z dyrygentką, coś sobie życzyli, żeby zagrać. Zwykle nie wysłuchali nawet całego utworu, czasem tylko kawałek. Rozmawiali wyłącznie z dyrygentką, z nami absolutnie nie. To, co pisze Fania Fénelon w swojej książce o orkiestrze, jest kłamstwem, aż mnie trzęsło ze złości, gdy to czytałam. Pisała na przykład, że Kremer zbliżał się do kopistek i dyktował im coś, ale to jest jej fantazja.

*Dlatego napisała pani własną książkę? Ze złości?*

Najpierw pisałam recenzję tamtej książki, ale jedno nie wynikało z drugiego. Raczej



dojrzałam, że trzeba napisać, jak to wyglądało. Czytała może pani?

*Czytałam. Jestem ciekawa, jak traktowały was inne więźniarki?*

Były podzielone zdania. Niektóre były bardzo zadowolone, że jest jakaś odskocznia od tego okropnego dnia pracy, że można chwilę posłuchać muzyki, czegoś ze świata zewnętrznego. A inne nie bardzo. Jedna z moich koleżanek mówiła, że jak przechodziłyśmy, to któraś napluła jej w twarz: „Jak wy tu możecie grać? Pod samym krematorium? Przy tym, jak ukazują się te ognie i dymy idą z kominów? Jak możecie grać?”. Mogłyśmy nie grać, oczywiście. Ale my chciałyśmy żyć.

*Pewnie chętnych do orkiestry było więcej niż miejsc? Czy była duża rywalizacja?*

No, na pewno. Alma nie wszystkie musiała przyjmować i nie wszystkie przyjmowała. Wcześniej to samo dyrygentka Czajkowska. Nie wszystkie się też zgłaszały. Były przecież takie, które mogłyby grać, ale nie chciały właśnie dlatego, że to dla nich było karygodne.

Tak jak graficy, malarze i pisarze, którzy służyli esesmanom, a inni ich potępiali. To jest kwestia jakiegoś wycucia. Ale też niektóre więźniarki twierdziły, że skoro można mieć lepsze warunki, trzeba z tego skorzystać. Niech tych kilkadziesiąt przeżyje. Więźniarki, które pracowały na zewnątrz, miały przecież warunki prowadzące do śmierci.

*Czy dostawałyście więcej jedzenia?*

Więcej chyba nie. Miałyśmy tak zwane zulagi raz albo dwa razy w tygodniu. Ten dodatek polegał na tym, że na kostce chleba była jeszcze maleńka margaryna i plasterek kiełbasy, a raczej pasztetówki jakiejś, szerokości paznokcia. Jadałyśmy z tych samych kotłów co inne, ale raczej o innych porach. Tylko jedno było, że każda z nas dostała, ile jej przyznano, to znaczy, że nasza blokowa nie kradła, dzieliła chleb i zupę sprawiedliwie, po równo. W innych blokach blokowa czy sztabowe odcinały sobie chleba, bo to była waluta. Za chleb można było bardzo wiele dostać.

Jak byłam chora na tyfus i byłam w szpitalu, to koleżanki przynosiły mi w butelce jakąś wodę czy coś takiego, ziółka albo kawę wieczorem. W nocy mi wyciągały inne więźniarki spod głowy, spod poduszki tę wodę. Ale nie można było wyegzekwować kary, każdy był chory, spragniony.

*W co była pani ubrana? Miałyście pasiaki?*

Myśmy w pasiakach musiały grać na co dzień, a na koncertach niedzielnych dostawałyśmy od sztabowych spódnice granatowe, białe bluzki i niebieskie chustki.

*Czy musiałyście czasami grać przy jakichś specjalnych okazjach?*

Żadnych uroczystości nie było. Tylko te niedziele, chyba że padał deszcz.

*A zimą? Gdzie wówczas grałyście?*

Zimą nas zwolnili, dyrygentka to wyprosiła u władz. Żebyśmy nie szły grać przy bramie, gdy był duży mróz. Powiedziała im, że instrumenty się psują, to na nich podziała. Wtedy tylko na poranny apel szła perkusja, by podawać rytm marszu. My

ćwiczyłyśmy w baraku, pod dachem.

*Chciałabym teraz spytać o moment, w którym pani trafiła do obozu...*

Jakoś tak dziwnie było. To był szok, szok dosłownie. Tatuowali.

*Czy to bolało?* – pytam, łapiąc się za przedramię.

Czy to bolało? Wie pani... bo to z tej strony, nie tam – Helena Dunicz-Niwińska dotyka z kolei swojego przedramienia – o, tu, tu, tak. Jakoś tak dziwnie było. Ja sobie ten przyjazd, rejestrację inaczej wyobrażałam. A to był szok, szok dosłownie.

*Pani była wówczas ze swoją mamą?*

Tak. Pętałyśmy się obie po takim dużym baraku. Potem się dowiedziałam, że tego baraku już nie ma. I musiałyśmy przechodzić koło stołu długiego, po drugiej stronie były te, które tatuowały. Ja pamiętam doskonale, jak na drugi dzień zastanawiałam się, czy to nie bolało, czy to możliwe? Okazało się, że to chyba na skutek stresu. Nie czułam, co mi robią.

*Czy rozdzielono was z mamą?*

Niestety, ponieważ dziewięć miesięcy siedziałyśmy w więzieniu we Lwowie, mama w jednej celi, ja w drugiej, połączyłyśmy się dopiero w czasie transportu. No i myślałam sobie, że w obozie będę się spotykać z mamą, tyle jest tu przestrzeni. A tymczasem tam były restrykcje, nie wolno było przekraczać pewnego odcinka obozu. Bo nasz obóz był podzielony na dwa odcinki, nie wolno było przechodzić za bramę, nie wolno było przekraczać granicy drutu. Ja po przyjęciu do orkiestry byłam właśnie w innej części niż mama. Udawało się tylko chyłkiem, wieczorem, po apelu. Myśmy wówczas odnosiły stołki i pulpity. Codziennie musiałyśmy prznosić je z bloku na ten plac. Więc po tym, jak szłam po ten pulpit, wstępowałam do mamy. Ale to było zakazane, gdyby mnie nakryła jakaś strażniczka, czy nawet nie tylko, choćby któraś z tych gorliwych, kapo, mogłabym mieć wielkie nieprzyjemności.

*A czy w niedzielę można było legalnie odwiedzać?*

Tak, ale tylko w niedzielę. Było to dozwolone.

*Jak wyglądał obóz?*

Żadnych drzew. Dopiero gdzieś tam na horyzoncie. Za krematorium, tam były drzewa, ale one były jeszcze niskie. Teraz są wysokie, wtedy były niskie. Było błoto, jakieś prowizoryczne ścieżki między blokami, ale głównie błoto. Skrawka trawy wówczas nie było. Wszystko było wydeptane. Birkenau było na terenie bagnistym, więc właściwie można powiedzieć, że trupy wielu były tam zatopione po prostu.

*Jaki był zapach?*

Zapach był z tych dymów okropny, lepki.

*Czy tam były jakieś zwierzęta?*

No, tylko wszy i pchły, i szczury. Może jakieś myszy. Tego to nie brakowało. Chyba nie latały tam ptaki, ten smród nie pozwalał.

*Jak wyglądały wasze baraki?*

A była pani w Birkenau? Ma pani wyobrażenie? My byłyśmy z mamą zameldowane do 25 bloku, tak zwanego bloku śmierci. Tam było okropnie, zresztą podobnie jak w innych murowanych barakach. Było takie zagęszczenie, że na jednej koi było nas osiem, spałyśmy na waleta, na gołych deskach. Myśmy z mamą trafiły na najgorsze miejsca, na wilgotnej ziemi, na najniższym poziomie. Nie umiałyśmy się, to znaczy ja nie umiałam się bić. Bo trzeba było dosłownie kogoś porządnie zbić i mieć siły, żeby się jakoś dopchać. I na te osiem osób był jeden kocyk, za dużo powiedziane, szmata, na gołych deskach, niczego więcej nie było.

*A w baraku dla kobiet z orkiestry?*

No, tam było zupełnie inaczej. Jednak miałyśmy te prycze, też piętrowe, trzy poziomy, ale była jedna osoba na pryczę. Poza tym miałyśmy sienniki, koce i jakieś poduszki z siana. Nie mówiąc o tym, że jeśli chodzi o jedzenie, gdy sztubowe przynosiły kocioł, to tam była wystarczająca ilość porcji dla nas. Bo gdzie indziej trzeba było się bić o swoją porcję. Esesmani tego nie pilnowali, odwrotnie – oni się cieszyli, że więźniarki między sobą się biją. Część zupy wylewała się na skutek tego naporu.

*Czy to była norma, że kobiety ze sobą walczyły?*

Wie pani, tam była śmiertelna walka o byt. Jedne były takie, które potrafiły się bić i nagadać, a drugie znowu kradły, zwłaszcza w nocy, szukały jedzenia pod głowami. Bardzo różnie, jedne pomagały drugim, bo na przykład udało się przynieść wodę z kuchni. Ale to było bardzo różnie, trzeba było mieć dużo szczęścia, żeby znaleźć kogoś ze starszych, bywałych w obozie, które by wiedziały, gdzie i jak co zdobyć. Inne czuły się zupełnie opuszczone, nie miały już sił i stawały się takimi mużłmanami, bo nie miały sił chodzić, szukać. Siadały pod barakiem na ziemi i po prostu ginęły.

*Czy czuła się pani samotna?*

Czułam się strasznie sama. W celi we Lwowie były rozmaite okresy, ale jednak było nas kilkanaście, przyzwyczałyśmy się do siebie. A w obozie nagle to się wymieszało. I mama, i ja czułyśmy się samotne. Nawet gdy przyszłam do kapeli, czułam się zupełnie sama. Przecież nikogo tam nie znałam. Dopiero podeszła do mnie Wisia w czasie pierwszej próby. Zapytała mnie, kim ja jestem, skąd jestem, skąd przyjechałam, i tak po ludzku się do mnie odezwała. Gdyby nie to, byłabym wciąż tylko na siebie zdana. A ona już miała doświadczenie. Po wojnie, po tym, jak u niej mieszkałam, wciąż się trzymałyśmy i odwiedzałyśmy. Nawet udało mi się później zaangażować ją w PWM-ie jako kopistkę. Zmarła w 1981, miała dwa zawały, więcej przeszła ode mnie, jeszcze w więzieniach, była bita, miała ciężkie przesłuchania. Ja jakoś miałam szczęście, nie należałam do żadnych organizacji, nie chciałam mamy narażać, bośmy zostały same zupełnie za bolszewików. Myślałam, że jak mnie aresztują, co ta mama zrobi? No, ale tymczasem inaczej to się stało... Niemcy nie

zważali, czy się jest zaangażowanym, czy nie. Po drodze każdego mogli dopaść.

*Dlaczego panie zostały uwięzione – najpierw we lwowskim więzieniu, a potem w obozie? Był jakiś konkretny powód?*

Do obozu można było iść z łapanki. A u nas – przypadek. Jeszcze za bolszewików musiałyśmy wynajmować jeden pokój, bo była taka reguła, że ileś metrów kwadratowych przypada na jedną osobę. Ponieważ z naszej rodziny z pięciu osób zostały nas tylko dwie, musiałyśmy wynająć pokój. Pilnowała tego administracja. Potem pozbyłyśmy się jakoś tych ludzi, to była rodzina, rodzice i trzy córki, trochę uciążliwe. Gdy przyszli Niemcy, prosiłyśmy, by znaleźli sobie co innego. Ale musiałyśmy za Niemców też zapłacić metraż. Znowu szukałyśmy kogoś. Polecono nam dwóch panów, chętnie przystałyśmy, bo przynajmniej częściowo opłacali czynsz. Myśmy były w okropnych warunkach, nie miałyśmy żadnego zaopatrzenia, kompletnie. Musiałyśmy sprzedawać, co się dało, nawet kończyło się na tym, żeśmy meble musiały sprzedawać. Była drożyzna niesamowita. I rzeczywiście, wprowadziło się dwóch panów, nie byli zupełnie uciążliwi, często wyjeżdżali. Mówili, że są komiwojażerami i że jeżdżą służbowo poza Lwów. Okazało się, nawet domyśliłyśmy się po paru miesiącach, że oni chyba należą do jakiejś organizacji podziemnej. Dawało nam to do myślenia. No, ale stwierdziłyśmy, że skoro są zameldowani, pokazali zarządowi kamienicy swoje dokumenty, mają pracę, byłyśmy spokojne. A tymczasem była wpadka, potem się w latach osiemdziesiątych dopiero okazało. Znajomy wiolonczelista z Katowic przysłał mi wycinki z prasy, gdzie jest napisane, że w takim a takim okresie była wielka akcja niemiecka poszukiwania AK. Podobno u jednego z nich znaleziono wykaz mieszkań zaangażowanych osób. I nasze było na tej liście. Potem w naszym mieszkaniu zrobiono tak zwany kocioł – kto przyszedł nas odwiedzić, ten wpadał. I tak przyszli po nas Niemcy.

*Mogły panie coś ze sobą wziąć?*

Nie, nic, tylko mogłyśmy się ubrać, bo to był styczeń. Tyle pozwolili. Jak stałyśmy, tak żeśmy zostały wzięte. Dziewięć miesięcy byłyśmy w więzieniu we Lwowie. Potem front radziecki napierał, Niemcy się wycofywali. Któregoś wieczoru pod koniec września u nas w więzieniu przenikały informacje, że są już jakieś transporty. Na podwórzu więzienia skupiały się setki więźniów z więzień na prowincji – ze Złoczowa, Stanisławowa, Tarnopola, mniejszych wojewódzkich i powiatowych miast. Niemcy zrobili duży transport, dołączyli nas do nich. Dużymi samochodami ciężarowymi zawieźli nas na dworzec, na boczną rampę. Tam nas załadowali do bydłowych wagonów, okropnych, ciasnych, nie można było usiąść ani kucnąć. Trzy dni i trzy noce jechaliśmy.

*Dostaliście jedzenie albo wodę?*

Nic. Nie powiedziano też, dokąd nas wiozą. Zastanawialiśmy się, czy jedziemy do Majdanka, czy do Oświęcimia. Wówczas już były to znane obozy. Mama pochodziła

ze Śląska, więc po kierunku jazdy zorientowała się, że jedziemy chyba do Oświęcimia.

*Czy miałyście już wówczas świadomość, co tam się dzieje?*

No, wiedziałyśmy. Jednak było wiadome, że jest obóz, co to za miejsce, że jest okropne. Ale nie wiedziałyśmy szczegółowo, jakie są warunki.

*Co się wydarzyło, gdy dojechałyście?*

To było późnym wieczorem. Świeciły bardzo ostro światła, przynajmniej dla nas. Esesmani wrzeszczeli, żebyśmy wychodzili i się ustawiali, psy ujadły, rwały się do nas, jak przy każdym transporcie. Wrzaski, wrzaski, wrzaski. W końcu przez megafon zapytali, czy ktoś czuje się słaby lub czuje, że nie dojdzie. Wówczas oferowali, że podwiozą, trzeba było wsiąść na takie ciężarówki z plandekami. Myśmy z mamą się zastanawiały, co robić, bo mama miała już pięćdziesiąt cztery lata. Zdawałam sobie sprawę, że po dziewięciu miesiącach więzienia, głodu i braku powietrza mama jest na pewno bardzo słaba. Czy da radę? I jak długo trzeba iść? Jednak postanowiłyśmy, żeby się nie rozłączać. Potem dowiedziałyśmy się, co stało się z tymi, którzy zgodzili się na podjazd samochodami.

Zaprowadzili nas do pustego zupełnie baraku i cała procedura przyjmowania: tatuowanie, leżałyśmy na gołej ziemi, potem kąpiel. Z początku miałam nadzieję, że mama jakoś przetrwa. Bo mama była zdrowa kompletnie, zdrowa zupełnie. Wyglądała dobrze. Naprawdę nigdy nie chorowała w domu, dosłownie nigdy.

*Wierzę. Co się stało?*

Dwa miesiące wytrzymała te warunki, na kwarantannie tak zwanej. To były potworne rzeczy. Mama w końcu po sześciu tygodniach dostała Durchfall i to ją zupełnie wykończyło. I koniec.

Helena Dunicz-Niwińska przez długi czas milczy, nie patrzy na mnie. Nie wiem, o co mogłabym teraz pytać. W końcu zaczyna mówić o bracie.

A jeśli chodzi o brata, wciąż szukałam go po wojnie, rozmaite karteczki wieszałam, do gazet wysyłałam. Nie pomyślałam, żeby w Warszawie też szukać, a ja tylko szukałam przez prasę krakowską. I dopiero po jakimś czasie zaczęłam pisać do powstałych klubów, takich i owakich, napisałam też do tych, co stworzyli Klub Gross- -Rosen. No i nie dostawałam odpowiedzi. Wreszcie, po dwóch latach, w odpowiedzi na któreś ogłoszenie napisał do mnie więzień, który był w Gross-Rosen i w Dorze. No i właśnie: on się zajmował w Dorze spisami więźniów, którzy przychodzili do szpitala. A potem jeszcze dostałam dwa listy od byłych więźniów, ale to było dopiero w latach siedemdziesiątych. Krótkie były, pisali o tym, jak byli ewakuowani. Myśmy na przykład szli tylko trzy dni do Wodzisławia, a oni sześć tygodni szli z Gross-Rosen do Dory, zimą, w mrozie. Nie wiem, co dostawali do

jedzenia. Trudno mi to sobie nawet wyobrazić. Podobno brat doszedł do Dory, ale tam się rozchorował i po trzech dniach zmarł, na kilka dni przed uwolnieniem tego obozu przez Amerykanów.

Gdybym mieszkała w Warszawie, może dowiedziałabym się o nim wcześniej od jego znajomych. Raz napisała do mnie jedna pani, jego koleżanka. On chyba też był aresztowany w konsekwencji wpadki i przejęcia listy adresów – aresztowali jego oraz gospodynię, u której mieszkał. Zrobili rewizję, wszystkie papiery latały. Ją po tygodniu wypuścili. We Lwowie byłoby to niemożliwe.

*Czyli po wojnie nie został pani praktycznie nikt z rodziny?*

No, wie pani, o tym dowiedziałam się dopiero po dwóch latach. A jeśli chodzi o drugiego brata, tego z Anglii, to nawiązałam z nim kontakt. Pisywaliśmy do siebie, ale tylko tyle. I chyba w 1965 roku był tutaj, w Krakowie, na uroczystości jubileuszu powstania uniwersytetu. Brat był doktorem chemii i mieszkał już wówczas w San Francisco. I był w liczbie tych, którzy mieli wygłosić w Moskwie referat, była jakaś wielka konferencja naukowa chemików. Przejeżdżał przez Polskę. Odwiedził mnie wówczas w Krakowie. Później zaprosił do siebie, więc byłam u niego, chyba w 1966 roku.

*A była pani po wojnie we Lwowie?*

Byłam, wreszcie się zdecydowałam. Poznałam takiego pana w Krakowie, który udostępnił mi tam swój domek. Potem jeździłam na wycieczki z Towarzystwem Przyjaciół Lwowa.

*A w Birkenau?*

Dopiero po dziesięciu latach. Pojechałyśmy z Wisią. Wcześniej nie chciałyśmy. Trudno powiedzieć, jak było. Wspomnienia zostały, trudno opisać. Nie chciałyśmy wgłębiać się w to, co się zdarzyło.

Po wojnie, jak chodziłam po Krakowie, to widziałam na przykład jakieś byłe więźniarki, które chodziły w pasiakach. Wie pani, ja nie mogłam wyjść z podziwu. Jak one mogły jeszcze nosić te pasiaki? Ja czym prędzej chciałam się w normalne szmaty ubierać. Było RGO, gdzie można było coś dostać z magazynów, ale ja też nie miałam szczęścia. No i trzeba było podpłacić, żeby dostać coś przyzwoitego. Nawet bielizny wówczas nie można było dostać.

Po wojnie ciągle odpychałam myśli o tym, co się zdarzyło. Chciałam zupełnie zapomnieć. Ja sobie powiedziałam: to jest przeszłość zamknięta. Nie ma Lwowa, nie ma mojej ojczyzny, nie myśleć o tym. Miałam to szczęście, że dostałam się do Polskiego Wydawnictwa Muzycznego, bo mnie tak emocjonalnie wciągnęła ta praca, że faktycznie niewiele rozpamiętywałam. Dzięki dyrektorowi Ochlewskiemu, który był znakomitym człowiekiem, stworzyliśmy ważną instytucję i muzyczne wydawnictwo, jakiego nie było nawet przed wojną. Co prawda nasze władze musiały to zepsuć. Dyrektor miał zapasy, broszury kilku czy kilkunastu kompozytorów, gdzieś

tam schowane w piecach w Warszawie (bo on pochodził z Warszawy). Gdy tylko zaczął coś drukować i starał się później wysłać do Austrii, Paryża, Londynu, władze to ukróciły. Zaprzepaścili osiągnięcia Polski od razu po wojnie.

*A czy udzielała się pani po wojnie w klubach poobozowych?*

Tak, myślę, że nadal należę do Klubu Auschwitz, ale przecież ten klub zupełnie się rozpada... Gdy jeszcze żył Józef Paczyński, czasami spotykaliśmy się na obchodach. Wcześniej byłam aktywna, znaliśmy się przez fundację i przez przychodnię przy Dietla. Ale myślę, że już nigdy nie pojedę do Oświęcimia.

Teraz jestem zbulwersowana, jak potraktowano więźniarki starszki w Ravensbrück podczas obchodów siedemdziesiątej rocznicy wyzwolenia. Najpierw rozdano im kartki na jedzenie, a potem musiały chodzić i wydawano to na plastikach. Władze w tym czasie były obsługiwane przez kelnerów, a jedzenie podawano na porcelanie. To skandal. Niemcy zareagowali, w prasie podobno huczało od tego. A u nas, w Polsce? Cichutko. Dopiero teraz „Tygodnik Powszechny” dał dwa artykuły. Człowiekowi się nie chce wierzyć, że można tak ludzi niszczyć w ten sposób. Uważaliśmy przed wojną, że Niemcy to naród o wyższej kulturze. My zawsze biedni, wiadomo, tyle było tych wojen, rozdziałów, rozbiorów, zawsze byliśmy w pozycji niższej. Ale żeby teraz to kontynuować?

*Rozmawia pani o takich sprawach z koleżankami? Czy w ogóle żyją jeszcze koleżanki z obozowej orkiestry?*

Nie, już nie. Jeszcze w zeszłym roku żyła jedna nasza sztubowa i kopistka, która na początku była skrzypaczką, taką słabą. Bo tam dużo amateerek było. Ale była dla nas bardzo dobra i przyjazna. Starła się dla nas o lepszą bieliznę, brykiety w zimie, bardzo pomocna. Zmarła w zeszłym roku.

Właściwie nikt z kobiet z Auschwitz nie przychodzi już na spotkania. Na początku była jakaś pani Aleksandra, ale potem znikła. Miałam kontakty z Hanką Schiller i z Wandą Marossanyi, czasami się spotykałyśmy. A z kapeli to już od kilku lat nikogo nie ma, z sześć lat temu zmarła druga moja przyjaciółka, Zosia Cykowiak.

*Co wam dawały te spotkania? Jakież poczucie wspólnoty?*

Nie, muszę przyznać, że ja nigdy nie byłam zaangażowana w klubie, zupełnie nie. Nie czułam potrzeby. Byłam zaangażowana w pracy, to mi pozwoliło się odseparować od tego, co się w Polsce komunistycznej działo. PWM to był inny świat. Ale też odseparować się od wspomnień. A zwłaszcza że w klubie nie było nikogo z mojego najbliższego otoczenia. Pan Paczyński jeszcze jakoś mobilizował wspólne wyjścia, a teraz to już nie ma kto. Angażował się jeszcze pan Tadeusz Sobolewicz, on był aktorem, zawsze chodził w muszce. A teraz, jak go spotkałam, to ruina, nie człowiek. Zresztą sama nie mogę wychodzić. Po wypadku zimowym miałam złamany kręgosłup. Najpierw musiałam leżeć na wznak, nie ruszając się w ogóle. Potem powoli, powoli. Ale ja się staram. Inaczej koniec byłby taki, że leżałabym,

leżałabym... a to trzeba się ruszać. Wie pani, ile ja mam lat? Urodziłam się w Wiedniu w 1915 roku! Zresztą te wspomnienia wojenne codziennie wracają. Nie chcę, a myślę.

*Przecież pani jest teraz w doskonałej formie?*

Tak się pani wydaje... Już tylko wyglądam.



**Alfreda Gorączko**

*Porozmawiamy?<sup>1</sup>*

Kiedy ja nie wiem, o czym. O czymś innym może? Ja nie wiem, nie pamiętam, córki pani lepiej opowiedzą.

*Chce pani, żebym zawołała córki?*

No, zawołajmy je.

Wołamy córki Alfredy Gorączko, jedna z nich przynosi na rękach niemowlę, swojego wnuka.

Opowiecie pani, jak było? – prosi Alfreda Gorączko.

Przecież nas tam nie było, a ty nie wszystko mówiłaś... – odpowiadają. Jedna z nich zagaja:

Mamo, dlaczego byłaś aresztowana? Bo twój brat był w partyzantce?

Tak, ale to było... Zaraz... 2 czerwca chyba? Najprzód byłam raz aresztowana 30 kwietnia, a potem byłam drugi raz 2 czerwca. I była siostra aresztowana, i był ojciec aresztowany. Byliśmy w więzieniu, najprzód w Lublińcu na Śląsku, a potem ich wywieźli – siostrę i ojca – do Oświęcimia. Oni tam zginęli. A mnie wywieźli aż do Ravensbrück. To w Ravensbrücku byłam jakiś czas, potem znowu do Sachsenhausen nas przetransportowali i transportem z Sachsenhausen żeśmy szli piechotką chyba dwa tygodnie, tak w kółko maćku, bo już front się zbliżał – to był kwiecień 1945. I żeśmy szli, aż... wieś się nazywała Jamyl, to było gdzieś pod Schwerinem, w kierunku Lubeki. I potem zostaliśmy uwolnieni. Były już wojska i rosyjskie, i zachodnie, angielskie, amerykańskie.

*Jak się pani czuła w momencie wyzwolenia?*

(Alfreda Gorączko śmieje się) No, a jak się czułam, to już pani sobie może wyobrazić! Wszyscy my już skakali, całowali my tych żołnierzy, że szkoda mówić. Wszyscy cieszyli się. Siedemnaście miałam lat, jak byłam aresztowana, a rok byłam w obozie, to już osiemnaście, jak byłam wyzwolona. Jakoś 3 maja zostaliśmy wolni. Pamiętam, bo to była pamiętna data dla Polski w ogóle. Tak było.

*Co było potem?*

Potem żeśmy byli na utrzymaniu, że tak powiem, tych wojsk angielskich. Dawali nam pełne wyżywienie, zakwaterowanie, wszystko dali nam. Pobyłam jeszcze tam rok. I w międzyczasie poznałam mojego męża. I rozchorowałam się też, prawie od razu, byłam w szpitalu takim poobozowym. Potem było wesele. Ale ja już dużo rzeczy pozapominałam.

Mamo, mówiłaś, że byłaś bardzo wychłodzona i oni dobrze się tobą zajęli w tym szpitalu?

To jest fakt. Widzi pani, córki już lepiej pamiętają niż ja... mnie się już to zaciera wszystko. Dobrze się mną zajmowali, ale czy ja jeszcze potrafię to tak opowiedzieć?

Ciężko. Byłam taka wychłodzona, że całą mnie w tym szpitalu wkładali do komory, pod jakieś naświetlania specjalne. Ale nie umiem już tego dobrze opowiedzieć. To się nie da tak opowiedzieć. To się nie da opowiedzieć. To było bardzo trudne.

*Domyślam się. Ale może opowie mi pani o swojej pracy? Wiem, że pracowała pani w zakładach elektronicznych?*

Ano tak, pracowałam. Ale to później. Chociaż zależy, o które pani pyta.

*O te w czasie wojny.*

A, tamte. To w obozie jeszcze. Bo w zakładach pracowałam i w czasie wojny, i po wojnie. Więc w obozie pracowaliśmy przy częściach samolotowych. To była fabryka Boscha. No i tam wyrabialiśmy bardzo precyzyjne elementy. Ja pracowałam przy tak zwanej bormaszynie, strasznie cienkie bory były. Takie cienkie, że musiałam bardzo ostrożnie prowadzić korbkę. Te części szły do samolotów, musiały być setne milimetrów. Jak się mocniej przycisło, to inaczej dziurka wychodziła, a jak wolniej prowadziło, to też inaczej. Jak źle szło, to efekt był do wyrzucenia. Potem dyrektor tej fabryki groził mi, że mnie zamkną do bunkra, ale jakoś tego uniknęłam, bo znowu drugi mnie bronił...

A, to były taaakie czasy, wszystko zagmatwane. Czasami jak leżę, to sobie to wszystko... i zastanawiam się, czy jawa, czy sen. To się zaciera. A teraz? A teraz to mi jest dobrze, nie mogę narzekać. Byle tylko Bozia zdrowia dużo dała, to reszta jest dobrze.

*A co robiła pani po wojnie?*

A po wojnie miałam tego męża. Zaraz po wojnie wyszłam za męża. Już po wyzwoleniu, ale jeszcze w Niemczech. Mąż tam gdzieś pracował, nie w obozie, ale jako przymusowy pracownik. Żeśmy się tam poznali i tam żeśmy ślub brali, za granicą. Potem zostałam sama, wychowałam te dzieci. A teraz jest wreszcie wszystko dobrze.

Mamo, panią interesuje, co dokładnie wtedy robiłaś.

No dobrze... wróciłam do Polski. W 1946 urodziła się jedna córka, w 1948 druga. No, to miałam dwie córki. Jak wybuchła wojna, byłam w szóstej klasie, więc nie skończyłam szkoły. Po wojnie parę lat robiłam jeszcze siódmą klasę.

Mamo, a co dalej?

Nie miałam wykształcenia ani pracy. Byłam spod Częstochowy, ze wsi. Przyjechałam do Krakowa. Byłam w ciąży, mąż pracował jako kierowca. Miałam go w sumie pięć lat. Jak jedna córka miała pięć, a druga trzy, to on odszedł. Zostałam bez szkoły, bez pracy, z dwójką dzieci, w obcym mieście.

*I jak sobie pani radziła?*

Pracowałam i chowałam dzieci.

*Jaka to była praca?*

Najprzód to ja pracowałam gdzieś u szewców. Fizycznie zawsze robiłam, całe życie.

Nie miałam przecież wykształcenia. E, lepiej nie mówić...

Widzi pani, gdyby pani sobie to poczytała – to jest odcinek o mnie w książce o tych więźniach, co pracowali dla Boscha. Ja już nie mogę o tym opowiadać. To jest takie powtarzanie się.

*Ale w tym odcinku jest o pani kilka zdań...*

No, ale ma tam pani jeszcze jakichś innych, może opowiedzą? O, tu gdzieś niedaleko mnie mieszka taki jeden pan Kaziu, zna pani? On chyba jeszcze żyje?

*Poznałam. On był w Płaszowie. Może nam się uda porozmawiać, ale jeszcze nie ma pewności.*

Niedawno spotkałam go w przychodni na Dietla, gdy opłacałam składkę członkowską. Żył wtedy. A kto to teraz jest naszym prezesem? Wcześniej był Rosołowski...

Mamo, miałaś opowiedzieć o sobie! Przecież pani specjalnie do ciebie przyjechała kawał drogi...

Opowiedz za mnie.

Mamo, ale to jest twoje życie, nie moje. Nie mogę opowiadać za ciebie.

*A może proszę opowiedzieć za mamę? – proponuję. – Skoro taka jest potrzeba?*

No dobrze. Mama pracowała najpierw w fabryce obuwia imienia 15 Grudnia. Tam były bardzo ciężkie warunki pracy i zarobki były bardzo małe. Szukała mama dojścia do czegoś innego, poszła do komitetu partii, bo wtedy jeszcze był komitet partii.

O, no widzisz, wy lepiej pamiętacie to wszystko.

...I w komitecie partii mama przedstawiła swoją sytuację całorodzinną, że jest sama z dwójką dzieci. Wtedy komitet partii pomógł mamie załatwić lepszą pracę, która też była fizyczna, ale lepiej płatna – w Radiotechnicznej Spółdzielni Pracy. Do dzisiaj istnieje zresztą. Mamusia pracowała tam do końca, do emerytury. Tam były dużo lepsze warunki i pracy, i płacy. Był nowoczesny budynek, praca akordowa, im więcej mamusia zrobiła, tym więcej zarabiała. Często pracowała i po nocach, i przynosiła do domu niektóre elementy, bo można było zabierać pracę do domu. Jak byliśmy trochę większe, to żeśmy mamie pomagały jakieś śrubki kręcić. Mieszkałyśmy początkowo przy Grodzkiej 7, w starej kamienicy, która się rozleciała, to znaczy zapadła się klatka schodowa w oficynie, w której mieszkaliśmy. Chyba w 1978 roku to się stało. Mama spędzała życie sama, razem z nami. Wychowała nas, wykształciła, a teraz sobie siedzi tutaj.

Siedzę jak u Pana Boga za piecem. Mam wypracowaną rentę wojenną. Ale za czasów Suchockiej połowę mi zabrali tej mojej wypracowanej renty. Niby na dwa lata, ale nigdy nie przywrócili. I tutaj się poczułam bardzo dotknięta. Jakim prawem, dlaczego mam tracić połowę emerytury? Obiecywała, że odbiera na dwa lata. Minęło już ponad dwadzieścia lat. Żadne rządy już tego nie przywróciły, ani komunistyczne, ani kapitalistyczne. Ani żadne diabły już tego nie oddadzą (Alfreda Gorączko zaczyna

płakać). Nikt się nie interesuje więźniami, bo jest ich już garstka. Ja mam osiemdziesiąt osiem lat i przecież byłam jedną z młodszych.

A sami o sobie już nie umieją walczyć – dopowiada córka Alfredy Gorączko. – Przedtem było wielu mądrych ludzi, byłych więźniów, którzy jeździli do Warszawy i próbowali walczyć. Ale teraz nie ma się kto o nich upominać.

*Spotykała się pani po wojnie z innymi byłymi więźniami?*

Tak, tak. Pewnie, że się spotykaliśmy. Mieliśmy taki klub, takie koło. Mam gdzieś tu nawet legitymację klubową. Jak zaczynaliśmy, to w Klubie Sachsenhausen było nas dwieście osób na sam Kraków. Dziś zostało może dziesięć. (Alfreda Gorączko szuka legitymacji). O, a to jest legitymacja wydana jeszcze przez władze angielskie po wyzwoleniu... Niech pani tu na końcu przeczyta, w trzech językach, po polsku, angielsku, niemiecku. I moje zdjęcie. Były takie czasy.

*Jak długo pani dochodziła do siebie i zdrowiała po wyzwoleniu?*

Po wyzwoleniu w Niemczech ci lekarze wszyscy zajmowali się nami aż rok. Różnie, jak kto chciał. Potem niektórzy powyjeżdżali, można wtedy było pojechać w cały świat, wie pani? Ale ja jakoś chciałam do domu, do Polski. No i wróciłam do domu, jestem w Polsce. I teraz jestem zadowolona z życia.

*Miała pani później kontakt z koleżankami z obozu?*

Tak, miałam jakiś kontakt z Janką Podobą i Jadzią Sawicką. Z nimi byłam w obozie, już nie żyją.

*Była solidarność między kobietami w obozie?*

A, to były takie grupki, co się przyjaźniły. Z resztą były nieustanne walki, nawet o kromkę chleba nieraz. Ciężko. Obozy same były bardzo trudne. Ale to wszystko wszyscy znacie z filmów, które są wszędzie.

*Właśnie nie jestem pewna, czy wszyscy znamy...*

To jest taki sam problem, jak...

Wie pani – wtrąca jedna z córek – my nawet nie wszystko wiemy. Przez tyle lat. Niby się to słyszy przy różnych okazjach, ale to jest jakieś niewyobrażalne.

Bo to nie da się przekazać tak tego, co było – mówi Alfreda Gorączko. – A jak się nie mówi, to się zaciera.

*Śni się pani czasami życie obozowe?*

Długo, długo mi się to śniło. Teraz już mniej. Teraz wreszcie powoli się zaciera to wszystko. Tylko czasem są różne koszmary. Ale da się już przy tym wyżyć.

*A panie – zwracam się do córek – były świadome jako dzieci, co się przydarzyło waszej mamie? Rozmawiałyście o tym?*

Jak byłyśmy małe, to niekoniecznie, nie docierało do nas, ale było to mówione. No, obóz, obóz, obóz i tyle, mama była i przeżyła. W naszych czasach były obowiązkowe wycieczki do Oświęcimia. Jechało się jak na wycieczkę. Ale tego nie łączyłyśmy w jedną historię. W domu po prostu wiedziałyśmy, przyjmowałyśmy to za fakt.

Dopiero potem zdałyśmy sobie sprawę, co to było.

Mama nam o tym opowiadała później jako swój życiorys – mówi druga córka. – Ale wcześniej, jeszcze na Grodzkiej mieszkaliśmy, opowiadała często wieczorami, do snu. Tośmy płakały razem z mamą, ona, gdy opowiadała, my, jak słuchałyśmy. Ile miałyśmy, z dziesięć lat? Nie więcej. No właśnie wtedy już byłyśmy bardziej świadome i zaczęłyśmy analizować, docierało, co do nas mówi. Nie tylko że „obóz, obóz”, ale też „w obozie to, w obozie tamto”. Wtenczas dopiero zaczęło to być wspólne.

O, pokażę pani jeszcze – włącza się Alfreda Gorączko – to jest dowód osobisty, to są legitymacje członkowskie ze związku, a to ta legitymacja z 1945 od Anglików, której pilnuję bardziej niż dowodu osobistego. Dowód można wyrobić, a tego już mi nikt nie odtworzy. Jedna moja wnuczka oprawiła mi to w folię, żeby się nie zniszczyło do końca.

*Jeździła pani do Sachsenhausen lub Ravensbrück po wojnie?*

Byłyśmy w Oświęcimiu, bo tam zginęła moja rodzina. A dopiero z piętnaście czy dwadzieścia lat temu córka albo wnuczka Boscha zaprosiła byłych więźniów do Berlina i zorganizowała wycieczkę do Sachsenhausen, zwiedzałyśmy z moją córką. Teraz, jak na ten temat mówię, to mi się płakać chce.

Mamo, opowiedz, jak tam było?

Chyba wtedy widziałam pierwszy raz w życiu schody ruchome! A obozy? No, były, nawet gdzieś jeszcze zdjęcia mam z Sachsenhausen.

*To był trudny powrót?*

Jak byliśmy zwiedzać, to już nie było tak, jak w rzeczywistości. Wysprzątane, pomnik stał.

Mamo, ale jak się poczułaś?

A ja wiem, jak to powiedzieć? Tak nijak. To już nie były te baraki, nie było nic. Wysprzątane, pomnik, plac. Siedzieliśmy, różne przemowy. Zupełnie coś innego.

*Czyli wcześniej było brudno?*

Jak tam byliśmy jeszcze w obozie, to były te baraki, łóżka takie piętrowe i słomy starte, sieczka, na sieczce leżeliśmy. A, co tu opowiadać, czasami na filmach pokazują, to rzeczywiście tak było.

*Jak wyglądał obóz?*

Nie widziałam tam żadnych drzew, dopiero pod koniec, gdy marsz śmierci był, szliśmy, dużo dróg i rowów, ludzie tam padali z wycieńczenia. Bo jak nas wyprowadzali z Sachsenhausen, to dali nam po takim kawałku chleba razowego, twardego jak glina. Niektórzy, wygłodzeni, rzucili się na ten chleb i chcieli go jak najwcześniej zjeść. Dostawali skrętu kiszek i padali. Dobrze, że ja nigdy w życiu nie byłam i do dziś nie jestem żarłokiem. Zawsze jem umiarkowanie. Ten chleb se umiałam dzielić. Dwa czy trzy tygodnie nas prowadzili – od 17 kwietnia do 3 maja.

Niech sobie pani policzy.

*Długo, za długo.*

3 maja zostaliśmy wolni. Podobno wyszło nas czterdzieści pięć tysięcy, a przyszło piętnaście tysięcy. Czyli trzydzieści tysięcy padło po drodze. Niektórzy z przejedzenia zaraz na początku, a inni potem z głodu. Taką miałam Wandzię Gawlikowską z moich stron, co była też ze mną, to ona już też nie chciała iść. Tośmy ją tak wlekły: „Wanda, przejdź, przejdź, przejdź, niedługo zostaniemy wolne”. Bo już wiedzieliśmy, że zostaniemy wolni, bo dochodziły do nas echa, że się zbliżają fronty. I rzeczywiście, potem z jednej i z drugiej, zachodniej i wschodniej się zbliżały. Trudno mi powiedzieć, że nas wyzwoliły zachodnie wojska, bo w tym samym momencie były też i wschodnie wojska, równocześnie.

A Wandzia doszła z nami, dotrwała. Potem, po wojnie, byłam u niej w domu, to matka jej mi tak dziękowała, że... (Alfreda Gorączko zaczyna płakać). Nie mogę... (Mówi, szlochając:) Jeszcze w obozie to ona chciała się na te druty kolczaste rzucić. Ta Wandzia. Że nie przeżyje. Ale to było w Wigilię Bożego Narodzenia. A my potem dożyliśmy jeszcze do wiosny. I już potem przetrwała to wszystko (płacz).

Mamo, opowiedz teraz, gdzie byłaś wczoraj na wycieczce ze mną?

Byłam w Warszawie z córką. Na komunii prawnuczka. (Alfreda Gorączko powoli przestaje płakać). O, tego, widzi pani zdjęcie? Basiu, pokaż no pani.

Oglądamy galerię oprawionych zdjęć.

To wszystko prawnuki moje. Dwoje dzieci, czworo wnuków, a siedmioro prawnuków. A Warszawa tak średnio mi się podoba, wolę Kraków. Przyzwyczaiałam się do tego miasta, do mojej dzielnicy. Mieszkam tu od 1978 roku, z początku było parę bloków, dalej wieś. Niech pani wejdzie jeszcze na balkon, to zobaczy, jakie widoki mam piękne. Tam są Kosocice, dalej widać Łagiewniki. Nie chce się pani napić kawy?

*Nie chcę pani za bardzo męczyć.*

E, nie męczy mnie pani. (Chwilę później pijemy herbatę). Dostałam wczoraj od córki ten bez, przyniesła mi z działki. A te róże dostałam od pani. Teraz jest mi dobrze, teraz nic mi się nie dzieje. Dlatego ciężko mi mówić o tamtym.

*Wiem, dlatego bardzo doceniam, że zgodziła się pani spotkać.*

To ciężko tak się otworzyć i powiedzieć. Co innego do dzieci, jak mimo woli się rozmawia, a co innego...

*No tak. Ale może dobrze o pewnych sprawach opowiedzieć raz jeszcze?*

Tak. Na przykład z tymi obozami. Przecież one nie były polskie, ale niemieckie. To taka jest różnica. Niemieckie obozy na polskich terenach. Polacy wtedy nie mieli nic do powiedzenia. Niemcy kazali budować, nawet może Polacy więźniowie im te obozy

budowali. Więc to jest możliwe, że Polacy budowali, ale pod batem niemieckim. Taka jest prawda, trzeba to przypominać, ale to chyba nie da się już ich przekonać... chociaż nie wszystkim trzeba. Były tu kiedyś takie dwie panie z Niemiec, przyszły z jedną Polką, która była tłumaczką. Przeprowadzały ze mną wywiady do książki o fabryce Boscha i potem mi posłały tę książkę. Tu są ich zdjęcia.

*A jaki właściwie ma pani teraz stosunek do Niemców?*

W tej chwili, jeśli chodzi o sprawy takie ogólne – jestem bardzo wierząca – to wiem, że wszystkim trzeba przebaczyć. Jan Paweł II też tak mówił i ja się z tym zgadzam. Ale wewnątrz to człowiekowi coś innego mówi...

Mamo, ale też mówiłaś, że byli Niemcy i Niemcy, wśród nich też byli dobrzy ludzie. Tak, byli, niektórzy Niemcy byli też więźniami. Nie wszyscy byli przecież w partii nazistowskiej.

*A faktycznie bywali w obozie Niemcy, którzy pani pomagali?*

Tak. Mój Einrichter, to jest taki brygadzysta po naszymu, był bardzo dobrym człowiekiem. Był bardzo dobry. A inny jak szedł, to... (Alfreda Gorączko zaczyna płakać).

*Ale co to właściwie znaczy, że brygadzysta był dobry? Jak pomagał?*

W sensie, że do tej pracy nie tak bardzo gonił, czasem mi pozwolił se odpocząć, czasem mi tam dał coś do przegryzienia, jakieś jabłko, kromkę chleba przyniesł. Jako człowiek był dobry, na takiego trafiłam. Ale byli straszni niektórzy, straszni. To od charakteru ludzkiego, od człowieka zależne. Żadna partia, nikt nikomu nie każe. A najgorsze to było aresztowanie i bicie na samym początku. Jak nas aresztowali, ta żandarmia niemiecka, to mnie i siostrę na zmianę bili tak strasznie, że nam kał szedł i bryzgał po podłodze. To było najgorsze, co mnie mogło spotkać.

A potem były takie szykany. To tam se swetr zaoszczędziłam na chlebie, to znaczy kupiłam se swetr, to mi ausjerka ściągnęła ten swetr. Po gębie dostałam i swetr zabrała. I na tym się skończyło, nie było ani chleba, ani swetra.

Było też bombardowanie, jak już szły wojska. Pamiętam, jak była Wigilia, jak my dostali po łyżce kaszy jakiejś prażonej, to było takie wielkie święto na Wigilię w 1944. Boże złoty, to się nie da opowiedzieć... Takie momenty przychodzą, to się nie da opowiedzieć.

*A były jakieś dobre momenty?*

Zdarzały się. Na przykład: ile było uciechy, jak żeśmy się dowiedzieli, że już się fronty zbliżają. To była największa uciecha. A jak przyszło już wyzwolenie, to żeśmy w tym marszu, w stodole pod Schwerinem, żołnierzy, zwłaszcza jednego Polaka, co był w wojsku u Anglików, tak obłapiały, że my go chciały udusić. Bo po polsku rozmawiał z nami. I mówił: „Dziewczyny, już nie będziecie niewolnikami”. Ale to wszystko już za mną.

Teraz staram się nie chorować, wytrzymuję, trochę przeszłam, pochorowałam trochę



po tych szpitalach. Prawie dziewięćdziesiąt lat się zbliża za dwa lata. Poleciało szybko. Poszłam dosyć dawno na emeryturę, pięćdziesiąt jeden lat miałam, bo mi na to uprawnienia wojenne pozwalały. Potem pomagałam przy wnukach, działałam w kole koleżanek z obozu, jeździłyśmy na wczasy, do sanatorium. Do siedemdziesiątego roku byłam ho-ho i jeździłam po miejscowościach różnych.

*A kiedy dokładnie była pani w którym obozie?*

Zaraz, chwileczkę... W Ravensbrücku byłam... Aresztowali nas najpierw 30 kwietnia, a drugi raz 2 czerwca 1944. Tego 30 kwietnia nas po prostu wypuścili na trochę. A od kwietnia parę miesięcy byłam w Lublińcu w więzieniu, bo tam było główne gestapo na ten teren. Stamtąd nas wieźli takimi krowiakami do Ravensbrück.

*Długo?*

Ja wiem, jak długo my tam jechali? Z tydzień, bo już były bombardowania. I te krowiaki odstawiali na boczne tory. Bez jedzenia, bez picia, bez – za przeproszeniem – toalety żadnej.

*Wiedzieliście, dokąd was wiozq?*

No, nie wiedzieli my. Jechali my i jechali my. Obiecywali nam tam różne złote góry, ale my wiedzieli, że jedziemy na stracenie. Tyle my wiedzieli.

*Wiedziała pani o obozach?*

Tak, tak, bo nas zaaresztowali – mnie z siostrą i tatusia, i ich wywieźli do Oświęcimia z Lublińca. Oni tam szybko jakoś zginęli w tym Oświęcimiu. A mnie wywieźli do Ravensbrücku i tam byłam jakiś czas, a potem do tego Sachsenhausen, a potem w kwietniu czterdziestego piątego w marszu – aż do 3 maja nas prowadzili. Potem nas oswobodziły wojska angielskie i rosyjskie – razem. To wojsko też potem razem chodziło pijane i gwałciło te więźniarki. Razem.

*O Rosjanach tak się mówi, ale Anglicy też?*

No pewnie, też. Tak samo pijane było, jak i wojsko rosyjskie. Tak samo, wcale nie różniła się postawa ich, zachodnich wojsk, od wschodnich. Jednak pochlali se razem i razem to chcieli robić, i robili. Zbiorowo, jeden po drugim. Tak się zbratali.

*Jak się broniłyście? Udało wam się uniknąć gwałtu?*

Jak się my chroniły... Tu znowu jest nie do wiary. Jeden Rusek się znalazł dobry i nas ochronił. Ale niektóre zostały zgwałcone baby. To są momenty nie do uwierzenia, też nie do opowiedzenia. W dzisiejszych czasach, gdybym to powiedziała, wszystko by na mnie siadło, że to nie tak. Że przecież Anglicy to kultura, a Ruscy nie byli ludźmi. A jak nas naprawdę Rusek obronił przed Anglikami?

Jak to może być? Pani mi wierzy?

*Nie mam powodu, żeby pani nie wierzyć.*

Alfreda Gorączko płacze. Odruchowo łapie ją za rękę, córka dotyka jej ramienia. Przez chwilę siedzimy w milczeniu. Czuję, jakbyśmy były podłączone pod sieć

napięcia.

Człowiek to był i u Rosjan, i u Niemców – kontynuuje Alfreda Gorączko, ocierając łzy – a były szatany tu i tu. Mnie się zdaje, że to jest zależne, co ma się w genach i w głowie.

*Co się stało z Niemcami, którzy was prowadzili w marszu?*

Niemcy byli przeważnie aresztowani, ale dużo uciekało. Zabierali na plecy, co tylko mogli. A myśmy znowu, jako więźniarki, tylko w tych ubraniach obozowych, szukały w pustych domach jakich przyodziewków, jak to się mówi. Jakichś kiecek, jakichś butów. Pamiętam, to był maj, a ja znalazłam takie czarne, wysokie, sznurowane buty w jakiejś szafie. I te drewniaki zrzuciłam, a nowe buty były na mnie dobre, ubrałam i chodziłam w tych butach jakiś czas. Potem jeszcze dostaliśmy paczki unrowskie tak zwane, to żeśmy się tak trochę poubierali. Bo przecież zostawieni zostaliśmy w tych ubraniach więziennych...

*W pasiakach?*

Nawet nie pasiaki już były. Bo tych pasiaków im brakło, jak mnie przyjmowali. Dawali takie stare lumpy, co na śmietnik się dziś wyrzuca. Jakie mieli, takie nam dawali. Żeby tylko nago nie być. Więc od początku do końca nie miałam pasiaka. Z początku w więzieniu w Lublińcu byłam jeszcze w swoim ubraniu, w jakim mnie aresztowali. A potem pamiętam, że wszy to już my mieli wszędzie. I w głowie, i nawet w ubraniach były. I holtszuły miałam, takie drewniaki. To nawet holtszuły nie były, ja już sama nie wiem, takie trepy po prostu. Tak, trepy to nazywali.

Ja nie mam tatuażu. Tu miałam numer taki. Swoją własny numer. I jeszcze takie „P”. To było na kawałku szmatki naszyte na ubranie chyba. A potem były te winkle – my mieli czerwone „P”, a Żydzi – już nie pamiętam – żółte chyba? W innych kolorach to mieli.

I ciągle praca, nie mieliśmy nigdy wolnego ani świąt. Tylko raz ta kasza na Boże Narodzenie. To se zapamiętałam, że w tą Wigilię Wandzia Gawlikowska chciała lecieć na druty elektryczne.

*A jedzenie?*

W Sachsenhausen chleb razowy, ciemny, kromka jedna na cały dzień. Oprócz tego dawali taką kosteczkę margaryny, może deko dziennie. Zupę brukwiową raz dziennie. Gotowali brukiew i buraki jakieś pastewne, takie rozgotowane, ciepłe, jedną chochlę. Każdy miał swoją miskę i nigdy niemytą, bo szkoda było mycia, do końca się wylizywało te miski, żeby były czyste, żeby się nie zmarniła odrobinka jedzenia. Pod wodociąg się mało kiedy szło. I czarną kawę dawali – jak by to dziś porównać – jak inka, jakaś zbożowa, ale gorsza była w smaku. I pływały w niej jakieś fusy. Raz na dzień taki garnuszek półlitrowy. Poza tym praca i apele. Te apele to nieraz trwały po dwanaście godzin. Od apelu do apelu. A normalnie apel i do roboty, z roboty do

apelu. Spania bardzo mało było. Wieczorem już nie było jedzenia. To było straszne. A, to już minęło.

*Jak było z higieną?*

Ha, z myciem... takie mieliśmy mycie jak kotki. A na Wielkanoc, pamiętam, dali nam coś takiego... nie wiem, jak to nazwać. Na nodze stało i takie pałaki miało, kilka nas siadało dookoła na tym i albo ciepłą, albo zimną wodę puszczały. A raz puścili, pamiętam, gorącą wodę. I ta woda tak szła na wszystkie strony, i z osiem lub dziesięć osób tam siadało na tych brzegach, i tak żeśmy się myli jak kotki.

*Dostawałyście mydło?*

Mhm, było, taka kosteczka raz na miesiąc, zielone, twarde, wszyscy wtedy mówili, że z trupów robione to mięso... Nie mięso, tylko mydło. Dawali nam też coś takiego, żeby żadna kobieta nie miała okresu. To się nazywało... nie pamiętam. Ja nie miałam jeszcze okresu, nie miałam z tym problemu, bo byłam jeszcze nierozwinięta jako kobieta, miałam siedemnaście, osiemnaście lat. Ale te kobiety, które miały trzydzieści, czterdzieści lat, miały problemy, bo miały zatrzymane to wszystko. Dawali coś takiego do jedzenia.

*Ale co właściwie dawali?*

Dawali coś takiego. Wszystkim kobietom dawali. A mężczyznom dawali, żeby nie mieli popędu płciowego. Do tych zup coś dodawali. Ale przysięgnąć ja nie mogę, co i jak dawali, bo ja nie pracowałam na kuchni. Oni tam mieli zaufanych, którzy swoje robili. Taka była matka z córką w obozie, ta matka gdzieś pracowała w kuchni, to czasem przemyciła jakiegoś ziemniaka i przyniosła takiego w łupince. Ale się też narażała. Ja nie lubię o tym mówić.

Mamo, ale jak ty będziesz mówić i inni też, to młode pokolenia będą wiedzieć, jak to było.

No, to się... bo to nikt nie jest w stanie wszystkiego opowiedzieć. Coś się powie, ale też podświadomie się różnych rzeczy nie powie. Normalna rzecz.

A jeszcze robili takie doświadczenia na niektórych kobietach. Wycinali tutaj te żyłki im w nogach, w Ravensbrück. To była doświadczalnia. Doświadczenia z wycinków żylnych.

*Co się potem działo z tymi kobietami?*

Niekoniecznie umierały. Niektóre przeżywały, ale dużo umierało. No, jak tak by pani wycięli z nogi te żyły bez niczego i gdzieś powstało jakieś zakażenie, no, to umarło. Nie dbali o to, więc dużo umierało, ale niektóre przeżyły. To robili lekarze jakieś, ale czy obozowe? Tego nie wiem, bo ja nie miałam tego doświadczenia robionego. Jeszcze po wojnie tutaj spotkałam takie, które miały robione te doświadczenia. One potem dostawały specjalne odszkodowania od Niemców. Na przykład była taka Sobotowa z Zawiercia. To były Polki, takie więźniarki jak i ja. Jak szli, to na apelu wybrali tę, tę, tę, kogo im się podobało, brali. Ale one później, po wojnie, musiały

udowodnić, że miały te doświadczenia robione.

*Była pani kiedyś w szpitalu obozowym?*

Nie. Dopiero byłam w poobozowym. I to niemieckie lekarze nas leczyli. Tak, Niemcy. Kazano im. Oni dostawali bardzo dużo za to, żeby nas wyleczyć. Wojsko andersowskie im dawało – nie pieniędzy, ale paczek, czekolady, konserw, całe paki dostawali te niemieckie lekarze od wojskowych. Ale to już nie byli ci lekarze obozowi, inni. Był też jeden Łotysz. Ale to było tak: Łotwa to ona była sprzymierzeńcem Niemców. I ten Łotysz też tak różnie leczył tych ludzi po wyzwoleniu. Są takie różne momenty, że to się wszystkim wszystkim nie powie.

*Jakich narodowości były pani koleżanki z obozu?*

Oprócz Polek Francuzki se przypominam. Żydówki były też, ale Francuzki mi specjalnie utkwiły w głowie, bo one się strasznie lubiały malować (śmiech). One strasznie to lubiały. Nie wiecie nawet, czym one się malowały.

*Czym?*

Burakami czerwonymi. Jak dopadły czerwonego buraka, to se usta malowały i tu se poliki też malowały. Bo się nie miały czym innym, to burakami.

*A skąd brały te buraki?*

Gdzieś przemycały z kuchni. Buraki, brukiew – korpiele inaczej się to nazywa, zależy, w którym regionie. W jednym miejscu – brukiew, w drugim – korpiele. A buraki to tam były takie, jak teraz się do barszczu daje. One to brały. Takie różne szwindle szły.

Pamiętam, jak sobie ten chleb odkładałam i kupiłam ten swetr, a potem straciłam swetr i chleba nie zjadłam.

*A od kogo go pani kupiła?*

Od ausjerki jakiejś, od Niemki takiej jednej. Frau Ausierin, po prostu. Nad kapo były ausjerki, Niemki. Einerichtery to my byli, co pracowali przy maszynach. (Alfreda Gorączko krzyczy:) „Achtung! Runtergehen!” Na dół do tych piwnic! – jak do spania mieliśmy iść.

*W obsłudze obozu były głównie kobiety?*

Kobiety, ale mężczyźni też byli. Wachmani ich nazywali. Pamiętam, na takie spaceru nas gnali przymusowe, żeby my mogli chodzić. Jak się stało na tym apelu, to potem nas gnali parę kilometrów, żeby nam się nogi nie zastawały. Nawet poza naszym ogrodzeniem, poza obozem, ale uciekać się nie dało, bo to pod karabinami się szło.

*A które więźniarki miały, według pani, najtrudniej w obozie?*

E, powiedziała bym, że chyba jednakowo nas traktowali. Nie zauważyłam, nie odczułam inaczej. A między sobą też różnie. Każda grupka się trzymała osobno, tylko ze swoimi. Polka do polskich. Francuzki swoje.

*A jak was na co dzień traktowała obsługa obozu?*

Według mnie albo szykany były i bicie, albo wcale się nie odzywali. Niemcy z nami

nie utrzymywali kontaktu. A jak któraś była bardzo ładna, to se wybierali i zabierali. Która im się podobała. To tak, jak teraz idzie ten film *Wspaniałe stulecie*, co dzieje się w Azji. Sułtan miał, co tylko chciał. No i Niemcy byli sułtanami naszymi.

*Co się działo później z tymi wybranymi kobietami? Wracały do was?*

Nie. Niektóre to wywozili w ogóle z naszego obozu. Mówili na przykład, że takie ładne warszawianki z powstania, co były poprzywożone, to wywozili do domów publicznych do Hamburga. I niektóre chętnie pojechały, bo w ogóle w Warszawie też były prostytutkami. Może im to nie przeszkadzało. A czasami się zdarzało, że Niemcy brali jakąś, ale ona potem do nas wracała, jak nie odpowiadała im seksualnie, to zwracali ją z powrotem do nas do obozu. Nie zabijali, przychodziły z powrotem.

*Jakie było otoczenie obozów?*

Były lasy. To było na terenie lasów.

*Czy w obozach było głośno?*

Cicho było. Jak kogoś wzięli na przesłuchanie, no i wydawał jęki na męczarniach, to było słycać. A tak to cisza. Rozkazujące komendy były głośne, jak trzeba było iść na apel.

*Jaki był zapach na terenie obozu?*

Trupami śmierdziało.

Mamo, naprawdę?

Naprawdę. W Ravensbrücku, jak my tam przyjechali, to nas rozładowali. Tam był taki duży plac i były te lekarze niemieckie. Wszyscy my na goło całkiem tam spacerowali, tak musieli. A oni nas oglądali i tak sobie przebierali. A jeszcze do tego była taka jakby piwnica postawiona lub bunkier. Ja tam zaglądałam, tam leżała goła kobieta, trup leżał. Może od doświadczeń. Tymi trupami to wszystko śmierdziało dookoła. Ale jeszcze ten taki plac i był jakiś nasyp. Pamiętam, był taki piaskowy. Ja tam nie miałam nigdy żadnej biżuterii. Jeszcze jak byłam aresztowana przecież, nie miałam żadnego złota. Ale te warszawianki, co były poprzywożone, to w ten nasyp chowały złota wszystkie różne. Niektóre to całe duże worki miały tego złota, szczególnie Żydówki miały tego złota bądź ile. I chowały tam w piasek. Myślały, że przyjdą znowu z baraków i sobie to podbierają. Ale gdzie. Potem już oni, Niemcy sami, przegrzebywali te piaski, bo wiedzieli, gdzie jest chowane złoto. Jak się szło najprzód do tej łaźni, no, to trzeba było wszystko z siebie zrzucić. One to wiedziały, więc chowały w ten piasek, grzebały te złota. Ale i tak już go nigdy nie odzyskały. Bo ich nie dopuścili do tego miejsca z powrotem. A poza tym wiedzieli, że one grzebią, jak czekają na kolejkę do selekcji, że tak powiem. Sami przegrzebali i znaleźli to, co chcieli. O, Niemcy od tych więźniarek to się bardzo z bogacili. Całe to państwo na tym stoi – jak każda Żydówka miała większy czy mniejszy worek złota, tak mniej więcej można powiedzieć, i tych różnych drogich kamieni. A ja złota nie miałam, nic im nie dostarczyłam.

*Co jeszcze z wami robiono, gdy przyjechaliście do obozu?*

Włosy ścinali. A szczególnie tym, które piękne włosy miały. Bo niektóre miały. Ja to takich pięknych nie miałam, tak mi ścięli króciutko, może tak, jak teraz mam. Ale nie całkiem mi zgolili, bo nie były ciekawe. A włosy tych, co mieli takie ładne, zabierali – gdzieś potrzebowali na peruki czy na coś tam. Więc zabierali niektóre. Piękne były, i blondynki, i czarne, z pięknymi warkoczami. Potem do łaźni. I obozowe ciuchy. Już się nie wracało. A te swoje ciuchy dawali komu innemu. Znowu innych więźniów ubierali, z nowego transportu. I tak było w kółko. I badano wzrok. Wtedy, co nas tam przywieźli, jak nas porozbierali, to badali wzrok i w ogóle inne rzeczy badali. I sprawdzali jeszcze, czy się ma te różne takie inne... insekty (Alfreda Gorączko odruchowo drapie swoje przedramię. Dopiero po chwili zauważa tę czynność). Aż mnie teraz zagryzły (śmieje się).

Ja byłam taka nieciekawa. Chyba przez to przeżyłam, że byłam ani za piękna, ani taka już staruszkowata, ani nic. Taka byłam zwyczajna.

*Dlatego pani przetrwała to wszystko?*

No. A oprócz tego to chyba dlatego, że Pan Bóg tak chciał. Niech pani pamięta zawsze wierzyć w wiarę, a wyjdzie pani cało. I nic więcej. Chciał Pan Bóg, żebym ja wróciła. Jak nas aresztowali, to taka starsza siostra, która gdzie indziej mieszkała, widziała, jak nas prowadzili ci żandarmi. Drogą szli: ja, siostra i tatuś. I ja się oglądnęłam za nią, do domu, do okna jej domu. I siostra zaraz powiedziała: „Fredka to wróci. Ale tatuś i Hela nie wrócą”. I rzeczywiście tak było. Tak jakby wiedziała, że wrócę. A ojciec i siostra to zginęli raz, dwa.

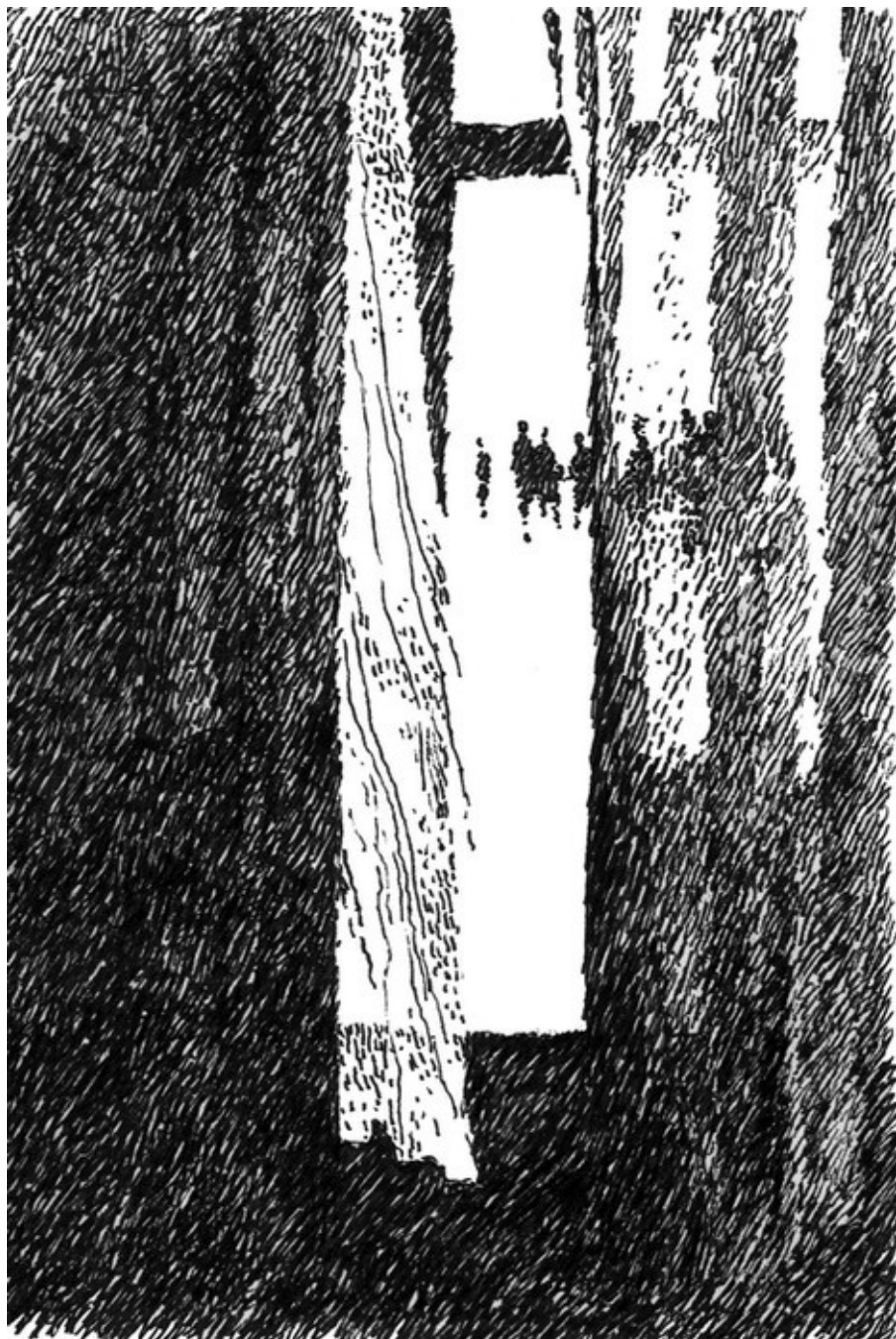
Mamo, a jak się na wsi, w Kołaczkowie, dowiedziano, że oni zginęli?

Tam przyszło do wsi, skąd pochodzę, zawiadomienie o ich śmierci, ale tej kartki to ja już nie mam. Napisali, że umarli na serce. Jakoś tak to opisali, że osiem minut różnicy między ich zgonami było. Dokładnie była podana data. Osiem minut różnicy między siostrą a ojcem. No, pewnie ojciec poszedł do gazu za jednym zamachem, a siostra za drugim. Według mnie z męskim i babskim transportem. To było w Oświęcimiu. Tak zginęli oboje. A mnie wywieźli tam gdzieś za Berlin, to pani już wie.

*Ciekawe, czemu was rozdzielili.*

A, nie wiem. To nie było ode mnie zależne. Ani od nich. Hela – moja siostra – miała wtedy trzydzieści dwa lata. A ja miałam siedemnaście. Ona jest z 1912, a ja byłam z 1927. No, to tyle byłam młodsza. Oni wyjechali wcześniej z aresztu w Lublińcu do Oświęcimia, 25 sierpnia. A ja jakoś wyjechałam 11 września dopiero. Tam, w obozie, znalazłam się gdzieś w październiku, w Ravensbrücku. I od października byłam w tym Ravensbrücku, a potem w Sachsenhausen i w marszu aż do wyzwolenia 3 maja. I tak było.

*A jak wyglądała fabryka Boscha, w której pracowaliście?*



Było tak: myśmy tam mieli spania pod ziemią, w piwnicach. Mieliśmy prycze, jedno i drugie piętro. A fabryka była na parterze i na pierwszym piętrze. Takie długie bloki były czy baraki. Jak przyszło bombardowanie, to fabryka stanęła 2 lutego 1945, pamiętam jak dziś, bo było Matki Boskiej Gromnicznej. I ta data mi się ustawiła w mózgu. Stanęła fabryka od tego czasu, bo wszystko zdmuchnęło z wierzchu. Zerwało dachy – od powietrza. Sama bomba nie padła w budynek, tylko obok budynku. I wtedy nas przewieziono od Boscha do obozu Sachsenhausen.

*Zimno musiało być w tym piwnicach, gdzie spałyście...*

W piwnicach właśnie było ciepło. Z jeden strony prycze, z drugiej strony prycze, korytarz jeden i cele, i prycze. Tam było ciepło od samych nas, bo było ciasno, jedno obok drugiego. Prycze mieli wszędzie jednakowe – i w Lublińcu, i w tych barakach, wszędzie jednakowo. Ale w piwnicach cieplej niż w barakach. Szczury były i pchły. Niektórzy to jedli te szczury.

*Widziała to pani?*

Mhm. Szczury były jedzone przez więźniów dość powszechnie.

*Na surowo?*

Na surowo. Ale to nic. Podobno – ja nie widziałam, koło mnie się nie zdarzyło, ale tak mówili między sobą – że nawet ludzie ludzi jedli. Trupy te, co padały, jedli po kawałku. Ale nie widziałam tego. Czasem jeszcze to mi się wszystko wspomina, jak leżę.

Żegnamy się. Alfreda Gorączko ściska mnie, zapewniając: „Już wszy nie mam”.

A przepraszam, do czego to pani potrzebuje?

*Do książki o was, którzy przeżyliście.*

Aha. Wie pani, może nie tak wytwornie mówię, ale za to mówię pani, jak czuję. A pytam, bo kiedyś, niedawno, chyba 10 kwietnia, byliśmy z córką na obchodach obozowych na cmentarzu Rakowickim, przy naszym pomniku, i telewizja nagrała ze mną wywiad, obiecali, że będzie w telewizji. Mieli pokazać i nie było. Na tym się skończyło. Ciekawa jestem dlaczego.

Ale mam, to zderzyło się z inną datą i ważniejszy był Smoleńsk, rocznica smoleńska.

No, ale mogli przesunąć Smoleńsk. Lub nas przesunąć na inny dzień i zawiadomienie posłać, kiedy będzie. Zaniedbanie zrobili. Po co nas nagrywali? U pani też może ktoś nie pozwoli tego wydać?

*Nie damy się.*

I ja dostanę tego dowód?

*Tak.*

To pośle mi pani taką książkę jedną?



Oczywiście.

A ile to potrwa?

*Pewnie ukaze się w ciągu roku.*

A jak nie będę żyła za rok, to co?

*Coś czuję, że będzie pani żyła.*

Chyba tylko dla tej historii.

**Julian Wieciech**

Chce pani zobaczyć mój klucz?

*Pewnie.*

Ale może najpierw pokażę pani dokumenty, które mogą panią też interesować? To jest rozpracowanie akcji na więzienie w Wiśniczu. Tu jest – widzi pani – brudnopis, który gdzieś się jeszcze zachował. Pójdźmy teraz obejrzyć klucz.

Oglądamy ciężki, stary klucz dużych rozmiarów.

To jest właśnie klucz od bramy głównej więzienia, któreśmy oswobodzili. To jest klucz, który mamusia mi przechowała, gdy byłem w obozie. To jest klucz, od którego wszystko się zaczęło. I jak to pani widzi?

*Ma pan rewelacyjny klucz. A opowie mi pan, jak go zdobył?*

Opowiem.

*To są pańskie opaski obozowe?*

Tak, tu jest mój numer pierwszy i drugi, bo miałem jeszcze drugi. W Gross-Rosen miałem 85357, a później, w Bergen-Belsen, 135815, ale do tego numeru nie zdążyłem się przyzwyczaić, za krótko było. A opaska to kopia, zrobiona później.

*A co się stało z pańskim pasiakiem?*

Nie, proszę pani, ja nie miałem pasiaka. Jak przeszliśmy z obozu do obozu, to zmienili nam wszystko. I dawali ciuchy, co były z tych, co poumierali. Jak tylko przyszedłem do Gross-Rosen, to miałem pasiaka. A potem, gdy poszedłem do drugiego, trzeciego obozu, już nie. Bo to jest duża historia. A tu jest trochę odznaczeń moich. Tu kartka wysłana z Gross-Rosen. Ale już zmieniłem temat. Bo ja tak chaotycznie dziś mówię.

*Czyli mógł pan pisać do rodziny z obozu?*

Jak mnie aresztowali, to zaraz później w Lipnicy zjawilo się wojsko, bo zbliżał się front. I w naszym domu zamieszkali dwaj jacyś niemieccy oficerowie. Siostra tak płakała, jeden spytał, co się dzieje. Powiedziała, że aresztowali dwóch braci, Tadeusza i Juliana. On zamknął się ponoć w pokoju, by ten drugi nie widział, i napisał list. Powiedział, że skieruje go do przekazania do wszystkich obozów koncentracyjnych w Niemczech. Tak to jest – ja spotykam dobrych i złych Niemców, to muszę pani przyznać. Ten list brata mojego już nie znalazł, ale dotarł do mnie. Wtedy siedziałem w karnej kompani, u Vogla tak zwanego, XIX blok. Nie wiem, dlaczego tam mnie dali, bo młodzież normalnie dawali na XXII blok. Może dlatego, że niemiecki znałem? Bo nas zatrzymano takich trzech młodzieżowców. Blokowy Vogel jednego wykończył zaraz na drugi dzień, a drugiego gdzieś przeniósł. A ja u niego trwałem, no i cierpiałem, jak mogłem. Jak przyszedł ten list, to nie przynieśli mi go na blok, tylko przez głośniki ogłosili: „Häftling”, to znaczy więzień numer ten i ten natychmiast do wydziału politycznego. No, to blokowy – bo on zawsze był

największy drań, to był zresztą Niemiec – prowadzi mnie i popycha, potrąca, doprowadził mnie do bramy. A wtedy stał na bramie jakiś żołnierz, który mu coś na ucho tak mówił. No i ten Vogel został, czekał, aż wrócę. Może myślał, że nie wrócę albo wrócę pobity.

Przychodzę na miejsce, jeden wyciąga list od siostry i mówi: „Kto to pisał?”. A ja mówię: „Pisała siostra”. On mówi: „O, a skąd ty po niemiecku umiesz mówić?”. Ja kręcę, że w szkole tego, owego. I w końcu mi się wyrwało, że ojciec był w wojsku austriackim, to stąd czasem jakieś słowo znam. A tamten jak wrzaśnie: „Nie w austriackim – niemieckim!”. To zaczynają się dalej pytać: „Volksdeutsch? Reichsdeutsch?”. O dziadki, babki, prababki, wszyscy po kolei. Ja mówię: „Nein, nein, nein”, wszyscy nie. I tak popatrzyli na siebie. Mówią, żebym napisał kartkę. Ja mówię, że nie mam kartki. To pytają o pieniądze. Okazało się, że co trzy miesiące jakieś dwie marki każdy, co tam pracował, powinien dostawać. A ja nigdy nic nie dostałem. Więc mówię, że nie mam. No więc jeden wyciągnął kartkę z biurka i każe mi pisać. Myśleli chyba, że jak przyjdzie mi pisać, to ja nie napiszę po niemiecku. A ja siadam i piszę bezbłędnie, po niemiecku oczywiście.

Wyprowadzili mnie spokojnie. A ten blokowy – łobuz wielki, co tyle krzywdy mi zrobił, tyle bicia, raz wyrzucił mnie do łazienki, bo myślał, że mnie już zabił, pobił na śmierć, ale w nocy przyszli inni, też Niemcy, i wyciągli mnie, zawlekli na plac i przy ich pomocy stanąłem na apelu. Blokowy Vogel melduje stan i melduje o tę jedną osobę mniej. A ten, co przyjmował apel, mówi: „Wiederholen”, powtórz! I powtórzył za małą liczbę, bo myślał, że ja już zostałem w łazience jako trup. List przyszedł niedługo po tej sytuacji, na szczęście. I ten właśnie blokowy wyszedł po mnie, jak mnie wyprowadzali z politycznego, i zdębiał. Bo nie byłem pobity. A jeszcze ten, co mnie wyprowadzał, mówi mu: „Vogel, Vogel, pass auf”, czyli uważaj. I ten zgłupiał. Nie wie, jak iść. O to się pyta, tamto. A ja na razie nic nie mówię. I specjalnie go trzymam. W końcu mówię: „Mam iść na wolność”. Na to on, że „unmöglich”, to znaczy niemożliwe – mnie się tak niemiecki wyrywa czasem.

Leżałem wtedy wciąż w sali dla nowo przybyłych w rogu i tam było jak czort – bo ciągle nowi na tej dużej sali, co dostawali chrzest. Blokowy spał w sali obok z funkcyjnymi, tam mieli ciepło, piec, a blokowy nawet kota miał, kotkę taką wstrętną – raz nieomal mnie zabił przez nią, bo ktoś ją kopnął, a ktoś inny pokazał, że to ja. Więc po tej wizycie na wydziale politycznym blokowy kazał zabrać mój siennik stamtąd i przenieść na tę salę, gdzie siedzieli funkcyjni. I położyć ten siennik przy drzwiach. A ci funkcyjni, jak to zobaczyli, pytają: „Co to śmierdzące gówno tu robi?”. On coś wrzasnął do nich, momentalnie się uspokoili. Od tej pory byłem wrogiem i ich, i jego.

*Mówił mi pan wcześniej, że któregoś dnia przywieziono do obozu kobiety po powstaniu, z Warszawy, i to miało znaczenie dla pańskich losów.*

Tak. I te kobiety tam pracowały, w Gross-Rosen. Ja byłem wtedy na XIX bloku. Wtedy się rozchorowałem, to już było po liście od siostry, i nie tylko siostry. Byłem już wtedy do niczego. O dziwo, Vogel już po godzinach pracy przyprowadził mi jakiegoś felczera. Ten popatrzył, mrugnął na mnie raz i drugi, i mówi, że to zakaźne. No, to prędko Vogel pobiegł na rewir, na izbę chorych, do baraku II, żeby mi znaleźć miejsce. A barak II to byli sami Niemcy. Na przykład ci, co robili zamach na Hitlera. I polityczni w ogóle. Vogel przyprowadził mnie, coś tam pogadali z blokowym – Czechem albo Słowakiem, pieron wie, jakiej narodowości, bo nie chciał się ujawnić, ale po niemiecku dobrze mówił – i ten zabrał mnie na salę, gdzie leżał tylko on sam i były burmistrz miasta Wrocławia. Taki bardzo staruszek. Tam mi wskazano miejsce, było bardzo wygodne, spokojne, po tym wszystkim. Dwa dni leżałem, dobrze mi było. Zastanawiałem się, czemu nie zaprowadzili mnie już ewentualnie na ten blok politycznych, gdzie tyle Niemców. Na początku leżeliśmy w ciszy, udawałem, że nic nie rozumiem. Burmistrz był na dole, a ja na górze, a w kącie miał łożko blokowy. Po jakimś czasie zaczęliśmy z tym, co był na dole, rozmawiać. Breslau – niemiecki, Wrocław – polski. Jak myśmy się kłócili, tego nie zapomnę. Ale on i tak był dobry człowiek, imienia jego teraz nie pamiętam. Do niego przychodzili często wysokiej rangi ludzie w odwiedziny, mimo że on był przecież zdrajca. Towarzysko zaglądali i po cichutku rozmawiali. Jak jaki wchodził, burmistrz chrząkał, żebym się nie odzywał. Jak o mnie pytali, to mówił: „Nein, nein, verstehe nicht”, nic nie rozumie po niemiecku. A jeden spytał: „Warum hier ist Polen”, dlaczego tu Polen? A on mówi: „Ich weiß nicht”, nie wiem. Ja to wszystko słyszałem: jak zajęli Kraków, jak wojna się toczyła, wszystko wysłuchałem. A potem znowu, jak poszli, kłóciliśmy się, kto wygra i czy będzie Breslau, czy Wrocław. Tak się nam dobrze powodziło. To było tak dobrze, bo jemu przynosili jedzenia tyle, że on nie mógł przejeść. Z drugiej strony, koło ściany, zawsze wędrowała część dla mnie. Odżyłem wtedy. Ale to krótko trwało. Nagle jednego dnia alarm. Przywieźli z powstania warszawskiego ludzi, chyba tylko kobiety. XIX i XV blok zajęły kobiety. Wtedy w szybie pojawił się taki jeden, nie blokowy, ale kapo, który nie był u nas kapo, ale przychodził do nas na dziewiętnastkę spać. Byli tacy funkcyjni, co przychodzili do dziewiętnastki właśnie spać, bo bali się spać razem z tymi, którzy pracowali w ich blokach. On się pojawił w szybie, nawet zaczął ze mną rozmawiać i mówi: „Słuchaj, gdzie ty masz kogo?”. I nagle po polsku mówił, a przedtem ani razu. A ja mówię: „Nigdzie nie mam”. Przyniósł koc czy coś i zabrał mnie, przeniósł już po gongu na blok V. Na waleta położyli mnie z kimś innym, kto zresztą po chwili się ulotnił.

Proszę sobie wyobrazić, że rano zawołał mnie blokowy: podejdź i podaj numer, mówi mi. I mówię mu nazwisko moje, numer, a on pyta mnie po polsku, mimo że ma winkiel niemiecki, czy mam brata. Mówię, że miałem. A to się okazał brata mojego kolega z podchorążówki. On mówił po polsku bardzo dobrze, ale tak samo dobrze po

niemiecku. Może to był Volksdeutsch.

Tyle zdarzeń, co się wydają nieprawdopodobne. Ten blokowy zastanawia się: co ja teraz z tobą zrobię, gdzie cię umieszczę? I od razu mówi: dam ci taką pracę, nie będziesz chodził nigdzie, ale będziesz przyszywał i odrywał numerki, przyszywał i odrywał. Ale odrywaj, żebyś miał co robić. Bo więcej numerów już nie ma, tylko tyle. Ulokował mnie przy oknie w takiej małej ciupce, żebym widział, kto idzie. Trwało to trochę, ale krótko, bo później zaczęła się ewakuacja. Ale byłem już pewien, że Vogel mnie nie dosięgnie. Niesamowite szczęście.

Był taki inny przypadek: jak już byłem zupełnie wykończony, gdy dostałem się przez głupotę do karnej brygady, to codziennie rano bez śniadania pchaliśmy wózek na kołach. Na nim były kotły z zupą dla esesmanów, którzy nas pilnowali w lesie przy robocie. Oni tam się posilali, a my nic. Dopiero po pracy wracaliśmy też pieszo i dostawaliśmy ochłap posiłku.

*To było jeszcze w Gross-Rosen?*

Nie, po tamtych zdarzeniach w Gross-Rosen akuratnie szybko wnet była ewakuacja do następnego obozu. To, co teraz opowiem, było już w Harzungen.

*Chciałabym jednak spytać o jeszcze kilka wątków związanych z Gross-Rosen. Przecież tam był pan najdłużej?*

To może później?

*Jeśli pan chce. Ale dlaczego nie od razu?*

Bo chciałbym pani opowiedzieć na początek to, co najbardziej niesamowite mi się przydarzyło. Kto wie, czy potem znowu porozmawiamy?

*Porozmawiamy.*

Obiecuje pani?

*Obieuję. A pan obieca, że wrócimy do Gross-Rosen? Także do tych mniej przyjemnych historii?*

Wrócimy.

*Umowa stoi. To teraz Harzungen?*

Harzungen, czyli mój następny obóz, gdzie na początku było trochę lepiej. Bo tak: w kuchni pracował taki kucharz z Krakowa, z ulicy Rzeźniczej, kulawy był. Nie dostałem się do tej grupy, co miała przynosić jedzenie na blok, ale on zawsze coś mi tak po kryjomu skombinował. Więc jakoś się lżej żyło. Do czasu, gdy wpadłem. Przywoziliśmy kamienie na obóz. I jak żeśmy szli obok kuchni, tośmy kombinowali, żeby coś się udało dostać. Akurat nas pilnował Niemiec, starszy dziadek był zresztą, mówi: uwaga, uwaga, *pass mal auf*, bo będzie kontrola na bramie. I kilku nas nie miało nic, ale dwóch innych ściągnęło płaszcze, włożyło w nie kawałki chleba między kamienie. Tak wchodziliśmy przez bramę, już weszliśmy, aż nagle ktoś się zorientował, że oni nie mają tych płaszców, no i kazali zrzucić kamienie. Zrzucili, okazało się, że w tych płaszcach był chleb. No i oczywiście cała grupa na karny

blok. I wtedy żeśmy chodzili do lasu i pchali ten wózek. Wie pani, chyba spotkałem z sześćdziesiąt procent dobrych esesmanów z tych, których spotkałem w ogóle. Bo ten dziadek esesman, co nas prowadził, to nawet czasami nam trochę pomagał pchać ten wózek. O, co to, grzmi?

*Zaczęła się burza. I nieźle leje.*

Faktycznie. A potem mam takie zdarzenie, które jest wprost nie do wiary. W Harzungen, który podlegał Mittelbau-Dora. Jeszcze wcześniej, przed Harzungen, zawieźli nas do Nordhausen i tak nas dopakowali na jednej sali fabrycznej – nie było ani wody, ani ustępów, nic kompletnie. Chodziło się do dołów na zewnątrz, żeby się załatwiać. Ciężko było dojść, bo tyle trupów tam już leżało, co padli, można się było na nich pośliznąć i wywrócić.

I jednego dnia, pamiętam, jak nagle dają zupę. A długo nie dawali zupy, nic zupełnie. No więc dają tę zupę, dostałem. I jakiś starszy więzień przechodził obok mnie i chlust, wylał. Ja na niego z pyskiem, a on: psyt, nie jedz, nie jedz. Na drugi dzień prawie osiemdziesiąt procent tych ludzi, co jedli, umarło.

*Co to było?*

Jakaś trucizna. Tam w obozie już nie było miejsca wtedy i tak dalej. Może chcieli zamknąć ten podobóz? Sam nie wiem. Dopiero stamtąd nas – tych, co przeżyli – zabrali do Harzungen. Ale może chce się pani czegoś napić? Tu ma pani wodę i szklankę. A tutaj ciasteczka i orzechy, proszę się częstować – Julian Wiecech wskazuje na zastawiony stolik.

*Dziękuję, teraz jakoś mi trudno, może nieco później?*

Ależ nalegam, proszę się nie krępować.

Julian Wiecech przerywa opowieść, uprzejmie podsuwa miseczkę i konsekwentnie częstuje, aż ustępuję i długo gryzę orzech włoski. Julian Wiecech czeka, aż skończę, po czym mówi, że w Harzungen było lepiej.

I tam, w Harzungen, jak już mówiłem, było trochę lepiej. Dopóki nie wpadliśmy z tym chlebem. I tam to samo – dużo dobrych Niemców i dużo złych. Był też ten dziadek, który nam pomagał trochę pchać wózek. Zrewanżowałem mu się zresztą później w Hanowerze, już po wyzwoleniu. Wpadłem na niego przez przypadek na ulicy, rozpoznałem go, a on się wypierał i bronił, że to nie on i nie on. A ja mówię, że to on. Żeby się nie bał i poszedł ze mną do biura. No i poszliśmy, zaświadczyłem za niego.

*Kim był ten dziadek?*

On był normalnym esesmanem, pracującym w obozie. Ale przyzwoitym. Ale co ja chciałem pani powiedzieć, uciekło mi...

*Pewnie miała być jakaś przygoda?*

Aha, przygoda. Już zbliżał się kwiecień. W tym lesie, w brygadzie karnej, nosiliśmy drzewo. Myśmy tam chodzili i był taki jeden esesman pilnujący pracy w lesie. Ścinał drzewo i cięli, nosili do samochodu, po czym trzy–cztery kilometry z powrotem. Ten esesman któregoś dnia się na mnie jakoś uparł. Dlatego, że gdy niosło się drzewo, próbowałem iść z przodu pod górę i z tyłu, jak było z góry. Obijałem się po prostu. Byłem mały, to łatwo było. Ten esesman to zauważył i zaczął mnie pilnować. Tak że nie dało już nic się udawać, aż ledwo żyłem. I nagle mamy apel w godzinach pracy. Alarm, wszyscy na plac apelowy, głośniki ryczą. A ja najpierw nie mogłem tak od ręki odłożyć drzewa, a później powoli szedłem, więc ten, co mnie od dłuższego czasu pilnował, nic, tylko tu mnie popchnął, tam mi dołożył. Inne grupy już stają na apelu. Władza była na samochodzie, ręka na temblaku – pamiętam, jakiś oficer wysokiej rangi. Myśmy przyszli późno i ta władza spytała naszego esesmana, co tak późno. A ten wskazał na mnie i mówi, że leń, że to, że tamto, zaczyna na mnie opowiadać. Ja tego nie słyszałem, bo byłem zbyt daleko od samochodu, ale inni mi potem powtórzyli. A ten na samochodzie słucha, słucha i w końcu pyta: a czemu on taki schlamm i mokry. A tamten mówi: dlatego, że nierób.

Wiedziałem, że byśmy już nie doszli do obozu wtedy. To znaczy ja bym nie doszedł. Już nie miałem sił, byłem tak sponiewierany przez tego drania. Ten na samochodzie słucha, ale w końcu pyta się, nie słyszałem, ale ktoś głośniej mi powtórzył, że on pyta, co jest. Ja wystąpiłem i mówię, że my ciężko pracujemy, nie dostajemy Frühstück, śniadania, trzeba iść, dojść, wrócić, ciężka praca i bez jedzenia. A ten na samochodzie, nie esesman, jak się potem okazało, ale jakiś wojak, wyciągnął kartkę. I spytał, kto z zebranych potwierdzi, co ja mówiłem. No i najpierw jeden, co by też już nie doszedł do obozu, potem drugi, może pięciu wystąpiło, ale tak było ledwo, ledwo. Kazał nam podać nasze numery, zapisał je. Ci, co byli bliżej niego, opowiedzieli mi później, co padło między tym oficerem a naszym esesmanem. Ten oficer powiedział: nie życzyłby sobie, żeby któryś z tych (czyli nas) został w drodze powrotnej zastrzelony za próbę ucieczki lub żeby stało się inne nieszczęście. I schował kartkę z naszymi numerami do kieszeni. Z samochodów, co przyszły po drzewo, już załadowanych, kazał je zrzucić i zawieźć nas na obóz, i dać Zulage, czyli dodatek do jedzenia. To były już ostatki w obozie, bo tam nadjeżdżało coraz więcej wojska i się gromadziło. Przez dwa dni nas tak później wożono do pracy i z pracy, plus zupę dawali. Taką jednak miał rangę ten gość, nie wiem tylko, kto to był. Ale żeby SS się go słuchało? Musiał kimś być. Dwa dni po tym zdarzeniu było lepiej, nie wiem, co byłoby dalej, bo przyszła ewakuacja.

*Czyli jesteście w pierwszych dniach kwietnia 1945?*

Tak jest. Przyszła ewakuacja. Kuchnia była na zewnątrz, tak jak zwykle, za obozem, i tam się przechodziło przez taką bramkę. Poszliśmy po zupę, dostałem się do tej



grupy, co tam szła. Bo w kuchni wydawali wszystko, co mają. I mogliśmy jedzenie gdzieś do spodni zawiązać, do czapki, na głowę, do wszystkich kieszeni, co tylko się dało i gdzie się dało. Kawałki chleba dawali i gęstą zupę lali, ile kto mógł. Nawet nie zdołali wszystkiego wydać, bo już była ewakuacja. Anglicy się zbliżali, więc oni się śpieszyli, żeby wszystko zlikwidować. Samoloty już latały.

Miałem wielką radość wówczas: w pewnym momencie nadleciały samoloty alianckie i tak nisko latały, że wszyscy Niemcy, co tam byli, wylecieli i strzelali, nawet z karabinów. I tak wyleciał też ten, co się nade mną znęcał, i trafili go. Z samolotu, wie pani? Niesamowite, niesamowite. Ja mówię: no, ciebie to ja już nie żałuję.

*Wiem, że w obozie zginął jeden z pańskich braci, z którym wieziono was razem z aresztu z Krakowa. Czy to było jeszcze w Gross-Rosen, czy już w Harzungen?*

Ja nie wiem, co się z nim stało.

*Jak miał na imię? Widywaliście się jeszcze w obozie?*

Nie.

*Czyli ostatni raz, gdy dotarliście do Gross-Rosen?*

(Julian Wiecech z niechęcią:) To nie było tak łatwo, proszę pani.

*Może opowie mi pan zatem, jak to wszystko się zaczęło, czyli o akcji Wiśnicz?*

(Z wyraźną radością:) Akcja Wiśnicz – to było najlepsze. Wtedy niezależnie od domu, od roli mieliśmy sklep. Siostra wyjechała do Francji i dzięki temu mieliśmy sklep. Jak to w sklepie – byłem mały, zresztą miałem potem pseudonim Skrzat – gdy stałem za ladą i przychodził kto złośliwy, to udawał, że mnie nie widzi, i pytał: „A jest tam kto?”. A mnie trafiało wtedy, więc podkładałem sobie skrzynkę po mydle pod nogi (śmiech). Sprzedawaliśmy cukier, sól, naftę, co tam wtedy na wsi można było. Handlowali też czymś Żydzi z tej naszej okolicy. Pamiętam taką scenę: jedziemy z mamą wozem. Z naprzeciwka jadą Żydzi, ale pod eskortą Niemców. Wywożą ich. W pewnym momencie mijamy się. To była wąska, wiejska droga. Oni nas widzą, my ich. Nikt się nie odzywa, patrzymy się na siebie. Widzę, że mama chce im pomachać, bo ich zna, to przecież znajomi byli, podniosła nawet rękę. I ją zatrzymała nagle, tak w połowie ruchu. Przestraszyła się tego gestu, że nas też zabiorą. Minęliśmy się po raz ostatni. I tyle ich widziano, jeśli to panią ciekawi.

W Lipnicy też zjeżdżało się z Bochni całe dowództwo batalionu i pułku AK do brata. Oni tam przyjeżdżali, ja pilnowałem, to było w takim wyżej nad drogą odstawionym domku, było widać z daleka, czy ktoś nadjeżdża. Czuwałem, ale najbardziej mi chodziło po głowie, dlaczego tym ostatnim razem nie zebrali się w tym stałym miejscu, ale poszli trzy domy wyżej, do jednego krewnego. Dziwnie mi było, co to się stało. Dopiero się dowiedziałem później. Nagle brat mi mówi: „Słuchaj, dziś są ćwiczenia z ostrą bronią, bądź przygotowany, że pójdziemy w dalszy teren, w lasy”. A mieliśmy wówczas już każdy kąt w lesie opanowany. To było latem 1944 roku, lipiec. Tak było: cały dzień się pracowało, trzeba było się uczyć, trzeba w sklepie

sprzedawać, a w nocy trzeba chodzić na ćwiczenia. Proszę sobie wyobrazić, kazał mi przyjść na Bukowiec – to było takie miejsce w naszym lesie między Wiśniczem a Lipnicą – i się nie spóźnić. Tam mamy zbiórkę i ćwiczenie z ostrą bronią. Jak się ściemniało, to po zakątkach, miedzach, jak kto mógł, podchodzimy pod figurę w lesie. Teraz to miejsce jest już zarośnięte trawą. I wtedy dowiadujemy się, że to wcale nie ćwiczenia, a akcja bojowa na więzienie w Wiśniczu. No, to poszliśmy na Wiśnicz.

Tam już byli strażnicy, którzy należeli do AK. Oni też mieli dużo udziału. Jeden podchodził, przedstawiał się jako wartownik i tak dalej. Nie przewidzieliśmy, że nieco niżej, w dolince, wieczorem rozłożyła się jednostka wojskowa. Myśmy o tym nie wiedzieli, idąc na miejsce. Ale nawet gdyby – trudno by było wszystko odwieść, bo następnego dnia rano już mieli zawieźć tych ludzi, których odbiliśmy, do Oświęcimia.

*Ile osób?*

Sto dwadzieścia osób zostało odbitych.

*W jaki sposób?*

Myśmy podeszli pod sam obóz Niemców. Niektórzy z naszych, z trzeciej grupy, mieli obserwować, czy tam się coś nie dzieje. Część stała na drodze, pochowana. A kolejna grupa podeszła pod bramę więzienia.

*Ilu was było?*

Trzydziestu sześciu.

*Sami chłopacy?*

Sami. I pod tą bramą. Ja byłem w drugiej grupie, która zabezpieczała urządzenia, byłem łącznikiem batalionu. Światła, telefony w więzieniu. Podchodzimy pod bramę i idzie jeden przebrany za wartownika, ten, który tam niby pracował. Idzie do znajomego wartownika i mówi: na zmianę. A tamten: co, teraz na zmianę? A on: no, otwórz, pogadamy. Otworzył. I jak pierwsza brama poszła, to drugą już Niemcy oddali i poddali się od razu. Nasi wpadli od razu do kwater. Była szybka akcja, zaskoczenie zupełne Niemców i tego ich komendanta. Szedłem w drugiej grupie, miałem wejść do jakiegoś pomieszczenia, jakby centrali, i rozbroić urządzenia. Jeden z naszych trzymał pod bronią strażnika czy kogoś, nie wiem, mundur miał, ale kto to był? Ciemno było. Odebrałem mu broń, zabrali go, a mnie kazali pilnować tego pomieszczenia.

Chciałem powiedzieć, że akcja Wiśnicz zupełnie mi uciekła z pamięci. Najbardziej pamiętam zdarzenia do czasu zbiórki i kawałeczek drogi, jak szliśmy na miejsce. Reszta – jak przez mgłę. Na przykład później sądziłem, że podeszliśmy z innej strony, niż to faktycznie miało miejsce.

*A co z ludźmi, których wypuściliście?*

Aha, ludzie. Kto był z terenów, które nie były jeszcze zajęte przez Rosjan, mógł

wracać, skąd go wzięli. A reszta musiała zadekować się w okolicy. Więc mała grupka ukryła się tam w lesie. Był las, las, las, las, a za Duchową Górą, na Szpilówce, w dolinie, były drzewa, które zupełnie z góry zasłaniały widoczność. Długo się tam ukrywali ci, którzy nie mieli gdzie pójść.

*Jaka była reakcja Niemców na waszą akcję?*

Niemcy najpierw nie zareagowali w ogóle, tak jak obiecali, gdy nam się poddawali: że do rana nie zrobią alarmu. Dopełnili tego.

*Czy ktoś podczas tej akcji zginął?*

Nikt, ale jest podejrzenie, że nasze późniejsze aresztowania były efektem tej akcji.

*Skąd mieli wasze nazwiska?*

Tam była taka sprawa. Były dwie dziewczyny, które chodziły z Niemcami. Nikt nie wie na pewno, czy one coś zdradziły. Mógł to być też taki gość, który był wcześniej niż my aresztowany. On został aresztowany, bo jeździł po okolicy i handlował na przykład świniami. Czy nie on to zdradził? Bo Niemcy mieli wszystko jak na palcu podane, listy z naszymi nazwiskami, adresami i tak dalej. Wiedzieli dokładnie, gdzie iść. Do jednego domu wchodzi, bo mają kogoś na liście, do drugiego nie wchodzi, bo tam nie mają po co. I tak dalej. Wiedzieli wszystko. Wpadłem, bo byłem naiwny. Przyszli, schowałem się w takim schowku, gdzie miałem broń. I słyszę, że o mnie pytają. Ale słyszę, że po rosyjsku. Myślę, że nic, tylko desant pewno. I wychodzę, jak głupi. Wychodzę, a tu „halt, halt”. To byli Niemcy, którzy wzięli do pomocy Ukraińców. O, tak wpadłem.

*Co dalej?*

Na gestapo oczywiście. Najpierw w Bochni. Aresztowali wówczas szesnaście osób, choć podobno na drugi dzień siedem osób zostało zwolnionych, ale nie wiem dlaczego. Posądenia są różne. Tam była ta dziewczyna, która z Niemcami się kumała. Ona dużo wiedziała. Posądzono, że to ona zdradziła. I dostała wyrok śmierci od AK. Poszła na ten wyrok nie sama, ale z siostrą. Zanim odczytali wyrok, kazali siostrze odejść. A ona nie odeszła. I zastrzelili i siostrę, i podejrzaną. Nikt nie wie na pewno, czy tak było. Na jej grobie jest napis bardzo brzydki: zamordowana przez AK. A to jest trudna sprawa. Ja, niestety, nie mogę tego, niczego nie mogę potwierdzić. Wiem jedno: już jak byłem w obozie, przyszedł świeży transport. Wydawali im ubrania. Nagle jeden z tych nowych więźniów się rozplakał, łzy mu leca, patrzy na mnie i mówi do mnie po imieniu: „Julek, ja cię przepraszam, ja cię przepraszam”. To był ten, co był wcześniej aresztowany z naszej miejscowości. Tak to wyglądało. Dlaczego on mnie przepraszał? Dlaczego mnie poznaje? Coś tu musiało być.

*A pan go poznał?*

No, poznałem go. Ale potem albo mnie unikał, albo się rozmijaliśmy. I on zginął oczywiście.

*Myśli pan, że zabili z waszego powodu niewinną dziewczynę, dwie niewinne dziewczyny?*

Może tak, może nie. Jedno pewne, że zabili. To było różnie. Niepotrzebnie przeciekało dużo wiadomości, pewnie różnymi drogami. Odbywało się też tak zwane strzyżenie, na którym raz byłem jako osłona. To dla takich dziewczyn, które z Niemcami się kumały. Strzyżenie włosów, zupełnie, za karę. To jest znaczenie. Ale o czymś innym miałem mówić?

*Zaczął pan mówić o aresztowaniu, jak pana zawieźli do siedziby gestapo w Bochni.*

Aha. Zatrzymali nas, brali po kolei tych faktycznie, którzy byli w AK. Dwóch z naszych zastrzelili, bo uciekali. Jak nas przewieźli, to na końcu zostałem ja do przesłuchania, ciemno już było. Na początku udawałem, że to nie moje nazwisko, że jestem parobkiem. Ile się dało powiedzieć przed biciem, tyle kłamałem. Już później poszła krew z nosa i z uszu, i z ust. Potem mnie wywrócił strasznie. A ja nic nie wiem. Ja myślałem, że to się nie skończy. A nagle obiad, bo to już wieczór. Niemiec poszedł do drugiego pokoju, jedli i pili gorzałę, jak nie wiem. Gdy tylko odszedł, to tłumacz mi szeptął: „Powiedz prawdę, ja im nie powiem”. Tak mnie bujał, jak nie wiem. Ten Niemiec, co na mnie sobie tak użył, przychodzi w pewnym momencie i niesie miskę z zupą. I daje mi to, mówi: „Fresse”, czyli żryj to. Ja tę miskę odepchnąłem, a on mi to chlust, wylał wszystko na twarz. Poparzył mnie, jak nie wiem. Dobrze, że oczy zdążyłem zamknąć. Jak tę zupę wylał, to odszedł. I już nie wrócił na dalsze przesłuchanie. Tośmy siedzieli we dwaj z tym tłumaczem. W końcu tłumacz poszedł, coś tam pogadał i przyszli mnie zabrać znowu do celi. Myślę sobie, że jutro będzie dalszy ciąg. A rano otwierają się drzwi i ten, co mnie tak bił, mówi: „Wylaz, ty mała partyzant, wylaz”. Wyprowadza mnie, ale nie szarpie. Patrzę, a tam na korytarzu stoi nasza pozostała siódemka. Zmasakrowani wszyscy, pobici. Niemcy bali się, że nas odbiją. I mieli rację, bo podobno szykowano już taką akcję. No, ale nie było szans, bardzo nas pilnowali i wszystko za szybko się wydarzyło. Przyjechaliśmy tu, na Montelupich w Krakowie. Nieraz widzę tę celę, jak przejeżdżam. Tam nas już pilnowali Ukraińcy. A później zabierali z celi po trzech: Ledóchowski, Wyrzykowski i Rudnik. Wzięli ich trzech, a ja zostałem sam. Myślę sobie, co się stało. Zabrali trójkę i poszli. A tu za chwilę przychodzą po mnie, sprowadzili na dół, na sali dużo ludzi czekało. Robotnicy nagle zaczęli śpiewać: „Wyklęty powstań ludu”. I ta cała sala ryknęła: „Wyklęty powstań ludu”. Bili, gdzie popadło, wszystkich. I załadowali nas do pociągu, pojechaliśmy do Gross-Rosen.

*Jakie były warunki na Montelupich?*

Po cztery osoby w celi, spaliśmy po dwóch na sienniku położonym na podłodze.

*Karmili?*

Jakaś zupa była raz dziennie. Przychodził taki jeden stary Niemiec z tą zupą i rozdawał. A, to było też dobre. Między celami był piec do ogrzewania. Tam była

cieńsza ściana. Zrobiono dziurę i tamtędy korespondowaliśmy – od celi do celi. Co ten stary Niemiec przychodził, to sprawdzał tę dziurę i mówił: „Kuwa, dziura, kuwa”. I zaklejał gipsem. A nim on odszedł, znowu była ta dziura (śmiej). Ale on tylko groził, nic więcej. Nie mogę powiedzieć, żeby ci ludzie – głównie Ukraińcy – przy Montelupich źle się zachowywali. Jak mama chciała mi podać kurtkę zimową, to jej powiedzieli prawie po polsku: „Matka, zostaw sobie, bo idzie zima, a jemu i tak nie będzie potrzebne. Nie będzie potrzebne”.

*No dobrze, a jak wyglądał wasz transport do Gross-Rosen?*

W otwartych wagonach.

*Ktoś próbował uciec?*

Nie, bo było po dwóch pilnujących w każdym wagonie. Nikt nie próbował, bo nie wiedział, co go dalej czeka.

*A wiedzieliście, że wiozq was do obozu?*

Nie, nic kompletnie. A kto by nam mógł powiedzieć? Makabrycznie było. Kto dał radę wysiąść, wysiadł. Ale sporo padło. Chociaż ten transport nie był taki tragiczny, dopiero ten drugi był, gdy nas wieźli siedem dni zaplombowanych do Bergen-Belsen.

*Tymczasem dojechaliście do Gross-Rosen. Co dalej?*

Jest wieczór, ciemno. Po drodze nas opadła sfera psów z dwoma esesmanami, jeszcze na stacji, i prowadzili nas do obozu, gdzie brama. I postawili nas przed obozem, bo musiały wejść komanda, które pracowały poza obozem. Tacy zmęczeni, pokaleczeni z kamieniołomów szli. Ktoś pyta nas: „Skąd jesteście?”. Ale ich bili, jak się odezwano. I tak staliśmy długo wieczorem, aż wszystkie komanda wróciły do obozu. Wtedy wprowadzili nas przez bramę i kazali rozebrać się do naga. Oni to wszystko zabrali i sprawdzali każdego, w ustach, nie w ustach. Kazali pluć i tak dalej. Niektórzy mieli tobołki, zabierali je też. I tak żeśmy stali i stali, a kolejne grupki funkcyjnych podchodziły. I tak żeśmy stali do rana. Do rana my tak stali, niestety, dopiero rano otwarli łazienki i nas tam przypędzili. Najpierw było strzyżenie włosów i tak dalej. Potem był taki dołek wykopany, cztery na cztery metry może. W dole była wstrętna woda, trzeba było wejść do niej i się zamoczyć. Jak któryś próbował wystawiać głowę, to go butem podtapiał jeden funkcyjny, nogą przyciskał. Więc całemu trzeba było się zamoczyć w tej cieczy cuchnącej, na odwszanie. Potem podchodziliśmy do stolików. Każdy dostawał na szmatce numer swój i ciuch jakiś, z tym szło się na blok. Tam dopiero przyszywaliśmy numery do ubrania. To trwało cały dzień. Wieczorem dojechaliśmy, gdy tak bili z psami, potem całą noc stania, gdy niektórzy starsi ludzie po prostu padali. Część ludzi była chyba z łapanek, nie tylko z więzień. Ale też wywiezionych z domów po prostu, bo dużo ludzi miało masę ciuchów, zwłaszcza Żydzi.

*Była jakaś selekcja?*

Nie, tak od razu nie było. Chyba dlatego, że w Gross-Rosen to był taki mały piec

krematoryjny, niewiele pracował. Na początku w ogóle nie działał, dopiero jak otwarli drugi obóz, gdy przywożono dużo kobiet z Warszawy, po powstaniu.

*Jakie były warunki w Gross-Rosen?*

Nie było pcheł ani wszy. Absolutnie. Czyściutko było.

*Nawet w barakach?*

Nie wiem, jak w innych, ale u mnie się nie zdarzyło.

*A szczury?*

Też nie było. Tam była niesamowita czystość, wszystko musiało błyszczeć. Zwłaszcza na tym Zugangowym bloku i karnym. A na karnym siedział na przykład hrabia Ledóchowski oraz Radziwiłł. Radziwiłł pracował przedtem w kamieniołomach, spadł czy skoczył, chciał się zabić i miał połamaną nogę. A Ledóchowskiego zobaczyłem, gdy Vogel raz wyszedł, bo przyszedł po niego najstarszy obozowy, który był Belgiem. Ledóchowski leżał pod kluczem, a Vogel zostawił ten klucz na chwilę, więc zajrzałem tam z ciekawości i nawet coś mu zdążyłem podać z kotła, który tam stał. To raz mi się udało. A drugi raz, gdy już byłem przy drzwiach, wszedł Belg z Voglem, zobaczyli, gdzie stoję i Vogel mnie strasznie pobił. Trzeba było zawsze sprzątać na bloku, wkoło, myć okna bez przerwy. Cały czas trzeba było coś robić, niezależnie, czy była robota. Innych, co nie robili, Vogel gdzieś wyrzucił, a nie wiem czemu, bo dobrze mówili po niemiecku. W ogóle niemiecki zawsze mi bardzo pomagał, jednak to tajne nauczanie – bo tam się tak naprawdę nauczyłem, od cioci z Katowic – dużo dało. Jak przyjechaliśmy do Gross-Rosen, to rozdzielili mnie z kolegami, którzy poszli do innych bloków.

*Mogliście się kontaktować między blokami? Na przykład w niedziele?*

Nie, absolutnie. Nie wolno było chodzić zasadniczo poza blok. Tak że ja nie wiedziałem właściwie, czy ci koledzy jeszcze tu są, czy nie odjechali gdzie indziej.

*Czy za pańskiego pobytu działał piec obozowy?*

Tak jest. To były takie czarne wirujące płatki, gdy w nim palili. Ale mało działał. Tam dalej, gdzie byłem, no, to palił na całą parę.

*Jaki był zapach?*

Wie pani, nie pamiętam, wtedy o tym nie myślałem. Ale chcę pani pokazać, jak to wyglądało mniej więcej, bo mam zdjęcia robione tuż po wyzwoleniu.

Oglądamy fotografie stosów trupów. Potem za jednym zamachem z tej samej teczki wyciągamy tekst przysięgi Armii Krajowej, dowody, legitymacje, krzyż Armii Krajowej, Medal Wojska Polskiego, zdjęcia z lasu, świadectwo o tajnym nauczaniu, z harcerstwa (ZHP). Ankieta przyjeżdżających do Polski. Komisja weryfikacyjna. Zaświadczenia obozowe, jedno, drugie, trzecie.

Mam całą teczkę tego. Najważniejsze dokumenty chowam, jak nie wiem. A to jest

najlepsze: jak z całej wsi i gminy nikomu nie zabrali konia ani wozu, tak rodzicom zabrali dwa konie. I jeszcze hrabiemu jednego. Polacy tuż przed wybuchem wojny zabrali. A tu, widzi pani, dali pokwitowanie za te konie, wystawione 25 sierpnia 1939. *Wróćmy jednak na chwilę do Gross-Rosen. Możemy?*

No dobrze. Jesteśmy w Gross-Rosen. Aż nagle któregoś dnia wbiegli Niemcy i zgarniali, kogo się dało. Zabrali dwudziestu, może trzydziestu, mnie też wzięli. Do samochodu i nas gdzieś wywieźli. Wyjechaliśmy na takie zbcze, przestraszeni, bo kazali nam kopać. Więc każdy myślał, że kopie dół dla siebie. A tu pokopaliśmy rowy, bo zbliżał się front. I samochód przywiózł chleb. Podchodziło się później do tego samochodu i dostawało się kawałek lub dwa kawałki. A ja naiwny: jeden z nich – strażników – mi daje kawałek, a ja mówię: nie, nie, bo ja już dziś dostałem. Dopiero później mi powiedzieli, jaki ja głupi byłem – że mi się należał ten kawałek. Potem wieźli nas cztery dni w wagonach zamkniętych, była zima, byliśmy tam naładowani jak śledzie.

Jechaliśmy cztery doby. Z tym że mam dziwne pomysłówki, czy faktycznie wtedy ten, co nas pilnował, chyba czwartego dnia, i poszedł kupić chleb rzekomo za własny zegarek, nie kłamał? Bo Niemiec, który nas pilnował, albo udał, albo faktycznie było mu żal, i kazał drugiemu pilnującemu wysłać kilkoro z nas po drewno, żeby go nazbierać i palić na środku wagonu. Sam poszedł na stację i za chwilę przyniósł bochenek chleba. I pokazuje, że sprzedał za niego zegarek. Kroił tak, by dla każdego był kawałek. To nas trochę podratowało. Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt osób na wagon, ile się dało upchać. A potem się przeredło trochę, może część padła. I później przyjechaliśmy do Harzungen. Wtedy zaczęły się problemy. Dostałem się do Lagerkommando. Stary esesman wybrał nas pięciu. Na początku jeździło się do kopców, daleko, aż za kuchnię. W tych kopcach się szukało, czy nie zostały jakieś ziemniaki albo coś. Ale tak znaleźliśmy coś tylko raz czy dwa razy, później nie było już nic. I przewoziliśmy to na kuchnię. A z kuchni zabieraliśmy jednocześnie jedzenie, które mieliśmy przewozić na blok. Jeden pilnował przy wydawaniu, a drugi już na końcu, przy ładowaniu. Tam były takie okna, które wychodziły na szosę. Tamtędy cały chleb połamany wydawali rolnikom, którzy podjeżdżali i brali to dla świń czy nie wiem dla kogo. Myśmy na początku nie wiedzieli, jak sobie tam radzić można. Ale ktoś nam powiedział, żebyśmy po drodze upuszczali jeden chleb i wtedy zatrzyma się kolejka, i w tym czasie puch, puch, puch, pochować, ile się da. I tak zaczęliśmy pomału kombinować. Aż idziemy raz i kolegów dwóch do spółki wzięło cały chleb. I ten cały chleb owinęli w płaszcz więźniarki i schowali pod kamienie. I już przeszliśmy, aż jeden esesman mówi: „Halt” i wrócić, zrzucić kamienie. A tam były pod spodem płaszcze z numerami nawet, a w nie był zawinięty chleb. No więc oczywiście ich łap, rzekomo mieli ich rozstrzelać, ale tego nie zrobili. Chyba ich przenieśli do innego obozu, ale w sumie nie wiem, co z nimi zrobili, więcej ich nie

było. A nas, chyba pięciu, wzięli na karny blok, który był blisko wejścia do obozu. Prowadzą nas tam, aż tu nagle podszedł taki stary kapo, pogadał i powiedział, że lepiej on się nami zaopiekuje. To już było po apelu. Wziął nas do ciemnej nory i zamknął. I mówi, żeby siedzieć cicho, on po nas rano przyjdzie i jakoś się nami zajmie. Faktycznie całą noc mieliśmy spokój. Myśleliśmy, że nas ta karna kompania minie, ale nic z tego. On nas tylko uratował od bicia na karnym za kradzież tego chleba. A rano do karnej kompanii oczywiście. Wtedy właśnie braliśmy zupę esesmańską do takiego wózka i pchaliśmy go cztery kilometry dla tych, co nas w lesie pilnowali. Tam był esesman dziadek, który nam trochę pomagał pchać wózek, udając, że się o niego opiera. I tam pracowaliśmy od świtu do ciemnego wieczoru. Ścinałiśmy drzewo, które szykowaliśmy do takiego Holzgas, czyli napędzenia samochodowego.

*Zatem mieliście ostre narzędzia w rękach?*

Tak, ale tylko piły, co to za narzędzie, żeby zawojować czy zaatakować? Zawsze nas pilnowali z bronią gotową. I gdzie uciekać w samym centrum Niemiec?

*Jak długo tam pracowaliście?*

Nie wiem w sumie, straciłem wtedy rachubę. Ale wiem do kiedy, do 1 lub 2 kwietnia, jak były święta wielkanocne. Dzień przed świętami to się skończyło. Pamiętam, jesteśmy w lesie, śnieg jeszcze leżał. I nagle sygnał, wszyscy na plac apelowy. Akurat miałem duży kawałek drewna, nie mogłem sobie dać rady i szybko od tego odejść. Ten esesman, który się na mnie uwziął za leserowanie, popycha mnie, bije, ciągle upadam, umorusany jak nieboskie stworzenie. Dwa razy padłem całkiem po drodze, pomogli mi inni. Potem była ta sytuacja z jakimś wojakiem o wysokiej randzie, co był na samochodzie z ręką na temblaku czy czymś. Ale to już pani opowiadałem. Jak on spytał o wyjaśnienia, to ja wystąpiłem. Patrzę, nikt inny nie występuje. Mówię: „Słuchajcie, jak nie wystąpicie, to wiecie, co was czeka”. Powoli wystąpiło kilku najsłabszych. Ten oficer kazał odpisać nasze numery. Jak przyjechaliśmy do obozu, już był olbrzymi ruch, kuchnia wydaje jedzenie, noszą kotły, kto się dorwał, ten miał. Podszedłem, tam był kulawy kucharz z ulicy Rzeźniczej, mówił, żeby ładować, co się da, bo nas ciężka droga czeka. Gdzieśmy mogli, chowali. Ludzie tam gruchnęli, bo ewakuacja. Niestety, proszę pani, ona trwała siedem czy osiem dni. Kto miał, ten jadł. W każdym razie wtedy się dopiero najgorszy transport zaczął. Baliśmy się, czy się zmieścimy do wagonów, bo jak nie, to będziemy gotowi. No, bo co z nami zrobią? Proszę sobie wyobrazić, tak ładowali, ile wejdzie. Bili, tak długo bili, aż się musiało upakować w wagonie i zmieścić. Bili i pchali – jeden leżał, drugi siedział, trzeci stał, ile się dało. Tyle było, że już nie mogli wepchnąć do środka. W końcu stop. Poprzednie wagony odjechały pełne, bez nas, a nas spora grupa czeka. W końcu podjechały jeszcze dwa wagony, rzuciliśmy się do środka, żeby się ładować. Do pierwszego nie zdążyłem, ale byłem w kolejnej piątce do drugiego, ostatniego. Bo byliśmy ustawieni piątkami. Wpadłem do tego wagonu, bo to każdy szybciotko,



i padłem do rogu, zadekowałem się w takim kąciku. A w rogu była szparka. Zamknęli wagon i dołączyli do całego transportu. Tak myśmy jechali od 2 do 9 kwietnia 1945. Bez otwarcia tego wagonu. Raz otwarli. To były rejony Celle. Zatrzymaliśmy się. Potem cofnęliśmy. I tak ze dwa razy nas cofano. Później dowiedziałem się, że tam, w Celle, było duże bombardowanie, nawet wagony z więźniami bombardowali. Na przykład jechały kobiety. I jak zrobiono bombardowanie, to one uciekały razem z tymi esesmanami, co ich pilnowali. Uciekali i zostawiali wagony. U nas było słycać te bombardowania. A myśmy czekali. Pociąg wędrował w tę i z powrotem. Front się zbliżał, bo już słyszeliśmy walki. W końcu otwarli i zawołali, że do kopania rowów potrzebują paru zdrowych. Próbowałem, ale byłem tak słaby, że jak dowlokłem się do drzwi, to usłyszałem, że dosyć. Więc nie wysiadłem wówczas. Nagle w pewnym momencie blisko nas rozległy się strzały – zastrzelili tych, co ich wzięli z naszego wagonu do kopania rowów. A gdybym poszedł z tymi, co kopali, tobym tam leżał z nimi.

Te siedem czy osiem dni jechaliśmy. Do tego dochodziło, że ludzie się mordowali. O jedzenie czy nie wiem o co. Koło mnie był taki duży facet. Od samego początku stał obok mnie ten wielki więzień. Do dziś nie wiem, jakiej był narodowości, bo nigdy się nic nie odezwał. Był taki mocny, że jeśli ktoś tylko do niego się zbliżył, jak on od razu uderzył, to taki nie wstał. I tak stał obok mnie, więc osłaniał mnie jak gdyby. A ja w kąciku. Dobrze, że nie wiedzieli, że tam jest szparka, boby mnie też pewnie wykończyli. Do niego się nie zbliżali. Aż przyszła na niego kolej, chyba w ostatnią czy przedostatnią noc. Budzę się, jeszcze tak jestem półprzytomny od snu, aż patrzę, pełno krwi. Nie wiem, czy to moja. Ale patrzę, że to ten wielki leży, cały brzuch ma rozpruty. Nieżywy i cały brzuch rozpruty. Nie wiem, dlaczego mu ten brzuch rozpruli. Czy krew pili, czy coś ze środka jedli? Tak wtedy to wyglądało. I jechaliśmy.

Pojechaliśmy do Bergen-Belsen. Do tego najgorszego. Też miałem szczęście, bo jak już tam wysiadaliśmy z wagonu, to ja upadłem. I już leżałem. Ten Niemiec, co to nadzorował, krzyczał, żeby już mnie dać na kupę, na kupę. Ale to słyszałem i jakoś się podniosłem. I powolutku żeśmy tak szli jeszcze kawał. Patrzymy, jest taki strumyk. U, ja teraz też go znalazłem, bo szukałem, gdy tam pojechałem. Jak wszyscy ludzie byli, gruchnęli w ten strumyk. Niemcy bili, strzelali i tak dalej. Przygnietli mnie też ludzie, ale troszkę tego piasku i wody łykłem. I jeszcześmy szli kawałeczek. Przeszliśmy bramę obozu i ja mówię: „O, jak tu ładnie”. Takie ładne murowane bloki. Jeszcze nie wiedziałem, że to ta lepsza część. I po kolei zabierali po pięć, sześć osób do tych murowanych bloków. Spotkałem później takiego, co go to szczęście spotkało i umiejscowili go tam. A myśmy szli, szli, szli i wyszliśmy na tak zwane bloki choleryczne. To jest tam, gdzie była cholera, na samym końcu.

*Właśnie wtedy w Bergen-Belsen była epidemia?*

Ja nawet nie wiem, ale coś musiało być, bo przecież tyle tych trupów leżało. Pierwsze ogrodzenie to były takie zwykłe druty i brama, Apel Platz ogradzała, potem były bloki i dopiero te duże druty.

Jak tylko dotarliśmy, zeby móc znaleźć sobie miejsce w baraku, Niemcy funkcyjni kazali mi wywlec z naszego pomieszczenia trupa. Musiałem go zawlec na ten dół, czyli ściągnąć go z łóżka i tam zawlec. I pamiętam, że go wlokłem i dowlokłem, i wrzuciłem do domu... to znaczy do dołu. I długo się bałem, że tam spadnę, mimo że już tam nie byłem. Że wpadnę do tych wszystkich. Tam było ich pełno.

I taki człowiek naiwny, i taki głodny, że jak wracałem od tych dołów zmęczony, to obok bloku jednego coś znalazłem, taką tubkę. I myślę: może coś do jedzenia? I próbowałem jeść. A to się okazała pasta do zębów... Jezu, jak ja tam plułem. Strasznie mi to zaszkodziło. No, dowlokłem się do bloku, tam mnie położyli na miejscu, com tego trupa wywlókł.

Raz ludzie z obozu zrobili dziurę w ogrodzeniu, blisko naszego bloku. Poszedłem tam, widzę, że ludzie coś grzebią w trawie. To jeszcze było przed oswobodzeniem. Ja też się czołgam, próbuję tam się dostać, choć trochę trawy. Próbuję, ale nie mam sił. Jakichś dwóch przyszło drani, pociągali i mnie za nogi, wciągli z powrotem. Ja mówię: o, żeby was, dranie, pamiętam to. Przyszedł jakiś następny więzień i mi pomógł. A to obserwowali Węgrzy z budek na górze. Wiem, że Węgrzy, a nie Niemcy, bo mieli inne mundury, takie jasne. I jak ci ludzie tam siedzieli i skubali coś, korzystali, to Węgrzy nawet nie reagowali. A ci, co przeszli i mnie ściągnęli, idą, i coraz dalej, coraz dalej. Aż poszła seria od tych Węgrów, którzy chyba nie mogli tego znieść. Ci dwaj łazili może za blisko tych budek i dlatego do nich strzelili z góry. Nie wiem, czy ich zabili, czy padli ze strachu. I leżeli, nie wiem, czy zabici, może udawali, nie wiadomo. Ale myślę sobie: cholera, przeze mnie dwóch zginęło w ostatnim dniu. A ja tylko trochę trawy zerwałem.

W każdym razie, jak wystawiłem tam przez dziurę głowę, trochę zielonych liści czy trawy zjadłem, jeszcze coś to mogło być. I się rozchorowałem. W Bergen-Belsen, jeszcze nim Niemcy się wycofali, dawali zupę w konewkach, w wiaderkach, w cebrzykach, w miednicach. A potem drugi raz, już gdy Niemcy się zwijali. Ludzie jak gruchnęli na to jedzenie, ale to już oczywiście bez pilnowania, bez obsady Niemców. Wywalili tę furtkę, która odgradzała kuchnię. Zupa się lała, to wszystko zbierali, ze wszami to jedli. Ja nie dałem rady, mimo wszystko. Mniej więcej wtedy zrobiłem się chory. Mocno chory. Pamiętam wówczas, jak ogłaszali w pięciu językach, że już jesteśmy wolni. I wjechały kwakry w takim umundurowaniu, czyli wojskowa służba pomocnicza kobiet. Pamiętam, przed chwilą Niemcy szli i samochodem zgarniali tych trupów, a z drugiej strony już właśnie kwakry szły i rzucały, gdzie tylko dosięgły, jakieś witaminy czy coś. Pamiętam, że coś wtedy złapałem, ale nie wiem co. Potem wróciłem na blok. I tutaj już zaczyna być niejasne

dla mnie, nie wiem dokładnie, co się działo. Dostałem otępienia dosłownie. Prawie nie reagowałem na nic. To chyba pod wpływem choroby, w takich warunkach. Rozchorowałem się.

*Jak pan z tego wyszedł? Ktoś panu pomógł?*

Nikt. Kto komu pomógł wtedy? Pamiętam, że wtedy w baraku leżałem. I po tym już bardzo źle się poczułem. Jak leżałem, to dostałem dużej gorączki. I tu mam lukę. To chyba trwało kilka dni. Ale pamiętam, jak przez głośniki przyszli Anglicy. To znaczy powiedzieli, że przyszli. Potem przynieśli zupę, ale znowu w jakichś konewkach, nie wiem dlaczego, skoro już byli Anglicy. Nie mam pojęcia. Zacząłem tracić przytomność. Lekarze przyszli, Niemiec lekarz, oni zaczęli wybierać ludzi. Dusilem się. Do mnie jeden lekarz podszedł, popatrzył i powiedział: „Noch Zehn Minuten”, dziesięć minut życia. Ja się rozplakałem, on odszedł i pomocy żadnej nie udzielił, odszedł. Właśnie to jest noc, kiedy naprawdę była agonia. Prawie konałem, miałem takie makabryczne sny: ptaki jakieś lecą, jestem w Lipnicy, lecą z lasu i mnie duszą. Ja już byłem przekonany i wszyscy myśleli, że ja umarłem. I podobno tak charczałem przez sen, że myśleli, że rano będzie moje łóżko wolne. A dopiero rano obudziłem się ze strasznym płaczem. Szlochałem strasznie. I bardzo szybko doszedłem do siebie. Ale pomoc do naszych dalekich baraków wcale nie docierała, mimo że Anglicy już byli. Najpierw zajęli się tym, co zastali na początku obozu, czyli dużymi barakami z kobietami. A do baraku cholerycznego bali się nawet donosić cokolwiek. Ciężko mi wówczas było. Ja nie wiem, jak to się stało, że przeżyłem bez pomocy lekarskiej.

Pokażę pani zdjęcia teraz, żeby sobie to pani lepiej wyobraziła. Byłem w tym roku w Bergen-Belsen na zjeździe organizowanym przez naszą panią prezes z Warszawy. Widzi pani ją tu, na zdjęciu. Były tylko raz-dwa-trzy-cztery panie, które faktycznie były w tym obozie. Plus ja piąty. Poprzednio było nas dwa razy więcej, ale poumierali. O tu, widzi pani, jak zapalam świeczkę pod tablicą. Przeczytam pani po polsku: tu spoczywają tysiące znanych i nieznanymi ofiar koncentracyjnego obozu Bergen-Belsen. Jeżdżę tam z synami. O, a tu mam zdjęcia z samego Bergen-Belsen po wyzwoleniu. Widzi pani, to jest mój barak, tu byłem, o, w tym baraku. Obok był taki niepewny barak, w którym do dziś nie wiem, co było. Albo może wiem, ale to zaraz. A tu droga, którą zresztą jechały później te kwakry, czyli dziś się mówi: zakonnice, co w wojsku służyły. One to rzucały do leżących ludzi jakieś pastylki, witaminy. A tu już nie dotarły, bo była ściana z trupów (Julian Wiecech wskazuje na fotografię obozu i rysuje dłońmi stosy ludzi), Niemcy nie zdążyli odgarnąć.

A jak myśmy przyjechali, to pierwszego dnia, gdy się jako tako czułem, poszliśmy wszyscy aż tam daleko, pod takie coś, nie wiadomo co, jakby lokomotywę. Długo nie wiem, co to było, a potem uświadomiłem sobie, że to był chyba nieuruchomiony piec krematoryjny. Miało komin, pamiętam, i taki kocioł duży. Co to było? Jeden jedyny raz to tylko widzieliśmy, bo potem to zamkli w tym niepewnym baraku, który jako

jeden z pierwszych Niemcy zniszczyli, nim odeszli. A tu był ten dół, gdzie się rzucało trupy.

No więc tam nie dało się już wytrzymać. Czekaliśmy nie wiadomo na co. Dopiero jeden taki – no, jakże on się... Oj, jaką ja mam złą pamięć! Dopiero wczoraj pamiętałem. No nic, kolega, który obok mnie leży, mówi: „Słuchaj, uciekajmy stąd, bo tu nas zagłodzą. A nie wiadomo jeszcze, czy Niemcy nie wrócą”. I takich pięciu się umówiło, uciekliśmy. Ale wtedy w tym dole wciąż było dużo trupów, coraz więcej ich. I nad tym już stał żołnierz angielski, pilnował. Nie chciał nas wypuścić, jak chcieliśmy wyjść. Ten żołnierz nas zatrzymał, że nie wolno i że będzie strzelał. I jeden z tych kolegów zdarł z piersi te ciuchy takie, jakie były, i mówi: „Strzelaj, no, strzelaj”. A tamten nie rozumiał, ale nie strzelił. I poszliśmy, tak szliśmy chyba całą noc. We czterech czy pięciu żeśmy uciekli z tego miejsca, więc na dobre nie zostaliśmy tam zakwaterowani. A potem, gdy już przyszła pomoc, dawali zakwaterowanie, była polska szkoła jeszcze później, tam mieli bardzo dobre warunki. A myśmy poszli w świat, jak idioci. W świat, czyli poza obóz.

Pamiętam, jak idziemy. Aż doszliśmy do jakby wymarłej wioski. I nagle patrzymy – restauracja. W środku krzyk, wielki wrzask, zabawa. Szyby powybijane, drzwi też. Weszliśmy, a tam czterech lub pięciu różnych narodowości ludzi, może żołnierzy. Balują, jakiś świniak na stole, alkohole. Oburzeni na nas, że tam doszliśmy. Dali nam po kawałku słoniny wstrętnej i kazali się natychmiast wynosić. Wahaliśmy się, czy nie wracać do obozu.



Poszliśmy dalej i nagle spotkaliśmy ładny domeczek, ja ten domek widzę do dnia dzisiejszego. Pukamy, ale nikt, nic. Naciskamy klamkę, drzwi się otwierają, nie ma nikogo. Otwarte, czyściutko, pięknie. My nie wiemy, co robić. Ale nie ma nikogo. Jak myśmy gruchnęli, nie myliśmy się, nie, na pewno nie. Nie wierzę w to, że korzystaliśmy z łazienki. I to była pierwsza noc na wolności, taka piękna, piękny księżyc był i poranek też, pamiętam. Leżałem przy otwartym oknie. Pierwszy raz na swobodzie.

Rano ktoś puka (Julian Wieciech puka w stół) i puka, i puka. Patrzymy, a tam babina. Kobięcina, taka struchlała, Niemka. Składa ręce, żeby jej domu nie spalić. Bo tam się różne rzeczy działy wokoło, napady, nie napady. Mówi, że ona nam coś przyniesie. Przyniosła nam głupia mleka. Ale któż by pił mleko w takiej sytuacji? No, to nie piliśmy. Po takim czymś w obozach... jak nas by chwyciło, to koniec świata. Więc mówimy, że tego nie, co innego. To nam przyniosła dosłownie po takich kromeczkach chleba. I mówi, że nie ma więcej. Błaga, żeby jej nie zniszczyć. Do tej pory tam mieszkali oficerowie, jak się okazało, i dlatego w takim stanie myśmy to zastali. Może dwa czy trzy dni tak byliśmy. Ta babina widziała nasze niepasiaki, te dziadowskie szmaty, więc przyniosła jakieś ciuchy cywilne. To było największe zaskoczenie. A myśmy jej byli tyle nadokuczali, jacy to Niemcy źli i tak dalej. Ale ona, że nie, ona nie taka. Mnie przyniosła marynarkę, gdzie tu był ślad po opasce Hitlerjugend. No i ja mówię to, a ona, że nie, nie, syn wcale tam nie służył. Też głupio się tłumaczyła. Ale niedługo tam byliśmy. Szkoci przyjechali i kazali wszystkim opuścić to pomieszczenie. Ale też ściągali więźniów z innych domów i okolic. Zabierali wszystkich poobozowych. I tak było: oni nas pędzali, myśmy uciekali, oni nas pędzali, myśmy uciekali. Ale w końcu skapitulowaliśmy, bo co było robić.

Zawieźli nas do Wolfsburga. Trochę inaczej o tym pisałem w mojej książce, jak pani zobaczy, bo ja tam poprzekręcałem pewne zdarzenia niestety. I w Wolfsburgu były takie baraki bez łóżek, bez drzwi, bez okien, bez niczego. I nagromadzili bardzo dużo ludzi. A jakie tam odbywały się orgie, kobiety z mężczyznami, ale nie tylko, koniec świata w tym baraku. Orgie się działy całe noce – i kochali się, i bili się, i w pluskwach taplali. Tak było pluskwiew dużo, że spadały na nas jak szarańcza. Jak w nocy leżeliśmy, to ściągaliśmy z nas garściami i pluskwy, i wszy, i wszystko. W pewnym momencie chciało mi się wyjść. Wyszedłem i kimałem na polu. Potem poszedłem się przejść, znalazłem jakąś maszynę do szycia, myślę sobie: trzeba tę maszyną wziąć. I miałem ją ileś tam dni.

Myśmy tam nie wytrzymali, na polu żeśmy siedzieli, bo się nie dało. Zaczęło się organizować jedzenie, ależ było brudno, stawy też jakieś były. Więcej nas tam było na kupie niż w obozie, pełno Włochów i Hiszpanów też. Cały las był zabrudzony, wszystkim dosłownie, nie tylko odchodami, ale też odpadkami świń nie do zjedzenia.

Łazienka to były sterty nóg, głów. Tak paskudnie było, jak nigdy w życiu, jak koniec świata. Nie wiem, ile tam byłem, wie pani, ciężko było mówić o racjonalnym rejestrowaniu czasu. Parę dni.

Pewnego dnia jestem przed blokiem, a samochodem jedzie Niemka z Anglikami czy Szkotami. A tam na bloku ktoś sobie kurę przywiązał na sznurku przy drzewie. I ta Niemka krzyczy: „Meine Henne, meine Henne”, moja kura. Podeszli do mnie ci z samochodu i pytają: „Twoja kura?”. Mówię, że nie. „No, to czyja?” Mówię, że nie wiem. A w końcu wkurzyłem się i mówię: „Moja. A kto nasze polskie ziemie rabował?”. No, to mnie zabrali do samochodu i tam przesłuchanie. Był jakiś Szkot z wąsikami i w spódniczce, pięknie ubrany. Pamiętam, że taki gruby z wąsami nas przepytował. Pamiętam, że powiedziałem: „To jest jedna kura, a kto nam tyle życia wróci?”. Pamiętam, że tak gadałem, a tłumacz nie bardzo nawet tłumaczył. I jeszcze wyszło nie tylko z tą kurą, ale ona, Niemka, przysłała do jakiegoś tam lokalu z żołnierzem angielskim – bo oni już się bratali. Przysłała i była jakaś kobieta w futrze, która przyjechała z Francji, by kogoś odwiedzić. No i nagle: jej futro, że jej ukradziono to futro. I było od razu całe posądzenie, że ukradli jej to futro. Wywiązała się awantura, bitwa wielka między Anglikami, Polakami a Szkotami. Koniec świata, pozamykali nas w końcu wszystkich. Mnie też kazali zamknąć w celi. Potem zjawili się jacyś Polacy, pogadali z tamtymi, coś wyjaśnili i przyszli do mnie, do tej celi. Przynieśli nam coś po cichutku i powiedzieli, że będzie już teraz inna tłumaczka. Okazało się, że tamta tłumaczka kłamała, i że to Niemcy się zbratali z Anglikami, żeby coś tam załatwić, że w futrze było coś zaszyte pod podszewką. Od razu się zbratali na początku, nie ma, że wojna, nie wojna. I wtedy, kiedy to się wyjaśniło, dopiero nas tak Szkoci spili, pierwszy raz piłem whisky, takie wstrętne świństwo (Julian Wiecech śmieje się). Długośmy gadali, całą noc. I przywieźli nas rano do baraku, do innych Polaków.

Kombinowaliśmy z kolegami, co zrobić, żeby stąd pojechać. Potem nasz kolega Orłowski dostał cynk od swojego z kolei kolegi, który obok znalazł jakiś dobry obóz, były łóżka i wszystko. Tamten jeden drugiego odwiedził, poszeptali trochę. No i ten nasz Orłowski mówi, że się tam przenosi. Spyaliśmy, gdzie to jest i czy też możemy. Dowiedzieliśmy się. Poszedł tam ten Orłowski i go nie ma, nie ma, nie ma. Co robić? Zostać tu? Czy uciekać stąd, gdzie jest niemożliwie?

Pamiętam taki moment: miałem ubranie po tych opaskach Hitlerjugend. Miałem już tak zabrudzoną koszulę, że jedna dziewczyna z mojego bloku spytała mnie, czy mi ją wyprać. Bo szła nad staw, w którym wszystko już pływało po wodzie. I się utopiła tam. Jak przez mgłę pamiętam, w tym stawie utopiła się. Był nagle krzyk i tak dalej. Tam wokoło był szaber, Hiszpanie, Węgrzy, bo dużo tych bloków było, w lesie paliły się ogniska. Mnie obmierzył do końca pobyt tu.

Przyszedł mój kolega i zdecydował, że idziemy. Tośmy się zebrali pod wieczór.

Idziemy, nogi nas bolą. Jest jakaś szopa, trzeba się przespać. Weszliśmy tacy zmęczeni i położyliśmy się w tej części, gdzie były zboża. Każdy z nas się zagrzebał w sianie. Nagle w nocy słyszymy szwargotanie. Patrzymy, światła latają nad nami. Słuchamy, a po niemiecku gadają. To byli esesmani, którzy uciekli. Gdybyśmy się ujawnili, pewnie by nas dobili. Dotrwaliśmy do rana, ich już nie było i cichutko poszliśmy. Dochodzimy w końcu do nowego obozu, pytamy o Orłowskiego. A mówią nam, że takiego nie ma. Coś kręcił strażnik i nie bardzo po polsku mówił. W końcu przyszedł drugi, co mówił świetnie po polsku, i mówi: „Słuchajcie, to jest obóz dla Litwinów i Łotyszów. Radzimy wam uciekać. Bo jak się dowiedzą, żeście Polacy, to stąd nie wyjdziecie żywi. Bo tu jest taka nienawiść, taka nienawiść do Polaków. Ja was przenocuję w kanciapce, ale uciekajcie prędko. A Orłowski już nie jest Orłowski, tylko Orłowsky”. No, jak on jest Orłowsky, to już nie mamy tu czego szukać. Tegom nigdy już Orłowskiego-Orłowsky’ego nie spotkał, więc nie wiem, jak było naprawdę. Poszliśmy dalej. Ale co było dalej? Coś mi się mąci. Chyba wtedy już do Offelgene poszliśmy. Pamięć mi się mąci, koniec świata. Poda mi pani moją książkę? Porównam, co było po czym.

Julian Wieciech czyta na głos fragment swojej książki wspomnieniowej *Wróciłem. Wspomnienia Skrzata z Lipnicy*.

Wie pani, ale w tej książce też jest w tym miejscu jakaś luka, teraz widzę. Co się wtedy dokładnie z nami działo w tych dniach, nie umiem już dziś powiedzieć. To było takie dziwne. Za dużo tego było po prostu. A później już wędrowałem z jednego obozu do drugiego. Bo tu było źle, więc poszło się do drugiego.

*O jakim czasie teraz mówimy?*

Maj–czerwiec 1945. Tak się błakaliśmy grupką. Człowiek wędrował z obozu do obozu. Co przeszedł, to było gorzej. Na pewno z któregoś obozu w każdym razie pojechałem do Hanoweru, żeby dowód dostać. Pamiętam, jak na gapę wsiedliśmy. Bo było gdzieś ogłoszenie, że w Hanowerze wydają zaświadczenia tym, co byli w obozach koncentracyjnych. I tak po prostu pojechaliśmy bez biletów. Konduktor nas się nawet nie czepiał, bo nas było pięciu czy czterech. W Hanowerze porobiliśmy sobie zdjęcia, pokazali nam, żeby iść do takiego wysokiego bloku. I na drugi dzień nam wyrobili legitymacje. O, może pani zobaczyć tutaj to zdjęcie.

Wiem, że w końcu trafiliśmy do obozu Arbergen, gdzie było lepiej troszeczkę. I tam było harcerstwo, wstąpiłem. A potem wstąpiłem do polskiego wojska na Zachodzie, w Senden, tam była jednostka wojskowa i organizowali się Polacy. Jak człowiek udowodnił, kim jest, to przyjmowali. To była taka jednostka, że kto chciał, ten trzymał służbę, a kto nie chciał, to nie. Przy samej granicy, a sytuacja była jeszcze bardzo napięta, ponieważ Anglicy nie wycofywali ciężkiej broni ze względu na



Rosjan. Anglicy sprzyjali wówczas bardzo Polakom, przyjechał też Eisenhower. Pojechaliśmy go witać nad morze, ale oczywiście naszej jednostki nie dopuścili do niego tak blisko. Pamiętam jak dzisiaj, bo w tak krótkim czasie było tak dużo przeżyć, jest coś nie do opisania, że to się wszystko mieściło.

*Jak długo pan dochodził do siebie po tym wszystkim?*

Przed Celle ciągle wędrowałem. A potem leżałem w Celle, bo zachorowałem drugi raz. Nie wiem jak długo. Tylko pamiętam, że to nie był szpital, ale jakąś szkołę przeznaczyli na szpital. Tam zastałem koniec wojny, to był 9 maja. Podobno byłem w ciężkim stanie, ale ja tego nie wiem. I tego 9 maja nagle strzelają i strzelają. I mówią nagle: koniec wojny! Potem, po jakichś dwóch dniach, się dowiedziałem, że mają zabierać chętnych do Szwecji i Kanady. I chyba Żydów do Australii też. Mój dowódca, to jest dowódca mojej jednostki, miał taką córkę, tośmy z nią nawet pikupiku. Nie, ale nie, nic takiego. Myśmy chodzili razem na harcerstwo. Ten dowódca dostał zaproszenie z Australii. Pamiętam, jak odjeżdżał. Nawet zdjęcie mam, jak mu machamy na odjazd.

*Jak i kiedy pan wrócił do Polski?*

Na razie nie było transportów żadnych. Jak był pierwszy transport, w Offelgene to było, podstawiono wagony. Miał być dla Polaków, ale Rosjanie się ugadali z Anglikami i raczej brano Rosjan, nawet na siłę ich brali, nie tylko chętnych. Jechali głównie Rosjanie, bo tam było dużo, dużo Rosjan, mieli nawet osobny blok wojskowy. Podstawiono im wagony, w nocy ich wpakowano, zaplombowano te wagony od zewnątrz. I pojechali, licho wie, gdzie ich zawiedli. Bo ja wiele dałem im adresów i ani jeden tu w Polsce nie doszedł.

*Jak to?*

Nie (z gniewem), bo mi wywieźli tych wszystkich na Sybir. Tak mówili. Albo licho wie gdzie. Albo i... Ja nie mam pojęcia. Wsadzili ich i zaplombowali wagon. Dałem im dużo kartek, listów i adresów do Polski, ani jeden nie doszedł. Mimo że dałem najwięcej takiej kobiecie, której naprawdę ufałem. Było nas czterech w pokoju, a jedzenie dostawaliśmy dla pięciu. Jedzenia było potąd, bo to angielskie, wojskowe, nie do przejedzenia. Więc jej dawaliśmy jedzenia dużo. Miała dług, obiecywała, że na pewno wyśle, ufałem jej. I wierzę, że by to zrobiła, gdyby mogła. Ale potem słyszeliśmy, że ich powieźli zaplombowanych na Syberię. To, że nic nie dotarło z listów, jakoś mnie utwierdziło w tych domysłach.

I teraz jest najlepsze. Najpierw przyjechał oficer łącznikowy. Jakiś porucznik, ale z Polski. I mówi: wracajcie do Polski, jak to w Polsce dobrze, dużo ludzi potrzeba do pracy. Opowiada, jak jest, że szkoły czekają. I tak dalej. On był jednego dnia. A dwa dni później podjeżdża furmanką podziurawioną, kulawym koniem taki chłop, który rzekomo uciekł z Polski, dwie granice przejechał, porozwalany, przestrzelony wóz. Mówił, że w Polsce palą, kościoły niszczą, ludzi wieszają na drzewach. Mówi: „Nie

jedźcie do Polski, bo was zamordują”. Do niego strzelali, i to dwa razy, tak się przysięgał. I teraz wiedz, co robić. Wracać czy nie wracać? Pewnie jeden kłamie trochę i drugi tak samo. Ale teraz: kto mniej?

Zamiast się zgłosić wtedy na pierwszy transport, to ja się nie zgłosiłem. I jeszcze się poniewierałem. Wstąpiłem do harcerstwa, ale nie z przymusu. Tylko jeden harcmistrz potrzebował kogoś od terenoznawstwa i mnie w to wciągnął. Więc byłem też harcerzem, harcmistrzem nawet zostałem (Julian Wieciech uśmiecha się).

*Pan miał wtedy osiemnaście lat?*

Tak, a tyle było przeżyć. I w końcu zdecydowałem się jechać do Polski. Dostałem jeden list dobry, a drugi zły. Siostra pisze, żebym absolutnie wracał. A brat – też był odważny – pisze mi tak: „Jak myślisz, tak zrób, ale zastanów się, czy jest sens wracać do dajutów?”. A dajut to wiadomo, kto to był... I on, brat, bezczelnie odważnie powążył się tak puścić ten list. I teraz człowiek się waha: jechać, nie jechać? Matka sama, drugi brat zginął. Ten brat, co był dowódcą batalionu, ukrywa się.

*A który brat zginął? Bo wiem, że Edward i Józef przeżyli?*

I Tadeusz, który najmniej miał z organizacją wspólnego, też przeżył. Natomiast brat Józef miał olbrzymie problemy, bo był w AK. W Lipnicy, naszej rodzinnej miejscowości, też byli PZPR-owcy, jak się okazało. Był taki Jarok, który tam organizował wszystko. Jego ludzie byli w UB i tak dalej. Pierwsza rzecz, to UB zamkło brata Józefa, bo on był przecież dowódcą całego oddziału AK. Tam w UB pracował mój kolega szkolny, Staszek Duśko, jak się okazało. Brat Edward jakoś dotarł do niego i obiecali temu całemu komendantowi UB w Bochni, że dostanie nowy piękny motocykl za oddanie mojego brata. Długo się podobno targowali. Za motocykl ci ludzie z UB zlikwidowali papiery brata i wypuścili go na wolność. Oczywiście od razu wyniósł się do Łodzi, żeby nie być na miejscu i żeby zacząć od nowa. Był w końcu wojskowym, podchorążówkę kończył – jako jedyny chłop z pochodzenia – w elitarnej szkole podchorążych w Makowie Podhalańskim. I on przyjechał trzy dni przed wybuchem wojny z Makowa do Lipnicy. I szliśmy drogą – pamiętam, jak szliśmy – ja się cieszyłem, a on obiecywał, że pomoże siostrze studiować, pomoże mnie, pomoże każdemu z nas. Bo przecież było bardzo ciężko. Na przykład siostra chodziła codziennie pieszo osiemnaście kilometrów do gimnazjum w Brzesku. A myśmy z kolei mieli tajne nauczanie. Był taki wujek, brat mamy, Szymon Kyndryna, który był profesorem w Katowicach. Uciekł oczywiście, jak szli Niemcy. On zadekował się u rodziny i zorganizował na dużą skalę tajne nauczanie. Dojechali do niego też inni nauczyciele. I ja kończyłem tajne nauczanie – trzy klasy gimnazjum. Zdawałem akuratnie egzamin tuż przed aresztowaniem. Dopiero po wojnie dostałem świadectwo stamtąd. Dużo ludzi wyszło później na ludzi dzięki temu nauczaniu.

*Teraz wiem mniej więcej, co się działo z braćmi Józefem i Edwardem, ale miał pan*

*przecież jeszcze trzeciego brata? Czy jednak myślę braci?*

Nie, dobrze. Był też trzeci brat, który został aresztowany.

*I to on zginął?*

Zginął.

*Co się właściwie stało?*

Tego to ja nie wiem. Razem ześmy przyjechali do obozu Gross-Rosen. A później mam wiadomość, że był niezdolny do pracy i do kolejnego transportu. No, jak niezdolny do pracy i transportu, to wiadomo co. Tylko nie wiadomo gdzie i jak.

*A widywał go pan kiedykolwiek w obozie?*

(Z naciskiem) Nigdy. Ni-gdy. Bo ja byłem w bloku XIX, mówię przecież, a on był w innym, nie wiem którym nawet. W innym. Nie spotykaliśmy się. To nie było takie proste.

*I jak pan w końcu wrócił do Polski?*

Tak było: wahałem się. Jeden brat pisze, żebyśmy wracał. A drugi, że rób jak chcesz, ale tu rządzą dajuty. Myśmy byli już zapisani na drugi transport, ale część zrezygnowała. I przedłużyłem sobie pobyt, chyba o jakieś trzy miesiące. Później ten chłop tak ludziom nagadał, znowu zrezygnowałem z wyjazdu i opóźniłem o trzy miesiące. I w końcu list od brata Józka, który mówi: „Wracaj, pomogę ci”. Przyjechałem. Wracaliśmy grupą z wojska w jednym wagonie. W mundurach. Byłem głupi, bo na jednej stacji ktoś nam mówi: „Po co wracacie, uciekajcie za granicę”. Ale człowiek nie.

Przyjechaliśmy do Legnicy. Pierwszy dzień mówią przez głośniki, żeby nie odchodzić od pociągu, bo niebezpiecznie, są napady. Wysłuchaliśmy tego, no i tak niepewnie się zrobiło. Dali nam gorącej wody na stacji. No więc wróciliśmy do pociągu. Ale kto chciał w nocy wyjść z pociągu, tak jak ja, trochę miasto zobaczyć, to został wrócony zaraz. Opiekunowie się od razu znaleźli. Coś nam się tu już nie podobało.

Rano przyjmowały komisje. Kilka stolików ustawionych w baraku. Podchodzę pod taki jeden stolik. Kobieta przyjmowała i żołnierz, ubek z bronią. Trzeba było opowiedzieć, gdzie się było i co robiło. No, to ja opowiadam o obozach, o AK, a ona tak czasem do mnie nerwowo mruga. Widziałem, że chciała, bym inaczej mówił. Ona zapisuje, a on jej patrzy na ręce i każe coś poprawiać. Jakie miała ładne pismo, piękne, pewnie też skądinąd przywieziona. No, ale myślę sobie: uhu, coś tu źle jest, skoro ona tak musi kombinować. Ale teraz już nic nie zrobię. A ten żołnierz ciągle każe jej wszystko zapisywać, co ona pomija. I patrzę na ludzi z wagonu, a wszyscy ci, co jeszcze wczoraj byli w mundurach, dziś już są w cywilu. Już się dowiedzieli, jak jest. I zdążyli się przebrać. A ja, idiota, się nie przebrałem. Później przy drugim stoliku przesłuchanie, potem przy trzecim znowu. I dopiero po trzecim przepytaniu wydawali kartkę z pozwoleniem dalszej jazdy. Chciałem od razu jechać w kierunku Kraków/Bochnia. Ale nie dali, bo nie ma transportu w tamtym kierunku. No, to myślę

sobie, gdzie pojedę. Do Katowic może? Ale był transport do Łodzi. To się zdecydowałem, że pojedę tam do brata.

Na początku chodziłem w tym wojskowym mundurze, nie bałem się, nawet mam zdjęcia w nim na ulicy. Każdy nosił, co miał. Tam mnie nie zaczepili. Ale dopiero w Krakowie mnie zaczepili dwa razy na ulicy. Dostałem też takiego „opiekuna”. Raz – wtedy, gdy był napad w Rynku na jakiegoś ubeka, gdy go zastrzelili. Myśmy z żoną też wtedy byli w okolicy, szliśmy Krowoderską. Żona szła na Mazowiecką. A ja do domu akademickiego. I podobną drogą też uciekał ten, który zastrzelił. Ci z UB przyszli do akademika i mnie wywołali. I oczywiście stali w bramie, pościągali ludzi z pokojów. Zebrali nas wszystkich razem i tak trzymali. Aż w końcu któryś mówi: „Puścić ich”, bo z okna wyskoczył chłopak. Ten, który do ubeka strzelał. Wyskoczył i uciekł.

Drugi raz też był przypadek. Żona wtedy chodziła na Loretańską do liceum. Stoję sobie przy Plantach i czekam na nią, bo poszła wrzucić do skrzynki list. Aż tu podjeżdżają jakąś limuzyną i czterech panów po mnie wyskakuje. Broń tak trzymają i mówią: „Tu już nam nie uciekniesz”. Zabrali mnie na Batorego. Trzeba było się rozebrać aż do galotów. I przewieźli mnie na plac Wolności. I tutaj zaczynają mnie przesłuchiwać. Nic, tylko wmawiają mi jakieś napady. Calutki czas się broniłem, aż się jakoś wybroniłem, raz mnie tylko uderzył w nocy. W przeciągu dwudziestu czterech godzin mnie zwolnili, jak się należy.

Ale to nie był koniec, bo potem zamkli drugi raz brata. Był na Śląsku wtedy, pracował. Rozebrali go, wszystkie naszywki pozrywali i tak dalej. I nie wiadomo, gdzie zawieźli. U nas przed wojną i w czasie wojny w Lipnicy był taki wysoki facet, miał wysokie buty, zniszczone. Jeździł od wsi do wsi. Rzekomo handlował wódką. Tu posiedział, tam posiedział, od domu do domu, tu spał, tam spał. Ja się dowiedziałem, że ten człowiek jest teraz ważną osobą. Ale jak go znaleźć? Wujek Kyndryna, ten, co organizował tajne nauczanie, powiedział mi, że taka dziewczyna może coś wiedzieć. Ktoś inny mi powiedział, że ona, czyli dawna koleżanka z Lipnicy, do której mięty czułem, jest teraz w klasztorze w Częstochowie. Taki głupi byłem, wybrałem się tam i oczywiście rozmawiałem z siostrami. Ta moja koleżanka powiedziała mi, że on faktycznie jest teraz ważną osobą. I że zrobili go w Krakowie jakimś sekretarzem. Zacząłem się przez kolegę szkolnego, który był w komitecie, dowiadywać. Powiedział: „Był sekretarzem, ale już tu nie ma takiego. Na pewno awansował i jest w Warszawie”. Boże... A brata nigdzie nie ma, jakby się zapadł pod ziemię. Wziąłem duszę na kark i pojechałem do Warszawy. Poszedłem szukać brata. I weź szukaj, szukaj, nie wiesz gdzie, nie wiesz jak.

Poszedłem do pierwszego biura, takiego nazwiska nie ma. Poszedłem do drugiego biura. Jest. A obsługiwała tam taka dziewczyna, chyba chora... rany boskie, strasznie wyglądała. Ale nie chce mi dać danych, mówi, że to jest adres zastrzeżony. Ja mówię:

„Jak może być zastrzeżony, jak to mój wujek?!”. I tak jej opowiadam. Mówię: „No, wie pani, naprawdę muszę go znaleźć, mam ważne wiadomości”. A za mną straszna kolejka, ludzie się denerwują. Wtedy nikt nikogo nie mógł znaleźć, wielkie były te kolejki pod biurami. Ona mówi, że już nie może ze mną rozmawiać, koniec. No, to byłem zdesperowany, proszę ją o pomoc. Ona wtedy pyta: „A umówisz się później ze mną?”. A ja myślę sobie: „Jezu...”. No, ale odpowiadam: „Umówię”. Co miałem zrobić? Ja jeszcze wtedy chyba byłem w mundurze czy czymś takim dosyć drażniącym. No i umówiliśmy się o szesnastej. Poszedłem w to miejsce, patrzę, idzie ta brzydota. Jak tu uciec? No i mówię: „Ja jestem słowny, ale czy ty będziesz słowna?”. Na to ona, że też jest, i wyciąga świstek. A ja łaps ten świstek i noga między ludzi. Ona wrzeszczy: „Chwytać, łapać!”. Ale wtedy było tak, że ludzie nie garnęli się łapać. Obojętnie, kto uciekał, wiedzieli, że nie zawsze winny ucieka, ale ten, co się ratuje.

Jest adres faceta, którego szukam: Królewska. Przespałem się na dworcu. Rano podchodzę na miejsce i patrzę, taki ładny budynek. W ogóle same postawione świeżutko budynki. Przy jednym z nich, tym właściwym, spaceruje żołnierz. Podchodzę do niego i mówię, że idę do wujka. A on, że to nie tak łatwo, trzeba się zameldować. W końcu zadzwonił na górę, ale nie chciał mnie puścić. A po chwili patrzę, ten chłop zlatuje od razu, ściska mnie i mówi: „To ty żyjesz? Toś ty przeżył?”. I bierze mnie na górę. Tam jego żona i widzę, że tak nie bardzo na mnie zadowolona. Mieli pełno pak, dopiero się sprowadzili. Mówi: „Słuchaj, ja idę do pracy”. Ona go popędzała, żeby się nie spóźnił, to była Rosjanka zresztą, później się dowiedzieliśmy, że była w kontrwywiadzie. Mówi mi: „W Polonii o trzynastej”. Mówię: „Ale ja nie mam nic”. A on: „Głupi jesteś czy co?”.

Ja już taki zdenerwowany czekam, za pięć pierwsza wchodzę do Polonii. Siedzi on i dwóch panów w butach z cholewami, siedzą przy stoliku i pół litra ciągną. Nim się odezwałem, to on mnie przedstawia: „To mój człowiek, on mi pomógł dużo w czasie wojny” – i zagaduje, ile wejdzie. Mówi im, że u nas sypiał, zatrzymywał się jak u swoich. Gada i gada, ci się nawet mnie nie pytają. Ani razu się nie odezwałem. W końcu jeden wyciąga kopertę zalakowaną i mówi mi: „To jest koperta do Urzędu Wojewódzkiego w Krakowie. W środku jest druga. Nie śmie być ani pierwsza, ani druga złamana”. I mówi: „Czekam na wiadomość”. Podaje mi kartkę z telefonem i każe mi ją połknąć lub zniszczyć. I że tej kartki nie można dać nikomu, nawet w urzędzie. Oj, myślę sobie, że strach myśleć, ale może coś z tego będzie. Pociągu już nie było, znów przekimałem na dworcu.

Wracam do Krakowa. Idę na plac Wolności, gdzie urząd był. Mówię, że chciałbym do komendanta. No, to słyszę: „O nie, nie tak łatwo”, mówi mi żołnierz, „tu się wchodzi, ale nie wychodzi”. I tak mnie straszy. Wesolek był. Za chwilę wchodzi jakiś porucznik i mówi: „Proszę mi to dać”. Mówię mu, że nie mogę, tylko do rąk

własnych. On się na mnie wydarł. Ale powtarzam, że do rąk własnych. Poszedł z kimś pogadać. Przyszedł i mówi: „Za mną”. Wchodzimy na górę, siedzi jakiś kacap w czapie, Rusek na pewno. No i pyta się: „Kto eto?”. Ten, co mnie prowadził, mówi mu: „Komórka 105”. Czyli byłem już u nich zarejestrowany. Daję mu list, wyciąga jedną kopertę, wyciąga drugą. Czyta, czerwony się zrobił, po czym zbladł i znowu czerwony. W końcu mówi: „Jutro się proszę dowiedzieć”. Ja się boję, ale mówię: „Nie, muszę dziś dać odpowiedź, tak mi kazano”. Zawołał kogoś, porozmawiał i mówi: „Dobrze, dzisiaj można dać odpowiedź, ale jutro rano o siódmej będzie zwolniony. Podjechać samochodem od Józefińskiej z tyłu”. Mówię, że ja podejdę pieszo, zabiorę go do domu studenckiego, to blisko. A on: „Samochodem!”. Ale po rusku mówił, więc tak nie bardzo się dogadywaliśmy.

Ja więc w nocy nie mogłem usnąć. Czekam rano, idę, a właściwie podjeżdżam od Józefińskiej. Wypuścili go. Był pokiereszowany mocno. Musiał bardzo silny być i mieć wielkie zasługi ten, co kiedyś u nas handlował wódką. Ale w tym wypadku był solidny. Bo żeby taką rzecz załatwić w dwie doby? To było dla mnie nie do pomyślenia.

*Kiedy to było?*

To mógł być 1953 albo 1954, bo już przecież byłem w Krakowie.

*A później miewał pan jeszcze jakieś problemy?*

Raz tylko. W domu akademickim na 18 Stycznia mieszkaliśmy w trójkę. Bo wcześniej mieszkałem ciągle w takim pokoju ogólnym, pełno ludzi, aż w końcu nie wytrzymałem i zrobiłem awanturę, kiedy mnie przeniosą, bo już nie wytrzymuję w salach zbiorowych.

Pewnego dnia wpadają panowie w wysokich butach, chociaż nie powinni wejść do domu akademickiego. Zabrali nas i przyprowadzili na plac Wolności. Dowiedzieliśmy się, że aresztowali jednego kolegę z tej naszej trójki. On studiował, ale codziennie wieczorem wychodził. Był w jakiejś bandzie i widocznie mu to udowodnili.

Aha, było coś jeszcze. Nagle na trzecim roku idę po pieniądze – bo brałem stypendium – nie ma stypendium. Pytam: „Jak to?”. Mówią, że wstrzymane. A kierownikiem do spraw stypendiów był profesor od towaroznawstwa. Pytam go, jak sytuacja. A on mi mówi: „Niestety, nie mogę ci powiedzieć”. Pół roku miałem wstrzymane stypendium. Wyrwali mi niektóre kartki z indeksu nawet. W końcu oddali mi taki poniszczony indeks, mam tu go gdzieś zresztą, naprawdę wstyd było. Stypendium oczywiście nie przywrócili. I wtedy skończyła się moja przygoda z uczelnią, bo już nie miałem siły walczyć z tą sytuacją. Gdzie człowiek ruszył, było nie tak. Przez to AK. Wszędzie: niby w porządku, ale...

*To były wciąż lata pięćdziesiąte?*

Tak, bo ja w 1953 już się z żoną pobrałem zupełnie. A czym pani właściwie się

zajmuje? (Odpowiadam, a Julian Wieciech kontynuuje opowieść). A, jak tak teraz pani powiedziała o uniwersytecie, przypomniało się: w Łodzi robiłem liceum i koniec nauki. Po wojnie poszedłem do czwartej klasy, w skróconym trybie. Przeważnie chodzili koledzy w półmundurach, towarzystwo było dobrane z różnych stron świata, często ze Lwowa. Nauczyciele też zewsząd. Moja nauczycielka była nazywana „Hulajnoga”, bo kulawa po wojnie, doskonała kobieta. Był też taki profesor od fizyki, który nic nie widział, nic zupełnie, mimo dużych powiększających okularów. On był ze Lwowa, przewieziony po różnych okropnościach wojennych. Nabieraliśmy go. Kiedyś poszedł któryś inny odpowiadać niż wywołany. Nagle ten ślepy profesor mówi: „Tyś nie Salomon”. Chyba po butach jakoś poznał. Jak nam było głupio i wstyd, proszę sobie wyobrazić. Ten profesor się rozplakał. W sumie zrobiłem dwie klasy w półtora roku.

Przyjechałem do Krakowa. Chciałem tu studiować. Poszedłem na UJ, składałem podanie na leśnictwo. Jeden brat już skończył leśnictwo. Miały być rozmowy. Przyszedłem na nie. Był jeden młodzieżowiec, co przegląda moje papiery. Mówi: „A co to tak ciągnie do lasu?”. Tak bezczelnie mi mówi. I jeszcze: „No, zobaczmy”. W końcu ja wychodzę, a za mną wychodzi drugi z komisji i mówi: „Człowieku, nie masz szans. Nie masz szans. Nie przyjmą ciebie po AK”.

Wtedy Akademia Handlowa przyjmowała wszystkich, byle płacić. Poszedłem do Sarny. To był rektor. Tam się dostałem, od razu. Jak zupełnie skończyłem studia, to mnie prosili, żebym został u Sarny asystentem. Ale – jak mówiłem – życie się pokomplikowało, trzeba było pracować.

Potem się dostałem do Elbudu na staż pracy. Tam zostałem przydzielony do działu planowania. Kierownik miał takiego zastępcę, który jakoś nieudolnie pracował. Raz naczelny jechał do Warszawy i w ostatniej chwili okazało się, że zastępca nie zrobił mu sprawozdania. Całą noc siedziałem i robiłem to sprawozdanie. Tam, gdzie był brak, zawsze nakombinowałem. Bo nie było dokumentów tyle lat wstecz, żeby to uzupełnić. Dyrektor pojechał do Warszawy. Tam okazało się, że najlepsze sprawozdanie złożył mój kierownik. Jak wrócił, chciał mnie zatrudnić na swojego zastępcę, choć były perypetie z tym. Poprzedni wicedyrektor mi bruździł. Przyleciał od razu, pyta, co ja tu robię. To mówię mu, że pracuję. A on, że AK-owcy nie mają wstępu, bo tu są tajne informacje. To mi pomogli jakoś w miarę normalnie działać inni AK-owcy, którzy tam pracowali, ale nie byli ujawnieni, jak się później okazało. Potem należało mi się też z nakazu pracy mieszkanie. Najpierw na Sarego, w dobudówce. Przyznano mi, to mnie ten łobuz wicedyrektor skreślił. Później było mieszkanie na ulicy Widok. Też mnie skreślił z listy i jeszcze dopisał na moim podaniu: „Nie macie komu dać, tylko tym bandytom AK-owcom?”. Takie cuda.

Stamtąd poszedłem na zastępcę dyrektora gdzie indziej, budowy sieci elektrycznej, Zakłady Bonarka i tak dalej. Chcieli kiedyś, żebym został prezesem spółdzielni

rzemieślniczej, gdzie robili torby skórzane, na Sarego. Jak poszedłem pierwszy dzień, tak zarządziłem, żeby zrobili inwentaryzację. Następnego dnia wstaję, biorę gazetę: spaliły się dwa magazyny na Sarego. Widzi pani, miałem dużo przygód. Można by opowiadać i opowiadać, a ja tak przelatuję to wszystko pamięcią. Ale te dziewięć dni w pociągu, dwa tygodnie w Bergen-Belsen i też czas, gdy już nie było Niemców, a jeszcze nie przyszła pomoc, to wprost nie do opowiedzenia. Widzę ten barak i najbardziej widzę tego trupa biednego, jak go z pryczy wlokę do tego dołu i ledwo, ledwo.

*Czyli, podsumowując, w jakich był pan obozach?*

Najpierw w Gross-Rosen, później był Nordhausen, Harzungen i na koniec Bergen-Belsen.

*Jak długo był pan w Bergen-Belsen?*

W Bergen-Belsen w sumie dwa tygodnie. I to wystarczająco (śmiech).

*Jak pan sobie radził ze wspomnieniami?*

Nie wracałem do tego myślami w ciągu dnia. W nocy to trochę co innego, ale już dokładnie nie pamiętam.

*A teraz?*

Nie, w ogóle.

*Zamknięty rozdział?*

W ogóle, w ogóle, w ogóle. Ani się śni, ani nawet trudno mi teraz sobie niektóre rzeczy przypomnieć. Po tej książce, którą pisałem, jak ręką odjął.

Działałem dużo w tych krakowskich związkach byłych więźniów, starałem się. Chodziłem po szkołach na lekcje, jak zapraszali, opowiadałem. I byłem wiceprezesem związku. Na początku mieliśmy siedziby na Rzeźniczej, potem na Wielopolu, na placu Wolności, na Karmelickiej. Potem na Dietla. Ale też miałem dużo pracy, czasami ciężko było łączyć i pogodzić. Chodziłem do pracy, jeździłem sporo po kraju, bo to było przedsiębiorstwo terenowe, dwa razy byłem nawet w Iraku służbowo. Dwójka dzieci, dom.

Nie wiem, kto pani jest, ale pani powiem: kiedyś to była zgrana grupa. Dziś już tego nie ma, niestety. Poszczególne kluby byłych więźniów najpierw się poodsuwały, na przykład oświęcimiaci. A potem nawet to poupadało prawie. W końcu poumierali ci starzy więźniowie. Nas z Bergen-Belsen było dziewięć osób, to chciałem zawiązać organizację. Ale wszystko chorujące, nie udało się zebrać, prawie wszyscy z Bergen-Belsen się pokończyli. Są też niejasne sprawy. Niektórzy jakby nie mieli nic do opowiedzenia, co w tych obozach było. Nie wiem, może byli bardzo krótko? Ale też kiedyś jednego, który bardzo zawzięcie działał od samego początku – wydawało się, że to taki murowany więzień – później złapaliśmy, że był lewy. Miał lewą legitymację. Wie pani, jak wtedy jechałem do Hanoweru po zaświadczenie, przecież każdy mógł też tak pojechać. Jeden drugiemu świadczył. Wtedy wszystko mogło się



zdarzyć.

Przyszedł czas, że wezwali mnie do urzędu ewidencji. Okazało się, że cwaniaki wymieniają nam legitymacje. Ale już nie dają legitymacji inwalidzkich, jakie mieliśmy, ale mamy teraz status więźniów. A ja naiwny poszedłem i zamiast powiedzieć, że zapomniałem tej poprzedniej legitymacji, jak inni robili, to oddałem moją i urzędniczka buch, zabrała, przekreśliła. Dała nowy dowód dla więźnia. No i wtedy się zraziłem, odsunąłem. Jak oni nas traktują?

**Władysława/Barbara Wiecha**

Włączam dyktafon. Rozlega się głośne bicie dzwonów, które zagłusza pierwsze słowa. Jesteśmy w pokoju Władysławy Wiechy w podkrakowskim domu prowadzonym przez siostry zakonne. Dzwonnica znajduje się tuż za oknem. W spotkaniu uczestniczy Karol Kowalski, wiceprezes Związku<sup>2</sup>.

Żadnych prezentów nie przyjmuję, bo mi nie potrzeba, wszystko mam. Ale kwiaty to chętnie, zawsze – moja rozmówczyni krząta się w poszukiwaniu wazonu. – Jakkolwiek takie właśnie, cięte, są lepsze, bo w doniczkach już za ciężkie dla mnie.

*Cieszę się, że zgodziła się pani spotkać.*

Ja już właściwie niewiele mogę powiedzieć. Ale chciałam panią zobaczyć z ciekawości. Kto się takimi rzeczami zajmuje? Syn panią spotkał w Związku przy Dietla, gdy tam za mnie płacił składkę członkowską, i mi panią polecał.

*To prawda, rozmawialiśmy. Ale dlaczego twierdzi pani, że niewiele może powiedzieć?*

No tak, mnie już brakuje słów. Poza tym nie mam specjalnej potrzeby mówienia.

*Przecież jest pani chodzącą energią! I żywą przytomnością umysłu!* Faktycznie dużo chodzę i jeszcze żyję, ale jestem ślepa na jedno oko. I głucha na jedno ucho.

*Mam jednak wrażenie, że dobrze mnie pani słyszy.*

Raz lepiej, raz gorzej, zależy, jak mi w głowie zaszumi. Zależy też od ciśnienia i pogody. Teraz jest nieźle.

*Skorzystajmy z tego. Chciałabym najpierw spytać o moment wyzwolenia.*

U mnie to nietypowe było. W Ravensbrück byłam tylko miesiąc. Potem należałam do Buchenwaldu, ale od razu nas zawieźli do podobozu, do Lipska, więc ja na oczy nie widziałam Buchenwaldu. A z Lipska byłyśmy nie tyle wyzwolone, ile nas ewakuowali. W połowie kwietnia. Tylko rewir został na miejscu, a wszystkie chodzące – na szosy. I tak żeśmy wędrowali. Po dwóch tygodniach rewir do nas doszedł na piechotę (śmiech). Nawet ta, która była operowana parę dni przed naszą ewakuacją, doszła do nas.

Byłam w komandzie fabrycznym. Tylko że kiedy wreszcie ja jako auwasjerka zostałam przydzielona do pracy, to od tego momentu kobiety nie pracowały przy maszynach. Ja zawsze miałam dużo szczęścia.

*Na czym polegała pani wcześniejsza praca?*

Ja nic nie robiłam, tylko w hali fabrycznej miałam być jako tłumaczka i miałam pilnować, żeby więźniarki pracowały wydajnie. Ciągle chodziłam dookoła, bo nie wolno mi było usiąść czy spocząć ani nic. Jak woda pływałam po całej hali. I ciągle im za plecami szeptałam: wolniej pracować, wolniej pracować, nie śpieszyć się (śmiech).

*Faktycznie miała pani szczęście.*

Cały czas miałam dużo szczęścia.

*No, a gdy panią aresztowali, to chyba niekoniecznie?*

Niby tak, ale też mogło być gorzej. Bo ja miałam jednak skierowanie od organizacji wojskowej i pracowałam w szpitalu wojskowym, naszym, polskim, na ulicy Wrocławskiej w Krakowie. Z początku na jednej sali byli jeszcze jeńcy nasi, Polacy chorzy. Pierwszych parę miesięcy byli austriaccy lekarze. Nie mieli pielęgniarek, więc wzięli Polki.

*Panią także?*

Tak, byłam tam pielęgniarką. Zapytał się mnie raz taki profesor wiedeński, jakie mam przygotowanie. Mówię: „Mam trzymiesięczny kurs Czerwonego Krzyża”. On mówi: „Będzie pani moją pielęgniarką” (śmiech).

*Mówiła pani po niemiecku?*

Niespecjalnie. W szkole uczyłam się francuskiego. Niemieckiego nie.

*Jak się porozumiewaliście?*

Nie wiem właściwie. Po polsku najbardziej. A potem się osłuchałam. Bo to człowiek jednak jak znajduje się w tym środowisku... No i jeszcze w miarę młoda byłam, jestem z 1913 roku, chłonełam. To byli wszyscy Austriacy, lekarze, bardzo życzliwi. Potem zmieniła się cała obsada i przyszli Prusacy, ale też ludzcy. Ale rzeczywiście, gdy już Prusacy byli, to jeden z nich narzekał na te działania wojenne. Czapkę swoją z głowy zrzucił i ją deptał. Natychmiast za to zniknął, dosłownie po dwóch godzinach już go nie było.

Ale na przykład przyniosłam do szpitala książkę po polsku, *Odwrót*. Niemieckie wydanie istniało też. To był odwrót po bitwie jakiejś przegranej przez Niemców, chyba z pierwszej wojny. Mój lekarz powiedział: „Proszę siostry, proszę nie przynosić tego do szpitala, bo tu nie wolno”. No, ale nie zrobił z tego żadnego użytku. Mówię, przywoici byli, mimo że Prusacy.

*A dlaczego panią aresztowano?*

To było tak: z koleżanką byłyśmy, którą wciągnęłam do organizacji. Bo chłopiec, który u nas działał, przenocował u niej jedną noc w Borku Falęckim. I wobec tego ona znalazła się już na tapecie. Myśmy miały mieć spotkanie na cmentarzu Rakowickim, to była sobota. Ewentualnie już w poniedziałek miałyśmy nie pójść do pracy, bo sygnalizowali nam, że są wpadki. I ci chłopcy byli złapani, jak jechali na nasze spotkanie. Myśmy zobaczyły ich płaszcze i dokumenty, oczywiście fałszywe, jak później leżały na biurku w areszcie. Już wiedziałam, że to oni wpadli. I widocznie nie wytrzymali.

*Jak was zatrzymali?*

Czekałyśmy na chłopców na tym cmentarzu. Chciałyśmy poczęstować się cukierkami, które miałyśmy ze sobą. A Niemcy nas podglądali i myśleli, że truciznę chcemy zażyć. Wtedy nas capnęli. Gdyby nie to, pewnie by dłużej czekali, czy ktoś jeszcze nie przyjdzie. Powiedzieli nam: „Bardzo nieostrożne jesteście, że tak długo czekacie. Skoro o danej godzinie nie było chłopców, to trzeba było się rozejść”.

Instruktorzy się znaleźli. A myśmy siedziały przy grobie koleżanki rodziców. I czekałyśmy, minęło może pół godziny od umówionego czasu. Bo jak chciałyśmy te cukierki wziąć do ust, to Niemcy wypadli zza grobowców (śmiech), chwycili nas za ręce i wytrącili te cukierki. Bo bali się, że to trucizna. Przewrażliwieni.

*Jak się zachowywali?*

Uważam, że zrobili komedię.

*Widocznie wiele się po was spodziewali.*

No chyba. Ale miałyśmy też truciznę.

*Więc jednak?*

Miałyśmy, bo chciałyśmy uniknąć wpadki.

I tortur, pani Władeczko? – dopowiada Karol Kowalski.

No, tortur też. Ale najciekawsze było na Pomorskiej. Przywieźli nas po południu. My nie miałyśmy tortur. Ja miałam szczęście. Żaden Niemiec ani żadna Niemka nie uderzyli mnie ani w głowę, ani w twarz.

*W areszcie na Pomorskiej?*

Na Pomorskiej, ale też potem, przez cały obóz. Na Pomorskiej tylko mi przystawiał jeden rewolwer do skroni, ale to takie sztuczki. Więc patrzyłam mu prosto w oczy. Jeszcze się go zapytałam: „Dlaczego pan mi mówi po imieniu?”. A on: „Bo jesteś aresztowana”. Ja mu na to: „A, to dziękuję, teraz wreszcie wiem, że jestem aresztowana”. Im się to chyba podobało. Że taka jakaś jestem bezczelna czy z podniesioną głową. Miałam poczucie, że to gra. I oni też w to grali. Jednak co by nie mówić, oni byli czy bywali inteligentni. Zupełnie inaczej wyglądał jednak nasz powrót po tym wszystkim, gdy same wracałyśmy pod prąd. Gdy Rosjanie szli. Tam nie było z kim rozmawiać.

*Wrócimy jeszcze na Pomorską?*

Tak, tam był ciekawy moment. Bo nas zwieźli na dół, do piwnic, do celi. Otwierają drzwi, a tam w środku siedzi nasza koleżanka z grupy. Bo myśmy tylko piątkami znali się i komunikowali, taka była zasada. Ona nas widzi i mówi: „O, jak dobrze, że wy tu jesteście, nareszcie” (śmiech). Towarzystwo nam się udało. Bo ona, biedna, tydzień sama tam siedziała. I ani jedzenia, ani picia. Zjadła już wszystkie papiery, które miała w torebce, żeby jakoś... przeżyć. I była szczęśliwa, że do jej celi trafiłyśmy. Opisałyśmy jej sytuację, jaka jest teraz w Krakowie. Kto aresztowany, kto nie. Bo to jednak była akcja w oparciu o szpital na Kopernika. Ta z celi pracowała tam na dermatologii, a inna jeszcze, od nas z grupy, na oddziale chorób wewnętrznych. Mieszkała na Olczy, miała syna. Właściwie obie przeżyły. Ta, co nas tak w celi powitała, nazywała się Kinga Szwarga, dziś już chyba mogę mówić? Mieszkała przy moście Dębnickim. Stoi może jeszcze jej kamienica.

Nasz dowódca, kapitan, jakiś taki niski był, strasznie kretyniasty człowiek. Zobaczył mnie kiedyś w tramwaju na Zwierzynieckiej i cieszy się na głos jak głupi: „O, mój

żołnierzu!”. Może nietrzeźwy był? Wysiadłam zaraz na pierwszym przystanku. A on pojechał dalej. No i takie różne. Więc to nie mogło trwać wiecznie.

*Postawiono pani jakieś zarzuty?*

Po prostu o podziemiu. O działalność podziemną.

*Czym się właściwie zajmowałyście?*

Ja wynosiłam. Była taka starsza siostra nasza, przedwojenna, po szkole pielęgniarskiej. Znana też była z tego, że pielęgnowała w chorobie Mościckiego. Ale poza tym zdolna była. Potem pracowała na chirurgii, na sali operacyjnej. Zimą załamywał się front na Wschodzie i już nie było bandaży normalnych, tylko papierowe. Współpracowałyśmy z tą starszą siostrą. Wynosiłam dobre bandaże dla Polaków.

*Jak długo panią trzymali na Pomorskiej?*

Zaraz w noc nas wywieźli. Na Montelupich. Do sali zbiorowej. Oczywiście pierwsza noc była na stojąco, było nas tak dużo. Nowi aresztowani jeszcze nie mieli przydziałów. Na drugi dzień do kąpieli, a wszystkie ubrania, bieliznę wzięli do dezynfekcji. To był maj, 20 maja, było ciepło, bielizna była lekka, cienka, a wszystko zabrali. I nas do kąpieli ściągnęli zbiorowej. Tylko się człowiek brudu nałapał w tej kąpieli. Następnego dnia przydzielili nas na Helclów. Tam był kobiecy oddział.

*Długo was trzymali na Helclów?*

Nie. Po miesiącu pojechaliśmy transportem. Razem, grupą całą wyjechaliśmy, ale część była skierowana na Oświęcim.

*Jaka była ta podróż?*

Więzienne wagony. Malutkie, zakratowane. Nas były tylko dwie osoby na wagon. Wcześniej, w Krakowie, jak na dworzec zajechaliśmy takimi więziennymi samochodami, to nie wolno nam było nawet się rozglądać. Bo było sporo ludzi wokoło.

*Widziała pani mimo wszystko, jak reagowali ci ludzie?*

Nie bardzo. Ale jak już jechaliśmy, tośmy jeszcze na terenie Krakowa, w Bonarce, wyrzucały adresy przez szpary w kratkach okiennych z pociągu. Nie widzieli tego. Do mojej rodziny trafiła jednak tylko kartka z więzienia. Bo był taki Peterlech – tak go nazywaliśmy – strażnik. I on się sam zaofiarował, że dostarczy paczki. Bo wtenczas już nie można było dawać ani paczek, ani RGO, ani nic. A wiedział, że nas wywiozą wkrótce. I ja zaryzykowałam, dałam mu adres do moich rodziców. On dostarczył mi paczkę. Umówił się z rodzicami na konkretną godzinę, przekazali mu moje rzeczy, a on mi je przyniósł. Ubranie oraz trochę żywności w tej paczce miałam. Wszystko, co najlepsze, mi zapakowali. Bo ja jadę w podróż. Takie nie wiadomo co (śmiech). A ja przecież byłam lekko ubrana, w lekkiej sukience.

*I jedziecie więziennymi wagonami...?*

Jeszcze jak jechaliśmy w Krakowie, w nocy, otwartym samochodem, jakimś

wojskowym, jechał z nami młody chłopak, więzień. Prawdopodobnie jego chcieli odbić. Nasz kierowca strasznie krążył, uciekał, ale w końcu dojechał z Helclów na Montelupich. Tam nas wyładowali i dopiero wieźli na dworzec, na transport. Od razu jechałyśmy do Ravensbrück. Część wagonów pojechała do Oświęcimia, raczej mężczyźni. A myśmy, kobiety przeważnie, pojechały właśnie do Ravensbrück, bo to w zasadzie był kobiecy obóz, jakkolwiek pod koniec nie przestrzegali tych swoich zasad czystości. A to już był 1944 rok, proszę pani. Ja miałam szczęście. W konspiracji pracowałam przecież od początku, od 1939 roku. Mogło różnie być. Ale nie bałam się, bo człowiek młody, to... szarżuje (śmiech).

*Trafiła pani do Ravensbrück? Jak było?*

Jak przyjechaliśmy, oczywiście rozsiadłyśmy się. Był nasz transport krakowski i jeszcze warszawski. I chyba jeszcze jakiś. W każdym razie nas było sporo tam. Niektóre miały takie ciężkie bagaże, bo siedziały może długo w więzieniu, nie wiem. Ale miały pełno rzeczy i z zimy jeszcze futra wiozły (śmiech). Męczyły się strasznie. Ja to jednak lubię podróżować bez bagażu, więc chwaliłam sobie mój stan posiadania. Jak zajechałyśmy boczną linią kolejową, pod sam obóz, to zobaczyłyśmy przepiękną noc księżycową i błyszczące w tym świetle jezioro. I jakieś łódeczki na tym jeziorze stały. Bo tam obok postawiono domy dla esesmanów przy obozie, więc to pewnie były ich jachty. Wyglądało jak w bajce.

Siedziałyśmy tak wszystkie i czekały, każdy jadł, co tam jeszcze miał. Bo nam nawet dali na drogę dodatkowe chleby – inni więźniowie to zorganizowali przed wyjazdem. A inne grupy miały jeszcze więcej jedzenia. Zresztą nie byłam taka głodna – siedziałam tylko miesiąc w więzieniu, od maja do czerwca. W czerwcu wywieźli mnie do Ravensbrück, a po miesiącu, czyli w lipcu, do Lipska.

*Jak was przyjęto w Ravensbrück?*

Wtenczas był wielki bałagan. Więc koczowałyśmy przed salą kąpielową, na trawniku siedziałyśmy i czekałyśmy na swoją kolejkę. Niektóre więźniarki starały się z nami jakoś porozumieć, jakkolwiek nie wolno było, bo nas pilnowali. Mówiły: „Słuchajcie, bo wam i tak wszystko zabiorą, oddajcie nam swoje jedzenie”. Ale nasze dziewczyny nie dowierzały i nie bardzo chciały się dzielić. A potem i tak wszystko zostało u Niemców.

Była kąpiel. Oczywiście esesmani, Niemcy, mężczyźni, byli przy kąpieli. Ledwo wodę puścili ciepłą, już za chwilę zimną. Jeszcześmy się nie namydliły, a już nam kazali wychodzić. Nie wiem, kto to wierzył w czystość i ten porządek niemiecki. Ja miałam włosy do pasa, dwa warkoczki długie. Na szczęście nie namydliłam jeszcze głowy, bo byłoby dopiero. A to mydło, które nam dali, to nie było mydło, ale jakaś taka maź, nie pieniało się w ogóle.

Jak wyszłyśmy, to stały taborety. Tam strzygli włosy pod pozorem przeglądu. Do mnie podeszła jakaś Czeszka, starsza więźniarka, mówi: „Dziecko, chodź do mnie,

chodź do mnie, bo Niemki ci te włosy zetną!” . Tak że wzięła mnie na swój taboret, siadłam tam, a ona pyta, czy mam wszy. Mówię jej, że nie, nie mam, bo niedługo siedziałam. To pyta dalej, czy mam grzebienie. Mówię, że miałam grzebienie, i rzadki, i gęsty, tak zwane, ale mi zabrali. To ona kazała iść za nią do miejsca, gdzie zostawiłyśmy rzeczy. Tam już zdążyli je popakować do worków, każdy z nich był opisany naszym nazwiskiem, że niby kiedyś nam zwrócą te rzeczy (śmiech). Na szczęście znalazła mój worek i ze środka wydobyła grzebienie dla mnie.

*Faktycznie je pani dała?*

No, dała mi je.

*I nie ścięła pani włosów?*

Nie ścięła. Właśnie dlatego mnie wzięła do siebie. No i to, że nie miałam wszy.

*Zachowała pani te długie włosy przez cały pobyt w obozie?*

Wie pani, że chyba tak? Chyba miałam cały czas włosy. Tak się zastanawiam, ale nie pamiętam, żeby było inaczej. Bo jeszcze pamiętam, jak siedziałam na swoim łóżku, na trzecim piętrze, to czesałam te włosy, a one tak spływały w dół. Bo potem już nie interesowali się tymi włosami, tylko na początku. A w Lipsku tylko ciągle tępiłyśmy pluskwy.

*Inne więźniarki musiały pani zazdrościć?*

Pewnie tak. Może te włosy pomogły mi nieraz, bo jednak wyglądałam dzięki nim lepiej.

W Ravensbrück siedziałyśmy na kwarantannie, był specjalny blok. Były tam też zakaźne chore. Nasze łóżko się zawaliło, bo z koleżanką zajęłyśmy jedną prycę przy oknie. Jak myśmy się razem położyły na tym łóżku, tośmy nagle wpadły na parter – a tam leżały matka z córką na dole. Krzyczały na nas bardzo, ale co myśmy winne? Ja jeszcze się tak zawiesiłam na desce surowej, całej w drzazgach, żeby nie całkiem spaść na te kobiety, więc miałam całą skórę zdartą. No, to mnie przydzielili na inne miejsce, na trzecie piętro, między dwie młode Niemki, siostry, które miały świerzb. Te dziewczynki zamknęli tam za karę, za flirt z Polakami. Ale mnie się choroby nie trzymały, więc się nie zaraziłam. Na kwarantannieśmy były, ale co jakiś czas robili przegląd i odsyłali dalej, bo nie mieli co z tymi ludźmi robić. Potem, jak już coraz więcej ludzi z Warszawy zwozili, z powstania, to w ogóle zrobił się tłok. A myśmy na tej kwarantannie siedziały niby zamknięte, nie wolno było wychodzić w ogóle, tylko na apel.

Nasz dzień inaczej wyglądał. Myśmy o drugiej w nocy szły do kuchni po kawę. O ósmej rano się jadło obiad.

*Dlaczego?*

Bo niepracujące byłyśmy, kwarantanna. Żeby się nie zbiegało z tymi, co pracują. Więźniowie, którzy szli do pracy, mieli normalny dzień. Ale na apelu tośmy razem wszystkie stały.



*Jakie miałyście ubrania?*

No więc po tej pierwszej kąpieli niczego nam nie oddano z własnych rzeczy oczywiście. Pasiaków dla wszystkich nie starczyło, więc proponowali pożydowskie ciuchy. A na plecach były pokostem takie czerwone krzyże wymalowane, grube, szerokie znaki. Przez całe plecy. Niektóre sobie takie wzięły, bo było lato, upał. A ja wzięłam pasiak. Pomyślałam, że skoro już tam jestem, muszę skorzystać z tego, co najbardziej dla tego miejsca typowe. Już nie było daytimej i nocnej koszuli. Później, jak porównywałyśmy z innymi, to poprzednie transporty miały do wyboru i majtki, i daytimej koszulę, flanelową, kolorową, ale i nocną. U nas nie było takiego wyboru, więc wzięłam sobie nocną tylko, bo była długa. I dobrze zrobiłam, bo jednak jak się stało na apelu o szóstej rano, to zimno. A nie wolno było nic założyć. U nas niektóre sobie zakładały gazety, to jak zobaczyła strażniczka taką gazetę, to tak sprąła po głowie, że hej. Nic nie wolno było.

*A jakie miałyście...?*

Drewniaki! Bo o to pani pewnie pyta? Żadnych pończoch, tylko drewniaki. Nie tatuowali. Nie w Ravensbrück. Nie, nie, nie, to tylko Oświęcim.

*Miała pani naszyty numer?*

No właśnie nie wiem. Ale tak, bo przecież mój pasiak przywiozłam do domu z numerem oryginalnym.

*Co pani z nim zrobiła?*

Trzymałam. Aż przyjechał właśnie jakiś nauczyciel z Poznańskiego do mnie, do Zakopanego, ale nie pamiętam, z jakiej miejscowości, bo to strasznie dawno było. I trafił do spółdzielni, bo tam pracowałam. Tam też był mój dowód, to znaczy legitymacja więzienna i numer. Zapytał o mój adres, dali mu go i do mnie przyszedł. Pytał o różne rzeczy, bo tworzyli muzeum w liceum, też w Poznańskim. Pytał się, co ja mam. Powiedziałam, że mam oryginalny pasiak. Ucieszył się i spytał, czy ja mu go dam. Powiedziałam, że oczywiście, co ja miałam z nim robić?

*I po prostu oddała pani pasiak obcemu mężczyźnie?*

Po prostu oddałam. Ciekawe, czy to muzeum jeszcze istnieje. Bo w spółdzielni też te moje legitymacje gdzieś znikły. Nie oddali nam. A mogli przecież. Zlikwidowali i tyle. Bo ta spółdzielnia nie była takim prawdziwym muzeum, ale tylko wystawiono przeszkloną gablotę z naszymi rzeczami obozowymi. Miałam trójkąt „P” i numer swój.

*Wróćmy jednak do Ravensbrück. Jak was traktowano podczas kwarantanny?*

W jej trakcie ciągle nam robili przeglądy. Najpierw oczywiście badania, między innymi ginekologiczne. Bo kobiety przechowywały biżuterię tam. To jednak skład był. Z naszej grupy to jedna miała kawałek mydła. I w tym mydle schowała jakieś pierścionki czy obrączki. Jednak wyciągnęli jej to i zabrali.

*Jak wyglądała ta część obozu, w której mieszkaliście?*

No więc tak: to był barak i w jednej połowie były dwie izby i umywalka, ubikacje. Z drugiej strony to samo. Środkiem taki korytarzyk szedł. Baraki drewniane, niskie. Jeden pokój był dzienny, myśmy tam całe dni razem spędzały. Dnie, to znaczy od godziny drugiej w nocy, bo wtedy była pobudka. Następnie śniadanie, czyli kawa, potem był apel normalny całego obozu, później obiad, chyba o ósmej rano, a kolacja była o czternastej. Następnie szło się do drugiej części, tam była sypialnia i te wyrka trzypiętrowe, drewniane, bez drabinek, bez czegokolwiek. Po łóżkach się wspinało na samą górę. Miałyśmy okna, ale były pozamykane. Gorąco, ale nie wolno było ich otwierać. Niemniej widziałyśmy, jak te króliczki tam spacerowały po alei.

*Co wiedziałyście o króliczkach?*

Że to są lubelskie więźniarki, które były operowane w obozie w celu eksperymentowania. Najczęściej nogi im ciachano. Tu miały takie straszne... blizny miały okropne. Ale nie wiem, dlaczego wybierano akurat te lubelskie. Zresztą później powstała cała literatura, też właśnie o lubelskich króliczkach. O tym, jak one się potem kryły.

*Rozmawiała pani z nimi kiedykolwiek?*

Nie, nie, nie. Nie wolno było.

*Kobiety jakich narodowości były w waszym baraku?*

Yyy, Polki tylko. A po przeciwnej stronie były Francuzki. Dziwne. Francuzki były straszne brudasy, aż wstyd mówić. Za to efektowne bardzo. Nie myły się, ale barwiły. Przedstawienia nam dawały, przebierały się. Potrafiły zrobić coś z niczego, jakieś toalety, dekoracje. Ale też była druga strona tego sąsiedztwa. Na przykład stały nasze miski do jedzenia w szafie, emaliowane, metalowe, czerwone i już zardzewiałe, poobijane. One, Francuzki, załatwiały się do tych misek. Ale nie do swoich, tylko do naszych. Bo więźniarki, które pilnowały ubikacji, zamykały często, nie dopuszczały ludzi, bo nie chciały ciągle sprzątać. A jednak wszystkie więźniarki miały jakieś niedyspozycje żołądkowe, różnie tam wyglądało, wszystko już było zupełnie zdesperowane.

*Była jakakolwiek solidarność między więźniarkami?*

Jeśli chodzi o Polki, to raczej nie bardzo. Czeszki były solidarne, ale tylko między sobą. I sobie nawzajem rzeczywiście pomagały. Polek specjalnie nie lubiły, ale Polki i tak miewały przyjaciółki wśród Czechosłowaczek. Były też dziewczęta – jak to teraz mówią: geje, to znaczy tworzące gejowskie pary – to one mniej przestrzegały tych podziałów narodowych. Spotkałam się bardziej, ale już później, w Lipsku, zwłaszcza z jedną taką parą. Jakoś sobie radziły.

*Czy lesbijskie pary miały jakieś inne kolory naszywek?*

Nie, tamte, które spotkałam, miały też z materiału naszyte czerwone trójkąty z napisanym „P”. To „P” znaczyło, że polityczne. Jak przyjechały kobiety z powstania warszawskiego, handlarki, to krzyczały: „Co, my nie jesteśmy żadne

polityczne!”. I upominały się u Niemców, że one nie są polityczne (śmiej). Czarne naszywki to były Cyganki oraz te, które nie miały państwowości. Różowe to były u nas prostytutki.

*A Żydówki?*

Żydówek już nie spotkałam. Żydówek nie było w obozie. Żydówki od razu szły do gazu. Z całego świata zwozili Żydów do Polski, chyba do Ravensbrück nawet mniej, bardziej Oświęcim, Bełżec. Tak że w obozie nie było Żydówek.

*Więc nie miała pani z nimi żadnego kontaktu?*

Nie, nie, nie, w obozie nie. Poza obozem tak. Za to była w obozie jedna Amerykanka. W Lipsku były głównie Polki. Większość z Lublina, bo one tam zakładały ten obóz, to znaczy musiały go budować. Do tej pracy były pierwsze skierowane. I one tworzyły obóz. Komendantem był esesman, ale główną nadzorczynią z więźniarek była taka wysoka, przystojna Polka, córka adwokata. Ale paskudnie się zachowywała w stosunku do Polek.

*A jak byliście traktowane przez funkcyjnych i funkcyjne?*

Właściwie trudno powiedzieć. Były takie trzy Polki, siostry. Dwie z nich były blokowymi, a trzecia była zastępcą blokowych. One były bardzo uczciwe, nie oszukiwały przy jedzeniu, nie kroiliły cieniutkich kromeczek, żeby dla siebie mieć więcej, co w ogóle było w obozie regułą. Dlatego mnie tak zdenerwowała ta książka, w której jedna więźniarka opisywała, że w Ravensbrück jej się podobała sukienka w kwiatuszki, którą jakaś inna dziewczucha miała. I że sobie tę sukienkę kupiła za chleb. Ja sobie myślę: skąd ona wzięła ten chleb? No, ale ona siedziała pięć lat, to miała znajomości i możliwości.

*A wy też handlowałyście rzeczami? Była giełda obozowa?*

Była tylko wymiana za chleb. Na przykład były takie, co jadły jak najmniej chleba, żeby uzbierać i wymienić go na papierosa. Straszne. No i też straszne dla tych, które nie znosiły głodu. Pamiętam, właśnie w naszej grupie, w naszym bloku, była taka z Warszawy, matka z córką małą. Córka miała może jedenaście, dwanaście lat. Jak ta matka płakała. Mówiła: „Ta mała w domu była taka trudna do jedzenia, nic jej nie smakowało, ciągle grymasiła. A teraz, w obozie, tylko patrzyła, która nie zje, żeby resztkę dostała”. I ona te resztki zjadała. Potworne było to jedzenie w Ravensbrück.

*Co dokładnie dostawałyście?*

Zgniła brukiew, czasem zgniłe ziemniaki. Esesmani mieli swoje piwnice, tam trzymali dla siebie dobre jarzyny i dobre ziemniaki. Więc te, które pracowały w kuchni, miały różne możliwości. Właśnie za te dobre ziemniaki dostawały od innych chleb czy sukienki w kwiatki (śmiej). Ja sobie nie mogę tego wyobrazić. W Lipsku trochę lepiej karmili.

*Jak było w tym lipskim obozie?*

No, jednak Lipsk to był obóz przyfabryczny. W takim olbrzymim budynku

fabrycznym sąsiadowaliśmy z obozem wolnościowych mężczyzn, którzy pracowali w fabryce. Też różne narodowości. Oni pracowali, ale byli wolnościowi. Mieli także baraki, ale wolno im było wychodzić do miasta i w ogóle.

*A wy?*

A myśmy tak, jak w obozie. Apele, po apelu wyjście do pracy. Jak się nie zgadzał rachunek, to się stało parę godzin. Myśmy stały i stały, a oni szukali. Dlatego, że wtenczas już były częste naloty. To był 1944, jesień, Drezno bardzo bombardowano. Ale Lipsk to były fale samolotów, które przelatywały. Nasz budynek dopiero już właściwie przed naszą ewakuacją zbombardowano. Przednią ścianę powaliło. Na rewirze ucierpiała jedna tylko leżąca. Bo tam rodziły dzieci. Te, które były późno aresztowane, w obozie rodziły.

Czekałam tam na moją rodzinę. Bo żona najmłodszego brata też siedziała, od pierwszych dni w Oświęcimiu aż do końca. Nawet na nią czekałam w Lipsku, bo mieli ich ewakuować z Oświęcimia. Tak mówili. I niektóre z nich miały też zatrzymać się w Lipsku. Jak przyjechały oświęcimianki, szukam jej, tej mojej szwagierki, i pytam się. A mówią mi: „Nie, ona uciekła jeszcze na terenie Polski z takim więźniem, też Polakiem”. Gdzieś na Śląsku uciekli z transportu. Ale ja z nią nie rozmawiałam już po wojnie, bo od razu dostałam pracę w Zakopanem. A ona przyjechała i odwiedziła moich rodziców. Potem starałam się z nią skontaktować, bo ona mieszkała w Czarnym Dunajcu, wyszła za tego więźnia, z którym uciekła, miała dwie córki. Ile razy ja tam do niej zajechałam, jej akurat nie było. A to wyjechała nad morze na urlop, a to coś innego.

*I nigdy się nie spotkałyście?*

Nigdy, tylko miałam z nią kontakty przez innych.

*Czyli pani brat zmarł podczas wojny?*

Ja miałam trzech braci. Jeden wrócił przez Ziemię Świętą z Kazachstanu. A dwóch zginęło. Najmłodszy z nich, starszy ode mnie o niecałe dwa lata, czyli z 1911 roku, zginął już we wrześniu 1939 roku, 18 września. Jest pochowany na cmentarzu, ale czy ja wiem, czy on tam jest? Przenosili ich z pobojowiska z miejsca na miejsce, potem na cmentarzu zrobili taką kwaterę. Byłam tam, rzeczywiście jest kwatera wojskowych i są tablice, nazwiska, daty śmierci. Ale nie sądzę, czy on tam aby na pewno jest. Może jakiś jego kawałek? To i tak byłoby bardzo dużo. Nie mam złudzeń. Żona tego brata miała wiadomość na początku wojny, bo wrócił taki znajomy, mówił: „Nie widziałem trupa, ale widziałem, że miał głowę zabandażowaną i prawdopodobnie nie żyje”. Gdzieś koło Wiślicy to było. Ona pojechała i niby zlokalizowali ich grób. Jak rozkopali grób, to ona zemdląca. Ordynans wojskowy rozpoznał koszulę pana porucznika, mojego brata. Ale co taka koszula (śmiech), jak oni tracili wszystko, całe walizki z ubraniami, bielizną, ze wszystkim. Potem się okazało, że on jest na Roztoczu, że tam była ta walka. Co roku w czasie urlopu ktoś tam zawsze jeździ, albo

moja córka, albo wnuk.

*Podobno pani siostra też była w obozie?*

Też była, prawda. Ja byłam wzięta 20 maja, a ona 3 lipca. A ojciec zmarł 14 lipca, ale w domu, bo nie mógł przeżyć, że mu dziewczyny zabierają. Że wojna dziewczyny zabiera. To, że chłopcy poszli, była dla niego normalna rzecz, ale córki? Tym bardziej że siostra zostawiła dwóch małych chłopczków, synów.

*Przeżyła?*

Jakoś przeżyła. Wróciła. A szwagier też wrócił, ale później.

*Spotkałyście się z siostrą w obozie?*

Nie, bo jak ona w lipcu dojechała do Ravensbrück, to mnie już tam nie było. Właściwie nie rozmawialiśmy nigdy o obozie.

*Dlaczego?*

Nie wiem, jakoś nie chcieliśmy. Prawdopodobnie. Ja też swoim dzieciom nie opowiadałam. Ani o obozach, ani o tych wszystkich sprawach okupacyjnych. Dopiero jak wydorosłały. Ale nie żebym od początku do końca, tylko mimochodem, przy okazji, dopiero jak były takie dorosłe, że pojechały na studia.

*Wcześniej miała pani trudność, żeby o tym mówić?*

Nie. Ponieważ ja od razu dostałam pracę. Mówię, miałam szczęście. Bo nie ja szukałam pracy, ale mnie szukano. Wróciłam w maju.

*A jak było z tym powrotem?*

Była ewakuacja. Wędrowaliśmy po szosach, nocowaliśmy zwykle w okolicach lotnisk, z nadzieją, że tam nie będą bombardować. Prowadzili nas esesmani.

*Ile to trwało?*

Myśmy się odłączyły, już nie wiem, czy 1, czy 3 maja. Z Krakowa sześć nas było.

*Ale spróbujmy po kolei. Zostałyście wyprowadzone z Lipska i co dalej?*

Ciągle żeśmy krążyły, chyba po Śląsku, między Lipskiem a Śląskiem. Wchodziłyśmy do cudzych domów, żeby znaleźć schronienie, a tam w domach do podwieczorku były nakryte stoły, pełne dzbanki z ochraniaczami, filiżanki. Czyli w ostatniej chwili ludzie wstali i uciekali. A myśmy szły cały czas piechotą z Lipska.

*Ale widziałyście te zastawione stoły, gdy szłyście same, bez esesmanów?*

Najlepiej zaraz powiem, jak żeśmy się odłączyły. Właściwie od momentu wyjścia z Lipska po drodze, gdy ktoś ze zmęczenia usiadł i nie miał siły wstać i dalej iść, to go zastrzelili i zostawał. U nas były dwie siostry Starówne, młodziutki, jedna miała osiemnaście lat, druga pewnie dwadzieścia dwa. Ta starsza miała kłopoty z nogami, miała płaskie stopy i nie mogła pieszo chodzić tak daleko. To ją żeśmy tak wlekły jakoś... żeby utrzymać i dojść do domu. Pilnowaliśmy, żeby żaden esesman jej krzywdy nie zrobił. I tak wędrowaliśmy całe dni, w kółko. W jednej miejscowości było tak, że front był już tak blisko, że esesmani się porozbierali, załatwiali sobie jakieś cywilne ubrania i między nas się wmieszali. Prosili, żeby ich nie wydawać.

*Co zrobiłyście?*

Nie miałyśmy okazji zdecydować, bo potem front albo stanął, albo się cofnął.

*Ukryłybyście ich?*

Nie wiem. Specjalnie nie miałam kontaktu z tymi Niemcami. Ale niektóre Polki utrzymywały kontakty, wyrabiały stosunki, żeby jakoś lżej mieć. Myślę, że one mogłyby ukryć. Nie wiem tylko, jak zareagowałyby reszta.

*Ile was było?*

Nas szło kilka tysięcy.

*Co jadłyście przez ten czas?*

Przez pierwsze dwa tygodnie było tak, że ludność cywilna przywoziła na przykład buraki pastewne i widłami rzucała. Myśmy zbierały i na ognisko to się brało, gotowało. Albo kartofle. Widziałam też taką, która sobie samej nazbierała i w pudełku niosła. Drugie więźniarki ją napadły, bo nie chciały się narażać, i ją pobiły, odebrały to. Tak że solidarności nie było. Może małe grupki trzymały się jakoś. Ale ogółem nie było solidarności.

Jeszcze jeden taki przypadek pamiętam, bardzo przykry: więźniarka, która była więziona w Lublinie i urodziła dziecko w obozie. Puścili ją do domu, żeby zostawiła tam dziecko. Potem ją z powrotem zabrali do obozu, a dziecko tam zostało. Przeżyła Lublin, była już w Lipsku z nami, czyli w tym podoboziu Buchenwaldu. I w marszu na takim jednym przystanku zatrzymaliśmy się pod lasem. Pozwolili nam zbierać suche gałązki na ognisko. W mig było wybierane to, co leżało, więc niektóre wchodziły na drzewo i łamały suche gałęzie. I ta, która urodziła, nie zdążyła na czas zejść z drzewa, jak oni powiedzieli, że dość, zbiórka, więc esesman strzelił jej w brzuch. I skończyła się. Spadła z drzewa. A tyle lat obozu przeżyła. Taki głupi traf. I taki głupi Niemiec.

Oni w ogóle nie mogli zrozumieć, że my się cieszymy, gdy są naloty. To samo w fabryce. Podczas nalotów schodziłyśmy do schronu. I myśmy tańczyły, śpiewały, a Niemki się dziwiły, co my tak szalejemy. A nas to cieszyło, że samoloty bombardują.

*Jak wam się udało odłączyć od tego wielkiego marszu?*

Był jakiś mały postój. I był las. Myśmy poszły do tego lasu. Tak żeśmy sobie powiedziały, że maj się zaczyna. I że może Matka Boska nas uchroni? (śmiej). Siadłyśmy. Transport poszedł dalej, a myśmy siedziały w tym lesie. Wtenczas zabrałyśmy się. Te, które miały pożydowskie rzeczy, musiały te pokostowe krzyże na plecach czymś zasłonić. Miałam ze sobą sukienkę cywilną, a pasiak schowałam do plecaka. Bo wiedziałyśmy, że będzie transport, więc te, które mogły, jakoś się przygotowywały jeszcze w obozie. A to specjalne buciki, a to coś innego. A niektóre sobie buciki w trakcie transportu dobrały. Ja znalazłam takie męskie żółte półbuty, bo mam dosyć dużą stopę, 39 numer. I na przykład była gdzieś po drodze taka patera,

nakrycie stołowe, srebrne. To każda z nas wzięła sobie po elemencie na pamiętkę, łyżkę, nóż i widelec. Ja wzięłam łyżeczkę, nawet mam ją do dzisiaj, z tym że syn powiedział, że to nie jest srebrne (śmiech). Niewiele ześmy skorzystały po drodze, chciałyśmy po prostu przeżyć. Ale widziałyśmy, jak ci wolnościowi brali na furmanki całe fury tego mienia. To były rzeczy z domów wynoszone, niemieckie, czy już raczej ponemieckie.

*Siedziałyście w tym lesie? Co się później wydarzyło?*

Aha, w tym lasku. Nic nie robiłam, bo miałam sukienkę cywilną na sobie. Siedziałam, a tu nagle jakiś mężczyzna się zjawił. No i był dylemat, czy on nas zdradzi, czy pójdzie i doniesie. Zagadał coś do nas, ale myśmy po polsku mu odpowiadały. Choć wtenczas przecież już trochę rozmawiałyśmy po niemiecku. Ale nie doniósł na nas. Trochę odczekałyśmy, aż tamci odbili dosyć daleko. I zaczęłyśmy iść same. Napotkanym Niemcom mówiłyśmy, że jesteśmy ze zbombardowanej fabryki. A front był tuż-tuż, słyszałyśmy te strzały. W końcu spotkałyśmy takiego Polaka, który jako wolnościowy pracował w jakimś majątku u Niemki, bo jej mąż był na froncie, a ona z dzieckiem zarządzała tym majątkiem. Już front blisko, myśmy w sześć były, a tam pracowało pięciu Polaków. I oni powiedzieli tej ich Niemce, że trzeba nas zatrudnić, by plewić zboże, bo rosną osty (śmiech). Mentalność Niemki była taka, że nas sobie zatrudniła. Mieszkałyśmy w szopie, na górze, w sianie. Ta jedna, która tak źle znosiła drogę, pilnowała naszych rzeczy, żeby nikt nie zaglądał, co my tam mamy. Myśmy szły w pole i plewiły te chwasty, a samoloty ciągle latały nad nami i bombardowały okolicę.

*Jak się czułyście, co dalej planowałyście?*

Chciałyśmy iść do domu, ale mieszkałyśmy w tym majątku. I Niemka rozdysponowała nas. Ja miałam karmić drób. Pokazała mi, gdzie jest karma, gdzie mam to dostarczać. Inną dała do mleka. Wszystko nam przydzieliła, jak gdyby nigdy nic. Ta Niemka w końcu namówiła jednego Polaka, żeby z nią pojechał samochodem osobowym gdzieś daleko. Pewnie chciała uciec. A ja znowu zbuntowałam go: „Piotrze, jak tak można?”. On był z Częstochowy podobno. Nie wiem na pewno, bo myśmy od razu szły do Polski, a oni jeszcze tam zostali. On nam dał adres, myśmy poszły do Częstochowy, by powiadomić jego matkę. Ale nikt na miejscu nie przyznał się, czy go znał, i ta matka nie mieszkała tam, więc nie wiem, czy rzeczywiście on dał nam adres fałszywy, czy ci ludzie na miejscu się bali. A myśmy niepotrzebnie się w tej Częstochowie zatrzymywały – tylko po to, by matce powiedzieć, że jej syn żyje.

*Jak w końcu dotarłyście do Krakowa?*

Najpierw szłyśmy z wolnościowymi, był wóz i koń. Potem nam konia zabrali Rosjanie. Wolnościowi kombinowali, koniowi nogi obwijali szmatą, że niby zakrwawione miał. Ale i tak w końcu zabrali. Więc ciągnęli wolnościowi wóz bez konia. Potem także wóz zabrali Rosjanie. We Wrocławiu myśmy się przeprawiły

przez Odrę mostem pontonowym. I tak doszliśmy do Legnicy. Tam już niby były polskie tereny. Chcieli nas zatrzymać, bo podobno potrzebowali pracowników administracyjnych. Ale myśmy chciały iść do domu. Mężczyźni wolnościowi zostali. W Legnicy poszliśmy do kościoła, gdzie była msza po polsku. Tam spotkałyśmy koleżankę ze szpitala krakowskiego, Polkę, która wyszła za Niemca, za oficera, który też pracował w szpitalu. Jak on się ożenił, to oczywiście od razu go dali na Wschód. Ona była z Suchej, a pojechała do jego matki, do Legnicy, gdy go zabrali. I w tym kościele ją, Danę, spotkałyśmy. Była w stroju pielęgniarki, bo mówiła, że inaczej na ulicy nie może się pokazać, bo Rosjanie nie przepuszczą. Zaczepiają, gadają, gwałcą, jak chcą. Ciągłe pełno tych Rosjan było. W ogóle Rosjanie, ale też Polacy mówili: „Co, wy Polki? Niby tak źle wam było na Zachodzie?”. Bośmy raz poczuły zapach pieczonego chleba, a byłyśmy głodne. I poszliśmy w kierunku piekarni. I wcale nam nie dali chleba, powiedzieli: „E, wy wcale nie jesteście polityczne, żeście zostały za machlojki zamknięte”. Taka już była propaganda sowiecka. Tak że nie miałyśmy właściwie dobrej sytuacji.

*W jakim byłyście wtedy stanie? Bardzo wychudzone?*

Prawdopodobnie niespecjalnie wyglądałyśmy. Później, jak już dotarłam do domu, koleżanka mi mówi: „Dlaczego ty masz takie złe oczy?”. A ja nie wiedziałam, że mam złe oczy. Już jakiś czas byłam w domu. A ciągle wzrok jeszcze miałam taki nieprzyjemny.

*Jak panią przyjęli w domu?*

Ojciec już nie żył, zmarł przez nas. Tylko mama, ale ona była leżąca, chora już od dawna. I ja się tak cieszyłam, że przyjdę do domu, że będę się delectować tym łóżkiem. Nie wiem, kiedy się położyłam, bo już spałam. I miałam do siebie pretensje, że tak szybko usnęłam na tym łóżku.

*Jak długo pani dochodziła do siebie?*

Ja cały czas doskonale się czułam. Mnie nie opuszczała ta dobra myśl, nawet w obozie. Mówię pani, ja chodziłam z podniesioną głową, hardo im patrzyłam w oczy. Była taka Niemka, esesmanka, Długosz się nazywała. I Rosjanki, gdy było ich święto państwowe, zamknęły się w obozowej fabryce i śpiewały rosyjskie pieśni patriotyczne. Ta Długosz przyszła do mnie, żebym je uspokoiła, żeby przestały śpiewać. Ja mówię: „Nie pójdę, bo nie mam takiego upoważnienia, niech pani idzie”. Nazywała się Długosz, więc pewnie miała korzenie polskie.

*Jak zareagowała?*

Nie poszła, bo się bała. Rosjanki to się nie patyczkowały z człowiekiem. Ale ogółem Niemki esesmanki były straszne. Takie nietoperze. Do fabryki w nocy wpadały i tylko patrzyły, która przy maszynie źle pracuje.

*Jak panią traktowały?*

No więc wymyślili tam sobie wówczas, że będą płacić nam bonami i będzie sklepik



w obozie. Z początku było w tym sklepiku nawet coś do jedzenia, ale to tylko przez dzień czy dwa. A potem już nic nie było do jedzenia. Tylko świecidełka, których i tak nie wolno było ubierać (śmiej). Nie wolno, żadnych koralików, żadnych spineczek, bo się dostawało po głowie. Asystowałam przy tym, jak więźniarki odbierały te bony, jako tłumaczka. Dużo odmawiało i nie przyjmowało ich, bo się krępowwały mnie. Ja agitowałam, żeby nie brały. Mówiłam im: „Po co weźmiesz te bony? Po to, żeby dostać po głowie, jak sobie kupisz koraliczki?”. Potem mnie wycofali z tego proceduru i radzili sobie bez tłumaczki. Ale to niedługo w sumie trwało. Już było pod koniec wojny zresztą.

*Co produkowałyście w tej fabryce?*

Amunicję. Przed naszym blokiem było pole minowe i wypróbowywali te prochy. Dzień i noc wybuchy były. Z początku nie mogłyśmy spać od tych hałasów. A potem już nie mogłyśmy spać, jak wybuchów nie było, bo straszna cisza (śmiej). Taki to człowiek jest, do wszystkiego się przyzwyczai.

*Jakie były warunki w Lipsku?*

Z początku nam dawali lepiej jeść, jak dla człowieka, a nie jak dla świni.

*Co to było?*

Na przykład gulasz. Ziemniaki, nie w łupinie, tylko obrane. Były też zupy mleczne. No, to SS zrobiło awanturę, że za dobrze nas karmią, więc dyrekcja fabryki się tłumaczyła, że jak mają pracować, to muszą mieć siłę, a żeby mieć siłę, muszą jeść. No, ale jednak pogorszyło się jedzenie. Ale nigdy nie było takie złe, jak w Ravensbrück, bo tam było nie do zjedzenia. Ten chleb był z trocin, nie z mąki.

*Ciemny czy jasny chleb?*

Trudno powiedzieć, bo to w ogóle nie był chleb. I jeszcze jak cieniutką kromkę kroili, to nie dało się jeść. Ser jakiś taki kwargle, po którym robaki chodziły. Niektóre to lubiły takie sery przefermentowane.

*Jak wyglądały baraki w Lipsku?*

Też prycze piętrowe, siennik, bez niczego, bez koca, bez poduszki. Ja miałam kłopoty, bo mnie uszy bolały od tego siennika. To w końcu udało mi się zdobyć taki pożydowski jasieczek, mam go do tej pory. Właściwie dostałam go w prezencie, bo spotkałam uczennicę z Lublina – ja przed wojną uczyłam w Lublinie – i ona mi dała igłę i nić oraz ten jasieczek.

Jeśli chodzi o wojsko polskie: jednak parę dni przy jednostce się zatrzymałyśmy, gdy wracałyśmy. Tam rzeczywiście nas szanowali, przyjęli i dobrze karmili. Tam trochę odpoczęłyśmy. Ale potem oni poszli w swoją stronę, na zachód, a my na wschód dalej szłyśmy.

*Jak długo w sumie wędrowałyście?*

Ja byłam ostatniego maja w Krakowie, czyli prawie dokładnie miesiąc samotnej drogi, a jeszcze wcześniej te dwa tygodnie z esesmanami. W sumie półtora miesiąca.

Straszny był ten powrót, bo Rosjanie nas zaczepiali ciągle. Mówią: „Ty jesteś przyjaciel, ty z nami musisz”. To ja im mówię: „Czemu nie idziecie do Niemek?”. Odpowiadali: „Bo Niemka to wróg, a ty jesteś przyjaciel”. Potem miałyśmy tych wolnościowych, razemśmy szły, ale to też mogło nie wystarczyć. Mąż z żoną w stodole spał i stanął w jej obronie, to przy nim zgwałciło ją kilku takich ciubaryków skośnookich. Zgwałcili i zostawili rozbebeszoną i prawie umierającą.

Myśmy jakoś dosyć miały szczęścia z tymi wolnościowymi, każda miała niby swojego męża i tak żeśmy szli. Ale różnie było. Czasami sameśmy spały w domach. Potem już nie spałyśmy w domach, bo się bałyśmy, tylko w jakichś szopach, komórkach.

*Wróciła pani do Krakowa. Jak pani zaczęła dalej żyć?*

W Krakowie w czasie wojny mieszkałam z siostrą, gdy poszedł jej mąż. Byłyśmy z tymi małymi chłopaczkami, jeden urodził się w 1929, a drugi w 1933 roku. A jak już wróciłam, byłam w domu, ale bardzo niedługo. Zabrali nam jeden pokój na kwaterę dla rosyjskiego żołnierza. To był jakiś taki Michał, młody ciubaryk, bolszewik, i strasznie mu się podobało wszystko w Rosji. On obiecywał, jak mi będzie bardzo dobrze w tej wielkiej Rosji. Ja nie mogłam się uwolnić od niego, same problemy. Uciekałam z domu, żeby na chwilę mieć spokój. Ale na szczęście dostałam pracę, pielęgnację u właścicieli Piotrkowic, którzy mieli kamienicę przy Plantach, przy ulicy Pijarskiej. Mieli kilkoro dzieci, a najmłodsze miało jakąś zakaźną chorobę i potrzebowało właśnie kogoś do pielęgnacji. Tam byłam parę dni tylko. Cudownie mi było, bo wspaniałe jedzenie i wspaniałe towarzystwo. Na spacery chodziłam z tą małą, bo już nie była leżąca, ale chodziło o to, by nie zaraziła starszego rodzeństwa. Po Plantach spacerowałyśmy. Ale już trafiła się znowu Diakowska, była nauczycielka, która znała tę ziemiankę, co mnie zatrudniła, i zgadały się. Diakowska szukała nauczycielki do Kuźnic, do szkoły gospodarczej. Dogadały się, ta ziemianka zgodziła się, zrezygnowała ze mnie i od razu wyjechałam do Zakopanego, do Kuźnic.

*Od razu, jeszcze w 1945?*

Tak, od razu, w sierpniu. W ostatnim dniu maja dotarłam do domu po obozach, a w sierpniu już musiałam być w Zakopanem, bo była rada pedagogiczna. Dopiero szkoła się tworzyła po wojnie, choć to była szkoła przedwojenna.

*Czego pani uczyła?*

Uczyłam matematyki w rocznej szkole, a w średniej... już nie pamiętam czego. Takie było towarzystwo zbierane. Uczennice też były zbierane, przeważnie ziemianki, bo przed wojną to była dla nich szkoła.

*Jak długo pani mieszkała w Zakopanem?*

W samym Zakopanem właściwie niedługo, bo wyszłam za mąż w 1947 roku. Gdyby nie wojna, to byłabym wyszła za mąż w 1939, w jesieni.

*Za tę samą osobę?*

Nie. To jest inna osoba. Choć tamta wróciła. Bo on z rodzicami został wywieziony do Kazachstanu, mieszkali wcześniej przy granicy rosyjskiej. Ojca zastrzelili od razu, a matkę, ciotkę i tego jednego syna, który skończył politechnikę w Krakowie, wysłali aż tam daleko. Bo akurat jego matka pojechała do Skarżyska szukać dla nas mieszkania. On tam dostał pracę. Bylibyśmy wzięli ślub i byłabym w Skarżysku mieszkała. Jak wojna wybuchła, to Skarżysko było w proch zmiecione. Tam była fabryka amunicji.

A tak, to wróciłam z obozu dopiero w 1945. On wrócił, osiedlili się wszyscy w Poznańskim i przyjechał do rodziców moich. Dowiedział się, gdzie jestem, i przyjechał do mnie do Zakopanego, do Kuźnic. Przyszedł do szkoły. Nie chciałam wierzyć, jak mi zatelefonowali. Akurat byłam w mieście, na zakupach. Powiedzieli, że przyjechał do mnie znajomy, który wrócił z Rosji. No, ale byłam tak zmęczona tym obozem mimo wszystko, że nie byłam zdecydowana na ciężkie warunki. Bo on wrócił i wraz z ciotką, matką mieszkali w jednym tylko pokoju. On mi powiedział, że ciotka pójdzie do domu starców i matka też. Ja mu powiedziałam: „Matka ma być przy tobie, boś ty dzięki matce przeżył”. Bo oni wszyscy pracowali przy wyrębie drzew. Za parę miesięcy dostał pięciopokojowe mieszkanie (śmiech).

*I nie wyszła pani za niego?*

Nie wyszłam. Za to wyszłam za innego, ale w 1947 dopiero.

*Nie żałowała pani?*

Później znowu on jednak nie rezygnował. Przyjechał na wczasy do Zakopanego, szukał mnie, ale ja wyszłam za męża, miałam już inne nazwisko, nie mógł mnie znaleźć. Przechodził ulicą Kościuszki i mnie zobaczył na balkonie. I przyszedł. Ja z córeczką w łóżeczku, a on myślał, że ja pracuję, że jestem jej wychowawczynią. Nie chciał wierzyć, że ja wyszłam za męża. Potem odwiedzał nas, poznał męża i odwiedzał. Pewnie już nie żyje. Ale się ożenił potem z wdową, która miała dwie dorosłe córki. Tak że właściwie mu się udało.

*Jak pani myśli o czasie wojny? Popsuł pani życie?*

Na pewno to zniszczyło życie. Bo ja nie byłam tym samym człowiekiem. Jak ja się dowiedziałam już we wrześniu, że mój brat zginął, z którym się chowałam... Bo u nas było naprzemiennie, tak się rodziliśmy: najstarszy brat, siostra, znowu brat, znowu dziewczyna. Tak żeśmy się chowali dwójkami. I ja jako już dziewiąta z rzędu z tym właśnie bratem się chowałam. Gdy dowiedziałam się, że on umarł, strasznie rozpaczałam: dlaczego on, a nie kto inny? Potem sobie w głowę popukałam, ale to dopiero, gdy wydorostałam. Ta wojna mnie zmieniła zupełnie, inny już charakter miałam i inne usposobienie, inaczej myślałam.

*A obozy? Co zmieniły obozy?*

Uważałam, że byłam w lepszej sytuacji w obozie niż rodzina, która nie wiedziała, co się ze mną dzieje. Zawsze to odnosiłam do rodziny. I miałam rację, skoro mój ojciec

umarł z troski o nas. Do tej pory z rodziną mam kontakty jak najlepsze. I my ciągle się spotykamy. Tu jest rodzina (Władysława Wiecha pokazuje fotografię). W zeszłym roku było u syna spotkanie, a w tym roku znowu powiększone, bo wnuczka wyszła za mąż. Tu widzi pani: jej mąż, syneczek malutki, który się urodził, i teściowie, i jeszcze więcej ludzi. Więc nas strasznie dużo było. Ale muszę przyznać, że już męczy mnie to, trochę za słaba jestem do takich spotkań.

Szczerze rozmawiamy? Bo muszę pani powiedzieć, że ja wręcz jestem zadowolona, cieszę się, że byłam w obozie. Ja wiem, jak mi było w tym obozie i jak człowiek mógł reagować na to wszystko. I to, że już później nic nie wydawało mi się takie złe.

Ta koleżanka, która przeze mnie została aresztowana, ona nic, tylko miała obsesję śmierci. Bo jej matka umarła, brat umarł, więc ona też teraz umrze. Nie chciała nawet stanąć w kolejce po jedzenie. To ja jej tłumaczyłam: „Helenko, posłuchaj, jak nie bierzesz swojej porcji, to my musimy się z tobą podzielić tym, co mamy, a mamy bardzo niewiele”.

*Przeżyła?*

Już nie żyje, ale wtedy przeżyła. Pod koniec miała amnezję, była młodsza ode mnie. Mnie znalazła w tym domu starców jej córka i odwiedza mnie. Jak ta dawna koleżanka miała na koniec amnezję, to była w szpitalu wojskowym na Wrocławskiej, bo myśmy po wojnie miały prawo tam należeć. Niby mnie poznawała, ale czasami mówiła dziwne rzeczy. A ja jej: „Helenko, przecież myśmy tam razem były, myśmy to razem przeżyły i to inaczej było”. Ona mówi: „Tyś tam była? Nie byłaś nigdy ze mną”. Widzi pani, ostatecznie każdy jest sam ze sobą zamknięty w głowie.

Ja też już mam tylko umysł sprawny (śmiech). Bo brakuje mi słów, że nie wiem. A całe życie byłam nauczycielką, przed wojną także, w Lublinie. Nim zdałam maturę, to już przyjechała przełożona i szukała nauczycielki. Całe życie tak przepracowałam.

*Była pani w stanie wybaczyć Niemcom?*

Z początku miałam gęsią skórę na myśl o Niemcach. Ale teraz już nie. Bo ja twierdzę, że nienawiść do niczego nie prowadzi. Dlatego nie opowiadałam dzieciom, dopóki były małe, bo dzieci inaczej reagują. I nawet później, jak były dorosłe, nie mówiłam im wszystkiego.

*Jakie dobre momenty pamięta pani z obozów?*

W Ravensbrück to niewiele co byłam. Jedno wspomnienie mam: przez okno podglądałyśmy te króliczki, bo to była już wtedy głośna sprawa, fama szła. Potem znowu ten transport z Warszawy, z powstania. Te warszawskie przekupki takie, miały złoto, to nie wiedziały, co z nim zrobić, gdzie schować. One były najgłośniejsze, zwłaszcza gdy protestowały przeciwko czerwonemu winklowi politycznemu. Wystarczyło kilka z nich, a robiły tyle krzyku. To było zabawne.

*A w Lipsku?*

W Lipsku właściwie miałyśmy dużą swobodę. Na przykład blokowa nasza, starsza

osoba, była bardzo religijna. Ona prowadziła taką mszę mówioną. W Wielkim Tygodniu tośmy miały monstrancję z opłatkiem. Oczywiście to było sztuczne i myśmy wiedziały, ale się modliłyśmy przy tym w schronie, w piwnicy. Chodziło o samo odgrywanie. Dosyć znośnie tam było.

*Co było najgorsze?*

Najgorsze noce w tej fabryce, bo musiało być zaciemnienie, więc na oknach i w drzwiach były ciężkie kotary, ciemne, czarne, nasączone oliwą, bo te wszystkie maszyny chodziły. U nas oprócz takich małych naboi robiliśmy też duże, do armaty. Te łożyska pływały w oliwie, to się suwało tam i z powrotem. Opary tej oliwy i smaru były okropne.

Poza tym miałyśmy takie przeżycie: jedna z nas była w ciąży. Urodziła dziecko, chcieli ją wywieźć do Ravensbrück. Nie wiem, czy rzeczywiście dziecko się udusiło samo (raczej nie), czy ona je udusiła... I została w tym obozie, gdy dziecko zmarło. Było takie posądzenie, że udusiła je po urodzeniu.

*Jak to ocenialiście?*

Tego nie dało się osądzać. Ona chciała przeżyć, wszystkie chciałyśmy.

Okropnie miały te, które w zimie jechały do Ravensbrück za karę. Te, które dzieci nie zabiły i były ściągane z innych obozów właśnie do Ravensbrück. Z dziećmi małymi, takimi niemowlętami, świeżo urodzonymi. U nas miały postój. Wiedziałyśmy, że taki transport przyjdzie, tośmy przygotowały różne zestawy prześcieradeł, mleko żeśmy kombinowały, bo one nic nie miały, nawet mleka, pieluch ani nic. Jechały wagonami towarowymi, bez słomy, bez niczego, zimno, mróz taki. Chciałyśmy, żeby to mleko ciepłe im podać w butelkach. U nas tylko jeden dzień były.

*Jak na to reagowały esesmanki, jak was traktowały?*

Zdarzali się dobrzy Niemcy, ale Niemki raczej nie bardzo. Bo one chciały być bardziej Niemkami, niż były faktycznie. Straszne były, nietoperze jedne, w pelerynach w nocy wpadające. Ruch robiły taki, że hej.

*A esesmani?*

Raczej źli. Ale byli bardzo dobrzy, gdy front był blisko (śmiech). Za to później, jak Niemcy, esesmani uciekali, pospolite ruszenie tych chłopów wszystkich i cywilów wyłapywało wielu esesmanów, którzy się odłączyli i uciekali.

*Jakie u was były warunki higieniczne?*

W Lipsku pod tym względem miałyśmy doskonale warunki, bo była taka hala do mycia, były koryta blaszane, duże, i krany w ścianach – takie, że można się było całemu umyć, zrobić sobie taki prysznic z tego. Ciepła woda była. I przede wszystkim myśmy sobie same prały wszystko. Jak się prało sukienkę, to się chodziło w koszuli.

*Jak często można było się myć?*

Jak żeśmy przyszły po pracy, to można było. Czyli codziennie. Kanalizacja była. Tylko – jak mówię – te sprzątające zamykały i nie dopuszczały, bo nie chciało im się

sprzątać. A każda z nas mówiła: chętnie byśmy sprzątały te wasze gie, byle nie iść do fabryki. Bo jednak fabryka amunicji to nie jest dla kobiet miejsce pracy – fizycznie. A dla Polek – psychicznie.

Ale za to było bardzo dużo tych baraków, a przez to sporo swobody. I dlatego wzięli się później przykręcać śrubkę, ale to już nie było czasu na nic więcej. Już te naloty były.



Raz na przykład z takim majstrem, wolnościowym Polakiem, jedna Polka poszła. On ją wziął w pole wyprowadził. Myśmy zeszyły do schronu, a ona poszła w pole. Bo tam były same pola wokół. Potem czekałyśmy, aż ona wróci, żeby się nasz stan zgadzał.

*A co jeśli się stan nie zgadzał?*

Bili, ale to żadna nowość, bo tam bili ciągle. Byli też tak zwani muzulmanie, czyli takie skulone, niezadowolone, zapłakane, z głową spuszczone. No, to takie coś tłukli, tłukli i tłukli, jak chcieli.

*Co się z nimi działo?*

No, nic. Czasami to jak SS rąbnęło w twarz czy głowę, to krew szła uchem. Jak mnie szła krew uchem i upadłam, gdy mnie samochód potracił. Padłam wtedy plackiem na jezdnię.

*Kiedy, gdzie?*

W Zakopanem. Ale już byłam stara.

A co do tych muzulmanów, pani Władeczko – wtrąca Karol Kowalski – to w Ravensbrück były przecież krematoria, tam palili.

Palili, palili. Ale tam ich nie widziałam. Krematoria oglądałam tylko w Lublinie, już po wojnie, jak byłam z wycieczką. W Oświęcimiu też są jakieś ruiny krematoriów, prawda? A w Ravensbrück to nie było tak na wierzchu. Czuło się tylko ten dym. Ale ja nie wiem, gdzie one dokładnie były.

*Jaki to był zapach?*

No, taki zwykły, jak ludzkie ciało się pali. Ten zapach był strasznie przykry. Bo przecież to były masy ludzi. Jak tam byłam, to nieraz myślałam, że jakaś z nas poszła na wolność, bo nagle zniknęła. A jak siebie nawzajem popytałyśmy, co kto wie, to się okazywało, że ona wyjechała, ale kominem. Ciągle były przeglądy, raz kierowali do pracy, a niekiedy gdzie indziej. Jak kierowali do pracy, to czasami na zewnątrz. Ale nigdy nie wiedziałyśmy, czy do zakładu, czy do domu publicznego.

*Był dom publiczny w Ravensbrück?*

Nie, nie, nie. Oni tylko brali narybek dla swoich ludzi, obsługi, żołnierzy. Brano niektóre, więc potem zaczęły się prywatnie same zgłaszać dziewczyny. Indywidualnie. Jak jaka nie wytrzymała, to poszła, bo uważała, że będzie miała warunki fantastyczne.

A w Lipsku nie było krematorium, bo była fabryka, myśmy pracowały dla fabryki. Myśmy były robotnicami.

Pani Władeczko, a pani wiedziała, że w Ravensbrück prochy wsypywali do jeziora, które tam pani widziała? – pyta Karol Kowalski.

Podobno. Ja tego nie widziałam, bo byłam krótko. Ale chyba nie palili w takiej skali, jak w Oświęcimiu? Bo tam przecież całe transporty szły do spalania. Dopiero się potem dowiadywałyśmy, jeszcze w Krakowie, że któraś na przykład nie wyjechała z Krakowa, ale zginęła w Oświęcimiu, więc pewnie też spalona.



Mnoży się dziś dużo tych opowieści, na przykład słyszałam o przypadkach kanibalizmu, ale ja tego nie widziałam. Dużo jest tych nowych książek, nowych artykułów. Często też dają jakieś świadectwa ci, którzy nawet nie powąchaliby obozu. A mają dużo do opowiedzenia. Jak te dzieci sandomierskie – jedne były z matkami w obozach, a inne wcale nie, a opowiadają. Niby robią weryfikacje w związkach byłych więźniów, ale nie wiem, czy zawsze to jest skuteczne. Choć w związkach inwalidów wojennych więcej takich farbowanych. Więźnia byłego trudniej odegrać.

*Wiem, że pani też należy do krakowskiego związku. Udzielała się pani?*

Udzielałam się, ale w zakopiańskim. Bo mój mąż tam był, w sekcji humanitarnej, tak zwanej socjalnej.

*On też był w obozie?*

Nie, on był tylko inwalidą wojskowym. Jak on umarł, jakiś czas jednak nie udzielałam się, ale potem znowu mnie ściągnęli do związku, żebym przejęła jego funkcję.

*Chętnie się pani udzielała?*

To było dla mnie ważne, bo jednak te osoby samotne poobozowe czuły potrzebę porozmawiania. A przeważnie były też chore, siedziały w domu, nie miały kontaktów. Należałam najpierw dłużej do związku inwalidów wojennych, a potem też do związku byłych więźniów. Tylko w Krakowie coś ten związek podupadł.

Potem nam wszystkim zmienili status i legitymacje. Mieliśmy legitymacje inwalidów wojennych w związku z pobytem w obozie, a potem – mniej więcej dziesięć lat temu – to zabrali i dali inne dowody. Jak była ostanía weryfikacja, to można było się odwoływać. I Oleńka z mojej rodziny się odwołała i dostała rzeczywiście z powrotem swój status, a ja sobie myślę: mam dziewięćdziesiąt lat, po co ja się będę odwoływać? (śmiech). Jak ja już jestem nad grobem? Ale, jak widać, jestem nad nim i jestem (śmiech).

No właśnie, teraz już nie ma statusu więźnia, ale jest status: represjonowany – dopowiada Karol Kowalski.

Tak, na początku mieliśmy te same uprawnienia, ale powoli zaczęły zmniejszać. Jak mnie denerwują ci wszyscy, którzy siedzą w Warszawie. Oni nie mają rozeznania w ogóle. Nie mają pojęcia i nie chcą się dowiedzieć, co i jak. Jest i było. Te odszkodowania, które dostawaliśmy, trudno w ogóle nazwać odszkodowaniem. Ale nawet te grosze zatrzymywali dłużej, żeby procenty z tego brać na swoje potrzeby. Jak Niemcy od nich zażądali rozliczenia, to nagle nam wypłacili po dwieście złotych zamiast przyznanych jeszcze tysiąca złotych. Jestem ciekawa, ile poszło z tych procentów na ich samochody, kamienice i wyposażenia? I ich pensje? Nie mają rozeznania, nie dbają. Austria zrobiła dobrze, bo bezpośrednio pertraktowała z byłymi więźniami, a nie przez rząd.

Oni w ogóle robili w tej Warszawie wszystko, co chcieli. Kiedyś byłam na takim

zebraniu, kiedy chcieli połączyć związek byłych inwalidów wojskowych ze związkiem inwalidów wojennych. I myśmy wszyscy głosowali przeciwko. Ja wróciłam, dostaję pocztą materiał z informacją, że te związki zostały połączone. A wszyscyśmy głosowali przeciwko! Teraz też powoli zabierają jedną ulgę za drugą, nawet nie mówią. Idzie się do apteki i nagle się okazuje, że już nie można. Na przykład teraz jeszcze jedne krople do oczu są refundowane, a za drugie już muszę płacić. I płacę. Teraz z tymi lekarami jest w ogóle ciężko. Ale mnie to już wszystko jedno.

Czy się pani czegoś ode mnie dowiedziała? (śmiech).

*Pewnie! I to dużo.*

Mój syn za tym bardzo optuje, bo uważa, że młodzi muszą się dowiedzieć jak najwięcej. Ale ja już za bardzo nie uczestniczę, bo szybko się męczę. Tak samo na spotkaniach rodzinnych. Jak siedzi osiemnaście, dwadzieścia osób, a ja niedosłyszę, niedowidzę, to co to takie? Siedzi takie stare coś i zabiera miejsce.

*O, nie zgodzę się z panią.*

(Władysława Wiecha śmieje się kokieteryjnie) Ale ciekawa jestem... Bo mój syn też specjalnie wszystkiego nie słyszał. Nie opowiadałam nigdy tak od początku do końca, tylko przy okazji, wrywkami.

*To może dzisiaj usłyszeliśmy więcej, niż słyszał pani syn?*

(Śmiech) Tak. Będzie zdziwiony, jak przeczyta. Ciekawe, co powie...*Dziękuję za zaufanie.*

Ale to syn wszystko spowodował.

*Domyślam się i jestem mu wdzięczna.*

No, pani Władeczek, ja bym i tak do pani jak zwykle przyjechał. Ja na pani drugą setkę się piszę – stwierdza Karol Kowalski.

Bo pan dba o moje interesy.

*No dobrze, nie męczymy pani dłużej, już wieczór, idziemy.*

A, to nie takie proste. Była już msza wieczorna, więc drzwi na dole będą na klucz zamknięte... Ja was odprowadzę.

Schodzimy na parter. Ściskamy się, Władysława Wiecha życzy mi powodzenia.

A kiedy ta książka wyjdzie?

*Może za rok?*

Nie wiem, czy doczekam (śmiech).

*Pani jest przecież bardzo aktywna. Słyszałam, że pani codziennie wiele spaceruje.*

Jak do tej pory, szczęście mi sprzyja. Trzymam się, nie daję się. Sama codziennie chodzę po drogach. Lubię ciszę i spokój. Ja tu w domu starców nie znam nikogo. Na kominkowe spotkania nie chodzę. Jestem samotnica. Zawsze byłam sama po śmierci

męża. Czyli byłam sama ponad trzydzieści lat. Dzieci przyjeżdżały rzadko, jednak miały swoje rodziny. Dziwię się, że te inne stare osoby są takie kumoszkowate (śmiech).

Do widzenia, pani Władeczko – mówi na pożegnanie Karol Kowalski.

Ach, nie mogę się przyzwyczaić do tego „Władeczko”... – stwierdza Władysława Wiecha.

*Jak to? – pytam zdziwiona.*

Bo ja jestem Barbara. Basia do mnie mówcie.

*To jak pani ma właściwie na imię?*

Zawsze byłam Baśka, urodziłam się w Barbórkę. W dowodzie to nie jest prawda. Nie wiedziała pani? Zresztą mam cztery różne imiona. No, to pa, uważajcie na siebie!

**Halina Krzymowska**

Nazywam się Halina Krzymowska.

*Z domu Kamienobrodzka, prawda? Ciekawe nazwisko.*

Skąd pani je zna?

*Ze strony internetowej.*

O, nie wiedziałam, że tam jest taka informacja. Chyba o sobie niczego nie próbowałam wyszukać. Ale to prawda, unikalne, bo jest tylko jedna rodzina Kamienobrodzkich. I niestety wymiera, bo dużo było córek. Pochodziliśmy z Warszawy, urodziłam się w 1927 roku i... Ale może pani chce najpierw pytać o wyzwolenie?

*A jak pani łatwiej będzie opowiadać?*

Chyba jednak chronologicznie.

*To bardzo proszę.*

Dobrze, jeśli od samego początku, to jedziemy.

1939 był bardzo nerwowy, wszyscy się spodziewali wojny. Ja nie zdawałam sobie z tego sprawy, miałam ukończone sześć klas szkoły podstawowej i szykowałam się pójść do gimnazjum. Dostałam własny pokój i nowe biurko. Chodziłam do ekskluzywnej szkoły razem z córkami Piłsudskiego, z Wandzią i Jadwigą zwaną Jagódką.

Moja rodzina była zamożna, to prawda. Z końcem sierpnia zaczęła się mobilizacja. Ojciec był oficerem rezerwy, dostał kartę mobilizacyjną jeszcze przed wybuchem wojny. Udał się do swojej jednostki. W domu została mama, ja i mój młodszy o cztery lata brat. Kiedy rano 1 września radośnie i w napięciu czekałam na pójście do szkoły – bo miałam już dostać niebieską tarczę i miałam być w gimnazjum, a to jednak wyższa ranga – rozległy się ryki syren. Okazało się, że wybuchła wojna. Ojca nie było w domu. Zaczęły się natychmiast naloty, a my mieszkaliśmy bardzo blisko lotniska. Przelatywały nad naszym domem samoloty bombowe, niemieckie. Pierwsze co, to niszczyli hangary z samolotami. Prawie nie było później polskiej obrony lotniczej, bo od razu w tych pierwszych chwilach zostały zniszczone samoloty.

Było bardzo nerwowo. Wszyscy się spodziewali, że to będzie wojna gazowa, pamiętając I wojnę. Mieliśmy maski gazowe i mieliśmy przygotowany schron zaopatrzone w żywność. Zaczęło się ciągle bieganie z góry na dół, do piwnicy. 5 września siedzieliśmy wieczorem. Służąca przyniosła kolację. W trakcie kolacji zadzwonił telefon, to był kolega mojego ojca z banku. Powiedział, że jeśli mama w jak najkrótszym czasie zjawi się na Bielańskiej w Banku Polskim, to będziemy mogli się ewakuować. I może unikniemy tych napięć nerwowych. Rzeczywiście, mama wybiegła z domu, a krótko po tym zjawiała się z powrotem z pakunkiem. Miała przygotowane kosztowności. Ojciec przed wyjazdem do swojej jednostki dał mamie hasło do sejfów w banku. Miała przygotowany na ewentualną ewakuację taki pas brzuszny z pieniędzmi.

Wpadła do mieszkania, powiedziała nam, że dorożka czeka, wrzuciła coś do walizki. Mnie i brata za ręce, do dorożki i galopem na Bielańską przez palącą się Warszawę po jakimś nalocie. Nigdy nie wróciłam do domu, do wszystkich rzeczy i do tamtego życia.

Na Bielańską wjeżdżały jeden za drugim samochody ciężarowe, bo jest taka regulacja, że inne przedsiębiorstwa w takich sytuacjach muszą udostępnić bankowi transport do ewakuacji. Myśmy wsiedli do autobusu, w którym na podłodze leżały jeden przy drugim worki z nalepkami FON – czyli Funduszu Obrony Narodowej. Była akcja przed wybuchem wojny, społeczeństwo składało się na uzbrojenie. Nie zdążyli tego zrealizować, te finanse oraz kosztowości leżały teraz na podłodze autobusu.

Drogi były zatłoczone, uchodźcy z Warszawy tłumnie uciekali, czym mogli – rowerami, samochodami, taksówkami, czym się dało. Nasz transport miał pierwszeństwo, wojsko rozsuwało ludzi. Ale w którymś miejscu było takie zatłoczenie, że i tak utknęliśmy. To było dziwne. Otaczał nas tłum ludzi uciekających, którzy mogli przez szyby zobaczyć w środku tylko wystające głowy dwóch urzędników, mamy i dwojga dzieci. Ktoś nie dopatrywał i w pewnym momencie w drzwiach pojawił się mężczyzna, który wszedł do autobusu. Poderwał się oficer i urzędnicy, podnieśli broń i powiedzieli temu, który przyszedł, że jeśli się nie wycofa, zostanie natychmiast zastrzelony. On się wycofał.

Gdy wybuchła wojna, to zamieszkujący w Polsce Niemcy stworzyli wtedy piątą kolumnę. To byli Niemcy, którzy sympatyzowali z działaniami wojennymi przeciwko Polsce. I oni też donosili. Ten mężczyzna prawdopodobnie należał do takich. Gdy wreszcie ruszyliśmy, zaczęło się bowiem tłuczenie szosy, po której jechaliśmy, pikowanie samolotów nad drogą, naloty. Ginęli cywile, nam się jakoś udawało jechać dalej.

W Lublinie zatrzymał się nasz transport, bo chcieli zgubić tych, co mieli nas na celu. Oficerowie chcieli mamę i nas zostawić, żeby nie narażać dalej na takie trudności. Dali nam kwaterę daleko od banku i daleko od ciężarówek, gdzieś blisko zamku lubelskiego, w podwórku. Mama świtem wybiegła z tej naszej kwatery, by w pobliżu zobaczyć pod jakimś budynkiem motocykl z przyczepą i żołnierza. Dopadła do niego i zaczęła go prosić, by nas dowiózł do naszego transportu. On się opierał, bo mówił, że przywiózł swojego dowódcę na naradę i musi na niego czekać. Mama miała przebicie słowne, więc w końcu uległ. Mama siadła do tego kosza, wzięła na kolana mojego brata. Ja siadłam na siodełku z tyłu i pamiętam do dzisiaj, jak nogami nie sięgałam podnózek, nogi mi fajtały i trzymałam się na rękach. Tak żeśmy dojechali. Już nie było autobusu, ale podstawiono półciężarówkę. Wsiedliśmy do żuka i tym razem jechaliśmy już na konkretnym złocie. To znaczy całe dno ciężarówki było zastawione skrzynkami, mniej więcej o takich dużymi (Halina Krzymowska rysuje

kształt w powietrzu). Kwadratowe, wysokie takie, wypełnione sztabkami złota i trochę słomy na wierzchu. Na tym siedziało dwóch urzędników i my. Ruszyliśmy.

W tym ciągu pojazdów, w którym jechaliśmy, było szesnaście aut. I proszę sobie wyobrazić, gdzieś w okolicach Dubna czy Łucka, na pograniczu, w pewnym momencie z dużym hałasem i ostrym hamowaniem zatrzymał się nasz samochód. Okazało się, że złamały się resory, bo takie było obciążenie złota. Nasz samochód nie może jechać dalej. Złoto jest w środku. I jest jeszcze kilkanaście innych samochodów z taką samą zawartością... Nasz oficer prowadzący powiedział, że muszą jechać dalej, nie mogą zostać z nami i się narażać. Ale gdy dojadą do najbliższego miasta, zostanie nam przesłany samochód zastępczy na przeładowanie skrzynek złota.

Te skrzynki tym razem nie były oznaczone znakiem FON, ale wyglądały po prostu jak drewniane skrzynki z metalowymi okuciami i taśmami. Tak się w końcu stało, że kierowca wszedł do samochodu, zamknęło się drzwi. Na drodze było bardzo dużo samochodów, droga była zasłana tymi porzuconymi autami, myśmy pozorowali, że jesteśmy jednym z nich.

W końcu nadjechał zastępczy samochód, ale nie mógł dojechać zupełnie blisko nas, bo droga faktycznie była zatarasowana innymi autami. I teraz tak: jak przeładować nasz ładunek? Skrzynka ze złotem jest bardzo ciężka (śmiech). Do dyspozycji mamy dwóch urzędników, oficera, mamę i dwoje dzieci. Mama była na tyle energiczna, że wymyśliła rozwiązanie. Z boku szosy stali gapie, pełno ich było, miejscowi chłopci, którzy patrzyli jak na widowisko na tłumy zmierzających do granicy i uciekających. Oni zaś nie ruszali się od swoich domów. Mama zwróciła się do nich: „Pomóżcie nam! Wieziemy amunicję na Niemców do najbliższej jednostki wojskowej, zepsuł się samochód, trzeba przeładować skrzynki. Potrzebujemy waszej pomocy”.

Na początku ani drgnęli, jakby nie słyszeli. Ale po chwili, po chwili jakoś zaczęli ulegać tym prośbom. I proszę sobie wyobrazić, że ci chłopci stworzyli łańcuch. Jeden do drugiego, z rąk do rąk, z rąk do rąk przierzucali te skrzynki z jednego do drugiego auta. Wierząc, że to amunicja, pomogli przetrzymać skarb państwowy. Tak to wyglądało.

*Niezła akcja. Ale też miała pani sprytną mamę. Jak miała na imię?*

Stefania. A brat – Janusz.

*I udało się?*

Udało się. Zastępczym samochodem, korzystając z radiowego kontaktu, dojechaliśmy do miejsca, w którym przeczekaliśmy. To była duża polana, gdzie stały inne samochody ze złotem. Oficerowie cięli gałęzie i zarzucali nimi dachy aut, żeby nie było ich widać z góry. I pilnowali, czy nikt się nie zbliża. Dzieciom powiedzieli, że nie wolno wychodzić poza wyznaczony obszar polany. Ale ja zawsze byłam niesforna i robiłam to, czego nie powinnam. Postanowiłam, że ja sobie pójdę w las. Udało mi się wyjść. Po jakimś czasie zadowolona wracałam, a tam: „Stój, bo strzelam. Hasło?”.

A ja nic, ani me, ani be. W końcu pisnęłam: „To ja!” (śmiech).

*Podziałało?*

Tak, to hasło podziałało. Oczywiście dostałam straszną reprimendę i była wielka awantura. Ale się udało. Tak dojechaliśmy do Horodenki, to była wieś-miasteczko, siedem kilometrów od granicy rumuńskiej. Tam oficer prowadzący zdecydował, że przecież mama nie będzie z nimi uciekać za granicę. Że mamy zostać tutaj, przeczekać wojnę i wrócić sobie spokojnie do Warszawy. Oni pojechali, a myśmy zostali. Mama zaczęła się rozglądać, tam mieszkali głównie Ukraińcy.

*Czy wiele było takich zaprzyjaźnionych osób lub rodzin, które też jechały z transportem Banku Polskiego?*

Tylko my.

*Jak to się stało? Wasz tata był tak wysoko postawiony?*

(Halina Krzymowska potakuje głową.) Był jednym z tych najwyższych urzędników bankowych. Ale to nie on decydował, czy nas wezmą, a jego przyjaciel, też z banku.

*Czyli unikatowa sytuacja.*

Zupełnie unikatowa. I kuriozalna zarazem – dwoje dzieci ewakuujących złoto polskie.

*Ale pani wówczas miała świadomość, co przewozicie? Czy to okazało się później?*

Oczywiście, że wiedziałam. Przecież siedziałam na tym złocie! Te skrzynki ze złotem strasznie wchodziły w kości, mało wygodne, muszę przyznać.

*No dobrze, zostawili was w Horodence i tam szukaliście lokum?*

Mama zobaczyła zadbanej domek, zwróciła się do właścicielki, czybyśmy kwatery nie dostali. Po jakimś czasie okazało się, że willa jest zamieszkaana także przez komisarza specjalnego, który miał utrzymać w rygorze Ukraińców. Akurat tak musieliśmy trafić. Jednego dnia był olbrzymi nalot samolotów niemieckich na Horodenkę. Nasza willa była tak położona, że po drugiej stronie drogi był cmentarz, więc gdy nadleciały samoloty, to mama z nami uciekła właśnie tam. Na cmentarzu było ogromne drzewo z szerokim pniem. Stanęliśmy za nim. Samoloty pikowały i strzelały z karabinów maszynowych. Mama patrzyła, jak one pikują i w zależności od tego chowaliśmy się za pniem. Był pierwszy nalot i przerwa. Obok był duży grobowiec i widzieliśmy, jak w tej przerwie uciekający z okolicy ludzie usiłują się schować na cmentarzu i wskoczyć do tego grobowca, chyba tak zniszczonego, że teraz wyglądał jak schron. Mama pomyślała, że to może będzie bezpieczniejsze też tam wskoczyć. No dobra, jest decyzja: też w ten grobowiec wskoczymy.

I teraz, proszę sobie wyobrazić uczucie: na dnie tego grobowca są trumny, które załamują się pod naszymi nogami, to znaczy pod ciężarem stojących na nich ludzi. A tam było pełno ludzi stłoczonych. I taki zaduch... no, straszne. W tym wszystkim staliśmy tam. Aż mama powiedziała: „Nie, już lepiej na powietrzu, za drzewem”. I tam czekaliśmy. Przyszedł kolejny nalot. I ten kolejny nalot poszedł po grobowcu. I potłukł tych ludzi w grobowcu. Zrobili z nich kolejną warstwę.



Znowuśmy się uratowali przez jakąś intuicję mamy. Chciałam iść później w tym kierunku i zobaczyć, ale mama absolutnie mi nie pozwoliła, poganiała mnie. I tylko jakiś odłamek złapałam z ziemi, to mi całą dłoń poparzył.

Potem okazało się, że cała grupa polskich lotników, która się ewakuowała, gdyśmy próbowali przekroczyć granicę – o czym za chwilę – miała wcześniej właśnie postój na tym cmentarzu. Tam się zbierali. Ktoś doniósł i dlatego Niemcy bombardowali akurat cmentarz – by wyniszczyć tych lotników.

Upłynął czas do 17 września. Rano zapukał komisarz i powiedział, że jest niebezpiecznie, wkroczyły wojska bolszewickie do Polski, że pewnie tu się zjawia, a Ukraińcy poruszają się. On musi zostać, ale nam radzi uciekać. Podał nam możliwości. Skierował nas do Polaka mieszkającego w Horodence, który ma ziemię po obu stronach granicy i stałą przepustkę. Żeby do niego się zwrócić. Tak zrobiliśmy. Oczywiście to było płatne okrągłą sumą. Podjechała furka z jednym koniem, wsiedliśmy, ruszyliśmy.

Krótkośmy jechali z tym Polakiem, który miał nas przewieźć, aż mijaliśmy zarośla, z których wyszło iluś mężczyzn. Otoczyli furkę, zatrzymali konia i mówią do mamy: „Ty taka owaka burżujko, co ty tu robisz?” To byli Ukraińcy. Zaczęli wyciągać ręce po nasze rzeczy. Było duże napięcie. Mama próbowała im coś tłumaczyć. Ale zaczęli nas ściągać z tej furki. I nagle jest hałas, chrzęst i nadjeżdża czołg z czerwoną gwiazdą. A za nim otwarta ciężarówka, na której siedzą żołnierze radzieccy.

(Halina Krzymowska zaczyna rysować rozmieszczenie pojazdów:) Tu, widzi pani, jest nasza furka, tu czołg, a tu ten samochód. Czołg nas omija i częściowo rowem objeżdża. A ciężarówka za nim utknęła w tym rowie, mniej więcej na naszej wysokości. Zaczyna się kłótnia. Ci żołnierze z samochodu są wyżej niż my, dodatkowo przechylili się przez burtę i gapią się, co u nas się dzieje. Mama znowu działa: uśmiecha się do tych bolszewików, rozkłada ręce i na migi – bo jest znaczny hałas – tłumaczy, że chcemy jechać dalej, a nam nie dają. Czołg warczy, ciężarówka też, a Ukraińcy strasznie krzyczą ponad nami do tych bolszewików.

Jednak musieli gdzieś po drodze okoliczni ludzie witać tych bolszewików, bo na samochodzie mieli pełno kwiatów. I nagle któryś z tych żołnierzy całą naręcz kwiatów rzucił na mamę, na naszą furkę. I teraz osłupienie tych Ukraińców, co nas napadli. Rozstępują się. Po kolei wszyscy rozjeżdżają się w swoje strony. Czołg i ciężarówka wjechały w Horodenkę, my w stronę granicy. Znowu jakoś nam się udało.

Na granicy taka sytuacja: zamknięty szlaban, a przy nim rumuńscy celnicy. Nie puszczają. Polak pokazuje, że ma stałą przepustkę, a oni, że nie, teraz nie wolno. Mama próbuje rozmawiać z urzędnikami w budynku celnym. Ja oczywiście za mamą muszę wszędzie, więc biegnę za nią. Widzę porozwalane szafy, pootwierane, powyrzucane papiery na podłogę, nikogo nie ma w budynku. No, to wyszliśmy.

Patrzemy do tyłu: Horodenka już się pali, widać, jak unosi się czarny dym. A jechać przed siebie nie można. Nie wiemy, co robić, czekamy.

Nagle nadjeżdża kolumna kilku takich dżipów, w których siedzą lotnicy polscy. Prowadzi ich oficer. Mama dobiega do oficera i zaczyna go prosić o pomoc. Ten oficer zwraca się do rumuńskich celników, mówiąc, że ewakuuje swoich lotników, ale też swoją rodzinę, żonę i dzieci, czyli nas. Żeby puścili. Rumuni puszczają nas wszystkich.

Mama była jednak bardzo energiczna, w dodatku ładna i młoda, miała wtedy trzydzieści trzy lata. Udawało jej się. Jesteśmy po drugiej stronie, dżipy odjeżdżają. Polak, który nas wiozł, wysadził nas pod jakąś szkołą rumuńską. Powiedział, że swoje zrobił, musimy sobie radzić. Okazuje się, że szkoła jest przepełniona uchodźcami polskimi, bo wcześniej ich przepuszczano przez granicę.

Straszny zapach wszędzie, brud, klozety zapchane. Ludzie siedzą w klasach szkolnych, jeden przy drugim dosłownie. My z bratem w bek, bo co się z nami dzieje? W tych zapachach, w tym tłoku. Niektórych rzeczy nie wiem, bo nie wszystko mówiło się dziecku, ale wiem tyle, że kiedy zostawiał nas transport, dali nam jakiś kontakt. Mama powiedziała, że coś załatwi, ale mamy siedzieć cicho. Poszła do pokoju nauczycielskiego. Tam nawiązała kontakt z Czerniowcami, gdzie zatrzymał się transport w koszarach rumuńskich. Wróciła do nas i powiedziała, że tu zjawi się samochód i pokaże się mężczyzna, a my mamy nic nie mówić, tylko jak gdyby nigdy nic wsiąść do tego auta. Rzeczywiście po jakimś czasie pokazał się w drzwiach klasy mężczyzna i zniknął. Mama powiedziała na głos: „Tu jest tak strasznie źle, ja może gdzie uproszę u Rumunów jakąś kwatery”. Nas za ręce i zaczęliśmy wychodzić z tego tłoku. Za budynkiem stał samochód i ten mężczyzna, znowuśmy połączyli się z naszym transportem, który przewoził złoto.

I tu już nastąpiło rozliczenie. Z innych samochodów urzędnicy otrzymywali pobory za ileś tam miesięcy służby. Mama też coś dostała za czynną pomoc w ratowaniu samochodu pełnego złota. I już musieliśmy dalej ruszać na własną rękę.

Poszliśmy do Czerniowiec, tam mama znalazła jakiegoś Słowaka, porozumiała się i umówiła, że ten zawiezie nas do Bukaresztu. I ruszyliśmy. Ale znowu zatłoczone drogi, częściowo ewakuowane wojsko polskie, częściowo polscy uchodźcy. Wszystkie miejsca, gdzie można by się przespać, były zajęte. My zmęczeni tymi przeżyciami. Mama koniecznie chciała znaleźć jakieś lokum, gdzie moglibyśmy odpocząć na leżąco. Nastął zmierzch w tej drodze, w jakimś niedużym miasteczku. Słowak, czyli ten nasz szofer, zatrzymał policjanta rumuńskiego, porozumiał się i przyszedł do mamy z wiadomością, że jeśli ona nie będzie zwracała uwagi na otoczenie, to on jest w stanie pokazać miejsce, gdzie możemy się przespać. No, przespać to przespać, po co nam oglądać się na to, co jest wokoło? Mama się zgodziła.

Proszę sobie wyobrazić, policjant wszedł do naszej taksówki i tak nami pokierował, że pojechaliśmy na obrzeże tego miasteczka, pod budynek, który stał na skraju. Nad wejściem wisiała czerwona latarnia (śmiech). Mama miała taki szeroki płaszcz, wzięła nas pod ten płaszcz, zasłoniła połami i powiedziała: nie wystawiajcie nosów spod tego płaszcza. Policjant szedł przed nami, weszliśmy na dużą salę. Ja byłam większa, więc wystawiałam nos, żeby widzieć, co się dzieje. Zobaczyłam stoły zastawione butelkami i kobiety w takich przezroczystych koszulkach, gdzie było widać pod spodem ich ciała – bardzo się na to gapiłam. Tak przechodziliśmy przez tę całą dużą salę. Potem po krętych schodach na pierwsze piętro. Tam był długi korytarz i drzwi, drzwi, drzwi, dużo ich było. Doszliśmy do pokoju, gdzie mieliśmy się przespać. Tam było szerokie łóżce, szafa podparta o cegłę, trójnóg i na nim miednica, wiadro oraz dzbanek wody. Mama do drzwi, ale tam nie ma zamknięcia! Rozglądaliśmy się, co tu dalej, bo jak spać bez zamknięcia?

I nagle w tych drzwiach pojawił się Rumun i aż oczy szeroko otworzył ze zdziwienia. Bo w takim miejscu zobaczyć kobietę z dwojgiem dzieci... (śmiech). Jak mama go zobaczyła, zaczęła na niego pokrzykiwać po polsku, więc on się wycofał. W końcu myśmy we trójkę tę szafę napchali na drzwi. Mama miała pled duży ze sobą, nałożyła go na to łóżce i tak poszliśmy spać. Rano spokojnie opuściliśmy ten dom, żywej duszy po drodze nie spotkaliśmy. Tylko ktoś sprzątał dużą salę. Przy drzwiach na dole czekał na nas zadowolony kierowca, nie wiem, jak on tę noc spędził. Pojechaliśmy do Bukaresztu.

Od tego momentu zaczęła się nasza wędrówka na własną rękę. Po wielu przygodach dotarliśmy ostatecznie na wyspę Krk, to jest obszar dzisiejszej Chorwacji. To były piękne czasy. Czy przynieść herbaty? Coś słodkiego?

Kontynuujemy rozmowę, pijąc herbatę.

*Mieliście przez cały ten czas jakikolwiek kontakt z pani tatą?*

Tak. Ojciec wrócił do Warszawy, a nas nie było. Mieszkaliśmy kolejno w Zagrzebiu, w Splicie. Cały czas do wkroczenia Niemców do Jugosławii, czyli do 1941, gdy Niemcy stworzyli niepodległy kraj chorwacki. Ustasze, chcąc się przypodobać Niemcom, wydawali tych Polaków i w ogóle cudzoziemców, którzy wówczas przebywali na ich terenach. Wtedy musieliśmy uciekać.

*Wielu tam było Polaków?*

Przede wszystkim był konsulat polski. Mama przy tym konsulacie pracowała. Byliśmy blisko z małżeństwem konsulów, prawdopodobnie mama im pomagała. Mieszkaliśmy wtedy w Splicie. Tamtędy też przemieszczali się ci, którzy mieli walczyć i zmierzać do Francji. Gdy Niemcy już wkraczali, polski konsulat ewakuował się. Mieli papiery, by podróżować do Bombaju. Ewakuacja odbyłaby się

pociągiem z Zagrzebia do Bombaju. Mama też dostała taką ofertę i papiery. Pojechalśmy nawet spakowani na dworzec, ale mama wtedy zdecydowała, że nie, już tak daleko nie pojedziemy, bo zbyt trudno będzie wrócić do kraju. I zostaliśmy. Cała grupa ludzi pracujących w konsulacie wsiadła i pojechała.

Kiedyś tu w laptopie szukałam po nazwisku tego konsula i dowiedziałam się, że w trakcie drogi ci Polacy zostali zatrzymani przez ustaszy i Niemcy rozstrzelali konsula, a resztę wzięli do niewoli, do obozu. Przepuszczalnie, gdybyśmy jechali z nimi, już w 1941 trafilibyśmy do obozu.

Wtedy musieliśmy się ewakuować z Zagrzebia. I dojechalśmy w 1941 do Crikvenicy. Dowiedzieliśmy się, że tam zebrała się grupa Polaków, kobiet i mężczyzn. Jak się okazało, była też arystokracja polska, Potoccy i Tyszkiewiczowie. Oni tam stworzyli taką małą ojczyznę polską – mieli szkołę, kościół, polskie msze. Uczyłam się w tej szkole. Tak to trwało.

Szwajcarski Czerwony Krzyż utrzymywał całą grupkę kobiet z dziećmi, żon żołnierzy polskich będących na Wschodzie. Przebywali w jednej dużej willi, która nazywała się Slavia. Plus było też trochę uchodźców, którzy utrzymywali się na własny koszt. Czerwony Krzyż oraz Włosi bardzo nam sprzyjali. Całe pasmo Dalmacji zajęli Włosi, a resztę terenów Chorwacji zajęli Niemcy i wciąż tam trwały walki. W 1943 dowódca włoski zerwał pakt z Niemcami. Skutek był taki, że Niemcy internowali Włochów. Ale zanim ich internowali, Włosi pomogli całej naszej grupie Polaków ewakuować się na wyspę Krk. Na tej wyspie był ciąg dalszy dobrego życia, poza wojną.

Wśród nas któregoś dnia zjawiała się kobieta. Powiedziała, że jest Polką, i mówiła po polsku. Nazywała się Kaiser. Mówiła, że mieszka stale we Fiume, ale chciałaby pobyc z nami i poczuć tę polską atmosferę, poczuć się wśród nas. I czy się zgodzimy, by zamieszkała z nami jakiś czas. Nikt nie protestował. Tyle uchodźców było, co nam szkodzi jeszcze jedna pani. Ona brała udział we wszystkich naszych spotkaniach, to była bardzo patriotyczna grupa, więc tych zebrań odbywało się wiele. Dobrze rozeznała nas wszystkich.

Ku nieszczęściu naszemu, mamy i nas, był wielki hotel, który był zajęty przez tych wszystkich polskich uchodźców. A myśmy we trójkę zamieszkali w willi, mniej więcej kwadrans marszu od tego hotelu. Zajmowaliśmy tam dwa pokoje. Byliśmy więc niby razem, a jednak osobno. Ta kobieta, która dotarła do nas na wyspę, w jakiś sposób spowodowała, że zaprzyjaźniły się z moją mamą. Po jakimś czasie tej kobiecie zrobił się wrzód i potrzebowała opatrunków. Poprosiła moją mamę, czy może zamieszkać z nami w tych dwóch pokojach. Mama miała jej pomóc z opatrunkami. Zamieszkała razem z nami.

11 stycznia 1944 roku nagle otworzyły się drzwi do willi, w której mieszkaliśmy. Do środka wpadł syn właściciela hotelu. Znałam tego chłopca, przyjaźniliśmy się, on mnie bardzo lubił. Wpadł z krzykiem, że do wyspy przyplłynął okręt z esesmanami,

którzy wkroczyli do hotelu, wyprowadzają i aresztują Polaków. Kazał nam uciekać, skoro jesteśmy w oddaleniu i nikt o nas nie wie. Krzyczał: „Uciekajcie, może się uratujecie!”.

Mama, zszokowana sytuacją, przed śniadaniem, patrzyła to na niego, to na nas. A w łóżku mamy leżała ta kobieta (bo mama oddała jej swój pokój i przeszła do nas). I ta kobieta odzywa się do mamy: „Po co masz uciekać, przecież nikt nie będzie wiedział, że tu jesteś, zostań”. Mama była w rozterce. Ten chłopiec mówi do mnie: „Chociaż ty się ratuj”, łapie mnie za rękę i ciągnie na zewnątrz. A mama łapie mnie za drugą rękę i nie puszcza. Taka rozciągnięta na dwie strony mówię mu: „Słuchaj, mamy i brata nie zostawię. Co będzie, to będzie”. On się wycofał.

No i było. Kilka minut po tym wkroczyło dwóch żołnierzy i oficer SS. I to z takim hałasem, jak to oni mają w zwyczaju. Buty z ostrogami i tak dalej. Wkroczyli do willi i do naszego pokoju. Spojrzeli na łóżko, gdzie leżała ta kobieta. Oficer podszedł do niej, a wtedy ona spod poduszki wyciągnęła legitymację i mu ją pokazała. On wtedy krzyknął: „Hail!”. I machnął ręką, na co ona też odpowiedziała: „Hail!”. Zaczęli rozmawiać po niemiecku.

Ja się uczyłam niemieckiego, więc rozumiałam mniej więcej, o co chodzi. I mogłam zdać sobie sprawę, że ona nas wszystkich rozpracowała i wydała.

Oficer zapytał tej kobiety, kim jest moja mama. A ona: „E, to taka Polka, służąca moja”. No, to on na nas z krzykiem: „Raus!”. I wymaszerowaliśmy.

Brat przechodził koło biurka, na którym leżało małe pudełko ze zdjęciami. Chwycił to pudełko i schował do kieszeni. Ono się uratowało, mam je do dziś. Tam są nasze zdjęcia z Jugosławii.

*Jakim cudem udało mu się zachować to pudełko? Przecież właściwie to był początek waszych wojennych doświadczeń?*

Tak, to długa i wielowątkowa historia. Może napijmy się najpierw herbaty?

(Pijemy herbatę i jemy czekoladki. Mówię:) *To jest niezła historia, mocne zwroty akcji.*

A obóz? To dopiero była jazda.

*Chce pani o tym rozmawiać?*

(Halina Krzymowska potakująco kiwa głową).

*Wiele pani o tym myśli na co dzień?*

Różnie. Ale pamiętam bardzo dobrze – to są tak mocne wspomnienia, że musiały zostać.

*Z tego, co już pani opowiedziała, wynika, że to była wielka intensywność doświadczeń?*

Tak, to były dla mnie piękne czasy... bo dużo pływałam, też żaglówką, kajakiem. Proszę zobaczyć, to miało kontynuację, olimpiada seniorów – dostałam puchar i dyplom – pierwsze miejsce w kajakarstwie. Na osiemset metrów.

*Kiedy to było?*

Proszę zobaczyć.

*2015?!*

Tak, w tym roku. Teraz, w maju. Zresztą w zeszłym roku też mi się udało, też mam puchar.

*Czyli jest pani bardzo aktywna?*

Tak, bo moje życie było sportowe. Z mężem dużo uprawialiśmy sportów – przede wszystkim kajakarstwo, ale też wspinanie się po górach.

*Super. A czym zajmowała się pani po wojnie? Udało się pani kontynuować edukację?*

Oczywiście. To była cała historia. Zaczęło się od tego, że byłam w Szwecji, ale czy teraz powinnam o tym mówić?

*Domyślam się, że mówi pani o tym transporcie więźniów obozowych przewożonych statkami do Szwecji?*

Tak. To już późniejsze opowiadanie.

*Mamy takie zagęszczenie wątków, że może faktycznie trzymajmy się porządku chronologicznego?*

Zatem po kolei.

*No dobrze, tym bardziej że ciekawie się dzieje. Ciekawie-smutno.*

E, smutne to dopiero przyjdzie. Do tej pory to wszystko było po prostu niebezpieczną przygodą.

*Jak Niemcy zabrali was z wyspy?*

Okretem. Od samego początku traktowali nas jak więźniów. Jechaliśmy do Fiume, umieścili nas jako pierwszy rzut w koszarach opuszczonych przez internowanych żołnierzy włoskich. Tam przespaliśmy chyba dwie noce. Stamtąd załadowali nas w osobowe pociągi i przewieźli do Klagenfurt, miasta austriackiego. Ale czy mówić dalej, czy najpierw zjeść ciastko?

*Zjeść, zdecydowanie.*

Jemy słodczyce. Pytam, czy rodzina mojej rozmówczynie spotkała na pokładzie okrętu Polaków aresztowanych w hotelu. Halina Krzymowska potwierdza, zapowiadając rychłe rozdzielenie grupy.

Połączyli nas na tym okręcie i w pociągu. Co dzieje się dalej: w Klagenfurt nastąpił rozdział. Oddzielono mężczyzn jako pierwszych. Mężczyzn do Dachau, jak się później dowiedzieliśmy. Kolejno oddzielili dzieci do czternastego roku życia. Mój brat miał wtedy dwanaście lat. Oddzielono go od mamy. Olbrzymi szok, olbrzymia tragedia, olbrzymie nieszczęście. No i skutki tego. Mogę opowiadać, co się działo?

*Oczywiście. Nie powiedzieli wam, co zrobią z bratem, co będzie się działo?*

Nie powiedzieli.

*On te zdjęcia miał ciągle ze sobą?*

Tak, miał. Spróbuję poszukać tego pudełka ze zdjęciami.

O, widzi pani, to są te zdjęcia, które on uratował. To jest moja mama. No i ja w tamtym czasie. Miałam ukochanego Misia, to znaczy psa, który nazywał się Miś. Tam toczyło się normalne życie. To jest Misiek w pełnej okazałości i jego kolega Miki. Miałam też w tych zdjęciach całą grupę zdjęć mojej szkoły i mojej grupy. Wśród nich był Artur Potocki. Przyszedł kiedyś do mnie, już po wojnie, bo dowiedział się, że jestem w Krakowie, i poprosił mnie o ich pożyczenie, miał oddać na drugi dzień. Jak to zwykle jest z pożyczaniem, pewnie zapomniał i więcej ich nie zobaczyłam. Potem ktoś inny uratował też jedną fotografię tamtej naszej grupy szkolnej, mam odbitkę. To jest właśnie Artur Potocki, dalej Jaś Tyszkiewicz, Andrzej Potocki, Michał, Anna Kujawska i ja z Miśkiem.

*Niezła ekipa.*

Tak, to były wspaniałe czasy. A potem był mocny krach po tym pogodnym życiu.

*Ile trwała wasza droga z wyspy Krk do celu, czyli do obozu Ravensbrück?*

Byłam aresztowana 11 stycznia, a do Ravensbrück przybyłam 27 stycznia.

*Czyli mężczyźni zawieziono do Dachau, kobiety do Ravensbrück, a co naziści zrobili z dziećmi, co z pani bratem?*

Jak później się okazało, brat z całą grupą tych dzieci został skierowany do sierocińca, do Krakowa. I w tym sierocińcu część dzieci przeznaczali na zniemczenie, do adopcji Niemców, a część zostawała i kwitła w sierocińcu. W Krakowie była wtedy grupa Polek, które stanowiły komisję wspomagającą sierociniec, by były tam lepsze warunki. Kierowała tą grupą pani – jak się okazało, nasza ciotka – z domu Kamienobrodzka. Dostała na biurko do siebie listę przybyłych dzieci. Na tej właśnie liście był Janusz Kamienobrodzki. Ponieważ to nazwisko jest typowe dla mojej rodziny, zorientowała się, zawołała Janusza do siebie i zawiadomiła naszego ojca, że Janusz jest w Krakowie. Ojciec przyjechał do Krakowa i go zabrał. I też dzięki temu ojciec dowiedział się, co z nami się stało. Do wybuchu powstania byli razem w Warszawie, do 1 sierpnia.

*Co stało się z nimi później?*

Była taka historia: ojciec pracował oddalony od miejsca zamieszkania. W domu była służąca wraz z Januszem. Kamienicę, w której pracował ojciec, zajęli Niemcy. I wywieźli go do obozu, do Hamburg-Neuengamme. Potem, pod koniec wojny, ewakuowali ten obóz. Wsadzono więźniów na trzy okręty. I czwarty też. W sumie cztery okręty. I trzy okręty zostały. Kapitan czwartego okrętu zbuntował się i wraz z więźniami odłączył się, dopłynął do Malmö i tam oddał się do niewoli jak gdyby. Po czym więźniowie poświadczyli, że ich uratował. Pozostałe okręty stały na redzie, na Bałtyku. Zostały ostrzelane i zatopione.

*Pani ojciec tam był?*

I ojciec tam był.

*Nie wiedziałam...*

I wtedy zginął. W ostatnim dniu przed końcem wojny.

*Straszne.*

Prawda? Ojciec, który był całą podporą nas. Jak zginął, to przecież... On w ogóle miał trudne życie. Rodzina pochodzi ze Lwowa, z okolic Lwowa. Mogę pani pokazać, mam zdjęcie. Kamienny Bród to był majątek i nazwisko pochodzi z połączenia słów. Jak byliśmy po wojnie z córką tam, chciałyśmy jechać, ale droga była tak bardzo zniszczona, że kierowca odmówił jazdy.

*Jak długo nie wiedziałyście z mamą, co się z nim stało?*

Jak byliśmy już w Szwecji, to była akcja Czerwonego Krzyża. Pisało się do nich i prosiło o powiązanie. Zgłosił się do nas mężczyzna, Polak, który też był w Hamburg-Neuengamme, a potem także płynął statkiem, ale tym, na którym kapitan się zbuntował. On się uratował, pisał, że jest w ciężkim stanie i przebywa w szpitalu. On znał mego ojca. Od niego się dowiedzieliśmy.

Ale chciałam pani jeszcze inne rzeczy pokazać. O, proszę, to jest moje potwierdzenie pobytu w obozie, po niemiecku. Tu nasze drzewo genealogiczne. A to są pieniądze obozowe. Tu z kolei listy, które wymienialiśmy, będąc w obozie.

*O, udało się je zachować?*

Te rzeczy miałam w pasiaku. Jak zostałam wywieziona z obozu, to w pasiaku.

Grzebiemy w stosie dokumentów, zdjęć, zaświadczeń, książek i legitymacji.

Trochę mam nieporządek w tych papierach.

*Norma.*

O, a tu malunek obozowy. Jedna z tych dziewcząt była uzdolniona i nas malowała. Następnym razem pooglądamy szczegółowo, uporządkuję to. To może wrócimy do tematu?

*Wróćmy. To teraz będzie to smutne?*

Tak, zaczynamy.

Nas, kobiety, zamknęli w celach więzienia w Klagenfurt. Nastąpiła noc. Było bardzo ciasno, my z mamą leżałyśmy na jednej pryczy. Też oczywiście rozpaczalam, ale mama jako matka specjalnie. W nocy śpię, ale w końcu czuję, że jest mokro pode mną. Macam, co to jest mokre. Cela była oświetlona taką małą lampką, żeby ewentualnie strażnik mógł widzieć, co się w celi dzieje. Wyciągnęłam rękę – ręka czerwona. Narobiłam krzyku. Zbiegli się strażnicy. Okazało się, że mama podcięła sobie żyły.

*Ale jak to?*

W tym szoku, w tym wszystkim. Dziecko jej zabrali, my w celi. Nie wytrzymała



nerwowo i podcięła. Narobiłam krzyku na tyle wcześnie, że podwiązali jej te ręce, ścisnęli, obandażowali. Nie wykrwawiła się. Ale i tak tyle krwi wyszło, że mokro było pode mną.

Nastał dzień. Wyprowadzili nas na podwórze, na dziedziniec. Postawili nas w rzędzie, twarzami do muru. No, ja sobie pomyślałam, że teraz będą strzelać. Ale to widocznie taki był system. Czekaliśmy na transport, na ciężarówki. Załadowali te wszystkie kobiety, a potem wsadzili nas do wagonów towarowych. To był styczeń, zima. Nasze miejsce znalazło się pod ścianą tego wagonu. Tam było małe okienko zakratowane. Szyba w nim była wybita. Gdy pociąg pędził, wiadomo, że wiało przez to okno. A my dosłownie przy nim. Ja, żeby nie myśleć, patrzyłam przez to okno, ciągle patrzyłam na Alpy, które mijaliśmy. Bardzo się zaziębiłam wtedy.

Jak przyjechaliśmy do Ravensbrück, to najpierw było takie miejsce, gdzie przemianowuje się cywila w więźnia. Rozbiera się go z cywilnych ubrań, więzień dostaje numer, dostaje pasiak, czyli taki ubiór obozowy, jest notowany i zabierają mu wszystkie cenne rzeczy. Zabrano mamie te wartości, które wciąż miała ze sobą.

A ja miałam tak wysoką gorączkę, byłam tak nieprzytomna, że po prostu straciłam przytomność. Zemdlałam i leżałam na deskach tego Waschraumu. Już w pasiaku, już byłam obozowiczem z numerem. Sechs und zwanzig tausend vier und sieben und achtzig, czyli 26487 – to był mój numer obozowy.

Moja mama zobaczyła, że ja padłam, a wokół kręcili się esesmani i ausjerki. I w jakimś momencie drzwi nie były zamknięte. Wybiegła na plac lagrowy i zobaczyła przechodzącego oficera. Później mówiła, że widać było po epoletach, że jest oficerem wyższej rangi. Dopadła do niego i zaczęła go szarpać za klapy i wołać: „Hilfe, Hilfe, meine Tochter ist krank”, ratunku, ratunku, moja córka jest chora. Nadlecieli strażnicy, oderwali mamę od tego oficera i gdzieś ją zaciągnęli. I dostała zastrzyk śmierci. Zastrzyk chyba z dużej dawki morfiny.

*Tak od razu?*

Na samym wstępie, karnie, za to, że napadła. Okazało się, że napadła na głównego komisarza SS tego obozu.



I proszę posłuchać: tak się przytrafiło, że w tym okresie naszych dobrych lat wojennych mama ciężko chorowała na nerki. Nie wiem, czy to były kamienie nerkowe, czy zapalenie. Na uśmierzenie bóli dostawała ciągle pantopol. A pantopol miał w składzie morfinę. I zapewne przyzwyczajenie organizmu zneutralizowało skutki dawki, którą dostała w zastrzyku.

Wie pani, co teraz mówię, wiem częściowo z tego, co mówiła mama, a częściowo od innych więźniarek. Ja byłam wtedy nieprzytomna, wciąż leżąca na podłodze w Waschraumie. I leżałam... to znaczy mama leżała na stosie trupów przygotowanych do spalenia.

Było takie komando więźniarek, które przewoziły na kaczkach, wózkach, do tego miejsca, gdzie się pali... Przepraszam, czasem, gdy jestem zdenerwowana, to brakuje mi wyrazu.

*Do krematorium?*

No tak. I zauważyła któraś z więźniarek, że jeden z tych trupów leżących się rusza. Mama wracała w jakiś sposób do życia, w każdym razie zaczęła się ruszać.

Jak przyjeżdżały do obozu transporty, to zawsze było jedno z pierwszych pytań: jakiego jesteś zawodu? Jak ktoś był związany z medycyną, to notowali i dawali do opieki nad więźniami. Ta więźniarka, co prowadziła wózek z trupami, dała znać pielęgniarce obozowej, że coś się rusza. Że jeden z trupów się rusza. To była moja mama. I mamę z tych trupów wyciągnęli i położyli w lagrowym szpitalu.

Zrobiło się głośno, bo przecież taka historia niesamowita! Zainteresowali się też mną. I też znalazłam się w rewirze. Zorientowałam się, gdzie jestem. I wtedy okazało się, że musiałam mieć w sobie jakieś zarazki dyfterytu, które się uaktywniły przez to ostre przeziębienie. A dyfteryt to jest tu – Halina Krzymowska wskazuje na szyję – tu atakuje i człowiek się poddusza. A jak nie ma ratunku, to dusi się i umiera.

Na szczęście dla mnie jedna więźniarka, która była w rewirze, Czeszka, miała dostęp do apteki esesmańskiej. Ukradła surowicę i mi ją zaszczepiła. W ten sposób mnie uratowała. Dyfteryt mnie nie zabił. Jak wracałam do życia, poprowadzili mnie pod blok rewirowy, ale inny niż mój, bo ja byłam na zakaźnym. Podeszliśmy pod blok i tam wysoko zobaczyłam w okienku twarz matki mojej. Po prostu czaszka obciągnięta skórą. Tak zupełnie wychudła. I olbrzymie oczy w tym wszystkim. Widziałam, że płonęła radością, że mnie widzi, bo nie wierzyła, że ja żyję. I nie chciała jeść ani przyjmować lekarstw, nie chciała wracać do życia. Nie chciała żyć. Ale zobaczyła, że ja żyję, że ona też musi, żebyśmy mogły jakoś się połączyć. I wtedy zaczęła zgadzać się na leczenie.

I w tym wszystkim było coś jeszcze. Ale nie wiem, czy opowiedzieć taką dziwną historię.

*Pewnie.*

Ale ona nic nie mówi o realiach obozowych, ale o moim... jak by to powiedzieć...

przypadku? Może szczęściu mimo wszystko?

Gdy już byłam prawie zupełnie zdrowa, nastąpił w rewirze duży ruch. Bo główny lekarz obozowy, najważniejszy, ten, który robił operacje królikom, miał u nas robić obchód. Więźniarki, pielęgniarki, lekarze biegali wkoło, układali wszystko w kostkę. Do nas, leżących, skierowali ostry przykaz, że nie wolno nam zakłócić porządku. A porządek polegał na tym, że te, które czuły się możliwie, mają stać na bacność przy swoim łóżku... to jest pryczy. A te, które nie mogą się ruszyć, mają leżeć na bacność. Na to całe zamieszanie ja się zbudziłam. No i poczułam potrzebę wyjścia ze swoją potrzebą. A tu było poruszenie, że już-już, zaraz wejdzie on. Napięcie kolosalne.

Po prostu wstałam z łóżka i ruszyłam do drzwi. Gdy już byłam przy drzwiach, one się otworzyły. Pokazał się właśnie ten pan i władca, półbóg obozowy, a za nim jego świta. A ja z nim twarzą w twarz. Jestem ubrana w taką kusą koszulinę, gdzieś do pół uda, rozchełstana, rozczochrana (bo włosy miałam czyste, więc mi nie obcięli). No i jestem opalona jeszcze z czasów jugosłowiańskich, młoda i tak dalej. Twarz w twarz. I widzę w jego oczach zdumienie czy szok, wyglądał, jakby myślał: jak ona śmie? To jest nie do przekazania słowami. Dzisiaj myślę, że on nie mógł uwierzyć, że taki nędzny robak może mu zastąpić drogę. Ale wtedy: jestem zdziwiona, jak to, chcę wyjść, potrzebuję wyjść, a on mi zawadza.

*Chyba jeszcze nie miała pani okazji przyzwycząić się do realiów obozowych?*

Zupełnie. Ja jeszcze nie byłam świadoma swojej obecnej pozycji. I chyba nie zdawałam sobie sprawy, naprzeciw kogo stoję.

*I co się stało?*

On się usunął. A ja spokojnie sobie wyszłam, bez wrazenia wyszłam. On się usunął i jego świta się usunęła. Jak wróciłam, było już po obchodzie, poszedł. I wszyscy na mnie się rzucili, co teraz ze mną będzie. Co się stanie, że mnie chyba poćwiartują na kawałki za tę bezczelność. I się nic nie stało. Zupełnie nic.

*Może zrobiła pani na nim jakieś wrażenie?*

Chyba spodobało mu się, że nie wyglądam jak więźniarka. I to, że w oczach nie miałam strachu. To była taka rzecz niesamowita, nieobozowa zupełnie.

*No dobrze, to może porozmawiamy teraz o tym, co bardziej typowe. Przebywała pani dosyć długo na rewirze. Miała pani na przykład styczność z królikami doświadczalnymi?*

Na moim bloku zakaźnym ich nie było. Ale w ogóle – oczywiście, miałam styczność, bo razem się uczyliśmy. Było w obozie tajne nauczanie, to się uczyliśmy, choć za to też była kara śmierci. Mam tu taki fragment książki, w której jest mowa o tym nauczaniu, są też nazwiska tych, które się uczyły. Muszę uporządkować te papiery, pokażę pani wtedy zdjęcia tych moich koleżanek króliczków.

*Zawsze myślałam, że króliczki były separowane od innych więźniarek?*

Rzeczywiście, one nie wychodziły z terenu obozu, one miały też swój odpowiedni blok. Ale te profesorki, które nas uczyły, wyciągały je do nauki. Wśród nich, nauczycielek, była na przykład Lanckorońska – w parku Jordana jest jej pomnik. Ona była też opiekunką w obozie, bardzo dużo się przyczyniła i pomagała innym.

*Jakiej narodowości były kobiety, na których dokonywano eksperymentów pseudomedycznych?*

Wiem, że były z dwóch transportów: z lubelskiego i warszawskiego. Przynajmniej te, z którymi się trzymałam.

*Kiedy to było?*

1944 rok, miesiące wiosenno-letnie.

*Jaka była według pani zasada doboru króliczka?*

Zdrowa dziewczyna. I dopiero na takiej można było robić doświadczenia. Albo jej łamano nogi, kości, albo raniono i zakazano. Chodziło o sprawdzanie, jakimi sposobami leczyć żołnierzy niemieckich. Wiele z nich zmarło. Z kilkoma z tych, które przeżyły, nawet po wojnie się kontaktowałam.

*O czym rozmawiałyście z więźniarkami króliczkami? Czy one opowiadały o tym, co im się przydarza?*

To było... starało się o tym nie mówić. Starano się od tego oderwać i nie myśleć.

*Zatem po prostu razem się uczyłyście? Jak to wyglądało?*

Nie miałyśmy oczywiście książek. Te profesorki uczyły nas z pamięci. Do obozu przychodziły niemieckie gazety, więc na tych bokach, na szpaltach robiłyśmy jakieś notatki.

*W jakim wieku mogły być uczennice?*

Moje rówieśnice, więc miałyśmy naście lat, siedemnaście–dziewiętnaście.

*Jak to organizowałyście, by obsługa obozu się nie dowiedziała?*

Niedziele i wieczory były trochę swobodniejsze. Esesmani nieco się usuwali. I tak się trochę więźniów kręciło tu i ówdzie. My jakoś bokiem się przysiadaliśmy, trochę ukryte, trochę niby mimochodem.

*Skąd brałyście te niemieckie gazety do pisania? Były powszechnie dostępne?*

Trudno mi powiedzieć. Widziałam same gazety, ale skąd one były brane – nie wiem.

*A czym pisałyście?*

A, to zawsze się jakoś znajdowało.

*Wspominała pani, że nie ścięto pani włosów. A jak to było z pani koleżankami?*

To wszystko zależało, czy były zawzione. Ja starałam się być czysta, ale to trudno było. Wstawało się świtem. Blok wyglądał w ten sposób: wejście, na wprost łaźnia, czyli koryto idące przez środek, i krany z zimną wodą oczywiście. Tych kranów nie było za dużo, trzeba było się przepychać, żeby się dostać. Zanim się przepchało, nie starczało czasu na mycie, bo trzeba już było iść na apel, a były wielkie kary, jeśli ktoś się spóźnił. Więc to wstawanie o świcie, żeby zdążyć, plus zimna woda, no i o to

mydło było trudno...

Kiedyś był taki przypadek: ja nie mogłam się dostać do kranu, a dostałam paczkę. W tej paczce była szczotka i pasta do zębów. Tak się cieszyłam, taka szczęśliwa, że będę mogła sobie zęby pastą umyć, pchałam się uparcie do kranu. I zobaczyłam kran wolny, podleciałam i robię swoje. I mama mówi: „Słuchaj, dziecko, widzisz, gdzie ty stoisz? Widzisz, gdzie jesteś?”. Ja nie widziałam. A zaraz obok tego kranu był stos trupów z nocy, kobiet zmarłych, już rozebranych z pasiaków, gotowych, leżących do wywiezienia. Ale ja tego nie widziałam. Widziałam tylko kran, szczotkę i pastę, kran, szczotkę, pastę. I nad tym kranem jestem, a obok mam trupy leżące. Takie wspomnienie.

*Mocne, to prawda. Ale mówi pani, że dostała paczkę?*

Tak, od ojca (Halina Krzymowska mówi łamiącym się głosem). Później mój ojciec starał się nas wykupić. Przyjechał do Fürstenberga, to jest obok obozu. I zgłosił się do tych władz, ale nie chcieli nic. Ale podobno nas widział. Bo z mamąśmy jeździły wtedy do szwalni. Do pracy, do Grala, na otwartej ciężarówce. I potem w listach dowiedziałam się, że właśnie był, starał się, żeby nas wydostać. Ale nie było możliwości. I że nas widział, jak jechałyśmy na tej ciężarówce.

*Czyli jeśli wy widziałyście ojca po raz ostatni, gdy rozdzielaliście się w 1939, to on zobaczył was jeszcze w 1944 roku.*

Tak, mamę mógł poznać mimo wszystko. Ale można było pisać listy raz w miesiącu. Widziała pani te kartki, które mam do dziś.

*Wszystkie pisane po niemiecku?*

Tak, po niemiecku, bo to przechodziło przez cenzurę.

*I te paczki?*

No, rodzina nie zdawała sobie sprawy, jak tam jest w obozie. Myśmy prosiły o czosnek koniecznie. To przyszła jakaś cebula. Prosiłyśmy o suchary. Przyszły jakieś grzanki, takie kosteczki do maczania w herbacie. Ale też była radość, jak to się dostało. Potem nawet od Czerwonego Krzyża dostałam też paczkę. Widocznie gdzieś zawiadomili. No i obóz, obóz.

*No właśnie, chciałabym teraz porozmawiać o waszej obozowej codzienności.*

Mogę pani opowiedzieć parę takich zaszłości obozowych. Jedną zwłaszcza mocniejszą zaszłość. W obozie było dużo więźniarek, które dłuższe lata już siedziały. One jakoś potrafiły sobie ułożyć to życie. Miały takie lepsze stanowisko, kuchnia, przy rozbieraniu cywilnych ubrań i tak dalej. I gdzieś przy tych biurach. Od nich rozeszła się wiadomość, że proszą... no, nie proszą, ale zgłaszają, że potrzebne są kobiety do domów publicznych dla wygody żołnierzy, dla relaksu żołnierzy niemieckich. Rozeszła się ta wiadomość i każda swoją opinię zachowała dla siebie. A jedna Polka zgłosiła się. Oczywiście o tej Polce poszły straszne gadki. Bo obiecywali złote góry takiej kobiecie, która na tę prostytutkę się zgłosi.

Po wojnie okazało się, że ta, która się zgłosiła, bardzo dużo dobrego zrobiła, bo ona doniosła na zewnątrz, co dzieje się w obozach. I też cenne informacje wyciągała od swoich partnerów Niemców. Po wojnie rehabilitowali ją. Gdy w Norymberdze był proces, wyraźnie powiedziano, że ona bardzo się zasłużyła.

*Czy to był przyobozowy dom publiczny?*

Nie, gdzieś dalej wywieźli ją. Po tym wszystkim, po tej akcji, gdzie się prawie nikt nie zgłosił, któregoś dnia, zupełnie nietypowo, nie poszliśmy z naszego bloku na plac apelowy, tylko wzdłuż naszego bloku nas ustawiono. I ja nie dowierzałam. Ale czułam, że coś jest nie w porządku. Razem z mamą stałyśmy. Ale ja stałam dokładnie naprzeciw drzwi do naszego bloku. W obozie był taki esesman, Flaum się nazywał, a wszyscy go nazywali „Śliwa”, bo Flaum jest śliwką. Bardzo ostry, wszyscy się go bali, potrafił nawet zabić, jak tłukł. Jak nas ustawili w długi szereg, to zjawilo się kilku Niemców razem z tym Flaumem.

(Halina Krzymowska rozrysowuje ustawienie poszczególnych osób). Zaczęli wyciągać spośród stojących kobiet młode dziewczyny. I ja zdałam sobie sprawę, że coś źle to wygląda. Buchnęłam wprost w te drzwi. I uciekłam do sypialni, przez korytarz, część jadalną, gdzie były stoły, a później przez dużą, dużą salę, na której były trzypoziomowe prycze. My z mamą miałyśmy swoje miejsce do spania na tak zwanym trzeciaku, czyli trzecim poziomie. I na dwóch połączonych pryczach spało nas... dwie, dwie i... w sumie chyba pięć? Tak, ja spałam na środku, pięć nas było. W każdym razie nade mną był pułap drewniany. Ten pułap składał się z desek. Ktoś przede mną tam mieszkał i nadwerężył połączenia tych desek, że były trochę ruchome. I ja w nocy czymś ostrym, chyba łyżką, to dokończyłam tak, że mogłam z tego układu pewną część usunąć i podnieść. A nad tym drewnianym sufitem była przestrzeń, a później dopiero dwuspadowy dach.

Podporą tego dachu było belkowanie. Wpadłam na swój trzeciak, wdrapałam się błyskawicznie. Uniosłam sobie te deski, wsunęłam się do góry. Tam był zaduch i pył, bo to przecież nawarstwiło się. I kompletna ciemność, prawda. I na tych belkowaniach położyłam się płasko wzdłuż deski. Byłam chudziutka jak patyk. Za mną wbiegł na salę Flaum. Widział, że ktoś uciekł. Pewnie się rozejrzał, że nie ma tam nikogo, więc wybił czymś dziurę w suficie. Widocznie musiał jeszcze jakiś ruch słyszeć, jak tam się chowałam. Ale tę dziurę zrobił w odległości jakichś czterech–pięciu metrów ode mnie. Miał latarkę. I zaczął nią świecić. Ale tak szczęśliwie, że on był z tej strony, a ja leżałam z drugiej strony, za belką, więc belka mnie trochę chroniła. Zaczął krzyczeć oczywiście. Ja ani drgnęłam. Zaczął strzelać w sufit. Ja się bałam ruszyć. Gdybym się ruszyła, to przecież ten pył w świetle latarki od razu by mnie zdradził. To były jakieś minuty. Jego wrzask, jego chód.

Na zewnątrz rozległy się krzyki. Bo jak Flauma nie było, to kobiety zaczęły uciekać. No i on wycofał się. A ja zostałam pod tym dachem. I bałam się wyjść. Zdawałam

sobie sprawę, że jeśli zejdę, to znajdą się jakieś kobiety, które na mnie doniosą. Przeleżałam tam dzień i dopiero po pracy, jak wszyscy wrócili i kręcili się, to znalazłam sobie moment, w którym włączyłam się do tego ruchu.

*Nie wykryto, że pani brakuje w pracy? Nie liczono?*

Liczono na apelu, później już nie. Jakoś to się rozeszło przez zamieszanie. Nikt nie dowiedział się oprócz mamy. Przetrwałam.

*Co się stało z tymi wybranymi dziewczynami?*

Poszły do tego domu publicznego.

*A czy u was na terenie obozu też był jakiś dom publiczny?*

Ja o tym nie wiem.

Gdy opowiadałam o tej ucieczce przed esesmanem, przeskoczyłam spory okres pobytu w obozie. Może wróćę do pory, kiedy wreszcie wypuszczono mamę i mnie z rewirów i dostałyśmy się na obszar blokowy. Inne panie, które były przewiezione naszym transportem z Krk, zostały rozesłane po innych obozach, oprócz nas zostały tylko cztery inne kobiety. Wśród nich lekarka, która miała jakieś powiązania ze Szwajcarią. Była z trzema swoimi córkami. Dostała polecenie od Czerwonego Krzyża szwajcarskiego, by na terenie Crikvenicy, tam, gdzie gromadzili się uchodźcy polscy, zaopiekować się grupą polskich matek z dziećmi, które zostały wywiezione za granicę. To były żony żołnierzy walczących. Ona nam później uratowała życie, ale o tym jeszcze opowiem.

Znalazłyśmy się z mamą na terenie bloku, mama była fizycznie schorowana i psychicznie dalej załamana. Moim zamiarem było uratowanie jej i siebie z obozu. Byłam nastawiona bojowo, że stamtąd wyjdziemy, że przebijemy się przez te wszystkie trudności. My przeżyjemy. Ten pierwszy okres po powrocie z rewiru mama została na bloku wraz z grupą sztiterynek. To były starsze kobiety, bardziej schorowane, fizycznie zniszczone, które na drutach robiły ocieplacze dla żołnierzy niemieckich. Ocieplacze z wełny na nogi, na kolana. Więc rygor wykonania pewnej roboty był zachowany. Zatem mamę zostawiono na bloku, a mnie wysłano do pracy w teren. W tym czasie w Ravensbrück budowane były domy dla rodzin esesmanów i ausjerek pracujących w obozie. Dostałam się do komanda, które było zatrudnione przy budowie tych domów. To było moje pierwsze większe przeżycie.

Komando składało się zasadniczo z Ukrainek, prawdopodobnie prawie z samych żołnerek, które były bardzo zorganizowane, prężne. One nie znosiły Polaków. Prześladowały mnie, bo byłam jedyną Polką wśród nich. Ale nie do końca, bo drugą Polką była kapo. Kapo to jest więźniarka, która prowadzi grupę i pomaga Niemce, ausjerce. Ta kapo, chcąc mi ulżyć, zwróciła się do ausjerki z prośbą, czy nie mogłabym zostać jej pomocą.

Na czym polegała nasza praca? Budowa zaczynała się od plantowania terenu. Były jakieś gruzowiska i trzeba było przewozić je na inne miejsce. Myśmy właśnie



plantowały i przewoziły ziemię. Nasza kapo poprosiła, żebym mogła jej pomagać, skoro praca odbywa się w dwóch miejscach równocześnie. Kapo miała być na jednym miejscu, ja na drugim. Tak się stało. Zostałam ustawiona i miałam pod sobą tę grupę Ukrainek, które mnie nie znosiły. A byłam przecież młodziutką, szesnastoletnią, wycieńczoną dziewczyną. A one były prężne, zwarte dziewczyny. Wypinały się na mnie, przezywały i po prostu nie chciały pracować. A miały ładować na taczki ten gruz i wieźć go dalej. No, ja nie umiałam być brutalna i krzyczeć. Po prostu prosiłam, żeby pracowały (śmiech). Można sobie wyobrazić efekty.

W trakcie takiej sytuacji, gdy one siedziały i ze mnie żartowały, zjawiała się ausjerka. Przyszła z psem. Bo one miały psy specjalnie szkolone. Mówiło się, że te psy są na nas uczulone, bo myśmy wszystkie miały specyficzny zapach. Te psy na nas pieniały się już z daleka. Rzucaly się na więźniarki. Przyszła, zobaczyła, że robota w ogóle nie idzie. I uznała, że nie one są winne, ale ja, bo nie potrafię ich zorganizować, więc muszę być ukarana. Zwróciła się do tych Ukrainek, by naładowały mi taczkę. Wie pani, jak wygląda taczka? One radośnie naładowały mi poza miarę, którą normalnie się ładowało. I ausjerka kazała mi tę taczkę dźwignąć za rączki i pchać. Zrobiłam to, ale po prostu się zataczałam. Poszczuła mnie psem. Na tyle go trzymała, że mnie nie ugryzł, ale był tak blisko, aż nakapał mi na nogę pianą, która mu leciała z pyska.

Ruszyłam z tą taczką. A ona z tym szalejącym psem za mną szła. I tak wspólnie doszliśmy do takiego dużego dołu, szerokiego na jakieś półtora metra i długiego na jakieś cztery–pięć metrów, do którego normalnie podjeżdżali taczkami. W dole było wapno gaszone, wówczas stanowiło element spajający do budowania. Ale ono ma cechy absolutnie palące. Esesmanka z boku tego dołu ustawiła się z psem, a przez całą długość dołu była narzucona jakaś deska, jakby kładka, na którą można było nastawiać taczki i narzucać wapno. A ausjerka kazała mi, przechodząc po tej desce, przewieźć taczkę na drugą stronę. Proszę sobie wyobrazić. Taczka ruchoma, ciężka, deska chwiejna, a z boku ten pieniający się pies.

Zdałam sobie sprawę, że na bloku jest moja mama. I że ona beze mnie nie przeżyje. A ja z kolei nie przeżyję, jeśli wpadnę do tego dołu, poparzę się, może utopię w tym wapnie. Spięłam się. I mimo że to było takie chwiejne, przeszłam wzdłuż tej deski i przeciągnęłam taczkę na drugą stronę. Byłam tak skoncentrowana, że muszę. Jak już to zrobiłam, spojrzałam na ausjerkę i zobaczyłam w jej oczach podziw.

Wtedy odwróciła się i poszła sobie. Tego dnia jeszcze dotrwałam do końca, potem wróciłam na blok. Tam była taka organizacja między Polkami i one zdecydowały, że trzeba mi zmienić pracę.

Pomyślałam też, że muszę mamę wyrwać z bloku, żeby wspólnie dostać się do Siemensa. Jak pani wie, ta firma istnieje do dzisiaj. Oni wtedy mieli baraki ustawione przy obozie, jakieś piętnaście minut marszem. Żeby tam się dostać, trzeba było zdać egzamin.

*W jaki sposób można było starać się o nową pracę?*

W sumie nie można było. Trzeba tak trochę drogami ukrytymi, popytać, poprosić. Czasem te Polki miały jakieś większe możliwości i kontakty z esesmanami. Nie było tak łatwo, trzeba się starać.

Egzamin polegał na tym, że dostawało się długi kawałek drutu niezbyt giętkiego i jakiś wzór w kształcie zwierzątko. Trzeba było ten drut powyginać, żeby odtworzyć kształt zwierzęcia. Nam z mamą się to udało. A druga część egzaminu polegała na tym, że z długiego pasa kartonu trzeba było złożyć harmonijkę, by ona do końca była równomiernie złożona.

*Obozowe ZPT? Kto przeprowadzał egzamin? Pracownicy Siemens?*

Nie, nie. Pracownicy Siemens z nami nie mieli kontaktu. Myśmy tylko kontaktowali się z esesmanami, a ci z pracownikami. Nie dopuszczali nas do cywilów. Druga część egzaminu też nam się udało, zaczął się więc trzymiesięczny okres, w którym pracowałyśmy u Siemens. Ja robiłam takie części do silników lotniczych. Miałam kasetę, w której były różne elementy składanego przez mnie przedmiotu, części silnika. Było osiem czy dziesięć takich elementów w zestawie. Musiałam je układać w odpowiedniej kolejności. Nad sobą miałam lutownicę na kablu i nią spawałam te części. Jeśli ułożyłam je w złej kolejności lub w złą stronę, to już było do luzu. I za to karano. Musiałam więc prawidłowo wykonywać.

*Kto was pilnował przy pracy?*

Esesmani. Cywilów nie widziałam. Przebywali w tym budynku, wiedziałyśmy to, ale ich nie widziałyśmy.

*Jak wówczas wyglądał wasz dzień pracy?*

Był świt, kiedy się wstawało. Trzeba było się ogarnąć, co było trudne. Troszkę pieniędzy, które pani pokazywała (chyba ojciec nam je przekazał), można było niby użyć, bo był sklepik. Ale w tym sklepiku nic nie było – albo jakieś mydło gliniaste, które się nie mydliło, albo zupełnie kuriozalne rzeczy, na przykład pamiętam, że raz tam kupiłam ślimaki w konserwie. Wyobraża pani sobie? W ogóle nie było o czym mówić.

*Kto obsługiwał ten obozowy sklepik? Więźniowie funkcyjni?*

Nie, nie. Też esesmani. Wszystko esesmani.

*Każdy mógł tam wejść?*

W sumie nie kojarzę. Byłam tam ogółem ze dwa razy, bo uznałam, że nie ma co kupować. To chyba było czynne w godzinach już po pracy.

*Czy te bony, którymi mogłyście płacić w sklepiku, dostawałyście także od obsługi obozu?*

Nie, tamte bony chyba przekazał nam tata, to znaczy wymienił gotówkę na bony. Te bony były oficjalną walutą obozową. A od esesmanów nic. Nagrodą mogła być tylko kromka chleba i ewentualnie jakiś kawałek margaryny albo Wurst, czyli

pseudokiełbasy. Mnie raz udało się to dostać, ale to inna historia.

Ale co do rytmu dnia – najpierw apel.

*A było śniadanie?*

(Chwila ciszy). Nie, faktycznie, najpierw było śniadanie. Ale ono składało się z takiej lury czarnej, niby kawy, i kromki chleba – taka ziemista, gliniasta porcja, jakieś paskudztwo. Ten chleb był nieoficjalną obozową walutą, to miało wartość pieniądza, bo można było wymieniać się między koleżankami. Potem apel, aż oni sobie policzą, odliczą i nas podzielią do komand, i dopiero do pracy.

*Ile trwały u was apele?*

Tak czasowo nie powiem. Ale gdzieś około godziny. Jak się stało równo do liczenia, to się odbywało względnie. Najbardziej dokuczało zimno, bo mieliśmy przecież bardzo słabe ubrania. Jakaś pseudobieliznę cienką i pasiaki, taką sukienkę. Nogi gołe albo później były jakieś skarpetki.

*Czyli mężczyźni mieli jednak trochę cieplej dzięki spodniom?*

Na to wygląda, że mieli trochę cieplej. Myśmy miały te pasiaki i na to kurtki, jaki – tak to się nazywało. To była faktycznie druga warstwa pasiaka, bo mniej więcej ten sam materiał pasiakowy, może trochę bardziej sztywny. To był materiał robiony z pokrzyw i czegoś.

*Znamy dziś z widzenia pasiaki, ale jaki wówczas był kolor tego materiału?*

Kolor samego materiału był taki szary, a te pasy były niebieskawe. I kurtka, i sukienka takie. I na tym numer obozowy, a nad nim winkiel – trójkąt z literką danej narodowości. Kolor oznaczał, jakim jest się więźniem. U nas Żydówek nie było. U nas byłyśmy czerwone – polityczne, czarne – złodziejki i kryminalne, fioletowe – świadkowie Jehowy, zielony był jeszcze – ale nie pamiętam, co to znaczyło.

*Różowe były?*

Tych nie pamiętam. Nie widziałam.

*Co z Żydówkami? Naprawdę nie było żadnych Żydówek? Ani jednej?*

No dobrze, jedna była. Była taka sytuacja, o której mogę opowiadać. Jedyne moje spotkanie z Żydówką. Kiedyś w chwilach wolnych poszłam do kolegi, bo miałam notorycznie zapalony pęcherz. Stałam pod rewirem, bo chciałam od niego coś na ten pęcherz dostać. I nagle zobaczyłam przepiękną dziewczynę, w jej rysach było coś semickiego, więc to było wiadome. Przepiękna dziewczyna. Kogoś o nią zapytałam. I któraś z tych starszych więźniarek mi powiedziała, że ona uratowała sobie życie w ten sposób, że gdy przyszedł transport Żydówek, to... Bo chyba Żydówki szły od razu do komina. Bo na terenie obozu ja Żydówek nie widziałam. Bo Żydówki miały gwiazdy... winkle żółte. I powiedziała mi ta starsza, że ona uratowała sobie życie, bo zwrócił na nią uwagę któryś z tych ważniejszych esesmanów. Że potrzebuje tej pięknej dziewczyny jako służącej. I zabrał ją stamtąd, z selekcji. I podobno jakiś czas miał ją u siebie. Prawdopodobnie ją wykorzystywał seksualnie. Jak mu się wreszcie

znudziła, to wypuścił ją na teren obozu. Czyli ona ocalała się, bo nie poszła z tymi innymi Żydówkami. Więc miałam tylko jedno spotkanie z Żydówką.

*Co wiedziałyście wówczas o paleniu ludzi w Ravensbrück?*

Była taka historia: wiele Polek miało procesy polityczne i było skazanych na prace w obozie, a potem na śmierć przez rozstrzelanie. Nie wiem, czy one wiedziały o tym od początku, ale po pewnym okresie pobytu w obozie dostawały wezwanie do głównego biura obozowego i były rozstrzelane, a potem do krematorium. Więc tak Niemcy wykorzystywali fizycznie kobiety, a potem i tak zabijali. I takie miejsca rozstrzelania były, krematoria także. Mam zdjęcia – tam, na kanapie. O tym wiedziałyśmy wówczas.

Po wojnie byłam w Ravensbrück. Raz byłam zaproszona, bo w obozie po wojnie powstały takie biura historyków Niemców i chcieli przepytac świadków. Historyk Niemka, tłumacz i kamerzysta. Tam pojechałam z moją córką.

Z komorą gazową i krematorium nie miałam do czynienia, więc nie widziałam. Wiem, że były, ale nie umiem na sto procent powiedzieć, czy już wówczas wiedziałam, czy dopiero po wojnie. Wiele rzeczy dopiero później się dowiedziałam, trudno teraz to rozdzielić.

*A jaki był zapach w obozie?*

No, zapach... niedomytych ciał. I jedzenie takie obrzydliwe. I dym wielki kładł się po obozie. Te zwłoki, które palili. Praca mamy i moja była głównie poza terenem obozu – w tartaku i w szwalni u Grala. Tam byłyśmy dowożone, więc cały dzień byłyśmy poza obozem. Na co dzień ten dym chyba tak nie przeszkadzał, bo niewiele tam byłyśmy. Albo byłam już tak przesycona, że nie bardzo reagowałam.

Tam była śliczna okolica. Obok obozu było jezioro. Jak kiedyś byłyśmy z córką na wyjeździe do obozu przez pięć dni, to poprosiłam, czy możemy coś zobaczyć. Zostałam zaproszona wraz z osobą towarzyszącą na ten wywiad. Bo już byłyśmy traktowane inaczej niż więźniarki. Z wyżywieniem. To jezioro i panorama na pobliski Fürstenberg. Też mam zdjęcia, pokażę pani. Podobno popioły popalonych wrzucano do tego jeziora, ono jest nimi nasycone.

*Nie widziałyście wówczas przychodzących transportów?*

Nie, widocznie nasza praca była z innej strony. A tak, to się nie chodziło zbyt daleko – do pracy, powrót i tyle co czas wolny, ale ja wówczas się uczyłam, bo w obozie robiłam gimnazjum.

*Wróćmy teraz do waszego dnia pracy.*

Tak. Był apel, potem wymarsz piątkami, zawsze piątkami, mieliśmy miski do jedzenia, z nimi w rękę szło się krokiem marszowym. I na auta nas ładowali. Zawozili do pracy. Później z powrotem przywozili, jakaś kolacja, która składała się z zupy z suszonej brukwi. Chyba była suszona z piaskiem i ze wszystkim, bo zgrzytała w zębach. Kawalek chleba. Każdy miał swoją emaliowaną miskę, czerwoną

z zewnątrz, a w środku blacha, i jakąś łyżkę cynową.

*Zawsze was wozili do pracy.*

Zależy gdzie. Do Siemensamy szły, bo było blisko. Ale do tartaku dowozili. Otwarte ciężarówki opalane takimi piecami na węgiel drzewny, zły zapach. Zawsze otoczone SS i psami, nie było żadnej szansy, żeby się odłączyć.

*Pilnowały was głównie kobiety?*

Mieszane to było. Bezpośredni kontakt miałyśmy z kobietami esesmankami, ale do apeli przychodzili mężczyźni. A mogę coś opowiedzieć z tej dalszej pracy?

*Oczywiście, bardzo proszę.*

Mogę opowiedzieć, jak dostałam nagrodę. Wtedy pracowałyśmy u Grała, to była szwalnia w Fürstenberg. Szyłyśmy koszule dla żołnierzy. I był taki ciąg: grupa sześciu kobiet, każda po kolei robiła swoją część, od krojenia materiału do końca, gdzie ja byłam. Moją funkcją było, żeby na uszytej koszuli zrobić maszyną dziurki do guzików. Miałam miarkę i miałam odpowiednio to ustawić, żeby koszulę dało się zapiąć. Siedząc przy tej maszynie, widziałam, że to dużo czasu mi zabiera. Miałam pomysł, żeby na tej maszynie zaznaczyć sobie takie punkty, które przyspieszą moją pracę. Po prostu przykładałam koszulę i od razu widziałam, w którym miejscu mam dziurkować. W ten sposób szybko poszło. Zauważyli, że zrobiłam usprawnienie.

Tak wyglądała moja nagroda: była sala, w którejśmy szyły, a pilnowała nas esesmanka. Przy tym stoliku jadła jakieś kanapki. Dostałam polecenie, żeby przejść i coś przenieść do kolejnej sali. Ale ta moja droga szła obok ausjerki przy stoliku. Kiedy obok niej przechodziłam, ona takim ruchem jakby obrzydzenia odsunęła swoją kanapkę na skraj stolika. Byłam na tyle bezczelna, na tyle jakaś taka, że złapałam tę odsuniętą pogardliwie kanapkę. I nic mi się za to nie stało. Zdałam sobie sprawę, że to była w pewnym sensie nagroda.

I jeszcze jedna historia jako ciąg dalszy. Wysłano mnie, czego nie stosowali w ogóle, do magazynu obsługiwanego przez cywilnego Niemca. Miałam zrobić porządek, bo tam były wszystkie ścinki, które się później wiązało w paczki i gdzieś się wysyłało. W każdym razie był tam bałagan. No i poszłam tylko z cywilnym Niemcem, ausjerka została na sali. Faktycznie zobaczyłam dużo rozrzuconych kawałków, ale niektóre były o – coś takiego, jak ta moja serwetka – sporej wielkości. Niemiec wyszedł i ja zostałam sama w magazynie. Z tych leżących kawałków napchałam sobie kilka pod sukienkę, majtki były pod spodem, więc mi te ścinki nie wypadały. To był materiał ocieplany, flanela lub baja. Potem w strachu wracałam do obozu. Ale nic. Mama wystarała się gdzieś o nici i podszyła z tych kawałków i sobie, i mnie pod sukienkę te dodatkowe kawałki, więc było nam trochę cieplej. Uważam, że dopuścili mnie, bym mogła sobie skrać te kawałki. To były te lepsze momenty.

A teraz z gorszych. Blok był podzielony na dwie części. Sztubowe były przydzielone do każdej z nich, a blokowa nadzorowała całość. Wszystkie były więźniarkami. Nasza

sztubowa była ostra i niesprawiedliwa, wykorzystująca swoją funkcję. Na przykład, gdy dzieliła chleb, to wiadome, że brała sobie odpowiednio dużo kosztem nas. Jeśli przychodziły w kotłach ziemniaki, a one były w skorupach, to wydzielane było po pięć niedużych kartofli na osobę, resztę zabierała ona. W środku naszej sali był piecyk mały, tak zwana koza, w niej ta sztubowa smażyła sobie na skradzionej margarynie te ziemniaki. Zapach się rozchodził, myśmy mogły tylko wachać, a one sobie zjadały. I niezależnie za co, biła, tłukła.

*To była Polka?*

Polka. Po wojnie miała proces. Byłam na niego zaproszona, ale to później opowiem. Ona miała swoją ulubioną więźniarkę. Jeśli już mam wszystko mówić, powiem pani. Niedługo nie będzie miał kto opowiadać. Tę ulubioną więźniarkę na oczach wszystkich obcałowywała. No, miały się ku sobie. Ciągłe razem, prawie dzień i w nocy. I tak to było. Ona była bardzo dla nas zła, ale w tym wszystkim musiałam chyba jakoś wybijać się tym, jak opiekowałam się mamą, bo ona mnie tolerowała. Więc mnie konkretnie nie dokuczała, jakoś mnie omijała, gdy była wściekła.

Któregoś dnia było ogłoszone, że potrzebne są młode dziewczyny do wyjazdu do fabryk. I miał być rozdział. A starsze miały być gdzieś wysłane. Proszę sobie wyobrazić, cała rzesza nas miała maszerować, a kilku esesmanów na nas patrzyło, w tym oficer główny ze świtą. Miałyśmy maszerować i oni mieli rozdzielać. Oficer rozdzielał: na lewo młode dziewczyny na transport, na wprost te, które zostają w obozie, na prawo te starsze, osłabione, które gdzieś chcieli wysłać. Widziałam z daleka, jak on rozdziela, i coraz bardziej zbliżyliśmy się do przodu tej kolejki. Z boku były ausjerki. I równocześnie stały też sztubowe. I stała ta nasza ostra, co obcałowywała swoją ulubienicę.

Teraz tak: nasza piątka się zbliżała i gdy była już niedaleko, moja sztubowa zwróciła się do ausjerki i powiedziała, że ona zostawiła na bloku listę z danymi dziewczyn, które wyjeżdżają. I że ona wyznaczy dziewczynę, która pobiegnie na blok po tę listę. Wyznaczyła mnie. Wysłałam z tej grupy. Wcale nie pobiegłam na nasz blok, ale schowałam się za najbliższy blok i ze strachem patrzyłam, co stanie się z mamą, bo mama tam została. Mama podeszła do oficera, on wskazał, że ma iść na prawo. I mama poszła na prawo, ale obeszła go i poszła na wprost. Nikt nie zareagował. Oni pewnie nie zdawali sobie sprawy, że ktoś może być tak bezczelny, że nie wykona tego rozkazu. Mama obeszła go i została w obozie, a ja zostałam, patrząc. I zostałyśmy razem.

*Co się stało z kobietami, które poszły na prawo?*

Zostały wywiezione na Majdanek, a tam podobno je gazowali. Więc gdyby ją wywieźli...

*Ile mama miała wtedy lat?*

Była z 1906.

*Czyli w tamtym momencie miała trzydzieści osiem lat?*

No tak.

*I już wyglądała na starą?*

Była wykończona. Zresztą pokażę pani zdjęcie z 1945, wszystko leży tam na kanapie (śmiech).

*Zachowałyście w obozie włosy?*

Ja miałam włosy od początku do końca obozu.

Druga taka historia, ale już końcowa. Wróciliśmy z pracy, weszliśmy na blok. Na bloku były komisje. Było powiedziane, że chcą nas ratować przed dudem brzuszny. I że będą nam robić zastrzyki. Tymczasem to był zastrzyk, który powodował, że kobiety masowo umierały. Więc w naszym bloku moje koleżanki, z którymi się trzymałam, zmarły.

Pamięta pani, jak wspominałam o kobiecie, która była z nami w Crikvenicy? Ta kobieta była Ślązaczką z rodziny niemieckojęzycznej. Wyszła za Polaka, miała nazwisko polskie i czuła się Polką. Ona zgłosiła, że jest lekarką i z tej racji przyznano jej funkcję. Rozdział do pracy w rewirze wykonywał lekarz. Gdy na niego się natknęła, okazało się, że on jest jej kolegą ze studiów z Heidelbergu. On jej mógł tylko w ten sposób pomóc, że dostała stanowisko głównej więźniarki na rewirze. A było kilka rewirów.

Proszę sobie wyobrazić, że ja po tym zastrzyku straciłam przytomność. Zbudziłam się, leżąc w rewirze obok mojej mamy. Właśnie w tym rewirze, gdzie ta kobieta była szefową.

*A była przekonana, że ten zastrzyk panią jednak ominął.*

Nie mógł ominąć. Mam tu nawet papiery zaświadczające, co się zdarzyło. Zresztą wypłacono mi odszkodowanie za to. Ale wtedy budzimy się w szpitalu. Nocą przychodziła do nas ta kobieta i dawała nam jakieś leki i proszki, przemyciała lekarstwa, które mamę i mnie ratowały. Po jakimś czasie ogłoszono, że będzie kontrola, sprawdzą, w jakim stanie zdrowia są kobiety w rewirze. Wiadomo, że to miała być czystka.

Ta kobieta pod jakimś pretekstem (nie wiem jakim) wypuściła nas przed tą kontrolą na blok. Może wpisała, że już zmarłyśmy? Znalazłam się wtedy z powrotem na bloku i zobaczyłam pustki. Prawie nie było więźniarek, nie było też moich koleżanek, które zmarły. To była końcówka, początek 1945.

*Niemcy w ten sposób przygotowywali się do ewakuacji?*

Tak, wiedzieli, że wszystko im się kończy. Ale nim to nastąpiło, opowiem pani o okresie wcześniejszym, gdy przyjeżdżały kobiety z powstania warszawskiego.

Była cała akcja, bo przyjeżdżało w tym czasie bardzo dużo kobiet, w sierpniu i wrześniu 1944. Wiele z nich miało kontakty seksualne z kolegami w trakcie powstania i wcześniej. Efekt był taki, że na kwiecień i maj wypadał im czas rodzenia.

Masowo działy się okropne rzeczy. Rodziły dzieci. Wiedziałyśmy to. Jak przechodziłam obok bloku, na którym były te kobiety, zajrzałam przez okno. Noworodki leżały na takiej długiej ławie metalowej, niczym nieokryte. Takie ciała. Ginęły masowo, bo kobiety wskutek tych warunków nie miały pokarmu, albo przez niedożywienie, albo z nerwów. A Niemcy nic nie dawali od siebie tym noworodkom – tego, co zwykle daje się niekarmionym noworodkom. Masowo umierały. I tylko część się uratowała, a to w ten sposób: w kwietniu była akcja. Hrabia Bernadotte z Niemiec, mający swoje majątki w Szwajcarii, Szwecji i w Niemczech, był szefem szwedzkiego Czerwonego Krzyża. On otrzymał od władz niemieckich zezwolenie, żeby wywieźć z Ravensbrück Francuzki. Po te Francuzki przyjechały autokary. To było właśnie w kwietniu 1945. W autokarach było więcej miejsc niż Francuzek. Dlatego Polki jakoś załatwiły, by na te wolne miejsca dać kobiety z noworodkami. I dzieci, które urodziły się dosłownie w tych dniach, kiedy autokary przyjechały, uratowały się.

W powojennych czasach spotkałam się z dwoma panami, którzy byli urodzeni w obozie Ravensbrück. Jeden opowiadał, że jego matka nie miała pokarmu, więc razem z koleżanką, która pomogła, karmiły go wodą po gotowanej brukwi. Ponieważ urodził się jeden czy dwa dni przed tym, jak przyjechały autokary, uratował się.

*O takim przypadku nie słyszałam, mocna historia.*

To jedna. A druga jest taka. Nastaly dni końcowe kwietnia 1945 roku. Była kolejna akcja: hrabia Bernadotte będzie mógł uratować trzy tysiące Polek. I ten transport będzie jechał koleją. Nie autokarami, bo na terenie Niemiec już trwały walki. Niektóre kobiety bały się zgłosić do tego transportu. Nie wierzyły. Ja uważałam, że muszę wierzyć, że musi być jakaś szansa wyrwania się. Szwedzki Czerwony Krzyż przysłał nam paczki na drogę. Paczka była na dwie osoby. W środku były suchary i jakieś konserwy. Zgłosiłyśmy się z mamą.

Ten nasz transport ruszył pieszo do stacji, otoczony ausjerkami z psami. Nastrój był taki, że chyba jednak nie idziemy na wolność. Zostałyśmy załadowane do wagonów towarowych. Wśród nas utworzyła się komisja złożona z Polek świadomych życia obozowego, które miały możliwość porządkowania cywilnych ubiorów przywożonych do obozu. W tych ubraniach często były zaszywane kosztowności. Te właśnie więźniarki miały do tego dostęp, żeby przemycić. Pociąg, do którego nas załadowano, był kierowany przez esesmana i maszynistę. Więc było tylko dwóch Niemców, a cały pociąg załadowany przez więźniarki. Te wybrane Polki miały taką swobodę, że porozumiały się z tym Niemcem, że jeżeli szczęśliwie dostaniemy się do aliantów, to będą świadczyć, że nas uratował, i przekażą mu jakąś opłatę z tego, co uzbierały.

*W kwietniu 1945 ten Niemiec pewnie był skłonny do współpracy?*

No właśnie, taki był układ. Po drodze były bombardowania, zniszczone tory. Ale alianci wiedzieli, że taki transport z więźniarkami jedzie.



*Czy wasz pociąg był jakoś specjalnie oznakowany?*

Nie. Ale było ogłoszone, że rusza pociąg z więźniarkami. Na stacjach mijaliśmy inne, otwarte wagony, gdzie widać było albo rannych, albo amunicję, armaty, wojskowy sprzęt. Ale ten nasz Niemiec ciągle zdobywał dla nas pozwolenia dalszej jazdy. Tak się zdarzyło, że w którymś momencie pociąg musiał się zatrzymać, bo było powiedziane, że tory są bardzo popsute. I że to trochę potrwa. Duża łąka, jasny dzień, kobiety wyszły z wagonów, bo miałyśmy swobodę wychodzenia. Z paczek, które dostałyśmy na drogę, wyjęłyśmy puszki konserwowe. Pod nimi były takie kostki spirytusu, które się podpalało, co pozwalało podgrzać puszkę. To było danie gulaszowe. Wiele kobiet grzało te konserwy na łące.

Nagle nadleciały samoloty alianckie. Leciały po trzy. Zapikowały na dół, nad łąkę. Kobiety zobaczyły, że na bokach samolotów są kółka aliantów. I wtedy do nich zaczęły radośnie machać. Oni się zorientowali, że to więźniarki (zresztą miałyśmy pasiaki), i skrzydłami tak zamachali, i odlecieli. To było jedno radosne spotkanie.

*Ile was właściwie jechało?*

Co najmniej dwa tysiące.

*To był jeden pociąg?*

Tak, jeden, gigantycznie długi pociąg. Kolejny raz wywieźli nas wieczorem gdzieś w pola, puste pola. I odłączyli lokomotywę, która odjechała. Nastąpiła noc. Pociąg został bez lokomotywy. Z jednym esesmanem. W nocy nastąpił atak, strzelanie. Nad pociągiem leciały świecące połyski. Z dwóch stron leciały, nad nami. Nie wiem, czy Niemcy wydali to polecenie specjalnie, żeby nas zniszczyć, żeby nas rozstrzelali? W każdym razie był huk, patrzyłam w niebo i te błyski lecących pocisków. Byłyśmy w samym środku frontu.

Nastał dzień, pociąg ocalał. Przyjechała lokomotywa i ruszyliśmy dalej. Podjechaliśmy pod teren otoczony drutem kolczastym, tam stanęliśmy. Poszła szybko wiadomość, że to jest obóz Hitlerjugend. Młodzi chłopcy, których szkolili do walki, nastawieni bardzo źle do nas. Zaczęli do nas krzyczeć, że jesteśmy wszystkiemu winni. Atmosfera coraz bardziej się zagęszczała, krzyki, wrzaski. Myśmy zdawały sobie sprawę, że oni – jeśli wyjdą zza bram – to ruszą na nas. I w takim strachu siedziałyśmy w pociągu. Co można zrobić? Pociąg został zatrzymany przez barykadę, która była stworzona na torach. Inne widziały, ja nie, że ci chłopcy wyszli ze swojego terenu i zaczęli podchodzić pod nasz pociąg. Wtedy rozległy się syreny alarmowe, zaczął się nalot aliantów. Maszynista w końcu odsunął te zapory i ruszyliśmy. To był kolejny przypadek dużego ryzyka.

I jeszcze był jeden taki moment, który pamiętam. Już było blisko morza, dojeżdżaliśmy do Lubeki. Rzeka, rozsuwane drzwi pociągu były otwarte. Pociąg najechał na most nad rzeką i w tym momencie przyśpieszył, ostro nabrał tempa. Za nami wybuchł most w powietrze. Nie wiem, czy maszynista coś zauważył. Jaki był

plan, czy myśmy mieli wylecieć w powietrze z tym mostem? Czy coś nadleciało? Za nami poszedł most w powietrze, a myśmy to przejechały. To były sekundy. Potem podjechaliśmy do Lubeki.

*Ile mniej więcej trwała ta podróż?*

Kilka dni. Sporo kobiet w pociągu umarło. Dlaczego? Bo rzuciły się na te paczki, a tam oprócz sucharów i bardziej dietetycznych rzeczy był też na przykład smalec. Organizm nie był przyzwyczajony.

*Co działo się z ciałami tych, które umarły w drodze?*

Nie wiem, szczerze mówiąc. Ja się z tego wyłączałam, musiałam z mamą być, bo ona nie wierzyła, że ten pociąg jedzie na wolność. Był nawet taki moment, że miałam starcie z mamą. Ona uznała, że my uciekniemy i będziemy same przedzierać się do Polski, skoro miałyśmy swobodę wychodzenia z pociągu. A ja miałam świadomość, że nie ma szans, zatłuką nas po drodze, jak nie alianci, to Niemcy. Mama wyszła z wagonu, gdy powiedziałam, że ja się nie ruszę. Wyszła. Powiedziałam sobie: niech będzie, co chce, wróci, nie wróci, nie ruszę się. No i wróciła.

*Jak się zmieniały wasze relacje z mamą między 1939 a 1945 rokiem?*

Tak, to zmieniło się, gdy mama się załamała. Ja przejęłam stery.

*Miała pani wówczas tę świadomość, że z chwili na chwilę stała się pani dorosła?*

No tak, już leżąc na tym zakrwawionym przez mamę łóżku, zdałam sobie sprawę, że muszę walczyć o wyjście. I ratować mamę i siebie.

*Tak już wam zostało? Także po odzyskaniu wolności?*

Trudno powiedzieć. Zaczęło się prywatne życie. Ojciec zginął. Był dobry układ między mamą a mną, ciepły, ale ja już miałam swoje życie.

*No dobrze, wróćmy teraz do Lubeki. Co się z wami dzieje?*

Przeładowali nas do kolejnych pociągów, ale osobowych.

*Był jeszcze z wami ten esesman pilnujący?*

Ja go z oczu straciłam.

*Było jakieś oficjalne przekazanie więźniarek?*

To jest trochę zamazane w mojej pamięci. Pamiętam, że stali cywile, witali nas, zapraszali, żeby siadać do pociągu. I było wejście do normalnego osobowego pociągu z siedzeniami. Byłam ciągle nastawiona na mamę, więc trochę nie zwracałam uwagi, co dzieje się wokół nas. Nie widziałam, czy było jakieś przejście. I myślałam, żeby być wolnym, więc nic innego mnie nie interesowało.

*Co dalej?*

Wysiadłyśmy z osobowego pociągu i załadowali nas na statek. Popłynęliśmy najpierw do Danii, do Kopenhagi. Dania cała w chorągwiach, pełno ludzi na molo i pomostach, stojących, wiwatujących na naszą cześć. Tak nas serdecznie witali. I nasza kolosalna radość.

Ja wtedy sobie pozwoliłam, że zjem kanapkę ze smalcem, skoro już jestem na statku.

I zrobiło mi się niedobrze, zaczęłam jechać do rygi... na to z brzegu jakiś Duńczyk rozkłada ręce, że mam morską chorobę, a jestem w porcie. Taka migawka (śmiech). Nie wyładowali nas w Danii, tylko było to przywitanie i statek popłynął do Malmö i Lund.

*Co jadłyście?*

Zaczęło się karmienie nas takimi papkami. Na przykład z kaszki mannej.

*Wciąż miałyście na sobie pasiaki?*

Tak. I teraz proszę słuchać: w Lund znowu nas przeładowali. Ze statku do pociągu i stamtąd do Kristiansand. Tam była duża szkoła, w niej miałyśmy miesięczną kwarantannę. Okres, gdy miały wyjść wszystkie choroby, żebyśmy nie spowodowały jakiejś zarazy.

*Jaki to był czas?*

Maj 1945. I teraz tak: dostawaliśmy na talerzyku manę, niedużą porcję, a obok cały rząd jakichś pigulek. Oczywiście zostałyśmy przebrane w sukienki i normalne ubiory, i dostałyśmy różne papiery, paszport. To trwało miesiąc.

*Jak wtedy pani się czuła?*

Czułam rozpierającą radość, oczywiście. Na tyle byłam już nie-chora po tym durze brzuszny, że cieszyłam się życiem. Odbierałam wszystko, co mnie otacza, z ciekawością, jako przygodę. Dostałyśmy też pieniądze kieszonkowe. Po jakimś czasie pozwolili nam pójść do miasta, centrum Kristiansand, żeby zobaczyć, jak tam jest. Wybrałyśmy się z mamą, ale pamiętam, że w tych pierwszych naszych pójsiach nie szłyśmy chodnikiem, ale środkiem ulicy maszerowałyśmy. Bo człowiek był nauczony z obozu, że tylko po ulicy można nam iść.

I zobaczyłyśmy sklep rybny. Wystawiono pokazowo skrzynki z wędzonymi rybami, to chyba były piklingi. Kupiłyśmy sobie taką skrzynkę rybek i kawałek chleba. Radośnie wróciłyśmy z powrotem i zasiadłyśmy nad tą skrzynką, zadowolone, że zaraz będzie uczta. Ale zjawiała się pielęgniarka i cap nam tę skrzynkę piklingów zabrała. Straszny żal, że tak nam odebrano od ust takie dobre coś. Jeszcześmy nie mogły tego jeść (śmiech).

Potem zaczęłyśmy pisać do Czerwonego Krzyża z pytaniami o rodzinę.

*Mniej więcej w tym czasie zginął pani tata?*

Dosłownie w ostatnich dniach wojny – 2 czy 4 maja. Ale to jest jednak dziwna historia, bo w książkach historycznych nie jest powiedziane, kto te statki zatopił, czy Niemcy, czy jednak alianci, bo nie wiedzieli, że to statki z więźniami. Słyszałam obie wersje. No i ojciec zginął. Był naszą podporą. Gdy wróciłyśmy do Polski, było nam bardzo ciężko w Krakowie.

Co działo się później? Mama chciała właśnie wracać do Polski, ja chciałam zostać w Szwecji. Tu nastąpił rozdźwięk między nami. Ktoś rejestrował młode dziewczyny do nauki w Sztokholmie. I ja sobie to nawet załatwiłam – internat i stypendium oraz

naukę. Mama protestowała. Tłumaczyłam jej, że jakoś będzie, że ona gdzieś się zahaczy. Ale ona uparła się, że wracamy, bo w Polsce jest brat. Bo już z listu wiedziałyśmy, że on przeżył. On razem ze służącą dotarł z Warszawy do Krakowa, po tym, jak zabrali ojca z powstania do obozu. I brat był u rodziny, u tej ciotki, która go wyciągnęła z sierocińca.

Aha, jeszcze jedna historia o ojcu. Mój ojciec pochodzi z rodziny, która korzenie ma we Lwowie. Tam skończył liceum i maturę, a po liceum ruszyli na pierwszą wojnę jako orleńcy lwowski. Był więc orleciem lwowskim. Dostał stopień oficerski, bo miał kursy wojskowe za sobą. Gdy front się załamał i już wycofywali się ze Lwowa, doszli do rzeki. Ojciec, nie umiejąc pływać, zlecił swojej grupie, by przedzierali się przez wodę, jeśli umięją, a sam został na brzegu. Jeden z żołnierzy dotarł do rodziny ojca i powiedział, co się zdarzyło. Ojciec dostał się do niewoli sowieckiej i został wywieziony na Syberię. Tam wtrącono go do lagru. I stamtąd uciekł. Ktoś mu pomógł przebrać się w strój cywilny i występował jako diakon, czyli pomocnik popa. I jako ten diakon przedzierał się przez zrujnowaną Rosję do Polski. Dotarł do Warszawy, to był 1920 rok. W Warszawie skończył studia i zamieszkał, poznał mamę.

Gdy aresztowali go jako cywila w powstaniu warszawskim, dostał się do Pruszkowa. Ktoś mu chciał pomóc, żeby uciekł. Razem z Niemcami walczyło UPA, a on bardziej bał się Sowietów niż Niemców. I nie skorzystał z tej pomocy. Wtedy może by się uratował... A tak Niemcy wywieźli go do obozu. Ale wciąż odchodzę od głównego tematu.

*Niekoniecznie, właśnie mi pani uświadomiła, że jeden człowiek w jednym życiu może przejść co najmniej dwa obozy dwóch różnych totalitaryzmów.*

Prawda.

*Wróćmy zatem do Szwecji. Jesteście tam z mamą, nie ma jeszcze pełnej zgody co do dalszych planów. A co z innymi kobietami, z dwoma tysiącami kobiet z waszego transportu?*

Zostały rozdzielone i jakoś rozproszone. Bardziej chore były w szpitalach lub sanatoriach, zdrowsze szły do pracy. Ja na samym początku pracowałam przy ustawianiu torfu. Maszyna cięła torf w kostki na polu, trzeba je było układać, żeby się suszyły. Potem pracowałam przy burakach cukrowych w dużym gospodarstwie rolnym. Aż wreszcie wróciliśmy z prac do takiego miejsca stałego pobytu, który nam wyznaczono. W tym punkcie pokazała się pani z szwedzkiego Czerwonego Krzyża. Okazała się hrabiną Siensford. Wtedy jeszcze umiałam dobrze niemiecki. Porozumiała się ze mną i zaproponowała pracę.

Ta hrabina miała zamek. Powiedziała, że nas odkarmi i odpoczniemy. I żeby dobrze się czuć, żebyśmy nie były na łaśce, możemy prowizorycznie u niej pracować. I tak było. Mam zdjęcie tego zamku, mogę pani pokazać, też leży na kanapie.

Czy zrobimy małą przerwę, może coś przekąsimy? Pójdę przygotować,

a w międzyczasie dam pani pracę – proszę pooglądać. To jest mój pierwszy paszport, a to zdjęcie z kwarantanny. Tu moja mama, ja, dwie pielęgniarki. To jest dziedziniec przed szkołą, gdzie zgromadzono te wszystkie kobiety.

*Niesamowite. Ale wyglądały panie naprawdę nieźle.*

Bo to jednak minęły chyba trzy tygodnie od wyjścia z obozu. A tu jest ten zamek z XVI wieku, byłam tam drugą pokojówką. O, to moje pierwsze zdjęcie.

*Gdzie był ten zamek?*

Wietseble, Szwecja. O, a w tamtym albumie znajdzie pani zdjęcia z wycieczek do Ravensbrück.

Jemy obiad. Halina Krzymowska pyta, jak dowiedziałam się o istnieniu Związku, w jaki sposób poznawałam kolejne osoby i z kim zdążyłam porozmawiać.

*...ale panią spotkałam po raz pierwszy dopiero na pikniku u doktora Rączki – stwierdzam.*

Bo ja się udzielam na Uniwersytecie Trzeciego Wieku – tłumaczy Halina Krzymowska. – Dlatego rzadko przychodzę na zebrania Związku. Jestem wśród tych aktywnych seniorów. A oprócz tego jestem też członkiem grupy Unicorn, wie pani, co to jest? To jest stowarzyszenie, które ma za zadanie przywracać do normalnego życia osoby, które przeszły onkologiczne leczenie i które są psychicznie załamane. Urządzane są imprezy, w których uczestniczą i ci, którzy chorowali, i ci – tak jak ja – którzy mieli coś z onkologią wspólnego, ale są zdrowi. I na tych wspólnych zajęciach nie dopuszczamy, żeby te osoby roztrząsały problemy. Mają wrócić do życia.

*I jest też pani aktywna sportowo?*

Jakoś muszę sobie życie zapełnić. Choć mam też pewne kłopoty, bo nie mam za bardzo koleżanek w moim wieku. Ale moimi koleżankami są osoby o wiele młodsze. To mi trochę pomaga.

*Dobrze, że się układa. Ale właściwie nie wiem, czym pani zajmowała się po wojnie.*

Skończyłam studia ekonomiczne i miałam kontakt właśnie z onkologią. Pracowałam w Instytucie Onkologicznym na Garncarskiej i tam byłam kierownikiem grupy dokumentalistek i sekretarek lekarskich, miałam pod sobą archiwum pacjentów.

Mogę pani dołożyć makaronu?

*Dziękuję, wystarczy, nie jem przesadnie dużo.*

To dobrze nie czuć głodu.

W tamtych czasach bardzo pilnowałam, by każdy nowy pacjent miał zrobiony wywiad. Lekarz dostawał obraz wchodzącego pacjenta. I pilnowałam, żeby pacjenci potem zjawiali się na swoje terminy badań kontrolnych. Z dziesięć lat tam pracowałam przed emeryturą. Wcześniej w aptekach. I na emeryturze zgłosiłam się do tego Unicornu. Jak wypijemy herbatę, będzie ciąg dalszy.

W przerwie rozmawiamy, jak żyje się dalej z doświadczeniami obozowymi.

Osobiście przyznaję, że miałam te swoje osiemnaście lat i rzuciłam się w normalne życie. Z zachowania swojego podobałam się ludziom, więc od razu miałam jakieś znajomości i przyjaciół. Widocznie mam taki sposób bycia, że po prostu normalnie żyłam.

*Ale zaczęło się właśnie od pracy na zamku?*

Tak. W Szwecji szybko nauczyłam się języka ze słuchania. Byłam na tym zamku jako druga pokojówka. Moja mama była pomocą w kuchni. Jedzenie było wyśmienite. Zamek był otoczony lasami, dużo zwierzyny, zatrudniono nadwornego strzelczego. Właściwie tam jadło się tylko sarninę, zające, bażanty, ciągle dzikie zwierzęta. Śmieje się pani? Dlaczego?

*Z kontrastu i tak szybkiego przejścia od gliniastego chleba i zgniłej brukwi do dziczyzny z dworskich lasów. Przecież to była różnica zaledwie kilku tygodni?*

(Halina Krzymowska śmieje się:) Prawda, tak było. Jako pokojówka tym bardziej musiałam szybko nauczyć się szwedzkiego, bo pierwsza pokojówka mówiła tylko po szwedzku. Moim zadaniem było odkurzanie antyków. Więc chodziłam z taką piórkową miotką i odkurzałam pyłki, ewentualnie – gdy były przyjęcia – pomagałam przy nich. A na przyjęciach podawano na chińskiej porcelanie, ale takiej bardzo starej – te naczynia od spodu miały siatki metalowe z drucików, które utrzymywały te talerze w całości. Musiałam bardzo uważać. Najbardziej mi się podobało, jak był pięknie zastawiony duży stół dla gości. Na środku stała złocona taca, a jej dno było lustrzane – na tym stały kandelabry i oświetlenie odbijało się w lustrze. Do tego kwiaty w wazonach. Stół był przepięknie zastawiony, zawsze patrzyłam z przyjemnością, jak pierwsza pokojówka go dekorowała. Był też obok drugi stół, dla służby – dla lokajów, pokojówek, dla mamy i dla mnie. Bo jak przyjeżdżali goście, to samochodami, z własną pokojówką i z własnym lokajem. Poziom życia był kosmiczny. To wszystko mnie strasznie bawiło i traktowałam to jako udział w filmie, w jakiejś wielkiej przygodzie. Tym bardziej nie miałam czasu na roztrząsanie siebie w obozie. Żyłam bieżącą chwilą. Byłam młoda i chyba jednak atrakcyjna, więc ci lokaje przede mną się puszyli i przybierali miny, naśladując swoich panów przy sąsiednim stole. Traktowałam swoje życie jako wspaniałą zabawę.

*Jak traktowała was hrabina – właścicielka zamku?*

Bardzo dobrze. Była starą panną i miała brata, który był starym kawalerem. To się mówiło, że nie ma dla nich parki, bo są za wysoko (śmiech). Tak to bywa.

*Czy hrabina pytała was o to, co się działo w obozach?*

Tak. Bardzo miła. Po wojnie dostawałam kartki od nich.

A Szwedzi po wojnie zapraszali do siebie te Polki, które tam trafiły z obozów. Ale jak

to w Polsce, zawsze dowiedziałam się o takim wyjeździe po fakcie. Jeździli na przykład ci, którzy wcale tam nie byli. A z Krakowa byłyśmy dwie takie, które ewakuowano do Szwecji. Ta druga już zresztą nie żyje. Więc w Szwecji nigdy więcej nie byłam.

Tam byłyśmy kilka miesięcy. W końcu mama powiedziała, że musimy zacząć zarabiać, bo wracamy do kraju. Musiałam zrezygnować ze swoich planów nauki w Szwecji. Nie mogłam się przebić, musiałam słuchać się mamy. Od jednego ze Szwedów dowiedziałam się, że w Helsingborgu jest fabryka, która wyrabia kalosze. I że tam przyjmują Polki, które dostały się po wojnie do Szwecji. Zostawiłyśmy więc zamek i pojechałyśmy robić kalosze.

Tam mieszkaliśmy w willi i dojeżdżałyśmy do fabryki. To była taśma, przy której pracowało dziesięć osób – od takiego płata gumy aż po skończony kalosz. Do mnie należało na formę kalosza nałożyć płat gumy i z obu stron przykleić. Tak szybko szły te kalosze, że nawet nie miałam czasu na otarcie nosa, gdy byłam zaziębiona. Wtedy zatrzymywałam ciąg i była przerwa w pracy. A wtedy mniej płacili, bo to praca akordowa. Wymyśliłam więc sposób, jak przyspieszyć: miałam dwa rodzaje klejów. Jeden do brzegów kalosza, mocniejszy, a drugi do środka. Uznałam, że jeśli pomieszam te kleje, będę prędzej kleić. Przychodziła komisja sprawdzać, ale nie mogli wykryć żadnej usterki. Widzi pani, jaka byłam?

*Dobre, to już druga udana innowacja w pani praktyce robotniczej.*

(Halina Krzymowska śmieje się z zadowoleniem).

*Udzielała się pani w klubie ravenbrüczanek?*

Kiedyś byłam sekretarką klubu. Ale wskutek różnych zmian później już mniej się udzielałam. Teraz klub praktycznie nie jest aktywny.

*Czy pani od razu po wojnie była zapisana do związków byłych więźniów i klubów?*

Później. Najpierw żyłam normalnym życiem. W 1947 poznałam mojego męża. W 1950 był ślub. To my na motorze, widzi pani zdjęcie? I od tego czasu jeździliśmy wiele po Polsce.

*Ale jak wyglądał pani powrót do Polski? Zatrzymałyśmy się na tym, jak produkowała pani kalosze.*

Mama zgłosiła się na transport polski. Wtedy dostawało się wiadomość, że statek płynie. Przyjechałyśmy do Krakowa, bo tu był brat. Na miejscu warunki były trudne. Nie mieliśmy gdzie iść, nie było miejsca, tułaliśmy się. Było kiepsko.

Mama dostała pracę w Banku Narodowym. Pamiętali, że ojciec pracował. A mama w życiu swoim przedwojennym nigdy nie pracowała przecież. Dostała więc niskie pieniądze. Ja od razu zaczęłam się uczyć. Poszłam do przyspieszonego liceum, szkoła imienia Joteyki na Podwalu 6.

Przed ślubem mama uważała, że świat arystokracji mi się należy. Był nawet w Krakowie taki klub BZ-ów, klub „bez ziemi”, czyli tych, którzy musieli opuścić

majątki. Mama poznała tam takiego pana bez majątku, ojca dziesięciorga dzieci. Umyślili sobie z mamą, że jeden z tych synów będzie moim mężem. Ja go bardzo lubiłam, przyjeżdżał na sobotę i niedzielę, biegaliśmy na tańce. Jerzy, mój przyszły mąż, też był swatany z siostrą przyjaciela, z którym walczyli w powstaniu. Ten chłopak zresztą zginął w powstaniu. Więc było trochę trudności, ale myśmy do siebie dążyli i udało się. Po ślubie była taka specyficzna sytuacja. Oboje byliśmy studentami, więc męża utrzymywała jego rodzina, mnie moja mama. I mieszkaliśmy wciąż z mamą. Nie mieszkaliśmy jeszcze razem z mężem.

Bank tak mamie pomógł, że na ulicy Długiej było mieszkanie, które ktoś na jakiś czas zostawił, i bank zgodził się udostępnić je dwóm rodzinom, w tym naszej. Ismy tam mieszkali, mieliśmy jakiś kąt dla siebie. Ale komisarz z Montelupich uznał, że to mieszkanie na Długiej jest blisko biura, i przyszli, eksmitowali nas prosto na ulicę. W środku było kilka „naszych” mebli, które wypożyczyliśmy z biura – bo było takie biuro wypożyczające sprzęty bezdomnym. Więc te meble wystawiono na zewnątrz. Znalazłyśmy się na ulicy. Stamtąd znaleźliśmy coś na tyłach sklepu przy ulicy Sławkowskiej. Tam, między sklepem a magazynem, na podwórku, były drzwi do takiej klitki, mieliśmy tam wejście. W pomieszczeniu nie było okna, tylko kran i ustęp. Tam żeśmy mieszkali.

Mama pracowała w godzinach nadliczbowych, żeby zarobić. Raz byłam sama i miałam iść na spotkanie z Jerzym, który jeszcze był moim narzeczonym. Wiedziałam, że on jest w domu, bo gra z kolegą w szachy. Chciałam do nich dołączyć. Wyszłam na podwórze, zamykałam drzwi do magazynu i nagle ktoś od tyłu mnie napadł. Przycisnął mi ręce do muru i z tyłu zaczął mnie atakować seksualnie. Puste podwórze. Ja odwróciłam się twarzą do niego, ale ręce miałam wciąż przytwierdzone. Obcy mężczyzna. Zastanowiłam się: jak zacznę się bronić, to mi poharata twarz, bo mi tym groził. Muszę być więc spokojna. Nie odzywałam się. On miał kłopoty z rozpięciem spodni. Bo ręce miał zajęte. Ja stałam spokojnie, więc chyba uznał, że się zgadzam. Wtedy jedną rękę spuścił i zaczął manewrować przy pasku. A stał w rozkroku. Ja mu siup między nogi i dałam nogę. A on za mną. Obejrzałam się, on chyba tym się zachęcił. Byłam już na ulicy i pędziłam w kierunku Pijarskiej, gdzie mieszkał mój narzeczony. On za mną przyśpieszonym krokiem. Ja też, żeby zachować pozory chodu.

*Nie zwróciła się pani o pomoc?*

Nie było wielu ludzi wokół. Poza tym miałam pomysł, że ja go dociągnę do narzeczonego i on go nabije. Kawalek dalej obejrzałam się, on wciąż za mną. Dociągnęłam go aż na Pijarską, bo Jerzy mieszkał u Czartoryskich w wynajmowanych pokojach. Wszedł za mną w podwórze. Wtedy zaczęłam się martwić, jak wbiegnę z nim na piętro po schodach. Chciałam wydzwonić narzeczonego, ale wtedy ten obcy facet wystraszył się i uciekł, nie wszedł na klatkę.



Potem dostaliśmy przydział kwaterunkowy na osiedlu oficerskim, tam już było lepiej. Niezbyt mądre były te moje pomysły na przetrwanie, mogło być przecież różnie. *Wie pani, sposoby niby niezbyt, ale jednak były skuteczne i efekt jest taki, że razem tu siedzimy.*

Fakt. Przez życie szłam przebojem.

*Ciekawi mnie jednak, czy wracała pani wspomnieniami do czasu wojny. Śnił się pani czasami obóz?*

Chyba nie. Tak byliśmy zajęci pracą, sportem, wspomnieniami męża.

*Wspominała pani, że była na procesach obsługi obozu?*

Miałam jechać na proces naszej sztabowej. Ona podała mnie jako świadka, licząc, że powiem o tym, gdy nas praktycznie uratowała, gdy była selekcja, opowiadałam pani.

*Gdzie był ten proces?*

No właśnie w Norymberdze.

*Pojechała pani?*

Nie. Zastanawiałam się długo i łamałam, czy jechać. I wtedy opowiedzieć prawdę. Mnie raczej pomogła, ale innym szkodziła. Zdecydowałam i nie pojechałam.

*Wie pani, co się z nią stało?*

Została skazana na więzienie, nie pamiętam, na ile lat. Nie zabili jej, ale więzienie przeszła. A ten Flaum, który mnie ganiał po baraku i strzelał, został rozstrzelany. I tak to.

*A teraz? Często pani do tego wraca?*

Jeśli się zdenerwuję. Co mi zostało po obozie? Strasznie nie znoszę krzyku. Wtedy mi się przypomina obóz. Krzyk mnie bardzo deprymuje. Ale tak, to staram się o tym nie myśleć.

*Czy trudno było pani mówić na ten temat?*

Teraz troszkę otrząsnęłam się z tego. Ale te pierwsze wywiady – było mi trudno. A trochę wywiadów miałam – i IPN, i młodzież. Z rodziną raczej się o tym nie rozmawiało.

*Nawet z mamą?*

Trudno powiedzieć, chyba nie rozmawialiśmy.

*Co później działo się z mamą?*

Pracowała, ale kiepsko zarabiała, była już zawsze samotna. Ciągłe była na sublokatorskich pokojach, dopiero pięć lat przed śmiercią zamieszkała we własnej garsonierze. Pomagałam jej, ile mogłam, ale tej forsy nie było wcale tak dużo.

*Do kiedy żyła?*

Umarła w 1985 roku, czyli miała siedemdziesiąt dziewięć lat. Na raka płuc, paliła papierosy, nie mogłam wpłynąć, żeby przestała palić. No i tak moje życie wyglądało.

*Jaki ma pani dzisiaj stosunek do Niemców?*

Trudno powiedzieć, neutralny. Mogłabym mieć bardzo nienawistny. Ale ostatecznie

mój byt na tyle jest dobry, że nie mogę narzekać, dzięki nim mam bieżąco trochę lepszą emeryturę. Moje życie obecne byłoby trudne bez tego odszkodowania.

*Wybaczyła im pani?*

Ciężko powiedzieć. Znam przypadki, że ludzie wciąż mają niechęć – można i tak. U mnie to nie jest oczywiste.

*A pamięta pani jeszcze język niemiecki?*

Pamiętam. Porozumieć się mogę.

*Utrzymywała pani kontakty z byłymi więźniarkami po wojnie?*

Z króliczkami tak. Ile można było, kontakt był przyjacielski. Czasami słowem można pomóc.

*Kiedy zaczęła się pani udzielać?*

Mama się udzielała od razu, ja mniej. Staralam się od tego oderwać. Miałam inne zainteresowania. Jakoś po studiach zaczęłam. A najwięcej, jak już sama zostałam. Zrobili mnie teraz członkinią komisji rewizyjnej, będę tam.

Ten, co za dużo pamiętał, za dużo myślał, przeważnie wcześniej umierał. To chyba jakoś wpływa.

*Jeszcze do niedawna była spora grupa ravensbrüczanek?*

Nas w Krakowie było swego czasu około stu dwudziestu. Teraz nas żyjących jest najwyżej trzydzieści, ale nie wiem, czy nawet tyle zostało. A takich aktywnych, chodzących, jest chyba siedem. Reszta bardzo schorowana. Najbardziej udzielamy się jeszcze my z panią Żelechowską, ale z nią pani pewnie będzie rozmawiać?

*Tak, będę, już się poznałyśmy.*

Pooglądajmy teraz zdjęcia, dobrze? Widzi pani, to jest Ravensbrück. O, ten domek między innymi ja budowałam. Ładny? Byłam po wojnie też na tej wyspie Krk, ale zupełnie się zmieniła, teraz jest nastawiona na turystykę. Wyasfaltowana, zrobiona, deptaki, były też baseny i siedziały tam Niemki w kostiumach kąpielowych. Zrobiło to na mnie wrażenie, bo mimo kostiumów miały pełno złotych bransoletek na rękach, całe obwieszane.

A ciekawi mnie, skąd pani na początku wiedziała, jakie jest moje nazwisko panińskie?

*Ze strony internetowej.*

Nie wiedziałam, że jest taka. A pokaże mi pani?

(Siadamy do komputera).

A pani jaki ma laptop? Bo mój już jest dość stary. Jaki ma pani system operacyjny? Bo słyszałam głosy krytyczne o tym najnowszym.

*Najważniejsze, że umie go pani obsługiwać.*

Jestem samoukiem. To teraz spróbuję wyszukać siebie... Rzeczywiście, jest! I nota o mnie ze zdjęciem. Nim pani do mnie przyszła, już pani wszystko wiedziała? Nie wiedziałam, że jestem.

**Ewa Źelechowska i Anna Puchajda**

Ma pani ochotę włączyć dyktafon?

*Włączam.*

Przepraszam, ciągle słyszę pogłos, muszę zmienić ustawienia.

*Coś szwankuje?*

Szwankuje w ogóle wiek, wie pani. Osiemdziesiąt sześć lat robi swoje.

*W życiu bym nie powiedziała.*

(Śmiech). Proszę pani, musimy się trzymać. Jestem z rodziny długowiecznej. Proszę pytać. Nie będę umiała się skracać, więc w razie czego proszę mnie hamować.

*Wiem, że państwo już w czasie wojny przedostali się z Wieliczki do Warszawy. Skąd ta decyzja?*

1939 rok, wiadomo, że wybuchnie wojna. Ojciec doskonale zdawał sobie sprawę, ale uspokajał całą rodzinę. Moja siostra budzi się tuż przed wybuchem wojny i mówi: „Wiecie co, śniło mi się, że z Kleinową sadziłam buraki”. A myśmy mieli taki ogródek warzywny w Wieliczce, w Turówce. I tam pani Kleinowa przychodziła do pomocy. Mama bierze żartobliwie sennik do ręki, a tam: sadzenie buraków – przymusowa ucieczka.

Wybucho wojna, moja siostra stoi przy oknie i zaczyna nieprawdopodobnie się śmiać. Lecą bomby, a ona dostaje jakiegoś ataku szalonego śmiechu, jakby straciła rozum. Uspokaja się po jakimś czasie dopiero. Przedtem nalepiamy pasy na szyby, żeby nie wyleciały przy wybuchu. Pani to pewnie zna?

*Niekoniecznie.*

Proszę pani, to się przydaje: żeby szyby nie wypadły z ram, trzeba nalepić pasy na krzyż w poprzek okien. Wszystkie szyby były oklejone pasami papierowymi, bo oczywiście nie było jeszcze samoprzylepnych taśm. Trzeba było kleić te szerokie pasy, bo dzięki nim zmienia się napięcie. Myśmy mieszkali w służbowym mieszkaniu żupy solnej. Ojciec był chemikiem, kierownikiem laboratorium. Mieszkanie było piękne, duże. Trzeciego dnia po wybuchu ojciec przychodzi do domu z pracy okropnie zasmucony, mówi, że musimy uciekać. Dyrekcja zarządziła przymusową ucieczkę. Było powiedziane, że trzeba odstąpić od pracy, a wówczas, skoro wyjadą wszyscy fachowcy, Niemcy nie poradzą sobie sami, nie uruchomią żupy solnej. I 3 września następuje wyjazd. Jedziemy. My z mamą jedziemy dużym samochodem ciężarowym, z wieloma osobami. A ojciec i moja siostra harcerka mówią, że oni nie będą dusić się w samochodzie i jadą rowerami. Bo plan jest taki, że jedziemy tylko na dworzec krakowski i tam wszyscy się spotkamy.

Na którymś moście, chyba na Piłsudskiego, dowiadujemy się, że dworzec jest zbombardowany. Wobec tego zawracamy. My ich widzimy, widzimy ojca i widzimy siostrę. Krzyczymy do nich. Ale to, co się dzieje... Tego, co działo się na tym moście, chyba nikt nie potrafi pokazać, żaden film. My zawracamy, jedziemy na wschód. Nie czekamy na jakiegokolwiek połączenia kolejowe. Ponieważ mamy rodzinę w Krakowie,

ojciec i siostra jadą do dziadka ze strony mamy. Nie ma nas tam. W końcu dowiadują się, że jesteśmy w tym transporcie, jadą za nami, ale gdzie dojeżdżają, tam dowiadują się, że już pojechaliśmy dalej.

Jechaliśmy bardzo długo, w końcu wojsko polskie zabrało nam samochód. Żołnierze w jakimś szalonym pędzie, wszędzie bieganie. Moja mama krzyczy: „Co się stało?! Czy wy uciekacie?”. Oni nie odpowiedzieli, tylko: cywile do rowu, miejsce dla wojska. Okazało się, że wojsko też ucieka na wschód. I tak przejechaliśmy do Kowna chyba. Wszyscy uciekali przed Niemcami. Jedziemy przez Ukrainę jakimś wozem, tam są straszne mordy. Jest dwóch czy trzech mężczyzn z nami, kobiety, dzieci. Część naszych rzeczy gdzieś została, nawet nie wiadomo gdzie. Jedziemy nocami, bo boimy się dniem.

Dzisiaj może to wyda się śmieszne, ale jest taki moment, że jedziemy nocą przez las. Moja mamusia zasnęła i zaczęła jęczeć (Ewa Żelechowska naśladuje mamę). I przerażenie, że nas usłyszą. Bo widać, że z każdej strony drogi coś się pali, słychać, jak gdzieś strzelają. Konie, które nas wiozą, mają szmatami owinięte kopyta, żeby ich nie było słyszeć. Nikt nie zareagował na to jęczenie, myśleli pewnie, że kogoś mordują, a to przecież nie szkodzi, prawda?

Dojechaliśmy daleko na wschód. Jesteśmy tam trochę, a potem zaczynamy wracać. Napotykamy po drodze Niemców, którzy bagnetami sprawdzają, szukają czegoś. Pierwsze straszne spotkanie. Oczywiście jesteśmy strasznie głodni, ale to nie ma żadnego znaczenia. Jest straszliwy upał, bo wtedy było upalnie we wrześniu. Dojeżdżamy prawie do Wieliczki, widzimy ją już z góry. Wiozą nas konie, które są końmi kopalnianymi, to znaczy zawsze pracowały pod ziemią. Jeden to był Jagiełło. I ten Jagiełło zginął pod samą Wieliczką, nie wytrzymał tej dalekiej drogi, padł ze zmęczenia. Rozpacz okropna, nasz Jagiełło... Nie mogliśmy dać sobie rady, bo on był wspaniały, tak nas cudownie prowadził na Wschód i z powrotem, on nas uratował.

Przyjeżdżamy do Wieliczki. A ojciec zostaje po tamtej stronie, w ZSRR. Nie może wrócić, bo zostaje zamknięta granica. Jak to mężczyzna, wymyślił sobie, że myśmy odeszły i zamieszkały u wuja. A wuj mieszkał na takim maleńkim cyplu między Węgrami, Związkiem Radzieckim i Rumunią. To był brat mamy mojego ojca. Był dyrektorem gorzelni. Ojciec doszedł do wniosku, żeśmy dojechały tam, do wuja. Ale nas nie ma, niestety. Więc oni tam z siostrą zostali. O mało zresztą nie zginęli, bo przyszli Ukraińcy z innych wiosek, ukradli im rowery, ale ich nie zamordowali, bo wuj ich ukrył w gorzelni. Zresztą tata zobaczył tam rękę mojej mamy na szybie i był przekonany, że mama już nie żyje. Bo strasznie tęsknił. To było świetne małżeństwo, ukochani byli.

Tam ojciec i siostra zostają, potem uciekają, ojciec dostaje jakąś posesję, siostra chodzi do tamtejszej szkoły. Wracają dopiero w 1941 roku, gdy jest wymiana między Niemcami i ZSRR.

W międzyczasie my nie mamy z czego żyć. Mieszkamy w służbowym mieszkaniu. Mama chyba dostaje jakąś rentę, swego czasu była nauczycielką. Ja chodzę po obiady do żupy solnej. Jestem dziesięcioletnią dziewczynką, ale już muszę dbać o mamę, która zawsze była słabowitego zdrowia. Ostatecznie przeżyła dziewięćdziesiąt jeden lat – mój dziadek zawsze mówił: skrzypiące koło najdłużej jeździ.

Czasem dostajemy jakiś zasiłek, ale groszowe sprawy. Pracownicy tak wspomagają te słomiane wdowy. Oczywiście mama wyprzedaje wszystko, co się da, swoje pierścionki i kosztowności. Zostawia tylko łańcuch od zegarka po swojej mamie, całe szczęście, bo to przetrwało do dziś.

W którymś czasie wyrzucają nas z mieszkania. Niemcy. Żupa rusza, bo Niemcy oczywiście doskonale sobie poradzili z jej uruchomieniem. Bierze nas do siebie pani Skoczowa z Wieliczki, daje nam niewielki pokój z kuchnią. Ale nasze meble idą do żupy solnej, bo ich nie mieścimy. Na dole domu, w Turówce, były magazyny, gdzie sprzedawali sól, pod naszymi mieszkaniami. Przyjeżdżali chłopci, nieraz bardzo zmarznięci. Mama gotowała herbatę, ja im zanosiałam, dostawałam za to jakieś grosze. Rodzina nam nie mogła pomóc, bo wówczas też była w trudnej sytuacji materialnej. Dziadek był artystą malarzem, ulica jego imienia jest nawet w Bronowicach – Kaspra Żelechowskiego. Więc środków do życia z malowania też nie było, babcia, emerytowana nauczycielka, to samo.

Jesteśmy tam i ciągle czekamy. Zanim nas wyrzucono z domu żupnego, chodziliśmy piechotą do rodziny, do Krakowa, jakieś piętnaście kilometrów. Nie było żadnych połączeń. Zawsze zostawialiśmy karteczkę z informacją, gdzie jesteśmy, gdyby ojciec z siostrą wrócili. Dwa lata minęły, nie doczekaliśmy się.

Raz, kiedyśmy szły do Krakowa, jechał taki odkryty samochód ciężarowy, mężczyźni na nim. Było ich tak dużo, że wystawali po brzegach, nogi im zwisały poza ciężarówkę. Niemcy podjechali i tak przejechali blisko, że stopę ucięli jednemu mężczyźnie. Ta stopa została na jezdni. Po prostu sobie leżała na środku. W podobny sposób zginął mój brat cioteczny, młody, siedemnastoletni. Niemcy zahaczyli go, przejeżdżając samochodem, i zrzucili ze stopni tramwaju. Takie były różne rzeczy.

*Co jeszcze widzieliście na drogach, gdy przemieszczałyście się z Krakowa do Wieliczki? Przecież to był czas masowych migracji?*

Przede wszystkim pełno ludzi jeżdżących. Przeważnie robotnicy do pracy lub z pracy. A myśmy szły piechotą. Dziadek nasz przyjeżdżał do Wieliczki rowerem. Dożył też dziewięćdziesięciu jeden lat, a jego mama – dziewięćdziesięciu dziewięciu. Ale jesteśmy w Wieliczce, ciężko, choć serdeczna rodzina państwa Skoczów przyjmuje nas u siebie. Mieszkamy blisko cmentarza, tam przychodzą kobiety z nabiałem. Nie wiedziałam, że tam zawsze czyha Niemiec. On czyhał na kobiety. Stałam przed domem, chciałam iść kupić masło. Szła kobieta, która weszła do sąsiedniej willi. On pobiegł za nią, zatrzymał się przy mnie i dał mi w twarz. Tego nie zapomnę. Bo

myślał pewnie, że go zobaczyłam i uprzedziłam tę kobietę. On tam wpadł, nie wiem, co potem się działo. Ale przeżyłam to okropnie.

Mieliśmy znajomych wśród wieliczjan, tam byli także Żydzi. Ponieważ oni byli już zagrożeni, to przynieśli do nas dwie walizy wyprawne dla młodej Żydówki. Ale te walizy w Warszawie zabrali Niemcy, widzieliśmy, jak Niemcy je ładują na samochód.

*W Warszawie? Czyli zabraliście te walizy, gdy potem przenieśliście się z Wieliczki do Warszawy?*

Tak, ponieważ ci znajomi Żydzi nas prosili. Wzięliśmy je ze sobą do Warszawy, by nie poszły na stracenie. Niepotrzebnie, ale kto to wiedział? Tak sobie życzyli.

*Widzieliście, co jest w środku, że tak bezczelnie spytam?*

Oni nam powiedzieli: cała wyprawa dla młodej Majerhoffowej. Nie przypuszczam, żeby coś więcej. Nie zaglądaliśmy. Dwie duże walizy. Myśmy chcieli im to oddać, jak wszystko się uspokoi. Cała ich rodzina, czyli matka z dwojgiem młodych dziewcząt, przechowywała się w Krakowie u mojego dziadka na strychu.

*O, to ciekawe. Jak to się odbywało?*

Bo to byli znajomi mojego dziadka przede wszystkim. Mieszkali w Wieliczce. Ta pani miała dwie córki i syna, mąż już chyba nie żył. Syn był na Turówce, ta matka prosiła, żeby on mieszkał u nas. I on mieszkał u nas przez jakiś czas, ale trudno mi powiedzieć jak długo. To było trzypokojowe mieszkanie, kuchnia, sypialnia i jadalnia oraz pokój nasz, dziewczynek. W naszym pokoju mieszkał ten młody, wysoki Żyd. O pewnych godzinach, schylając się, żeby go nie było widać przez okno, bo naprzeciw były domy sztygarów, przechodził do łazienki – trzy razy dziennie. A siostra jego przynosiła mu jedzenie. Wszyscy z okolicy doskonale wiedzieli, kto to jest. Bo przecież wcześniej znali doskonale tych Żydów. Nikt nie zdradził wtedy. A potem na okres miesiąca czy dwóch dokwaterowali nam Niemca, oficera, bo taki był przepis. Dokwaterowali go do jadalni. Na szczęście jadalnia miała wejście osobno. Ale do łazienki czy WC korytarz był wspólny.

*I mieszkaliście z tym młodym Żydem i Niemcem równocześnie? Chce mi pani powiedzieć, że to się udawało?*

No tak, udawało się. Był tylko problem tego korytarza wspólnego. No i było połączenie między naszym pokojem, w którym był Żyd, a jadalnią, w której był ten Niemiec. Więc trzeba było bardzo uważać, żeby broń Boże się nie zdradzić.

*Niesamowite.*

Wcale nie, bardzo częste były takie przypadki. Myśmy były z mamusią w sypialnianym pokoju, Żyd był w tym naszym panieńskim, a Niemiec w jadalnym. Na szczęście mama znała niemiecki, to ułatwiało. On, to znaczy Niemiec, chciał mnie częstować cukierkami, ale nie wzięłam.

*Ale jak to wykonać praktycznie, żeby obaj panowie nie spotkali się na przykład*

*w łazience?*

To wiadomo było, że Niemiec musi najpierw wyjść. Musiał wychodzić do pracy, to był przecież oficer. Po jakimś czasie musiał od nas odejść, bo traciłyśmy to mieszkanie. To znaczy Żyd musiał odejść. Ale Niemiec odszedł wcześniej. Był dosyć kulturalny. Nie wiadomo, może się domyślał, ale nie okazywał tego. Chociaż tyle, bo przecież różni byli. A ten młody Żyd – nie pamiętam jego imienia – musiał odejść, jak nas wyrzucono z tego mieszkania. I wówczas przemieściłyśmy się z mamą z Turówki do Wieliczki, wynajęłyśmy ten pokój w willi.

*Wie pani, co się stało z tą zaprzyjaźnioną rodziną Majerhoffów?*

Oni wyjechali wszyscy do Izraela i chyba ten młody też. Bo on doszedł później do schowka, gdzie mój dziadek ukrywał jego matkę i siostry. To było na Mazowieckiej 35. Tam był tartak. Wszyscy doskonale wiedzieli. I pracownicy tartaku, i mieszkańcy tamtejsi. Nikt nie zdradził. Był ganek, który wychodził na tartak. Tam czasem któraś z Żydówek siadała. Z ganku wchodziło się na niski strych, gdzie był maciupęński pokoik. Tam mieszkali. Wyjechali później do Izraela, ale nie dali nigdy znać, czy dojechali.

*Jaki to był czas?*

To był 1941. Bo jak ojciec wrócił, to już byłyśmy w nowym mieszkaniu. Więc nas wyrzucono wiosną 1941. A potem z kolei u dziadka przechowywał się major WiN-u, czyli Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość. Takie czasy.

*Co się działo z wami?*

Rzeczywiście z mamą klepałyśmy biedę okropną. Przychodzi święty Mikołaj. Mama mi każe pościelić łóżko. Widocznie nie ścieliłam chętnie, bo to było dla mnie podejrzane. Podnoszę poduszkę, a tam dwa olbrzymie, cudowne jabłka dostają na Mikołaja. To był jeden z najcudowniejszych prezentów w życiu. Skąd? Jakim sposobem mama dostała te jabłka? Do dzisiaj je pamiętam. Potem ojciec wraca chyba jesienią z siostrą, która zachorowuje ciężko na dur brzuszny. Złapała go, jak dojechali do Lwowa. Znowu mnie wtedy wysłali do Krakowa, żebym się nie zaraziła. Ale wróciłam na kolejnego już Mikołaja. Wkładam pończochy, bo kiedyś takie się nosiło, prążkowane, coś mi przeszkadza. A tam jest taka latarka srebrna. Ona należała do mojej siostry wcześniej, przed wojną, nie wolno mi było jej dotknąć, bo ona była harcerką. I otrzymałam latarkę w prezencie. Dwa najcudowniejsze prezenty. Nie to, co dzisiaj.

Ojciec wraca z moją siostrą, ale nie tylko. Wraca też ze swoim bratem, którego spotkał gdzieś na Wschodzie, bo cała rodzina Żelechowskich była spod Lwowa. Wracają z Żydówką niemiecką – pani Marta, tyle pamiętam – która też wraca, chyba na swoje nieszczęście. Świetnie mówiła po polsku. Ona właśnie im ułatwiła powrót. Siostra ciężko choruje, stryj także, właściwie jest na granicy śmierci, ta Żydówka również. Tylko ojcu udaje się zachować zdrowie. Ojciec idzie do żupy solnej, nie



odzyskuje swojego stanowiska, proponują mu coś innego. Wraca i mówi, że nie ma ochoty na to inne stanowisko, to raz, a po drugie, nie ma ochoty pracować dla Niemców. Ciotka proponuje, by przyjechać do Warszawy, gdzie jest prywatna fabryka Franaszka i czeka na ojca posada. Tam pracuje jej mąż, czyli wuj ze strony mamy. Ojciec jedzie tam niechętnie. Bierze pieniądze ze sobą, które miał przekazać ciotce, kradną mu je, jest straszna rozpacz, bo my nie mamy pieniędzy, a nawet nie można się przyznać, że je stracił. Wraca jednak zadowolony, bo Franaszkowie to wspaniała rodzina, zresztą cała wymordowana podczas powstania w straszliwy sposób. I wobec tego jedziemy do Warszawy.

Państwo Tumanowiczowie, rodzina tego majora WiN-u, zapraszają nas do siebie. Teraz niedawno zostały odkopane prawdopodobnie kości majora Waleriana Tumanowicza, bo później został zamordowany przez UB. Najpierw jedzie do nich do Warszawy ojciec, potem ja jadę, a moim opiekunem w podróży jest właśnie major Tumanowicz. Jak dziś o tym myślę, to wydaje się śmieszne. Jak znalazłabym rodzinę, gdyby jego zatrzymali? W każdym razie on mnie przewozi do Warszawy. Widocznie miał fałszywe papiery, bo podawał, że nazywa się Wartanowicz. Tam poznajemy rodzinę Tumanowiczów, którzy mają córkę w moim wieku. Ona żyje do dziś i na szczęście, bo mogła dać DNA, by sprawdzić, czy te znalezione kości należą do jej ojca, majora. Zajmujemy jeden pokój. Przyjaźń z nimi ogromna. Jest cudownie, bo to są wspaniali ludzie.

Ojciec jedzie potem do Wieliczki, zabiera meble. Firma wypożycza mu w tym celu samochód ciężarowy, bośmy mieli dostać mieszkanie od Franaszka. Taki dziewiętnastoletni chłopiec chce jechać z moim ojcem z Wieliczki do Warszawy. Ojciec mu nie pozwala. Ale on bez zgody ojca wkłada się do środka samochodu. Jest wypadek, samochód zjeżdża ze skarpy. Ten chłopiec ginie, ku rozpaczyci ojca.

Niszczą się też meble, tracimy wszystko. Tymczasem mają remontować nam to nowe mieszkanie w Warszawie, ale okazuje się, dom jest koło getta. Nim je nam oddadzą, getto na tyle jest rozbudowane, że nie dochodzi do przekazania mieszkania. Zostajemy u państwa Tumanowiczów. Siostra moja zaczyna pracować, też w fabryce Franaszka. Jednocześnie uczy się w tak zwanej szkole handlowej, to była przykrywka gimnazjum. Ja chodzę do szkoły podstawowej.

*Jakie to są lata?*

1942–1944. Potem kończę pierwszą szkołę gimnazjalną. Robimy głupie kawały, bo musimy nauczyć się, jak uciekać przed Niemcami. Na przykład, jak szybko wskakiwać do jadącego tramwaju. Najpierw czeka się na przystanku, aż tramwaj ruszy, potem bardzo szybko się biegnie za tramwajem i wskakuje się na stopień.

Ojciec dalej pracuje u Franaszka, ale jednocześnie z wujem – bo obaj są chemikami – wykonują fałszywe dokumenty dla różnych ludzi. Pewnego dnia gestapo wchodzi do fabryki, oni na szczęście wrzucają te dokumenty do kadzi z czarną farbą. To ich

uratowało. Zaczyna się powstanie, ojciec wie o tym.

*Te dwa lata były względnie spokojne?*

Względnie. Wnuczka mnie kiedyś pytała, jak my mogliśmy normalnie żyć i wychodzić z domu. Normalnie, wychodziło się, nie wiedziało, czy się wróci, ale się wychodziło.

*Jak było na co dzień?*

Straszne łapanki. Często. Myśmy uczyły się w szkole na placu Inwalidów na Żoliborzu, tam była szkoła. To były tajne lekcje. Tam była profesor Wipszycka, nazywałyśmy ją Zeus. Ona robi nam wykład, ustawiona jest na takim podniesieniu. Mówi do nas, a nagle podchodzi do drzwi i mówi coś po niemiecku, głośno. Okazało się, że ona usłyszała, że przy drzwiach stoi dwóch Niemców i słucha, co ona wyklada. Zorientowała się na tyle wcześniej, że mogła tak zareagować. A normalnie to nauki odbywały się w prywatnych domach. Tam myśmy się zbierały.

*Bała się pani chodzić po ulicach?*

Jak słyszałam, że łapanka, to się bałam. Myśmy w tej szkole słyszały przez okno bardzo często, że łapanka. Więc korzystałyśmy z tego i zamiast się uczyć, biegłyśmy do okien, żeby patrzeć. To była chwila bez lekcji. Obserwowałyśmy, co się dzieje. W pewnym momencie przyjeżdżały ciężarówki i Niemcy z karabinami otaczali ulice, place. Rzeczywiście nie było ucieczki lub była, ale trudna. Podjeżdżali szalonym tempem. Po takich łapankach były też rozstrzelania. Były takie słupy, okrągłaki, i na nich wywieszali nazwiska rozstrzelanych.

Wysiadano się na przykład z tramwaju czy pociągu i nagle: łapanka. Pamiętam, kiedyś pojechałam z moją koleżanką na Bielany. Byłam za nią odpowiedzialna. Podjeżdżamy na ostatni przystanek, a tam, że łapanka. Kto miał silne nogi, ten uciekał. A ja wzięłam koleżankę za rękę – pamiętam to doskonale – i idziemy jakąś taką niewielką uliczką między willami. I nagle zjawiają się Niemcy. Frontem do willi, z karabinami do strzału gotowymi. Ja nie mogę cofnąć się ani uciekać, bo to już nie ma sensu. Nie wiem, jak to zrobiłam, ale po prostu przeszłyśmy między nimi. Jak przechodziłyśmy, to oni opuszczali te karabiny. A to był cały szpaler żołnierzy. Może ktoś z tej willi zdążył uciec dzięki temu? Ale potem znowu się udawało, podobno miałam taki wzrok. Ludzie mi mówili zaniepokojeni: co tak patrzysz, co tak patrzysz? Na przykład jeszcze w Wieliczce jeździłyśmy na sankach z moją koleżanką Żydówką. A już wtedy ciągle coś było przeciwko Żydom, Polacy też, niestety. Taka gromada chłopaków znacznie starszych ode mnie podeszła do nas i powiedzieli: „Ty z Żydówką jeździsz? Ty poczekaaj, my cię tu załatwimy”. Ja nic się nie odezwałam, tylko szłam na nich z tymi sankami, razem z Żydówką. I oni zaczęli się usuwać. Dlaczego? Nie wiem. Zmyli się od razu. Wiele udawało mi się zrobić wzrokiem. Co teraz pani opowiedzieć?

*Wspominała pani o warszawskim getcie. Była tam pani może?*

Proszę pani, tak. Przechodziłam, no i przejeżdżało się bardzo często tramwajem. Była ta droga przejściowa, było widać, co tam się dzieje. Wiedzieliśmy wszyscy, co się dzieje. Były też ustne przekazy. Potem widzieliśmy ten straszliwy pożar, jak wybuchło powstanie w getcie. To było coś przerażającego, te ognie, ten krzyk, który słyhać było, nieprawdopodobny. Wiedzieliśmy. Wiedzieliśmy także, że najpierw oni, potem my. To było do przewidzenia.

*Jaka była na ogół postawa warszawiaków do tego, co działo się w getcie?*

Bardzo współczująca wśród tych, z którymi miałam styczność. Tym bardziej że w następnym budynku mieszkała cudowna, piękna Żydówka z synem. Też wszyscy wiedzieli i nikt nie zdradził. Jak ona rozpaczała, tam w getcie była jej rodzina.

Wiadomo było, że będzie godzina „W”, w dzień ojciec mówił do mamy: „Pamiętaj, Józieńko, jak wybuchnie powstanie, ja pójdę walczyć”.

*W jakim wieku byli wówczas pani rodzice?*

Ojciec miał wtedy czterdzieści siedem lat. Mama czterdzieści pięć. Pani Agnieszko, może napijemy się herbaty?

(Ewa Żelechowska przygotowuje herbatę).

Teraz musimy poczekać, moja siostra mówi: trzeba poczekać, aż herbata się roznamiętni. Słodzi pani?

*Nie, dziękuję.*

Traci pani. Co mam pani mówić jeszcze, proszę powiedzieć? Jak chce pani układać narrację?

*Oprócz opowieści o tamtych wydarzeniach chcę poznać współczesne oceny tego, co się wtedy wydarzyło.*

Jak myślimy o tamtym? W ogóle nie wierzymy, że to się stało.

*Aż tak?*

Aż tak – że to w ogóle mogło się stać. Myśmy jako rodzina przez trzydzieści lat w ogóle nie rozmawiali na ten temat. Może też dlatego, że zginął ojciec. O, właśnie, chciałam pani coś pokazać. To są zdjęcia, moja siostra. Jak wybuchło powstanie, miała siedemnaście lat, dziś ma dziewięćdziesiąt. O, a takimi wagonami nas przywieźli. Zresztą do dzisiaj stoi taki wagon w Hamburg- -Neuengamme, gdzie zginął ojciec. Za dużo sobie nasypałam cukru. To jest z kolei woreczek z obozu.

*Jakim cudem ma to pani do dziś?*

No, przeżyło. A to jest książeczka pracy. To jest dom pamięci w Neuengamme, listy tych, którzy zginęli. Listy tych osób, które zostały zgładzone, wszystko jedno jak. I tu jest nazwisko mojego ojca (Ewa Żelechowska płacze). Tu jest portret mojego ojca, a tu mamy. Dziadek malował portret mamy. To jest kopia aktu zgonu ojca Andrzeja Żelechowskiego. Lekarz pisze, że ojciec umarł śmiercią naturalną, że ten lekarz go zbadał i że ojciec został spalony. Mojej mamie to przysłali do Ravensbrück. Więc wiedzieli, gdzie jesteśmy. Co pani teraz opowiedzieć? Wyzwolenie?

*Co tylko pani chce. Możemy wrócić do powstania.*

Też tak myślę, ciężko byłoby mówić o tym, co po, bez tego, co przed. Powstanie wybuchło. Jechałam w tym dniu, bo ojciec polecił mi przynieść jakieś papiery, prawdopodobnie ulotki. Przed siedemnastą jechałam. Widziałam po drodze pełno Niemców. Ale jakoś przejechałam. Ojciec z siostrą dopiero wrócili po dwóch dniach z Woli, bo tam były straszliwe mordy. Tam właśnie znajdowała się fabryka Franaszka. Ojciec był zrozpaczony, bo chciał walczyć. Ale był za stary, wszyscy młodzi dostawali broń. Wobec tego poszedł kopać rowy na Żoliborzu. A moja siostra została wprowadzona przez ciotkę do szpitala polowego doktora Raczka na ulicy Śmiałej. Siostra tam codziennie biegała. A rzeczywiście trzeba było biegać. Tu była ta willa, gdzieśmy mieszkali, tu dworzec Gdański, gdzie były krowy, czyli armaty, a tu ulica Felińskiego, gdzie siedział snajper. No i strzelał. Między tym naszym domem a następnym w ogródku była pompa. Bo wody nie było. Światła też nie było. Ta pompa gwizdała nieprawdopodobnie.

I teraz młodzieńcze idiotyzmy: bawiłyśmy się, czy zdążymy przebiec, czy nas ostrzeli, czy nie. Ale jak pani widzi, zawsze się udawało. Nie zawsze mama wiedziała, że tak biegamy. No więc do pompy się biegało. Był tam ogródek i odłamki różnych pocisków siedziały w pomidorach. Trzeba było uważać, gdy się jadło. Siostra musiała przebiegać przez dziurę w płocie, potem wzdłuż ogrodów, a potem kawałek przez plac Inwalidów. Tam galopem i zygzakiem między ewentualnymi ostrzałami. Tam już biegła na Śmiałą. Szalenie to przeżywała. Działała tam jako Hanka. Po wojnie, jak się okazało, gdy wreszcie po trzydziestu latach zaczęłyśmy o tym mówić i wspominać, to nikt już jej nie pamiętał.

A ja uczyłam się łaciny, bo miałam poprawkę z łaciny właśnie. Całe dwa miesiące byłyśmy w piwnicach.

*Ciągle w tej samej czy się przemieszczaliście?*

Ciągle w piwnicy naszego domu. To było fatalne, bo nic nie można było zdziałać. Któregoś dnia potężny odłamek uszkodził drugie piętro. Tam było mieszkanie sędziego, który gdzieś się ewakuował z rodziną. Ojciec wiedział, że w tym mieszkaniu są białe kruki, bo znali się z sędzią dobrze. Zdecydował, że te białe kruki trzeba gdzieś wynieść. Wychodził tam z kimś jeszcze i znosili je do piwnicy, by uratować.

Całe dni i noce w tych piwnicach, jeśli szło się do domu na górę, to tam można było chodzić tylko na czworakach, bo snajper strzelał. Spałam na materacu z tą małą koleżanką Elżbietą, która widocznie ze strachu ciągle mnie podsusiwała. Było to okropne. No, ale wszystko nie było ważne. Na przykład nie pamiętam uczucia głodu. A głód był przecież straszny. Jak było co zjeść, to się jadło. Uczucie zimna było gorsze niż głód, ale to już później. Był lęk cały czas. Choć ciągle mieliśmy wrażenie, że skończy się pozytywnie dla Warszawy.

Było głośno, ciągle słycać przede wszystkim krowy tak zwane. Najpierw słycać było z dworca Gdańskiego przesuwanie się tych maszyn, potem ich wystrzały, potem bombardowania z góry. Nawet nie wiem, czy myśmy w tej piwnicy rozmawiały, bo cichych chwil było minimalnie. Właściwie cały dzień był duży hałas. Jak był nalot, to hałas nieprawdopodobny i już wydawało się zawsze, że w nasz dom pójdzie. Była też blisko szkoła, chyba Poniatówka, tam Polacy bardzo się bronili. Przybiegali do nas mali chłopcy i pokazywali nam żarówki i butelki, które będą rzucać w Niemców. Byli bardzo tym podnieceni. Pewnie niejeden z nich zginął, bo na przedpolu dworca mnóstwo zginęło, mnóstwo.

*Co robiliście całe dni?*

Ja uczyłam się tej łaciny. Jak bombardowali, to żeśmy się kulili. Rozluźnienie było tylko wtedy, kiedy były chwile ciszy. Siedziałam, pamiętam, na kolanach tej Grażyny Tumanowicz i ona mnie odpytywała z łaciny.

*Nie było już nigdy okazji, by zdać tę poprawkę?*

Nie, nie było. Już łaciny więcej się nie uczyłam.

*Skąd braliście jedzenie?*

Jeszcze troszkę było jedzenia, minimalnie, ale było. Pewnie mama pokupowała, bo wiedziała wcześniej. Ale był taki moment, że przyszła pani z sąsiedniej ulicy, cała we łzach, błagając o łyżkę ryżu. Nikt nie miał. A jej dziecko zachorowało i zmarło, bo nikt nie miał ryżu, by to dziecko uratować. To był jedyny sposób. Potem poszliśmy wszystkie tam się modlić. Pamiętam, jak ta dziewczynka, taka maleńka, trzyletnia, leżała martwa. I ta matka krzyczała: co ja ojcu powiem, jak wróci? Nie wiem, co się z nimi dalej działo.

Tam mieszkali niejacy państwo Lękowie, stomatolodzy. W suterenie mieli dodatkową kuchnię, więc można było coś jeszcze zrobić. Mama tam dosłownie ostatnią mąkę zużyła, by zrobić maleńki chlebuś, gdy chwilę później weszli Niemcy do budynku. 29 września słyszemy, że wchodzą Niemcy. A jeszcze wcześniej był zrzut, rzucono jakieś części do broni. Ludzie to rozebrali między sobą. Tam był też spadochron. Mama wzięła wówczas kawałek materiału i sznurek, który się później przydał. Z tego kawałka spadochronu, który mama jakoś przechowała przez obóz, uszyła później mojej siostrze bluzkę do ślubu.

*Ze spadochronu z powstania warszawskiego?*

No tak, bo to był nylonowy, piękny spadochron angielski lub amerykański.

Mieliśmy taką informację, że Niemcy mordują wszystkich lekarzy i pielęgniarki, które zatrzymają. Siostra miała taką opaskę z pieczętką. Jak przyszli Niemcy, ona akurat wróciła ze szpitala. Wzięła tę opaskę i wrzuciła do kotła centralnego ogrzewania, bo bała się, że zginie od razu. Potem szkoda jej było bardzo tej opaski i tego, że nie ma już żadnego dowodu, że była tą pielęgniarką. Kiedy już później, później wiedziałam, że ona nie będzie miała żadnego zaopatrzenia emerytalnego,

bardzo chciałam, by starała się o zaopatrzenia dawane dla czynnych uczestników powstania. Ale nie miałyśmy żadnego dowodu. A ona była tak nieśmiała, żeby o to się starać. Wycofała się z tego, nie pomogła mi w tych działaniach.

*Nie udało się?*

Nie udało, ona się wycofała. Mówiła, że skoro nie mamy materialnych dowodów, że była pielęgniarką, a teraz każą jej to jednoznacznie udowodnić, to ona czuje się, jakby oszukiwała. Myślę, że ona przeszła dużo tragicznych momentów na Wschodzie, kiedy była odłączona od nas, może to ją inaczej ustawiało w życiu.

*Opowiadała pani kiedykolwiek, co jej się przydarzyło?*

Tak, opowiadała. Nie za wiele, ale opowiadała. Moja córka próbowała z nią o tym rozmawiać i mówi, że siostra opowiadała zupełnie bez emocji, jakby nie o sobie mówiła. Musiała mieć z tym szalony problem. Przeszła w ogóle dużo w życiu, ciężko chorowała po wojnie. Miała gruźlicę, ledwo ją odratowali. Powstanie też jakby wyparła.

*Może wróćmy teraz do momentu, w którym przychodzą po was Niemcy?*

Jesteśmy wszyscy razem w tej piwnicy. Wchodzą do budynku, idą przede wszystkim do góry, szukają nas. Potem w końcu schodzą na dół, bo przecież doskonale orientują się, że nikt zdrowy nie siedziałby w kamienicy. Wchodzą wreszcie do piwnicy i krzyczą: „Won, wynocha stąd”.

*Ile osób było w waszej piwnicy?*

Przynajmniej dziesięć. Państwo Lękowie to trójka, nas czworo, pani Tumanowicz z córką, pani Jadzia Kurzejanka z matką i jeszcze jedno małżeństwo... czyli około piętnastu osób.

*Wyprowadzają was na ulicę?*

Wyprowadzają z piwnicy, ale jeszcze pani Tumanowicz skoczyła po koc – mało jej nie zabili, bo od razu wymierzili karabin. Ona natychmiast wróciła.

*Kiedy to było?*

29 września. Wyprowadzili nas poza dom, na ulicę Zajęczka. Tam zaczęli zastanawiać się, czy nas rozstrzelać, czy dalej puścić. Ale doprowadzili nas w okolice ulicy Śmiałej, tam było duże podwórze, tam nas zaczęli rozdzielać, kobiety i dzieci od mężczyzn. Mężczyznom kazali wyjąć wszystko z kieszeni, u ojca znaleźli brzytwę, więc oskarżono go, że ma broń. Mama podbiegła, kazali jej się usunąć. Nas było multum. Ludzie z całej ulicy, także ta Żydówka z synem, wszyscyśmy byli tutaj. Całą Felińskiego wyprowadzono. Stamtąd nas prowadzono. Warszawa to już było cmentarzysko, same gruzy. Tu się paliło, tam paliło. Myśmy tak doszli na Wolę, do kościoła, chyba Świętego Stanisława, o ile dobrze pamiętam. Tam żeśmy nocowali. Nie było ojca. Grubo po tym przyszedł. Pomimo tego, że miał kłopoty i powinien być operowany, dźwigał kogoś na noszach, choć nie powinien. Ale był z nami.

Potem nas wsadzili do takich odkrytych wagonów towarowych, jechaliśmy do

Pruszkowa. Ojciec bał się tego wszystkiego i mówi do mamy: „Józienko, skaczemy”. A ona, że nie, bo może coś się stać. Ojciec byłby wyskoczył, siostra też. Ale ja nie wiem, zawsze byłam taka niezdara – jak raz w życiu weszłam na drzewo, to od razu spadłam. Ponieważ rodzice powiedzieli sobie, że już nigdy więcej się nie rozdziela, dojechaliśmy do Pruszkowa razem. Tam nocowaliśmy w wielkim hangarze. Co chwilę kogoś wywoływano, rozdzielano kobiety i mężczyzn. Tam odbywały się jeszcze msze święte, dawano śluby. Ludzie płakali, modlili się, śpiewali: „U drzwi Twoich stoję, Panie”.

*Długo was tam trzymano?*

Między 8 a 10 października byliśmy w Neuengamme. A jechaliśmy dość długo, około dziesięciu dni. W tym przejściowym obozie w Pruszkowie był lekarz. Można było dostać przepustkę na wyjście stamtąd. Za łąpówkę oczywiście. Mama miała złoty łańcuch po babci, ręcznie robiony, bardzo długi. Babcia owijała nim szyję i zegarek chowała do kieszonki. Mama była przygotowana, że to – jedyne, co jeszcze mamie zostało – ofiaruje za wypuszczenie nas. Ten lekarz wszystkich chciał za to przepuścić, a mamy już nie.

Potem ciotka mówi: „Mam znajomą pielęgniarkę, więc może przejdziemy przez przychodnię, gdzie są sami chorzy”. No, to przechodzimy. Jesteśmy już na takim placu, gdzie byli ci, co mieli jechać do Guberni. Mój ojciec dowiedział się, że gdzieś wydają zupę, pobiegł po nią. A w tym czasie nas wyciągają, że teraz nasza kolej. Więc mama mówi: jeszcze mąż jest, a że mieli się nie rozdzielać, więc pobiegła po niego i przyprowadziła. Ale jak wróciła, brakowało do wagonu siedemdziesięciu Polaków i Niemiec kazał wyciągać ludzi i doładować ich. Nas wskazuje. Kolejarz, który nas prowadzi, wsadza nas jednak do innego wagonu, tego do Guberni. Gdy już nas tam zamyka, przychodzi Niemiec i robi wściekłą awanturę. Prowadzi nas do wagonu, który odjeżdża już do obozu.

Tu mieliśmy się uratować, tam mieliśmy, a nic z tego nie wyszło. Trzy momenty, w których wydawało się, że można by się uratować. Mama miała ten chlebuś dopiero co upieczony, pustą puszkę po herbacie, czarny olej rzepakowy i jedną cebulę. Dostaliśmy też jeden chlebek na drogę. Ja nie cierpię cebuli, ale jadłam. Do dzisiaj nie cierpię. Maczałyśmy ten chleb w oleju. I tak jechaliśmy około osiem dni. Siedemdziesiąt osób w wagonie. Jedni wstawali, drudzy siadali. Było takie małżeństwo dopiero co poślubione z jakimiś kołdrami – próbowali je rozkładać. To było niesamowite. A ja tak siadłam w kącie, miałam pamiętnik. I był taki chłopak, Stasiu, on mi napisał: „W podróży, na obczyźnie – Stasiu”. Pokażę zresztą pani ten pamiętnik. On – to jest Stasiu – został tam w Neuengamme. Nie wiem, jak się nazywał, więc nie mogłam dowiedzieć się, czy przeżył.

Było tak źle, o wodzie nie było mowy. Co do potrzeb fizjologicznych, to młode małżeństwo przygotowało się do podróży i miało sporą puszkę. Zjedli zawartość, on

wysiusiał się do tego i pyta: kto następny? I moja siostra od razu: to ja! Inni mieli jakieś scyzoryki, zrobili dziurę w podłodze pociągu. Tym sposobem puszka poszła między siedemdziesięcioma osobami, proszę sobie wyobrazić. Wszyscy z niej musieli skorzystać.

Raz nas wypuszczono. Wszystko to widzę – żebym umiała rysować, a ja nie umiem. Wypuszczono nas z wagonów na jakąś ziemię czy łąkę. Ustawiony był szpaler Niemców z karabinami. Kazali nam się załatwiać. Nie potrafiłam. W pociągu tak, bo każdy z nas był w tej samej sytuacji, a tu nie.

Potem nas zatrzymali w jakimś lesie, było cudowne słońce. Młody las, słońce, piękne. Ojciec tak przechodzi, a ktoś mówi: kto by chciał tam zostać, może zostać. Ojciec mówi do mamy: „Wiesz, Józieńko, ja bym tu został”. A mama się bała, bo nie wiadomo, co to miało znaczyć. Tam była jakaś fabryka, która później została doszczętnie zbombardowana. Potem żeśmy się dowiedzieli. I tak dotarliśmy do Neuengamme, ale o tym już później, bo to trudne.

*Dobrze, zostawmy to na następne spotkanie. Przeskoczmy teraz do sytuacji powojennej. Wspomniała pani, że nie mówiliście o czasie wojny przez trzydzieści lat. Dlaczego?*

Bo ojciec nie żył.

*Ale nawet między sobą z siostrą? O powstaniu albo o obozie?*

Nie. To trzeba było zamknąć.

*Nie rozmawialiście ze względu na mamę?*

Myśmy ciągle czekały na ojca (płacz). Gdybyśmy nie wierzyły, że on wróci, to można by rozmawiać. A myśmy ciągle... To było tak niemożliwe, że to się stało. I było niemożliwe, że ojciec nie wróci. Jako jeden temat.

Dziadek Kasper i w ogóle nasza rodzina była bardzo zaprzyjaźniona z Tetmajerami. Dziadek był zresztą na weselu, tym weselu, Rydla weselu. Nawet nie wiem, czy nie był jego świadkiem, chyba tak mi zostało powiedziane. Myśmy tam jeździli często dorożką do Bronowic. Hanka Tetmajerowa stawała zawsze w drzwiach z szeroko rozpostartymi rękami. I właśnie ta ciotka Hanka Tetmajerowa była na Syberii w czasie wojny. Po wojnie wróciła i przyszła nas odwiedzić z wnuczką swoją. I Tetmajerowa mówi: „Co wy mi mówicie, że Andrzej nie żyje?”. A ona była matką chrzestną mojego ojca, a nawet nie tylko chrzestną, bo go karmiła, gdy podczas chrztu się rozplakał. Poszła wtedy za ołtarz i go nakarmiła, sama miała małe dziecko i pokarm. Była więc też matką mleczną. Hanka Tetmajerowa mówi: „Przecież ja wyszłam na Syberii z chałupy i pytam, kto jest z Polski. A Andrzej podszedł do mnie, powiedział: to ja, Andrzej Żelechowski, i żeśmy się wyściskali”. Więc wie pani, z jednej strony ta wiadomość od Niemców o zgonie, niby oficjalna, a tu jej opowieść... no ale gdzie Syberia, a gdzie Neuengamme? Zupełnie nierealne.

*Dziwne.*



Myśmy go ciągle szukały. Ciągłeśmy szukały. To nie było możliwe, żeby on był na Syberii, to musiało być w jej odczuciu. Więc co to było? Sen? Nie sen? Coś było.

*A czy nie znalazłyście nikogo z Hamburg-Neuengamme, kto mógłby poświadczyć, co się stało z ojcem?*

Proszę pani, był mężczyzna, który twierdził, że widział, jak ojciec idzie do swojej pracy. I ten mężczyzna też poszedł. Ale jak wrócił, ojciec leżał już nieprzytomny przy łóżku, nie wiadomo było, czy żył. Podobno pracował wtedy przy obieraniu kartofli i strasznie puchły mu nogi. Oddawał jedzenie i wszystko za papierosy, bo tak martwił się o nas. I wtedy przysłała paczka od babci dla ojca, i ta paczka była przy jego łóżku. A ojciec już o tym nie wiedział. Ale czy to oświadczenie było prawdziwe, tego nie wiemy.

Ten mężczyzna wcześniej jechał z nami z Pruszkowa do Neuengamme, miał w teczce pszenicę, jakieś zboże, może ze dwa kilo. Zostawił tę teczkę. Później moja siostra była sprzedana z obozu do bauerów, którzy ją okropnie traktowali. Dowiedziała się od kogoś, że część więźniów z Neuengamme jest teraz pod Berlinem. Wcześniej tam pojechała jakaś inna nasza znajoma więźniarka, którą bauerowie też wykupili – bo oni płacili obozowi za więźniarkę do pracy cztery marki. Siostra uprosiła gospodarzy i puścili ją pod Berlin, dali jej bochenek chleba, żeby potem zaświadczyła, że jej pomogli, bo bali się o siebie. Oczywiście z duszą na ramieniu pojechała pod Berlin szukać ojca. Miała byle jaki płaszczyk, zdjęła „P” i winkiel. Znalazła tego mężczyznę z transportu, co zostawił teczkę z pszenicą, nie wiem, jakim cudem. Zobaczyła go, jak niósł obierki ziemniaczane. To był jakiś podobóz dla tych mężczyzn, których przewieziono z Hamburg-Neuengamme. A równocześnie były też pilnujące Niemki w futrach. Poznała tego mężczyznę i zaczęła go pytać o ojca. Dała mu chleb i teczkę, a on zaczął krzyczeć, gdzie jest jego zboże. I wtedy opowiedział tę historię o ojcu, który podobno nie dożył wywiezienia z Neuengamme do Berlina. Siostra szczęśliwie wróciła do Ravensbrück.

*Bauerowie faktycznie kupowali czy wynajmowali więźniów od obozu? To jest jeszcze inny rodzaj niewolnictwa?*

Tak, faktycznie tak było. Normalnie tego nie mówię, ale pani powiedziałam. Ludzie w to na ogół nie wierzą. Bo nas w pewnym momencie było za dużo w obozie, nie było gdzie nas umieścić. Zaprowadzili nas do biura pracy i dali do komanda Marquardta, a siostra powiedziała, że chce być gdzie indziej, gdzie jest więcej jedzenia, bo mówiła, że tu umrze z głodu. Więc była możliwość pójścia do gospodarza, ale kto wiedział, że to tacy dranie będą? No i siostrę tam zabrali. Ci bauerowie mieli robotników przymusowych przeważnie. Gdybym coś takiego powiedziała na forum, zarzucono by mi kłamstwo, jestem o tym przekonana.

*Jak to wyglądało w praktyce? Siostra chodziła tam do pracy i wracała do obozu na noc? Czy była u bauerów cały czas?*

Był taki okres, że wracała do obozu na noc. A później już tam mieszkała ciągle, miała taką klitkę, w której spała. Jej dawali trzy kromki cieniuteńkie z marmoladą, a dla porównania – robotnikowi, który tam pracował, dawali trzy, cztery kromki ze smalcem. I ona z tej swojej porcji potrafiła chować jedną kromkę, żeby nam przynieść. Potem gospodarz to zobaczył, zorientował się i wobec tego dostawała dwie kromki.

*Czy bauerowie płacili obozowi za więźniarkę?*

Tak. To było już wówczas powiedziane. I wiem, że cztery marki za dzień płacono.

*O tym też później nie rozmawialiście?*

Też nie. Myśmy ciągle czekały mimo wszystko na ojca. I nie rozmawialiśmy w ogóle o wojnie. Nie uznawałyśmy tego. Mama starała się o rentę po ojcu, musiała więc potwierdzić zgon. Przez sąd uznane zostało, że on nie żyje. Ale i tak w to nie wierzyłyśmy.

*I nie rozmawiała pani o tym wszystkim nawet z kimś spoza rodziny?*

Nie, nigdy. Przez te trzydzieści lat. Pierwszy raz, gdy chciałam dla siostry uzyskać uposażenie za służbę podczas powstania. Dopiero w latach siedemdziesiątych. Pojechaliśmy w tym celu do Warszawy.

*I jakie to było uczucie mówić wówczas o doświadczeniach wojny?*

Straszne. Właśnie dlatego siostra nie wytrzymała tego psychicznie, wróciły jej pewne momenty z tego czasu i nie chciała dalej się starać o udowodnienie. Rozmawialiśmy wtedy z żoną doktora Raczka, która bardzo chciała pomóc. Moja siostra opowiadała, jak było. A ta doktor Raczek potwierdzała, że tak, to i to się zgadza, ale coś innego już nie. I jak stamtąd wyszłyśmy, to siostra zamknęła się w sobie. Poszłyśmy do innego lekarza, który powiedział: „Jak mi pani powie, co zrobiłem takiego nadzwyczajnego, poświadczę pani”. A ona nie potrafiła powiedzieć, o co może mu chodzić. Już nie chciała tam wrócić i nie chciała szukać innych, którzy by potwierdzili.

*Czyli taka była procedura?*

Tak, taki był zwyczaj. Ja też pojechałam kiedyś do Warszawy i przyjaciółka mówi mi: „Taka Marysia chce, żebyś jej poświadczyła, że ona była z nami”. Ja mówię: „Nie pamiętam. A byłam z nią w szkole”. Ta Marysia mówi: „Przecież byliśmy razem”. Ja mówię: „Przepraszam cię, Marysiu, ale naprawdę nie pamiętam. Powiedz mi coś, co mi pozwoli przypomnieć”. I ona jedna jedyna pamiętała pewien incydent, który ja też pamiętałam – jak żeśmy uciekały przed pilnującym. Reszta koleżanek nie pamiętała tego. Więc powiedziałam jej: „Marysiu, to jest najlepszy dowód”. I jej poświadczyłam.

*Brutalne są te kaprysy pamięci.*

No, niestety, brutalne. Ale taka jest pamięć. Sama kiedyś dostałam prośbę, by zaświadczyć, że pewna pani była sanitariuszką w śródmieściu. Odmówiłam, bo ani

nie znam tej pani, ani nie byłam wtedy w śródmieściu. Była śmiertelna obraza. Nie mogłam podpisać, skoro nie pamiętałam. Ale ludzie zazwyczaj sobie podpisywali.

*Ile osób powinno poświadczyć?*

Dwie. To samo z obozami. Powinnam mieć poświadczenie z Arolsen. A nie mam. Ale mam potwierdzenie, że tego i tego dnia nasze numery zostały przyjęte. Ale znowu: to, że wiemy, jakie mamy numery, to kwestia naszej pamięci, no, w naszym przypadku mamy jeszcze ten materialny dowód w postaci płóciennego woreczka z wyszytym numerem obozowym.

Spotykamy się z Ewą Żelechowską ponownie. Tym razem towarzyszy nam jej siostra, Anna Puchajda. Oglądamy pocztówki. Na jednej z kart świątecznych wypisane są słowa kolędy.

Ewa Żelechowska: Nie znoszę tej kolędy. Z obozu.

*Niemcy pozwalali, żebyście śpiewały?*

EŻ: Oni sami śpiewali. To słychać było, budynek komendanta był w środku obozu.

Anna Puchajda: Tego to ja nie pamiętam, wielu rzeczy już nie pamiętam.

EŻ: Aniu, ale ty nie pamiętasz też tego, jak nas któryś raz wyładowali z wagonu. A ty, harcerka, wysoka, mówiłaś, że nie będziesz się schylać, a już na pewno przed Niemcami. Mama ci taki dołek wykopała, żeby cię wyrównać, żebyś wydawała się niższa, żebyś się nie wyróżniała, żeby cię nie widać było w tym szeregu zmęczonych, zgarbionych kobiet.

AP: Ja tego właśnie nie pamiętam. Dopiero jak siostra coś mówi, to sobie przypominam: aha, przecież tak było.

EŻ: Dzisiaj też o tym rozmawiałyśmy, że siostra wiele nie pamięta. Ale ona szalenie dużo przeszła na Wschodzie, to pewnie obrona organizmu. Zresztą była zawsze szalenie dzielna, więc wiele takich nieistotnych rzeczy ignorowała.

*A jak panie dziś oceniają swoje doświadczenia wojenne?*

AP: Ja bym powiedziała, że to nie jest powód do dumy, ale po prostu zbyt długo o tym się nie myślało. Jestem dziś zaaferowana tym, że to mogło się zdarzyć.

EŻ: Poza tym straciłyśmy wszystko, nie miałyśmy nic kompletnie. Mama oczywiście nie pozwoliła niczego dotykać, jak siostra poszła na szaber i przyniosła kota oraz lampę naftową. Mówiłam już to pani? (śmiech).

*Nie, jeszcze nie.*

EŻ: Otóż Ania poszła na wielki szaber i właśnie wróciła z kotem. I lampą, bo nie było czym świecić.

*Gdzie to było?*

EŻ: W Chojnie, koło Szczecina, gdzie nas zatrzymali. Trzeba było po prostu żyć. W Chojnie to była egzystencja czasowa, tak żeśmy to traktowały.

AP: A pamiętasz, tam w Chojnie miałam zapalenie kolan i mieszkałam obok taki Volksdeutsch, który powiedział, że mi to wyleczy. Dał mi taki płyn i kazał przykładac lnianą szmatkę. Dzięki temu wyleczyłam kolana. A one były chore dlatego, że zbierałam kartofle na kolanach całe dni. Po tym płynie ból ustąpił raz na zawsze.

*Niemiecka metoda?*

EŻ: Najskuteczniejsza. O czym chce pani teraz rozmawiać?

*Wygląda, że zatrzymałyśmy się przed przyjęciem do Ravensbrück. Chronologicznie powinniśmy więc przejść teraz przez obóz. Możemy?*

EŻ: Jeśli chce pani iść przez obóz... Mówiłam już, że myśmy jechały około dziesięciu dni w transporcie. Raz nas zatrzymano i drugi raz. I dojechaliśmy do Neuengamme. Tam co jakiś czas otwierano wagony i wywoływano mężczyzn. Dawano zupę i kawę, ale ta kawa do niczego nie była podobna. Zupa była z obierków ziemniaczanych. Nie pamiętam, żebym to jadła. Mężczyźni wychodzili i wracali. Warunki higieniczne były takie, jak w podróży. Ciągłe nas selekcjonowano. Za wagonami był plac, tam mama robiła ten dołeczek siostrze.

Któregoś popołudnia przechodzili Polacy geodeci pod pretekstem mierzenia terenu. I jeden inżynier przechodził, schylił głowę i powiedział do mężczyzn: „Oddajcie wszystko kobietom, bo wy już tu zostanieie”. Więc ojciec oddał obrączkę mamie.

AP: Następnego dnia, gdy ojciec już poszedł, pobiegłam za nim, żeby dać mu futro. Bo on szedł w takim letnim ubraniu, a zimno by mu było. Dałam mu to futro.

EŻ: No właśnie, po południu następnego dnia otwarli wagon i powiedzieli: „Wszyscy mężczyźni wychodzić”. Miałam jakieś przedziwne uczucie, że dzieje się coś nienormalnego. Może nie tyle, że tracę ojca, ale że coś się dzieje (Ewa Żelechowska mówi z trudem). Miałam ochotę rzucić mu się na szyję, jakoś go uściskać. Ale widocznie mama bardzo usilnie popatrzyła na ten mój ruch, zobaczyłam w jej oczach strach i... już nie pożegnałam się z ojcem. I nie wrócili oczywiście na noc. Więc krzyk, wrzask niesamowity. Ale powiedzieli, że mężczyźni przyjdą. Rano, o piątej chyba, nas zageścili w tych wagonach. I nagle słyszymy muzykę. Któraś kobieta krzyknęła: „Nasi idą”. A siostra, wysoka, zaczęła krzyczeć nazwisko nad głowami innych: „Żelechowski, Żelechowski!”. I tatuś podbiegł. Ona mówi: „Rzucę ci futro”, a on: „Nie, nie, tylko papierosy podaj, ja zaraz wrócę” (Ewa Żelechowska płacze).

AP: Ale ja mu rzuciłam to futro.

EŻ: No tak, ale co z tego, jak mu zaraz zabrali? Ona ostatnia widziała ojca. I nas jeszcze przetrzymali jakiś czas, a było strasznie zimno. A potem ruszył pociąg. Krzyk był nieludzki. Ale mężczyźni jadą za wami, tak nam mówiono. Dojechaliśmy chyba do Frankfurtu, tam nas odwszyli. To też była makabra. Rzeczywiście wszy były straszne, bo już w czasie powstania wody nie było i ludzie też byli zewsząd.

*Jak wyglądało to odwszanie?*

EŻ: No właśnie, zaraz pani powiem. Trzeba było rozebrać się przed żołnierzami do

naga.

AP: A oni śmiali się z nas.

EŻ: Tak, oczywiście. Bo przecież wyglądałyśmy... no, potwory byłyśmy, to fakt. Wpuścili nas do takiego... pomieszczenia, pod prysznic. Bez mydła, bez niczego. Czyśmy się wycierały? Chyba nie.

AP: Nie, chyba nie. Nie przypominam sobie wycierania.

EŻ: Potem nas wygonili, a ubrania dali do odwszenia. Znowu były chichoty tych żołdaków, którzy patrzyli na nas. Potem przyjechała windą bielizna nasza, śmierdząca nieprawdopodobnie i mokruteńka. Znowu nas wieźli – jak się potem okazało, do Ravensbrück. Z takiego nasypu nas popędzali do bramy. Znowu pełno żołnierzy z karabinami i strasznie szczekające psy, lampy świecące prosto w twarz. Koleżanka Krysia mówiła, że zobaczyła napis „Ravensbrück”. A jej siostra już tam była i wiedziała, co to znaczy, i mówi: „No, jesteśmy w obozie”. Nie wiadomo było, co się dzieje, strasznie nas pędzili.

*Co panie wtedy myślały?*

EŻ: Nic. Nic się nie myślało.

*To był początek października?*

EŻ: Tak. No i pędzili nas przez tę bramę, ja pamiętam muzykę, ale koleżanki mi mówiły, że jeśli ja pamiętam muzykę, to znaczy, że nie byłam w Ravensbrück. Ale każdy pamięta pewne szczegóły – będące lub nie. Może zapamiętałam muzykę z Neuengamme i ten dźwięk został we mnie do Ravensbrück? To też niewykluczone. Ale nasza koleżanka Krysia mówi, że była muzyka także w Ravensbrück.

AP: Bo była, była, też pamiętam, że była.

*To było na rampie?*

EŻ: Tak. To było do transportu grane, do jego przyjęcia. Przez orkiestrę złożoną z więźniów. Codziennie było grane, gdy tylko przyjeżdżał transport. Oni byli melomanami. Niemcy. To, co żeśmy słyszały w Neuengamme, to był jakiś marsz. Pod ten marsz maszerowali więźniowie.

*Docieracie do bramy, co dalej?*

EŻ: Te psy były koszmarnie. Nie myślało się, czy człowiek zginie, po prostu wykonywało się rozkazy, bo było uczucie, że nie ma żadnego sposobu ucieczki. Poprowadzono nas między barakami. Tych baraków już nie ma. Myśmy były w Ravensbrück raz i drugi – są tylko takie nasypy z kamieni w kształcie baraków. I dosłownie wrzucono nas do olbrzymiego namiotu wojskowego. Kazano nam wszyściuteńko oddać, cokolwiek mamy. Myśmy nic prawie nie miały. Mama miała złoty zegarek na tym złotym łańcuchu. Jadzia Kurzejanka miała dwa pierścienie. Podwinęła pod włosy, ale prawdopodobnie nie uratowała tego.

*Ale jak udało się ocalić łańcuch?*

EŻ: Zaraz pani powiem. Siostra miała woreczek, gdzie ten woreczek?

AP: Tu jest przecież.

EŻ: Dlaczego ten akurat woreczek z nami się znalazł? Nie mam pojęcia. Jakiś szkolny woreczek, w którym siostra nosiła buty. Dlaczego go miała, skoro już chodziła do liceum? Nie wiem. Mamusia pocięła spadochron ze zrzutu. Wzięła to ze sobą, w tym woreczku, który ściągany był od góry sznurkami. Usunęła ze sznurka wypełnienie i wsunęła złoty łańcuch do środka. I nim przewiązywała ten woreczek. Dlatego łańcuch się uratował. Niemcy kazali nam zrobić woreczki i wyszyć na nich swoje numery. Myśmy miały już gotowy z napisem „Haneczka”, a teraz mama wyszyła jeszcze numer obozowy. Mieli nam dać ręcznik, mydło i coś tam jeszcze.

*Tu jest wyszyte: 77150, to pani numer?*

EŻ: Nie, to jest mamy numer. Myśmy stały przed mamą, więc miałyśmy numery 77148 i 77149. Stąd pamiętamy numer, to jest jedyna nasza pamiątka. „P” i czerwony winkiel, to jest Polska, polityczny.

*Dostałyście pasiaki?*

EŻ: Nie, już nie było pasiaków.

*Mogłyście chodzić w swoich ubraniach?*

EŻ: Niestety tak.

*I tak przez cały pobyt?*

EŻ: Tak. Właściwie nie pamiętam, ale chyba nigdy nie prałyśmy tych rzeczy?

AP: Nie wiem, jak ty. Ja w listopadzie trafiłam już do tego Kutza. To był taki gospodarz, bauer, przyjechał do obozu i wybierał sobie ludzi do pracy. Albo można było zostać w obozie, w komandzie, albo być sprzedanym do bauera. Byłam u niego, a potem on mi pozwolił jechać pod Berlin, zaprowadził mnie i wsadził do podmiejskiego pociągu. Miałam jakąś chustkę na głowie. Jakiś wojskowy mnie zaczepiał, a ja pokazuję, że mnie ząb boli, bo jak ja miałam się z nim porozumieć? Umiem parę słów po niemiecku, ale to jest za mało, żeby wytłumaczyć, co więźniarka robi sama w pociągu. No i dał mi spokój.

*Jak wyglądał pobyt u tego bauera?*

AP: Nie wracałam do obozu, mieszkałam tam. Miałam na strychu taki pokoik.

*Jak panią traktowali?*

AP: Różnie. Nauczyłam się tam doić krowy, ale nie szło mi i raz zostało trochę mleka. No i bauer przyszedł, sprawdził i na mnie z krzykiem – popycha mnie, krzyczy, że nie doiłam wszystkiego. Byli wymagający, ale nie bili mnie. Był też chłopak, który był już tam dłużej, bo dawniej przyjechał. Wiem, że to Bolek był, Polak.

EŻ: Mówiłaś, że on miał śliczny pokoiczek. I że miał inne jedzenie.

AP: Tak, on miał większe porcje. Ze smalcem, ja z marmoladą. Ale i tak chowałam jedną kromkę, żeby im zanieść do obozu. Mamie i siostrze.

*Czyli mogła pani jakoś się przemieszczać?*

AP: Tak, już były luźne stosunki, bo to była końcówka. W nocy uciekałam, przez okno, po drabinie. Raz usłyszałam, jak Niemcy szli. Bo w tych buciorach szli, słyhać z daleka. Schowałam się do rowu przy szosie. I jakoś tam przebyłam, jak poszli, to dalej szłam do obozu. A do Berlina mnie puścili gospodarze, bo starali się zjednywać ludzi. Potem, jak była ucieczka, to kazali mówić Rosjanom albo innym, że nam było dobrze u nich.

Jak wtedy pojechałam do Berlina, to dlatego, że chciałam dowiedzieć się, co dzieje się z ojcem. Jedna z pań z synkiem w czasie rozdziału pracy trafiła do jakichś gospodarzy, którzy byli przeciwko nazistom i bardzo dbali o nią. Miałyśmy skądś kontakt z nią i ona dowiedziała się od swoich gospodarzy, że część więźniów z Neuengamme jest teraz pod Berlinem. Jej gospodarze dowieźli ją tam. A mama wiedziała, że ona tam będzie jechać, i dała jej kartkę do ojca. Ona potem powiedziała, chyba przez robotników, Zbyszka i Wacka, którzy też pracowali u bauerów i z nami złapali jakiś kontakt, że mamy przyjść do niej, też do tych bauerów. Myśmy nocą szli przez las, ci robotnicy nas prowadzili.

EŻ: I przyszliśmy do pokoju tej kobiety, przepiękny pokój, umeblowany, z firankami, zasłonkami, ciepłutko. Pamiętam to, myśmy stanęły w drzwiach i byłyśmy zszokowane. Chłopczyk leżał z sygnetem ojca na palcu i matka obok niego, bo tam pod Berlinem dowiedziała się od kogoś, że jej mąż nie żyje. I oddała mamie kartkę do naszego ojca jako potwierdzenie, że i on nie żyje.

AP: Jak myśmy wracały do obozu, nie pamiętam. Tak samo mało pamiętam powstanie.

*A co pani pamięta z tego czasu?*

AP: Ja coś mało byłam w Warszawie podczas powstania. Ciotka Staropolska mnie wprowadziła do szpitala, tam głównie pracowałam. Ale tego nie pamiętałam, jak miałam opowiedzieć po wojnie, żeby za mnie zaświadczyli.

EŻ: A pamiętasz, co zrobiłaś z opaską sanitariuszki?

AP: Nie pamiętam. Tylko pamiętam, że ją miałam. Co się z nią stało – nie wiem.

EŻ: Wrzuciłaś ją do kotła centralnego ogrzewania, żeby się pozbyć. Widziałam.

AP: Nie pamiętam. Byłam harcerką i jak przyszli Niemcy, to akurat przybiegłam do domu, bo czasem przybiegałam. Wszystko się zapomina, ale co zrobić?

EŻ: A pamiętasz, mówiłaś o takiej dziewczynce w szpitalu, która strasznie chciała pić.

AP: Nie.

EŻ: Była w brzuch ranna ta dziewczynka i tyś mówiła, że ona ciągle prosiła o wodę, a nie wolno jej było pić. I gdzieś obok stał flakonik z kwiatami, dziewczynka wypiła wodę z flakonu. I woda paradoksalnie jej pomogła, bo chyba w wodzie wytworzyła się penicylina z tego kwiatka.

AP: Pamiętam tylko, że dwóch Niemców tam było w szpitalu.

EŻ: Mówiłaś o trzech?

AP: Dwóch. I jeden wołał – ten, który miał nogi poucinane – wołał, jak on będzie chodził, jak nie ma nóg? To byli ranni Niemcy, bo szpitale polowe zabierały też Niemców. A potem kazali nam wyjść. Tych, co nie mogli sami wyjść, to wynieśli.

*A śni się to pani czasami?*

AP: Nic, mnie to nigdy nic się nie śni.

EŻ: A ja nie mam nocy bez snu. Nie pamiętam, żeby obóz mi się śnił. Natomiast mojej córce śnił się stale obóz. Zwłaszcza jej się to śniło, gdy było powstanie na Węgrzech. Pomimo że ja jej nie mówiłam o wojnie, ani mąż, ani babcia, ani nikt z naszej rodziny. Bo – jak pani wie – o tym się nie rozmawiało. Dzieci to przenoszą. A wnuczka z kolei prosiła, bym jej opowiadała.

*Mówią panie, że nie rozmawiały o wojnie przez trzydzieści lat. Ale czy chociaż o tym myślałyście?*

AP: Czy ja wiem, chyba o tym nie myślałam nawet. Było, przeszło, minęło i koniec.

EŻ: Chyba nie, chyba to zostawiłyśmy za sobą. Myśmy strasznie przeżyły tę śmierć ojca, więc właściwie tkwiło tylko w nas przekonanie, że jeszcze go zobaczymy. Więc co tam wspominać sprawy, które już nie istnieją.

*W którym momencie to się zmieniło? Kiedy przestałyście czekać?*

EŻ: Nie. Nie przestałyśmy. To zostało w nas. Przez to, że nie było żadnego pożegnania, żadnego momentu, w którym można by uwierzyć. Tym bardziej że on był wspianiałym człowiekiem. My właściwie wciąż czekamy. Mamy takie zdjęcie taty z Tatr, z 1938 roku, które babcia podpisała: „Mój ukochany Jędrusik, który zginął w obozie” (płacz). Jak ona tak mogła napisać, skoro nie wiadomo było? Ale ona też nie wierzyła do ostatniej chwili. Pisała listy, szukała. Nawet wysłałyśmy to zdjęcie do Neuengamme, bo robili w Hamburgu wystawę o Polakach, którzy trafili tam po powstaniu.

Zacząłyśmy o tym rozmawiać dopiero, gdy trzeba było starać się o zaopatrzenie rentowe mojej siostry. Ponieważ siostra była na wsi, wtedy nie było mowy o emeryturach dla rolników. I siostra była tam bardzo sama.

A tu pani pokażę książeczkę z Arbeitszeit, tak wyglądałam wtedy ślicznie. Mam inną datę urodzenia, bo matki wówczas obniżały naumyślnie wiek dzieciom. Tu jest 1931, a ja jestem z 1929. Siostra też miała taką fotografię, a po wojnie napisała na jej odwrocie: „ $\frac{3}{4}$  do śmierci”.

Tu jest zaświadczenie, że pracowałyśmy w szwalni Marquardta, gdzie byłyśmy zatrudnione podczas pobytu w obozie. Oni na koniec wydawali nam takie zaświadczenia o pracy, to chyba nie było zupełnie typowe?

*No właśnie, może wrócmy jeszcze teraz do momentu, w którym Niemcy wpędzili was do namiotu przejściowego w Ravensbrück.*

EŻ: Namiot był olbrzymi. Ponieważ kazano oddawać wszystko – była taka lada –



ludzie faktycznie oddawali. Leżało naprawdę wszystko: srebra, złota, brylanty, sztucce. Tyś wzięła jedną maciupenką złotą monetę i powiedziałaś: wezmę sobie na pamiątkę. Nawet nie wiem, jakiego nominału. Ludzie już nawet nie chcieli podchodzić do tej lady, więc rzucali rzeczy na słomę, która leżała w namiocie: kosztowności, sztucce.

*To właśnie w tym miejscu powstał później pomnik w kształcie namiotu?*

EŻ: Tak. Po nas, między grudniem a styczniem 1944 i 1945 roku, tysiące kobiet i dzieci zginęło tam z głodu i zimna. Dowiedziałam się o tym dopiero na sześćdziesięciolecie wyzwolenia, gdy postawiono ten pomnik. Miałyśmy szczęście, że nas stamtąd wyciągnęli.

*Jak długo was tam trzymano?*

EŻ: To były nie godziny, ale dni, jeśli nie tygodnie. Początkowo stamtąd nas zawozili razem z niemieckimi więźniarkami traktorem na pole jakiegoś władcy, że tak powiem, władcy obozowego.

AP: I tam był strażnik, który nazywał się Klag. Nawet ja go pamiętam, bo był straszny drań. To był ziemczony Polak, gdzieś z Poznańskiego.

EŻ: Prawda. Wywozili nas do pracy na platformie, na przodzie, a z tyłu na drugiej platformie wożono czyściutkie Niemki, polityczne więźniarki. One były w pasiakach, których my nie dostałyśmy. I miały białe chusteczki na głowach. Potem powiedziały, że one nie będą z nami jeździły, bo my jesteśmy brudasy i zawszone. Ale potem przywożono nam jakiś posiłek – tak to nazwijmy – który składał się z niedogotowanych ziemniaków i marchwi. To była jakaś polewka.

AP: Zjadało się, bo człowiek był głodny.

EŻ: One, te Niemki, zbuntowały się, że z nami nie chcą przystawać. I wtedy osadzono nas na polu, w szopie dziurawej. To musiało być bardzo blisko obozu. Wówczas dowiedzieli się o nas Wacusz z Łodzi i Zbyszek, ci robotnicy, którzy nas później prowadzili przez las. Na górze szopy było jakby piéterko, umieścili nas tam, szczury biegały, okropieństwa. Troszeczkę słomy, ale jak wsadzało się palec w słomę, to wyjmowało się – przepraszam – z wszami. Była tam jedna miseczka o obwodzie talerza, jedna na sześćdziesiąt osób. A woda była przywożona w takim baniaku, z tego się czerpało. A jak była niedziela, zdejmowało się ubranie i iskało się wszy. Dostałyśmy wtedy małą paczuszkę od pani Nickowskiej – ich rodzina w Inowrocławiu też była w strasznej nędzy – w tej paczce znalazłyśmy między innymi grzebień do wszy, dawniej były takie grzebienie. Z jednej strony miał gęściejsze ząbki, jak czesało się nim włosy, to dosłownie sypały się wszy. To nas ratowało.

*Czyli nie golono wam głów?*

Nie, chyba nie było już na to czasu i za dużo ludzi naraz przybywało. Nie dawali nam też ubrania.

Miałam srebrny łańcuszek z pierwszej komunii. Zdjęłam go na chwilę, żeby jakoś umyć się w tej miseczce, jeśli to w ogóle się udawało. I szczur porwał mi ten łańcuszek i uciekł, dosłownie w chwilę, widziałam go. Nie znalazłam ku mojej rozpaczy tego łańcuszka. Dostawałyśmy cieniuteńkie dwa kocyki, a to już był późny październik i listopad. Zajmowałyśmy się obieraniem kartofli. Młodsze dziewczyny były na wozie i je przyjmowały, starsze zbierały.

Żyjemy właściwie dzięki mojej siostrze, ona była szalenie dzielna. Mama już na leżąco zbierała te ziemniaki, bo nie była w stanie. Jechał robotnik z końmi, wygrzebywał maszyną, koparką te ziemniaki i trzeba było je zbierać. Ten strażnik Klag podchodził i mówił nam: „Macie zebrać od tyndy do tyndy”. Wszystko jedno, w jakim było się wieku. Ja oczywiście nie dawałam rady w tym czasie tego zebrać, mama też nie. A siostra nas ratowała. I nie tylko zbierała za siebie, ale też za mamę i za mnie. Była tam taka kobieta, z pochodzenia Francuzka, była tak strasznie głodna, że zbierała i jadła żywe żaby. Rezultat był taki, że potem ją zabrali do szpitala, ale najpierw dostała straszliwe baty od tego Kłaga. Nasza mama próbowała ją jakoś ratować, bo знаła niemiecki, ale pewnie by też oberwała, powiedzieli, żeby się nie wtrącała.

Ja nie mogłam chodzić, bo miałam kolana sztywne i opuchnięte. Kazał mi ten Klag iść do obozowego lekarza, to musiało być bardzo blisko, poszłam na piechotę. Lekarz mnie zbeształ nieprawdopodobnie. Dał mi jakąś buteleczkę, żebym płynem smarowała kolana. I dał karteczkę, że mogę trzy dni nie wychodzić do pracy.

I ja wracałam, a przy polu z ziemniakami były takie pomieszczenia, między innymi dwa czy trzy klozeczki. Zobaczyłam, że na koniu, białym koniu jedzie ekonom obozowy z batem i krzyczy strasznie. On jechał z batem na dziewczyny, które tam były same, teraz bez Kłaga, który gdzieś na chwilę odszedł. One zaczęły uciekać do klozetów. I ja z tą buteleczką szłam, więc on do mnie i zaczyna krzyczeć. Nie mogłam sobie w tym momencie przypomnieć, jak nazywa się lekarz. W pewnym momencie sobie przypomniałam i pokazuję mu buteleczkę, mówię, że byłam u lekarza. Więc on znowu skoczył do tych dziewczyn, ale one były już zamknięte w klozeczkach. I odjechał.

Miałyśmy tylko niedzielę wolną, więc wtedyśmy się odwszały. Mamusia tak nas odwszała: był jakiś piecyk i nad nim prażyłyśmy te wszy z ubrań. Przychodzili też Wacek i Zbyszek, to byli robotnicy rolni – zawsze mieli czyściuteńkie buty, tego nie mogłam zrozumieć, jak im to się udawało? Eleganciki młode (śmiech). Później pracowałyśmy w szwalni u Marquardta.

*Jakie tam były warunki?*

Myśmy w tym samym pomieszczeniu szyły i spały na podłodze z odrobiną słomy, bez pryczy, i w tym samym się myły. Tylko klozecik był obok. Praca była o tyle ciężka, że mundury i płaszcze, które dostawałyśmy, były bardzo ciężkie i twarde –

zniszczone, zakrwawione, zabrudzone.

*Czyli waszym zadaniem było reperowanie mundurów nazistowskich?*

Tak. I ja wtedy miałam tak zwane karbunkuły na szyi – wrzody, jak śliwki duże, strasznie dokuczały. Jak się człowiek nachylił, ból był okropny. Pilnował nas niejaki Brzeziński. Był na tyle ludzki, że choć nie akceptował słabości czy choroby, nie uderzył ani nie wrzeszczał za bardzo.

*Kim był ten Brzeziński?*

Zniemczony Polak. On nas pilnował.

*Ile kobiet pracowało w szwalni w tym czasie?*

Może sześćdziesiąt.

*Była jakaś solidarność między więźniarkami?*

Myśmy właściwie jak rodzina się czuły. To wszystko były kobiety wzięte z Warszawy. Przypuszczam, że w każdej sytuacji by tak było. Tam był też podobno pan Szabelak, który pisał wspomnienia, on działał w Warszawie. Ale ja go nie pamiętam zupełnie z tego czasu, on też mnie nie pamięta. Jakimś sposobem dowiedział się, gdzie jest mama i siostra, dotarł do nas. Strasznie to wszystko się gmatwa, te opowieści, wspomnienia, pamiętanie, niepamiętanie.

*Chyba im więcej czasu mija, tym bardziej się gmatwa?*

Tak. Ja może dlatego coś pamiętam, że w pewnym momencie siadłam i zaczęłam to wszystko spisywać. Opowiadałam pani, jak wyszłam z komanda?

*Nie.*

Dostawałyśmy tylko gorący posiłek. I kartki na resztę jedzenia. Trzeba je było realizować w sklepie.

*Obozowym sklepie?*

Właśnie nie. Posyłali nas do najbliższego, zwykłego, cywilnego sklepu. Pamiętam go doskonale. Weszłam tam, podchodziło się do wysokiej lady i sprzedawczyni, która siedziała, jak teraz pani siedzi za stołem. Tam dalej była kasa. Trzeba było pokazać kartki, ekspedientka przygotowała nam odrobinę margaryny i odrobinę marmolady buraczanej. I chyba tyle. Nie każdy chodził osobno, ale jakoś gromadnie chodziliśmy. Nie pamiętam dokładnie tego. Jednak raz poszłam do sklepu, podeszłam do lady, odebrałam jedzenie i przy kasie miano mi wyciąć kartki. A ja ominęłam kasę, wyszłam ze sklepu, poszłam do innego sklepu i wzięłam te same towary. Ale tam już nie ośmieliłam się tego powtórzyć. Te odrobiny jedzenia nas uratowały. Jak wracałam po tym odłączeniu się, szłam przy rzeczce Havel. Uszłam kawałek i zobaczyłam, że przy niej stoi żandarm. Ale już nie mogłam się cofnąć. Szłam po prostu. On uśmiechnął się do mnie. I potem zastanawiałam się, czy to był uśmiech dla mnie jako dziecka, które jest więźniem? Czy poznał, że jestem więźniem? Raczej powinien poznać, bo jak musiałam wyglądać? Jak musiał mój płaszczyk wyglądać?

Kiedy indziej odłączyłyśmy się z mamą po białe bułki. Stanęłyśmy w kolejce,

byłyśmy jak nędzarki dwie. A to było małe miasteczko, więc wszyscy w tej kolejce na pewno się znali. Sami Niemcy. Czy to była litość, czy ludzkie zachowanie? Nikt nie zareagował, dostałyśmy to, po co przyszłyśmy. Potem raz poszłyśmy na kartoflisko, po ziemniaki. Tam były kopce, ale jak zniszczyć kopiec? Wie pani, jednak zostaje w człowieku coś ludzkiego. Myślałyśmy, że jeśli dokopujemy się do środka dla tych kilku ziemniaków, to zniszczymy cały kopiec.

*I co zrobiłyście?*

Wróciłyśmy bez ziemniaków. Ale jakie byłyśmy głodne, że w ogóle wpadło nam do głowy? Pomyślałyśmy, że tam na polach przecież są kopce, może z tych ziemniaków, które zbierałyśmy. To było tuż przed moją ciężką chorobą.

*Którą chorobą? Chyba jeszcze o niej nie wiem?*

Chorowałam na puchlinę głodową. Byłam nieprzytomna zupełnie, majaczyłam i krzyczałam. Śnił mi się wtedy ciągle ojciec, widziałam go, witałam się z nim. I zdawało się, że skończę tam życie. Moja mamusia wreszcie zdecydowała się wyjść z tego drewnianego baraczkę, w którym byłyśmy. Wyszła w nocy, poszła do miasta szukać tabliczki z lekarzem. Na jakiejś bocznej ulicy znalazła taką tabliczkę. Zapukała tam, wyszła jakaś kobieta. Mamusia знаła język niemiecki, powiedziała, o co chodzi. Ta kobieta się zgodziła, powiedziała, że mama ma iść przodem, a ona będzie szła za nią. Przyszły do mnie, lekarka dała mi jakieś lekarstwa, powiedziała, co mama ma dalej robić, i w ten sposób mnie uratowała. Byłam cała opuchnięta, miałam wodę pod skórą, siną. Jak wstałam po jakimś czasie, to powiedziałam, że muszę iść natychmiast do kubła nieszczęsnego. Obok stał rozgrzany piecyk i tak się chwiałam na nogach, że o mało mamusi nie zrzuciłam na ten piecyk. Nie mogłam się utrzymać na nogach.

Mama później też zachorowała, została zawieziona gdzieś do lekarza, nie wiem gdzie, podobno do Templina. Jakieś jelitowe historie. To już było pod koniec pobytu. Na sam koniec ten Brzeziński, co nas pilnował, po prostu przestał przychodzić. Jeść nam nie dawano. I robotnicy przynieśli nam jakieś skradzione kartki na żywność. Poszłyśmy wykupić chleb, siostra przybiegła po nas. I potem już ruszyliśmy dalej, chyba na nasze nieszczęście, bo nie wiem, co było lepsze. Wszystkie koleżanki, które też uciekały, to w strasznych warunkach gdzieś się plątały, Ruscy byli po drodze, niebezpieczne to było.

*Może teraz schowamy woreczek obozowy do tej folii? Czy takie wietrzenie mu nie zaszkodzi?*

EŻ: Nie, jemu już teraz chyba nic nie zaszkodzi.

*Prąta go pani kiedyś?*

EŻ: Chyba nie.

*Czyli na nim wciąż są cząsteczki obozu?*

EŻ: Bardzo możliwe. Aniu, poczęstujesz się ciastkami? Pani Agnieszko, bardzo

proszę jeść.

*A czy mogłabym jednak najpierw umyć ręce?*

Robimy przerwę w rozmowie i przygotowujemy herbatę. Pytam Annę Puchajdę, czy podobnie jak jej siostra, mieszka w Krakowie.

AP: Nie, mąż miał gospodarstwo pod Lublinem, przeniosłam się do niego. I tam zostałam. Teraz już sama mieszkam. Ale córka przyjeżdża często do mnie.

*Daje pani radę sama mieszkać na wsi?*

AP: Mieszka mi się. W zeszłym roku byłam u córki, ale wolałabym u siebie mieszkać. Wprawdzie muszę palić sama w piecu węglem, ale mimo wszystko.

*Nie ciężko pani nosić węgiel?*

AP: No, ciężko, zwłaszcza zakupy. Ale przenoszę. Po tych przejściach niemieckich i innych ogłuchłam na oboje uszu, mam teraz dwa aparaty.

*Mam wrażenie, że w efekcie bardzo dobrze pani słyszy?*

AP: Tak, można powiedzieć, że doskonale, nigdy aż tak nie słyszałam. Ale jak telefonuję, muszę wyjąć, bo lepiej słyszę bez.

EŻ: Nie narzekaj, lepiej słyszysz ode mnie, gdy mam jeden aparat. A jak ubiorę dwa, to jest klęska zupełna.

*A dlaczego przestała pani słyszeć podczas wojny? Wydarzyło się coś konkretnego?*

AP: Nic się nie stało, po prostu przestałam słyszeć na jedno ucho. Poszłam do lekarki, a ona mówi: oba są uszkodzone.

*Miała pani jeszcze inne dolegliwości po wojnie?*

AP: Raczej nie, tylko uszkodzony słuch i na początku chore kolana. I jeszcze nie mam wężu zupełnie (śmiech).

*A jak długo dochodziły panie do siebie po tym fizycznym wyczerpaniu?*

AP: Ja w ogóle nie chorowałam.

EŻ: Kochanie, co ty mówisz? Bardzo długo. Zaraz po powrocie byłam chora na serce i na wątrobę. A siostra przecież bardzo chorowała na gruźlicę płuc, ledwo ją odratowano.

AP: To prawda, miałam gruźlicę.

*Kiedy to było?*



EŻ: Po wojnie, ta gruźlica już musiała w niej być, a zorientowała się około 1947. Jak zdiagnozowano, to już był ciężki stan.

AP: Tak, odmę miałam wtedy.

EŻ: I jeśli chodzi o sprawy zdrowotne po wojnie, pierwsze dzieciątko siostry nie przeżyło po urodzeniu, miało kilka dni.

AP: Dwa dni miało.

EŻ: Ochrciłaś go, kochanie, imieniem naszego ojca (płacz). Dzisiaj byłby pewnie uratowany, ale wtedy... Okazało się, że, no właśnie, dawano nam płyny w obozie. Nikt nie wie co. One zmieniały nam cały cykl.

AP: Te płyny wstrzymywały krwawienie. I stąd później były takie szopki z tym wszystkim: zachodzeniem, niezachodzeniem, poronieniami, chorymi dziećmi.

EŻ: To wstrzymywało nasz rozwój. A siostra była w obozie, mając siedemnaście lat. Strategiczny czas. Dawali nam płyny wlewane do tak zwanych herbatek. Oczywiście do herbaty niepodobne. W tym czymś musiano nam dawać też te płyny. Bo menstruacja nie istniała w obozie, nikt nie miał menstruacji, nikt.

*A może to przez działanie stresu?*

EŻ: To też jest czynnik, prawda. Ale nie wierzę, że sam stres wpływałby na wszystkie, wszystkie kobiety. Musiało być coś więcej.

AP: Pierwsze dzieciątko mi umarło. Drugie w 1948 roku urodziło się w ósmym miesiącu. A trzecie w 1949, też nie do końca donosiłam. I potem jeszcze jedno w 1953, pierwsze, które urodziło się w terminie. Mam troje dzieci. Córeczka też musiała leczyć się na gruźlicę, bo jak ją rodziłam, już byłam chora. Długo musiała być w sanatorium.

EŻ: Lekarz wtedy stwierdził, że na skutek braku miesiączki, wstrzymania rozwoju wszystko gorzej funkcjonuje. A potem, po latach, nie chciał tego potwierdzić. Jak wróciliśmy z obozu, zatrzymałyśmy się na północy, w Chojnie. Na szczęście nie było fizycznej pracy, tylko ogródek. Pamiętasz, kochanie, wtedy znalazłaś w ziemi złote serduszko?

AP: Nie serduszko, ale obrączkę w ziemi, z wygrawerowanym AZ, w ogródku znalazłam. I ja mówiłam wam, że to tak, jakbym obrączkę ojca znalazła, bo to są jego inicjały.

EŻ: Najpierw w Chojnie byliśmy w dwupiętrowym domu. Zaczęłaś pracować w urzędzie miejskim, a ja gminnym.

*A jak wasza mama radziła sobie po wojnie?*

EŻ: W Chojnie słaba była, ciągle chorowała. Przed wojną na rentę przeszła po dziesięciu latach pracy nauczycielskiej. A nie było – przynajmniej my nie miałyśmy – żadnych dodatków do emerytury z racji czasu wojny. Dopiero w 1974 roku dostałyśmy tak zwane renty wojenne. Po czym zabrali nam połowę emerytur. Mama nie pracowała, ale siostra od razu po wojnie pracowała w miejskiej radzie, jakiś czas

w urzędzie stanu cywilnego. Przyszła kiedyś od razu po wojnie jakaś kobieta zameldować dziecko, siostra pyta: „No, a ojciec kto?” – bo taki był obowiązek. A ta kobieta: „Tych się pani zapytaj!”. I pokazuje mężczyzn, którzy tam stali. Siostra była w szoku, miała siedemnaście lat. Wtedy, gdy pracowałam w radzie, mogliśmy mieszkać przy ulicy Pływackiej w Chojnie. Kwity są jeszcze u mnie. Ale to wszystko jedno, bośmy to zostawiły i żeśmy przeniosły się gdzie indziej.

AP: Jak pracowałam w Chojnie, chodziły po ulicach Rosjanki w takich byle jakich sukienkach, które były tak naprawdę koszulami nocnymi znajdowanymi w tych pootwieranych domach niemieckich.

*Chciałabym się jeszcze dowiedzieć, jak wydostałyście się z obozu i dotarłyście do Chojny?*

AP: Czy ja to pamiętam?

EŻ: Ty jesteś u bauerów, my z mamą u Marquardta, w szwalni. I nagle tam wszędzie było trąbione, że Niemców już nie ma. I teraz coś, czego za bardzo nie możemy mówić, bo według tych, które ciągle były w głównym obozie, to jest nierealne. Ale nas bardzo mało pilnowano w tych podobozach i zakładach, bo niby gdzie miały uciec matki z dziećmi? Mówiłaś, że twoi gospodarze powiedzieli, żebyś poleciała po siostrę i mamę, bo już nikt nie pilnuje obozu. Chcieli się zabezpieczyć, że będą mieli trójkę osób, które za nich zaświadczą. Siostra przybiegła z tą wiadomością. Ci gospodarze kazali nam uciekać, bo i im kazano uciekać. Oni jechali wozem, załadowanym w mnóstwo rzeczy oczywiście. I siedzieli na tym wozie. A nam kazali iść pieszo obok wozu.

Myśmy nie znały zbyt dobrze niemieckiego, poza tym było wiadomo, że jak przyjdą Ruscy, to albo wszystkich zgwałcą, albo zabiją. A jak nas złapią Niemcy, to podobnie. Ewentualnie może ci gospodarze nas uratują przed Niemcami, a my gospodarzy przed Rosjanami. Nie uważałyśmy, że jedni lepsi od drugich, Niemcy czy Rosjanie, wszystko jedno, to jest to samo, ale w różnych mundurach. W pewnym momencie jakiś Ruski z karabinem gotowym podchodzi do nas i mówi do siostry: „Masz iść z nami, będziesz nam gotowała” i tak dalej. Siostra mówi, że nie może, bo ma mamę i siostrę. On na to: „Nie masz nic do gadania”. A siostra znała na tyle ukraiński, że mogła porozumieć się z tamtym, i na tyle niemiecki, że powiedziała gospodarzowi na wozie, żeby jechał, a ona nas dogoni.

Siostra powiedziała, że dobrze, jak musi, to z nimi pójdzie. I została chwilę, ale po chwili stwierdziła, że musi sobie czapkę wziąć z wozu. Myśmy już dość daleko odjechali. I ona pędem za nami, do wozu, wskoczyła na wóz i powiedziała: pognać konie. Ale ten Rusek jakimś cudem nas dogonił biegiem. I z karabinem do siostry, że ją zabije i nas wszystkich, jeśli ona nie zejdzie z wozu. Ona zeszła. Nadjechał wtedy samochód.

AP: Nadjechał, to prawda. Przypominam sobie, z jakimiś oficerami. Ja zatrzymałam



ręką ten samochód i któryś z nich wysiadł. Tamten Ruski na mnie gadał, a ja powiedziałam po polsku, że chcą mnie zabrać albo zabić. Ale oficer nie rozumiał, więc mówiłam dalej po ukraińsku, wtedy zaczął słuchać. I kazał temu Ruskiemu – wojskowemu niskiej rangi – wynieść się, i krzyczał na niego. A nam kazał jechać. Dojechaliśmy pod Elbę. Z jednej strony byli Amerykanie, a z drugiej dogonili nas Rosjanie.

EŻ: Może źle się stało, żeśmy nie zdążyły przekroczyć granicy. Wyjechałyśmy z tego lasu akurat w ramiona naszych przyjaciół. I teraz wracamy. Idziemy koło wozu, wciąż z tymi gospodarzami, bo nie mamy innych możliwości. Idziemy i jest skarpa. Widzę tam wóz bez konia, z dyszlem, i coś na wozie siedzi. Patrę, jest plecak. Mówiłam już to pani?

Nie.

AP: Też tego nie słyszałam.

EŻ: E, jak nie słyszałaś, skoro potem chodziłaś w tym, co tam znalazłam, no, proszę cię. Patrę, czy ktoś wkoło jest, nie ma nikogo. Otwieram ten plecak, są trzy pary majtek, trzy koszulki, trzy pary pończoch i jakiś kawałek materiału, z którego mama później uszyła mi bluzkę. Jednym słowem, spadło nam to z nieba. Biegnę z tym – jako ta niezdara z plecakiem – i mówię: „Haniu, pomóż mi z tym”. A ty krzyczysz: „Czemu ruszasz, mama nie pozwalała nic ruszać!”. A jak ja zobaczyłam trzy czyste rzeczy, to wydawało mi się, że to Bóg wie co. Mówię jej: „Hanka, trzymaj!” A ty: „Nie będę trzymać nic, mama nie pozwoliła!” Ale jednak w końcu była łaskawa mi pomóc, byłaś łaskawa. Dojechaliśmy do wioski, tam wreszcie umyliśmy się po ludzku i przebrałyśmy te łachy.

AP: Gdzie spałyśmy?

EŻ: No właśnie, gdzie?

AP: Nie u tych gospodarzy, gdzie indziej. Przyszło trzech robotników z sąsiedztwa.

EŻ: Jeden z nich przygotował sobie traktor, jak nas nie było. Albo go dostał, albo ukradł. A że chyba gospodyni niemiecka była jego kochanką, bo męża nie było, to pobrał sobie pełno rzeczy do tego traktora, dywany, nie dywany, i poobijał tymi dywanami traktor od wewnątrz. I myśmy jak u sułtana tam miały. Odeszłyśmy od bauerów i pojechaliśmy z robotnikami, bo oni znali siostrę po sąsiedzku już wcześniej.

*Bauerowie puścili was?*

EŻ: Nie mogli nie puścić już wtedy. Ale nie dali nam nic na drogę. Znaleźli się mężczyźni, Polacy, którzy pracowali w sąsiedztwie. Dowiedzieli się o nas i zabrali. Jechała też z nami pani Nikiforowa z dzieckiem. Wzięła mnóstwo rzeczy od tych gospodarzy, nawet maszynę singerowską wzięła.

*To był pierwszy szaber?*

EŻ: No tak, Nikiforowa na pewno tego nie dostała, ale zabrała od swojego

gospodarza. Zabrała też walizy różnych materiałów i później miała świetnie, szyła sobie z tego ubrania, a my ciągle chodziłyśmy w łąkach. Mama mi zrobiła sukienkę na bal z zasłony zielonej. Bośmy mieli cudowne zabawy w WOP-ie.

Później pamiętam taki moment, gdy gdzieś się zatrzymujemy, są otwarte domy niemieckie. Wchodzę do środka, a tam srebra i wszystko leży na podłodze porozrzucane. A ja widzę tylko kłębki wełny, które też leżą. A ja wiem, że jest mi zimno. Do dziś widzę te kłębki wełny, nawet w kolorach. Ale nie wolno mi zabrać, nie moje. Tak jesteśmy wychowane. Wychodzę. Tam już niejedna osoba musiała być, bo to było wszystko porozrzucane.

Ale jechaliśmy tym traktorem i dojechaliśmy do dużego gospodarstwa, gdzie byli Ruscy, a my w pierwszym momencie nie zorientowaliśmy się. Koniecznie chcieli siostrę wziąć, żeby obierać ziemniaki. I powiedzieli, że zabierają nam traktor. Z nami jechał taki chłop, chudy, bida, schorowany, który później furmanił. I on prowadził ten traktor. Ruscy kazali mu go uruchomić. I nie mógł sobie dać rady, traktor nie odpalił. Powiedzieli, że go zastrzelą i nas wszystkich, jak nie naprawimy traktora. W końcu za którymś razem udało się.

AP: Myśmy tam spały, a panowie w tym czasie znaleźli dwa konie i wóz, z taką nieszczęsną bryczką, która nie radziła sobie na drodze, na zaporach, które były poustawiane na szosach, i jeździła na boki. Myśmy wciąż bały się, że ten wóz zawadzi o zapory i rozbijemy się wszyscy.

EŻ: Kochanie, pierwszy był wóz, a za wozem bryczka. Myśmy w niej siedziały. Teraz sobie przypomniałam, że oprócz nas jeszcze panie Gaudasińskie tam były. I ten wysoki, potężny robotnik.

AP: No tak. Gdy konie nam się spłoszyły, to on wyskoczył, żeby je zatrzymać. Pędził z tymi końmi i je zatrzymał.

EŻ: (z radością) Pamiętasz to?

AP: Uratował nas. I został bohaterem. Tak dojechaliśmy do Chojny. Tam dawali wszystko, skończyła się jazda.

*I tam panie zostały?*

EŻ: Musiałyśmy zostać. Przez jakiś czas. Prawie nic nie miałyśmy.

*Dużo było przybyszów w Chojnie?*

AP: Nie było dużo. Poszłam do gminy, dostałam pracę. A mąż... skąd on się wziął, to ja nie wiem. Poznaliśmy się w Chojnie, bo tam było wojsko, on stacjonował i urządzaliśmy różne tańce. I tam w Chojnie pobraliśmy się. Trochęśmy tam byli, ze dwa lata. Mieliśmy taką Niemkę, bodajże Hilda się nazywała, mamie w kuchni pomagała. Ja jakieś buty miałam, które mnie cisnęły, dałam jej, to tak się cieszyła, że taki prezent dostała. Ale w końcu kazali wszystkim Niemcom wyjechać. I wyjechali. Ta nasza Niemka też. I tam poznałam tego Volksdeutscha, który dał mi płyn na chore kolana, dzięki czemu do dziś mam spokój.

EŻ: Chudziutki Ghandi bez kozy – tak zawsze siostrę nazywali.

*Są panie zadowolone ze swojego późniejszego życia? Co panie robiły?*

EŻ: W Chojnie musiałam zacząć pracować, początkowo w gminie. Chojna była bardzo zniszczona po wojnie. W końcu ktoś mnie spytał: „Pani Ewo, czy umie pani pisać na maszynie?” Powiedziałam: „Oczywiście, że tak”. A wcale nie umiałam pisać na maszynie, ale moja siostra chodziła do szkoły handlowej i miała taką instrukcję. Śledząc ten druk, uczyła się teoretycznie pisać na maszynie. Ja to wówczas podglądałam, więc miałam pojęcie, jak wygląda maszyna do pisania. Szalenie szybko nauczyłam się pisać i z tą nową umiejętnością przeszłam do Wojsk Ochrony Pogranicza i tam pracowałam.

*Długo tam pani pracowała?*

EŻ: Kilka lat. Tam przeszłam okres, kiedy łapano AK-owców. Kiedyś przyjechali z informacji tak zwanej, to samo co UB, ale wojskowe. Wyłapali wówczas wszystkich AK-owców z okolicy i ślad po nich zaginął.

*Tak po prostu ich zgarnęli?*

EŻ: Tak, byłam przy tym, jak ich wsadzili do samochodu i wywieźli. Myśmy nie wiedzieli w tamtym momencie, co się dzieje. Ale ci ludzie już nie wrócili.

*Który to mógł być rok?*

EŻ: Może 1950? Nieco później wyrzucali całą inteligencję. Kazali nam wypełniać ankiety, z jakiej rodziny jesteśmy. Ja niestety byłam córką chemika i nauczycielki, więc to było źle widziane. Zostałam zwolniona z dnia na dzień. Bez żadnych perspektyw finansowych. Wtedy wyjechałam do Szczecina. Uprosiłam tam w batalionie, żeby dali mi pracę, pozwolono mi być jeszcze trzy miesiące. Potem szukałam posady, znalazłam w zarządzie portu. Tam pracowałam jakiś czas, ale marzyłam, żeby wrócić do Krakowa. I w końcu wróciłam, w 1951. Z mamą przyjechałyśmy. Nie mogłam tutaj dostać posady, bo nie byłam zameldowana. A skoro nie miałam posady, nie mogłam być zameldowana. Błędne koło.

*Siostra już pojechała z mężem do Lublina?*

EŻ: Tak. My z mamą miałyśmy w Krakowie jeszcze dziadka, ale on żył w bardzo skromnych warunkach, bo już wtedy było dokwaterowywanie. U babci z drugiej strony przebywał syn z rodziną, też ciasno. Mama zamieszkała u swojego ojca, a ja u stryjostwa.

*Jak pani zrobiła coś z niczego? Jak zaczęła pani żyć w Krakowie?*

EŻ: Pierwszą pracę dostałam trochę przez przypadek. Poznałam jakiegoś takiego – jak się później okazało – partyjniaka tak zwanego, któremu się spodobałam. On powiedział, że załatwi, bym dostała pracę w Nowej Hucie. Załatwił mi tę posadę, a później zameldowanie. Ale tam pracowałam bardzo krótko, potem z kolei w Ars Christiana.

*Czyli rzucało panią na wszystkie strony?*

EŻ: Tak (śmiech). Potem pracowałam w kartografii, a grubo później w Związku Plastyków. I tam już zasiedziałam się do emerytury. Lubiłam tę pracę, to było jakoś związane z tym, że dziadek był artystą malarzem, trochę znałam tych ludzi, te stosunki. Było już łatwiej przeżyć. W sumie myślę, że wojna i obóz zaprzepaściły moje szanse zawodowe.

*Jakie miała pani marzenia?*

Jak wróciłam do Krakowa, bardzo chciałam się uczyć. Ale chorowałam po obozie, nie dałam rady. Miałam problemy z sercem, reumatyzm i tak dalej. Bardzo późno zrobiłam maturę, kiedy jakoś zebrałam się w sobie i kiedy dopiero mogłam. Ale ciągle wydaje mi się, że byłoby wszystko inaczej, gdyby... I byliśmy ciągle w strasznej biedzie, bośmy nic nie mieli. Zdobywanie wszystkiego było szalenie trudne, ani mieszkania, ani nic. Dopiero grubo później, w 1965, dostaliśmy mieszkanie. I to dziwnym trafem – męża biuro miało budować ileś tam budynków. Byliśmy na liście, ale któregoś dnia mąż przychodzi i mówi, że niestety, zostaliśmy skreśleni z listy. Dlaczego? Bo jakiemuś partyjnemu było potrzebne mieszkanie. Moja mama akurat wtedy była po ciężkiej operacji nowotworowej. W końcu udało się dostać co innego, mieliśmy córkę, wzięliśmy mamę do siebie i siostrzenicę. Ciężko finansowo było. Ani materiałów nie mieliśmy, ani nic, pamiętam, że szylałam jakieś sukienki z materiału, w którym były pokrzywy.

AP: Czy ja wiem, czy jestem zadowolona? Muszę być. Nie mam innego wyjścia. Nie wiem, czy wojna jakoś bardzo mnie zmieniła, zawsze byłam dosyć spokojna, siostra jest bardziej nerwowa. Nie miałam przed wojną jakichś specjalnych planów, po prostu czekałam, co się zdarzy. Mama ciągle chorowała, trzeba ją było przypilnować. Po dwóch latach w Chojnie pojechaliśmy do gospodarstwa męża i tam już zostałam.

EŻ: Potem pisałaś pamiętnik.

AP: Tak. I w dwóch książkach jestem: *Przyszli podpalić dom* i *Jestem matką*. To są książki wspomnieniowe, takie antologie. Był konkurs na najlepsze wspomnienia. Chodziłam do szkół, bo zapraszali, żeby dzieciom opowiadać.

*A zwracały się do pań jakieś instytucje z prośbą o wywiady?*

EŻ: W Polsce nie. W Niemczech tak. To był przypadek. Byłam na wczasach i tam poznałam panią, która znała pastora z Neuengamme, który współtworzył muzeum w tym obozie. To było chyba w 2004 roku. Wtedy prosili nas o wywiad, rozmawiał z nami człowiek o dużej kulturze, nagrał to. To było pierwsze nasze oficjalne przekazanie tych wspomnień. Jak teraz byłam, w tym roku, to ten człowiek dał mi płytę z tym nagraniem. Wydaje mi się, że to dobrze było zrobione.

*Jeździła pani na wczasy do Niemiec?*

To było z fundacji Maximilian-Kolbe-Werk, zna ją pani? Będąc w Klubie Ravensbrück, dowiedziałam się, że przyjeżdża wolontariuszka z tej fundacji, Niemka, pani Marianne. Proszono mnie na spotkanie z nią. Myślę sobie: ja z nią, a po co?

Dosłownie tak. Miałyśmy się spotkać pod kościołem Mariackim w Krakowie. Idę tam, ale na siłę, z wielką niechęcią, tylko dlatego, że mnie proszono. I na pierwsze widzenie rzucamy się sobie w ramiona, zupełnie nieznajome, nie wiem, jak to się stało. Jak się okazało, ona z kolei straciła brata na Wschodzie. To była wieloletnia przyjaźń, dlatego tam jeździłam. A tak ogólnie trudno powiedzieć, jaki mam stosunek do Niemców. Inaczej patrzymy na te sprawy dziś, dowiadujemy się różnych rzeczy, na przykład, że Niemcom dawali narkotyki, trenowano ich, to w pewnym sensie mogło tłumaczyć ich zachowania.

AP: A ja później nie udzielałam takich wywiadów. Może umrę niedługo, bo już mam tyle lat, że trzeba.

EŻ: Był taki piękny film, z Szaflarską chyba, *Pora umierać*, widziałyście? Cudowny, właśnie tak na spokojnie – bo to trzeba wiedzieć, że jest pora odchodzić.

AP: Ja też już wiem, że powinnam odchodzić. Dać jej, córce, spokój, niech nie przyjeżdża do mnie, to jej zabiera siłę i czas na pewno. Stara się bardzo.

EŻ: Dawniej było, że ktoś spokojnie odchodził, wszyscy stawali przy łóżku i go żegnali. A teraz nie. Był taki dowcip o umierającym Żydzie, zna pani?

Znam. A właśnie, skoro tak – czy w obozie spotkały panie Żydówki? Czy były na przykład w tej grupie pracującej w szwalni?

EŻ: Nie.

AP: Ja nie spotkałam się z Żydami żadnymi.

EŻ: A, przepraszam, była...

AP: Kto był?

EŻ: Jakże ona się nazywała?

AP: Z Żydówek?

EŻ: Tosia, Tosia, Tosia!

*Dłuższa chwila ciszy.*

AP: Ach, wiem, która Tosia!

EŻ: Wiesz, która Tosia? Naprawdę wiesz?

AP: Tak, ale nie pamiętam nazwiska.

EŻ: A czy pamiętasz, kiedy z nią dokładnie się zetknęłyśmy?

AP: Moim zdaniem nie w Ravensbrück, ale trochę później, w sanatorium. Ona tam była i ja tam byłam, i żeśmy się spotkały (śmiech).

EŻ: No tak. W Muszynie. I jeździliśmy sobie, on nas woził, on też był Żydem.

*Który to był rok?*

EŻ: Po wojnie. Dostałyśmy wczasy tutaj, w Polsce, ale płacono z Fryburga, z fundacji Maximilian-Kolbe-Werk.

AP: Wysoko było, po wąskiej drodze się jechało. Bardzo mili ludzie. Oni zostali po wojnie w Polsce. W Krakowie mieszkali. Wcześniej oboje byli w obozie. Przeżyli.

EŻ: I mimo wszystko zostali. Ona była długo w Ravensbrück. Zjadaliśmy zawsze

razem we czworo cały słoik marmolady. A przypuszczam, że w obozie Polki nie widywały za bardzo Żydówek, bo te, które nie zostały zabite, były po prostu w innych barakach. Bo były, musiały być. Przecież na koniec ileś Żydówek wyszło z obozu. Ale wtedy nie przyszło mi do głowy, żeby o tym pomyśleć.

Co do królików obozowych – też w obozie nie spotkałam żadnych. Dopiero po wojnie. Na przykład poznałam w pracy panią, która była królikiem, ale w ogóle nie rozmawiała o tym. Młoda, piękna kobieta.

*Kiedy pani zaczęła się udzielać w krakowskim Klubie Ravensbrück?*

EŻ: Bardzo późno. Do Związku Plastyków należała pani Maria Kogut-Piotrowska, było pięć siostr w ich rodzinie. One bardzo się udzielały. Ta pani była ravenbrückanką, stąd powstał kontakt i zaczęłam się udzielać, wtedy było nas w Krakowie bardzo dużo, kilkadziesiąt. Ale wszystko potem szybko się wykruszyło, umierały. Dzisiaj ten klub praktycznie nie istnieje. I co do różnych osób wciąż są jeszcze powątpiewania, to nie przysługuje się atmosferze. Ale tego pani nie zrozumie.

*Powątpiewania co do autentyczności doświadczeń obozowych?*

EŻ: Tak. W stosunku do mnie też są takie powątpiewania: że może ja nie byłam, że może ojciec nie był. Jak o tym ojcu usłyszałam, to myślałam, że coś ze mną się stanie. Wie pani, taki zarzut to już był szczyt. Dlaczego tak się dzieje? Zamiast bliskości jest jakaś przedziwna zawiść, w sumie nie wiadomo o co. Jeśli tylko ktoś nie znał danej osoby od razu po wojnie, to później zawsze ma jakieś wątpliwości. Przykro mówić, ale takie rzeczy istnieją, może dlatego, że ludzie za dużo przeszli? Nie wiem. Mam wrażenie, że wszyscy się starzejemy i w głowie nam się przewraca.

*Zatem wojna ciągle trwa?*

EŻ: Niestety. Wojna polsko-polska.

*Jeździły panie po wojnie do Ravensbrück. Jakie są te powroty?*

EŻ: Do Neuengamme jadę jak na grób ojca. Smętne to bardzo. A do Ravensbrück – inaczej, bośmy ocalały, a ojciec nie, więc to jest zupełnie inne uczucie. Przede wszystkim smutek.

*Podobno była pani w Ravensbrück na obchodach siedemdziesiątej rocznicy wyzwolenia. Pamiętam, że wówczas mówiono o skandalu organizacyjnym.*

EŻ: To prawda, byłam tam. Ale uważam, że to było głupstwo. Zła organizacja – owszem, ale nie skandal. Wówczas przyjechała tam prezydentowa Komorowska, która jako jedyna przywitała przede wszystkim były więźniarki – bardzo pięknie to zrobiła zresztą. Potem w samym obozie zorganizowano uroczystość, zaproponowano nam, że albo zjemy posiłek pod namiotem, albo wrócimy do hotelu. Myśmy nie chciały wracać, bo to było bez sensu, chciałyśmy tam jeszcze dłużej pobyć. Jak wchodziliśmy do tego namiotu, była cała masa polskiej młodzieży, która chciała nam usługiwać. Stały duże stoły. Wystarczyło sięść i można było dostać jedzenie. Swoją drogą jedzenie było naprawdę paskudne. Obok nas był stół, gdzie siedziały VIP-y.

Nawet nie zwróciłam uwagi wówczas, dopiero po tej aferze medialnej przejrzałam moje zdjęcia – faktycznie przy tym VIP-owskim stole podawano na porcelanie, albo raczej na porcelicie, i były lepsze sztucce. Myśmy rzeczywiście dostali jedzenie w plastikowych, jednorazowych naczyniach. Ale to nie było ważne. Gorsze było to, że jedzenie było paskudne – nie do jedzenia, prawdę mówiąc. Ale też to samo jedli ci ważni ludzie... To nie było ważne, tylko to, żeśmy się spotkali, mogli złożyć kwiaty, porozmawiać, wydano książkę, była promocja, odsłonięto tablicę, nas otoczono opieką. Media nie powiedziały w ogóle o tym, co było dobre, nie mówiono też o samych więźniarkach, ale wyłącznie o tym, na jakich talerzykach jedliśmy i jak źle nas traktowano. Kompletne bzdury. Na to się wściekłam. A że był duży bałagan – to całkiem inna sprawa.

Ale też każde z nas inaczej interpretowało to, co się zdarzyło. Wie pani, jak miewaliśmy spotkania z Niemcami lub z młodzieżą i mieliśmy opowiadać o tym, co nas spotkało, to byli tacy, którzy zawsze mówili to samo, takie zwarte, niezmiennie opowieści. A jak im się przerwało, to musieli to samo mówić od początku. Albo opowiadali o zdarzeniach, co robili, jak robili, a w ogóle nie wspominali, co czuli. A przecież, wyobrażam sobie, w wielu momentach musieli umierać ze strachu.

Wydaje mi się, że były może trzy grupy: ci, którzy stracili wszystko, kogoś bliskiego, wiedzieli, że muszą stworzyć wszystko od nowa, nawet niekoniecznie dom, ale własnych parę rzeczy, żeby to był kubek, choć jedna łyżeczka, żeby było coś chociaż podświadomie własnego. Siostra pojechała po wojnie do Warszawy szukać rzeczy, gdzie poza strasznie zniszczonym portretem mamy, który malował dziadek przed wojną, nie znalazła nic. Aha, jeszcze tabliczkę z mosiądzu z podobizną dziadka, uszkodzone zdjęcie ojca, dwa szkice i jakieś dwie małe figurki. Znalazła to w piwnicy domu, w którym mieszkaliśmy. Chodziło o odbudowanie nastroju domu. Byli też tacy, którzy – za przeproszeniem – chapali. Starali się udowodnić, że mieli źle w czasie wojny, że byli torturowani czy poddawani eksperymentom. W celu wzbogacenia się. A trzeci typ, który szedł po trupach – wstąpić do partii, stanowisko znaleźć, coś znaczyć, być kimś wreszcie. Może jeszcze czwarta, najsmutniejsza grupa tych, którzy siedzieli i nie wiedzieli, co mają zrobić, co zdobyć, nie potrafili się pozbierać po tym wszystkim. Tak bym pogrupowała tych, którzy przeżyli, nie wiem, czy słusznie.

*A panie? Jak się panie zmieniły przez te wojenne doświadczenia?*

EŻ: U nas nie istnieje coś takiego, jak „muszę to mieć” czy „muszę to zrobić”. Uważam, że jest tylko: muszę być zdrowa i muszę żyć. Myślę, że to jest jakaś pozostałość po czasie wojny. Nie wiem, jakim byłabym człowiekiem, gdyby wszystko inaczej się ułożyło. Może by nas pycha rozpierała? A może nie. U nas było wiele wspólnoty rodzinnej i życzliwości, mój ojciec na przykład nie akceptował tego, że służąca nie siadała z nami do stołu. Miał inne podejście do ludzi. Było dużo

muzyki, mama grała na cytrze i na skrzypcach, ojciec – gdy go zastała pod Kurskiem rewolucja – nauczył się grać na mandolinie. Myśmy śpiewały, dziadek też. Jeden stryj był literatem, drugi muzykiem, dość otwarta rodzina. Wszystko się zbierało, były rozmowy na różne tematy, tego strasznie mi brakuje. Teraz im więcej techniki, tym wszyscy bardziej zaganiani. I ludzie mało się spotykają, nie rozmawiają. A ja jeszcze ciągle piszę listy.

AP: A ja na wsi nie mam poczty, nie mam sklepu, to znaczy są, ale daleko. Najbliższy sklep jest jakieś dwa kilometry dalej. Mogłabym pójść na stałe do córki. Ale w domu najlepiej. Hodowałam wnuki. Najstarszy wnuk był chyba u mnie ze trzy lata. Jak już zaczął mówić, to wołał nas ze swojego łóżeczka: „Pytam się, czy można, bo u mnie mokro!”. Mam troje dzieci i trzynaścioro prawnucząt. Tak rozrosło się to życie.



**Karol Tendera**

Wie pani, napisałem wspomnienia, książkę całą. Dałem do tłumaczenia na niemiecki, ale źle zrobiono, spartaczono mi to tłumaczenie. Więc dałem te zapisy do konsula, on ma attaché kulturalną, która poleciła mi kogoś, kto to naprawdę dobrze przetłumaczył. Teraz jestem zadowolony.

*Zna pan język niemiecki?*

Znam, ale niemiecki towarzyski.

*Uczył się pan jeszcze przed wojną?*

Nie, dopiero za okupacji, wiedziałem, że trzeba z grubsza znać ten niemiecki, bo zaczepiali na ulicy, pytali.

Jak pani wie, mnie zabrali ze szkoły mechanicznej, z ulicy Krupniczej. W marcu 1940. Tam uczyłem się, nawiasem mówiąc, na spawacza, bardzo podobał mi się ten zawód. Miałem kolegę mechanika spawacza, który pracował na lotnisku. Bardzo przystojny, przyjemny, starszy ode mnie ze trzy lata. Jasiu. Niestety biedak zginął podczas wojny. I dobrze zarabiał, bo to spawanie nie jest takie proste, to jest sztuka. Sztuka to jest.

Mnie się podobało, patrzyłem też na to przez pryzmat zarobków. Uczyłem się więc na spawacza, byłem na trzecim roku. Pamiętam, jak przyszło dwóch panów w marcu do dyrektora. Rządzili się jako szarogęsi. Przyszli i powiedzieli, że potrzebują z zawodowej szkoły, z najwyższej klasy, trzydziestu uczniów. I to już, natychmiast. Dyrektor wpadł w jakiś szal i nie wiedział, co robić. No więc przyszedł do nauczyciela i kazał dać trzydziestu uczniów, bo gestapowcy zarządzili. Kto mógł się sprzeciwić?

Pod eskortą policji niemieckiej sprowadzili nas na dół, zawieźli na dworzec osobowy, do specjalnego wagonu pod eskortą chyba pięciu esesmanów z karabinami i pistoletami. Wieźli nas jak bandytów groźnych.

*Jeszcze nie wiedzieliście, dokąd was wiozq?*

Nie, jeszcze nie. Choć to rodziło w nas różne obawy, nie? Bo przecież oni łapali na ulicach, wyciągali z kina, z kościoła, z domów. Brali do samochodu i wieźli.

*A czy pan wówczas, w 1940 roku, wiedział o istnieniu obozów?*

No, wiedziałem, wiedziałem, bo przecież to była taka cicha tajemnica. Pamiętam jak dzisiaj, po ucieczce z Hanoweru, bo nas do Hanoweru wywieźli, wróciłem do domu i ukrywałem się oczywiście. Ale chodziłem po mieście. Na Rynku w Krakowie były duże głośniki, we wszystkich miastach Niemcy takie mieli. I przez te głośniki oni dawali informacje o wojskach niemieckich: to wygrali, tamto zajęli. I w pewnym momencie Figel mówi: „Tam wojska niemieckie zlikwidowały opór, tam aresztowali tyłu i tyłu Rosjan, a gdzie wy jesteście, Polacy?”. Takie pytanie zadał. A w szmerach po Rynku odpowiadało: „W Oświęcimiu”. Pamiętam jak dzisiaj.

*Mówi pan, że zawieźli pana do Hanoweru. Gdzie was umieścili?*

Proszę pani, to była fabryka samolotów, a baraki, w których mieszkaliśmy, były

czterysta metrów od fabryki, na wierzchu. Drewniane baraki.

*Jak was traktowali?*

Jeśli chodzi o majstrów, robotników, byli dla nas życzliwi, nie mogą powiedzieć. Nawet majster Niemiec pytał mnie, czy jestem głodny, dawał mi kanapki. Ci Niemcy cywilni byli całkiem innego pokroju. A ci mundurowi to co innego, oni byli szkoleni. Pamiętam, jak pokazywano Hitlera, który mówił: „Nie miejcie litości dla nikogo! Niemcy się liczą, inne narody będą dla nas najemnikami”. Tak samo powiedział gubernator Frank: „Polacy nie muszą mieć wykształcenia, żeby pracować dla nas fizycznie”. Wie pani, to było takie przykre. Ja byłem młody chłopak wtedy, ale dla tych starszych to było jeszcze bardziej przykre słuchać o takich perspektywach.

W Hanowerze pracowałem na hali silników. Tylko my z Krakowa tam żeśmy pracowali. Ale to były różne oddziały. Przychodziło dużo samolotów z frontu, podziurawionych, mieliśmy je naprawiać. Tam byliśmy jeszcze w swoich ciuchach, mało – dostaliśmy tak zwane Kleinekarte, czyli kartki na ciuchy. Oni dali nam też kartki na pieczywo. Wędliny i inne były tylko dla Niemców.

*Dlaczego pan stamtąd uciekł?*

Uciekłem, bo były bombardowania. Bombardowali dwa, trzy razy w tygodniu Hanower. Wprawdzie ta fabryka była świetnie zamaskowana, bo miała taką siatkę rozłożoną, dużą chyba na dwa hektary, a na niej suche sitowie. Samolot z góry pewnie nie mógł się zorientować. Ale myślę sobie: kiedyś się zorientują.

*Jak pan uciekł?*

Proszę pani, mój kolega uciekł wcześniej. Józek się nazywał. Szukałem go później, ale go nie mogłem znaleźć. On mi się zwierzył. Ja z nim jakoś się trzymałem, ale też z innymi, bo byli tacy bracia Ochoccy, jeden już nie żyje, drugi żyje, chciałem go zaprosić na kawę w zeszłym roku, ale on mi mówi: „Karol, ja już nigdzie nie wychodzę”. Wie pani, różnie się starzejemy. No i ten Józek powiedział mi, że będzie uciekał, to go proszę: „Jak już będziesz w Krakowie, weź, napisz mi list”. Bo listy dochodziły, ojciec pisał, brat pisał do mnie. I Józek napisał mi dokładnie, gdzie kupić bilet, gdzie wysiadał, gdzie się chował po drodze.

*Niemcy to przepuścili?*

Tak, tam chyba nie czytano takich prywatnych listów. To było dla mnie pomocne. Jak Józek mi pisał, kupiłem sobie bilet do Katowic. Potem on mi kazał wsiąść w tramwaj numer 2 i dojechać do Przemszy – rzeki. „Tam nad rzeką jest park, musisz przenocować tam w krzakach” – pisał. – „A rano o czwartej musisz przejść Przemszę i ino lecieć prosto do stacji Jęzor, niedaleko Trzebini. A potem musisz przejść na nogach do Lowej, tam jest granica Reich i Generalnej Guberni”. To mi dużo pomogło. I tak było.

*Jaki pan wybrał dzień? Jak pan się stamtąd wydostał?*

Niedzielę, bo była wolna. Te nasze baraki nie były ogrodzone. Tylko mieliśmy „P”

przyszyte do ubrań. Tam wokół były też inne takie zakłady, między innymi kobiece. Ja sobie kupiłem ten bilet do Katowic. Ale dowód osobisty, czyli Kennkarte, odebrali nam zaraz w pierwszym dniu. Jadąc do Katowic, spotkałem kontrol w pociągu, policję. No i chcieli zobaczyć mój paszport. Ale uzbierali nas tam kilku takich, jakichś Ukraińców, Białorusin i chyba Litwin. Zabrali nas z pociągu na peron, potem na Kriminalpolizei. A wiedziałem, że jakbym się przyznał, skąd uciekłem, to wieszali na drzewie. Dlatego musiałem szybko szukać jakiejś bajeczki i powiedziałem: „Przyjechałem tutaj do was znaleźć jakąś robotę, bo w Krakowie nie ma z czego żyć. Chcę może do jakiegoś bauera”. To powiedzieli, że mnie zawiozą na Arbeitsamt, czyli do urzędu pracy. Zawieźli nas. Tam dali mnie na dworzec główny w Breslau, Wrocławiu, oczywiście do fizycznej pracy w magazynie. Ja patrzę, jak tam spałem pierwszą noc, a tutaj alarmy, syreny, bomby walą. Czyli wpadłem z deszczu pod rynnę.

Mieszkałem u takiej wdowy, Niemki, męża jej zabili pod Leningradem. Tak mi Niemcy załatwili. Byłem tam może półtora miesiąca.

*Jak ona pana traktowała?*

E, no bardzo fajno. Nawet mnie podrywała, ale to jednak była trochę starsza pani, a ja gówniarz wystraszony, to co ja miałem? Ja miałem dziewiętnaście lat, a to była babka trochę po pięćdziesiątce pewnie. Nie w moim typie zresztą.

W każdym razie byłem przewidujący i mówię sobie: cholera, znowu będę musiał uciekać stąd. Ale wszędzie była kontrola ścisła, policyjna. Ona mi tam pokazała odznaczenia swego męża, lotnika. Zasłużony był. Miała takie ładne odznaki lotników. Ja tu mam zresztą taki sztylet oficera lotniczego, tam są hitlerowskie znaki, ale to już kupiłem na starociach.

Proszę sobie wyobrazić, że dała mi tę odznakę lotnika, wpiąłem ją do kłapy. Postanowiłem, że muszę udawać Niemca, żeby się do mnie nie przyczepili. Bo oni patrzyli bardzo, sprawdzali. Jak któremuś coś się nie spodobało, to od razu: „Kommen hier!”. Ja po prostu wiedziałem, że muszę uciekać, bo ciągle były bombardowania. A dodatkowo dostałem list od brata, że się żeni. Nic nie miałem, tylko płaszcz sobie kupiłem i buty zamszowe, kapelusz elegancki Hikier, to była dobra firma, koszulę i krawatę. Ubrałem się porządnie, wsiałem do pociągu, bilet kupiłem z Breslau-Wrocławia do Katowic. Pamiętam, na dworcu w Katowicach schodziło się tak na dół. I przy tym wejściu szerokim ze czterech gestapowców stało, obitych blachą, hełmy, łańcuchy. Groźnie to wyglądało. Stali i patrzyli na każdego. Jak ktoś im się nie podobał, „Kommen hier!”. Odznakę niemieckiego lotnika przypiąłem sobie na wierzchu, na płaszczu. Hikier spuściłem w dół, bo tak chodzili gestapowcy, rondo mieli spuszczone w dół. I teczkę miałem, w środku cukier i pół chleba. Ruszyłem twardo i bezczelnie. Nie zaczepili mnie. Dodam, że miałem kolosalne szczęście w okresie wojennym. Szczęście mnie ocaliło wielokrotnie, od

śmierci nawet.

Dostałem się do Katowic, wsiadłem do tramwaju numer 2, jak mi Józek pisał, pojechałem do Mysłowic, nad rzekę Przemszę. To był maj, pod wieczór. Na ławce siedziałem, ale ludzie łazili. Wszedłem w takie krzaki gęste. Miałem ten chleb i dwa ręczniki. I o tak siedziałem, całą noc tak przesiedziałem (Karol Tendera kuli się i demonstruje, jak wówczas siedział). Komary mnie gryzły, cholera, kupę komarów było. To było dwadzieścia metrów od rzeki. O czwartej rano, jak ptaki ćwierkały, zdjąłem wszystko z siebie, zostałem tylko w majteczkach, zwinąłem rzeczy w taki pas. Całe szczęście rzeka nie była głęboka, więc ją przeszedłem. Na drugiej stronie taki mokry przyszedłem na górę, szybko się ubrałem, bo tam niedaleko była jednostka wojskowa, chodził żołnierz (Józek mi zresztą o tym pisał, żebym uważał). Poleciałem zaoranymi polami prosto przed siebie. Bo na Przemszy była jedna granica i przez most nie można było przejść bez papierów.

I poszedłem prosto do stacyjki. Tam stały wagony z wojskiem, ale nie niemieckim, bo inne umundurowania. Włosi to byli. Niektórzy mówili po niemiecku, ja też już trochę mówiłem po niemiecku, więc poprosiłem, czy mają coś do jedzenia. Młody człowiek jest ryzykant. Zresztą później w Oświęcimiu młodzi koledzy zachęcali mnie do ucieczki, nie poszedłem, a oni zginęli. Tam był Bachleda-Curuś i jeszcze inny mój kolega, Gienek. Mówiłem mu: „Gienek, nie ruszę się na razie nigdzie, poczekajmy jeszcze z pół roku”. On mówił: „Nie, ja już przygotowałem wszystko, chcesz, to jedź z nami, będziesz jutro wolny”. Ja mówię: „Nie, Gieniu, ja się na to nie piszę, nie jestem wariat”. Ale to tak na marginesie.

*Co z tymi Włochami?*

Dali mi trochę chleba. Suchary czy coś. Przez okno dali, z wagonu. Było na dzień czy dwa. Idę z tego Jęzora, pytam, gdzie iść dalej. W pewnym momencie staję przed łąką. Góra, krzaki, siadam i zastanawiam się, gdzie ta granica Generalnej Guberni. Maj, słońce świeciło. Nikogo nie było. Patrzę, a za jakieś dwadzieścia minut idzie chłop z broną i z koniem. Wołam go. Wsadził bat w ziemię, przyczepił konia i przyszedł do mnie. Pytam go, czy jest Polakiem, mówi, że tu wszyscy są. Mówię mu, że uciekłem z robót przymusowych, boję się o życie, lecę do Krakowa, ale nie wiem, gdzie jest granica. A on mi pokazuje: „Widzi pan, tam na dole jest ścieżka i krzaki. Oni tam chodzą w tę i z powrotem z psami. Musi pan uważać, dwanaście, piętnaście minut, jak oni przejdą za łuk, wtenczas pan na dół leci, a potem na górę, tam na górze jest już Ryczów i tam są Polacy. Ale mało komu się to udaje, bo mają psy, które czują. I oni te psy puszczają, jak zaczynają szczekać. A jak zatrzymają pana, to wywiozą do Wadowic, a z tego więzienia się nie wychodzi, tam jest katorga”. On to wiedział, bo pewnie się rozchodziło.

No i muszę pani powiedzieć, że byłem wychowany w rodzinie katolickiej. Wprawdzie ojciec nie chodził do kościoła, bo nie miał czasu, był wojskowym.

A matka była rodowita Węgierka, ona chodziła do kościoła. I babcia nas pilnowała, bardzo ganiała nas do kościoła. No i ja tam na tej górze, w krzakach, zacząłem się modlić, mówię: „Święty Antoni, ratuj moje życie młode”. Katolik wówczas.

*Później już nie katolik?*

Potem już nie. Po Birkenau już nie. Ale to pani później opowiem. W każdym razie powiedziałem sobie: rany boskie, chciałbym jeszcze żyć, ojca zobaczyć. Miałem też rodzeństwo: siostra najmłodsza pracowała u bauera za Legnicą, druga pracowała w fabryce czekolady, a brat w Baudienst, też firmie niemieckiej. A ja byłem w takim właśnie położeniu. Myślę sobie: cóż, odwrotu nie mam, muszę pchać się do przodu. W pewnym momencie widzę ich, idą, straż graniczna, trzech z karabinkami, z psami, krok za krokiem, pomalutku. I w końcu schowali mi się za łukiem. Odczekałem piętnaście minut i wtenczas teczkę do ręki i na dół. Po drodze chłopci zagrzebywali trawę, lecę prosto na nich. Na dół i do góry. Jak tak leciałem, to te chłopcy do mnie: „Panie, nie masz pan papierosa?”. A ja miałem papierosy, nie paliłem, ale przewidywałem, że mogą się przydać, więc trzy paczki kupiłem. Juno Rund – tak się nazywały takie papierosy. Wyciągnąłem szybko i paczkę rzuciłem im, chłopom. I poleciałem do góry, do jakiejś stodoły.

Pytam kolejnego chłopca, czy to już Generalna Gubernia. Mówi, że tak, że granicę tam w dole przeleciałem. Mówię mu też uczciwie, że uciekam. A on mówi: „Panie, musi pan tu na noc zostać, a jak pan chce pociągiem, to rano jedzie, tu niedaleko, do Skawiny, o szóstej. Ale radzę panu nie jechać koleją, bo kolej kontrolują”. Miałem to szczęście, że trafiłem na takich ludzi. Oni mnie tam przyjęli. Miałem tylko suchy chleb, więc zrobili mi ziemniaki z cebulką i mleko. Miałem trochę marek jeszcze, dziesięć czy dwadzieścia, to im dałem. Do rana w stodole na sianie przespałem. A rano ubrałem się szybko, podziękowałem im za gościnę i na nogach w deszczu polami. Ale w końcu widzę, że jedzie chłop drabiniastym wozem. Zatrzymałem go, wziął mnie kawałek, może sześć, siedem kilometrów. Do Skawiny doszedłem na nogach, a potem na nogach jeszcze do Borka Falęckiego. W zamszówkach nowych. I dotarłem do Krakowa, patrzę, tramwaj jedzie. Połowa „Nur für Deutsche”, a druga połowa „Nur für Polen”. Wsiadłem do tej części dla Polaków i pojechałem do domu. Kończył się przystanek na rondzie Mogilskim. Tu były góry, pani pewnie nie wie? Na jakieś sześć metrów wysokie, a na nich resztki murów obronnych budowanych przez Austriaków. Ja tam jeździłem z tej górki na teczce po śniegu. Teraz jest w tym miejscu ładne rondo. Mieszkałem wtedy na Wieczystej.

Przyjechałem, ojciec był. Ale później on też miał problemy, miał sprzed wojny Telefunken Radio. Kupił sobie, ale nie miał w tym swoim domku prądu. I to radio zawinął i schował gdzieś pod stół. Niemcy kazali oddać wszystkie takie sprzęty, żeby nie słuchać radia. Ale skoro ojciec nie miał prądu, to tego nie zrobił, bo i tak nie słuchał. Tymczasem zrobili rewizję, może na wyrwyki robili. I dostał się pod sąd,

a tam dali mu półtora roku za to, że nie oddał radia. To jest ten Ordnung niemiecki. Był wyrok: do dwóch tygodni zgłosić się do więzienia w Tarnowie. No więc miał czas wyszukać sobie miejsce i się przenieść. Znalazł u takich znajomych coś przy Rynku. Półtora roku tam siedział bidak. Ja z kolei ukrywałem się albo u brata, albo u kolegów.

*Szukali pana?*

Szukali. Jak ja do ojca przyszedłem, to już od razu mi powiedział: „Słuchaj, ale ciebie szuka policja niemiecka, pytają, czyś był, czy tu śpisz”. No, to sobie myślę: no, to nie mam czego szukać tu. Ale raz w nocy przyszedłem do domu od brata, w nocy. I ojciec zamknął bramkę na kłódkę, to było około północy. Ja się rozbieram, zostałem już tylko w spodniach i skarpetkach, pamiętam, jak dziś. Ja mam dobrą pamięć, wie pani, książkę napisałem kilka lat temu, wszystko z głowy. I w pewnym momencie słyszę: dzyń, dzyń, dzyń. Bo przy bramce był dzwonek. A pies był też w budzie, to czekał od razu. Wyszedłem taki na wpół rozebrany, koszulę wziąłem w rękę. Patrzę, a tam policjanci przeskakują przez płot. Ciemno było. Nie wracam już do ojca, tylko wyskoczyłem i na płot lecę, przez płot i w pola uciekłem. Nocą poszedłem naokoło do kolegi, w koszuli tylko i w skarpetkach, a to był listopad.

*Czyli w tamtym momencie zdołał się pan ukrywać od maja do listopada?*

Tak. Oni po mnie byli. Brat tam później chodził do domu i mi opowiadał. Ale gdzieś trzeba było pracować. Więc poszedłem na ulicę Tomasza 8, do kolegi Stasia, co miał tam sklep kolonialny. Raz na tydzień pomagałem mu rozładować towar. I przyszedłem do niego któregoś razu, a w drzwiach mijał mnie jakiś facet, który wychodził z tego sklepu. Po schodkach schodzi i stanął, bo wozy jadą. A ja wchodzę i Stasiu mówi: „Ty, słuchaj, ten pan, co tam stoi, o ciebie pytał”. Nie wiedział kolega, że tak się nie robi. A tamten to słyszał, bo drzwi były otwarte, wrócił: „Pan Tendera?”. „Tak”. No, to on: „Z gestapo jestem, proszę ze mną”.

*Właściwie to była kwestia sekund czy minut?*

No, czasami to szczęście zawiodło. Stał samochód, w środku taki byk esesman. Zawieźli mnie na Pomorską.

*Skąd mogli wiedzieć, że pan tam bywa i pracuje?*

Jest posądzenie takie: miałem szwagra, który miał pięciu czy sześciu braci. On miał kontakt z wdową po jednym z tych braci, która wdała się w romans z jakimś kolejarzem Niemcem. A oni bywali szpiegami. Ten mój szwagier tak sugerował, że to ona mogła wygadać. Zabrali mnie na gestapo, a tam przyprowadzono jakiegoś księdza starszego i pytają: „Wy się znacie, tak?”. Mówię, że pierwszy raz księdza widzę na oczy. No, to mnie uderzył łokciem, ale oni bili nie ręką, ale właśnie łokciem. Raz, drugi, trzeci. Koniecznie, żeby podpisać protokół, że pomagam księdzu w kopiowaniu kennkart, czyli tych dowodów. Mówię, że nie jestem drukarzem, a po drugie, księdza nie znam. Parę razy mnie uderzyli i chcieli mnie zmusić. Ale na to

zgodzić się nie mogłem, bo to była nieprawda, poza tym co księdzę będę wydawał na śmierć? Mówię im: „Proszę panów, możecie mnie zamordować lub zastrzelić, ale nie przyznam się, mnie jest już wszystko jedno”. Byłem już załamany tym wszystkim. No i zabrali tego księdzę, a mnie zabrali tam, gdzie ZUS, czyli na Szlak. Tam mnie zawieźli, ile razy tamtędy przejeżdżam, to myślę sobie: o, tu siedziałem. Jedną czy dwie noce w takiej betonowej piwnicy. Pluskwy były wielkości paznokcia. Prycze drewniane ze szparami, a w tych szparach gnieździły się pluskwy. To ja na betonie siadłem, czapkę sobie podłożyłem i tak noc przespałem. I potem zabrali mnie na Montelupich, tam siedziałem z półtora miesiąca. Tam poznałem tego Bachledę Gienka, mieszkaliśmy z nim razem. Oraz z Władysławem Krokiem, bardzo ładny i przyjemny, sportowiec. Zaprzyjaźniłem się z nimi i po tym czasie przyjechał wóz, wsadzili nas i zawieźli. Nigdy nie mówili, gdzie wiozą. To było 5 lutego 1943 roku. Pani Agnieszko, to było osiemnaście stopni mrozu, a śnieg po kolana. Niesamowita zima. Pod plandeką, dwa małe wozy transportowe. Na podłodze była blacha i lód, myśmy klęczeli jeden za drugim. Tak jechaliśmy dwie godziny, nie wiedząc gdzie, a to było do Oświęcimia.

I jak przyjechałem tam pod tor, „Arbeit macht frei”, to już wiedziałem, gdzie jestem. „Schnella!”, oni tak wrzeszczeli ciągle, na siebie też. Tam może było ośmiu czy dziewięciu młodych, a reszta to byli starsi, jacyś lekarze, inżynier, ksiądz. Jak ktoś mało się ruszył, to lali takim grubym szlauchem wypełnionym piaskiem i zatkanym z obu stron. To jakby żelazem rypnął. Ja się jakoś wiałem, żeby nie obrywać, ale ci starsi byli mocno bici. „Do sauny!” Tak krzyczeli. Tam nas rozebrali do naga, starsi więźniowie nas ostrzygli. Pod prysznic, takie sitka były, lała się gorąca woda. Szukamy jakiegoś ręcznika, nie ma, jakieś szmaty dwie leżały. Zaraz „Raus!” na pole. Wygonili nas nagich na to pole po gorącej kąpieli, na śnieg. To była specjalna robota, bo za półtora miesiąca połowa z nas umarła na zapalenie płuc. Ale myśmy z Władkiem skakali, oklepywali się, bili, masowałem go, on mnie, gimnastykę robiłem, ratowaliśmy się. Za parę minut przyjechały dwie takie rolwagi, starsi więźniowie rzucali nam koszule. Ja dostałem z krótkim rękawkiem, dziurkowaną, letnią koszulkę, bluzę pasiakową i spodnie pasiaki, buty to zelówki drewniane z paskiem. Żadnych kalesonów nie dawali, widocznie nie mieli. Te rzeczy to były z odzysku po Żydach. I dawali tak zwaną myckę, czyli czapkę, czapeczkę, też z pasiaków. Jak my to wszystko ubrali tam na śniegu, to zaprowadzili nas na blok 8A, na tak zwaną kwarantannę.

*A tatuowanie?*

To później, za jakiś miesiąc przyszedł w nocy esesman i wziął jakiegoś więźnia, który mu trzymał kałamarz. Bo to jest atrament, o, widzi pani? To jest atrament i ja tu kawałek wymazałem nawet, o, to jest zero, ale z jednej strony wymazane.

*Kiedy pan to sobie wyskrobał?*



Od razu, jak mi to zrobili. Bo oni tak chwyтали, o, tak chwytał jeden... (Karol Tendera nagłym ruchem łapie mnie za przedramię i pokazuje, jak naciągali skórę). ...naciągał skórę, a drugi namoczył sobie pióro w kałamarzu i pisał. (Mój rozmówca jedną ręką imituje tamten silny uścisk, a paznokciem drugiej ręki naśladuje gest pisanie po moim przedramieniu).

*Czy to boli?* – pytam, gdy Karol Tendera kończy pisanie.

Trochu cię boli, bo to krew musiała wyjść na wierzch. Krew na wierzch. Tak jakby zastrzyk dawali. I proszę sobie wyobrazić, że na tej kwarantannie codziennie rano przez dziesięć dni wyganiano nas na te drogi międzyblokowe pełne błota i śniegu. I była tak zwana gimnastyka, przeganiali nas tam jakieś dwie godziny. „Hüpfen, rollen, biegen”, takie były komendy. Najgorsze było „rollen”, czyli rolowanie po tym błocie. Potem na górę, do bloku – ani się umyć, ani się wysuszyć. To była tragedia. To była tragedia, ale jak ja potem poszedłem do Birkenau, to było dziesięć tragedii.

*Ale tymczasem skończyła się kwarantanna?*

Tak. No więc dali mnie do komanda, takiej sortowni tych rzeczy, które odbierali Żydom. Tam żeśmy byli i sortowali buty, to, tamto.

*Co jeszcze?*

Wszystko tam było, okulary, szczotki do zębów, ubrania. Myśmy to sortowali: ubrania–ubrania, buty–buty, wszystko–wszystko.

*Jakie wszystko?*

No, wszystko. Kosztowności im odbierali wcześniej, przy spisywaniu. Tam też zdjęcia robili. A reszta kosztowności to bardziej w kotle była, później.

*W kotle?*

W kotle zupy, bo Żydzi zapiekali te kosztowności w pączki. Ale to się nie udawało, bo Niemcy szybko się zorientowali, postawili esesmana i zabierali to. Mówili, że dają to do Berlina, ale guzik prawda, część dawali do Berlina, ale resztę dla siebie.

No i po jakimś czasie, dwa czy trzy miesiące, tam nie było nazwiska, tam był tylko numer. Blockführer po apelu przyszedł do nas i mówi: „Teraz piętnastu pójdzie ze mną”. Wszystko tam zawsze było owiane tajemnicą. Wziął kartkę i wybrał sobie numery młodych. Między innymi mnie. Idziemy, idziemy i tak mówimy z kolegami: gdzie oni nas prowadzą, cholera, byle nie na blok 11. A 11 to było albo strzelanie, albo w tych celach głodowa śmierć, gdzie Kolbe skończył. No więc wzięli nas na blok 28. 28 był na dole, taki pseudoszpital. Szpital, w którym robiono pseudomedyczne eksperymenty. Nie wiem, czy pani słyszała o takim Josephie Mengele? On tam miał swoje gniazdko. Tam był też taki Johann Kremer, profesor zresztą. I jeszcze jeden, Fritz Klein. Trzech było takich esesmanów lekarzy, którzy robili eksperymenty. I nam je zrobili. Wbili mi zastrzyk, o, tu. Wszystkim nam zresztą wbili te zastrzyki w pośladek.

*Ale słyszał pan później, że tam działał Mengele, czy pan go wówczas widział?*

No, widziałem go, tak jak teraz panią widzę. Przychodził, nieczęsto, ale bywał. To Kremer był codziennie i ten drugi, Klein, też. Taki przystojny, muszę powiedzieć. Pani go widziała może? Ja pani pokażę, gdzie ja tu go mam... Bo mam tu taką teczkę, widzi pani, tytuł: „Centrum Dialogu i Modlitwy”. Jestem tam prelegentem. A tu są moje dowody z Niemcami, po takich prelekcjach oni życzą sobie robić zdjęcia ze mną. A potem mi przysyłają (śmiech).

O, widzi pani, kto to jest? To jest prezydent Republiki Niemieckiej, pan Joachim Gauck. Widzi pani, jak on mnie tu wziął za plecy?

*Widzę, że jest pewna poufalość między wami.*

Tak (z zadowoleniem). To było 27 stycznia tamtego roku. Wywołałem to zdjęcie kilkakrotnie, zrobiłem obraz i powiesiłem sobie, proszę pani. O, a to jest Kolbe. A to jest Mengele, lekarz. Przystojny facet.

*Jak się zachowywał?*

On tam tylko dawał dyrektywy. On nie był jakimś dyrektorem, nie wtrącał się za bardzo w to, co działo się na co dzień. Przynajmniej nie było tego widać. Spokojny.

*No dobrze, dostaliście zastrzyki, co dalej?*

Na górze były takie sztuby z łózkami metalowymi, tam nas poukładali.

*Co to był za zastrzyk? Dowiedział się pan kiedykolwiek?*

Nie, ja do dziś nie wiem, co to było. Jakiś zastrzyk, który powodował niesamowitą temperaturę. Czterdzieści stopni mieliśmy jeszcze tego samego dnia, wszyscy, w nocy. A za trzy, cztery dni czterech umarło. Później znowu dwóch czy trzech. To taki quasi-szpital był. Dla takich eksperymentów przeważnie.

*Długo pan tam był?*

Jakieś osiem–dziesięć dni, ale nie dłużej. Całe szczęście, że pomagali więźniowie funkcyjni. Pfleger, czyli pielęgniarz. Tam był kolega z Krakowa, mój przyjaciel późniejszy, prezes, Stasiu Głowa. On na początek pyta się mnie: „A skąd ty jesteś?”. Mówię, że z Krakowa. A on: „Ja też z Krakowa, to zajmę ja się tobą, nie bój ty się. Wyciągniemy cię z tego” – mówi mi. Jakieś zupki delikatne mi przynosił. No, chłopaki mieli te chody. A tam był facet z Krakowa, doktor Władysław Fajkiel. I ten Głowa dał mnie na inny pokój, na takie łóżeczka trzypiętrowe, pełne pcheł i wesz, wszędzie były, niesamowite. Przyszedł tam do mnie ten Władek Fajkiel. Oglądał mnie, zbadał i mówi do Staszka: „Staszek, weźcie mu załatwcie coś na gorączkę, tyfus i na Durchfall”. Tam poleżałem jeszcze parę dni i wyszedłem. Wzięli mnie do Stubendienst, to jest służba porządkowa. Jak ludzie wychodzili poza obóz, za ogrodzenie, do zakładów, to musiał być ktoś, kto sprzątał obóz. Byliśmy taką grupą czyszczącą. Ale to długo nie trwało, może miesiąc.

No i pewnego dnia Blockführer wyczytał nas, nasze numery przy apelu, taką grupę dziesięciu–dwunastu chłopaków młodych. I mówi tak: „Jutro pójdziecie do Birkenau, tam będziecie odbywać rekonwalescencję”. I tam, w Birkenau, dopiero zaznałem

życia.

*Jak wyglądało przejście z Auschwitz do Birkenau?*

Na nogach. Oni pościągali z kilku bloków takich chłopaków, którym wcześniej zrobili zastrzyki. Ja akurat byłem z 15 bloku, ale też brali przecież z innych. Zebrali chyba osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt osób i rankiem na nogach półtora kilometra do Birkenau. Szliśmy tymi uliczkami, wreszcie do Birkenau, tam przedpole pełne błota. Tam brama się otwiera.

*Na pierwszy rzut oka – czym różniły się te dwa obozy?*

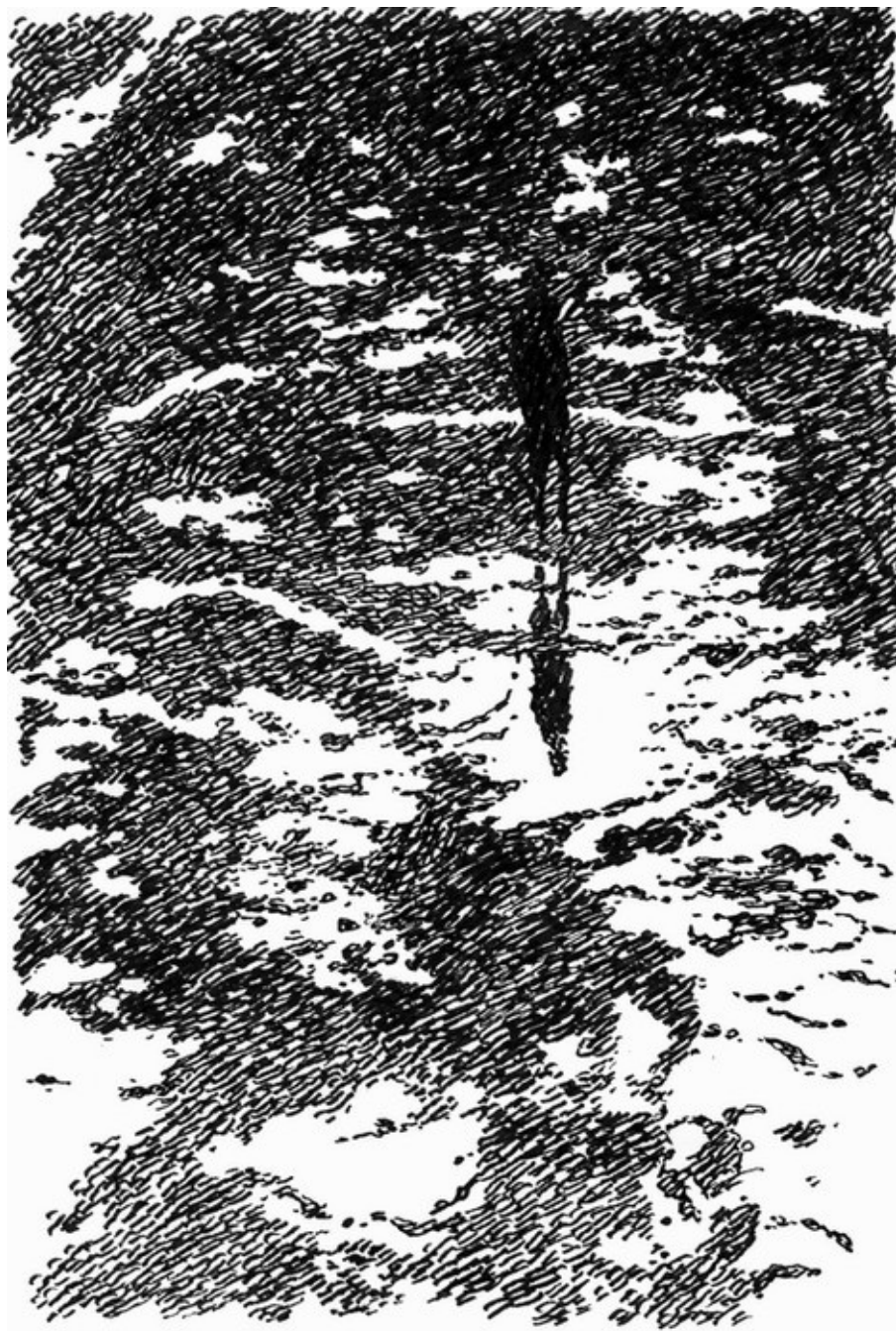
Pokażę pani zdjęcie, które dostałem z muzeum: o, widzi pani, w Birkenau to były takie baraki niziutkie, okna, cegła, bez sufitów, tylko dachówka ze szparkami. W lecie lała się woda, w zimie śnieg. Naokoło oczywiście te izolowane, pod napięciem druty. O, pokażę: to jest teraz zarośnięte trawą. Po trawie można łatwo przejść, ja tam teraz też szedłem.

*A wcześniej?*

Wcześniej było błoto prawie po kolana. Błoto wszędzie. Tylko jedna droga od bramy do krematoriów, tam dalej, była wybita cegłą stłuczoną, starą. Tak to wygląda dzisiaj – bardzo schludnie, prawda? Tu po bokach, w środku tych baraków, były takie półki, na dole było spanie jedno, na półce drugie i trzecie.

*Czy te baraki w Birkenau były w gorszym stanie?*

No, w gorszym, dużo gorszym, oczywiście. Bloki w Auschwitz były tynkowane, latryny były, takie wojskowe, ale były. No i woda zimna była, ale była! A w Birkenau nic!



Zaprowadzili nas na tę „rekonwalescencję”, stanęliśmy tutaj, przed tymi drzwiami. Zrobiłem takie zdjęcie bloku, w którym mieszkałem, jak byłem później z Niemcami. Na pamiątkę. Na jednym małym bloku pięciuset chłopów było. Pani sobie wyobrazi.

*Ilu was było na jednej pryczy?*

No, ośmiu. Oś-miu. Jak rano się budziliśmy, to z ośmiu trzech żyło. A resztę od razu rzucali jak śmieci na to błoto, kupa takich się zbiła, za dwie, trzy godziny przyjeżdżał samochód, zabierał od razu do krematorium gotowe. Ale pani... pani chce tego słuchać?

*Pana nikt nie pytał, czy chce pan to oglądać?*

No więc słuchaj, Agnieszko, podeszliśmy pod te drzwi, otworzył nam Żyd. Bo to był obóz żydowski, dla Żydów. Ja się patrzę: rany boskie, a cóż to za warunki są? Ani pieca do grzania – czy zima, czy lato. Ani wody, żadnej. Żadnej, ani jednego kurka. Ani nic. Ani ubikacji. Wiesz, co było? Beczka stała. Jak były te półki do spania, to co trzecią półkę stała beczka. Czy to widzisz? Widzisz to? Ja ci chociaż zdjęcie pokażę, zdjęcie wnętrza, mam tu gdzieś. O, widzisz, to jest środek, kruszy już się to wszystko. Tu jedno spanie, tu drugie, tu trzecie, tu były okna z tej i tamtej strony. A tu te ubikacje, czyli beczki otwarte, stały gdzieś co trzeci rząd półek do spania. Stare beczki i schodki dwa, bo bywały niskie chłopcy albo nawet młode chłopaczki takie, to musieli mieć jakieś podejście. Rany boskie, jak to wszystko zobaczyłem... Z Władkiem. Mówię mu: „Władek, Władek, na rany boskie, to jest przecież gorsze niż w piekle. Przecież my żywo nie wyjdziemy z tego”. Władek mówi tylko: „Karol”. Bo Władek był optymistą i taki ryzykant był z niego. Takie miał przeświadczenie, że musimy wyjść. Mówi mi: „Chłopie, weź się w garść”. A ja mu: „Ale jak? Jak nas tylko choroba złapie, to nie ma ratunku”.

Wody nie ma, nie mamy gdzie się myć, to śnieg topiliśmy. Dobrze, że to była zima, a długo tam nie byłem, chyba jakieś dwa i pół miesiąca. Bo inaczej bym się skończył, jestem pewien. Zimno jak cholera. Koce to były takie szmaty, dwie czy trzy szmaty na osiem osób, to każdy ciągnął na siebie. Pełno, pełno pcheł i wesz. Takie nieznośne, że całe ciało mieliśmy... miałem pokryte cętkami czerwonymi. Jak pchła ugryzie, to jest jakby cętka, jakby ktoś ukłuł szpilką, żebyś wiedziała na przyszłość. Ja i wszyscy – czerwone, całe ciało. A wszy we wszystkich szparach i szwach. Mówię: „Władek, ja już nie mogę dalej”.

*A gryzonie były?*

Szczury i myszy. Bo tam za blokami były takie doły betonowe. Rano więźniowie musieli te beczki z kałem ciągnąć i wylewać w te doły zawartość. To był obóz żydowski, więc Żydzi kombinowali, jak oszczędzać swoich. Normalna sprawa. Ale myśmy z Władkiem zawsze pół godziny wcześniej wstawali i żeśmy uciekali. Uciekali do innego baraku. Bo ja sobie nie wyobrażałem, a widziałam, jak to wygląda: beczka pełna moczu i świństwa, a dwóch czy trzech takich muzułmanów

niosło to po tym błocie. Jak to wyglądało: tu ręka wsadzona potąd w te gówna – przepraszam – i tak szli jak pijani, bo miękki grunt. I słabe chłopcy. Ogółem – jakbym miał pistolet, tobym sobie strzelił w głowę natenczas.

*Jak się mylicie, skoro nie było wody?*

Tak żeśmy się jakoś... deszcz padał często. Każdy miał miskę, bo gdy nie miał miski, to nie było jak zupy wziąć. Więc trzeba było pilnować, chociaż kradli. Zatem do miski się brało deszczówkę i raz na jakiś tydzień się ochlapało tym.

*Jak wyglądał pański dzień w Birkenau?*

Zależy od komanda. Ja tam pracowałam naprzód w komandzie kopiącym doły na ryby. Pamiętam, taka deska szeroka była, pełna gliny, błota, i nosidła były. Jeden sypał na dole, a drugi po desce szedł i nosił. Ta deska śliska była. Buty zelówka gładka. Musiał się pośliznąć. I jeden pośliznął się, spadł na dół. Przyszedł esesman i bił takich za to, że się przewrócili. Albo kopał. Mnie kopnął cham w kość ogonową, to jeszcze dwanaście lat po wyjściu leczyłem kość ogonową. Jak mnie kopnął tą cholewą, bolało mnie niesamowicie.

Nie było nawet gdzie się powiesić. Jedno wyjście było tylko: pójść na druty, dotknąć drutów, trzysta osiemdziesiąt wolt, to było jedyne wyjście.

*Faktycznie pan o tym myślał?*

Myślałem kilkadziesiąt razy o tym. Zerwałem się nawet ze dwa razy, żeby tam iść. Ale Władek Krok był nieugięty. On mnie beształ nawet, mówił: „Coś ty, zwariował, chłopie? Dajże spokój, Ruskie już niedaleko Śląska są, to będą i u nas”. Tak mnie pocieszał. Władek był wspaniały. Co roku chodzę, świecę mu znicze na cmentarzu Rakowickim. To był wspaniały chłopak.

Ale dążę do tego momentu, w którym straciłem wiarę w Boga. Proszę sobie wyobrazić, że po tym kopnięciu byłem taki słaby, głodny i chory na Durchfall, że postanowiłem pójść do kapy. Kapo to po włosku głowa. Każde komando miało kapę. Mówię mu, że nie mam siły. A on: „Idź tam, tam jest jakiś Krankenbaum”, czyli szpital. A to jaki szpital? To był taki barak otoczony płotem, żeby nikt nie widział, co tam się dzieje. I idziesz po to, żeby dzień, dwa poleżeć, a trzeci dzień do krematorium cię zawiozą. Ale tego wówczas nie wiedziałem.

Władek też mówi: „Idź tam, spróbuj, może jakiś lekarz będzie”. Nikt nie wiedział nic. No i poszedłem. Otworzyli mi bramisko paskudne, błoto w środku wszędzie, patrzę, a tam leży z dwadzieścia półtrupów. Krzyczą, wołają, że chcą wody. Trupiarnia. Przyjmujący otwiera mi drzwi do baraku, boczne. To samo: półki z prawie trupami. Ale gorzej: na betonie w tym tak zwanym szpitalu było pełno kału. Bo to byli chorzy na biegunkę, a to nie wybiera. Ja w tych trepach, a tam aż ślisko. Patrzę na te środkowe półki, leżą gumowe kalosze. Zabrałem, to jest ukradłem je po prostu, bo jak mam po tym świństwie chodzić. Ten Pfleger z gwiazdą Dawida, Żyd, stoi obok mnie, mówię: „Słuchaj, weźże mi jakie miejsce znajdź takie suche, przy oknie”. No

i wsadził mnie na jakąś środkową półkę.

*W jakim języku rozmawialiście?*

Po polsku, bo to był Żyd polski. Pyta mnie: „Skąd jesteś?”. Mówię mu: „Z Krakowa”. On: „Ja też z Krakowa jestem!”. Ja mówię: „Jak z Krakowa, to dajże mi jakieś pastylki, żeby ten Durchfall zatrzymać”. No, to dał mi. Oni brali od Żydów, z transportów, wiesz? Ale mówi: „Słuchaj, a po coś ty tu przyszedł?”. Mówię: „Może jest tu jaki lekarz?”. A on: „Jaki lekarz, gdzie tu lekarz? Jestem ja i jeden mój kumpel, też Żyd. Po to, żeby wam w południe wlać zupę do miski. Tylko po to tu jesteśmy. A za dwa dni pójdziesz, będziesz leżał tu w tym błocie kilka godzin, a potem cię zawiozą do krematorium”. Jak mi to powiedział, to mi włosy stanęły na głowie, to znaczy nie stanęły, bo ich nie miałem, ale tak to się mówi.

On pyta dalej: „Chcesz jeszcze żyć? Masz kolegów jakichś?”. Mówię: „No, mam kumpla z Krakowa”. On mówi: „Niech ci bierze chleb, pali na ognisku jakimś na węgiel i ten węgiel zjedz, bo to hamuje. A ja ci dam jeszcze sześć czy osiem tabletek, rano i wieczorem, żeby temperaturę obniżyć. Niech cię kupie ratują, bo inaczej tu zginiesz. Ja tu już rok jestem”.

No, ale on był funkcyjnym, czyli mądrym, wiedział, co mówi. Wypisał mnie rano. Opuściłem ten niby szpital.

Przyszedłem na swój barak, a kapo mnie chap i wziął na roboty na bocznicy. Przyjeżdżały wagony z ludźmi i z towarem. Między innymi przyjeżdżały baraki składane. My te baraki mokre, ciężkie, wynosiliśmy na ramionach i jakieś sto, sto pięćdziesiąt metrów nieśliśmy. Później inne grupy nosiły te części dalej i składały. Proszę sobie wyobrazić, byłem tam dwa, trzy dni. Sakramencko ciężka robota, bo krew się lała na ramiona, normalnie krew. Bo drelich taki cienki, a to ciężkie. Cóż ja będę teraz opowiadał? Mówiłem, jakbym miał pistolet, tobym sobie strzelił, tak było. A te druty mnie trochę wzdrygały, bo to z miejsca paraliż, i ta świadomość, że za chwilę mnie wsadzą do pieca i spalą mnie jak śmiecia. Poza tym Władek mnie trzymał przy życiu.

Jestem dwa czy trzy dni tam w pracy na bocznicy. Przyjeżdża w południe parę wagonów zwierzęcych, już stoją dwa czy trzy samochody esesmanów i esesmanek. I czekają, aż się drzwi pociągu pootwierają. Otworzyli te drzwi przesuwne i znowu: „Raus, raus, schnella!”. Ciągła ich metoda, bicie, kopanie. Wygonili ich. Esesmanki miały harapy ze skóry, a esesmani mieli te szlauchy wypchane piaskiem. Jak oni powychodzili z tych wagonów, kazali im usiąść po turecku. Różni ludzie, starsze kobiety, chłopaczki. I było tam tych kilku chłopaczków, osiem, dziesięć, dwanaście lat.

*Kim byli ci ludzie?*

To był transport belgijski. Żydzi z Belgii. Mieli walizki, a na walizkach mieli napisane, skąd pochodzą, po hebrajsku. Żydzi moi, koledzy moi, odczytali, bo znali te

zapisy. Mówią z płaczem: „Słuchaj, to są moje rodaki z Belgii”.

Te esesmany w pewnym momencie do błota wsadzili dwa pręty metalowe, to się mówi: sztuce metalowe. Uwiązali jakiś sznurek czy drut między nimi i dzieci brali pod ten naprężony drut, żeby wiedzieć, czy są małe, czy wysokie. Małe – „links”, na lewo. Wysokie – „rechts”, na prawo. Proszę sobie wyobrazić, że to im się nie udało, ponieważ dzieci zaczęły płakać i wrzeszczeć, matki zaczęły płakać. Te młodsze brały na rękę, a te starsze trzymały się nóg matek. I wrzask, krzyk. To była sodoma i gomora. To był horror. To był horror.

Chłopów od razu zabrali. Zostawili tylko takie babcie, kilka matek i te dzieci. Ale chcieli też te dzieci zabrać. Do „kąpieli” je zabierali. Tam były przygotowane takie rolwagi, wózki ze starszymi więźniami. Te matki... jak one płakały i krzyczały. Wszyscy płakali, ja też. Rozpłakałem się. Ci Żydzi, z któryśmy pracowali na poboczu... Mówię sobie: rany boskie. Odstawiliśmy te elementy barakowe na chwilę, żeby odpocząć, bo człowiek słaby, chory, głodny, i patrzymy. Ci Żydzi mówią między sobą, ale też do mnie: „Karol, gdzie ten Bóg wszechmocny, wszechmogący, wszystkowiedzący? Gdzie on jest? Jak mordują dzieci, matki i babcie nasze, gdzie on jest, ten Bóg? I on nie jest w stanie przeszkodzić temu? Jak on nie przeszkadza temu, to znaczy, że nie ma żadnego Boga” – tak mówią ci Żydzi, płacząc.

To byli mądrzy Żydzi, wykształceni, inteligentni, byli tam aptekarze, kupcy, inżynierowie, nawet ze dwóch profesorów. Znałem ich, bośmy się spotykali wieczorami, po robocie. Powrzucał na siłę dzieci do tych wózków, bo nie chciały przejść pod drutem. Esesmanki z pejcami biły matki i te dzieci. Jak ja to opowiadam w Oświęcimiu, w Domu Dialogu, to te Niemki płaczą, one płaczą. Mówią: „To nasi rodacy tak potrafili bestialsko postępować?”. Mówię: „Tak, tak wasi postępowali dziadkowie, a może i ojcowie”. A te esesmanki to ich kochane babcie może były? Reakcja jest taka, że są bardzo smutni ci Niemcy, bardzo speszeni. Czasami jakiś ich nauczyciel zabiera głos, współczują mi bardzo, były nawet przypadki, że przeprasza. Po czym wyjeżdżają.

Jak żeśmy to widzieli, to oczywiście pod wieczór już cały obóz o tym wiedział. Spotkaliśmy się, rozmawialiśmy. Naprzód poszły do komory dzieci i też dziesięć czy dwanaście babć – babć, bo widziałem siwe włosy – także wzięli je do „kąpieli”. A matki niektóre jednak cofali do roboty, jak już odłączyli je od dzieci.

Każde krematorium miało tak zwane Sonderkommando, czyli specjalne komando. Tam przeważnie byli Żydzi, ale też zdarzali się Polacy. Zmuszali ich wszystkich, bo kto by tam chciał być? Wyciągać trupów i wsadzać ich do pieca. Słuchaj, ja tam podczas tego całego procesu spalania nie chodziłem, bo nikt tam nie chodził wtedy oprócz Sonderkommanda. Ale ci koledzy, moi współwięźniowie z Sonderkommanda, wieczorem mówili o tym.

*Faktycznie rozmawialiście?*



Tak, oczywiście. Przychodzili do nas wieczorem przecież, po robocie.

*Nie izolowano ich od pozostałych więźniów?*

Nie. Oni po robocie, po spaleniu, szli do swojego bloku, mieli takie miejsce. Ale potem łazili trochę, jakieś sprawy załatwiali, wizyty. Może i im zabraniali mówić o tym, co robią, ale kto by tego upilnował? Jak siedział ze mną na łóżku pod wieczór kolega z Sonderkommando, to kto by wiedział, co on mi mówi? Nikt z Niemców koło nas nie stał i nie słuchał.

*W jakim oni byli stanie?*

W różnym, to zależy od człowieka. Każdy ma swoje możliwości. Słyszałem kiedyś taką relację, jeden z tych z Sonder, Żyd zresztą, żyje jeszcze. Pokazują też takie amerykańskie nagrania-rozmowy, gdy żyło ich więcej, widziałaś? Przez otwory na górze wsypywali cyklon, takie białe kryształki, ten cyklon z wodą, pod wpływem wysokiej temperatury wytwarzał gaz. Sonderkommando musiało potem wejść, wyciągać ich, wsadzać do pieca i tak dalej.

*Oni wam o tym właśnie opowiadali?*

No tak, przecież to była stała ich robota, stała rzecz. Ale nie wszystkich te krematoria przerobiły. To były okresy, że palili to na polu. Tam za krematorium jest taki lasek, tam kładli takie belki drewniane, łupki, podlewali to substancją łatwopalną i tak układali te otrute już, zagazowane zwłoki. I paliło się na polu. I to strasznie śmierdziało. To było fatalne.

W Auschwitz nie palili, bo jak się okazało, źle wybudowali krematorium, było za blisko domu komendanta. Za to wybudowali cztery krematoria w Birkenau, dwa i pół kilometra dalej. Ale jak się paliły ciała, to śmierdziało wszędzie. W Birkenau bardziej niż w Oświęcimiu, bo bliżej.

*Jaki to był zapach?*

No, zapach spalonych ciał po prostu. Niesamowity, to było jakby... Słuchaj, na przykład w 1943 przywieźli szesnaście tysięcy młodych Rusków, żołnierzy. Tam byli wszyscy, z tych wszystkich republik. Szesnaście tysięcy wieźli prosto do Birkenau. Za cztery miesiące zostały dwie czy trzy setki. Wszystko zamordowali i spalili, ty wiesz?

*Widział pan krematorium w Birkenau? Ono było wówczas zasłonięte, prawda?*

Nie, nie, wtedy na wierzchu było. Oczywiście, że widziałem. Przecież to było za drutami, a druty było rzadkie.

I na tych bocznicach doprowadzających wagony załamalem się. Nie tylko ja, wszyscy. Wszyscy się załamali. Jak tak morduje się w biały dzień na oczach wszystkich dzieci niewinne, a Bóg na to patrzy, jeśli jest jakiś Bóg, to znaczy, że to wszystko jest kłam. Wielki kłam. Tak ci Żydzi to interpretowali sobie. Ci Żydzi też byli zdecydowani: „Słuchaj – mówili – to jest przecież bujda z tym Bogiem. Pan Bóg wszechmogący – jest napisane, a jak przyjdzie do tragedii, to Pana Boga nie ma”. To

Żydzi mówili.

A ja widziałem na własne oczy, że ludzie mordowali ludzi i Pan Bóg nic nie przeszkodził temu. Nie pomógł dzieciom, kobietom. I to mnie niesamowicie sfrustrowało i zastanawiało. I ja zwątpiłem.

*Tak już panu zostało?*

Później pracowałem, co innego było. Ale raz poszedłem do kościoła z synem i mnie strasznie kazanie wzburzyło. Ksiądz rozważał przypadek kobiety, która nawet grosza na tacę nie dawała, więc nie może teraz liczyć na niebo rzekomo. Mówił, że miejsce w niebie jest tylko dla tych, którzy popierają Kościół i dają składki, bo Kościół też musi z czegoś żyć. I takie historie. Aż syn mówi: „Tato, chodźmy stąd, bo parsknę ze śmiechu, co to za głupstwa?”. Zresztą mówiłem to jednemu znajomemu księdzu na spotkaniu w tym roku, a on mówi: „To jakiś głupek ksiądz musiał być”. I od tej pory już zupełnie nie chodziłem do kościoła, bo syn mówi: „Tato, szkoda czasu na to, lepiej uczyć się języków obcych”. To się może przydać, to prawda. Potem doszły do głosu sprawy księży pedofili – to już jest zupełnie zdjęta maska Kościoła. Mówi się, że to też są ludzie i mają słabości. No dobrze, ale podobno są stworzeni do wyższych celów, prawda?

*Podobno. Wróćmy jednak do Birkenau, jeśli możemy. Miał pan żydowskich kolegów, czy oni zawiązali jakiś ruch oporu?*

Oni nie mieli oficjalnego związku, przynajmniej wtedy, gdy z nimi byłem w Birkenau. W Auschwitz były dwie duże organizacje: jedna to był Związek Organizacji Wojskowej, który stworzył rotmistrz Witold Pilecki.

*Kiedy dowiedział się pan o funkcjonowaniu tego Związku?*

Ja do niego należałem ostatnie półtora roku, kochanie. Opowiadam ci tylko z grubsza, bobyśmy do wieczora tu siedzieli. A druga organizacja to była jakaś socjalistyczna grupa... już nie pamiętam nazwy. W tej naszej organizacji właśnie gros członków pracowało w kuchni. A część miała funkcje, między innymi doktor Fajkiel.

Ksiądz Kolbe to był muzułman, nie boję się tego powiedzieć. To był muzułman, on wytrzymał tylko jedenaście tygodni. Nie wytrzymał więcej, był już taki schorowany, zmęczony, że mu było wszystko jedno. Zaproponował temu swojemu Schreiberowi: „Słuchaj, mają powiesić Gajowniczkę – chłop ma dzieci, żonę, to ja pójdę za niego, powiedz temu szefowi”. Schreiber poszedł do szefa, on Kadłub się nazywał – był tym takim, który przygotowywał szubienicę i tak dalej. Poszedł i powiedział, że jest z nami ksiądz, który chętnie odda swoje życie za Gajowniczkę, który jest żonaty i ma dzieci. Powiedzieli, że jak tak, to dajcie go tu. I zamienili Gajowniczkę na księdza Kolbego. I zamordowali go w tych celach, a one niziutkie na metr dwadzieścia. Oglądałem to po wyzwoleniu, ale byłem tam też raz w czasie obozu. Jesteś ciekawa, kiedy?

Pewnego razu esesman Burak – tak o nim mówili, bo było kilku esesmanów

Ślązaków, którzy trochę umieli mówić po polsku – mówi: „Chodźcie w dziesięciu, pójdziecie teraz ze mną”. Na polu stoi czterysta ludzi, nie wiadomo, kto ma iść. No więc on odczytał numery. Mój też. Prowadzi nas na blok 11. Na 11 blok po apelu?! Niedobrze. My idziemy. Chłopaki mówią: „Słuchajcie, oni nas chcą chyba zastrzelić”. No, chyba tak, ale za co, jak myśmy nic nie zrobili? Jeszcze z kumplami nawet nigdzie nie należeliśmy. Idziemy, stres sakramencki. Bo człowiek już wszystko widzi: zaraz będę pod ścianą, rozstrzelają mnie. Idziemy, otwiera te drzwi, klucz, bierze nas, pięciu nas stoi, reszta ma polecenie: „Weźcie tu zróbcie porządek”. Nie wiem, co tam się działo, leżały porozrzucone koce, śmieci. A ja z czterema pod ścianę śmierci idziemy. Tam pełno łachów leży i jakieś resztki, buty. „Pozamiatajcie to i dajcie do tych skrzynek”. To trwało, ja wiem, może półtorej godziny. Jak skończyliśmy, to esesman otworzył drzwi i mówi: „Idźcie na blok”. Jaka ulga się zrobiła. Bo cały czas byliśmy pod wrażeniem, że za chwilę nas też rozstrzelają. No i tak można opowiadać, opowiadać, ale ja skracam, wybieram wątki. Co chcesz jeszcze wiedzieć?

*Jak układały się relacje z innymi więźniami?*

Muszę powiedzieć, że między więźniami była solidarność. Oświęcim duży to był lagier I, a Birkenau był mniejszy, żydowski, lagier II. Birkenau to dzisiejsza Brzezinka, bo „Birken” to brzozy.

*No dobra, jestem w stanie uwierzyć, że bywała jakaś solidarność między Polkami. A co się działo między Polakami a Żydami?*

Były przyjaźnie, były. Choć to nie była reguła oczywiście. Ja spotkałem dwóch kolegów Żydów z młodości, to w ogóle była przyjaźń. Najwięcej było takich relacji, gdy było coś wspólnego między ludźmi – miejsce pochodzenia czy wspólni znajomi. Aha, nie powiedziałem ci jeszcze ważnego wątku. Po tej robocie na bocznicy, po paru dniach, na szczęście – tutaj się szczęście ujawniło – po apelu blokowy przyszedł, mówi: „Wszyscy przejdziecie do starego baraku murowanego”. Bo ja mieszkałem w nowym, ale drewnianym. Mówi: „Jakieś dwa czy trzy rzędy mają przejść”, czyli około setka nas. I poszliśmy, tam już byli inni. Kazali nam się rozebrać do naga. Tam było pięciu czy sześciu esesmanów i ze dwie esesmanki. Jeden miał płaszcz biały na sobie, taki kitel. Gęsiego szliśmy przed nimi, oglądał język i w ogóle macał, brzuch oglądał. Szeptał po niemiecku do jakiegoś innego, chyba Oberführera, a tamten palcem kiwał: „links” albo „rechts”. W palcu jego było życie każdego z nas. Moje też. Na lewo lub na prawo. Na prawo przechodziło się dalej, do tych pomieszczeń. Na lewo – to ubieraj się i idź do swojego bloku.

Władek mówi do mnie: „Słuchaj, ciebie odrzuca, bo masz język biały jak śnieg i temperaturę”. No i byłem chudziutki, słabiutki, nie wiem, ile ważyłem, może czterdzieści kilo. I Władek mówi: „Jak ciebie odrzuca, szybko się ubieraj i przejdź przez baraki do ostatniego pomieszczenia, a my cię przez okno stamtąd ściągniemy”. Okazuje się, że ci, co dobrze wypadli podczas tej selekcji, byli brani do innych

obozów, konkretnie do Dory w Bawarii. I Władek tam pojechał do Dory. I zostałem później sam. Ale dzięki temu, że Władek wpadł na pomysł, żeby mnie ściągnąć, ocalił mnie – bo ja byłem już prawie nieprzytomny, gotów do krematorium. Jak on pojechał i zostałem w Birkenau sam, to za dwa, trzy dni byłbym spalony, tego jestem pewien. I po prostu ja podszedłem pod to okno, on ubrany już czekał, to był październik, zimno, ciemno, zgarnął mnie. Dołączyliśmy do reszty, ustawili nas ósemkami. I tą wybitą ulicą, pod eskortą, na nogach do bramy. I do Auschwitz szliśmy. Ale ja szedłem podtrzymywany z dwóch stron – przez Władka i przez innego kolegę. Sam bym nie doszedł, nie doszedłbym. Byłem słabiutki jak mucha. A oni mnie trzymali obydwaj. Szczególnie Władkowi jestem wdzięczny, ocalił mnie chłop.

*Jak miał na nazwisko? Co się z nim później działo?*

Krok. Władysław Krok. Piłkarz WKS – Wojskowy Klub Sportowy. Przystojny, ładny chłopak, wysoki. To, że był taki ładny, zgubiło go później, bo jak wrócił, zaczęli go wszędzie zapraszać, częstować. Kawaler – dziewczyny, wódka, koniaki. Rozpili go, że się chłop wykończył. Chodziłem za nim, wyciągałem go w nocy z klubów. Matka jego mnie prosiła: „Karol, poszukaj tego Władzia, gdzie on, późna godzina”. A on był najczęściej w Kaprysie na Floriańskiej. Potem – jak już miał żonę – ciągle był napity, żona go zostawiła, wyjechała z synem. I on skończył się, biedak, skończył się. Żał mi go. Bo sympatyczny i dobry.

*Wróćmy teraz do obozu – prowadzą was z Birkenau do Auschwitz. Co się dzieje później?*

Przyszliśmy do łaźni, znowu do naga, znowu kąpiel, sauna i przegląd. Przy tym przeglądzie znowu odpadłem. Byłem chory. Ale tam już dobrze, bo tam byli lekarze, i to koledzy. W Birkenau to tylko ewentualnie przychodzili lekarze, żeby kogoś uśmiercić. A tu, ci nasi, nie niemieccy, to pomagali, jak mogli. Mieli kontakty z wpływowymi Żydami, którzy dostawali lekarstwa z transportów. Jak przyjechał taki Żyd z dwoma walizami, to co on tam miał? Trochu jedzenia, trochu ubrań, no i lekarstwa. Jedzenie zabierali i Niemcy kazali z tego gotować Kuchensuppe, to jest taka zupa z ciastek.

A ja, jak wróciłem, byłem ze dwa czy trzy dni u Fajkiela w sztubie. A to wszystko dzięki kolegom, bo człowiek bez znajomości umierał. Nikt tam ręki nie podał, tam nie było ani Boga, ani Matki Boskiej, ani człowieka przyjaciela, tam nie było nic. I trzeba było umierać. A ja miałem trzech kolegów jeszcze ze szkoły zawodowej, byli już na funkcjach, i potem poznałem Stasia Głowę, Tregiera i tak dalej. I jedno za drugim ząbowały się kontakty. Jakoś mnie wyratowali.

*Władek wyjechał do Dory?*

Tak, wyjechał. A ja bez niego kilka dni leczyłem się na rewirze, a to dzięki tym kolegom z Krakowa. Bo tam była taka solidarność: krakowiaci sobie, poznaniacy sobie, warszawiaci sobie. Taka była solidarność dzielnicowa, nazwijmy ją. Zawsze

najpierw było pytanie: „A skąd jesteś?”. Mówiłem: „Z Krakowa”. Na to było: „A, to nasz chłopak, pomóżcie mu”. Na przykład Fajkiel mówi: „Zajmijcie się nim, to krakowiak, trzeba go ratować”. Zresztą napisałem o nim w mojej książce, pozytywnie.

I pamiętam, jak już stamtąd wyszedłem, to dali mnie do komanda Gleisbau, to jest do budowy szyn kolejowych na nasypie. A ten nasyp wysoki leci wzdłuż rzeki Soły. Szyny przywozili, rzucali na dół, trzeba było je ciągnąć z dołu na górę nasypu. Z grupą Polaków, Żydów i Czechów myśmy ładowali te szyny i skręcało się je. Był już rok 1944, upał, gorąc niesamowity. Ja tam umierałem z pragnienia. Soła płynie ze sto metrów od nas, a oni nie pozwalają się napić czy ochłapać. Jeden zrozpaczony poleciał do tej Soły napić się wody z rzeki. Esesman od razu: „Halt, halt!”. A ten nie zareagował, więc zastrzelił go. Zastrzelił. To było na porządku dziennym, człowiek nie był nic wart, nic. Jak robak traktowany.

*No właśnie, jak was traktowali esesmani?*

Byli specjalnie szkoleni, żeby nie pomagać więźniom. Jak umiera – niech zdycha.

*A zdarzały się wyjątki?*

Pamiętam tylko, że jeden z poznaniaków miał takiego esesmana, Ślązaka zresztą, z którym handlował. Ten Kazek z Poznania pracował w tych grupach, które sortowały rzeczy żydowskie. Ci Żydzi musieli złote rzeczy oddawać do takich beczek. Kazek miał chyba dwóch ludzi do tego i po prostu kradli – to się nazywało, że organizowali. Kradli te rzeczy. Później złapali tego esesmana po wojnie, Kazek go żałował, że szkoda akurat tego chłopca. Kazek opowiadał mi, że esesman za te przynoszone kosztowności przynosił mu w teczce na przykład papierosy. Niektórzy za papierosami byli wariaty. Pamiętam, kumpel mój strugał miotłę, a to, co ustrugał, zawijał w gazetę i palił. Ja mówię: „Ty wariacie, sam się trujesz tym syfem. Idź lepiej do krematorium, to dopiero dadzą ci dymu”. No, takie wariaty były, ale to jest siła nawyku.

Tamten esesman przynosił jeszcze pełno jedzenia dobrego, kiełbasę, masło, cebulę z uwagi na skorbut i chleb biały.

*A właśnie, skorośmy przy jedzeniu. Tadeusz Sobolewicz opowiadał mi o przypadkach kanibalizmu w Auschwitz, jak jedli – on też – kawałek pośladka współwięźnia, który dopiero co zmarł. Mówił, że jego koledzy rozpalili mały ogień gdzieś w kącie i coś podgrzewali, zawołali Sobolewicza, czy chce kawałek mięsa, on przystał... Muszę go jeszcze wypytać o szczegóły. Słyszał pan o podobnych przypadkach?*

A Sobolewicz umarł niedawno.

*Jak to?*

No, umarł, jakiś miesiąc temu.

*Naprawdę?*

Nie żyje już, co ci poradzę.

*A mieliśmy jeszcze porozmawiać!*

Mam tu gdzieś jego zdjęcie, chcesz? Bo myśmy jechali razem do Fürstenberga. I przed wyjazdem...

*Bo on taki był już słabiutki.*

No, ledwo żył. A że Paczyński zmarł, to wiesz?

*To wiem, byłam na pogrzebie.*

No, ja przejąłem po nim funkcję. Jakiś miesiąc przed jego śmiercią byliśmy u niego ze Stefanem Lipniakiem. Paczyński nam mówi: „Muszę się chyba wybrać do szpitala”. A ja: „No, taka jest biologia”. On mówi: „Karol, jak ja umrę, musisz się zająć klubem, bo ktoś musi to prowadzić mocną ręką”. Dlaczego? Bo póki jest ten klub oświęcimiaków, Klub Auschwitz, to Niemcy się interesują nami. Płacą pięć tysięcy euro na przychodnię, dają pieniądze na potrzeby klubowe. I mówię mu: „Słuchaj, Józiu, tak będzie”.

*Czy to prawda, że Niemcy płacą tylko Klubowi Auschwitz, tylko oświęcimiakom, a żadnym innym klubom nie?*

Tak jest, to prawda. Słuchaj, jest taka pozarządowa organizacja i oni pomagają tylko byłym więźniom Oświęcimia. Dają te środki tym, co żyją, ale już niedużo ich zostało, może ze trzydziestu.

*A co z tym przypadkiem kanibalizmu, o którym opowiadał Sobolewicz?*

A on mówił, że niby gdzie to było?

*W Auschwitzu.*

I on jadł?

*Jadł podobno.*

Nie chce mi się w to wierzyć. O takich przypadkach w Oświęcimiu nie słyszałem. Po pierwsze, to mięso trzeba by gdzieś ugotować lub usmażyć. A po drugie, czym, jak nie było czym? Nie wypada, żeby więźniowie między sobą się nie zgadzali, ale wydaje mi się to mało prawdopodobne. Ale myśmy mieli dobre stosunki, bywał u mnie na brydża. W brydża dobrze grał, muszę powiedzieć. No, umarł bidok. Ale wróćmy do Auschwitzu, na czym skończyliśmy?

*Że lepiej się panu działo, miał pan kolegów i pracował na nasypie.*

Aha, mam ważny wątek. Tam, przy tej pracy, też czekała nierychła śmierć. Przyszedłem raz pod wieczór, tam był taki Zygmunt Wójtowicz, kolega jeszcze ze szkoły z Krakowa. Był też taki Włodarski Felek, intendent w kuchni. I jeszcze Kazek Szelest, też sportowiec Cracovii. Taka grupa. Ja mówię: „Chłopaki, ja umrę na tym komando, to jest nadludzka robota, a nie dla nas, muzułmanów. A oni nas pilnują, maltretują i biją”. Mówię do nich: „Jakbyście uprzejmi zdobyć mi kawałek papieru, to ja napiszę parę słów do ojca mojego, jak wam się uda, to doręczcie mu ten list, jeśli będziecie wolni. Ja jestem zdecydowany iść na druty”, mówię im. Pójdę do tych drutów, niech mnie spalą, trudno. Wyskoczyli na mnie: „Coś ty, chłopie”, któryś słyszał, że wojska radzieckie już są u progu Śląska, niedługo będą w Katowicach.

Dobre podejście mieli, z pasją i przekonaniem to było mówione. To jest ważne! Dzisiaj czytam: studentka młoda, ładna, była na studniówce, cieszyła się, żyła, a następnego dnia studentka poszła do lasu i powiesiła się. Zastanawiam się: co się stało? Nie miał jej kto pocieszyć, a coś ją musiało gryźć.

Mnie pocieszał Włodek, on mi uratował życie. Gdyby nie on, nie żyłbym dawno, zdaję sobie z tego sprawę.

*Był pan muzułmanem?*

Byłem i miałem tego świadomość. Chory, nie mogłem jeść, Durchfall męczy, tyfus łapie, nie chce się żyć.

*Jak według pana wygląda muzułman? Jak pan wyglądał?*

To wszystko jedno kto, bo wyglądaliśmy tak samo. Spałem z takimi muzułmanami, to obrzydzenie brało. Brudne, śmierdzące, wszy i pchły. Kładziesz się do takiej półki, bez siennika, bez poduszki, były tylko drewniane wióry, zasikane, zafajdane, pchły i wszy. Tylko sobie strzelić w łeb. Słuchaj, niesamowite to było. A chcesz wiedzieć, jak to się skończyło?

*Pewnie.*

Końcówkę ci opowiem. To było pozytywniejsze czy pocieszające. To zawsze rozbudza nadzieję. Zwłaszcza jak Niemcom opowiadam, oni to lubią.

W tym komando pracującym przy szynach wracam któregoś dnia styranym, głodnym, zmęczonym. Mówię właśnie wtedy: „Słuchajcie, chłopcy, będę musiał od was odejść, bo nie wytrzymuję. Jak tam padnę i przywiozą mnie na noszach – w czterech się nosiło takie trupy – to rzucą pod bramą „Arbeit macht frei”, a po godzinie mnie zabiorą do pieca”. Tak z Gienkiem było. Ale gdy tak powiedziałem, to Zygmunt mówi: „Daj spokój, chłopaki ci pomogą”. I pomagali, rzeczywiście pomagali. W Birkenau nie, bo nie mieli czym pomagać. W Auschwitzu było o to łatwiej. I jeden z nich mówi tak: „Słuchaj, kapo więziennej kuchni nazywa się Franciszek Jerychło i jest z Krakowa”. On był muzyk, kapelmistrz. I mówi mi kolega: „Idź do niego, Karol, przedstaw się, że jesteś krakowiakiem, może cię weźmie do roboty w kuchni”. On miał opinię niedobrego, nieprzychylnego. Ja nie wiem, pracowałem przy nim niecały rok, nie był zły.

*Czyli przyjął pana?*

No, przyjął. Przychodzę do niego wystraszony. Ale powiedziałem: „Panie kapo, jestem Tendera, syn Stanisława Tendery, słyszałem od ojca, żeście się przyjaźnili i graliście w jednej kapeli”. A on mówi: „Tak, Staszka znam dobrze, żyje jeszcze ojciec?”. Mówię: „Żyje, jest na emeryturze”. A on pyta: „Co ty tu robisz?”. Mówię: „W łapance mnie wzięli”.

*To przecież nieprawda.*

No, ale nie mogłem się przyznać. Tym bardziej że słyszałem o kapo negatywne opinie, więc musiałem być ostrożny. W końcu mówi do mnie: „To wezmę cię tu do

kuchni, będziesz pod dachem i będziesz miał żarcie skolko ugodno”, mówi mi. No, to ja: „Będę wdzięczny, panie kapo”. Kapo czy kapie? Kapowi? Kapusiowi najlepiej (śmiech).

Mieli takie telefony na korbkę, zadzwonił gdzieś. Tam było trzech Schreiberów: Ernest Poziemski, Józef Cyrankiewicz i jakiś trzeci. Zadzwonił do nich i mówi: „Ernest, daj mi tu takiego chłopaka” i tak dalej. Kapo trzymał dyscyplinę, słuchali się go, był w kuchni głównym kapo i jeszcze orkiestrę prowadził. Mało – jak w święta wszyscy jechali pod willę komendanta Hößa, do ogrodów, na tyłach nieczynnego krematorium, to on tam grał imprezy dla gości Hößa.

Mówi mi kapo: „Jutro rano przyjdź o szóstej, pomożesz tu i będziesz miał zupę, przeżyjesz”. Tak mi powiedział kapo kuchni. To dla mnie było jak ręka Boża czy jakoś tak, jak to mówią w sytuacjach tragicznych. Podziękowałam mu uprzejmie i powiedziałem, że napiszę list do ojca, że jego kolega był dla mnie tak życzliwy.

*Jak w praktyce wyglądała pańska praca?*

Do tego zmierzam. Widzisz, wtenczas gotowaliśmy te zupy, a po wierzchu pływały dolary, guldeny i marki niemieckie. A na dole leżały złote łańcuszki, pierścionki i krzyżyki.

*Jak to?*

Bo Żydzi zapiekali do ciastek i pączków te kosztowności. Pewnie nie tylko Żydzi, skoro te krzyżyki. Bo z walizek wykładano jedzenie do koszów, a potem my to wrzucaliśmy do garów, zalewaliśmy wodą i była Kuchensuppe. Ale jak się dowiedział esesman – bo oni tam pilnowali stale – o, to już do osobnego kotła wrzucali Niemcy te ciastka i pilnowali we dwóch, co wypłynie. Były takie sceny też.

*Długo pan tam pracował?*

Do 28 października. Od wiosny. Z siedem miesięcy tam byłem. Tam mnie wciągnęli do ruchu oporu – Szelest Kazek i Włodarski Feluś.

*Na czym właściwie polegało działanie tej organizacji?*

Zaraz ci pokażę – Karol Tendera wychodzi do sąsiedniego pomieszczenia – o, pokażę ci portret tego Włodarskiego, bo wisi u mnie w pokoju. Patrz, jaki ja jestem wdzięczny kolegom. To jest Feluś Włodarski, intendent w kuchni więziennej, który mnie namówił do wstąpienia w szeregi Pileckiego. Z tyłu portretu napisałem moje przesłanie, przeczytaj sobie.

Patrz, dostałem to od jego wnuka, od wnuka Włodarskiego, z Niepołomic. Bo on przeczytał w gazecie o mnie i zadzwonił. Zaprosił, byłem na cmentarzu u Felusia. I mówi ten wnuk: „Panie Karolu, mam portret dziadka”. Powiem ci, że wiernie zrobiony, tak wyglądał. I taki numer miał.

*Jak działaliście?*

Zaopatrywałem w żywność tych, którzy uciekali, wiesz? Włodarski miał tam taki magazyn. Dawał mi sprotki, suchą kiełbasę, bardzo fajny facet.



*I dawaliście to jedzenie tym, którzy planowali ucieczkę?*

Tak. Uciekał sekretarz Lucjan Motyka, późniejszy minister. Kojarzysz? Kazek Szelest zamiast dwóch beczek zupy dawał mi trzy – a beczka to sto litrów. Przynosili to więźniowie na takich nosidłach. Ściągałem kolegów Polaków i Żydów, żeby przyszli po obiedzie, dostaną dodatkową porcję.

*Żydów też ściągaliście?*

Żydów też, tak, tak, też. Dlatego napisałem książkę: *Polacy i Żydzi w KL Auschwitz*. Ale nie tylko Żydów. Pomagaliśmy i Niemcom, i Czechom, i Austriakom. Z jednym z tych Austriaków, Harmanem, nawet się zakumplowałem, byłem u niego z synem we Frankfurcie, on u mnie też był.

Wyobrażasz sobie, ja tam w tej kuchni odżyłem. Bo wymiana była: za chleb, za marmoladę, za kiełbasę, nawet końską, dostawałem leki, dostawałem buty. Odżyłem. *Zmienię na chwilę wątek. Czy wokół was byli sami mężczyźni? Mieliście jakikolwiek kontakt z kobietami?*

Kobiety tam były do nas na początku przywożone na pseudomedyczne eksperymenty, na blok 28. No więc były kobiety, ale pod eskortą. Pod strażą przywozili i odwozili.

*Czyli zupełnie męski świat, żadnego bezpośredniego kontaktu z kobietami?*

Żadnego. Ja natomiast byłem w babskim – przepraszam – kobiecym obozie. Później już, gdy pracowałem w kuchni. Stałem się wówczas prominentem, tak się to nazywa. Trochę tam było takich prominentów, Polaków i Niemców, czasem Austriaków. Dlaczego? Bo dysponowałem jedzeniem. Mówię o tym ostatnim roku. I inaczej też wyglądałem: miałem już buty skórzane, miałem uszyty Anzug, bo krawiec był, więc dałem mu dwa chleby i kiełbasy, uszył mi na miarę. Nie tylko mnie, więcęj nas było.

*Z jakiego materiału?*

Z pasiaka. Ale na miarę, nie wisiało.

*Zaczął pan mówić, że był na bloku kobiecym...*

Tak, jako przedstawiciel ruchu oporu. Powiedzieli mi: „Tam jest kilkanaście naszych kobiet, Polek i Żydówek, pasowałyby tam pojechać, zawieźć im trochę swetrów, majtek ciepłych”. Słuchaj, jak tam przyjechałem pierwszy raz, zobaczyłem te kobiety, rany boskie, jakie warunki. Było komando elektryczne i... O, mój syn idzie, kupił mi wczoraj nowy telefon, ale coś inaczej działa, musi rozeznać.

*To może ja teraz pójdę?*

Nie, kochanie, zostań, przecież jesteś u mnie.

Syn Karola Tendery uczy obsługiwać ojca dotykowy telefon. Po kilkunastu minutach wracamy do urwanego wątku.

*I te kobiety...?*

Byłem tam, żeby zrobić rozeznanie, ale nie miałem jak przenosić rzeczy. Każdy

z komanda elektrycznego, każdy z elektryków miał torby z narzędziami. Ja im powtykałem w te torby kiełbasy, chleba, marmolady, margaryny i ciepłe ciuchy dla babek, bo sam nie miałem jak tego zaność. Elektrycy byli pośrednikami.

Ale wracając do naszej części – uciekło w sumie około czterystu chłopaków. Paru zginęło za to. Ruskie podchodzili już pod Katowice, więc Niemcy zaczęli nas wywozić. Nas, czyli tych, którzy chodzą. Ci, co leżą, nie obchodzili ich, zostawili chorych bez jedzenia i bez picia. A nas wywozili. Mnie wywieźli do Leitmeritz, czyli do Litomierzyc. I ja z dwoma kolegami warszawiakami tam byłem, mówię im: „Chłopaki, chodźmy przez pola”. Przez pola, żeby nie spotkać jakiego Niemca, bo te wariaty mogłyby nas zastrzelić. No i doszliśmy do dużego dworu, PGR-u jak gdyby. Dwóch Czechów i Czeszkę zastaliśmy. Przywitaliśmy się bardzo grzecznie. Duże gospodarstwo rolne, ta Czeszka coś nam ugotowała. Odżywiliśmy się. Ale wciąż byliśmy w pasiakach. I pytam ich: „Sami tu jesteście?”. A oni mówią, że nie, jest tu jeszcze taka Niemka z dwoma córkami, ładne, osiemnaście i dwadzieścia jeden lat. A mąż wyjechał, bo bał się Rusków, a mają lada dzień przyjechać. Z kolei był jeszcze pan dyrektor gospodarstwa, ale tak bał się Rusków, że zastrzelił żonę, dwie dorosłe córki, psa i siebie. Dzień wcześniej zastrzelił. Jakie to są historie ludzkie. Nie ma nikogo więcej, tylko ci Czesi zatrudnieni jako robotnicy. Wieczorem popiliśmy nawet winko i poszliśmy spać.

*Poczuł pan wolność?*

No, poczułem. Fantastycznie. Tych dwóch kolegów warszawiaków chciało iść od razu do kantyny na wódkę, ale mówię im: „A dajcie wy spokój, ja lecę przez pola do chałupy”.

*Jakoś szybko wam poszło to wyzwalenie się... Albo pan sporo skrócił...*

Nie, nie, bo dzień wcześniej komendant w tych Litomierzycach na apelu powiedział nam: „Jutro jedziecie do swoich Heimatów”. Bo nas z Auschwitzu powsadzali i przewieźli do tego obozu Flossenbürg.

*Tam jeszcze wciąż byliście pilnowani?*

Tak, wciąż pilnowani aż do 7 maja. A zawieźli nas tam w październiku.

*Czyli byliście w Flossenbürgu ponad pół roku?*

Tak.

*Jakie były warunki?*

Jeszcze gorsze, cholera, takie wysokie prycze. Jak w Auschwitzu były trzy piętra do spania, to tu było aż siedem takich półek. I taka prymitywna drabina przybita gwoździami. Szło się po tej drabinie na piętra.

7 maja po południu ten Palike wyszedł na środek placu i powiedział nam, że wojna się skończyła, wracamy do domów. I to wszystko, koniec, dziękujemy.

*I co później?*

Niemcy zostawili nas, uciekli. Tam były druty, ale bez prądu. I były budki

wartownicze. I dostaliśmy takie karty darmowego przejazdu. Jeden z kolegów pisał na maszynie, to mi wcześniej dał i dwóm kolegom tę kartę, więc rano, jeszcze przed szóstą, my już byli za bramą. Patrzymy, brama otwarta, pusto, budki też puste, to idziemy. Niemcy uciekli w nocy. I przez pola!

*Co pan czuje, gdy wychodzi pan o świcie z baraku i nie ma Niemców?*

Byłem już przygotowany. Jak nam powiedział Palike, że będziecie wolni jutro, tośmy już tym żyli. Ja tylko miałem wątpliwości, czy to jest prawda, wiesz? (śmiech). Czy to nie jest podstęp jakiś.

W każdym razie tak się stało, byliśmy już w tym gospodarstwie rolnym, poznałem te wszystkie trzy Niemki. One uszczęśliwione, bo ja jeden spośród kolegów mówiłem po niemiecku. Byłem tam z nimi, rozmawiałem i one mówią: jest taka fama, że Ruskie gwałcą kobiety. Mają pozwolenie Stalina, że wolno im. A oficerów wszystkich strzelają na miejscu. Tak było. Tym chętniej nas przyjęły, do pomocy. Na drugi dzień rano mówimy: „Trzeba by jakieś ciuchy znaleźć, przecież nie pójdziemy w pasiakach do Polski”.

9 maja 1945, po śniadaniu, było żarcia dużo, wyobraź sobie, siedzimy u Niemek, a w pewnym momencie ktoś puka. Dwóch Niemców w mundurach oficerskich, ale bez dystynkcji, bez pasów, bez czapek. I z białymi kokardkami, że się poddają. Przychodzą i mówią uprzejmie: „Guten Tag, Sie Schon, Wir haben eine Bitte euch”. Prośbę mają do nas. Pytamy, o co chodzi. A oni, że potrzebują jakiegokolwiek stare Anzugi, czyli ubrania. Żeby móc spalić mundury, bo inaczej im grozi śmierć. Rusczy przyjeżdżają i strzelają na miejscu, bez wyroku. Zresztą Niemcy tak samo robili. Nie widziałas tak wystraszonych chłopów, około czterdziestu lat, w kwiecie wieku. A przystojne byli oba. Ładne mundurki, ładne oficerskie materiały, jasne, a nie ciemne, żołnierskie. Ja tak patrzę na nich, nawet boją się sięść, stoją tacy pokorni.

*A wy siedzicie w pasiakach?*

Tak, a my w pasiakach. Mówię im: „Tu nie ma chłopów. My jesteśmy więźniami, wyszliśmy wczoraj. Nie ma żadnych ubrań”. Mówię do tego Czecha po polsku: „Staszek, zaprząg mi dwa konie, pojedziemy do rynku, weźmiemy trochę tych ubrań, sami też się jakoś zaopatrzymy. My się przebierzemy i oni niech się przebiorą, uratujmy im życie”.

*Nie czuł pan do nich nienawiści?*

Nie. Słuchaj, to są natury. Wszedłem w ich sytuację, oni byli bezbronni, na stracenie, jakby ich złapali. Widziałem później, jak Ruskie zastrzelili jednego na moich oczach. Ci oficerowie powiedzieli nam, że mają rodziny. Jeden miał dwoje dzieci w Stuttgarcie, drugi troje w Essen. Niemalże płakali, a ja mam miękkie serce. Szkoda chłopów.

Ten Staszek mówi: „A co się przejmujesz Szwabami, niech ich strzelają”. Mówię mu, że tego nie pochwalam, Szwab, nie Szwab, ale jest to człowiek. Co on zrobił – nie

wiem. Ale mnie nie bił, moich kolegów nie wieszał. Ja domniemam, że to byli oficerowie miejscowego gestapo albo SS. Mówię: „Stasiu, ty jesteś katolikiem, to szanujże życie drugiego chłopca, młode, mają rodziny, podajmy im rękę, nie bądźmy mściwi”. Zaprzągnął konie, pojechaliśmy. Takie duże magazyny, pootwierane, ubrania wiszą na wieszaczach do sprzedania, ale bez ochrony, szaber wielki, wszyscy coś wynoszą – i Czesi, i Polacy, i Niemcy.

Wzięliśmy tych ubrań kilka czy kilkanaście sztuk, X-y, XL, XXL, buty, nawet kapelusze i takie dwa lotnicze kozuski. Braliśmy z tymi wieszakami i na ten wóz. Przywieźliśmy to. Ubraliśmy się z tymi trzema Polakami, potem poprosiłem tych dwóch Niemców z pokoju obok – siedzieli tam z Niemką i pili herbatę. Mówię im: „Chodźcie, przymierzcie”. Tych ubrań było może ze dwadzieścia sztuk. Ubrali się, tamte ciuchy zostawili, żeby spalić za stodołą. Obaj byli przystojne chłopcy. Jeden z nich na końcu – to już było po dziesiątej wieczór – mówi: „Jesteśmy wam bardzo wdzięczni, żeście nam pomogli. Rzeczywiście nasze życie wisiało na włosku. Nie wiemy, jak wam się odwdziaczyć. Nic nie mamy, dokumenty kazali nam spalić, zegarka już nie mam, obrączki nie mam. Ale mam taki portfel charakterystyczny – mówi jeden z nich – który dostałem od swojego szefa, gdy pracowałem u niego. A szefem moim był Hitler” – mówi mi. „A szefem moim był Hitler”.

Ten oficer był w biurze ochrony wcześniej. I mówi: „Mam taki portfel skórzany”. Mogę ci go któregoś dnia pokazać, Agnieszko, jeśli będziesz chciała. Wytłoczone są na nim na każdej stronie wizerunki niemieckich cesarzy: Fryderyka Wilhelma i Otto von Bismarcka. Z datami i z logo.

*Co się stało z tym portfelem?*

No, mam go. Nosilem go troszku później. Ale nie bardzo długo, żeby zupełnie się nie zniszczył. A potem wrzuciłem do szufladki.

*Nie bał się pan nosić przy sobie tego portfela?*

E, nie, czego się bać. Na oczach kolegów go brałem przecież.

*A co się działo z tymi Niemcami?*

Podziękowali, ten jeden mnie tak uściskał – ten, który dał mi portfel. Powiedział, że nie przypuszczał, że taka sytuacja zaistnieje, że my, ciemniejscy waszego narodu, trafimy na takiego człowieka jak ty, jak wy – on to tak uogólniał, ale patrzył na mnie. Mówił to może i kurtuazyjnie, ale brzmiało to sensownie. I oni poszli na nogach.

I ja też wkrótce poszedłem na nogach do Polski. Szedłem na nogach aż do granicy. Wszystkie mosty były wyrzucone w powietrze.

*Co pan widział, gdy wracał?*

Trupów nie, nie było już. Na wolności nie było trupów. Tych, co zastrzelili, to raczej zakopywali. Ale jeszcze w tym gospodarstwie pobyłem ze dwa tygodnie, może trochę dłużej, odżywiłem się, ubrałem się. Chodziłem na spacer, to był maj przecież, wszystko zielone, rozrosło. Tam mieszkały te dwie dziewczyny, bardzo ładne

obydwie. I ich mama też przyjemna, Niemka czterdziestoparoletnia. Z tą starszą córką chodziłem na spacer. Chodziliśmy tak, a ja się cieszyłem, bo sobie utrwaląłem przy okazji niemiecki, wiesz? A zresztą wtenczas byłem jeszcze takim skromnym chłopcem, bo ile ja miałem, dziewiętnaście lat, w obozie przybyło tylko trzy i pół roku, więc miałem jakieś dwadzieścia trzy lata.

I proszę ciebie, po iluś dniach mówię do tej matki: „My się wybieramy do Polski”. A ona: „Och, Karol, nie wyjeżdżaj, zostań”. Ona co wieczór prosiła, żebym był u nich w domu, bo bała się, że Ruskie przyjadą i je zgwałcą. Bo tak było. Jak my słyszeli, że jakieś auta jadą, to od razu wiedzieliśmy i szliśmy w trzech chłopaków, żeby je obronić. Nie mogliśmy pozwolić, żeby je zgwałcili takie sk..., pijoki i chuligany jedne. Aż przyjechali Ruskie i pytali o dyrektora, pooglądali, pozabierali takie dwa zegary kominkowe i coś tam jeszcze. Jak zobaczyli te dziewczyny, to im oczy omalże nie wyszły na wierzch. Mówię ci, jakby nas nie było, toby na pewno wzięli i je zgwałcili, na pewno. Ośmiu ich było. Dwa wozy po czterech. Z pepeszami. Kto się takim oprze, kto powie „nie”? Dobrze, że ty wtedy nie żyłaś, Agnieszko, boby tobie też się to było przydarzyło, niestety.

Więc one mnie wszystkie całowały, i mama, i młode, mówiły: „Karol, tyś nas uratował, bo to było nieuchronne”. I Ruscy wtedy pojechali. Jak potem powiedziałem, że wyjeżdżam do Krakowa, to nie chciały mnie puścić. Mówi mi ta matka: „Karol, mąż wróci lada dzień dużym wozem, weźmiemy sobie te ładne meble stąd; mam brata, który ma serwis samochodowy, robotę tam dostaniesz, pójdziesz na studia, ożenisz się z jedną z moich córek – tak mi mówiła matka, ty wiesz? – i zostaniesz, będzie ci lepiej żyć niż tam, w Polsce, gdzie macie biedę. Zakręciła mi w głowie. A te córki bardzo ładne obydwie, starsza mi bardziej pasowała, akurat miała dwadzieścia dwa lata, też jej się podobałem. Tak myślę sobie: rany boskie, no, jest okazja rzeczywiście. I muszę ci powiedzieć – Niemcom też to czasami mówię – że żałuję tego, że nie posłuchałem wówczas tych kobiet. Jak to opowiadam młodym Niemcom, to mi biją brawa, szczególnie kobiety. Niesamowite.

*Ale jednak pan zdecydował, że wraca do Polski?*

Tak, tak, koledzy z Warszawy mówią mi: „Słuchaj, w Polsce jest tyle dziewczyn ładnych, młodych, jeszcze masz czas wyszukać, chłopie, najpierw trzeba szukać roboty, a potem myśleć o małżeństwie”.

*Wciąż pan żałuje?*

Bardzo długo żałowałem. Aż do spotkania obecnej żony. Miałem najpierw pierwszą żonę, repatriantkę ze Lwowa. To był chyba rok 1946, przełom z 1947. Mój ojciec ją zaakceptował, dziekan AGH też oraz koledzy. I ożeniłem się. Ale źle to się skończyło. Mój kolega, któremu pomogłem dostać lepszą pracę i mieszkanie, w podzięcie zainteresował się moją żoną. Ostatecznie skończyło się rozwodem.

Byłem też w tym czasie rok w katowickiej szkole ekonomicznej. Jestem inżynierem

z wykształcenia. Byłem prezesem w dużej spółdzielni mieszkaniowej w Krakowie, potem dyrektorem przedsiębiorstwa budowlanego. A jeszcze wcześniej – dyrektorem przedsiębiorstwa na Szlaku – Wojewódzki Zarząd Inwestycji Rolnych. Cyrankiewicz jako były więzień powołał ustawę mówiącą, że wszyscy byli więźniowie Auschwitz mają prawo do inwalidztwa. Więc ja jestem inwalidą z mocy ustawy, a nie z mocy jakiejś tam choroby. No i na tym wątku bym zakończył.

*Ocenia pan, że miał dobre życie?*

Z kim?

*W ogóle?*

Jestem zadowolony. Przede wszystkim dlatego, że mnie żadna choroba nie męczy. Miałem dużo przyjaciół. Nie narzekam. I jestem aktywny, jeszcze się przydaję. Staram się jak najwięcej działać, nie lubię takich osób mało żyjących.

*Ma pan poczucie, że obozy jakoś pana zmieniły?*

Po trosze tak. Człowiek stał się taki, wiesz, bardziej odporny na przeciwności. I bardziej wyrozumiały dla innych. Poza tym ja mam naturę romantyczną, bo ja jestem syn Węgierki. O, ta pani na zdjęciu, Jolanta miała na imię. I ogółem lubię pomagać, byłem w prezydium Związku Kombatantów, pełnomocnikiem do spraw mieszkaniowych.

*Jakie są obecnie wasze relacje z innymi byłymi więźniami?*

W naszym klubie nie ma napięć. Jest nas już tylko kilku takich, może z dziesięciu, którzy jeszcze chodzą. Ale nie każdy nadaje się na funkcję, wiadomo. Więc teraz ja im przewodzę. Mam własną politykę, mówię im: słuchajcie, musimy to utrzymać. Jedyne pieniądze, jakie przychodzą od Niemców, to właśnie na Klub Auschwitz. Żadnym innym klubom nie są wypłacane. A to się przydaje wszystkim – żeby wspomóc tych biedniejszych, zapłacić za jakieś leki, jak któregoś nie stać, żeby kupić wiązanki na pogrzeb i rocznice, żeby dać jakieś pieniądze na święta.

*Ufacie sobie wzajemnie? Można mówić o przyjaźni?*

Tak bardzo ogłędnie rozmawiamy. Zresztą nie ma tam o czym rozmawiać w gruncie rzeczy. Bieżące sprawy finansowe i organizacyjne.

*Jest pan ostatnio znany z tego, że wypowiedział proces niemieckiej telewizji za użycie określenia „polski obóz koncentracyjny”. Wkurzył się pan?*

Ja ci powiem, nawet się nie wkurzyłem. Byłem oburzony, ale chodzi raczej o zasadę i o przyszłość. Poza tym wiele osób mnie w tym utwierdzało i namawiało, mecenas uznali, że to ma sens. Niemcy określili w ten sposób dwa konkretne obozy: Auschwitz i Majdanek.

A teraz co innego – po tym, jak wydałem moją książkę, wiele osób jakoś się do niej odnosiło, pisało, dzwoniło. Między innymi kobieta ze Szwecji, która w zeszłym roku zachęcała mnie, żeby starać się o przekład niemiecki, niech czytają. Ta pani Anna ze Szwecji pomogła mi nawet finansowo, żeby opłacić przekład. Zresztą jak prowadzę

spotkania z Niemcami, oni też się upominają: „Ma pan po niemiecku? Chętnie kupimy”. Teraz wyjdę im naprzeciw.

*Jaki ma pan dziś stosunek do Niemców?*

Dobry bardzo, mam przyjaciół Niemców. Poza tym nie wieszałbym zdjęcia ich prezydenta w salonie, gdybym nie miał dobrych stosunków. Napisałem raz podziękowanie do konsula, by przekazał pani Merkel, że dziękujemy za jej wysiłki. Wierzę w to, że polityka Niemców nie dopuści więcej do takich przeżyć.

*Wybaczył im pan?*

No, ja ci powiem... Czy wybaczyłem? Starąłem się raczej o tym nie mówić, nie myśleć. Zapomnieć się nie da. Wymazać się tego nie da. Po prostu dochodzę do wniosku, że ci Niemcy, którzy nas mordowali i gazowali, już nie żyją. Albo ich powiesili, albo się otruli, albo później umarli.

*Albo uciekli?*

Tak też.

*Śni się panu czasami obóz?*

Na początku. Teraz już nie. To wygasło, wygasło. W pierwszych latach to co innego, wtedy obozy mi się śniły.

*A co pan czuje, gdy bywa w Auschwitz? Wiem, że często pan tam jeździ na różne spotkania i wykłady.*

Nie lubię tam jeździć. Nie lubię, bo odzywają we mnie te negatywne wspomnienia. Nie lubię. Ja nie lubię też o tym mówić. Nigdy nie mówię o tym w domu. Tylko na samym początku powiedziałem. A teraz nigdy nie mówię, bo odzywa we mnie smutek, żal i nawet czasem taka trwoga, wiesz? Trwoga, bo muszę to wszystko przyciągnąć jeszcze raz ze środka siebie do umysłu. I czasami myślę: rany boskie, czy to już jest po wszystkim? Czy to się nie powtórzy? A może to ciągle trwa?

**Lidia Maksymowicz**



Widzisz, dostałam zaproszenie do udziału w uroczystościach w Birkenau, przeczytaj to sobie.

*To jest zaproszenie na spotkanie z papieżem w Birkenau?*

Tak, z papieżem. Ma modlić się wraz z Ocalałymi. Ale chyba nie mogę tam być. W związku z zagrożeniem jest tyle zastrzeżeń, zabezpieczeń, że nie można będzie dostać się tam samochodem. Trzeba by iść pieszo chyba z Oświęcimia, a ja nie mam na to siły. Zresztą kto by miał siłę tam iść, wszyscy są jeszcze starsi ode mnie.

*A chciałaby pani tam być?*

Chciałabym, to byłby mój trzeci papież. Do pierwszego papieża, Jana Pawła II, w 1979 szłam w delegacji z więźniami, on nas błogosławił. Drugi papież to był Benedykt XVI – nie było jeszcze takiej ochrony, jaka jest dziś. Miałam kartkę przygotowaną do odczytania, ale wzięłam, nauczyłam się na pamięć i jeszcze dodałam kilka słów od siebie. I teraz byłby trzeci mój papież. Ale jeszcze nie wiem, jak to się ułoży.

Ja chrzcilałam się, gdy miałam siedem lat, byłam dużą dziewczynką. Chrzestną matką była taka pani z Oświęcimia, a ojcem chrzestnym był też były więzień. Oboje już zresztą nie żyją. No, ale jeśli ja mam siedemdziesiąt pięć lat, to oni mieliby jeszcze żyć? Sama mam trzech chrześniaków, w tym Darka, czyli księdza Dariusza Oko, kojarzysz go? Opiekowałam się nim od maleńkości, bo jego matka była moją drogą przyjaciółką, poznałyśmy się w pracy, w Oświęcimiu.

*Jak ksiądz Dariusz Oko interpretuje fakt, że ma tak nietypową chrzestną?*

Jest bardzo szczęśliwy i mówi, że to jest znak czasu. I że ma wiele z cech matki chrzestnej.

*Pewnie cieszy się pani, że ma teraz kogoś bliskiego nieopodal?*

Tak, ale on ciągle jeździ z tym antygenderem, wiesz. Ma też dużo innych obowiązków, jest duszpasterzem lekarzy w Krakowie. Ostatnio oferowali mi, bym pojechała z nimi na Antarktydę, ale ja tak nie lubię zimna, mówię: „Czy chcecie, żebym ja w tym lodach została i była zabytkiem archeologicznym?”. Ciągłe mnie woła na swoje wyprawy, trochę razem jeździliśmy.

Żyję tyle lat na tym świecie, że siłą rzeczy mam przyjaciół wszędzie. Wiesz, na wszystko jest swój czas. Kiedy mogłam pojechać, naprawdę pojechałam: Boliwia, Peru, Argentyna, Brazylia, Meksyk, Urugwaj, Paragwaj, Kanada, Izrael i tak dalej.

*Jest pani bardzo aktywna.*

Tak, staram się. I ciągle jestem w Muzeum Galicja, mam wykłady dla młodzieży i nie tylko. Głównie dla obcokrajowców, którym opowiadam o tym, co przeżyłam. To zabiera czas, ale też daje motywację do życia. Ile można oglądać telewizję? Polityki nie znoszę, irytuje mnie, jak oni wszyscy mącą. Jeśli już oglądam, to programy o zwierzętach, o czasie wojny, o Związku Radzieckim i Rosji, to mnie bardzo interesuje, to jest mój temat. Właściwie nic nie wiem o tej Rosji, z której pochodzę,

nie znam swoich korzeni.

*No właśnie, skąd pochodzi pani rodzina?*

Moja matka była córką Rosjanina i Polki. Mieszkała na Białorusi, między Mińskiem a Połockiem. Oni mieli majątek we wsi. Miała dobre geny i wielką siłę fizyczną, dzięki czemu mogła przeżyć Auschwitz – przetrwała tyfus i inne choroby. Zresztą z Auschwitz wywieźli ją po marszu śmierci do Ravensbrück, a później do Bergen-Belsen. I dopiero tam w maju wyzwolali ją Amerykanie. Była szkieletem. Powiedziała, że ludzie ludzi jedli. Tam był kanibalizm.

*W Bergen-Belsen?*

Tak, tam, w Bergen-Belsen. Widziałam kiedyś jakieś nagrania z wyzwolenia Bergen-Belsen, coś potwornego. I Niemcy wokół gospodarki mieli i mieszkali. I ten zapach rozkładających się ciał wszędzie się rozchodził, nikt nie reagował. Krowy pasły się naokoło obozu, na łąkach. Dym z krematorium leciał, a prochy jeszcze im użyźniały ziemię. Dlatego mówię, czasami są paranoiczne sytuacje. I to naród, który pretenduje do kultury wyższej. W Europie najwyższej niby.

*Jaki pani ma dziś stosunek do Niemców?*

Ludzki. To są lata, to zmieniało się we mnie. I wiem, że to była ideologia, która na Wschodzie nie była lepsza, prawdę mówiąc, ale inaczej się nazywała. Tak się złożyło, że byłam zapraszana do Niemiec, tam poznałam wiele osób. Ludzie płakali, jak o sobie opowiadałam. Tam jest taka organizacja, ty ją pewnie znasz, Maximilian-Kolbe-Werk. Oni też organizowali spotkania, zapraszali. Teraz niedawno byłam w Norymberdze. Poznałam też w krakowskiej Galicji Elizabeth, młodą Niemkę, która tłumaczy moje wystąpienia, bardzo się zaprzyjaźniłyśmy.

Jednak wciąż bardzo mnie porusza, jak widzę te parteitagie nazistowskie, gdy widzę, jak miliony ludzi krzyczało: „Heil!”. Mimo wszystko. Uważam, że wywołał to kryzys ekonomiczny. Hitler ze swoją machiną oferował ludziom pracę i zysk. I to może zdarzyć się w każdej chwili. Bo znowu przychodzi taki zły czas. Czas nacjonalizmów. Żyję już trochę na tym świecie, ale tyle bezdomności i tyle biedy jeszcze nie widziałam. Jak na dzieci zebrze się pod kościołami, w telewizji, wszędzie? Żeby przeprowadzić jakąś operację. Gdzie jest nasza służba zdrowia? To się w głowie nie mieści. I są panowie prezesowie, którzy biorą prawie miliony złotych. Gdybyś wyszła ode mnie z domu i przeszła się wieczorem, zobaczyłabyś, ile bezdomnych tam siada pod sklepami i czeka, czy im ktoś czego nie da. Za dużo w życiu widziałam, wiesz?

Jestem takim egzemplarzem, że dużo się zachowało. Inni czasami nie mają nawet papierka, nie mają jak udowodnić, że tam byli, że byli w obozie. Pokażę ci moje materiały, tu masz zaświadczenia z Oświęcimia, że jestem dzieckiem bez rodziców, możesz poczytać. A tu jest cały album z wycinkami i artykułami z gazet zagranicznych, które o mnie pisały – włoskimi, szwedzkimi, fińskimi, angielskimi, rosyjskimi, niemieckimi, japońskimi i tak dalej. Nie są to ciekawe rzeczy?

*Została pani przygarnięta przez obcych ludzi. Rozmawialiście wprost i na co dzień z przybranymi rodzicami o tym, co zaszło i o tym, jak panią przygarnęli?*

Nigdy. Nigdy nie było żadnego tematu. Oni cieszyli się, że mają dziecko. Bo oni byli wcześniej bezdzietnym małżeństwem. I poszli do Auschwitz, do obozu, po dziecko. Przecież wtedy nikt nie pytał się, czy można. Podobno nawet ksiądz w Oświęcimiu mówił na mszy, by ludzie szli do obozu i zabierali dzieci. Bo tam jest dużo małych dzieci. I oni poszli, zobaczyli pełno dzieci, wzięli jedno.

*Zdawała sobie pani sprawę, co się dzieje?*

Oczywiście.

*Ile miała pani wtedy lat?*

Cztery.

*Mała dziecinka?*

Tak, jestem zupełnie malutka. Ale to były zupełnie inne dzieci, twarda szkoła. Jak znalazłam się po latach, to mama mi mówi: „Jaki ty masz ładny numer”. Bo wszyscy mają jakieś małe, pokrzywione te tatuaże, a ja mam duży, ładny, wyraźny. Jak już siedzieliśmy w więzieniu...

*A kiedy trafiliście do więzienia?*

Zgarnęli nas, bo Stalin kazał spalić wszystkie przygraniczne wsie. Od Stalina się zaczęło. A nasza wieś była przy granicy, dzisiejsza Białoruś. Kazał palić wsie, ponieważ wchodziła armia niemiecka. Chodziło o to, żeby Niemcy nie mieli u nas bazy. Wszystko spalono. Mężczyźni poszli na front. Zostały kobiety, dzieci i starcy. I ci cywile do lasu, tam kopali ziemianki i tam się żyło. Mama opowiadała, że pranie prała w rzece. Niczego nie było. Pytam: „Coście jedli, cośmy jedli?”. Mówi, że chodzili na pola, wygrzebywało się ziemniaki i zbierało kłosa. Ale potem nadeszło wojsko niemieckie. Działała tam partyzantka przeciwko Niemcom. Ci, którzy byli na siłach, przeszli linię frontu przez rzekę. Mama mi potem opowiadała, że to była rzeka Trisa i trzeba było iść cicho, zanurzonym pod wodą, ze słomką w ustach. Ale matki z dziećmi nie mogły tak przejść, więc zostały aresztowane i tak dostałyśmy się do więzienia.

*Z waszej rodziny byliście tylko wy z mamą?*

Jeszcze z babcią i z dziadkiem. Tata był na froncie.

*Miała pani wówczas trzy lata?*

Trzy, jak trafiłam do obozu. Dlatego jestem dzieckiem najdłużej żyjącym w Oświęcimiu.

*Czyli przeżyła pani najdłużej w obozie spośród dzieci, które trafiły do Auschwitz-Birkenau?*

Tak. Ale to tylko dzięki determinacji mojej matki.

*Wie pani, kiedy trafiłyście do obozu?*

Pod koniec 1943.

*Jakie jest pani pierwsze wspomnienie? Jakież prześwity?*

Właśnie, prześwity pamiętam. Mama była zdumiona, kiedy po odnalezieniu się opowiedziałam, jak wyglądało gospodarstwo przed wojną, u babci. Gdzie była stodoła, gdzie był dom. Do tej pory pamiętam taki moment, jak babcia przychodzi i przynosi mleko. Są puszki po konserwach. A na stole stoi miska z galarecą z nówek. Nazywali to „hałat” – pamiętam. A ja dotykam tej galarety z obrzydzeniem, bo dziecko dziwi się tej konsystencji. I babcia nalewa kotu mleko do tej jego puszki. Pamiętam tę puszkę, jajowata w kształcie, dziś nie ma już takich puszek. Siedzę przy stole z galarecą, babcia nalewa też mleko dla mnie, do garnuszka. Wtedy musiałam mieć dwa i pół roku.

I jeszcze pamiętam, jak jest na podwórku kupka piasku. Na taczce wozi mnie taki większy chłopczyk. I wywala mnie do tego piasku. Ja go wyrzucałam z domu. Potem mama mi wyjaśniła, skąd się wzięło, że ja mówiłam, że mam brata. A to był chłopiec wioskowy, mama jego panną go miała, a to kiedyś było w wiosce przekleństwo. Moja babcia miała dobre serce i go przygarnęła, ta jego matka u nas pomagała. A ja go wyrzucałam, że on jest „czużoj”, mówiłam: „Uciekaj, bo to jest mój dom”, jak to dziecko. I jak mnie skarcili, powiedzieli, że to jest twój braciszek i nie można go wyrzucać, to ja tak sobie wbiłam w głowę, że później, także w obozie, powtarzałam, że ja mam brata. Dziecku można wszystko wmówić. A jak nas aresztowali Niemcy, sześć tygodni byliśmy w więzieniu w Połocku.

*Pamięta pani coś z tego czasu?*

Nie, nie pamiętam więzienia. Tylko pamiętam już później drogę w czerwonym wagonie.

*Czerwonym?*

No, w bydłym, takim rdzawym wagonie jechaliśmy do Oświęcimia. I jak mama mnie wysadza sikać. Jest otwór. I ja się wstydzę, mimo że jestem taka mała. Wstydziłam się, bo mnie mama wysadza do tej dziury, a ludzi tłok. Człowiek obok człowieka, wieźli bez jedzenia i picia tyle dni. Nagle otwierają się drzwi wagonu, a tu piekło.

Ja sobie nie zdawałam sprawy, ja się godziłam ze wszystkim, co mnie spotyka. Mama rozpaczała. A potem był rozdział z mamą, dopiero wtedy była moja rozpacz.

*Dojeżdżacie na miejsce i co się z wami dzieje?*

Jest selekcja, jak potem to zostało określone. Babcia z dziadkiem idą od razu na stronę drugą, inną niż my z mamą. Było „links” i „rechts”. Oni poszli na stronę śmierci, do krematorium, jak się dowiedziałam. Mama mi to od razu powiedziała, oni już na rampie zostali skierowani na śmierć, zostali pognani, dużo tych ludzi było. Dla Niemców sześćdziesięciolatek to był starzec, bo nie nadawali się do tej pracy ponad siły. Jeszcze przy tym wyżywieniu – może to było maksymalnie trzysta kilokalorii dziennie na osobę.

*Próbowaliście szukać informacji o dziadkach po wojnie?*

Chyba nie. Od razu ich zabrali do krematorium, nie byłam świadkiem, jak ich zabili, ale więcej ich nie zobaczyłam. A my z mamą i kilkoma innymi kobietami z dziećmi trafiłyśmy do obozu. A dzieci były takie dorodne, zdrowe, ruskie i tłuste dzieci. Nie takie, jakie przywożono z gett, już wykończone i słabe. Więc Mengele od razu nas sobie wybrał – dzieci do doświadczeń pseudomedycznych. Bo cóż by zrobił z takimi bidokami ledwo żywymi? Jeden zastrzyk i na stole by mu umarło. A tak testowali na nas szczepionki do woli. Do dzisiaj istnieją te niemieckie fabryki farmaceutyczne, na przykład Bayera. I są największe, najbogatsze w świecie, teraz Bayer ma nawet wykupić jakąś potężną firmę amerykańską, bo jest 10 razy bogatszy niż najbogatsza amerykańska firma (śmiech).

*Pamięta pani rozdzielenie z mamą?*

Pamiętam, pamiętam. To było okropne. Ale jak mówię, godziliśmy się ze wszystkim, bo trzeba było. Mamę wzięli do kobiet, do baraku, jak mi później opowiadała. Kobiety co dzień były wyganiane do pracy. A ja trafiłam do baraku dziecięcego.

*Czym zajmowała się mama? Mówiła pani?*

Oczywiście. Straszna praca przy regulacji rzeki, bo zmieniali bieg Wisły. Jak przyjeżdżała wywrotka z żwirem, to potrafili zasypać ludzi, którzy właśnie pracowali poniżej. Powiedziała, że to, na co ona się napatrzyła, nie da się opisać. Mówi, że Boga nie ma, bo gdyby Bóg to widział, toby do tego nie dopuścił. Co tam się działo, dzieci w wiaderkach z wodą topili, jak kobieta w obozie urodziła. Cóż takiego niemowlaka zabić, który miał najwyżej trzy kilo, to jakby kota wsadzić do wiaderka albo kurczaka. Albo od razu dawali dziecku zastrzyk z fenolem. To jest dowiedzione, bo żyją kobiety, które były przy tych porodach.

*A pani? Wierzy pani w Boga po tym wszystkim?*

Ja to co innego niż mama. Bo zostałam gdzie indziej wychowana, w innej rodzinie, dostałam inną tożsamość, inne podejście do świata. I mama żyła przecież w Związku Radzieckim. Opowiadać o tym, co z nią dalej się działo?

*Koniecznien, za chwilę o tym porozmawiamy, ale może jeszcze wróćmy do mamy w obozie.*

Widzisz, to nie da tak się opowiadać, rwie się ciągle (śmiech).

*I dobrze, przecież to mogą być rwane narracje. Nikt nie wymaga od nas spójności.*

Tej spójności nigdy nie było!

*Tym bardziej. Mama mogła panią odwiedzać w obozie?*

Ale skąd. Czołgała się wieczorem pod ten dziecięcy barak, jak coś zdobyła do jedzenia. Bo ludzie zostawiali pod drutami przy drodze jakieś jedzenie, ziemniaka, cebulę, jabłko, kawałek chleba. Mama, czołgając się po ziemi, szła do mnie. Na budce strażniczej był reflektor, który świecił co chwilę na różne strony. I jak akurat świecił w inną stronę, to wtedy podchodziła kilka kroków dalej. A potem znowu kładła się

przy ziemi. Z tym jedzeniem do mnie startowała przez ogrodzenie. Tak że ja jej twarzy nie widziałam, tylko te ręce. Ręce wkładała przez ogrodzenie. Bo było jedzenie na dłoniach.

*Pamięta pani wciąż te dłonie?*

Pamiętam same ręce, twarzy nie pamiętałam aż do spotkania po osiemnastu latach. Nie wiedziałam, jak ona wygląda. Ona mi się nawet nie śniła. Bardzo dużo zwłok leżało, jak przyszli ludzie z Oświęcimia, a myśmy tam byli już sami z innymi dziećmi. Dużo zwłok. Przyszli ludzie z miasta i powiedzieli: „Tam leży twoja mama”, i pokazali na ten stos ciał. A było bardzo dużo zwłok właśnie twarzą do ziemi, w śniegu i w błocie. To był duży mróz, chyba 28 stycznia 1945, ostatnie dni stycznia, jak wyzwali obóz. Powiedzieli mi, że to mama leży, i ja się z tym pogodziłam. Przecież te trupy ciągle były naokoło mnie i dzieci inne umierały naokoło mnie, tośmy w ogóle nie reagowali – przecież to była nasza codzienność.

*Ile to trwało w sumie?*

Piętnaście miesięcy.

*Skąd pani wiedziała, że mama akurat przychodzi, że trzeba podejść do ogrodzenia?*

Jak podpełzała, to wołała mnie po cichu.

*Jak pani miała wówczas na imię?*

Ludka.

*A jakie nazwisko?*

Boczarow. Ale ja tego nie wiedziałam. Jak miała iść do marszu śmierci – bo ona odeszła z obozu z tym marszem – to wtedy wpadła do naszego baraku, bo już był wielki rozgardiasz. I mówi, że patrzyła wszędzie, gdzie by się nie schować, ale jednak pilnowali, żeby nikt nie został, nie dało się. Mogłaby zostać za to zastrzelona, a miała nadzieję, że po mnie wróci i mnie zabierze. I tak mi obiecała, żebym sobie zapamiętała: „Jak się nazywasz? Masz pamiętać, jak się nazywasz, jesteś Ludmiła Boczarow. Jak się nazywasz? Ludmiła Boczarow”. I ja to wszystko pamiętałam, ale zniekształcałam trochę. „Jak się nazywasz?” – pytali mnie, gdy przyszli ludzie do obozu. I ja mówiłam, ale „Bociar”. „A jak na imię masz?” „Luda”. „Ile masz lat?” „Pięć”. A miałam cztery. Ale wygodniej mi było mówić, że więcej. Więc w dokumentach lekarze, którzy potem robili mi akt urodzenia, wpisali więcej o ten jeden rok. Bo w 1947 dostałam dopiero akt urodzenia.

*Urodziła się pani naprawdę w 1940?*

Tak, w grudniu 1940. W dokumentach mam natomiast listopad 1939. Ale niczego nie zmieniałam później w dokumentach, to byłoby bez sensu. Jak dowiedziałam się o mojej przeszłości, byłam już dorosła, miałam dowód osobisty. Gdybym chciała przechodzić od nowa wszystkie procedury, groziłaby mi deportacja do ZSRR. To był początek lat sześćdziesiątych, okres głębokiej komuny. Moja mama naturalna absolutnie zażądałaby zwrotu dziecka, a Związek Radziecki by jej w tym dopomógł.

*Zapewne. Zatem mama została wyprowadzona z Auschwitz w marszu śmierci. Co później z nią się działo?*

Szli w mrozie aż sześćdziesiąt kilometrów, ładują ich na otwarte platformy i wiozą do Niemiec, do Ravensbrück. Gdy Ravensbrück ma być wyzwolone, to ich transportują do Bergen-Belsen, aż pod granicę francuską.

*Wspominała pani o przypadkach kanibalizmu w Bergen-Belsen. Co mama mówiła?*

Że był tak duży głód, że ludzie ludzi jedli. Więc ją pytam: „A ty?”. A ona: „Nie pytaj, widzisz przecież, że żyję”. Nie pozwoliła więcej o tym rozmawiać. Głód był niewyobrażalny. Ale tak to było, że jedni, na funkcjach, żyli przednio, a inni z głodu umierali.

*Co działo się dalej z mamą?*

Wyzwalają ją Amerykanie. Jeszcze trzy miesiące tam jest, bo ich leczą. Oferują każdemu, kto chce, obywatelstwo amerykańskie – można wyjechać do Stanów. Ale ona nie chce, bo zostawiła dziecko. I jedzie szukać tego dziecka. Powiedzieli jej tam Rosjanie, że wszystkie dzieci z Oświęcimia zostały wywiezione do Związku Radzieckiego, do domów dziecka. Po co ma więc jechać do Oświęcimia? Skoro był wyzwolony w styczniu, a jest praktycznie wczesna jesień, w Oświęcimiu już na pewno nikogo nie ma. Jedzie do Rosji. I jeżdżą po wszystkich domach dziecka, szukają. Wiadomo, że nie odnajdują.

*Znalazł się pani tata?*

Tak, wrócił z frontu i spotkali się z mamą w Doniecku, w tym nieszczęsnym Doniecku, bo tam jego rodzice mieszkali. Byli z mamą umówieni, że jak wrócą z wojny, to tam się spotkają, jeżeli przeżyją.

*Szukają pani po tych wszystkich domach dziecka – czy w pewnym momencie uznali, że to się nie uda?*

Nie, mama wciąż wierzyła, że ja żyję. I szukała bez przerwy, zresztą pokazywała mi dowody, listy do Czerwonego Krzyża. I co roku dostawała listy od nich, taką powiastkę, jak tam się w Rosji mówi: niestety, nie ma na razie żadnych wiadomości. I któregoś roku znowu dostaje powiadomienie, tym razem grubszy list. I po prostu dębieje. Boi się sama otworzyć. Woła więc sąsiadkę, która czyta ten list i mówi: „Twoja Luda się znalazła”. Mama mdleje i traci wzrok. Przez trzy miesiące nie widzi nic – z tego wrażenia i z nerwów. Jest jeszcze młodą kobietą, ma dopiero czterdzieści lat.

*Mama mówiła po rosyjsku czy po polsku?*

Mama mówiła w kilku językach, to była taka zdolna, mądra i dobra kobieta – po rosyjsku, polsku, niemiecku.

*Do kiedy żyła?*

Dwadzieścia pięć lat nie żyje. Dzięki Bogu oboje z ojcem umarli. Dzięki Bogu nie dożyli tych czasów, to znaczy tego, co teraz tam dzieje się w Doniecku. Bo oni zostali

w Doniecku po wojnie. Urodziły im się tam bliźnięta, moje siostry, w 1947 roku. Mama mówiła, że była jedna Cyganka w Bergen-Belsen, która wróżyła i powiedziała mamie: „Tyś zgubiła dziecko, ale znajdziesz to dziecko, bo to dziecko żyje. I wrócisz do swego kraju, i urodzisz bliźnięta”. I dokładnie powiedziała, za ile lat po urodzeniu bliźniąt znajdzie się ja. Jak bliźnięta się urodziły, to mama miała dowód. Zeszły się te wszystkie ciotki, jak to w Rosji, do dzieci leżących na pierzynach. Ja przed wojną miałam starszą siostrę, która zmarła, Swietka się nazywała. I ciotki mówią mamie: „Za te dwie zmarłe, Swietkę i Ludeę, masz nowe, bliźniaczki. To nazwij jedną Swietłana, a drugą Ludmiła”. I mama mówi: „Swietłana może być, ale Ludmiła nie, bo Ludmiła się znajdzie”.

*Wierzyła w panią ewidentnie. A jak to wyglądało z pani perspektywy, co się z panią działo jeszcze w obozie?*

Pamiętam dużo. Siedzimy całe dni na tych pryczach, kiwamy się, bo mamy chorobę sierocą. Pamiętam, jak siedzimy na nocnikach, jak siedzimy w tym zimnie, w tym brudzie, w tym kale – tam było aż ślisko od tego, za przeproszeniem, bo dzieci nie mogły utrzymać. Tam nie było nawet toalety, przecież widziałeś te baraki. Na zimnej posadzce w kącie – tam siedzieliśmy na nocnikach. Raz spadłam z pryczy, z samej góry. Płakałam bardzo. I pamiętam, że w końcu ktoś dał mi cukierka. Blokowa mi dała, żebym nie płakała. Jak dziś to pamiętam, to możesz sobie wyobrazić, co to za wydarzenie było, dostać cukierka.

I jeszcze pamiętam taki jeden fakt. Tam pojawiały się kobiety, co urodziły. Dzieci im odbierano, a one miały pokarm. I jedna taka na łyżkę ściągnęła mleko z piersi i podchodzi do mnie z tą łyżką, a ja z takim wstrętem... Nie chciałam tego mleka. I ja to pamiętam, jak ona do mnie z tą łyżką. Zwykle tego nie opowiadam, bo ona chciała dobrze, ale ja nie chciałam tego mleka.

*Rozumiem. A co dzieci dostawały do jedzenia w obozie?*

Chleb ciemny, innego tam nie było. W wiaderkach przywozili zupę, tę taką z brukwi, z łupin, z resztek, z pognitych marchewek, taka byrda to była. Ale czasami przynosili Melsuppe, mleczną, dla dzieci. Ale te dziewczyny, co ją przynosiły, też były głodne, więc większość zjadały po drodze. Niewielu więc ją dostawało. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek dobiła się do tej zupy, bo byłam mała. Te większe dzieci prędzej się dopchały.

*Dużo was było?*

Dużo. Kilkadziesiąt. Przy wyzwoleniu było sto sześćdziesiąt żywych.

*Była jakaś higiena w obozie, ktoś dbał o dzieci?*

Żadnej. Ja nie byłam myta ponad rok. Mama przybrana mówi, że miałam skórę jak starzec – pomarszczoną, a w tych zmarszczkach brud. Niemożebny brud. Włosy mi odrosły w obozie, to miałam wszy.

*Pamięta pani moment tatuowania?*



Nie pamiętam właśnie. Ale mama mówi, że byłam tak wyćwiczona, że nawet jednego słowa nie pisałam.

*Jakie były relacje między dziećmi?*

Tam nie było przyjaźni ani bliskich relacji. Co silniejsze dziecko wyrwało słabszemu, co tylko chciało, na przykład kromkę chleba. Nie biliśmy się, ale nie było ani znajomości, ani solidarności, koleżeństwa. Dopiero później, pod koniec 1944, gdy przyszły dziewczyny z powstania warszawskiego. To już były duże dziewczynki, dwunasto-, czternastolatki, harcerki. Szare Szeregi tak zwane. One też trafiły na dziecięcy. Ale to już była późna jesień. I one dopiero nami jakkolwiek się zajęły. Do dziś pamiętam warszawskie piosenki patriotyczne, *Rozszumiały się wierzby płaczące* i tak dalej. Uczyły nas tych piosenek. I pacierza. Wcześniej przecież nie umiałam pacierza, bo ja po rosyjsku mówiłam.

*Mama była prawosławna?*

Tak, prawosławna. I ja też, bo potem okazało się, że byłam chrzczona w prawosławnym kościele. Więc mam dwa chrzty za sobą. Z butami pójdę do nieba (śmiech).

*Mieliście jakiegokolwiek zabawki w obozie? Choćby prowizoryczne?*

Nic. Pamiętam tylko, że pod koniec miałam organki. I w tych organkach było dużo piasku. Ale później gdzieś zgubiły mi się te organki. I nie wiem, skąd się wzięły. To było wszystko.

*Ktoś je pani dał?*

Może znalazłam? Bo przecież tam jedno dziecko drugiemu brało. Miałam rano buty – nie mam butów. Miałam coś tam, nie mam czegoś, ale mam co innego. Wszystko było wspólne i przechodnie. Jak mnie zabierała nowa matka z obozu, mówi, że miałam dwa lewe buty na nogach. I sweter damski, za duży. Mundurek miałam pod spodem, taki marynarski. Mundurek był z Kanady – przynosili rzeczy dla dzieci, które żyły, od tych dzieci, co je pomordowali. To moja mama prawdziwa zdobyła ten mundurek i ubrała mnie jeszcze przed odejściem. Już wtedy było troszkę luźniej, można było coś ukraść. To się nazywało: organizować coś. I buty mi dała. Mówi: „Wszystkoś miała. I płaszczyk miałas”. Była zima. A ta nowa, jak mnie spotkała, to mówi, że już butów nie miałam, tylko jakieś dwa lewe, przypadkowe, miałam ten mundurek, bo nie zdarli go ze mnie, płaszczka nie miałam, ale sweter damski z rękawami do tyłu związanymi. Płaszczyk i buty ukradli mi. A zresztą to nie była kradzież, jedno drugiemu zabierało, kto wiedział, co jest czyje? Jak się rozebrałam, to znikło.

*W co pani wcześniej była ubrana? Nie mieliście obozowych ubrań?*

Nie, dla dzieci nie było pasiaków. Chodziliśmy w tym, w czym przyjechaliśmy do obozu. W takich łachmanach po prostu. Buty też własne.

*Miski wam dali?*

Nie dali, nic nie dali. Nie u dzieci. Wszystko było zdobyczne, ileś tam misek krążyło po baraku dziecięcym.

*Jak spaliście w baraku dziecięcym?*

Zależy, gdzie kto się wepchał.

*Po ile osób na pryczy?*

A, to się u nas nie liczyło, ile się upchało, to tyle było. O, to jest mój akt urodzenia, mama się postarała. I tu jest, czyją córką byłam. 14.12.1940 – data urodzenia. Po rosyjsku. Urodziłam się w Samborze.

*Mówi pani po rosyjsku?*

Mówię. Jak tam jadę do sióstr, to po dwóch tygodniach już dobrze się porozumiewam. Oślucham się i mówię. To jednak pozostaje w głowie. Ojciec Boczarow Aleksiej Iwanowicz, a mama Anna Wasiliewna Boczarow. Mama w 1964 roku się postarała, żeby akt był koniecznie. Jeszcze mam śmieszne akty urodzenia polskie. Nie wiem, jak oni to wystawiali: zameldowanie w kościele Wniebowzięcia, gdy mnie meldowali do chrztu: Rydzikowska Ludmiła Lidia, dwojga imion, córka Ryszarda Rydzikowskiego i Bronisławy Chyciek, urodziła się 2.01.1940 – tak mniej więcej. To było wydane w 1947. Natomiast w urzędzie stanu cywilnego wpisali mi 14.12.1939, zupełny bałagan.

*Co się z panią działo po odejściu mamy?*

Jesteśmy gromadą dzieci sami, dorosłych już nie ma.

*Zostawili dzieci w obozie, gdy dorosłych pognali w marszu śmierci?*

Tak, samopas nas zostawili. Ale krótko to trwało, bo zaraz weszła Armia Czerwona. Doskonale pamiętam ten dzień, bo pojawiły się inne mundury i język podobny, coś mi się przypomniało. Bo ja w obozie już zapomniałam prawie rosyjski, mówiłam w tym żargonie obozowym, a potem po polsku, dzięki harcerkom. A tu nagle znowu język rosyjski i ja rozumiem, co oni mówią. I przy tym długim piecu w obozie dają nam jakieś jedzenie. Wówczas akurat jesteśmy w takim baraku, ale wcześniej nas często przenosili do różnych baraków. Pamiętam nawet, jak byliśmy na początku w baraku drewnianym. Pamiętam, że stoję na dole i patrzę do góry, jakie to było strasznie wysokie! Bo ja byłam malutka, więc wydawało się, że to jest takie wysokie. Doskonale pamiętam ten obraz. Teraz w muzeum jest taki barak dziecięcy wystawiony, gdzie są rysunki dzieci. Ale to nie był ten, gdzie spędziliśmy najwięcej, w nim byliśmy dopiero, gdy przyszły dziewczyny z powstania i z nimi rysowaliśmy i śpiewaliśmy. Wcześniej nie było nic.

*To co robiliście całe dni, dopóki nie było dziewczyn z Warszawy?*

Siedzieli i kiwali. I nic nikogo nie interesowało.

*Wspominała pani o doktorze Mengele...*

Nikt nikogo nie pytał. Tylko przychodzili i...

*On, Mengele, fizycznie do was przychodził?*

Tak, on fizycznie wraz ze swoimi asystentami. Kilkoro dzieci brał od razu. Zaraz ci pokażę, mam taki akt, który się zachował, wystawiony jeszcze przez Niemców w obozie. W ogóle to jest nadzwyczajna sprawa, jakby palec Boży czuwał nad tym, bo nikt nie ma takich dokumentów jak ja i tyle danych. Nawet zachowało się, jak figuruję w niemieckim archiwum na liście dzieci eksperymentalnych. I w Arolsen, i w niemieckim Czerwonym Krzyżu.

O tu, zobacz, archiwum w Oświęcimiu zrobiło kopię dokumentu niemieckiego, na którym widnieje moje nazwisko – spis dzieci, które podlegały SS-Hygiene Institut. I mój numer. I nazwiska innych dzieci, głównie polskie i rosyjskie, ani jednego z tych dzieci nie znam. Zaraz ci pokażę jeszcze coś innego – zobacz, ładna byłam dziewczynka?

*To jest pani? Serio?*

No ja, jak troszkę się wychrapałam z tego stanu około śmierci. Już byłam bardziej do rzeczy.

*Ile ma pani lat na tym zdjęciu?*

Miałam tu jakieś sześć lat.

*Czyli fotografia powstała kilkanaście miesięcy po opuszczeniu obozu? Smutna jest pani na tym zdjęciu.*

Tak. Zawsze miałam smutne oczy.

*I usta w podkówkę?*

Tak, już mi ten smutek został.

*Tęskniła pani za mamą?*

Nie. Byłam wyzuta z wszelkich uczuć. Dokładnie. I tak mi zostało, prawdę powiedziawszy. Nie zostałam nauczona uczuć. A w tym wieku nabiera się wartości do rodziny, do mamy. A tu mamy nie było, nie było do kogo coś czuć, przytulić się, tęsknić. Po prostu z tym się pogodziłam, że nie ma jej.

*A czy dobrze pani było u tej nowej rodziny?*

Słuchaj, byłam trochę innym dzieckiem niż takie normalne dzieci, co się lepią, przytulają, siadają na kolanach. Ja nie.

*Jak to się stało, że trafiła pani właśnie do tej, a nie innej rodziny?*

Oni mnie wybrali. Jestem w obozie wśród innych dzieci. Oni przychodzą wybrać sobie dziecko. On lata po całym baraku i szuka jakiejś blondyneczki o kręconych włosach. Ale takich dzieci tam nie ma. A ja jestem czarnowłosa, kruczoczarna, kręcone włosy, zawszona, brudna, okropnie wyglądam, wargę pękniętą i niegojąca się od awitaminozy. Obraz nędzy i rozpacz. Podchodzą w końcu do mnie, a ja siedzę z miską metalową, taką bordową, jak są teraz na ekspozycji, i ręką coś wyjadam z tej miski. Ona podchodzi do mnie i pyta: „Czy pójdziesz ze mną?”. A ja mówię: „Pójdę”. Ona była w futrze czarnym z foki. I ja tak się przytuliłam policzkiem do tego futra, pamiętam, to było miłe w dotyku. Ona mnie pyta: „A będziesz gęsi pasła?”. Ja

mówię: „Będę”. Bo mi było wszystko jedno, wiedziałam, że mamy nie ma. Miałam nogi kompletnie odmrożone, do kolan prawie.

*I po prostu panią zabrali? Musieli coś podpisać?*

A skąd. Ludzie wynosili dzieci, do domu brali. Nikt na to nie zwracał uwagi, ani urząd jeszcze nie działał, ani nic. Kto tylko chciał – brał. Dziś byłaby armia psychologów i lekarzy. A w Oświęcimiu był jeden lekarz na całe miasto, zresztą przychodził do mnie co dzień i uczył tych ludzi, co mnie wzięli. Bo mi dali zaraz jakiejś zupy, z której od razu w nocy dostałam skrętu kiszek. Oni nie przypuszczali, że taka będzie reakcja, skąd mogli wiedzieć.

*Nowi rodzice pytali panią o cokolwiek z przeszłości?*

Zapytali: „Jak się nazywasz?”. „Luda się nazywam”. „A jak jeszcze?” „Bociar”. „A skąd jesteś?” „Z Mińska”. Wszystko wiedziałam. „A jak mama się nazywała?” „Anna”. „A tata?” „Lonia”. Wszystko wiedziałam. Ale to nie pomogło. Oni siedzieli cicho, bo byli szczęśliwi, że mają dziecko. To jest zupełnie inna historia.

*Pomagali szukać rodziny biologicznej, gdy była pani starsza?*

Absolutnie nie. Raz przysłała do nich sąsiadka – bo w radio po wojnie czytali nazwiska szukających i szukanych – powiedziała im, co usłyszała. Powtórzyła mi to ta właśnie sąsiadka dopiero, jak odnalazłam mamę: „Wiesz co, Lidka, przysłałam kiedyś do Bronki – bo ona Bronisława się nazywała, to jest ta, która mnie wzięła – mnie się zdaje, że twoją Lidę szukają”. A ona mówi: „Cicho”. Żebym ja nie usłyszała. A wtedy miałam ze czternaście lat.



*Każdy miał swoje racje?*

Niestety. Ale może na dobre to wyszło, bo zostałam tu, w Polsce. A tak może byłabym w ZSRR, a teraz w Doniecku.

*Czym zajmowali się nowi rodzice?*

On pracował w zakładach chemicznych, dostał tam mieszkanie i przeprowadziliśmy się z miasta, z pożydowskiego mieszkania. Bo oni mieli specyficzną sytuację – brama śmierci w Birkenau stoi na ich polu. Więc jak budowano obóz, wysiedlili ich wszystkich. Żydów z Oświęcimia dali do getta w Chrzanowie, a tych lokalnych Polaków przesiedlono do mieszkań pożydowskich. Ta, która mnie przygarnęła, wraz ze swoją przyjaciółką – bo w trakcie wojny mężów ich nie było, jeden był na froncie, drugi na robotach – pracowały gdzieś na kolei. Ta nowa mama powiedziała, że takich rzeczy się naoglądała, jakie w ogóle się nie śnią. Ja teraz żałuję, że tego nie zapisałam. Na przykład mówiła, że podjeżdżał cały wagon, a w środku była zawartość domu dziecka wraz z zakonnicą, zamrożone, jak w chłodni. Jechali w takich warunkach do krematorium.

*Gdzie dokładnie pracowała?*

Na kolei w Oświęcimiu, kiedy jeszcze nie było wybudowanych krematoriów w Brzezince. Ci ludzie okoliczni znali historie niesamowite, ale wówczas nikt się tym nie interesował. Dziś co innego. To byłoby ważne ich usłyszeć, cenny materiał. Ale już nie ma komu mówić. Mama moja miałaby ponad sto lat. A nie żyje już dwadzieścia lat. Będę w niedzielę tam, bo teraz będzie dwadzieścia lat, jak oboje zmarli. Dam za nich na mszę. On umarł w marcu, ona umarła we wrześniu. Ona była z 1912, a ojciec z 1911.

*Kochała ich pani?*

Ja nigdy nikogo nie kochałam. Słuchaj, miłości uczy się dziecko w tym wieku, w którym u mnie była już tylko walka instynktowna o przetrwanie. Ja nie znałam tego uczucia. Może moja mama mnie kochała, na pewno mnie kochała, bo starała się ponad wszystko mnie uratować, narażając swoje życie. Ale ja uważałam to za rzecz normalną, nie myślałam o tym. Każdy dzień przeżyty. Brałam to życie jak normalne, nie znając innego. Jaka tam była miłość? Co mówić o miłości, co mówić o przyjaźni, jak tam tylko instynkt działał? Ja nie umiałam. Pamiętam, jak urodziłam swoje dziecko, było nas chyba sześć na sali, przynosili dzieci do karmienia. Przeważnie dziewczynki się rodziły, mój był jedyny chłopak. I te kobiety mówiły do dzieci: „O, moja księżniczko, moja królewno”. A ja sobie myślę: jak ja musiałam przez ciebie się umęczyć... Zabite wszystkie uczucia. Tego chyba uczysz się w dzieciństwie, i to wczesnym. A tak zdaje się, że dziecko takie małe to nic. Nieprawda, to jest najważniejszy czas.

Zobacz, proszę, tu są różne materiały, na przykład ktoś mi dał artykuł o Mengelem.

*Co on wam robił, pamięta pani?*

Zastrzyki. Tam było kilka laboratoriów, on nas tam zabierał. On preparował zwłoki, gotował je. Nie wiem, czy wpadłaś kiedyś na książkę *Byłem asystentem doktora Mengele* Miklósa Nyiszli? Fantastyczna książka. Tu jest dziewczynka z Auschwitzu, gotowizna już, tak właśnie wyglądaliśmy. O, a tu masz mnie, smutna minka. Tu już trochę mniej, ale oczy zawsze smutne. Tu jest moja korespondencja z Hamburgiem, gdy szukałam mamy – chcieli, bym wysłała im takie zdjęcie bez makijażu, z odsłoniętym uchem. A to jest mój pierwszy list do mamy.

*Kiedy zaczęła pani szukać rodziców?*

W 1959 roku. Miałam dziewiętnaście lat. Pierwszy list do Genewy, do Czerwonego Krzyża. Tam mi odpowiedzieli, że nie ma żadnej wiadomości. Wysyłałam jeszcze kilka innych listów. A w marcu 1962 pierwsza wiadomość, że matka żyje.

*Dostaje pani ten list – jak pani reaguje?*

Dębieję, bo się nie spodziewałam. Bo ja mamę pochowałam dawno. A tam piszą – przeczytam ci: „Droga Pani Rydzikowska, jesteśmy w położeniu przekazać Pani radosną wiadomość, że Pani matka – nie tak, jak Pani przypuszczała, iż w 1943 została pozbawiona życia – żyje i obecnie znajduje się na terenie ZSRR. Pani matka Anna Boczarow złożyła u nas wniosek o wszczęcie postępowania poszukiwawczego za Panią. Podano następujące personalia: Ludmiła Boczarow, urodzona w 1940, imię ojca: Aleksiej, imię matki: Anna, miejsce urodzenia: Nowy Sambor. Identyfikacja Pani osoby została stwierdzona” – bo przecież przedtem nie badano DNA, ale były analizy krwi, byłam wówczas w laboratorium w medycynie sądowej w Krakowie. „Numer, który nam Pani podała, zgadza się z numerem dziewczynki poszukiwanej przez radziecki Czerwony Krzyż”.

Mama nigdy nie odstąpiła i całe lata poszukiwała. Ale ja się nie odzywałam, bo uważałam, że nie ma jej, kogo więc będę szukać? A że byłam taki twardziel, bo tak trzeba było, to nie rozczulałam się nad tym. „Gdyby chciała Pani nawiązać kontakt ze swoją matką, podajemy adres”. I tu podają ten adres. Podpisano: „Czerwony Krzyż i Półksiężyc”.

*A co na to nowi rodzice?*

Najpierw trochę się denerwowali. Mama była wściekła na mnie, że w ogóle poszukuję.

*Nie wiedziała, że pani wysyła listy?*

Nie wiedziała, bo ja się bałam, że mi zabroni wysłać. Ale moi koledzy – tacy jak ty, Agnieszko – nic, tylko mówili mi: „Pisz, pisz, pisz”. I kolega przyniósł mi cały zestaw formularzy biur poszukujących rodziny i rozpisaliśmy te listy. A moja mama nic o tym nie wiedziała.

*Czyli mówiła pani koleżankom i kolegom o swoich doświadczeniach?*

Ale skąd, nigdy.

*Skąd zatem wiedzieli?*

Jak już byłam panienką, widzieli kiedyś ten mój numer na rękę. Ale ja sobie zaklejałam plastrem numer, bo nie chciałam się przyznać, że byłam w Oświęcimiu, wstydziałam się.

*Czego pani się wstydziała?*

Wstydziałam się, że dałam się tam zamknąć. Taka ambicja nie pozwalała mi mówić, że ja byłam w więzieniu. Jak miałam szesnaście, siedemnaście lat, to było dla mnie tragiczne. Wtedy też było inne podejście do tych ludzi po obozach.

*A jak było wcześniej, gdy była pani jeszcze w podstawówce?*

Zwracali uwagę na numer. Ale wtedy też zalepiałam sobie plastrem rękę, żeby nikt się nie czepiał, żeby mi dali spokój.

*Coś się zmieniło, gdy miała pani już dziewiętnaście lat?*

Nie, nadal się nie przyznawałam, ale jak kiedyś zobaczyli ten numer, to od razu wiedzieli, co on oznacza. W Oświęcimiu wszyscy wiedzieli, co to jest Auschwitz. Zresztą jeszcze wtedy dużo tych ludzi po obozach żyło. Nawet pierwsi pracownicy i przewodnicy Muzeum Auschwitz to byli więźniowie, oni tam po prostu zostali. Ale oni byli starsi.

*I nie знаła pani wówczas rówieśników, którzy też byli w obozach?*

Nie znałam. No, bo skąd? Ja jedna byłam dziwadło. Dlatego źle się z tym czułam. O tu, widzisz, zaczyna się rosyjska prasa – pisali o mnie artykuły. Tutaj Polska. I potem inne kraje, cała Europa pisała na ten temat, bo to było wydarzenie. Pierwsze dziecko rosyjskie wracające po latach do ojczyzny. Nawet wyliczyli, ile dni byliśmy rozdzielone z mamą: „6240 dni nieugaszonych nadziei”.

*Ludmiła Skibicka? Miała pani jeszcze jakieś inne nazwisko?*

Po mężu, już za mąż wtedy wyszłam.

*Czyli w sumie miała pani trzy różne nazwiska?*

Cztery.

*Tak?*

Jakbyś chciała się doliczyć: z domu Boczarow. Z drugiego domu Rydzikowska. Po mężu Skibicka. I po drugim mężu Maksymowicz. Można by książkę napisać.

Widzisz, to jest pierwszy telegram od mamy. Pisze fioletowym atramentem, zupełnie wyraźny do dziś. Potem był cykl reportaży o mnie. I jak przedtem jeszcze wojsko stało w Legnicy, to żołnierze sobie w szafkach wieszali moje zdjęcie. Bo przyjechali do mnie obmedalowani generałowie rosyjscy i rozmawiali. Później otwierałam nową szkołę – zobacz zdjęcie – przecinam wstęgę, bo jestem matką chrzestną szkoły w Brzezince imienia Dzieci Oświęcimia. Tam w szkole jest moja izba pamięci. Zapraszają mnie na wszystkie uroczystości, mam przemowy. Trochę już się wyrobiłam, bo od czasu, gdy mama się znalazła, ciągle musiałam się udzielać, coś wygłaszać. To zdjęcie z pierwszego spotkania z mamą, w hotelu.

*Niesamowite jest to zdjęcie, elektryzujące. I widać, jakie jesteście podobne. To było*



*robione w Moskwie?*

Tak, w Moskwie.

*Była pani wzruszona?*

Ja tak sobie, nie bardzo. To mama czuła wzruszenie. Jak ona płakała, to mnie w końcu żal jej się zrobiło i też się rozpłakałam. Nie ze wzruszenia, tylko było mi jej żal, bo ona tak strasznie to przeżywała. I tak płakała: że ona mnie nie zostawiła, że nie było dnia i nocy, żeby ona nie pomyślała o mnie. I nigdy nie poszła na żadną zabawę, nie tańczyła, nie śmiała się, nie bawiła, bo ciągle myślała, gdzie to dziecko jest. Czy jej nie biją, czy jej nie zimno, czy nie głodna? Jak matczyne serce. I tyle dla mnie się poświęcała, w zęby za mnie dostała, wybili jej.

*O tym nie wiem.*

Bo trudno jest wszystko opowiedzieć. Ale matka czołgała się po kryjomu, po ciemku do baraku dziecięcego, jak tylko zdobyła coś do jedzenia. I esesmanka ją przypilnowała, jak mama wróciła do swego baraku, to ją zabiła... Uderzyła ją tak w twarz, że jej zęby wyleciały.

Tu, widzisz, są zdjęcia dzieci z obozu, jak je zastali żołnierze wyzwajający. Tak wyglądaliśmy, możesz sobie wyobrazić?

*Wyglądacie jak kosmici, szczerze mówiąc.*

Kosmici, to prawda. A tu cykl zdjęć z pierwszego spotkania: jedna matka, druga matka i ja w środku – nie wiem, do której się zwrócić.

*Niepokojąco to wygląda, fakt. Która matka jest którą?*

Ta jest przybrana, ta jest prawdziwa. Przybrana była starsza, z 1912. A ta, która mnie urodziła, była z 1923, mniej więcej dziesięć lat różnicy. Tu inne zdjęcie – widzisz, to jest moja najmłodsza siostra. A tu powitanie w Doniecku, całe miasto wyszło z transparentami witać Ludmiłę Boczarow. Z orkiestrą (śmiech). Był taki tłum, że nie pozwolili mi wysiąść na peron, trzeba było z tyłu pociągu, bo bali się, że coś się stanie. Ludzie byli też na gazie, tam dużo się piło. Potem, jak byłam w domu, musiałam na balkon wychodzić i im ręką machać, bo stali pod domem i wołali: „Luda, Luda!”. To był czas żelaznej kurtyny, nikt nie jeździł, a nagle ja z Zachodu jak z zaświatów się zjawiam.

A tu powitanie w Moskwie – to są panie, które pracowały w agencji poszukiwań Czerwonego Krzyża i Półksiężycy, to jest mój tato, to moje siostry, no i ja – zupełnie jak z innego świata. Ta moja przybrana mama była elegantka i kazała mi mieć kapelusz. Tu jestem na dworcu Białoruskim i trzymam bukiet. Widzisz, jaka byłam śliczna wtedy? Tu dziki tłum przede mną. Nigdy nie byłam w takim dużym mieście, więc myślałam, że to jest normalne. A to się okazało, że puszczono tam film, który w Polsce o mnie nakręcili, czyli on poszedł w telewizji ogólnopolskiej i ogólnorosyjskiej. I jeszcze przed moim przyjazdem opublikowano telegram w radio i w telewizji, że wtedy i wtedy przyjeżdżam na dworzec Białoruski w Moskwie.

Drzwi wagonu się otwierają, a tu dziki tłum. Moja mama nie dopchała się do mnie. Zemdlała na mój widok. Powiedziała, że mimo wszystko wyobrażała sobie dziecko. A tu otwiera oczy i widzi dorosłą kobietę. Gdzie jest ta czteroletnia dziewczynka? Ciągle miała w głowie ten obraz, tak jak mnie zostawiła. Nie była w stanie z tym się pogodzić, mimo że zobaczyła mnie na tym filmie w studio, bo od razu zaprosili całą ich rodzinę na pokaz do Moskwy.

Aha, to jest słynne zdjęcie z mamą rodzoną, które wisi teraz w pawilonie rosyjskim. To niepozowane, po prostu jak się spotkałyśmy, fotoreporterzy robili naraz setki zdjęć i coś z tego wybierali. Olbrzymie, jak pół okna, podświetlone, plus krótka historia o nas. Pawilon numer XIV, jak kiedyś będziesz w Auschwitz, to sobie zobacz. Ja sama, gdy tam byłam, stanęłam nagle zdumiona: przecież to ja (śmiech).

A tu jest ta kobieta, która pomogła mojej matce mnie uratować – lekarka rosyjska, która też była więźniarką, została przywieziona transportem z Kijowa. Ale była już przed wojną znanym w Europie pediatrą, więc wzięli ją od razu na rewir. I moja mama nawiązała z nią kontakt w obozie, jak Rosjanka z Rosjanką, i powiedziała, że ma dziecko w obozie. Jak były selekcje w baraku dziecięcym, to ta lekarka mnie zabierała. Ja pamiętam, że gdzieś mnie nosili. Po jakimś szpitalu, jak szpital to wyglądało, też były prycze, ale na nich leżeli dorośli. I mnie nosili tam od łóżka do łóżka, pamiętam. A to ta kobieta mnie nosiła, żeby przeczekać selekcję na dziecięcym. Wówczas zabierali dzieci do Łodzi, do obozu dziecięcego – tam była tragedia. Ten obóz był jak gdyby w środku getta. Ta kobieta mnie przetrzymała na rewirze i na szczęście tam nie trafiłam.

*Jak się nazywała?*

Olga Nikiticzna Klimienko, do dziś pamiętam.

*A pamięta pani Mengelego?*

Widziałam go, ale nie pamiętam. Wiem tylko, że jak wracaliśmy od niego, to leżeliśmy i ciała nasze pokrywały się wrzodami. Po szczepionkach. I do tej pory mam takie dziwne dziury na ciele po wkłuciach. Takie, jak zostają po szczepieniach, wygnite w ciele. Moja mama nie pamiętała, bym miała takie przed wojną. Wstrzykiwali nam też sól fizjologiczną. Mama mówiła, że kiedyś udało jej się wejść do naszego baraku. Wchodzi i mnie szuka, mówi: „Gdzie moje dziecko, gdzie moje dziecko, nie ma jej”. I dopiero mnie zobaczyła, mówi, że byłam przezroczysta, jak szkło. I leżałam, słaba. Wybierali nam krew, a w to miejsce wstrzykiwali sól fizjologiczną. Człowiek robi się po prostu błądy. „Byłaś jak – mówiła mi to po rosyjsku – byłaś jak stekielko”.

Tutaj jest już niemiecka prasa na ten temat. A tu jestem gwiazdą, bo robili ze mnie gwiazdę wówczas. Tu miałam wywiad w telewizji, jeszcze przed wyjazdem do Moskwy.

*No właśnie, jak potoczyły się wypadki, gdy dowiedziała się pani, że mama żyje?*

Przyjechali zaraz redaktorzy, filmowcy, robili wywiady. A przed wyjazdem do Moskwy jeszcze spotkanie w ambasadzie rosyjskiej, konsul odprowadzał mnie do granicy, na granicy z kolei pojawił się konsul polski z Moskwy. Za gwiazdę robiłam jakiś czas. A to nie była moja zasługa, po prostu tak potoczyły się losy. Chichot historii.

*Jak to pani się podobało?*

Na początku mi imponowało. Młoda dziewczyna, a już gwiazda. Cały Oświęcim wiedział. Podjeżdżali samochodami z wielkim sprzętem do kamerowania. Na przykład pięć aut telewizji i podłączali się do słupa, bo nie było innej możliwości. Mój mały synuś wtedy szalał, bo do jego mamy przyjeżdżała telewizja. Widocznie im pasowała do oczekiwanego image'u. Nie było chwilowo wielkich wojen, nic wielkiego w polityce, więc znaleźli sobie ten temat. Pisali w prasie: Gagarin wrócił z kosmosu, a Boczarow z zaświatów. Pewnie gdybym była mała, krzywa, niedoudana, nie zrobiliby z tego takiej historii. Nie poszłoby w świat. A skoro mogli sprzedać, to jakiś czas byłam sztandarową postacią. Zresztą do tej pory to się sprzedaje. Wciąż mam spotkania w Galicji, w Auschwitz, wywiady, dyskusje.

*Kto zwykle przychodzi na takie spotkania?*

Różnie. Cała Europa. Ameryka Południowa była. Nawet imamowie arabscy się trafili – płakali, jak opowiadałam. Ale to moja Elizabeth w Galicji tak potrafi tłumaczyć, że efekt jest piorunujący, są jedne łzy. Zresztą mogę was poznać. I my też możemy się zaprzyjaźnić, mogę ci pomatkować w Krakowie.

*Oczywiście, chętnie przyjdę pani posłuchać do Galicji.*

To będę miała drugą młodą przyjaciółkę. Zawsze miałam starszych znajomych, ale teraz starsi mówią ciągle o chorobach, dołączają mnie. Z młodymi jest zupełnie inny świat.

*No właśnie, ale wróćmy na chwilę do odnalezienia mamy – jak wówczas było?*

*Połączyli was z mamą telefonicznie?*

Tak, zabrano mnie do sekretarza partii, który miał telefon, i nas połączono.

*W Oświęcimiu?*

Tak. Wezwali mnie, że jest telefon z Rosji. I słyszę w słuchawce, że ktoś po rusku mówi. A ja nie bardzo wiem, o co chodzi. Niewiele z tej rozmowy pamiętam. Wiem, że mama w tej słuchawce płakała, więc też się rozplakałam. I to było radiem połączone. Nie było innych możliwości.

Przyjechał redaktor Mularczyk i przeprowadził ze mną wywiad, później Skandynawowie robili o mnie film. Następnie Węgrzy. I Czesi. Potem sesja dla Włochów, do magazynu. Na okładce była piękna Sophia Loren w tak wspaniałych strojach, że mózg staje – na tle swego domu, pałacu. O niej były trzy strony. A na kolejnych dwóch stronach jestem ja, taka bida, Lidia na tle drutów oświęcimskich. Byłam zbulwersowana, bo ja miałam już dwa pokoje z kuchnią w bloku, a redaktorzy

napisali: „Spotykamy panią Lidię w jej malusieńkim mieszkaniu”. Jakie malusieńkie, wreszcie mam porządne mieszkanie! Znajomi mnie pocieszali: „Jakbyś miała takie stroje, też byś tak wyglądała!”. Później pisała o mnie prasa japońska. A najfajniejsze było to: bielska „Kronika”, oni zgłosili się jako ostatni, a mieli najbliżej, bo mieszkałam wtedy w Szańcu. Powiedziałam im, żeby skopiowali sobie zdjęcia, które już były robione przez wcześniejszych fotografów (śmiech). Będę musiała ten album kiedyś oddać do muzeum, do grobu przecież tego nie wezmę.

Potem władze ustaliły, że mam jechać na Wschód spotkać mamę – to organizowane było na koszt władz, a było kosztowne. Dwa miesiące tam byłam, wozili mnie po hotelach, także po Petersburgu.

*Przybrana mama zgodziła się, żeby pani pojechała?*

Mama ze mną tam była. Zgodziłam się, żeby oboje pojechali ze mną. Bo oni trzęśli się, że ja pojedę sama i zostanę.

*Jak tam było? Wysiada pani z pociągu, widzi tłumy i co dalej?*

Nagle znajduję się w samochodzie, w jednej z tych czajek ogromnych, rządowych, jedziemy przez miasto. Mama się do mnie nie dopchała, bo zemdląła na peronie. Tam w mieście są takie wieżowce, hotele, jak nasz Pałac Kultury. I tam nas zawieziono, w sali recepcyjnej pełno fotoreporterów. Dopiero w nocy spotykam mamę i rozmawiamy po raz pierwszy.

*Jakie to było spotkanie?*

Ja nie wiedziałam, jak odnaleźć się w tym wszystkim. Tu stoi ta jedna, tu ta druga. I obie kochają. A ja ani jednej. To było dobre, nie? Ciężko było. Zawsze byłam i tu, i tam. Ale było, minęło, życie toczy się dalej.

*Jak rozmawiałyście?*

Ta właściwa mama, dużo mądrzejsza, mówi do tamtej: „Ja ci jej pod próg nie położyłam”. Przybrana mówi na to: „A co, miałam ją tam zostawić przy szczurach, by poszła później do domu dziecka?”. Taka rozmowa między nimi była. Moja prawdziwa mama była mądra, na wszystkim się znała, a przy tym była bardzo taktowna, ułożona, z dobrej rodziny.

*Nie została pani w Rosji – czy proponowano to pani?*

Oczywiście. Były tak zwane rozmowy „po sekretu”. Oferowano mi możliwość mieszkania, w jakim tylko mieście zapragnę, dowolne studia, bo byłam w wieku studyjnym.

*Nie zdecydowała się pani?*

Nie, powiedziałam, że wracam do domu. Mama przyjęła to – co miała zrobić?

*Miałyście ze sobą kontakt?*

Tak, ona przyjeżdżała na wszelkie delegacje obozowe, zostawała u mnie wówczas. Pierwszy przyjazd był straszny dla niej, poszłyśmy do obozu, wszystko mi pokazywała: „Tuśmy przyjechały, tu cię musiałam zostawić, tam musiałam odejść,

tam patrzyłam, czy nie da się schować”. Mówi: „Serce mi chciało wyskoczyć”. A słaba była, wykończona. Tak to przeżyła, że w nocy dostała wysokiej gorączki i lekarza do niej wołałam.

Ja też jeździłam do Rosji, ale ten Donieck mi się nie podobał, powietrze okropne, gorsze niż w Krakowie, bo ciężki przemysł. Tydzień tam siedziałam, mama mi załatwiała tak zwaną „sprawkę” i jechałam sobie wzdłuż wybrzeża Morza Czarnego. Potem wracałam do mamy na kilka dni i znowu jechałam do Polski. Ale dzięki mnie rodzina miała lepiej w Rosji, widzisz na zdjęciach – zupełnie jak w Europie. Jak ja przyjeżdżałam, to Ruskie chcieli się pokazać. Na dole, przed naszym domem stała milicja i takich drobnych pijaczków odganiała.

Jak już miałam swój dom w Szańcu, to zjeżdżały te delegacje rosyjskie do mnie, cały autobus, władze, generałowie. A bida była w tej Rosji. Oni nie mogli uwierzyć, że ja taka dama jestem, że mam dla siebie sześć pokoiów, a mama ich oprowadzała po moim domu jak po muzeum, bo chciała się pochwalić, jak córka mieszka. U nich brakowało mieszkań. Obłąd. I wszystko takie byle jakie im robili. U nas też, ale tam gorzej. Każdy zważa tylko na swoje, na nic wokoło, bo nie ma wspólnych wartości. Głęboka, wstrętna komuna. Psychikę przeryła trzem pokoleniom i teraz trudno z tego wyjść.

*Czy partia próbowała panią pozyskać?*

Pewnie. Chcieli mnie zapisać, ale ja nie chciałam, bo uważałam, że jeśli jestem w ZBoWiD-zie, czyli w Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, to jest wystarczające zaangażowanie polityczne.

*To wystarczyło, nie namawiali pani?*

Nie, nawet nie. Byłam za mała, żeby walczyć przeciwko władzy. Jeździłam ciągle między Polską a ZSRR, więc na mnie uważali, ale też nie gnębili mnie, bo pewnie każda strona obawiała się tej drugiej strony. I w Rosji też byłam pilnowana. Dom był obstawiony.

*Czy rozmawialiście o tych przeszłych doświadczeniach na co dzień w domu?*

Oni wszyscy wiedzieli, ale nie rozmawialiśmy. Nie wracaliśmy do tych tematów. Nie śnił mi się nigdy obóz. I mama mi się nie śniła. Teraz śni mi się czasem. Te umarlaki mi się śnią. Jeszcze jak byłam dzieckiem, to ludzie z okolic Oświęcimia nie mieli gdzie mieszkać, więc wracali do Brzezinki, zabierali baraki i z tego budowali sobie domy. Mój wujek miał pole, które wcześniej jeszcze dalej szło, ciągnęło się na tereny, gdzie zbudowano obóz. I po wojnie tam też na swojej części miał zbudowany dom zrobiony z tych resztek barakowych. Ja tam chodziłam bardzo często, bo tato go odwiedzał, to był jego brat. Tam też były dzieci, ale urodzone po wojnie. To lataliśmy razem, bawiliśmy się w kryjówkę na tych resztkach budynków obozowych. Dla mnie to była norma. Jak dziś ktoś o tym mówi, to z przerażeniem. A myśmy biegali po latrynach obozowych. Teraz dopiero jest jakaś ochrona, nie wolno łązić. Wcześniej

każdy robił, co chciał, brał, co chciał. Ludzie tam nawet kopali, wydobywali złoto, widziałam to. To był fakt.

*Złote żniwa?*

O tak, bardzo złote. I wciąż nazywali to „Kanada”. „Gdzie idziesz?” – pytało się. „Na Kanadę idę”.

Ale faktycznie byłam wyćwiczona – jak już zaczęłam wychodzić do dzieci na podwórko, to jak któreś krzyczało, mówiłam: „Cicho, bo wróg usłyszy”. Partyzantka mała.

*To zostało pani po obozie?*

Nie, już wcześniej, jak ukrywaliśmy się w lasach na Wschodzie, w tych ziemiankach. Więc jak przyszłam do obozu, to wiedziałam, że trzeba być cichutko, bo wróg usłyszy. Ale było, minęło i trzeba, kochana, brać życie, jak leci. Nie ma rady.

*Teraz już wiem. Miała pani później żal do losu, że to panią spotkało?*

Do tej pory miewam. Dlaczego ja? Ale uważam jednak, że to palec Boży, że w ogóle żyję. Sto osiemdziesiąt tysięcy dzieci zginęło w obozie. A ja – jak się okazuje po analizach dokumentów, które prowadzi Muzeum Auschwitz – byłam najdłużej żyjącym dzieckiem w Auschwitz-Birkenau. Inne dzieci albo od razu wymordowane, albo do selekcji, albo eksperymenty. A ja dzięki różnym okolicznościom przeżyłam.

*Poznała pani później inne dzieci obozowe?*

Tak, kilkoro, nie mamy kontaktu. Także teraz, niedawno, Żydówkę. I byłyśmy tam razem, wspominałyśmy wspólne rzeczy. Ale wtedy ześmy w ogóle się nie znały. Bo tam – jak mówię – nie było koleżeństwa ani przyjaźni. A ona jest teraz ciężko chora, ma zanik wszystkiego, mięśni i tak dalej. W Izraelu mieszka, ale często przyjeżdżała z grupami młodzieży do Krakowa. I spotykałyśmy się. No, można by tak opowiadać i opowiadać. Ale przeżyłam.

*Przeżyła pani, owszem, i siedzimy tu razem.*

No, siedzimy (śmiech).

*Jeździ pani często do Auschwitz, jak pani tam się czuje?*

Zżyłam się z tym miejscem. Bo jestem na fali, więc jeżdżę i paradoksalnie zżyłam się z obozem.

*A lubi tam pani być?*

Nie, nie lubię. Ale wiem, że trzeba. Robię to, by została pamięć. Ale ciężko ci będzie spisać tę moją historię, bo to nie jest chronologiczne.

*Nie musimy tego porządkować, przecież nie piszemy laurki.*

Nie piszemy. Samo życie. To chyba nie jest typowy przypadek? Historia wielu lat ciągnących się od początku wojny. I wielu osób.

*To prawda. A kiedy zapisała się pani do Klubu Auschwitz?*

Późno, Stefan Lipniak mnie wciągnął. Ale klub nie bardzo działa, bo oświęcimaków już prawie nie ma.

Aha, miałam ci podpisać zgodę na wykorzystanie moich zdjęć, cośmy skanowały. Nikomu nie zrobiłam takiego przeglądu materiałów, jak tobie zrobiłam – żebyś sobie wiedziała! Tylko jednym nazwiskiem podpiszę, żeby nie było tyle tych nazwisk. Tym ostatnim może? Czy wolisz wszystkie?

*A którym na co dzień pani się podpisuje?*

Skibicka-Maksymowicz, a jak skrótowo, to Maksymowicz. Ale to pierwsze jest historyczne, bo przecież najpierw nazywałam się Skibicka, a później wyszłam drugi raz za mąż. Ten mój mąż, Maksymowicz, miał ormiańskie pochodzenie, był powstańcem warszawskim w ochronie Bora-Komorowskiego. I w AK był, w komórce likwidacyjnej. Strzelał i golił włosy prostytutkom. Ale był dużo starszy ode mnie, więc w tym brał udział jako młody chłopak. Potem trafił do niewoli niemieckiej, ale w końcu uciekł do Anglii, bo tam u generała Maczka był jego ojciec.

*Razem stanowiliście historię polską XX wieku.*

Tak, stanowiliśmy (śmiech). Teraz moja wnuczka interesuje się historią.

*Wie, co niegdyś z panią się działo?*

Wie, ale to jest inny świat, bo ma dopiero dziesięć lat. Choć już teraz powiedziała mi: „Babciu, ja się wszystkiego dowiem od ciebie i jak ciebie kiedyś braknie, to ja będę o tobie opowiadać”. Ona zdaje sobie sprawę, że babci kiedyś braknie. Wie, jakie jest życie. Geny idą przeważnie od dziadków do wnuków. Zauważyłaś na zdjęciu, jakie ona ma oczy? Właśnie takie smutne. Myślę, że ten smutek w twarzy ma ode mnie. Wszyscy mi mówią: cała ty.

# Rwane opowieści przeżywców

Kim są moi rozmówcy? Mimo spędzonych razem godzin, czasami także dni, nie umiem udzielić jednej odpowiedzi na to pytanie. Wiem na pewno, że nie łączy ich przesadnie wiele. Są w różnym wieku, najmłodsza przeżywczyń urodziła się w 1940, najstarsza w 1913 roku, dzieli ich zatem prawie trzydzieści lat. Wywodzą się z różnych terenów i środowisk, warunki życia – zwłaszcza przed wojną, ale też w okresie powojennym – były diametralnie odmienne. Mają zróżnicowane poglądy i systemy wyobrażeń, różne sposoby bycia, zachowania i nawyki. Łączą ich przede wszystkim przeżycia wojenne, a właściwie jeden z etapów – pobyt w obozach koncentracyjnych. Nie jest to jednak ani powinowactwo z wyboru, ani łatwa współobecność. Zresztą również doświadczenia obozowe, choć zazwyczaj tożsamościotwórcze dla grupy, nie są tożsame. Wspólny jest ogólny schemat losów – od trafienia do obozu, przez przeżycie, aż po życie poobozowe. Odmierna jest cała reszta: okoliczności, daty, przyczyny i sposoby aresztowania, miejsca uwięzienia, warunki obozowe, pełnione funkcje, poszczególne perypetie, sposoby traktowania przez współwięźniarki i współwięźniów, ale też przez funkcyjnych i przełożonych, okoliczności uwolnienia lub ucieczki i inne.

Świadoma tych zróżnicowanych uwarunkowań, przystępując do pracy z przeżywcami, chciałam się dowiedzieć, kim są byli więźniowie ponad siedemdziesiąt lat po zakończeniu II wojny światowej? Jak toczyły się ich losy po odzyskaniu wolności? Jak funkcjonuje dziś tak dalece niejednorodna grupa ludzi? Jakie są między nimi relacje? Co właściwie spaja tę wspólnotę?

Instytucjonalną ramą dla grupy jest Związek Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych, w tym wypadku okręg krakowski. Dobór moich rozmówców nie był ani przypadkowy, ani dokonany według konkretnej metody. W podjęciu decyzji o tym, z kim porozmawiam i czyje relacje umieszczę w książce, kluczową rolę odgrywały stan zdrowia i wola przeżywców, a z drugiej strony – instynkt badawczy. Ostatecznie zdecydowałam się na transkrypcję dziewięciu wywiadów z dziesięcioma osobami, a rozplanowanie poszczególnych rozdziałów odzwierciedla kolejność ich przeprowadzania.

Punktem wyjścia pracy z przeżywcami była pozorna oczywistość: nie ma fałszywych świadectw mówionych, wszystkie są psychologicznie prawdziwe, nawet jeśli poszczególne świadectwa wzajemnie sobie przeczą (Filipkowski, 2010; Langer, 2015). Dopiero proces wielomiesięcznego rejestrowania rozmów i ich spisywania uzmysłowił mi faktyczne konsekwencje tych twierdzeń: wybiórczość relacji,



pominięcia i deformacje, stronniczość czy mitologizacja własnych losów nie są mankamentami historii mówionych, ale ich nieoczekiwanym atutem. Dopiero w tak konstruującej się tkance żywych opowieści do pewnego stopnia uwidaczniają się skutki mechanizmów (nie)pamiętania, kulturowych zapośredniczeń i zmiennych oddziaływań polityk pamięci.

Relacje mówione – splatając indywidualne biografie z konkretnymi wydarzeniami historycznymi – otwierają też pole dla nowych interpretacji przeszłości i współczesności, podejmowanych zarówno przez samych opowiadających, jak i przez ich odbiorców. Wspomniana „prawdziwość” świadectw jest autentycznością wyjątkowego momentu opowiadania, który zależy między innymi od kontekstu czasoprzestrzennego i społecznego, punktu biograficznego, w którym znajduje się świadczący, oraz charakteru relacji z tym, kto słucha. Opowieści są zatem „rwane” nie tylko wskutek kaprysów pamięci i trudów wspominania, lecz także dynamiki odczuwania przeszłości.

Lawrence Langer stwierdza wprost, że świadectwa to sekwencje emocji (Langer, 2015). Oczywiście, sprawa jest bardziej skomplikowana, ale przebywając przez wiele miesięcy z krakowskimi przeżywcami, rzeczywiście mogłam stwierdzić, że tym, co dziś konsoliduje tę grupę przede wszystkim, jest wspólnota emocji. Co więcej, odczucia nie tylko kształtują ich wzajemnie relacje, lecz także determinują ocenę zdarzeń oraz wyznaczają ton i rytm opowieści. Właśnie ciekawość tych stanów kierowała mną, gdy podejmowałam się kolejnych konfrontacji z byłymi więźniami. Chciałam zadawać proste pytania, rozmawiać o wrażeniach i reakcjach – niegdyś, gdy ich aresztowano, gdy tracili bliskich, podczas pobytu w obozie, w momencie odzyskania wolności, ale i teraz – gdy zostają osamotnieni, gdy odchodzą ich przeciwświadkowie, gdy wykorzystywani są najczęściej jako przydatni politycznie kombatanci.

Zachęcenii, moi rozmówcy dokonują (auto)analiz swoich ówczesnych i obecnych odczuć. Jest to ciekawe zwłaszcza w wypadku tych osób, które nie miały wielu okazji do opowiadania lub które wprost deklarują, że nigdy nie udzieliły wywiadu na temat obozowych doświadczeń. Często wynikało to ze stopnia strauumatyzowania i niemocy świadczenia. Niekiedy chodziło o niemożność domknięcia wojennych zdarzeń, oczekiwanie na odnalezienie się utraconych bliskich. Kiedy indziej decydująca była zła sytuacja egzystencjalna w okresie powojennym, niechęć do opowiadania historii, która pogłębiałaby stygmatyzację społeczną, poczucie winy w stosunku do tych, którzy nie przeżyli, wstyd lub obawa przed opinią publiczną, niekiedy lęk przed represjami ze strony PRL-owskich władz.

Primo Levi zauważał, jak niereprezentatywna jest grupa tworząca po wojnie historię obozów. Według niego ci, którzy przeżyli, nie zaznali najgorszego, nie zatarcili się do cna i patrząc z dzisiejszej perspektywy na skalę zbrodni, można stwierdzić, że byli

mniejszością w obozowym świecie (Levi, 2007). Ale nawet wśród nich wyraźnie rysują się hierarchie i podziały. Co więcej, wbrew pozorom nie jest tak, że równie chętnie rozmawiano ze wszystkimi byłymi więźniami. Zależało to od tendencji politycznych, ale też od pochodzenia, pozycji społecznej oraz wykształcenia. Do pewnego stopnia sytuację zmieniła popularyzacja historii mówionej, której priorytetem jest ujawnianie i prezentowanie niewybrzmiałych dotychczas głosów. Wciąż jednak spotkać można przeżywców niezapraszanych do kształtowania polskiej kultury pamięci lub z tego udziału rezygnujących, konsekwentnie unikających celebrowania wspólnych rocznic, nieudzielających wywiadów i niespotykających się z młodzieżą.

W wypadku tych osób, które przez lata nie wyrobiły sobie nawyków narracyjnych, relacje są najbardziej rwane, niespójne, fragmentaryczne. Trudno je nazwać opowieściami, są to raczej kompulsywnie powracające echa i powidoki, skrawki dialogów, pojedyncze sceny, obrazy. Z reguły właśnie te świadectwa są najbardziej żywiołowe i emocjonalne, rozmówcom zdarza się krzyknąć, płakać, czerpią też z niekoniecznie dotąd werbalizowanej pamięci ciała. Mają poczucie, że wciąż czują bodźce fizyczne, którym ulegali kilkadziesiąt lat temu: zimno, ból, dotyk, nieprzyjemne dźwięki, smaki i zapachy czy drażniące ukąszenia insektów.

Przeżywcy niejednokrotnie konstatawali z pewnym zdziwieniem, że wciąż mają w swoich ciałach żywą pamięć tamtych wrażeń. Mówili o tym, jak brzmi obóz, jak pachnie i jak smakuje, z czym kojarzą im się poszczególne sceny, opowiadali o lokalizacjach, kształtach, kubaturach, fakturach, deseniach i barwach. Ich wspomnienia stawały się plastyczne, zapośredniczone całą powierzchnią ciała.

Staralam się w trakcie naszych nagrań zwracać baczną uwagę na te sensoryczne pobudzenia, dopytywać o nie, a niekiedy czynić je punktem wyjścia do kolejnych poziomów opisu. Bywało bowiem, że na przykład wspomnienie zapachów obozowych przypominało o dymie dobywającym się z kominów krematoryjnych i dołów spaleniskowych. Moi rozmówcy niemal bez wyjątku określali ten dym za pomocą polisensualnych wrażeń, mówiąc, jaki fetor odczuwali, ale też jak go postrzegali, jak się nim dusili, jak przesiąkał ich ciała, jak ich dotykał, lepił się, obezwładniał ich ruchy i myśli.

Cielesna bezpośredniość znajdowała też odzwierciedlenie w kontaktach z innymi, martwymi i żywymi ciałami, które ich osaczały niemal ze wszystkich stron, zalewając wydzielinami, brocząc, zastygając, męcząc swym ciężarem, budząc obrzydzenie i mdłości, przerażając, a kiedy indziej uniewrażliwiając na reakcje.

Co oczywiste, nagrane przeze mnie historie powstawały w wielopłaszczyznowej relacji – do współwięźniów i więźniów z innych obozów, z którymi rozmówcy utrzymywali osobiste kontakty po wojnie, do obecnych koleżanek i kolegów z klubów, do międzynarodowego środowiska kształtującego dyskurs pamięci

o obozach koncentracyjnych, do polskiej opinii społecznej, a także do mnie jako słuchaczki. Ważne były również odniesienia do rozmaitych tekstów kultury.

Najciekawsze jest z tej perspektywy często problematyzowane przez rozmówców odchodzenie ich przeciwświadków. Śmierć obozowego koleżeństwa bywa powodem smutku i rozżalenia wywołanego utratą punktu odniesienia, kogoś, kto doświadczenie obozu rozumiał bez słów, kto mógł poświadczyć i kto współuczestniczył w pamięciotwórczej działalności przeżywców. Zdarza się jednak, że fakt stopniowego słabnięcia przeciwnarracji i zanikania przeciwświadków daje byłym więźniom poczucie wolności świadczenia, jak gdyby wraz z samoistnym kurczeniem się wspólnoty wygasła jakaś niepisana umowa, przestawały obowiązywać zakazy dotyczące tego, czego nie wypada opowiadać o rzeczywistości obozowej, jakby dopiero teraz możliwe było odrzucenie pewnych obaw czy skrupułów. Co więcej, ten wyjątkowy, być może ostatni moment przekazywania opowieści wpływa nie tylko na to, jak opowiadają moi rozmówcy, lecz także na to, co mówią.

Przejmujące były momenty, gdy bohaterowie tej książki z pewnym wahaniem decydowali się na wspomnienie wydarzeń czy zjawisk, które uznawali za „drażliwe” i które poprzedzali uwagami typu: „Jest pani dorosła, więc mogę powiedzieć”, „Aż wstyd mówić, ale teraz, co to szkodzi?”, „O takich rzeczach nie mówiło się, ale...”, „Może nie wypada mówić, choć pani zrozumie”, „Mam mówić szczerze, czy pomijać?”, „Tego zwykle nie opowiadam, ale...”, „Nigdy o tym nikomu nie wspominałam, ale dziś chyba już mogę”. Tak sygnalizowane kwestie dotyczyły zwykle seksualności więźniarek i więźniów zarówno w obozie, jak i po wyzwoleniu. Chodziło zazwyczaj o trzy typy przypadków: homoseksualizm, seksualność, którą uznawano za w jakiś sposób zintensyfikowaną oraz przemoc na tle seksualnym, w tym gwałty.

Absolutnie nie twierdzę, że pokrewne wątki i problemy nie były wcześniej werbalizowane. Polscy przeżywcy jednak – zarówno ze względu na sytuację polityczną, jak i katolicką mentalność społeczeństwa oraz środowiska kombatanckiego – długo mieli opory przed ujawnieniem pewnych obserwacji z codzienności obozowej, zwłaszcza gdy uznali je za nieobyczajne lub odwracające uwagę od uogólnionej potworności obozu. Analiza wspomnień oraz bezpośrednia obserwacja reakcji byłych więźniarek i więźniów pozwala stwierdzić, że obecnie mają odwagę mówić inaczej i więcej o swoich wojennych przeżyciach. Wynika to zapewne, po pierwsze, z postępującego zaniku przeciwnarracji, jak i – po drugie – z aktualnego poczucia moich rozmówców, że kres ich życia to zarazem ostatni moment na wypowiedzenie niekomunikowanych dotychczas wątków. Nie bez znaczenia jest również ich wyobrażenie o większej otwartości społecznej na dyskusję o tożsamości, mniejszościach i erotyce.

Jednakże wbrew obawom, upływ czasu i nieuchronnie postępujące procesy

zapominania, zniekształcania i nadbudowywania luk pamięci nie doprowadziły do stanu, w którym można by obecne relacje uznać za niewspółmierne do tych rejestrowanych uprzednio. Kiedy możliwe było ich porównanie, okazywało się, że zmediatyzowane przez dzisiejszą kulturę wspomnienia nie różnią się zasadniczo od tych „pierwszych”, które formowała ówczesna kultura. Zmieniły się natomiast sposoby i język opowiadania oraz zakres opowieści – niejednokrotnie na rzecz uszczegółowienia tych współczesnych.

Gdy przystępowałam do pracy z byłymi więźniarkami i więźniami krakowskiego Związku, nie było dla mnie oczywiste, na ile jednorodna etnicznie jest to grupa. Szybko okazało się, że zrzeszeni są przede wszystkim Polacy, a jedynie kilku przeżywców z tego grona pochodzi z terenów dawnego ZSRR. Mówiąc wprost: na forum o Żydach nie ma mowy. Dosłownie i w przenośni. Mimo że polskie i żydowskie stowarzyszenia dzieli dosłownie kilka przecznic, sporadyczny kontakt mają ze sobą tylko ich (wice)prezesi. Wspólny jest dostęp do przychodni Pro vita et spe. Co ciekawe, budynek, w którym mieści się siedziba Związku oraz przychodnia, był niegdyś, między innymi, żydowskim domem sierot oraz domem modlitwy Damasza.

Polscy i żydowscy przeżywcy, pytani wprost o współczesne relacje, praktycznie nic o sobie nawzajem nie wiedzą. Gdy mijają się na co dzień w przestrzeni publicznej, mają jedynie niejasne wrażenie, że skądś znają widziane twarze. Znamienna była dla mnie scena, gdy jedna z moich rozmówczyń zatrzymała na ulicy pewną kobietę, dopytując, skąd mogą się znać. Przez chwilę przypatrywały się sobie w skupieniu i typowały kolejne możliwości: że poznały się wczoraj w kolejce u lekarza, były razem na zagranicznej wycieczce lub widziały się na pogrzebie wspólnej znajomej. Gdy wreszcie wykluczyły wszystkie te możliwości i rozeszły się nieco zafrasowane, towarzyszący nam mężczyzna zwrócił się do mojej rozmówczynie, przekonując, że wie, skąd się znają. Stwierdził: tamta pani jest Żydówką, mijacie się co roku na obchodach wyzwolenia obozu. Faktycznie, było to możliwe, spotkałam później tę kobietę w żydowskim związku ocalałych.

Właśnie ten fakt mijania się przeważał w podjęciu najtrudniejszej decyzji podczas przygotowywania tej książki. Początkowo zamierzałam umieścić w niej wspomnienia przedstawicieli różnych stowarzyszeń, zarówno polskich, jak i żydowskich, by ukazać spektrum postaw krakowskiej wspólnoty przeżywców. Z czasem jednak zdałam sobie sprawę, że nie ma i prawdopodobnie nigdy nie było takiej wspólnoty. W większości wypadków, zarówno przed wojną, jak i w jej trakcie, w obozach i po wyzwoleniu, można było mówić zaledwie o różnych, zależnych od kontekstu wymiarach bycia „razem/osobno” (Bauman, 2007). W toku rozmów z obiema stronami coraz dobitniej uświadamiałam sobie także nietożsamość, czy wręcz nieprzystawalność tych doświadczeń. Łączenie ich w jedną opowieść byłoby nie dość, że karkołomne

i z zasady nieetyczne, to jeszcze nieuchronnie nosiłoby znamiona próby porównania. Tymczasem – chcę to mocno podkreślić – nie ma i nie było żadnych porównań dla żydowskich i polskich losów wojennych, a w znacznej mierze także przed- oraz powojennych. W konsekwencji, mimo że gest rozdzielania narracji polskich i żydowskich był dla mnie od początku trudny, zdecydowałam się na niego, próbując uniknąć sugerowania pozornych analogii i powinowactw.

Oczywistością jest, że szczytowy moment archiwizowania polskich świadectw czasu wojny przypadła na okres PRL-u. Siłą rzeczy dokumentowane relacje nosiły piętno ówczesnej propagandy. Nawet ci, którzy nie chcieli ulegać jej wpływowi, decydując się na rejestrowanie swoich opowieści, często przemilczali pewne zjawiska lub przedstawiali je w innej skali. Skrajnym przypadkiem był bez wątpienia sposób ukazywania Zagłady Żydów, którą retorycznie pomijano, pomniejszano lub uniwersalizowano.

Tym bardziej ważnym aspektem przeprowadzonych rozmów były dla mnie powracające na różnych prawach relacje polsko-żydowskie. Nie można dziś chyba mówić o wyparciu na poziomie indywidualnej pracy pamięci. Przeciwnie, Żydzi są ważnymi bohaterami, stale, niezbywalnie i przejmująco obecnymi w opowieściach moich rozmówców. I choć nie zawsze lub nie od początku są to relacje przyjazne, wyraźnie widać ewoluowanie poglądów i zmianę postaw, często weryfikowanych właśnie w obliczu terroru obozowego.

Piotr Filipkowski w swej ważnej i świetnie pomyślanej książce *Historia mówiona i wojna. Doświadczenie obozu koncentracyjnego w perspektywie narracji biograficznych* celnie zauważa, jak z wielu względów nieaktualne wydają nam się dziś dawne narracje polskich byłych więźniów. Wynika to po części ze zideologizowania tamtych opowieści, a także z nieatrakcyjności ówczesnego języka i sposobu opowiadania. Archiwizacyjna praca Filipkowskiego oraz wielu działaczy i wolontariuszy Ośrodka Karta, którzy oficjalnie od 1990 roku przeprowadzili setki, jeśli nie tysiące wywiadów, uświadamia, że próba odświeżenia polskiego archiwum świadectw została dokonana. Gorzej jednak ze społecznym zainteresowaniem tymi narracjami. Choć są one dostępne w dobrze skatalogowanej domenie publicznej, na przykład na stronie [www.karta.org.pl](http://www.karta.org.pl), niekoniecznie traktuje się je jako aktualnie istotne dziedzictwo kulturowe. Oprócz pojedynczych książek, w tym publikacji Filipkowskiego, oraz nielicznych w skali kraju artykułów brakuje interpretacji tych opowieści.

Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że mimo boomu pamięciowego, panującego od co najmniej kilku lat w krajowych gremiach naukowych, problem polskiego doświadczenia obozowego jest po prostu niemodny. Niby oddano go refleksji środowisk prawicowych, ale nawet w tych kręgach trudno dostrzec faktyczne, przekładające się na rzetelne analizy zainteresowanie obozowymi wspomnieniami

polских przeżywców. Rozrastające się i umacniające w Polsce badania nad Zagładą nie idą w parze z namysłem nad tym polskim „doświadczeniem bez nazwy”, jak to określają moi rozmówcy. Ich przeświadczenie, że nigdy nie powstał odpowiedni termin dla tych przeżyć, niewpisujących się przecież ani w zakres Holokaustu, ani Zagłady, jest chyba przejawem bardziej ogólnego wołania o uwagę. Doświadczenie zniewolenia, ubezwłasnowolnienia, życia „nagiego” w stanie wyjątkowym (Agamben, 2008) to centralny punkt życiorysu wielu jednostek niemogących poradzić sobie aż do śmierci z tym ciężarem i w konsekwencji przenoszących go na kolejne pokolenia. Brak nazwy dla polskiego doświadczenia obozowego czyni je w jakiś sposób niezauważalnym, wszak – jak wiadomo – „nienazwane nie istnieje dla nas”. Terminologiczny impas marginalizuje czy neutralizuje losy byłych więźniów, utrudniając nasze pamiętanie i stępując wrażliwość.

Z tym problemem wiąże się jeszcze jedna motywacja moich działań: celem było uświadomienie – najpierw sobie, a później w miarę możliwości także innym – że polscy przeżywcy wciąż żyją i nawet jeśli nie uczestniczą w kształtowaniu polityki pamięci, są jeszcze obecni w przestrzeni publicznej. Na co dzień bezwiednie ich mijamy, a oni – nieco zawstydzeni swoim kombatanctwem i starością, pozornie przeciętni – nie rzucają się w oczy. Chciałam na nowo, zapewne w ostatnim momencie, dopuścić ich do głosu i uczynić te głosy słyszalnymi – po to, by nieco wzmocnić w nich poczucie bezpieczeństwa, że trudne losy nie zostaną tak łatwo i od razu zapomniane, by dać im możliwość autoanalizy swoich biografii, by posłuchać, jakim mówią dziś językiem i jakie mają przekonania, wreszcie, by spytać o to, dlaczego „zazdroszczą Żydom Auschwitz”, jak to sformułował jeden z moich rozmówców.

Liczne odniesienia społeczno-kulturowe znajdują uzupełnienie również na poziomie mikro. Historia mówiona bowiem ma to do siebie, że w sposób odczuwalny zachowuje ślady interakcji rozmówców. Nasze relacje z przeżywcami były dynamiczne i procesualne, niektóre zawiązywały się wskutek wielokrotnych spotkań poprzedzających sytuację nagrania, inne konstytuowały się w natychmiastowym porozumieniu, niemal od pierwszego wejrzenia, jeszcze inne ewoluowały od początkowej antypatii czy nieufności do stopniowo pogłębiającej się zażyłości.

Część rozmówców nie wyobrażała sobie, by nagraniu towarzyszyły inne osoby, dlatego wybierała postronne miejsca, szczelnie zamykała drzwi, nie reagowała w trakcie naszych spotkań na telefony lub prosiła rodzinę o znalezienie sobie w tym czasie zajęć poza domem. Inni, szukając oparcia, ewidentnie potrzebowali obecności bliskich, czy choćby znajomych osób.

Z pewnością znaczenie miały także moje kompetencje. Nasze rozmowy z punktu widzenia historyków, socjologów, antropologów czy teoretyków historii mówionej okazały się, być może, nie dość profesjonalnie przeprowadzone. Nie chodziło mi jednak

o kreowanie wywiadów doskonałych, ale – żeby tak powiedzieć – funkcjonalnych, w których dobrze poczują się przede wszystkim rozmówcy. Staralam się za każdym razem dostosowywać tryb rozmowy do ich możliwości i preferencji, od tego zależała także częstotliwość i szczegółowość pytań. Było jednak kilka sytuacji, gdy mimo chwilowych uników starałam się dopytać przeżywców o kwestie, które wydawały mi się kluczowe dla danego fragmentu biografii.

Jakkolwiek niemożliwością było oddanie w transkrypcjach licznych niuansów komunikacyjnych oraz atmosfery panującej podczas nagrań, starałam się w wielu miejscach akcentować to, co pozornie nieznaczące: objawy emocji, pominięcia, przejęzyczenia, zawahania, przemilczenia, zapadającą ciszę, ton wypowiedzi, zawieszenia, odmowy, pobudzenia, czynności towarzyszące rozmowie itp. Te znaki były dla mnie w pełni wartościowymi i komplementarnymi elementami komunikatów werbalnych. Interesowało mnie napięcie między tym, co mówią i jak to artykułują rozmówcy. Mam jednak świadomość, że nawet najwierniejsze próby zapisu nagrań oraz obserwacji uczestniczących są już subiektywnym aktem interpretacji.

Niezależnie od sytuacji towarzyskiej i doboru przestrzeni ważna okazywała się nie tylko słowna nić porozumienia, ale również

fizyczny aspekt współobecności, napięcia i transmisje. Uderzająca była zwłaszcza wpływająca na kontekst rozmowy fuzja różnych perspektyw czasowych i przestrzennych, ciągle oscylowanie między „wówczas”, „tam”, „teraz” i „tu”. Nasze spotkania prowokowały międzypokoleniową wymianę doświadczeń i poglądów, konfrontowanie odmiennych wrażliwości. W zapisach tych rozmów widać dość wyraźnie, że dla przeżywców nie jest najistotniejsza rekonstrukcja wydarzeń czy historyczny wymiar narracji, ale akt świadczenia, odsłonięcie się przy jednoczesnym oddaniu głosu i ciała postaciom z minionego porządku, odczucie tego aktu i zarazem uczynienie opowieści odczuwalną.

W te mniej lub bardziej świadome próby wyjścia rozmówców poza racjonalne procedury rozumienia przeszłości angażowane były często metody wrażeniowe. Nie mam tu na myśli jakichś wyrachowanych strategii angażowania odbiorcy, ale intuicyjnie stosowane środki retoryczne, gesty, formy dotyku i spojrzenia, które w teorii historii mówionej określa się mianem repertuaru zachowań teatralnych (por. Felman, 1992; Hartman, 1996; Young, 2004; Laub, 2007; Mościcki, 2012). Niewątpliwie opowiadanie historii jest dla tych ludzi formą ponownego przeżywania. Opowiadający nie tyle rekonstruują, ile powołują pewne historie, wypowiadają je i odgrywają, próbując jednocześnie zrozumieć ich sens. Czynnie uczestniczą w procesie stawania się świadka (Young, 2004). Nie mam też wątpliwości, że wyjątkowe sytuacje naszych interakcji były dla rozmówców okazją do transmisyjnego wciągnięcia słuchaczy w to przeżywanie i do wytworzenia bardzo specyficznej, czasem nieco perwersyjnej, „potwornej” bliskości. Prowokowanie napięć

energetycznych, wywoływanie wątków strasznych czy patetycznych służy zapewne efektywnemu dotknięciu odbiorcy. Relacje, które powstają w takim akcie świadczenia, są z pewnością mikrowspólnotami afektywnymi, a ich stawką okazuje się wspólne wypracowanie znaczeń relacyjnych.

Za każdym razem zdumiewała mnie performatywna sprawczość świadków. Wynikała ona przede wszystkim z ich zdolności do płynnej zmiany ról, przechodzenia od perspektywy współczesnej do wojennej, odgrywania młodej dziewczyny lub chłopaka, więźniarki lub więźnia i natychmiastowego powrotu do postawy starczej. Podobnie było z rolami, które rozmówcy wyznaczali mi jako ich słuchaczce, gdy nie wiedzieć kiedy przeistaczałam się w przedwojenną koleżankę, kogoś z rodziny, współwięźniarkę lub esesmankę, aby po chwili znowu powrócić do swojej postaci, którą można „nauczyć obozu”. Nasze konfrontacje polegały więc na ustawicznym negocjowaniu i redefiniowaniu ról.

Kolejnym przejawem sprawczości bohaterów tej książki była ich fizyczna bliskość, rozpięta między minionym światem, o którym opowiadali, i naszą bezpośrednią relacją. Nieprzemijające zdziwienie, wynikające z faktu, że wciąż można siedzieć naprzeciw osoby, która przebywała w obozie, widziała go i czuła, potęgowane było materialną obecnością świadka. Zdarzało się, że przeżywcy łapali mnie nagle za kark lub za szyję, by powtórzyć jakiś ruch esesmana albo też niespodziewanie unieruchamiali moje ramię, by odegrać tatuowanie ręki. Także bardziej subtelne gesty, jak głaskanie czy uścisk, nie tylko oddziaływały na zmysły dotyku, ale również intensyfikowały wyobrażanie sobie scen z przeszłości. Podobną funkcję spełniały materialne protezy minionego porządku, na przykład ocalałe artefakty z czasów przedwojennych i wojennych, między innymi zdjęcia, które były nieodłącznym kontekstem, czy wręcz rekwizytem niemal wszystkich opowieści.

Wydaje się, że te zabiegi i nośniki materialne mają co najmniej jedną wspólną rolę, mianowicie dają poczucie, że możliwy jest choćby częściowy dostęp do skądinąd niereprezentowalnego doświadczenia wojny. Wielowymiarowe, fizyczne skupienie rozmówców na czynności opowiadania, a także angażowanie pamięci ciała i zmysłów przy jednoczesnym intensyfikowaniu oddziaływania na (psycho)ciało słuchaczki nosi znamiona reprezentowania „mimo wszystko”. Właśnie w tej materialnej sprawczości przeżywców, którzy przez rwane opowieści, luki w pamięci, zawahania, przeinaczenia i liczne gesty odgrywają wedle swoich możliwości tamtą rzeczywistość, pośredniczą między minionym a współczesnym, reprezentują tamtych ludzi, a także siebie samych z owego czasu, upatruję największą wartość naszych spotkań.

Dotyczy to również trybu przywoływania postaci widmowych, bliskich sprzed wojny, wojennych towarzyszy niedoli, wspólnoty obozowej, współwięźniów, a także wybranych nazistów. Moi rozmówcy często przytaczają ich słowa, naśladują głosy



i zachowania, rekonstruuja cudze zapatrywania, opisujaj wyglad, prezentujaj przedmioty nalezace niegdys do tych ludzi, ich zdjecia, chwilowo wcielajaj sie w role, a w niektorych wypadkach odgrywajaj muzulmanow, siadajac na podlodze, kulajac sie, zwijajac w klebek, kiwajac sie. Stwierdzajaj ponadto, ze nie tyle chca, ile czujaj, ze muszaj raz za razem wchodzic w role swiadka.

Bohaterowie tej ksiazki na rozne sposoby podejmowali proby racjonalizacji swojego przetrwania. Rezerwuar tych uzasadnien obejmowal rozmaite powody: od towarzyskich, ambicjonalnych, charakterologicznych, estetycznych i zwiazanych z przymiotami ciała, przez bazujace na zwyklym przypadku czy opatrznosci, po etyczne i religijne. Co ciekawe, rozmowcy uznawali te czynniki za wciaz aktualne, mozliwe do zastosowania „przy nastepnej okazji”. Gdy polecali, by sluchacze koniecznie zachowali je w pamieci, trudno bylo odczytywac ich slowa inaczej niz jako dosc katastroficzne w tonie rady, wskazowki i przestrogi. Ten swoisty poradnik przezywcy obejmowal zachowania sprawdzone w przeszlosci i sugerowane do powtorzenia podczas ewentualnych dzialan militarnych czy zniewolenia. Choc rozmowcy wielokrotnie deklarowali, ze ich swiadczenie ma na celu przeciwdzialanie konfliktom, czulo sie wyraznie, jak realne sa dla nich kolejne zagrozenia.

Wsród mnogości poruszanych watkow dominowaly zwlaszcza te dotyczace codzienności obozowej. Nie opowiadano jednak historii obozow, ale historie wlasne oraz wspolwiezniow. Choc, co oczywiste, ramy tych opowieści sa podobne, to jednak kazda z nich jest w jakis sposob wyjatkowa i przynosi nowe informacje. Omawiane sa zwyczajne panujace w danym obozie, sposoby organizacji, formy pracy, kwestie zywienia, higieny i opieki medycznej, sytuacje w jakis sposob odbiegajace od codziennej rutyny, najtragiczniejsze czy najstraszniejsze momenty oraz pojedyncze chwile nadziei czy zadowolenia. W poszczegolnych wypadkach okazuje sie, ze powodowany skrajna bieda poziom zycia przedwojennego nie przewyzszal tak bardzo warunkow obozowych, na przyklad pod wzgledem zywienia.

Moi rozmowcy skupiaja sie rowniez na opisie swoich obowiazkow, niekiedy z zalem podkreślajac ciezar wykonywanej pracy. Warto zauwazyć, ze pelnione w obozie funkcje nie sa w tych opowieściach przedmiotem wstydu, jak to bywalo w wielu wczesniej dokumentowanych relacjach. Przeciwnie, przezywcy opowiadaja o nich albo z zazdrością – jezeli w danym momencie uwięzienia do nich aspirowali – albo z rodzajem ulgi, zadowolenia, czy nawet dumy, gdy omawiaja poprawnie wykonywane zadania.

Na marginesie trzeba dodac, ze tym, czego wstydza sie i boja dzis przezywcy, sa zazwyczaj tuzpowojenne przygody z nowym systemem. Najczesciej chodzi o ponawiajace sie akty przesladowania przez bezpieke, kiedy indziej o przelotne, kilkunastomiesieczne etapy dialogowania z wladza, motywowane dramatyczna sytuacja ekonomiczna i dlugotrwalą niemoznoscia znalezienia pracy. Wlasnie watki

związane z ustrojem komunistycznym – zarówno z byciem jego ofiarą, jak i chwilowym beneficjentem – są jedynymi, które bywały wtórnie cenzurowane przez moich rozmówców, gdy po jakimś czasie od nagrania prosili mnie o ich usunięcie. Swoje decyzje uzasadniali strachem przed reperkusjami, które mogłyby ich spotkać po przejęciu władzy przez Rosję.

Istotnym aspektem są również wzmianki o tym, co podczas wojny ocalało moich rozmówców, o drobnych odskoczniach, formach gratyfikacji, doznanych przyjemnościach, sposobach sprzeciwu wobec zasad obowiązujących w obozach, jak na przykład swobodne rozmowy, wizyty w niedozwolonych obszarach obozu, zdobywanie potrzebnych przedmiotów, zakazane relacje, uczestnictwo w tajnym nauczaniu czy działanie w organizacjach oporu.

Dominująca w opowieściach liczba mnoga niekiedy odnosi się do bliskich współdzielących los rozmówców, częściej jednak oznacza ogólną zmianę trybu bycia, odejście od pojedynczego „ja” na rzecz „my”, odwołującego się do zbiorowości obozowej. Tylko czasem owo „my” zostaje zawieszona i zastąpiona specyficznym, kruchym i tym bardziej narażonym na niebezpieczeństwa „ja”. Dzieje się tak zwłaszcza wtedy, gdy więźniarki i więźniowie wspominają o swoich aktach emancypacji, bardziej indywidualnych przygodach, osobiście ponoszonych karach, próbach ucieczki, pełnionych funkcjach czy o awansie w hierarchii obozowej.

Paradoksalnie często jeszcze bardziej niepewne jest „ja” opowiadające o chwili wyzwolenia (się) – wskutek ucieczki z obozu lub podczas ewakuacji, albo też w rezultacie wyzwolenia przez wojsko. Te wątki opowieści należą do najbardziej zaskakujących, okazuje się bowiem, że nigdy – nawet podczas pobytu w obozach – przeżywcy nie czuli się tak samotni, bezbronni, słabi, czy wręcz nieszczęśliwi, jak w momencie odzyskania wolności. Wyzwolenie nie było jednoznaczne z ocaleniem. Sugeruje to chyba proponowany termin „przeżywca”. Na przekór gładkości brzmienia „ocalonego” przeżywca, oprócz tego, że wskazuje na procesualność oraz nieodmknienie owego przeżywania, sprawia również pewne trudności artykulacyjne, dźwięczy, wymusza brnięcie przez to słowo.

Dalsze życie, o którym opowiadają moi rozmówcy, już zawsze było życiem odzyskanym, życiem „po” obozie i „z” obozem. Ten inkluz tkwi nie tylko w pamięci i mentalności, ale też w podświadomości i w tkankach ciała. Ujawnia się na różne sposoby: przez obawy i lęki, choroby, depresje, w snach, przejęzyczeniach, zachowaniach i nawykach. A także – jak podkreśla wielu rozmówców – w genach, wskutek dziedziczenia traumy przez ich dzieci i wnuki. Z moich obserwacji wynika, że wbrew stereotypowi polscy przeżywcy nie są zadufanymi, dumnymi z wojennej przeszłości kombatantami, ale raczej zakładnikami pamięci, którzy nie do końca i nie zawsze potrafią radzić sobie z doświadczeniem obozowym jako niejednokrotnie centralnym punktem życiorysu.

Jakkolwiek to brzmi, często ich egzystencja nigdy wcześniej i nigdy później nie była tak intensywna i wyrazista, jak podczas uwięzienia. Nic innego nie przyćmiło tamtych doświadczeń. To wrażenie przeżywców spotęgowało się jeszcze w momencie przejścia na emeryturę lub odejścia czy śmierci bliskich. Demobilizująco działają także kolejne informacje o śmierci ich koleżeństwa obozowego, przy czym – zapewne wskutek osłabienia więzi grupowych – coraz częściej wieści o tym fakcie docierają dopiero jakiś czas po pogrzebie. Ostatni świadkowie są coraz bardziej ostatni.

Nie będzie przesadą stwierdzenie, że wiele z tych osób trwa w stanie samotności absolutnej. Nieuchronnie wiąże się to z rozpamiętywaniem przeszłości, także tej najbardziej bolesnej – jakby skutki wojennego koszmaru dosięgały ich teraz ze zwielokrotnioną siłą. Niektórych zmotywowało to do emeryckiego zaktywizowania się w Związku i w klubach byłych więźniów, co z reguły przekłada się na ożywienie kontaktów towarzyskich. Dla innych, spędzających całe dnie w samotności, wspomnieniowa rzeczywistość obozu stała się jedyną alternatywą nijakiej współczesności. Prowadzą więc życie podwójne, a ich poszarpane i niespójne biografie nigdy nie są domknięte.

# Wybrana bibliografia

- Giorgio Agamben, *Co zostaje z Auschwitz. Archiwum i świadek (Homo sacer III)*, przeł. S. Królak, Sic!, Warszawa 2008.
- Swietłana Aleksijewicz, *Ostatni świadkowie. Utwory solowe na głos dziecięcy*, przeł. J. Czech, Czarne, Wołowiec 2013.
- Zygmunt Bauman, *Nowoczesność i Zagłada*, przeł. T. Kunz, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2012.
- Zygmunt Bauman, *Razem/osobno*, przeł. T. Kunz, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2007.
- Steven Beller, *Antysemityzm, bardzo krótkie wprowadzenie*, przeł. P. Tomanek, Nomos, Kraków 2014.
- Doris L. Bergen, *Wojna i ludobójstwo*, przeł. R. Witkowski, M. Sosnowski, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2011.
- Judith Butler, *Ramy wojny*, Książka i Prasa, przeł. A. Czarnacka, Warszawa 2011.
- Georges Didi-Huberman, *Obrazy mimo wszystko*, przeł. M. Kubiak Ho-Chi, Universitas, Kraków 2008.
- Helena Dunicz-Niwińska, *Drogi mojego życia. Wspomnienia skrzypaczki z Birkenau*, spisała M. Szewczyk, Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau, Oświęcim 2013.
- Barbara Engelking, *Czas przestał dla mnie istnieć – analiza doświadczania czasu w sytuacji ostatecznej*, IFiS PAN, Warszawa 1996.
- Extremities. Trauma, Testimony and Community*, ed. Nancy K. Miller, Jason Tougaw, University of Illinois Press, Chicago 2002.
- Shoshana Felman, Dori Laub, *Testimony: Crises of Witnessing in Literature, Psychoanalysis and History*, Routledge, New York and London 1992.
- Piotr Filipkowski, *Historia mówiona i wojna. Doświadczenie obozu koncentracyjnego w perspektywie narracji biograficznych*, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2010.
- Pia-Kristina Garde, *Świadectwo skazanych na śmierć – sześćdziesiąt lat później*, przeł. J. Ludawska, Czarne, Wołowiec 2009.
- Genocide: A Reader*, ed. Jens Meierhenrich, Oxford University Press, New York 2014.
- Tomasz Goban-Klas, *Pamięć podzielona, pamięć urażona: Oświęcim i Auschwitz w polskiej i żydowskiej pamięci zbiorowej*, w: *Europa po Auschwitz*, red. Z. Mach, Universitas, Kraków 1995.
- Jan Tomasz Gross, *Złote żniwa. Rzecz o tym, co się działo na obrzeżach Zagłady Żydów*, Znak, Kraków 2011.
- Anka Grupińska, *Ciągle po kole. Rozmowy z żołnierzami getta warszawskiego*, Czarne, Wołowiec 2013.
- Mikołaj Grynberg, *Oskarżam Auschwitz. Opowieści rodzinne*, Czarne, Wołowiec 2014.
- Magdalena Grzebałkowska, *1945. Wojna i pokój*, Agora, Warszawa 2015.
- Geoffrey Hartman, *The Longest Shadow: In the Aftermath of the Holocaust*, Indiana University Press, Bloomington 1996.
- Raul Hilberg, *Sprawcy, ofiary, świadkowie. Zagłada Żydów 1933—1945*, przeł. J. Giebułtowski, Cyklady, Warszawa 2007.
- Marianne Hirsch, *Family Frames: Photography, Narrative and Postmemory*, Harvard University Press, 1997.
- Marianne Hirsch, *The Generation of Postmemory: Writing and Visual Culture After the Holocaust*, Columbia University Press, 2012.
- Historia mówiona w świetle nauk humanistycznych i społecznych*, red. J. Szadura, S. Niebrzegowska-Bartmińska, M. Szumiło, UMCS, Lublin 2014.
- Imaginary Neighbors. Mediating Polish-Jewish Relations after the Holocaust*, ed. Dorota Glowacka and Joanna Zylinska, University of Nebraska Press, Lincoln 2010.
- Kaja Kaźmierska, *Doświadczenia wojenne Polaków a kształtowanie tożsamości etnicznej. Analiza narracji kresowych*, IFiS PAN, Warszawa 1999.
- Bożena Keff, *Antysemityzm. Niezamknięta historia*, Czarna Owca, Warszawa 2013.
- Imre Kertész, *Język na wygnaniu*, przeł. E. Cygielska, E. Sobolewska, W.A.B., Warszawa 2004.

Imre Kertész, *Likwidacja*, przeł. E. Sobolewska, W.A.B., Warszawa 2003.

Imre Kertész, *Los utracony*, przeł. K. Pisarska, W.A.B., Warszawa 2002.

Antoni Kępiński, *Refleksje oświęcimskie*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2005.

Antoni Kępiński, *Rytm życia*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2012.

Ewa Koźmińska-Frejłak, *Świadkowie Zagłady – Holocaust jako zbiorowe doświadczenie Polaków*, „Przegląd Socjologiczny” 2000, z. 2

Dominick LaCapra, *Historia w okresie przejściowym. Doświadczenie, tożsamość, teoria krytyczna*, przeł. K. Bojarska, Universitas, Kraków 2009.

Lawrence L. Langer, *Świadectwa Zagłady w rumowisku pamięci*, przeł. M. Szuster, ŻIH, Warszawa 2015.

Dori Laub, *Zdarzenie bez świadka: prawda, świadectwo oraz ocalenie*, przeł. T. Łysak, „Teksty Drugie” 2007, nr 5.

Jacek Leociak, *Ratowanie. Opowieści Polaków i Żydów*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2010.

Jacek Leociak, *Tekst wobec Zagłady. O relacjach z getta warszawskiego*, Wydawnictwo Leopoldinum dla Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1997.

Primo Levi, *Czy to jest człowiek*, przeł. H. Wiśniowska, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2008.

Primo Levi, *Pogrążeni i ocaleni*, przeł. S. Kasprzysiak, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2007.

Primo Levi, *Rozejm*, przeł. K. Żaboklicki, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2009.

Ruth Leys, *From Guilt to Shame: Auschwitz and After*, Princeton University Press 2007.

Keith Lowe, *Dziki kontynent. Europa po II wojnie światowej*, przeł. M. P. Jabłoński, Rebis, Poznań 2013.

Hans Mayer, *Odmieńcy. Żydzi, kobiety, homoseksualiści*, przeł. A. Kryczyńska, Muza, Warszawa 2005.

Paweł Mościcki, *Karski – paradoks o świadku*, „Teksty Drugie” 2012, nr 4.

Grzegorz Niziołek, *Lęk przed afektem*, „Didaskalia” 2016, nr 131.

Jeffrey K. Olick, *Collective Memory: The Two Cultures*, „Sociological Theory” 17, 1999, nr 3.

Anna Pawełczyńska, *Żywa historia – pamięć i ocena lat okupacji*, Wydawnictwo Radia i Telewizji, Warszawa 1977.

Zofia Posmysz, *Pasażerka*, Axis Mundi, Warszawa 2010.

Zofia Posmysz, *Wakacje nad Adriatykiem*, Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau, Oświęcim 2004.

Dorota Sajewska, *Nekroperformans*, „Didaskalia” 2016, nr 131.

Timothy Snyder, *Skrwawione ziemie. Europa między Hitlerem a Stalinem*, przeł. B. Pietrzyk, Świat Książki, Warszawa 2015.

Tadeusz Sobolewicz, *Wytrzymałem, więc jestem*, Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau, Oświęcim 2010.

Karol Tendera, *Polacy i Żydzi w KL Auschwitz 1940–1945. Pamiętnik więźnia KL Auschwitz-Birkenau*, Jagiellonia, Kraków 2008.

Joanna Tokarska-Bakir, *Legendy krwi*, W.A.B., Warszawa 2008.

Joanna Tokarska-Bakir, *Okrzyki pogromowe*, Czarne, Wołowiec 2012.

*Trauma: Explorations in Memory*, ed. Cathy Caruth, Johns Hopkins University Press, Baltimore–London 1995.

Enzo Traverso, *Historia jako pole bitwy. Interpretacja przemocy w XX wieku*, przeł. Ś. F. Nowicki, Książka i Prasa, Warszawa 2014.

Aleksandra Ubertowska, *Aporie, skandale, wyrwy w tekście. Etyka opowieści o Zagładzie*, „Teksty Drugie” 2002, nr 1–2.

Aleksandra Ubertowska, *Świadectwo, trauma, głos. Literackie reprezentacje Holocaustu*, Universitas, Kraków 2007.

Shlomo Venezia, *Sonderkommando. W piekle komór gazowych*, przeł. K. Szeżyńska-Maćkowiak, W.A.B., Warszawa 2014.

Thomas Vogler, *Witness and Memory: The Discourse of Trauma*, Routledge, New York 2003.

Friedman Lea Wernick, *Words and Witness. Narrative and Aesthetic Strategies in the Representation of the Holocaust*, SUNY Press, New York 2000.

Hayden White, *Poetyka pisarstwa historycznego*, red. E. Domańska i M. Wilczyński, przeł. E. Domańska, M. Loba, A. Marciniak, M. Wilczyński, Universitas, Kraków 2000.

Julian Wiecech, *Wróciłem. Wspomnienia Skrzata z Lipnicy*, Zamkor, Kraków 2004.

*Wojna. Doświadczenie i zapis – nowe źródła, problemy, metody badawcze*, red. S. Buryła, P. Rodak, Universitas, Kraków 2006.

James Young, *Holokaust w świadectwach filmowych i świadectwach wideo. Dokumentowanie świadka*, przeł. T. Łysak, „Literatura na Świecie” 2004, nr 1–2.

Zagłada. *Współczesne problemy rozumienia i przedstawiania*, red. Przemysław Czapliński i Ewa Domańska, Poznańskie Studia Polonistyczne, Poznań 2009.

Marcin Zaremba, *Wielka trwoga. Polska 1944–1947. Ludowa reakcja na kryzys*, Znak, Kraków 2012.

# Podziękowania

Przede wszystkim serdecznie dziękuję moim rozmówcom za zaufanie i niełatwe spotkania, gdy przekraczali siebie, by przybliżyć swoje doświadczenia: Helenie Dunicz-Niwińskiej, Alfredzie Gorączko, Halinie Krzymowskiej, Lidii Maksymowicz, Annie Puchajdzie, Barbarze Wiesze, Ewie Żelechowskiej-Stolzman, Stefanowi Lipniakowi, Karolowi Tenderze, Julianowi Wieciechowi.

Dziękuję Karolowi Kowalskiemu, najlepszemu przewodnikowi, za dobroć i bezinteresowność pomocy – z nadzieją, że kiedyś także ze mną porozmawia.

Podziękowania zechcą przyjąć: przedstawiciele Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych, zwłaszcza jego prezes, Kazimierz Świst. Dziękuję też doktor Alicji Klich-Rączce.

Dziękuję również krakowskiemu oddziałowi Stowarzyszenia Dzieci Holocaustu, a zwłaszcza jego przewodniczącej, Pani Elżbiecie Lesiak.

Bardzo dziękuję: wydawcy, Stanisławowi Roškowi, za wielowymiarowe wsparcie przedsięwzięcia, Grzegorzowi Niziołkowi za mądrą obecność, Jerzemu Jarzębskiemu za pierwszą pomoc, Dorocie Głowackiej za ciągły dialog, Bercie Chojnowskiej za umiejętne umacnianie, Andrzejowi Lederowi za kilka praktycznych rad we właściwym momencie, Leonowi Neugerowi za przenikliwość ocen, Panu Jackowi Leociakowi za ważne wskazówki bibliograficzne, Tomaszowi Rakowskiemu za trafne sugestie.

Dziękuję także tym, bez których pomocy i wsparcia nie mogłabym kontynuować tego przedsięwzięcia: Ryszardowi Nyczowi za cierpliwe restytuowanie i pierwsze lektury, moim Bliskim, Bliższym i Najbliższym za ciągłą asekurację i trzymanie ręki na pulsie, Krzysztofowi Gawronkiewiczowi za pełne zaangażowanie we wspólną pracę – również tę, która przed nami – i za nadgarstki.

**Z albumów**



**Stefan Lipniak**



1. Stefan Lipniak (po lewej), Kraków, koniec lat 40.



2. Przyjęcie sylwestrowe, lata 50.



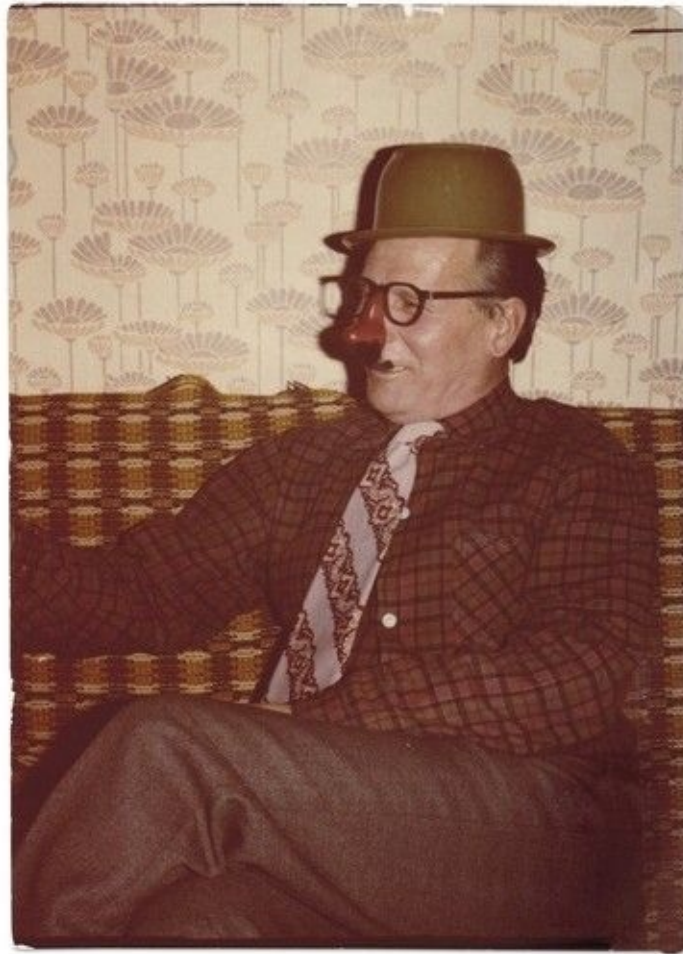
3. Córka Małgosia, Kraków 1952



4. Z córkami Małgosią i Renatą, Kraków, lata 50.



5. Z żoną Janiną i córką Małgosią, Kraków, lata 60.



6. Na balu przebierańców, lata 80.

**Alfreda Gorączko**





7. Alfreda Gorączko z domu Jassak (najmłodsza na zdjęciu) wraz z dziadkami, rodzicami i rodzeństwem, ok. 1930



8. Kołaczkowo, ok. 1940



9. Z koleżankami, Kołaczkowo, ok. 1943



10. Przy pracy, Kraków, ok. 1951

**Halina Krzymowska**



11. Halina Krzymowska z mamą Stefanią Kamienobrodzką z domu Figurską, Warszawa, 1928

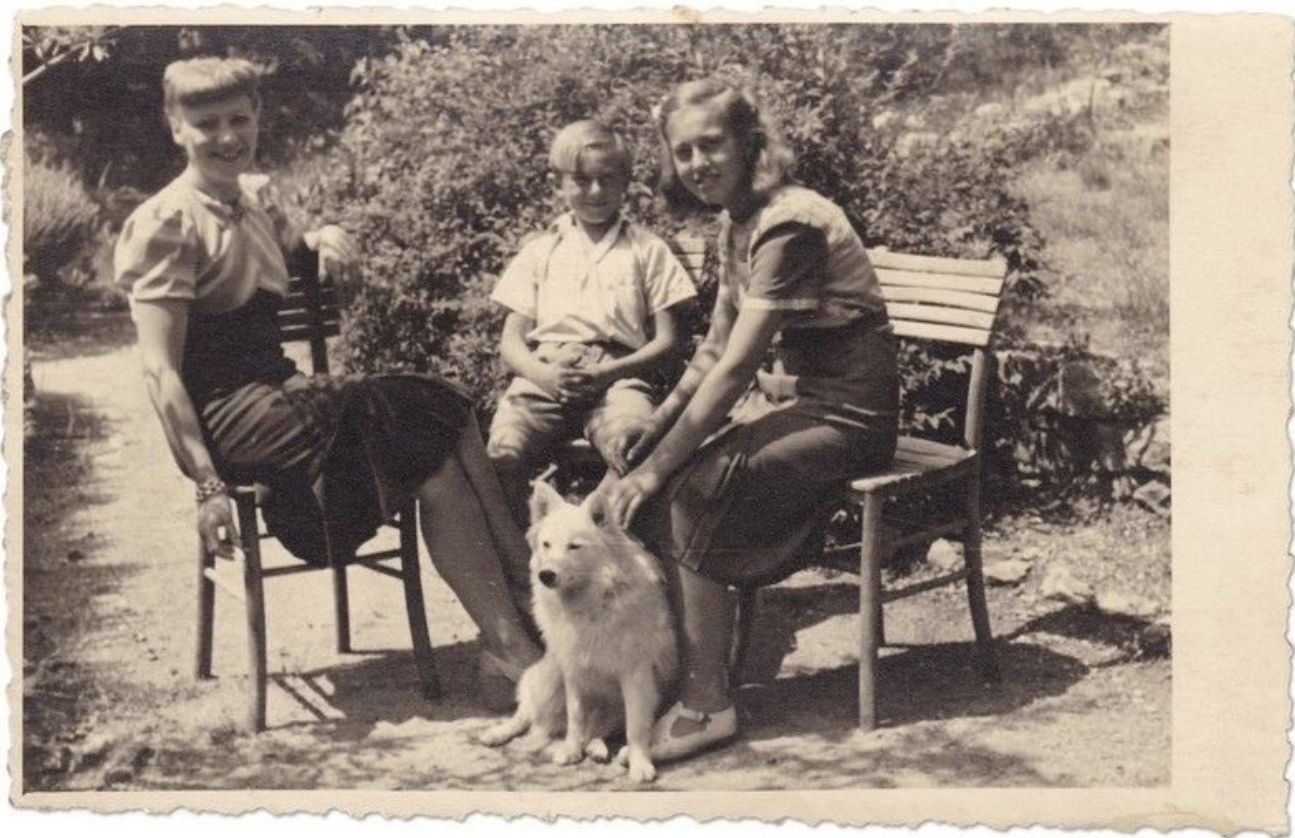


12. Halina Krzymowska z rodzicami, Warszawa, 1930



13. Zdjęcie klasowe, od lewej: młodszy syn Zelibów, Artur Potocki, Jaś Tyszkiewicz, Andrzej Potocki, Michał Kosiński, na dole od lewej: Janina Kujawska, Harenda (jak jej było na imię?), Marysia Malinowska, Halina Kamienobrodzka, Cerkwenica, 1942





14. Halina, Janusz i Stefania Kamienobrodzcy, Wyspa Krk, 1943



15. Na wyspie Krk, 1943



16. Na wyspie Krk, 1943



17. Więźniarki ewakuowane z Ravensbrück do Szwecji wraz z szwedzkimi strażniczkami, od lewej: Stefania i Halina Kamienobrodzkie, Helsingborg, 1945.



18. Helsingborg, 1945



19. Halina i Jerzy Krzymowscy podczas wycieczki motorowej po Polsce, 1950

**Ewa Źelechowska i Anna Puchajda**

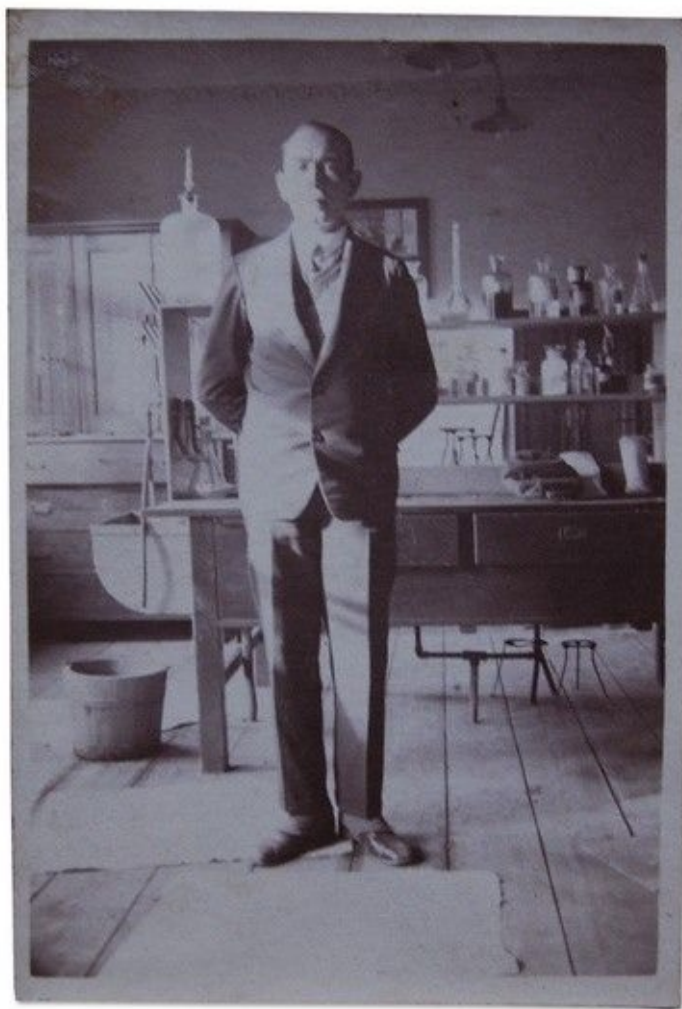


20. Józefa z domu Nowosielska i Andrzej Żelechowscy z córkami Anną i Ewą, ok. 1930





21. Babcia Maria Źelechowska z domu Chodacka, rodzice Stefania i Andrzej Źelechowscy, córki Anna i Ewa, Tatry, 1938 (ostatnie zdjęcie Andrzeja Źelechowskiego)



22. Andrzej Żelechowski w laboratorium chemicznym, lata 30.



23. Zdjęcie Andrzeja Żelechowskiego nadpalone w pożarze kamienicy podczas powstania warszawskiego, odnalezione w zgliszcach po wojnie przez Annę Żelechowską

21150



ARBEITSBUCH  
FÜR AUSLÄNDER

1	Herkunftsland	Gen. Gaiwernumont DEUTSCHES REICH
2	Geburtsdag	28. August 31
3	Geburtsort	Lanische Horne
3	Kreis	Warschau
4	a) Staats- angehörigkeit	Staatslos (Polen)
4	b) Volks- zugehörigkeit	<u>Polen</u>
5	a) Familienstand led. verh. verw. gesch.	ledig
5	b) Anzahl der minder- jährigen Kinder	

2

3

24. Książeczka pracy wydana Ewie Żelechowskiej w obozie Ravensbrück w listopadzie 1944 roku



25. Zdjęcie Anny Żelechowskiej wykonane do książeczki pracy w fabryce Franaszka, Warszawa, 1944

**Karol Tendera**



26. Karol Tendera z siostrą Wandą, Kraków-Rakowice, 1939



27. Karol Tendera z pierwszą żoną Zosią, lata 50.





28. Karol Tendera z pierwszą żoną Zosią, lata 50.



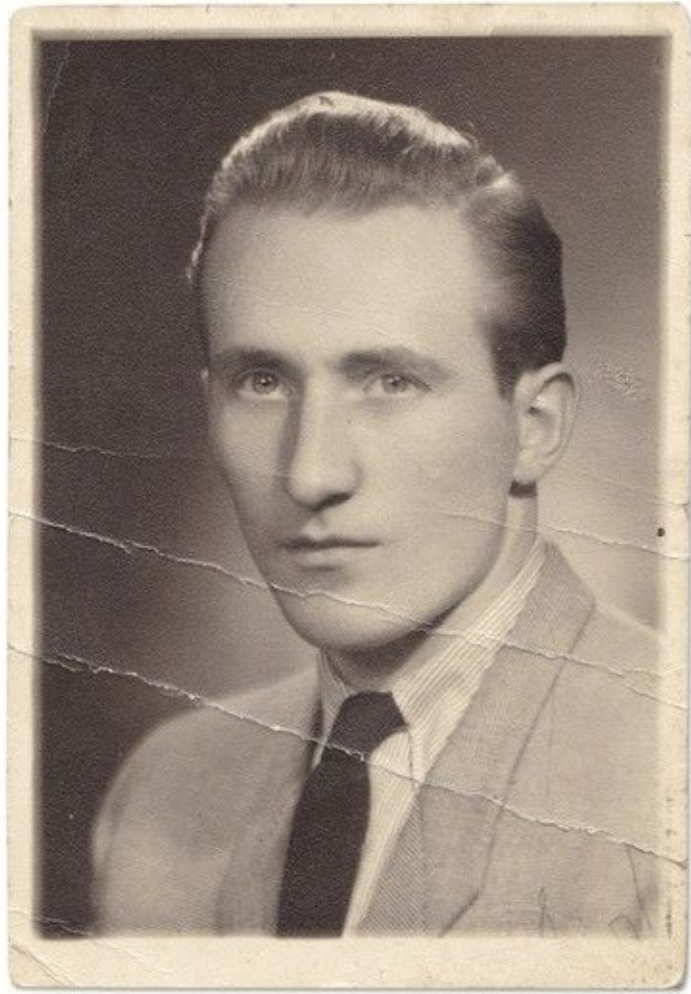
29. Karol Tendera z pierwszą żoną Zosią, lata 50.



30. Pochód pierwszomajowy, Karol Tendera na pierwszym planie, Kraków



31. W pracy, Krakowski Zarząd Inwestycji Rolnych, Kraków, 1978

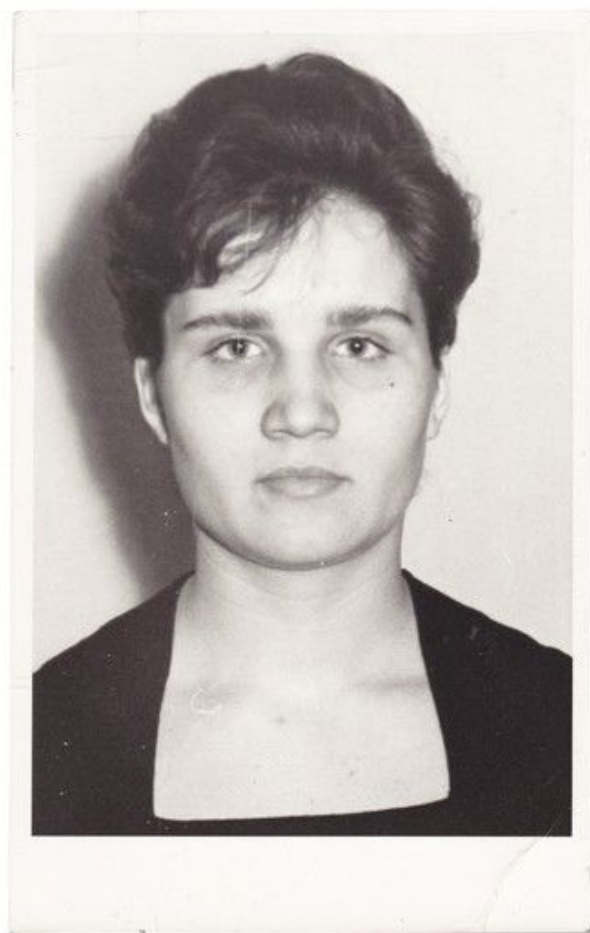


32. Zdjęcie legitymacyjne, lata 50.

**Lidia Maksymowicz**



33. Pan Stefan Żabiński u fotografa z dziećmi, które przybiegły do jego sklepu po cukierki, Lidia Maksymowicz trzecia z prawej, Oświęcim, 1948



34. Zdjęcia wykonane według instrukcji Czerwonego Krzyża i przesłane w 1958 roku do Hamburga w celu odnalezienia rodziny Lidii





35. Rodzina na zaproszenie władz radzieckich ogląda w studiu telewizyjnym dokument poświęcony Lidii, od lewej: dziennikarz, rodzice Aleksiej i Anna Boczarow oraz ich młodsze córki, Moskwa, 1962



36. Tłum witający na peronie Lidie wraz z mamą Anną Boczarow, Donieck, 1962



37. Pierwsze spotkanie Anny i Lidii po siedemnastu latach rozłąki, Moskwa, 1962



38. Anna Boczarow, Lidia Maksymowicz i kustosz Państwowego Muzeum w Oświęcimiu Tadeusz Szymański, 17 kwietnia 1967, fot. Z. Łoboda



39. Sesja zdjęciowa w Auschwitz dla włoskiego czasopisma „Anna Bella”

# Przypisy

<sup>1</sup> Dziękuję córkom Alfredy Gorączko za pomoc i udział w rozmowie – A. D.

<sup>2</sup> Dziękuję synowi pani Władysławy Wiechy za otwartość i pomoc w zaaranżowaniu naszego spotkania.

Redakcja: Małgorzata Jaworska  
Projekt graficzny: Stanisław Salij  
Ilustracje: Krzysztof Gawronkiewicz  
Skład: Joanna Kwiatkowska

© for this edition by Agnieszka Dauksza  
© Krzysztof Gawronkiewicz (rysunki)  
© wydawnictwo słowo/obraz terytoria

wydawnictwo słowo/obraz terytoria  
sp. z o.o. w upadłości układowej  
ul. Pniewskiego 4/1, 80-244 Gdańsk  
tel.: (58) 341 44 13, 345 47 07  
fax: (58) 520 80 63  
e-mail: [slowo-obraz@terytoria.com.pl](mailto:slowo-obraz@terytoria.com.pl)  
[www.terytoria.com.pl](http://www.terytoria.com.pl)

Gdańsk 2016

ISBN 978-83-7453-417-8

Skład wersji elektronicznej: Tomasz Szymański

**virtualo**  
[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)